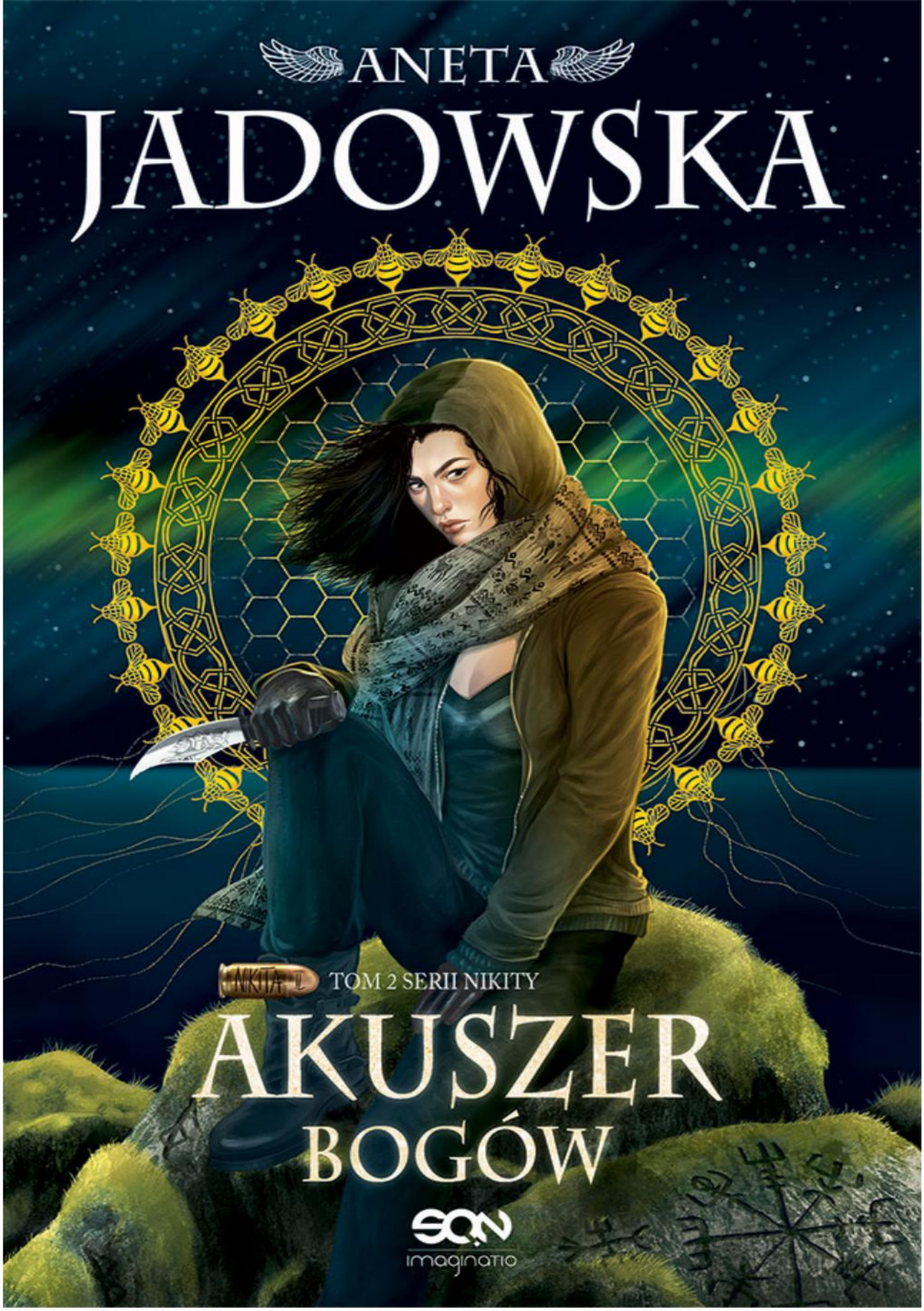
ANETA
JADOWSKA
NIKITA
TOM 2 SERII NIKITY
AKUSZER
BOGÓW
SQN
imaginatio

Plik jest zabezpieczony znakiem wodnym

ANETA

JADOWSKA

TOM 2 SERII NIKITY

AKUSZER BOGÓW

KRAKÓW 2017

Rozdział 1

Miała spojrzenie drapieżnika dość inteligentnego, by nie polować z głodu, ale z wyrachowania – dla satysfakcji płynącej ze zwycięstwa. Jej twarz prawie nigdy nie zdradzała emocji, a przecież znałam ją na tyle, by wiedzieć, że w jej głowie właśnie przeskakują trybiki. „Bardziej opłaca mi się ją zabić czy utrzymać przy życiu?", szacowała, wbijając we mnie chłodne spojrzenie. I to oczywiście była moja wina. Znów ją zawiodłam.

Pod tym względem niewiele się zmieniło przez ostatnie trzydzieści lat. Byłam rozczarowaniem. Dlatego odwlekałam tę wielką konfrontację – jak dzieciak z pałą w zeszycie, który wraca do domu okrężną drogą.

Ale karty w tej rozgrywce zostały rozdane jakiś czas temu. Ona miała asy i króle, ja – znaczone dwójki i trójki.

Przez lata nauczyłam się, jak radzić sobie z narastającą w piersi paniką i wolą ucieczki. Już jako dziecko rozumiałam, że nie będzie misiów ani czytania na dobranoc. Będzie wycisk i powtarzane jak mantra słowa: „Zawdzięczasz mi życie, bądź mi posłuszna, a zdołasz je zachować. Jeśli zechcę, zabijesz dla mnie. Jeśli rozkażę, zginiesz dla mnie. Jestem twoją matką, a twoim obowiązkiem jest być mi posłuszną".

Nie okazywać słabości. Nie okazywać emocji. Te szczególnie doprowadzały ją do furii – dawniej i dziś. A wściekła Irena była realnym zagrożeniem. Kiedyś przyjdzie naprawdę paskudne tornado, które nie zostawi kamienia na kamieniu, a ja będę głosować, by dostało na imię Irena.

Wkurzyłam ją. Wiedziałam, że to robię, ale nie miałam pomysłu, jak inaczej dać sobie trochę czasu, którego potrzebowałam. Nie przyjęła tego miękko. Zawsze kojarzyła mi się z rekinem. To dlatego przypisałam do jej numeru w komórce motyw przewodni z filmu Szczęki. Nigdy nie myślałam, że przez dwa tygodnie będę go słyszała kilkanaście razy dziennie. „Będziemy potrzebować większej łodzi – to Irena", powiedziałby Roy z filmu.

Wiem, nieodbieranie telefonu nie jest najdojrzalszym sposobem rozwiązywania spraw. Ale wciąż byłam z siebie troszkę dumna – bo oparłam się dekadom tresury. W przeszłości wiele razy łamałam przykazania matki, ale zwykle za jej plecami, w bezpiecznej odległości. Tym razem wiedziała. I dzwoniła, znów i znów.

A dziś wpadła na oczywiste rozwiązanie. Zamiast motywem ze Szczęk moja komórka rozbrzmiała melodią z Bonda. I nawet nie przyszło mi do głowy, by odrzucić połączenie od Gabrieli – jednoosobowej centrali Zakonu. Gdy dzwoni, odbierasz, chyba że umarłeś godzinę wcześniej. Jeśli akurat wykrwawiasz się na podłodze obs-
kurnego magazynu pod obstrzałem, odbierasz i wyrażasz żal, że nie dasz rady wziąć zlecenia. I przykro ci, że ją zawiodłeś, bo przecież miałeś być niezawodny. Za to ci płacili – za niezawodność, zabijanie ludzi i ochronę tych, których ktoś chciał zabić i nie przyjęli tego z rezygnacją.

Tacy jesteśmy. Zakon Cieni, niegdyś rycerze Watykanu, tajny oddział do walki z nadprzyrodzonym, dziś najemnicy, którzy dawno porzucili całą tę ideologiczną podbudowę. Oficjalnie pracowałam dla Zakonu jakieś jedenaście lat, choć wcześniej byłam kimś w rodzaju niepełnoletniego pracownika na czarno. Formalnie wstąpiłam zaraz po tym, jak mój ojciec porwał mnie i torturował. Czułam się słaba, bezradna i potrzebowałam ściany między sobą a Ernstem, gdyby chciał wrócić i dokończyć dzieła. Potrzebowałam kasy i zaplecza, którym dysponował Zakon.

Oddałam im za to swoje życie. Oddałam im duszę. Nawet nie wiedziałam, że taka była cena. Przez jakiś czas mi to nie przeszkadzało, lecz od niedawna próbuję odzyskać siebie. I to jest moja mała tajemnica. Tu raczej nie doceniają rozterek egzystencjalnych, a z troski o duszę wyrośli dwieście lat temu, kiedy odłączyli się od Kościoła katolickiego.

Nie wychylałam się z wątpliwościami. I zawsze odbierałam telefony od Gabrieli, bogini przydziału. Przynosiłam jej z realnego miasta słodkie łapówki, a gdyby oświadczyła, że potrzebuje nerki, uruchomiłabym wszystkie kontakty, by w dwadzieścia cztery godziny znaleźć jej odpowiednią.

Gabriela miała dostęp do naszych grafików. Jeśli cię lubiła, dostawałeś dobre zlecenia. Jeśli nie – za grosze ganiałeś po kanałach, szukając aligatorów. Owszem, w Warsie żyją aligatory – są zmutowane, upasione czarną magią, szybkie i śmiertelnie niebezpieczne. A za ich eksterminację płaci ci miasto, drobnymi z koperty z napisem „pro publico bono”.

Mnie Gabriela nawet lubiła. Kiedy czasem bez słowa odkładałam teczkę z danymi celu, nie pytała. Dawała zlecenie komuś innemu, a ja nie musiałam zabijać dzieci czy starców. Nie chciałam tracić tych przywilejów, więc odebrałam natychmiast, gdy tylko rozbrzmiała muzyka z Bonda.

Ale tym razem nie usłyszałam przyjaznego głosu starszej pani. Irena może i była po sześćdziesiątce, ale za nazwanie jej starszą panią wyrwałaby mi serce przez odbyt.

– Masz kwadrans, by stawić się w moim biurze i się wytłumaczyć. Albo… – zawiesiła głos – sama wiesz, jakie są procedury. – Zagrała strita. Moje karty zapłakały ze wstydu.

– Wstrzymaj pościg – warknęłam. – Będę.

I byłam. Wściekła, bo kolejny raz wymusiła na mnie coś, na co nie byłam gotowa. Nie chciałam się z nią spotkać, dopóki nie uporządkuję pewnych spraw, nie poznam odpowiedzi, których mi poskąpiła. Dopóki nie przestaną mnie nawiedzać sny o bracie, o którego istnieniu nie miałam pojęcia i którego zabiłam przy pierwszym spotkaniu. Na jej polecenie. Jeśli po czymś takim nie rozumiała mojej niechęci do rodzinnych spotkań i matczyno-córczynych pogawędek, cóż, może miała problemy z przyswajaniem rzeczywistości. Nie musiała czekać, aż miną mi fochy. Bo była nie tylko moją matką – zagrała asem, którego nie ma większość matek.

Była moją szefową. Mogła mi nakazać wziąć dupę w troki i w podskokach zjawić się w jej biurze. Miała prawo uznać, że zeszłam ze ścieżki Zakonu, a znając jego tajemnice, staję się zagrożeniem dla wspólnoty, więc trzeba mnie odstrzelić, jak wściekłe zwierzę.

Odsiedziałam swoje w poczekalni, na krześle tak niewygodnym, że można by na nim odbywać pokutę. I pewnie tak było. Mój tyłek płacił pierwszą ratę za niesubordynację, której się dopuściłam.

Marianna, osobista sekretarka Matki Przełożonej, odruchowo zerkała na żaróweczkę nad drzwiami do gabinetu. Wciąż świeciła się czerwona, więc wracała do stukania w klawiaturę z zawrotną prędkością. Na uszach miała słuchawki i spisywała nagrany na dyktafon raport. Jeśli dziwiło ją, że szefowa wezwała mnie na dywanik, a teraz każe mi czekać prawie godzinę, nie dała tego po sobie poznać. Nie zająknęła się też na temat tego, że kiedy widziałyśmy się ostatnio, wymusiłam na niej uruchomienie procedury alarmowej, zarezerwowanej na sytuacje zagrożenia życia głowy Zakonu. Była profesjonalistką wcześniej, jako zabójczyni, i teraz – jako strażniczka tajemnic i protokołu.

– Możesz wejść – usłyszałam jej głos i otrząsnęłam się z zamyślenia.

Lampka nad drzwiami świeciła na zielono. Wstałam energicznie z trzeszczącego plastikowego krzesła.

– Życz mi szczęścia – zażartowałam z dłonią na klamce.

– Będzie ci potrzebne – powiedziała i rzuciła mi obojętne spojrzenie.

Może właśnie przepisywała raport dotyczący mojej nieoczekiwanej i przypadkowej śmierci, która nastąpi pojutrze.

Matka stała odwrócona tyłem do pomieszczenia, w swobodnej pozie, opierając obie dłonie na biodrach. Nie mogła dobitniej mi pokazać, że jej zdaniem nie gramy w jednej lidze i nie uważa mnie za zagrożenie.

– Siadaj – rozkazała, nie odwracając się w moją stronę.

Usiadłam na miejscu dla interesantów. Prawie parsknęłam śmiechem, widząc, że dostałam „gorące krzesło”. Taka sztuczka z pokojów przesłuchań. Irena miała w gabinecie dwa krzesła: jedno wygodne, głównie dla klientów i tych, którzy znajdowali się w hierarchii Zakonu wyżej niż ona, czyli przyjezdnych. Drugie natomiast, z podpiłowaną nóżką, było przeznaczone dla wszystkich tych, z którymi miała na pieńku – na przykład Cieni i pretendentów do jej stołka. Musieli się cały czas pilnować, by nie kołysać się jak sierotka i przez to nie wypaść słabo. Czasami zdarzało mi się dostawać wygodne krzesło, co oznaczało, że Irena zamierza się kartą rodzinnych zobowiązań. Ale dziś miałam się pocić i kolebać. Oparłam się mocno, a krzesło zaskrzypiało. Wyciągnęłam nogi przed siebie z pozorną nonszalancją. W rzeczywistości zrobiłam to, ponieważ wciąż bolało mnie kolano, które goiło się po przedwczorajszym spotkaniu z japońskim demonem w Sawie. Splotłam ramiona nad głową i czekałam, aż zacznie się przedstawienie. Matka napisała scenariusz tego spotkania, ale zapomniała mi podesłać moją partię. Niewykluczone, że moja rola miała się ograniczać do „tak, Matko”, „oczywiście, Matko”, „jak sobie życzysz, Matko” w odpowiednich momentach, które, po latach zdobywania doświadczenia, powinnam wyłapać bez trudu.

– Nie widzę powodów, dla których miałabyś być z siebie tak zadowolona – powiedziała surowo, wciąż na mnie nie patrząc.

Ósmym zmysłem matki wyczuła kpiący uśmieszek błąkający się po moich ustach.

– Jestem zmęczona – odparłam wymijająco.

– Zakupami? Bawicie się w dom? – Dopiero teraz odwróciła się i zajęła swoje miejsce w królewskim fotelu.

Uniosłam brew. Jeśli wiedziała o mojej porannej wyprawie na zakupy z Robinem, to czy to właśnie jej ludzie regularnie śledzili mnie przez ostatnie dni? I czy specjalnie dała mi tak mało czasu na reakcję?

Mój partner zobaczył w telewizji reklamę Ikei i uznał, że po prostu musi tam pojechać. Nie protestowałam. Dzień wcześniej przyznałam mu, że jestem jego dłużniczką i bardzo mi to nie odpowiada, skoro wciąż czułam skutki awantury, którą skończyła się dla mnie spłata ostatniego długu. Robin zapewnił mnie, że będziemy kwita, jeśli wybiorę się z nim po meble. Tanio. Gdy zadzwoniła centrala, byliśmy przy kasie, ale i tak pobiliśmy rekord ładowania dziesiątków płaskich paczek z meblami do mojego samochodu (po wymontowaniu tylnych siedzeń Brzydal, czyli moja niepiękna, ale niezawodna terenówka, sprawdzał się jako wóz transportowy).

Tyle że to nie była sprawa Matki i nie podobało mi się, że jej ludzie mnie szpiegują.

– Zakupy to chwila relaksu, jestem zmęczona sprzątaniem po Ture, twoim synu – odpowiedziałam.

Zesztywniała.

– Uważaj na słowa! – wycedziła.

Wzruszyłam ramionami. Mogła zaprzeczać, ale obie znałyśmy prawdę.

– Próbowałam się z tobą skontaktować – dodała już spokojniej.

– Byłam w Sawie. Różnie tam z zasięgiem, a japońskie demony skutecznie odwracały moją uwagę od telefonu.

– Miałaś kolejne zlecenie w Sawie?

Wydawała się naprawdę zainteresowana tym faktem. A ja rozumiałam dlaczego. Co jakiś czas pojawiali się klienci życzący sobie działania w tej dzikiej i nieprzyjaznej części miasta po drugiej stronie Wisły. Mało kto był dość głupi, by je brać. Mało kto był dość dobry, by je wziąć i przeżyć. Mało kto był takim kretynem, by wziąć kolejne. Zlecenia w Sawie były doskonale płatne. Moje zlecenie od Madame Butterfly było frajerską robotą bez honorarium.

– Jeśli pytasz o procent do szkatuły Zakonu, nie da się uiścić procentu od zera – przyznałam.

– Polazłaś do Sawy za darmo? Do reszty zgłupiałaś? – Chłodny dystans płynnie przeszedł w niesmak i złość.

– Wiń za to Ture. Zanim odszedł z hukiem, narozrabiał. Musiałam posprzątać i potrzebowałam przysługi od kogoś, kto zażądał zwrotu długu.

– Mogłaś go odesłać do Zakonu.

Teoretycznie miała rację. Jako członek Zakonu mogłam się nań powołać, kiedy negocjowałam dług z Madame Butterfly. Ale im mniej Zakon wiedział o Zeldzie i moich relacjach z Dzielnicą Cudów, tym lepiej. Dotyczyło to także Ireny. Czego nie wiedziała, tego nie mogła wykorzystać przeciwko mnie.

– Miałam mieszać Zakon w naszą prywatną sprawę? Żeby każdy Cień zaczął się zastanawiać, o co chodzi z tym całym Ture? Ryzykować, że ktoś doda dwa do dwóch i rozpęta się piekło? – Teatralnie zawiesiłam głos, by Irena mogła przyswoić tę wizję. – Gdybym nie spłaciła długu, Madame Butterfly sprzedałaby go Syndykatowi. Dobrze dla nas wszystkich, że wystarczyło przynieść jej kilka paciorków z Sawy, prawda? Nikt nie musiał zajmować się kwestią twojej liczniejszej, niż zwykło się przyjmować, progenitury.

Zacisnęła usta w bladą linię. W takich ulotnych chwilach wyglądała na swój wiek. Zwykle – na czterdziestkę. O wiele zbyt młodo, by mieć trzydziestodwuletnią córkę. Była drobniejsza niż ja. Szczupła wszędzie tam, gdzie u mnie pod skórą rysowały się mięśnie. Włosy sięgające ramion miała jaśniejsze niż moje, czekoladowe, a oczy jasne, zielone, jak Ture. Moje były prawie czarne. Po Irenie nie było widać azjatyckiego dziedzictwa jej ojca czy wyrazistych rysów matki – Litwinki albo Ukrainki, nigdy nie zdołałam z niej tego wyciągnąć. Geny przeskoczyły jedno pokolenie. Miałam ciemniejszą karnację i lekko skośne oczy, tak że zwykle wyglądałam, jakbym nie spała kilka nocy. Nikt na pierwszy rzut oka nie poznałby, że jestem jej córką. Ture to zupełnie inna historia. Wprawdzie jasnorude włosy odziedziczył po ojcu, ale oczywiste było, po kim miał te kości policzkowe, oczy i wąski, zgrabny nos.

Nie, nie zauważyłam tego wszystkiego podczas naszego jedynego spotkania. Adrenalina huczała mi w żyłach i patrzyłam raczej na jego spluwę wymierzoną w skroń matki niż na jego oczy i nos. Ale potem trafiłam do jego pokoju hotelowego. I znalazłam dowód osobisty. Miałam go przy sobie, w wewnętrznej kieszeni kurtki. Co by powiedziała Irena, gdybym jej pokazała ten dokument, to zdjęcie, naszą wspólną, moją i mojego brata bliźniaka, datę urodzenia?

Nic. Taka była. Wszystko, co powiesz, może być wykorzystane przeciwko tobie – obowiązuje w sądzie i życiu rodzinnym.

– Jak ci się układa z nowym partnerem? – Zmieniła gładko temat.

Może moje wyjaśnienia ją zadowoliły. A może zastawiała kolejną pułapkę.

– Żyje. – Uśmiechnęłam się lekko.

– Tyle wiem.

Przez jej twarz przemknął cień niezadowolenia.

– Tak jak sobie życzyłaś, postanowiłam nie zabijać kolejnej owieczki, którą mi przysłałaś.

– Ile wie?

– Tyle, ile musi.

Skinęła głową. Nie sprostowałam, że nasze definicje „tyle, ile musi" znacznie się w tym wypadku różnią i Robin wie rzeczy, za które by go zabiła.

– A czy ja wiem tyle, ile muszę? – zapytałam, patrząc jej w oczy.

– Co masz na myśli? – Och, urażona niewinność!

– Mówię o jego aktach. Są sfałszowane. Nie uważasz, że powinnam wiedzieć, kogo wpuszczam do domu i kto chroni mi plecy?

– Wiesz, ile musisz. Czy Gabriela dała ci nowe zlecenie? – rzekła ponownie tonem szefowej.

– Poprosiłam ją o kilka tygodni wolnego – przyznałam.

Znów to czujne spojrzenie. Poczułam, że włoski stają mi dęba. Moja intuicja jak zawsze reagowała na minimalne zmiany jej nastroju.

– Czemuż to? – zapytała.

– Stary klient poprosił o małą przysługę. Nic wielkiego, ale wiąże się z wyjazdem do Oslo.

Przez chwilę przeszukiwała pamięć.

– Lars Amundsen? – rzuciła nazwisko klienta, z którym współpracowałam osiem lat wcześniej.

Przytaknęłam. Tę ścieżkę historii miałam już dograną i Lars potwierdzi wszystko, co powiem, gdyby zapragnęła mnie sprawdzić. Wciąż nie wiedziałam, czy to przypadek, czy ingerencja losu i bogów, że akurat teraz, po latach milczenia, zadzwonił do mnie, by powiedzieć, że naprawdę zależy mu na spotkaniu – w Norwegii, dokąd się wybierałam po tym, jak Ture zostawił mi notatkę z adresem i wskazówką, że tam właśnie dostanę swoje odpowiedzi. Potrzebowałam przykrywki i telefon Larsa spadł mi z nieba. Ustaliliśmy spójną wersję, więc nawet gdyby zadzwoniła do niego, by mnie skontrolować, powiedziałby, co trzeba.

– Miał trochę problemów z ochroną. Chce, żebym mu pomogła zwerbować nowych ludzi, wzmocnić system alarmowy, protokoły bezpieczeństwa w domu i w firmie. Nic poważnego, ale ma problem z zaufaniem, a ja zrobiłam na nim dobre wrażenie. – Wzruszyłam ramionami. – Nie chce tego załatwiać oficjalnie, przez Zakon, bo musiałby uderzać do norweskiego oddziału, a nikogo tam nie zna.

Kupiła moją historię. I przez ułamek sekundy widziałam, że ucieszyła się, że zniknę z okolicy. Chętnie dowiedziałabym się dlaczego, ale pytać ją o motywy to jak rozwiązywać równania różniczkowe w przedszkolu.

– Nudna robota jak na ciebie – stwierdziła.

– Myślę, by powoli brać takich więcej. Ile można strzelać do ludzi? To nie tak, że planuję tu awansować i stać się graczem przykuwającym dość uwagi, by ktoś zaczął szperać. Może za jakiś czas pójdę na swoje. Nie robię się młodsza.

Nie skomentowała. Dla niej Zakon był wszystkim.

Nacisnęła guzik na interkomie. Po kilku sekundach drzwi się uchyliły i do gabinetu weszła Marianna, niosąc tacę z dzbanuszkiem z białej porcelany, dwiema filiżankami, mlecznikiem i słoiczkiem miodu. Postawiła ją przede mną i wyprostowała się, czekając na rozkazy Ireny. Ledwie widoczne drgnięcie głowy dało jej sygnał do wyjścia.

Irena bez słowa skinęła, bym zajęła się herbatą. Westchnęłam w duchu, ale wstałam i nalałam do filiżanek mocnego jak smoła czaju, zostawiając miejsce na mleko, które rozjaśniło płyn do karmelowego odcienia. Sięgnęłam po miód i dodałam odrobinę do mojej filiżanki. Z łyżeczką w dłoni zapytałam Irenę, ile słodzi. Nie byłyśmy na tyle blisko, bym wiedziała takie rzeczy.

– Bez słodyczy. – Skrzywiła się i poklepała po płaskim brzuchu.

Nigdy nie ważyła powyżej pięćdziesięciu kilogramów, ale odkąd pamiętam, pilnowała dyscypliny niczym primabalerina. Dołożyłam jeszcze łyżeczkę miodu do swojej filiżanki i zamieszałam. Jeśli coś może osłodzić mi chwile z moją matką, to poproszę.

– Kiedy wyjeżdżasz? – zapytała.

– Jak tylko ogarniemy dokumenty dla Robina.

– Zabierasz go ze sobą? – Wydawała się szczerze zaskoczona.

Upiłam duży łyk, a ciepło i słodycz spłynęły mi po ściankach gardła, pozostawiając po sobie lekkie drapanie. Odchrząknęłam.

– Czy nie po to ma się partnera? – zapytałam.

– Nie zauważyłam, byś dotychczasowych traktowała inaczej niż chłopców do bicia. – Posłała mi kwaśny uśmiech.

– Z Johannem dogadywałam się znakomicie. Nie moja wina, że zginął. Trzeba było nie wysyłać nas do walki z aniołami i diabłami.

Przypomniałam jej o moim wieloletnim partnerze, zmiennokształtnym. To jego śmierć, w trakcie zlecenia, którego nigdy nie powinnam brać, zapoczątkowała moje problemy na łonie Zakonu i naciski, bym przyjęła kolejnego partnera. Jeśli chodzi o okoliczności śmierci wilka, wszyscy wiedzieli tyle, ile musiałam im powiedzieć, ale nie to, że zabiła go moja przyjaciółka, a ja pozwoliłam jej ujść z życiem. W oficjalnym raporcie zwaliłam winę na anioły. Z nimi Zakon nie chciał wszczynać awantury, nie domagał się więc wyjaśnień.

– Partacze, których przysyłałaś mi w miejsce Johanna, dostali tylko to, na co zasłużyli – dodałam. – A właśnie, czy to twoje niańki błąkają się za mną po Warsie i Sawie?

– Dlaczego miałabym wysyłać za tobą niańki? – Pytaniem na pytanie, klasyka.

– Nie wiem, ale wolę się upewnić, że to nie ty będziesz płakać za tymi, których zepsułam.

– Jeśli dali się uszkodzić, nie byli zbyt dobrzy, prawda? – Wypiła herbatę do dna i odstawiła filiżankę na tacę.

– Nie byli najlepsi – stwierdziłam, odstawiając swoją, do połowy pełną.

Coś było nie tak. Nie wiedziałam co, ale czułam, że powinnam stąd wyjść, natychmiast.

– Czy to wszystko? Mam coś do załatwienia.

– Odbieraj telefony, kiedy do ciebie dzwonię – przypomniała surowo.

Miałam ochotę odpowiedzieć: „Tak, mamo”. Zakryłam usta dłonią, bo prawie wymsknął mi się cichutki śmiech. Wstałam i pokręciłam głową. W gardle wciąż czułam delikatne drapanie. Zerknęłam na filiżankę. Nie zrobiłaby tego…

– Do widzenia, Matko Przełożona – powiedziałam i ruszyłam w stronę drzwi.

Wolniej, niż chciałam. Mijając biurko Marianny, wymacałam w kieszeni komórkę. Wybrałam trójkę z szybkiego wybierania.

– Parking za Zakonem – powiedziałam i schowałam telefon. W tym stanie spacer przez cały gmach byłby samobójstwem. Irena nie była jedynym rekinem, który wyczułby krew w wodzie.

Na korytarzu, przed gabinetem Matki Przełożonej, Jurij swobodnie opierał się o ścianę. Uśmiechnął się na mój widok. Może i miał puste ręce, zaplecione na piersi, ale ponad ramieniem wystawała mu lufa snajperskiego karabinku, a przy pasie miał kaburę z komandoskim nożem długości mojego przedramienia. Czy byłam zaskoczona? Nie. Przecież wiedziałam, że w Zakonie nie ma miejsca na sentymenty. Owszem, pracowaliśmy razem kilka razy i chyba nawet łączyły nas całkiem przyjazne relacje, ale robota to robota. Jeśli coś mnie zaskoczyło, to że Irena wzięła człowieka z zewnątrz, bo Jurij oficjalnie pożegnał się z pracą w Zakonie już kilka lat temu. Wkrótce po tym, jak zmarł Johann. On też został wplątany przez Zakon w aferę z pierzastymi i z trudem przeżył. Złożył wymówienie. Gdyby tego nie zrobił, pewnie zaproponowałabym mu partnerstwo, bo nie wzdrygałam się z obrzydzenia na myśl, że miałabym z nim pracować. Cóż, był dobry, ale miał dość rozkazów.

Przełknęłam ślinę. Czułam, że zaczynają mi drętwieć palce, język mrowił ciepłem. Zwykle w starciu z Jurijem stawiałabym na siebie, ale teraz okoliczności były mocno nietypowe. Nie wiedziałam, ile mi zostało ani czy mój metabolizm pomoże, czy przeciwnie, skróci czas, zanim to, co Matka mi podała, zacznie działać. Powinnam wsadzić sobie palec w gardło, ale nie tu. Nie mogłam okazać słabości. Próbowałam wyminąć Jurija, ale złapał mnie za ramię. Szarpnęłam i moja ręka sama powędrowała w stronę kabury.

– Co jest, kurwa? – warknął cicho.

I zobaczyłam w jego spojrzeniu urazę. A więc nie przyszedł tu, by mnie zabić.

– Wychodzimy – powiedziałam i nawet w moich uszach brzmiało to niewyraźne. Nie musiałam powtarzać. Dodał dwa do dwóch sprawniej, niż ja mogłabym w tym stanie.

Biegliśmy korytarzem, a potem szeroką klatką schodową i znów korytarzem, w stronę tylnego wyjścia. Prawie spadłam ze schodów, ziemia uciekła mi spod stóp. Jurij mocniej zacisnął palce na moim ramieniu i przywrócił do pionu.

Ludzie oglądali się za nami, ale nikt się nie wtrącał. Jeszcze.

Adrenalina huczała mi w uszach, a pod skórą budził się berserk. Przez ostatni tydzień był spokojny i nie sprawiał kłopotów. Nowy wszczep chyba dawał radę, bo nawet raz nie wylądowałam w komorze deprywacyjnej. Jakby uspokoił się po przywołaniu go przeze mnie z własnej woli. Zmieniłam się, by uratować siebie i Robina z rąk porywaczy. Pozwoliłam

berserkowi przybyć z odsieczą, a gdy ponownie potrzebowałam złapać za ster i wrócić do ludzkiej formy, wycofał się. Teraz znów był w pogotowiu, jakby wyczuwał, że mamy problemy.

Przeklęłam. Może lepiej zwymiotować na posadzkę Zakonu, niż stracić kontrolę nad przemianą? To byłby prezent, którym Matka z pewnością by nie pogardziła. Skończyłabym w klatce w badawczym skrzydle twierdzy, nakłuwaliby mnie i kroili, aż wiedzieliby dokładnie, kim jestem i co potrafię. A potem wysłaliby mnie na robotę, i zaraz na kolejną. Wybieraliby takie, których nie przeżyłby człowiek. No ale przecież nie jestem człowiekiem. Irena byłaby szczęśliwa – wreszcie spełniłabym jej oczekiwania. Przyłożyłabym cegiełkę do jej kariery, zaczęła spłacać dług, jaki u niej zaciągnęłam. Tytuł Matki Przełożonej polskiego oddziału Zakonu nie zaspokajał jej ambicji.

Jurij pchnął drzwi. Wiatr uderzył mnie w twarz, chłodząc rozpaloną skórę. Gorączka. Nic dobrego.

Usłyszałam pisk opon i kątem oka dostrzegłam mojego ciężkiego, opancerzonego dżipa z Robinem za kółkiem. Robinem, którego nie dało się określić kierowcą stulecia nawet wtedy, kiedy samochód nie był obciążony meblami. Pobiegłam w tamtym kierunku. A przynajmniej próbowałam. Nogi nie całkiem mnie słuchały. Powietrze wokół zamieniało się w smołę.

Pierwsza kula przeleciała kawałek ode mnie. Nie usłyszałam wystrzału – pewnie używali tłumików – ale powietrze przy moim ramieniu poruszyło się gwałtownie. Mieliśmy towarzystwo. Jurij zaklął. Przykucnął i pociągnął mnie w dół. Samochód jakiegoś pechowca robił za tymczasową osłonę. Kule rykoszetowały o maskę. Jurij nie zamierzał czekać, aż tamtym skończy się amunicja.

W ułamku sekundy miał w dłoniach snajperkę. Rozległo się suche kliknięcie zamka i wystrzał, tym razem głośny. Zadzwoniło mi w uszach. Wyciągnęłam Inkwizycję i oddałam w stronę napastników kilka cholernie niecelnych strzałów. Nie poczuli się zagrożeni nawet na tyle, by schować się za samochodem. Moja celność poszła się jebać, razem z szybkością i koordynacją ruchową.

Jurija zła czarownica nie poczęstowała herbatką, więc nie miał takich problemów i jeden z napastników padł błyskawicznie, a jego brzuch eksplodował w kontakcie z mocno grzybkującym pociskiem.

Robin był już na miejscu. Nachylił się i otworzył drzwi, bym mogła wsiąść.

– Jurij, uciekaj! – wrzasnęłam, bo wiedziałam, że nie zmieścimy się w samochodzie obydwoje. Nie z cholernymi paczkami z Ikei zajmującymi cały tył.

Skinął szybko i nie przerywając ostrzału, schował się za moim Brzydalem. Drugi zamachowiec osunął się na asfalt. Jurij oderwał się od naszej maski i sprintem ruszył do swojego wozu, opancerzonego monstra zaparkowanego kilkanaście metrów dalej.

Gdy wsiadałam do samochodu, po plecach rozlało mi się gorąco. Skuliłam się na fotelu i wyjrzałam ostrożnie zza osłony, jaką dawały mi drzwi i belka nośna nadwozia. W oknie na pierwszym piętrze twierdzy zobaczyłam snajpera. Rozpoznałam jednego z Cieni.

Zatrzasnęłam drzwi, a Robin ruszył z piskiem opon.

– Jak źle? – wrzasnął.

Ogień przegryzał się przez moją skórę, by dołączyć do płomieni buchających mi w żołądku. Ledwie mogłam się ruszać. Resztkę przytomności zużyłam na wsadzenie sobie palca w gardło i wymuszenie torsji. Prędzej przeżyję postrzał niż herbatkę u Królowej Kier.

Odpływałam, jak spod wody słysząc krzyki Robina i piski opon na asfalcie, wciąż mokrym po porannym deszczu.

– Nie pomogę ci z meblami – wyszeptałam. Najgłupsze ostatnie słowa w historii.

Odpowiedział mi barwną wiązanką przekleństw, które zdecydowanie nie nadawały się na ostatnie namaszczenie.

Jego głos jeszcze przez chwilę wypełniał ciemność. Poczułam smród wymiocin. A potem nie było już nic.

Rozdział 2

Nos ocknął się szybciej niż oczy. Zapach środków dezynfekcyjnych i krwi był obezwładniający. Powoli odzyskiwałam świadomość. Zbyt powoli. Poruszyłam się, a plecy eksplodowały mi bólem. Wymamrotałam przekleństwo i wyczułam ruch po lewej stronie. Sięgnęłam do kabury, ale nie było jej na miejscu. Przeklęłam raz jeszcze i potrząsnęłam głową, próbując odzyskać jasność myśli i widzenie. Czułam się tak, jakby coś cholernie silnego kopnęło mnie w głowę i polało wrzątkiem resztę ciała.

– Uspokój się – usłyszałam znajomy głos. Robin.

Nie był zagrożeniem, prawda? Panika nie odpłynęła. Nie całkiem.

– Gdzie jestem? – wychrypiałam.

Gardło piekło, jakbym wypiła litr wybielacza.

– Szpital Wiekuistej Łaski – powiedział mój partner. Spróbowałam się podnieść, ale mnie przytrzymał. – Zaraz będzie lekarz…

– Żadnych lekarzy, żadnych badań! – warknęłam.

Jeśli dokładnie sprawdzą moją krew, mogą znaleźć ślad mutacji. Wiem, bo dyskretnie i poza Warsem sama ją sprawdziłam. Muszę z całego serca unikać szpitali. Zwłaszcza tego.

Puścił mnie, a ja usiadłam tylko po to, by się zgiąć wpół.

– Daj mi wiadro – poprosiłam.

Gdy to zrobił – a trzeba przyznać, że nawet nie zapytał „po co” – jeszcze raz wsadziłam sobie palec do gardła. Nienawidziłam wymiotów, ale gorsza była świadomość, że w moim organizmie wciąż panoszyła się trucizna. Kiedy mogłam zwrócić już tylko soki żołądkowe, wyprostowałam się. Poczułam się nie tyle lepiej, co mniej otumaniona.

Mieliśmy mało czasu. Rozpoznałam izbę przyjęć. Wysoki parter, dobrze. Od innych łóżek oddzielały nas parawany podwieszone do szyn zamontowanych pod sufitem, ale panująca wokół cisza sugerowała, że albo na oddziale ratunkowym trafiło się bardzo spokojne popołudnie, albo, co bardziej prawdopodobne, kiedy Robin mnie przyniósł, pracownicy oddziału zaciągnęli parawany, po cichu wyprowadzili resztę pacjentów i zadzwonili

do Zakonu. Cień, który do mnie strzelał na parkingu, wiedział, że jestem ranna. Na jego miejscu powiadomiłabym szpitale i lecznice weterynaryjne, że interesuje mnie laska z pociskiem w plecach. Pewnie właśnie dlatego strzelał w plecy – bym nie zdołała sama wyjąć kuli. Która, co poczułam, gdy tylko odzyskałam jasność umysłu, była zaklęta.

– Kula w plecach, musisz ją natychmiast wyjąć – powiedziałam cicho.

Robin się zawahał.

– Słuchaj, ktoś z tego szpitala na pewno zadzwonił już do Zakonu, który ufundował ten przybytek w latach ścisłej współpracy z Kościołem. Wciąż pompuje tu dość kasy, by nie zadawano pytań, za to odpowiadano na te, które zadają jego przedstawiciele. Za chwilę tu będą. Musimy spierdalać. A nie zdołam tego zrobić z zaklętą kulą w plecach i cholera wie z czym w żyłach.

– Nie wiem, czy kiedykolwiek to robiłem – powiedział, wciąż niepewnie.

– To zrób to byle jak, najwyżej zostanie blizna. – Skrzywiłam się w uśmiechu, bo choć starałam się ich unikać, moje ciało było księgą pisaną bliznami. – W torbie jest zestaw pierwszej pomocy, pośpiesz się.

Zaczęłam ściągać kurtkę, sycząc z bólu. Wygięcie ręki do tyłu spowodowało wybuch supernowej pod powiekami. Zdarzyło mi się oberwać kulkę więcej niż raz. Bolało. Ale to była moja druga zaklęta kula. I bogowie na świadków, że to cholerstwo boli bez porównania bardziej. Kula trafiła w okolice lewej łopatki, ból rozlewał się na całą lewą połowę ciała, więc nie potrafiłam wskazać tego precyzyjniej.

Bokserka i stanik sportowy nie powinny przeszkadzać, a skoro mamy stąd zwiewać, nie zamierzałam zdejmować z siebie więcej, niż musiałam.

– Broń? – zapytałam, bo kabury nie zauważyłam na posłaniu ani na szafce obok.

– W torbie. Mojej, razem z kuszą. Wnosiłem cię na oddział ratunkowy, nie chciałem, by wezwali antyterrorystów – wyjaśnił.

Nie żebyśmy nawet bez broni na wierzchu nie wyglądali na zakapiorów. Usiadłam na krawędzi łóżka i zgarbiłam się, napinając barki, by Robin miał dobry dostęp do rany. Miejmy to już za sobą, pomyślałam. Wiele razy wyciągałam z siebie kule, zszywałam rany, ale zawsze denerwowałam się bardziej, kiedy to ktoś operował narzędziami przy moim ciele. Dotyczyło to nawet dentysty. Chodziłam, kiedy musiałam, odkładając wizyty nie z obawy przed bólem, ale dlatego, że nie przychodziło mi łatwo zaufanie

komukolwiek z ostrymi narzędziami i strzykawką trzymanymi tuż przy mojej twarzy.

Mój partner wyciągnął metalowe pudełko z przyrządami chirurgicznymi i bez wahania sięgnął dokładnie po te kleszcze, których sama użyłabym do wyciągnięcia kuli, gdybym była w stanie to zrobić. Coś mi się wydaje, że to nie było jego pierwsze rodeo. Zalety kumpla, który wprawdzie ma amnezję, ale nie dotyczy ona pamięci ruchowej. Mógł nie wiedzieć, jak się nazywa, ale strzelał i walczył po mistrzowsku. I całkiem sprawnie wyciągał kule.

Pocisk nie wszedł głęboko. Robin wymacał go, ledwie zagłębił w ciele wygięte końce kleszczy. To wada zaklętych kul – muszą być wolniejsze, bo jeśli przebiją cel, zaklęcie nie zostanie zakotwiczone. Nie mogą być wykonane z miedzi, bo tej nie trzymały się zaklęcia, więc kule grzybkujące i miękkie odpadały. Na moje szczęście ta była z ołowiu i choć zdeformowana, nie rozpadła się. Najbardziej popularne w przypadku zaklętych kul były śrutówki. Gdybym oberwała czymś takim, musiałabym wyciągać z siebie kilkadziesiąt zaklętych ołowianych kuleczek, jednak ze względu na dzielący nas dystans strzelec zapewne uznał, że rewolwer będzie pewniejszy. Chwalmy małe szczęścia. Rana wejściowa nie była duża, a przy wyciąganiu kuli nie poszarpało mi połowy pleców.

– W torbie jest słoiczek, zapakuj ją – powiedziałam i zsunęłam się z leżanki.

Nogi ugięły się pode mną, więc sprawną ręką przytrzymałam się krawędzi. Na szczęście kilka sekund później było już lepiej. Dała o sobie znać moja druga natura i wiedziałam, że stanę na nogi szybciej niż kiedykolwiek. Nie zawracałam sobie głowy opatrunkiem, choć rana wciąż krwawiła. Nie mieliśmy czasu. Nadchodzili. Słyszałam odległe wciąż echo wojskowych butów na linoleum. Zgarnęłam kurtkę, a Robin zapakował sprzęt i słoik z kulką do torby i przerzucił ją sobie przez ramię.

Odsunęłam parawan oddzielający nasze stanowisko od sąsiedniego. Wolałam nie wychodzić na otwartą przestrzeń izby przyjęć, gdzie bylibyśmy widoczni z daleka. Wykrochmalone pasy płótna osłaniały nas przed okiem pościgu. Byle do przeciwległego rogu pomieszczenia, gdzie, jak pamiętałam z innej wizyty w szpitalu, było okno. Wtedy to ja byłam pościgiem. Fortuna kołem się toczy.

Kolejne trzy stanowiska i łóżka okazywały się puste, a jednak parawany pozostawały pozasuwane. Widać personel uznał, że członkowie Zakonu wolą mieć zapewnioną intymność.

Kroki stały się głośniejsze, słyszałam szum rozmów, ciche buczenie komunikatorów, chrzęst broni. Wysłali za mną oddział. Czy powinnam być wzruszona tym, jak wysoko ceniono moje możliwości? A może chodziło o Robina, skoro po mnie się spodziewali, że już jestem warzywem. Pewnie bym była, gdyby nie torsje, krew i metabolizm berserka, o usłużnym partnerze nie wspominając.

Cicho przemykaliśmy pod osłoną parawanów, prosto do okna.

Po mojej ostatniej wizycie – zapewne po przeczytaniu mojego raportu – założyli kraty. Zbieg próbował nam zwiać właśnie tędy. Cholera by to wzięła!

– Masz te swoje nitki? – zapytałam. Oddział był już blisko.

Bez słowa oplątał wokół kłódki na kracie czerwoną nitkę z zaklęciem. Wystarczyło, że napełnił węzełek odrobiną mocy, a stalowy trzpień rozsypał się w proch, jeszcze bardziej widowiskowo niż wtedy, kiedy tym samym zaklęciem uwolnił ze skrzyni Zeldę.

Wiatr zakołysał zasłonami. Cholera raz jeszcze. Usiadłam na parapecie i szybko przełożyłam nogi na drugą stronę. Skoczyłam na beton, jakieś dwa metry niżej, lewą rękę odruchowo przyciskając do boku. Robin był tuż za mną. Ruszyliśmy pędem, gdy tylko nasze stopy dotknęły ziemi. Żegnała nas kanonada i wściekły wrzask Cienia, który dotarł na miejsce odrobinę za późno. Tym razem.

– Gdzie teraz? – zapytał Robin, odpalając silnik.

– Do Karmy. Muszę się upewnić, że nie noszę w sobie bomby z opóźnionym zapłonem – odparłam, a gdy spojrzał zaskoczony, wyjaśniłam: – Nie gonili nas specjalnie. Zakładają, że i tak nas znajdą.

Docisnął mocniej pedał gazu. Ilia będzie zachwycony, jeśli zaraz po nas zjawi się kawaleria. Zabije ich wszystkich, w to nie wątpiłam, ale potem każe mi się wytłumaczyć i niewykluczone, że dostanę pałę z zachowania i nie przejdę do następnej klasy.

Palcami sztywnymi od zaschniętej krwi i lepkimi od świeżej, spływającej strużką pod rękawem kurtki, którą wciągnęłam, by nie zwracać na nas uwagi przechodniów, wygrzebałam z kieszeni telefon i wybrałam numer matki. Odebrała po pierwszym sygnale. No proszę.

– Jesteś pewna, że chcesz wojny? – zapytałam, nie bawiąc się we wstępy.

– O czym ty mówisz? – zapytało lodowate wcielenie władzy.

– O zaklęciu w herbacie, którym mnie strułaś, i o Cieniach, którzy do mnie strzelają zaklętymi kulami… To tak na początek. Albo ogarniesz ten

burdel, albo kolejne z twoich dzieci przyłoży ci spluwę do skroni. I tym razem zabraknie córki, która uratuje ci dupę – powiedziałam cicho, choć gotowało się we mnie od żalu, wściekłości i dziecięcego poczucia zdrady.

Przez chwilę słyszałam tylko gęstą ciszę. A potem się rozłączyła.

I może się łudziłam, ale to nie było jednoznaczne przyznanie się do winy. Była zaskoczona. Tylko nie postawiłabym złotówki na to, który element mojej wypowiedzi ją zaskoczył: to, że sądzę, że próbowała mnie zabić, to, że nie wyszło, czy to, że biorę pod uwagę zabicie jej.

*

W innych okolicznościach pojechałabym do siebie. Wlazłabym do wanny, by przyspieszyć gojenie. Zjadłabym kilka tysięcy kalorii ekstra, niewykluczone, że pod postacią lodów i czekolady, by przy okazji uleczyć moje złamane przez matkę serce. Przespałabym kilka godzin i byłabym jak nowa. Tyle że jeśli miałam w sobie magiczny odpowiednik pluskwy, chciałam o tym wiedzieć, zanim pojadę do Norwegii, odwiedzę Aleksa, Kosmę czy Dzielnicę Cudów. Nie zamierzałam podawać ścigającym mnie Cieniom moich słabych punktów na srebrnej tacy.

Karma miała pod swoim domem doskonały schron, izolujący wszystko, z magią, sygnałami satelitarnym czy radiowym włącznie. Ilia nie będzie zachwycony, ale też nie żyłam po to, by wprowadzać w jego egzystencję piękno i zachwyt. Interesy moje i Karmy pozostawały zbieżne w wystarczająco dużym stopniu, by moja śmierć dotkliwie ją zabolała. Ilia mógł być doskonałym strażnikiem, ale to ja byłam buforem między Karmą i Zakonem.

Robin zaparkował od razu przy bocznym wejściu. Gdy zeszliśmy rampą załadunkową do obitych stalą drzwi, odsłoniłam panel domofonu i wybrałam kod: sto trzynaście, alarmowy. Światełko zamigotało na pomarańczowo, po czym zmieniło barwę na zieloną. Zamki odskoczyły, weszliśmy, a drzwi za nami natychmiast się zatrzasnęły. Rozległ się zgrzyt zasuwy, a po nim kliknięcie zamków elektronicznych. Wąski korytarz wyposażony był w liczne czujniki i te, kiedy tylko znalazłam się w ich zasięgu, natychmiast rozmigotały się czerwienią. Zrobiłam krok do przodu, a czujniki omiotły Robina. Wiosenna zieleń. Zero zaskoczenia.

Staliśmy w wąskim korytarzu przez kolejne dwie minuty, dopóki Ilia nie zwolnił zamków do kolejnych drzwi. Myślę, że gdyby się dało,

zamontowałby tu śluzy, jak na statku kosmicznym. Zrobiłby to tylko dlatego, że uwielbiał filmy science fiction.

Stał za progiem, wyraźnie wkurzony. Wyglądał jak jeden z tych wysokich, szczupłych chłopaków, którzy ledwie przekroczyli pełnoletniość i których organizmy wciąż koncentrują się na rośnięciu wzwyż, tak że nie starcza im energii, by nabrać masy. Jego rysy twarzy były bardziej chłopięce niż męskie, ale jedno spojrzenie w jego oczy sprawiało, że nabierało się wątpliwości, czy przez ostatnie pięćdziesiąt lat był młodym chłopakiem. Nie miałam pojęcia, kim dokładnie jest. Opiekował się Karmą, a ich relacja była więcej niż popieprzona. Czułam, że dysponuje starą i potężną magią, widziałam też, że jego ciało jest znacznie silniejsze, niż może się wydawać. Zastanawiałam się, czy nie jest zmiennokształtnym, ale jego aura była mniej gwałtowna, rozżarzona, raczej chłodna. Co niepokoiło jeszcze bardziej.

– Co ci mówiłem o kłopotach? – warknął.

Doskonale pamiętałam, co powiedział: mam je zostawiać po drugiej stronie progu. Mam nie wracać tak długo, jak długo mogę ściągnąć na Karmę problemy.

– Potrzebuję skanera – powiedziałam ponuro.

– A ja oswojonego i całkiem nieszkodliwego smoka – odparł i po tonie poznałam, że jego złość, przynajmniej częściowo, nie jest wynikiem mojej wizyty. Tylko jedna osoba potrafiła doprowadzić go do takiego stanu. A ja wpadłam w samą porę, by miał się na kim wyładować. Bo na nią nie podniósłby głosu czy ręki.

– Moje potrzeby łatwiej zaspokoić. Ale jeśli taka jest twoja cena, poszukam ci smoczego jajka.

– Nawet się, kurwa, nie waż. I nie waż się jej powiedzieć, że mogłabyś to zrobić, zrozumiałaś? – Zrobił krok w moją stronę i światło w korytarzu zamigotało.

Wyprostowałam się i całą siłą woli powstrzymałam się przed sięgnięciem do wsuniętej za pasek Inkwizycji.

Karma marzyła o smoku. Na razie hodowała wielką jaszczurkę o imieniu Draco, ale to tylko substytut smoka, którego pragnęła mieć. Nie pomagały wyjaśnienia, że nie ma miłych i oswojonych smoków. Te piekielne były złośliwymi i krwiożerczymi bestiami przez pierwsze pięćset lat swojego życia, potem, choć wciąż złośliwe, nie miały już zębów, by gryźć. Najlepszą reputację miały japońskie, ale wciąż były to olbrzymie gady

o złożonej osobowości. Cały pomysł był niedorzeczny i miałam nadzieję, że Karma nigdy nie znajdzie sposobu, by go zrealizować. Ja nie zamierzałam pomagać jej w samobójstwie i, przy okazji, zniszczeniu Warsu.

– Jakiego smoka? Nic nie wiem o smokach – powiedziałam spokojnie. Cofnął się i żarówka znów zaświeciła nieco jaśniej. – Ilia, możemy już przejść do komory? Nie wiem, co wywołuje to pieprzone zaklęcie.

Bez słowa podszedł do drzwi na końcu korytarza i popchnął je, po czym przepuścił nas przodem.

Komora była dość ciasna – ledwie starczało miejsca dla całego wciśniętego tu sprzętu i trzech osób. Jej ściany połyskiwały ciepłym odcieniem miedzianych paneli, którymi wyłożono cały pokój, z podłogą i sufitem włącznie. Doskonała izolacja, nie zdołałaby się stąd wydostać nawet najsilniejsza magia.

Pośrodku pomieszczenia stało coś, co do złudzenia przypominało skanery medyczne ze Star Treka – wąska metalowa platforma na metrowej wysokości cokole, w połowie długości otoczona metalowym okręgiem o prawie metrowej średnicy. Na jej krawędzi wiły się magiczne symbole i wzory, a całość mieniła się barwami zimnego srebra, złota, ołowiu, miedzi i innych metali, których nie umiałabym rozpoznać bez szczegółowej analizy chemicznej.

– Pełen obraz? – zapytał Ilia, wyraźnie zaciekawiony.

Zerknęłam na niego chłodno.

– Ostatnia godzina. Za dużo wiedzy mogłoby cię zabić.

– Zawsze warto zapytać. – Wzruszył ramionami.

O tak, nie wątpiłam, że był równie ciekawy mojego pochodzenia co ja jego. Wiedziałam, że są miejsca, w których ludzie dzielą się swobodnie informacjami o swojej magii. Ale nie w Warsie. Może dlatego, że często lądowali tu ci, którzy naprawdę mieli coś do ukrycia.

Zdjęłam buty i kurtkę i odłożyłam je na podłogę razem z bronią, paskiem, nożami oraz zegarkiem – wszystkim, co mogło zakłócać pracę skanera.

W całym swoim życiu pełnemu skanowi poddałam się raz, na szkoleniu w Trójprzymierzu, prawie trzynaście lat temu. Pełen skan był czasochłonny, a sama procedura na tyle wymagająca, że usypiano obiekt na czas badania. Wciąż pamiętam tamtą niepewność, kiedy kładłam się na platformie

w czarnym kimonie, które z jakichś powodów uznałam za odpowiedni strój na tę okazję.

Potwornie bałam się wyniku. Tego, że ktoś się dowie, kto jest moim ojcem, lub co gorsza, że będę miała na papierze dowody na to, że jestem wybrakowana, uszkodzona, a moja matka nigdy nie będzie ze mnie zadowolona. Ona też chciała wiedzieć, czy spełnię wreszcie jej oczekiwania. Ile można czekać? Przecież byłam już niemal pełnoletnia!

Dlatego oddała mnie na szkolenie. Zaryzykowała, bo stawałam się częścią systemu, a dotychczas pozostawałyśmy poniżej radaru. Ale była niecierpliwa i zniechęcona. Przez lata czekała, aż uaktywni się moja potężna magia, dzięki której pomogę jej zadać ostateczny cios Ernstowi. Nic z tego. Czekała więc do okresu dojrzewania, bo w wielu przypadkach to wtedy budziła się w dzieciakach magia. Lecz nic nie nastąpiło. A przynajmniej nic wystarczająco spektakularnego. Straciła cierpliwość. Potrzebowała mojego skanu, żeby czarno na białym zobaczyć, czy warto we mnie inwestować czas i wysiłek. Tymi słowy pożegnała się, kiedy zostawiła mnie pod domem Starszyzny w alternatywnym Sopocie.

Skan był warunkiem przyjęcia na szkolenie. Podstawowa procedura. Małolaty zwykle nie musiały jej przechodzić, bo rodzice wykonywali ich skan we wczesnym dzieciństwie. Przynajmniej tak się robiło w przypadkach, kiedy dziecko rodziło się w magicznej rodzinie i rodzice wiedzieli, że mogło odziedziczyć magię. Choć i to nie stanowiło reguły. Ale skan był potrzebny, by ustalić, jak pokierować edukacją dziecka, tak by w pełni i rozwinęło, i opanowało swoje moce. Zwykle podstawowe szkolenia zaczynały sześcio- i siedmiolatki. Około piętnastego roku życia dzieci miały za sobą podstawowy program i przez kolejne lata doskonaliły się już w trybie bardziej indywidualnym, w zależności od rodzaju magii, jaką dysponowały. Ja byłam opóźniona. I to połączyło mnie z Dorą – ona też była już dorosła i wcześniej nie wiedziała, że jest magiczna.

To właśnie skan stanowił przełom w relacjach moich i Ireny. Straciła zainteresowanie mną, gdy tylko się dowiedziała, jak rozczarowująca jest moja magia. Nie, nie pomyślała, że właściwie to ona za to odpowiada, bo widocznie wdałam się bardziej w nią niż ojca. Zniknęła z mojego życia na ponad trzy lata. To ja odnalazłam ją w Warsie i powiedziałam, że chcę wstąpić do Zakonu. Nie rozmawiałyśmy o tym, że nie szukała ze mną kontaktu, ani o tym, że kilka miesięcy wcześniej niespodziewanie pojawił się mój ojciec, który prawie mnie zabił, odciął mi małe palce u rąk i wysłał

jej w prezencie. Myślał, że Irena przyjdzie, by mnie uratować, chciał ją zwabić. Naiwniak.

Miała mnie w nosie, odkąd skan wykazał, że jestem magicznym niewypałem. Nosiłam w sobie odrobinę leczniczego potencjału i intuicję, która po latach treningu mogłaby się rozwinąć w jasnowidzenie. Wszystko to po linii Ireny – jej matce szeptunce i ojcu, który był znachorem. Nie przejęłam jednak nic ze strony Ernsta, na co liczyła. Delikatna poświata, żadnej supernowej.

Nie mogła wiedzieć, że wyniki zostały sfałszowane. Kosma, archiwista i bibliotekarz w Trójprzymierzu, analizował wszystkie skany, by nanieść dane na linie genealogiczne – od stuleci prowadził badania na temat dziedziczenia magii i linii rodowych. Był też synem Ernsta starszym ode mnie o kilkaset lat. Rozpoznał wzór srebrnych linii – identyczny widział na swoim skanie. Sprawdził kilka rzeczy i gdy pojął, w jakiej sytuacji się znalazłam, sfałszował moje wyniki, zanim ktokolwiek je zobaczył. Nikt go o to nie podejrzewał, bo jakiż miałby cel? A jego reputacja od stuleci była nieskazitelna.

Chciał mnie chronić. Rozumiał, jakie noszę brzemię, i pragnął mi pomóc utrzymać berserka w uśpieniu. Jemu się udało – przez stulecia żył w zaciszu biblioteki, izolując się od wrażeń, emocji, adrenaliny, które obudziły w nim bestię. Dla mnie to nie było takie proste. Trauma po porwaniu, ból i strach, bezradność i wola walki wskrzesiły uśpiony dotąd kawałek mnie. Kosma pomógł mi i wtedy nauczył mnie, jak nad sobą panować i jak kontrolować ciało – siłą woli i chemią, gdy nie starczało woli.

Obraz skanu zmieniał się z wiekiem, potencjał się rozwijał. Gdybym dziś powtórzyła badanie, berserk nie byłby już srebrnym cieniem morderczego potencjału ukrytego w genach. Dlatego teraz pełny skan zwyczajnie nie wchodził w grę. Chyba że byłabym gotowa zabić każdego, kto mógłby go zobaczyć.

O ile było mi wiadomo, skaner Karmy był jedynym należącym do osoby prywatnej. Kosztował cholernie dużo ze względu na wszystkie stopy metali wykorzystane do jego budowy, do tego potrzeba było naprawdę mnóstwo magii, by go zmontować, a potem utrzymać w dobrym stanie. Nie wiedziałam, czy Ilia sam go skonstruował, czy skądś go wytrzasnął. Nauczyłam się nie zadawać pytań, na które nie udzieliłby mi odpowiedzi. Dotąd dwa razy korzystałam ze skanera. Badanie nie dotyczyło mnie, ale przedmiotów z Sawy, które miałam dla kogoś zdobyć, i chciałam się

upewnić, że oddając je zleceniodawcy, nie przykładam ręki do końca świata, jaki znamy.

Skan z ostatniej godziny powinien dostarczyć odpowiedzi na temat magii, z którą miałam kontakt. Powinien zidentyfikować zaklęcie, którym strułam się w gabinecie matki, a także wskazać sygnaturę autora zaklętej kuli.

– Spodnie też – powiedział Ilia, kiedy chciałam usiąść na platformie. – Suwak i guzik są z metalu – wyjaśnił.

Odwrócił się dyskretnie i zajął się ustawianiem parametrów na stacji centralnej, przypominającej steampunkowy komputer. W Trójprzymierzu byli znacznie bardziej tradycyjni – wykresy skanu rysowała ślepa wieszczka w stanie boskiego amoku. Wszystko miało silnie zrytualizowaną strukturę i w działaniach uczestniczyła cała wspólnota. Wykresy trafiały do Kosmy, który je interpretował jak technik klisze rentgenowskie, a następnie z pełnym opisem doręczał Starszyźnie. Byłam zaskoczona, kiedy Ilia powiedział mi, że od dawna znane są prostsze sposoby, tyle że mniej podniosłe, więc ze względu na ryt przejścia Starszyzna w Trójprzymierzu trwa przy dawnych metodach. W miejscu, w którym on przechodził pierwszy skan – oczywiście nie wspomniał, gdzie to było – używano maszyny podobnej do tej. Gdyby pierwsze komputery miały romans z busolą, telegrafem i łodzią podwodną, właśnie tak wyglądałoby ich potomstwo.

Kwadrans później przeglądałam dwumetrowe pasy wykresu, nie mogąc wyjść ze zdumienia.

*

Choć wyszłam z szafy jakiś czas temu, istniały rzeczy, które wciąż w niej trzymałam, i wolałam, by nikt się o nich nie dowiedział. Zamknęłam za sobą rozsuwane drzwi do komory deprywacyjnej, uaktywniłam alarm i posłałam impuls magii do glifów pokrywających jesionowe panele, którymi wyłożyłam ściany. Runy i zaklęcia rozjarzyły się ciepłym blaskiem, a ja poczułam się lepiej.

Usiadłam na fotelu, przypominającym taki z gabinetu dentystycznego. Przypięłam się pasami w talii i przykleiłam do piersi elektrody. Kosma poradził mi, bym włączyła je do diagnostyki po wypadkach ostatnich tygodni. Wyglądało na to, że podczas przebudzenia berserka serce zmienia

się gwałtowniej niż cała reszta, a tętno i ciśnienie rosną w szybkim tempie. Zacisnęłam pasek uciskowy tuż nad zgięciem lewego łokcia i popracowałam pięścią, by uwidocznić żyły. Z wprawą starego heroinisty odnalazłam odpowiednią i wbiłam igłę tuż nad nadgarstkiem, następnie przykleiłam wenflon plastrem i podłączyłam do niego kroplówkę. Na razie wciąż była zablokowana, ale wystarczyło, że nacisnęłabym guzik albo moje tętno gwałtownie by podskoczyło, a w moich żyłach popłynąłby uspokajający koktajl alfa- i beta-blokerów.

Obecne w czaju zaklęcie nie tylko mnie śledziło – miało również zanalizować moją magię, moje pochodzenie. Było skomplikowane i niebezpieczne. Potrzebowało czasu, którego nie zamierzałam mu dać.

Autorem zaklęcia nie był mag Zakonu, co stanowiło powód do niepokoju. Matka była praktyczna – po co miałaby płacić, i to sporo, za coś, co mogła mieć za darmo? Zwrócenie się do innego maga, choć pod nosem miała lojalnego i sprawnego maga bojowego, nie miało sensu. Chyba że to nie ona zleciła wykonanie zaklęcia. Albo uparcie szukałam dowodu, że to nie jej robota.

Istniał tylko jeden sposób, by całkowicie się pozbyć zaklęcia z organizmu: użycie dużego impulsu odpowiednio silnej i starej magii. Cóż, akurat taką dysponowałam. Jeśli dopisałoby mi szczęście, kontrolowana przemiana dezaktywowałaby zaklęcie. Jeśli nie – komora wciąż pozostawała wystarczająco dobrze zaizolowana magicznie, by ślad tej magii nie wydostał się na zewnątrz.

Podstawowe zaklęcie z pocisku zostało już zneutralizowane. Wedle skanu miało mnie uśpić. I nosiło sygnaturę zakonną. Ale w kuli znalazł się też robal, który wzmacniał zaklęcie ukryte w herbacie, a więc kula musiała powstać w tym samym celu.

Niewiele z tego rozumiałam. Moje życie było pojebane jak wenezuelska telenowela, ale nawet mnie nie zdarzały się przypadkowe, zsynchronizowane ataki magiczne. Nie trują mnie i nie strzelają do mnie każdego dnia.

I jak do tego wszystkiego pasowała Matka? Była zaskoczona. Czym? Tym, że wiem? Czy całą resztą? Zajmę się tym później, pomyślałam. Teraz musiałam się skupić na wypaleniu zaklęcia, które wciąż próbowało mnie rozłożyć na czynniki pierwsze.

Nie miałam pojęcia, czy uda mi się kontrolowana przemiana. Dotąd tylko raz z własnej woli zmieniłam się w berserka i kontrola nie jest cechą

szczególnie bliską mojej drugiej naturze. Stałam się bestią, która roztarła porywaczy na taką miazgę, że gdy, już jako kobieta, musiałam przeszukać kieszenie jednego z nich, by odnaleźć telefon, mój żołądek odesłał śniadanie do Rygi. Owszem, udało mi się wrócić do ludzkiej postaci i nie zabić Robina, uznajmy to za sukces, ale nie całkiem był to wynik mojej woli czy kontroli. Berserk odpuścił. Cofnął się. Zwykle zostawał przy sterach tak długo, aż moje ciało padało nieprzytomne po kilkunastu godzinach furii i siania zniszczenia. Być może wtedy berserk w jakimś prymitywnym przebłysku zdrowego rozsądku uznał, że nic tu po nim, bo potrzeba ludzkiego umysłu i precyzji w używaniu kciuków. Nie wiem. Wiem za to, że po tamtym dniu się uspokoił, mniej się awanturował, mniej wysiłku kosztowało mnie codzienne powstrzymywanie go. Ale to niczego nie dowodziło – mógł mieć taki kaprys. I choć wciąż nie myślę o nas jako o jednej osobie, zaczęłam nazywać go Panem B., a to duży postęp. Wcześniej zwykle określałam go mianem potwora, Pan B. było formą grzecznościową.

– Panie B. – powiedziałam – potrzebujemy dużo magii, by spalić to zaklęcie i mieć z głowy pościg i szpiegów. Ale żadnego szaleństwa, rozbijania domu czy mordowania ludzi.

Nie pozwoliłam Robinowi zostać w domu, choć obiecywał, że nie będzie przeszkadzał i poczeka na dole, w kuchni.

– Proszę, współpracuj – dodałam, nie mając pojęcia, czy komunikacja między nami w ogóle jest możliwa ani czy berserk słyszy, co do niego mówię. Musiał mieć jakiś poziom świadomości otoczenia, skoro w momencie zagrożenia próbował wymusić przemianę, ale poza tym cholera wie. To nie tak, że do genów dodają instrukcję obsługi.

Odetchnęłam ciężko i wyobraziłam sobie, że otwieram klatkę, w której na co dzień siedział Pan B. Nie byłam uwięziona, za ścianą nie czaili się faceci do rozerwania na strzępy. To nowy etap w naszych relacjach i działałam po omacku. Z kiepskim wynikiem.

Nic się nie działo. W mojej wizualizacji klatka została otwarta, ale berserk siedział w środku, spoglądając na mnie przenikliwie. No tak. Musiałam być chyba bardziej wkurzona.

Metoda na wkurzenie pozostawała niezmienna. Pomyślałam o moim ojcu. O bólu, który mi zadał. O pogardliwych słowach, które od niego usłyszałam. O jego obietnicach, co czeka mnie w najbliższych godzinach.

O torturach, zasychającej na skórze krwi, która śmierdziała adrenaliną i zwierzęcym strachem.

Wysoki pisk monitora serca przeszył moje uszy. Pulsowanie narastało w szybki tętent. Moje naczynia krwionośne puchły, zmieniając się w grube rzemienie tuż pod skórą. Wenflon zaczął powoli wysuwać się z żyły. Runy i glify zalśniły mocnym szafirowym blaskiem, pojedyncze symbole odrywały się od jesionowego drewna i unosiły w powietrzu wokół mego ciała. Pas w talii zaczął cisnąć, a sekundę później całym moim ciałem wstrząsnęły drgawki. Gwiazdy eksplodowały. Magia przelewała się przez moje komórki, wypalając zaklęcia i zmieniając krew w lawę. Krzyknęłam, gdy ból w piersi wybuchł gorącem.

O bogowie, za każdym razem było inaczej, ale jedno się nie zmieniało: nigdy nie było przyjemnie.

Runy i glify zlały się w jedną lśniącą granatowo powierzchnię. Pazury, szarpiąc skórzany pas przytrzymujący mnie w talii, kaleczyły mi skórę. Moje dłonie nie były już moje. Zacisnęłam palce na pilocie kroplówki, ale płyn spłynął na podłogę – wenflon wysunął się z żyły.

Berserk zawył, zrywając się z uwięzi.

– Nie! – krzyczałam, póki jeszcze tu byłam, póki nie zniknęłam na dobre.

Zwolniło. Wszystko. Kolory zniknęły. Srebrzysta poświata. Pot. Płuca jak miechy, dyszący oddech. Mój. Wolny. Stoję na podłodze. Ciasno. Iść. Powietrze. Ból, gdy popycham ścianę. Drzewo Pana. Jego słowa jak zimny wiatr. Posłuszny. Na kolana. Tak. Co każesz.

Ocknęłam się na podłodze, zwinięta w kłębek, zmarznięta, w przepoconej bieliźnie, drżąc z gorączki albo z wyczerpania. Z trudem podniosłam się na kolana. Przytrzymując się powyginanej ramy fotela, wstałam. Nogi trzęsły się pode mną, jakbym była świeżo urodzonym źrebakiem.

Bogowie! Podłokietniki fotela były całkiem wyłamane, solidne śruby wygięte jak lizaki zostawione na słońcu, pas poszarpany na strzępy, metalowa klamra pogięta i niekształtna. Na podłodze kałuża płynu kroplówkowego. To nie leki opanowały berserka. I nie ja.

– Dzięki ci, Odynie – szepnęłam, dotykając jesionowych paneli z nieaktywnymi już runami.

Zwolniłam blokadę i alarm i przez szafę wyszłam do swojej sypialni. Zamykając za sobą drzwi, zerknęłam w lustro zajmujące jedno skrzydło. Wyglądałam kiepsko. Spaliłam kilka kilogramów i rysy mojej twarzy stały

się ostrzejsze, cienie pod oczami głębsze. Nagle wyglądałam drobniej, żałośniej. Odwróciłam się, by zerknąć na ranę na plecach, bo uświadomiłam sobie, że choć ciało boli mnie jak po morderczym treningu, to nie czuję rany po postrzale. Wyglądała, jakbym spędziła w szafie dobry tydzień – jej brzegi zbiegały się już wyraźnie, a cienka błonka nowej skóry zarastała ślad wypukłą pajęczynką. Mimo to wciąż wolałam śmierdzącą kąpiel leczniczą niż wizytę Pana B., choćby miał mnie obdarować mocą superregeneracji.

Owinęłam się szlafrokiem. Idąc do łazienki, musiałam przytrzymywać się ściany. Mój żołądek zwinął się w ciasną pięść i domagał się pożywienia.

Wannę wypełniała zawczasu przygotowana śmierdząca breja. Zaklęcie utrzymywało stałą temperaturę, by leczenie nie było bardziej nieprzyjemne, niż musi. Na szerokiej krawędzi wanny stało kilkanaście buteleczek nutridrinków i batony proteinowe. Za jakieś dziesięć tysięcy kalorii powinnam się poczuć lepiej.

Rozebrałam się i zanurzyłam w zielonym trzęsawisku, tak by lecznicza substancja pokryła całe moje ciało, zwłaszcza plecy. Przez następne dwadzieścia minut odkręcałam wieczka butelek i póki nie poczułam, że mój żołądek jest pełen, wypijałam do dna ich gęstą, słodkawą zawartość. Zrobiłam krótką przerwę i zaczęłam od początku.

To absurdalne, jak dziwne rzeczy wypływają na powierzchnię mózgu w chwilach nagle odkrytej słabości. Jakby przepaleniu uleg-
ło nie tylko zaklęcie, ale i jakieś bariery, które ustawiam między sobą dzisiejszą a sobą z przeszłości. Dawniej nie byłam dość silna, by się obronić. Robiłam, co mogłam, by to zmienić, ale wyniki pozostawały niezadowalające. Wreszcie zwątpiłam, że kiedykolwiek zdołam sprostać oczekiwaniom – nie tylko mojej matki. Do presji, jaką na mnie wywierała, ochoczo dołączały się naciski, którym zazwyczaj poddawane są młode dziewczyny. Przejmowałam się nimi może bardziej niż moje rówieśnice, bo wiedziałam, w jak wielu kwestiach odbiegam od normy. Należały do nich choćby pochodzenie, brak doświadczeń, które kształtują przeciętną nastolatkę (jak szkoła, przyjaźnie, pierwsze miłości), czy graniczące z pewnością przeczucie orientacji seksualnej – choć to akurat sprawa raczej teoretyczna, bo na randki z kimkolwiek matka nie dawała mi czasu i zgody.

W wieku czternastu, może piętnastu lat doszłam do wniosku, że chyba jestem za gruba, bo zamiast smukłej sylwetki modelki miałam ciało żylaste i masywne – wszystko przez regularne treningi, podnoszenie ciężarów, boks

i naukę sztuk walki. W jakiejś babskiej gazecie przeczytałam opis diety i przez dwa dni próbowałam jej przestrzegać, ale wciąż byłam głodna, a przez to zdekoncentrowana. Na treningach zbierałam łomot jak nigdy. Trenerka wzięła mnie na rozmowę. Przyznałam się, że jestem na diecie. Nie wyśmiała mnie, nie próbowała mi wybijać tego z głowy. Po prostu wyliczyła, ile kalorii moje ciało zużywa w spoczynku, a ile kalorii na treningach. Dieta z gazety z trudem starczała na bierne spalanie. Miałam deficyt kilku tysięcy kalorii. Trenerka postawiła mnie na urządzeniu, które pokazało nie tylko moją wagę, ale również zawartość tłuszczu w organizmie: sporo poniżej normy.

– Jak myślisz, co spala twój organizm, kiedy nie dostarczasz mu paliwa? – zapytała.

Domyśliłam się.

– Jak myślisz, czy twój ojciec, kiedy was dopadnie, będzie obchodził się z tobą łagodniej tylko dlatego, że jesteś wiotka i masz smukłe nogi?

Nie znała szczegółów i historii Ernsta. Matka powiedziała jej, że uciekamy od przemocy domowej najgorszego sortu. W sumie nie do końca skłamała.

Nigdy więcej nie byłam na diecie.

Odkąd doszło do przemiany, pilnuję, by jeść wystarczająco dużo. A potem przychodzi berserk i sprawia, że to wszystko trafia szlag. Na szczęście też mam tu coś do powiedzenia, pomyślałam, rzucając na podłogę dwa papierki po batonach proteinowych.

Dopiero gdy pochłonęłam taką liczbę kalorii, która każdą uczciwą bulimiczkę wprawiłaby w mieszaninę ekscytacji i dojmującego poczucia winy, oparłam się plecami o brzeg wanny i przestałam walczyć z narastającą sennością. W ostatnich dniach naprawdę nie miałam wiele snu. W Sawie sen oznaczał bilet w jedną stronę – do zaświatów. A poranny telefon od Robina, który po prostu musiał zrobić coś ze swoim mieszkaniem, by zaczęło przypominać dom, a nie dziuplę kawalera, zrujnował mój plan wyspania się za wszystkie czasy. Miałam wrażenie, że Robin nie spał za wiele, niezależnie od okoliczności. Pewnie też cierpiałabym na chroniczną bezsenność po kilku miesiącach w twierdzy Zakonu. I gdyby w snach nawiedzała mnie przeszłość, której nie pamiętam i nie rozumiem. Kolejna rzecz na liście, gdy już jakoś ogarnę tajemnice mojej rodziny – odkryć, co czai się w przeszłości Robina.

Wszyscy zasługujemy na swoją porcję prawdy i odpowiedzi w miejsce niekończących się pytań.

Rozdział 3

Spazmatycznie łapałam oddech, jakbym właśnie wynurzyła się z ciemnozielonej wody, która rozciągała się u moich stóp. Naga skała, na której stałam, wisiała pomiędzy morzem a szarobłękitnym niebem bez słońca. Nie było specjalnie zimno, nie było też ciemno, ale słońce wydawało się nie pasować do tego miejsca – gdziekolwiek się znajdowałam. Wszystkie kolory były pozbawione ciepła: otaczały mnie chłodne szarości, błękity, przesrebrzone zielenie. Ani plamy czerwieni, żółci czy pomarańczowego. Jakby nie istniały w palecie twórcy tego obrazu.

Choć byłam tu wcześniej, wciąż nie wiedziałam, gdzie jest owo „tu". Unikał odpowiedzi, cholerny spryciarz.

Tym razem przynajmniej nie byłam naga. Dobre i to.

Jeśli musiałam być wciągana w czyjeś sny, a tak tłumaczyłam sobie te spotkania na fiordach, to wolałam być ubrana, zwłaszcza że ten, który znalazł sposób, by mnie zadręczać nawet po swojej śmierci, był moim bratem. Tak jakby. Mieliśmy ten sam zestaw genów, urodziliśmy się jednego dnia, z jednej matki i jednego ojca. Do bycia rodzeństwem zabrakło tylko całej tej więzi, która kształtuje się dzień po dniu, w drobiazgach, które składają się na normalne dzieciństwo. Nas połączyła dopiero zadana mu śmierć. Może dlatego mógł wejść w mój sen i ukształtować go wedle własnego gustu.

Za pierwszym razem nawet się nie odezwał. Stał na skale i obserwował sztorm przetaczający się przez zatokę. Wiatr szarpał jego jasnorude, prawie złote włosy, szarą tunikę, dziwnie odległą od tych świetnie skrojonych garniturów, w których paradował w Warsie. Wyglądał poetycko do wyrzygania – jak skandynawski bard, dzielny wojownik, który się bogom nie kłania. Ziewnęłam ostentacyjnie i zostawiłam go tam, milczącego posępnie, a dumnie, by sam wystawiał tyłek na chłostę północnego wiatru. Nie gonił mnie. Im bardziej się oddalałam, tym lżejsza stawała się materia snu, który wykreował. Wreszcie pękła jak delikatna jedwabna tkanina, a ja

obudziłam się we własnej sypialni. Byłabym spokojniejsza, gdyby nie pachniała morzem i algami.

Za drugim razem już porozmawialiśmy. Nic wartego uwagi. Opieprzyłam go za to, że po prostu do mnie nie przyszedł, nie przedstawił się, tylko wdrożył swój cholerny plan, który skończył się tym, że musiałam go zabić.

Nie, nie miałam pretensji, że postanowił wykończyć matkę. Bogowie na świadków, że gdybym miała okazję zemścić się na Ernście, wykorzystałabym ją do oporu. Ale nie musiał wciągać w całą tą idiotyczną historię Zeldy. Nie musiał jej narażać i zamykać w metalowej skrzyni, gdy zbliżała się burza i nadciągała wyjątkowo silna czkawka.

Zamiast skruchy zaserwował mi butę, więc go uderzyłam, na tyle mocno, że osunął się na ziemię. Sen się skończył, jakbym odcięła zasilanie projektora.

Do trzech razy sztuka. Może do dziś się czegoś nauczył?

Odwróciłam się, szukając Ture. Gdzieś tu musiał być. W końcu to on kreował ten sen.

– Zamierzasz mnie znów bić? – zapytał, a ja spojrzałam w miejsce, z którego dobiegał głos.

Siedział na półce skalnej zawieszonej kilka metrów wyżej niż ta, na której stałam.

– A zamierzasz znowu zachowywać się jak dupek? – odpowiedziałam, splatając ramiona na piersi.

– Nie wszystko da się kontrolować. – Wyszczerzył się.

Wzdrygnęłam się, widząc rysy tak podobne do rysów Ireny, ale rozciągnięte w uśmiechu. Spoważniał, widząc moją reakcję.

– Ty przypominasz mi Ernsta – powiedział. – Albo będziemy ponad to, albo jeden zero dla nich.

– Nie przypominam Ernsta – powiedziałam stanowczo.

Nie przypominałam. On był wielkim rudawym blondynem o ogorzałej twarzy i przenikliwie niebieskich, lodowatych ślepiach. Rysów nie byłam w stanie ocenić, bo nosił gęstą brodę, a czoło i policzki pokrywały mu blizny i tatuaż, ale chciałam myśleć, że nie odziedziczyłam po nim nic. Może poza tą jedną rzeczą, na szczęście głęboko schowaną przed wścibskim okiem.

Zawsze wolałam myśleć, że jestem podobna do dziadka czy babki – to po nich musiałam mieć moje azjatyckie rysy i karnację. Matka oceniła moją

urodę jako haniebny triumf kałmuckiej Azji nad estetyką europejską. To jedne z najmilszych słów, jakie od niej usłyszałam.

– Zaciskasz usta jak Ernst, a gdy marszczysz brwi, jedna jest nieco wyżej. Twoje oczy są wyraźnie skośne i czarne, ale gdy wwiercasz się spojrzeniem z tą chłodną kalkulacją, jak mnie zabić przy najmniejszym wysiłku energetycznym, widzę coś z Ernsta. I gdy powaliłaś mnie jednym ciosem, też przywołałaś wspomnienia. Nie uciekniemy przed tym. Czy to nie idiotyczne?

Pokiwałam głową, bo tak, to było idiotyczne. Patrząc w lustro, widzieliśmy ślady ludzi, których nienawidziliśmy.

– I jesteś berserkiem, jak on – dodał, a ja zacisnęłam pięści. Gdyby żył, mogłabym go zabić tylko za to zdanie.

Kto jeszcze wiedział? Ernst?

– Raczej o tym nie wiedział. Wtedy nie próbowałby cię zabić. Syn go zawiódł, nie sądzę, by jego światopogląd dopuszczał fakt, że miałby pożytek z córki. – Uspokoił mnie.

– Łączy nas więcej, niżbym chciała – mruknęłam, rozpoznając ból w jego głosie.

Wstał i skoczył w przepaść. Krzyknęłam, widząc, że spada wprost na ostre skały pod nami.

Nagle wszystko zniknęło i kiedy znów mogłam cokolwiek zobaczyć, zdałam sobie sprawę, że sceneria zmienia się całkowicie.

Otoczona wysokimi jodłami polana zalana była słońcem, a zapach wilgotnego mchu kręcił w nosie. Ture siedział przy piknikowym stole z dłońmi gładko ułożonymi na blacie. Miał opuszczone powieki i twarz zwróconą do słońca. Wygrzewał się na nim jak kot i wyglądał na zrelaksowanego.

Nie, nie wpadłabym na to, że jesteśmy bliźniakami, pomyślałam i usiadłam naprzeciwko niego.

– Jaki on jest? – zapytałam cicho. – Gdy nie torturuje, nie próbuje zabić, jaki jest? Czy jest w nim cokolwiek, czego mogłabym nie znienawidzić?

– Nie bardzo. – Uniósł powieki. – Ernst od wielu stuleci bardziej przypomina berserka niż człowieka, którym był wcześniej.

– Co ona w nim widziała? – mruknęłam.

– Siłę, starożytną magię i solidne plecy w boskich kręgach – odpowiedział szybko i ugryzł się w język.

– Nie będę cię biła w obronie wątpliwego honoru naszej matki. To, co powiedziałeś, doskonale pasuje do Ireny, jaką znam.

– Obiecałem, że nie zdradzę tajemnic, które sama musisz poznać. Tylko dlatego pozwoliły mi się z tobą zobaczyć.

– Kto?

– Boginie, a któż? – odparł, jakby to było oczywiste.

Może dla niego było, skoro wychował się u boku Ernsta, który jako berserk podlegał Odynowi.

– Więc po co przychodzisz, jeśli nie po to, by zdradzić mi tajemnice?

Jaka byłam naiwna, sądząc, że powie coś miłego! Jakieś „chciałem cię poznać”, cokolwiek. No ale przecież mieliśmy te same geny. Ja bym nic takiego mu nie powiedziała – nawet gdyby to była prawda. Zwłaszcza gdyby to była prawda.

– Może chcę się upewnić, że zależy ci na ich odkryciu? Zostawiłem ci list.

– Znalazłam go. I adres. Wkrótce tam jadę. Czy tam znajdę odpowiedzi?

– Kilka. To dość zawiła historia. – Skrzywił się, a potem nagle roześmiał i znacznie weselszym tonem powiedział: – Może kiedyś będą o nas śpiewać pieśni. Nazwą naszymi imionami jakieś skały wystające z morza. Moim tę większą i przystojniejszą.

Prychnęłam, choć miał rację, był ładniutki. Ja byłam maszyną do zabijania, on mógł łamać serca.

– Długo nas szukałeś? – zapytałam cicho.

– Dwa lata.

– Wiedziałeś o mnie czy szukałeś tylko jej?

Jakaś część mnie, o której matka myślała, że ją ubiła, nim opuściłam kołyskę, chciała wierzyć, że ktoś za mną tęsknił.

– Ja wszystko pamiętam, siostro. – Nie wiedziałam, o czym mówił, ale brzmiało to tak rozdzierająco smutno, że zassało mnie w środku z żalu. – Wszystko – podkreślił. – I nie tego dla nas chciałem.

– Nigdy nie jest tak, jak chcemy. Wolałabym mieć więcej czasu, by wpaść na to, jak cię nie zabić. Żałuję, że tak wyszło.

Uff, powiedziałam to na głos.

Ture mógł sobie jakoś wyobrażać nasze spotkanie. Wymyślać scenariusze, błyskotliwe pointy na moje zarzuty. Ja nie miałam komfortu przećwiczenia tego wszystkiego na sucho, przygotowania się.

Czemu nie możemy cofnąć czasu i zacząć wszystkiego od nowa? Porozmawiać, jak dwoje dorosłych ludzi z nieco mniej dysfunkcyjnych rodzin?

– Zazdrościłem ci. A potem zobaczyłem, że Irena jest taka sama jak on.

Skinęłam głową bez słowa.

– Po co właściwie te sny? Będziemy snuć smęty i pleść sobie warkoczyki? – zapytałam, gdy coś zaczęło uciskać mnie w piersi.

Wzruszył ramionami i uciekł spojrzeniem.

– Nie wiem. Może po nic. Nie wszystko da się nadrobić, nie?

– Z drugiej strony miło się spotkać, nie mierząc do siebie z broni.

– Tak było zapisane. Myślałem, że zajmując cię porwaniem twojej dzierlatki, uda mi się to zmienić. Nie zdołamy zmienić nici Urd i naszej przeszłości, nie zdołałem zmienić nici Skuld.

– Nie chcę o tym tak myśleć: że Norny wszystko już uplotły i mój los jest przesądzony.

Wzruszył ramionami z tą przemądrzałą miną kolesia, który zna Norny i wie lepiej.

Dzwonek rozbrzęczał się nagle, a ptaki zerwały się z drzew w nagłym popłochu.

– Co to? – zapytałam, zrywając się z ławki.

– Twój świat – powiedział z rezygnacją. – Zaraz się obudzisz.

Otworzyłam oczy. Wiedziałam, że nie powie mi nic więcej, ale nie chciałam, by zniknął na dobre. I nie, nie umiałam sobie tego logicznie wytłumaczyć. Może to wcale nie jego sny, a mój mózg, który nie potrafi sobie z tym poradzić, więc wymyśla substytut relacji, życia, którego nam odmówiono? Bogowie, mieć kogoś w swoim narożniku przez te wszystkie lata, u boku Ireny… Zabiłabym za to.

Cholernie nieszczęśliwy dobór słów.

Moja skóra była już solidnie pomarszczona od leżenia w kąpieli. Musiały minąć ze dwie godziny. Wymacałam na podłodze rozbrzęczany telefon wydzwaniający niecierpliwe kuranty. Kolejny zindywidualizowany sygnał dzwonka. Melodia z Robin Hooda. Słodka i romantyczna piosenka Clannadu pasowała mi do mojego partnera. Powitałam go nowiną:

– Żyję.

– Miło słyszeć. Słuchaj, wpadł do mnie Jurij.

Może się myliłam, widząc go na korytarzu Zakonu i zakładając, że chciał mnie zabić. Ale nie wierzę w zbiegi okoliczności, a Jurij kręcił się ostatnio

podejrzanie blisko. Mogliśmy mieć wspólne interesy, mógł być moim zabezpieczeniem w czasie akcji wymagających większej mocy ogniowej, ale był emerytowanym Cieniem, kolesiem dość paskudnym, by Zakon pozwolił mu na freelancerkę na swoim terytorium. Całkiem niedawno nie chciałam partnera, ale skoro już go zaakceptowałam, zamierzałam dopilnować, by przeżył. Lepiej dla Jurija, by nie odpierdolił żadnego numeru.

Tak, zdecydowanie byłam opiekuńcza. Zwłaszcza że usłyszałam w głosie Robina napięcie, jasno sygnalizujące, że nie czuje się komfortowo w sytuacji, w jakiej się znalazł. Co mogło znaczyć, że Jurij zapytał o cukier do herbaty, a Robin zapomniał go kupić (przejmował się świeżo odkrytą definicją gościnności), albo też, że niezapowiedziany gość trzyma go na muszce.

– Czego chce?

– Porozmawiać. Chciał, żebym go do ciebie zaprowadził. Uznałem, że to nie jest dobry pomysł.

– Słusznie. Niech poczeka u ciebie, ogarnę się i przyjdę. Czy jesteś bezpieczny? – zapytałam, licząc, że jeśli Jurij odstawia tam szopkę z zakładnikiem, mój partner znajdzie sposób, by dać mi cynk.

– Czeka na ciebie jedzenie.

– Gdybyś był równie kochaną dziewczyną, już bym ci się oświadczyła i przysięgła urodzić bliźnięta.

– Na pewno byłyby śliczne i wykończyłyby mnie w tydzień. – Odchrząknął i już szeptem dodał: – A skoro o dziewczynach, Zelda o ciebie pytała.

Przytaknęłam bez słowa, choć nie mógł tego widzieć. Nie idzie nam za dobrze, mnie i Zeldzie. Zdenerwowałam ją, mówiąc, że powinna się zająć tym, w czym jest dobra, a zabijanie i przedzieranie się przez dżunglę Sawy zostawić tym, którzy mają to szansę przeżyć.

Zelda próbowała odkupić mój dług u Madame Butterfly, twierdząc, że gdyby nie dała się porwać, ja bym go nie zaciągnęła. Nie wspomniałam jej o tym, że gdyby mój brat nie chciał zabić mojej matki, nic złego by jej nie spotkało. Ani o tym, że właśnie ponownie wystawia się na cel, sugerując Madame Butterfly, że łączy nas coś, co skłania mnie do podejmowania nierozsądnych działań na zawołanie. Wspomniałam za to, że plącze i tak skomplikowaną sytuację i skraca mi czas na reakcję. Gdyby to mnie zostawiła radzenie sobie z Madame Butterfly, miałabym możliwość lepiej

przygotować misję w Sawie. To były racjonalne argumenty. Tymczasem cała rozmowa nie była racjonalna. Mówiłyśmy jedno, myślałyśmy drugie, czułyśmy jeszcze coś innego, ale o tym nie byłyśmy gotowe mówić.

Zapytała, dlaczego ryzykowałam dla niej życie. Nie miałam odwagi powiedzieć jej prawdy. Każda z nas została więc po swojej stronie krawędzi, bo żadna nie potrafiła zrobić kroku w przepaść, w niewiadomą. Nie miałam jej wiele do zaoferowania. Ona nie mogła odejść z Dzielnicy Cudów, Ala również. Nie mówię, że tego nie dałoby się rozwikłać i poukładać, ale nie miałam siły ani pomysłu. Więc odpuściłam. I chyba obraziłam ją tym bardziej niż wszystkim, co powiedziałam.

Doszłyśmy więc do tego dziwnego momentu, kiedy zdarzyło się za mało, by relację można było nazwać związkiem, ale wszystkie komplikacje spadają na człowieka jak szarańcza.

Właściwie co jest złego w byciu singlem?

– Będę u ciebie za pół godziny – powiedziałam, bo skoro jego życie nie wisiało na włosku, miałam czas, by się ogarnąć.

Dokładnie spłukałam śmierdzące błocko. Gdy już przestałam roztaczać wokół siebie woń bagna i siarczanych wyziewów piekła, przeszłam do sypialni po ciuchy. Poświęciłam im znacznie mniej uwagi niż kaburze (lekko otartej na łopatce; niewykluczone, że za sprawą postrzału), Inkwizycji i Zębuszce, które sprawdziłam i przeładowałam. Uzupełniłam też zapas magazynków i przemyłam spirytusem narzędzia chirurgiczne.

Przypomniałam sobie, że na dnie torby wciąż obija się słoiczek z kulą. Nie pochodziła z arsenału Zakonu i przydałoby się dowiedzieć, kto ją wykonał. Nie po to, by się mścić – po prostu nigdy nie wiadomo, kiedy przyda się zaklęta kula. Zlecenia bywają wymagające i nie każdy zleceniodawca życzy sobie wielkich ran wlotowych. Miałam kiedyś kandydatkę na wdowę, która chciała pogrzebu z otwartą trumną. Odpaliła mi trzydzieści procent stawki za to, że dom pogrzebowy nie potrzebował używać kitu do łatania zwłok.

Ludzie to dziwne stworzenia.

Zamykałam krąg wokół domu, kiedy telefon znów się rozdzwonił. Tym razem melodyjką z serialu Z Archiwum X. Karma.

– Ktoś przed godziną próbował włamać się na twój domowy komputer. Dość sprawy haker. Pokonał oficjalny firewall i złamał twoje podstawowe hasła – oświadczyła, nie marnując czasu na powitania.

– Wiesz kto?

– Namierzyłam komputer. Podłączony do sieci w twierdzy Zakonu.

– Co widział?

Nie miałam na dysku nic kompromitującego, wszystkie dane trzymałam w chmurze, na serwerze u Karmy albo na ukrytym w domu dysku zewnętrznym, ale byłam ciekawa, czego szukał.

– Nic, czego mu nie pozwoliłam zobaczyć. Wysłałam go na wycieczkę krajoznawczą po używanych samochodach, wakacjach w Wenecji, na które kiedyś powinnaś się wybrać, samouczku arabskiego i notowaniach kursu wymiany szylingów somalijskich. Po korytarzach Zakonu wkrótce może zacząć krążyć plotka, że zaciągasz się do oddziałów rebelianckich w Somalii.

Pycha w jej głosie była zasłużona – znała się na swoich zabawkach i jako najzdolniejszy magiczny haker swojego pokolenia wiedziała, jak zabezpieczyć swoją sieć, a mój komputer był połączony z nią wystarczająco ściśle, by zabezpieczenie go uznała za ochronę swojej własności.

– Jak moje papiery? – zapytałam.

– Jutro powinien być komplet. Twój śliczny chłopiec właściwie nie istniał, więc zajęło to trochę czasu. Zaczynam podejrzewać, że pocałowałaś odpowiednią żabę i się pojawił.

– Nie inaczej. Właśnie to robiłam w każdy wolny weekend: chodziłam do Sawy całować żaby. Mogę cię zabrać nad taką jedną sadzawkę, jeśli Ilia nie będzie miał problemów z konkurencją.

Wiązanka przekleństw i odgłos uderzającego o podłogę telefonu nieco poprawiły mi humor. Nie wiem, w co grali w tym tygodniu, ale powietrze dawało się kroić tasakiem i jeśli nie znaleźliby ujścia dla pary, wszystko mogłoby wybuchnąć. A ja naprawdę cieszyłam się z usług Karmy jako sieciowej bogini.

*

Wybrałam schody przeciwpożarowe zamiast windy, bo jeszcze z ulicy zauważyłam jaskrawe kolory parasola ogrodowego na dachu. Ja się tu o niego martwię, szykując się na odbijanie zakładnika, a ten głupol grilluje sobie na dachu! Z drugiej strony oznaczało to świeże jedzenie w sporej ilości, więc byłam mu w stanie przebaczyć. Zapach pieczonych kiełbasek sprawiał, że przechodnie odwracali głowy.

Sielanka cholerna, pomyślałam, widząc Robina przy dużym ogrodowym grillu i Jurija rozwalonego na kolorowym leżaku. Z ramieniem pod głową, w przetartych dżinsach i oliwkowej koszulce maskującej sześciopak i blizny na brzuchu wyglądał na kontraktowego na wakacjach. Na Hawajach, dodałam w duchu, widząc, że zdjął buty i stopą w trekkingowych skarpetkach ze wzmocnionymi piętami wystukiwał rytm jakiegoś kawałka z lat osiemdziesiątych, który leciał akurat z głośników tranzystorka ustawionego na częstotliwość lokalnej stacji. „Wars wita was, wita was, kochani!”, zapewniał reklamowy dżingiel, który, nie miałam wątpliwości, przyklei mi się do głowy na dobre.

– Lepiej, żebyś miał tego więcej – powiedziałam do Robina, widząc wysmarowany keczupem talerz przy leżaku Jurija.

– Wiedziałem, że będziesz. Moja wioska ubiła wołu.

Usiadłam na odwróconej skrzynce po piwie robiącej za taboret przy koślawym plastikowym stoliku, ocienionym parasolem ogrodowym w tęczowe pasy.

Robin podał mi talerzyk z solidną porcją kiełbasek.

– Wpadłeś na żarcie czy próbujesz uzyskać zaproszenie do naszego klubu superdziewczyn? – zapytałam Jurija, polewając kiełbaski musztardą.

– Pomyślałem, że pozwolę ci przebić ofertę, jaką dostałem. Uwzględniałaby ciebie całkiem związaną i w klatce – odpowiedział, nie odrywając ode mnie oczu.

– No proszę, a to ci nowina. Ktoś chce mnie sprzątnąć? Znowu?

Wzruszyłam ramionami.

– Nie masz być martwa. Za martwą nie dostałbym złotówki. Masz być żywa, ale unieruchomiona i zabezpieczona w magicznie wspomaganej klatce. Dość precyzyjne życzenie.

– Ktoś ma życzenie śmierci, widzę.

– Bardzo możliwe.

– A mówisz mi to, bo?

– Bo odchodząc z Zakonu, dostałem ofertę nie do odrzucenia. Gdyby mnie potrzebowali, miałem się pojawić na pojedynczy strzał. Wynegocjowałem tyle, że miałem prawo odrzucić zlecenie, jeśli kolidowałoby z moimi wcześniejszymi zobowiązaniami.

Starannie przeżuwałam, czekając, aż przejdzie do rzeczy. Bo jeśli miał kolidującą umowę, to nie ze mną. Wstał z leżaka i boso podszedł do stolika, przy którym siedziałam. Pochyliłam się odruchowo, by poła kurtki nie

utrudniała sięgnięcia do kabury. Pasek blokady odpięłam jeszcze na schodach. Tymczasem Jurij, jakby świadomy mojego napięcia, zatrzymał się dobry metr ode mnie, wyciągnął z tylnej kieszeni spodni zwiniętą na cztery kartkę i podał mi ją ostrożnie, trzymając ją w dwóch palcach.

– Co to jest? – zapytałam, odkładając talerz na blat i sięgając po kartkę.

– Nasza umowa.

– Na co opiewa?

– Nie wiem, zostawiłem wykropkowane wolne miejsce. Ale datowana jest na zeszły miesiąc. Więc sama rozumiesz, musiałem odrzucić zlecenie Zakonu.

Uśmiechnęłam się, rozumiejąc wszystko.

– A ile zamierzam ci zapłacić za tę wykropkowaną robotę?

– Stówkę. Rozumiesz, rekompensata za straty moralne z tytułu utraty zlecenia wycenionego na sześciocyfrową kwotę.

– Robisz się tani na stare lata. W paru zawodach to wydaje się regułą.

– Powiedz: „Dziękuję, Jurij, jestem zobowiązana”. I, proszę, wymyśl coś do wpisania w tę rubrykę. Tylko niech to nie będzie nic związanego z kotami czy remontem mieszkania.

Rozłożyłam kartkę i przebiegłam wzrokiem po skrajnie standardowych zapisach umowy. Nie widziałam kruczków i haczyków, żadnego zdania drobnym drukiem.

– Dlaczego?

– Bo jestem starą dziwką, która ma dość dymania, i znam cię wystarczająco dobrze, by się zastanowić, czy żądanie, by cię wziąć żywcem, nie było zakamuflowanym pocałunkiem śmierci dla mnie. A że przy okazji wystawia ciebie na ostrzał, co widzieliśmy chyba oboje równie dobitnie, skorzystamy, mając ich solidarnie w dupie.

– Kupuję to. Dobrze, mam dla ciebie sprawę. Jeśli sobie poradzisz, dopiszę ci zero do umowy.

Wyciągnęłam z torby słoiczek z kulą.

– Chcę wiedzieć, kto ją zrobił i zaklął. I kto ją kupił. Jeśli przy okazji się dowiesz, kto zlecił Zakonowi pośrednictwo, dorzucę szesnastoletniego whiskacza.

Obejrzał kulę, nie wyjmując jej ze słoiczka.

– Małe gówno. Czym zaklęte?

– Robalem. Nie miał mnie zabić.

– Myślisz, że inni wzięli zlecenie, które rozsądny były Cień odrzucił?

– Nie pierwszy raz. To jak coroczna selekcja naturalna w szeregach Zakonu. Ale jestem ciekawa, kto tym razem i o co mu chodzi.

– Czemu nie zajmiesz się tym sama?

– Mam sprawę do załatwienia poza miastem. A trop wystygnie w ciągu kilku dni.

Skinął głową i schował słoiczek do kieszeni spodni.

– Myślałem… – zaczął ciszej.

– Zaczyna się jak dowcip. – Mrugnęłam.

– Trochę tak jest. Któregoś dnia Cień postanawia odejść z Zakonu. Następnego dnia jest go zbyt mało, by rzucał cień. Znasz to?

– Obiło mi się o uszy.

– Jeśli jest tak, jak podejrzewam, i chcesz odejść… Być może znam sposób, by bolało mniej, niż musi.

– Dzięki, stary.

Robin klapnął na skrzynkę przy stoliku.

– Zjedliście? Może, żeby spalić kilka kalorii, pownosicie paczki z meblami? – Uśmiechnął się jak domokrążca.

Wnieśliśmy. A potem przez dwie godziny zgodnie składaliśmy meble, stopniowo zamieniając kawalerską norę Robina w dom. A mówią, że nasze życie nie jest normalne. Może nie jest, ale bywa. To był najbardziej „ludzki” moment w ciągu ostatnich pięciu lat.

Rozdział 4

Kiedy my składaliśmy meble, ciężkie burzowe chmury przysłoniły słońce, a powietrze zaczęło iskrzyć od przyczajonej czkawki.

Wygląda na to, że mieszkańcy Warsu, świętujący tydzień temu koniec sezonu burz, nieco pochopnie uznali, że wszystko uspokoiło się na dłuższy czas. Tymczasem była to jedynie krótka przerwa mająca tępić naszą czujność, tak by przy kolejnym uderzeniu magii więcej z nas dało się złapać w macki ciemnej energii.

Mijając kolejne domy, widziałam uwijających się magicznych wzmacniających zaklęcia ochronne wokół siedzib. Niektórzy montowali okiennice, pochopnie zdjęte ósmego dnia bez czkawki. To miasto dawało popalić optymistom jak żadne inne.

Przyspieszyliśmy, by załatwić nasze sprawy jeszcze przed przesileniem. Zaproponowałam Robinowi, by nocował u mnie. Jego mieszkanie wciąż miało dość delikatne osłony, a na zaklęciach ochronnych budynku wolałam nie polegać. Nie było gwarancji, że są wiele warte. Mój partner się zgodził, acz dość niechętnie, i spakował najpotrzebniejsze rzeczy do plecaka. Wiedziałam, że wolałby zostać u siebie i nacieszyć się świeżo urządzonym mieszkaniem, ale rozsądek zwyciężył. Przeżyliśmy w Sawie jedną noc z czkawką pod osłoną na szybko ustawionego kręgu ochronnego. Przetrwaliśmy, ale to raczej dzięki łutowi szczęścia. Było to mało przyjemne doświadczenie i zdarzyło się na tyle niedawno, by Robin nie chciał go powtarzać. Zbudowanie solidnych osłon w mieszkaniu zajmie kilka tygodni. Obiecałam mu, że zajmiemy się tym po powrocie z Norwegii. Ale tymczasem należało przygotować się do wyjazdu. Co oznaczało odwiedziny u Aleksa.

*

O tym, że jest wkurzony, wiedziałam jeszcze na ulicy. Dźwięk obijanego kowalskim młotem metalu rozchodził się jak pomruki Hefajstosa, który

znów przyłapał Marsa na poklepywaniu Afrodyty. Kiedy Aleks musiał odreagować, brał ciężkie narzędzia i robił mnóstwo hałasu. Może miało to coś wspólnego z genami goblina czy krasnoluda, o których posiadanie po cichu go podejrzewałam, a może po prostu potrzebował w coś pierdolnąć młotem, by poczuć się lepiej.

Dziesięć czy piętnaście lat temu poszedłby do knajpy, schlałby się na twardo i sprał po mordach lokalsów, ale od czasu starcia z moim ojcem robił, co mógł, by nie podejmować pochopnych decyzji, i starał się żyć zdrowo. Alkohol w dużych ilościach i rzucanie się w barowe burdy zostawił za sobą i wyżywał się w pracy. Jeśli teraz coś wkurzyło go naprawdę mocno, za kilka tygodni świat zobaczy kolejną autorską maszynę o surowej linii i arogancko sprawnej mechanice. Znałam takich, którzy, gdyby wiedzieli, że w takim stanie przystępuje do pracy z największym zapałem, płaciliby jego sąsiadom za wkurwianie go każdego dnia, byle tylko móc kupić potem jedno z jego dzieł.

Dałam znać Robinowi, by poczekał na zewnątrz. Jeśliby Aleks miał zamiar rzucać ciężkimi przedmiotami, wolałam go najpierw nieco ugłaskać, żeby znów nie beknąć za śmierć nowego partnera.

Schyliłam się, by przejść pod ciężką stalową bramą do garażu, którą podniósł tylko na taką wysokość, by swobodnie przejechać pod nią wózkiem. Nie był z tych, którzy ułatwiają życie innym bardziej, niż muszą.

– Ahoj! – krzyknęłam w przerwie między jednym a drugim uderzeniem młota.

W warsztacie zapanowała cisza – a więc mnie usłyszał. Nie wchodziłam dalej, czekając na zaproszenie. Nie zawsze miał ochotę na towarzystwo.

Nie wypytywałam, ale podejrzewam, że nie ja jedna miewam koszmarne sny po tamtej nocy. Zwłaszcza że mnie Ernst nie uszkodził kręgosłupa, przełamując go na kolanie jak zapałkę, i nie wyrzucił mnie przez okno. Nie wykrwawiałam się całą noc na powyginanych siłą uderzenia schodach przeciwpożarowych. Nie jeżdżę na wózku, który codziennie przypominałby mi o tym, co mi odebrano. Nie żebym go potrzebowała, by pamiętać, ale chyba było mi łatwiej. Mnie od dziecka przygotowywano na spotkanie z ojcem – Aleks znalazł się w złym miejscu i o złej porze, był wkurwiony, pijany i dał się zwerbować przesadnie entuzjastycznej rudej lasce na eskapadę, która odmieniła całe jego życie.

A może przesadzam i wkurzyło go coś prozaicznego, jak kiepska obsługa na poczcie czy „ta dzisiejsza młodzież”? Czasami mam wrażenie, że Aleks

nie wracał myślami do tamtego dnia tak często jak ja. Nauczył się żyć nowym życiem i wyciągał z niego, co najlepsze. Kiedyś mi powiedział, że pewnie było mu to wszystko potrzebne, by wreszcie wyprostować swoje sprawy i stanąć na nogi… metaforycznie rzecz ujmując.

– Będziesz tam tak sterczała? – zawołał po kilkunastu sekundach.

W części garażowej było ciemnawo. Po omacku mijałam zaparkowane samochody, zmierzając w stronę warsztatu na tyłach, gdzie Aleks pracował nad motocyklami. Na hydraulicznej platformie stał już całkiem wyraźny szkielet niskiego i rozłożystego choppera. Aleks musiał być zdenerwowany od dłuższego czasu, bo jeszcze kilka dni temu nie leżało w tym miejscu ani pół śrubki.

Aleks wyglądał na zmęczonego. Jego twarz była poszarzała, cienie pod oczami ciemniejsze niż zwykle, zmarszczki wokół ust i na czole wydawały się głębsze. Miał spojrzenie wkurzonego borsuka, ale gdzieś pod tym wszystkim widziałam jakąś jątrzącą się ranę, smutek, który czasami wypływał na powierzchnię, jakby zachowywanie pozorów przychodziło Aleksowi z trudem. Przez chwilę taksował mnie spojrzeniem odpowiedzialnego przyjaciela, który musi się upewnić, że wciąż mam obie ręce i obie nogi, a potem bez słowa podniósł z kowadła wygięty metalowy element nieodgadnionego przeznaczenia.

Podjechał zwrotnym, sportowym wózkiem do platformy i opuścił ją z cichym świstem hydraulicznych podnośników. Z bliska chopper wyglądał jeszcze bardziej drapieżnie.

– Przydaj się na coś i przytrzymaj to – powiedział Aleks, podając mi zakrzywiony element.

Przez kilka minut trzymałam go dokładnie tak, jak mi kazał, podczas gdy on oglądał szkielet maszyny pod różnymi kątami. Niezadowolony pomrukiwał coś niewyraźnie.

– Odłóż to – powiedział.

– W jakieś konkretne miejsce? – zapytałam.

– Gdziekolwiek, jest do niczego.

Wytarł ręce w stary podkoszulek i bez słowa wyjechał z warsztatu. Może to nie złość, a frustracja artysty? Nie zawsze potrafiłam to rozpoznać. Nigdy nie miałam wiele wspólnego ze sztuką, nie licząc zabijania, ale do tej akurat kwestii podchodziłam dość utylitarnie. Zresztą więcej miała wspólnego z destrukcją niż z kreacją. Nie bawiłam się w wymyślne modus operandi.

Poszłam za Aleksem, domyślając się, że za chwilę i tak wszystkiego się dowiem.

Zapalił światło w pomieszczeniu, które pełniło funkcję biura. Na stole stał komputer z dwoma ekranami, z których jeden podłączony był do systemu monitoringu na parceli (w jednym z okienek widziałam krążącego po podjeździe Robina). Na parapetach królowały segregatory z fakturami, zaś na niskim blacie – ekspres do kawy i mała lodówka ze szklanymi drzwiczkami, zza których wyglądały puszki napojów gazowanych i piwa. Wysokość wszystkich mebli dostosowano do poziomu, na którym poruszał się gospodarz. Aleks miał w nosie, że reszta świata musi się schylać – i całkiem słusznie: to była jego przestrzeń.

– Ślicznotka jest w pełni sprawna. Mam też coś dla twojego kumpla – powiedział.

Wyciągnął z lodówki puszkę coli, otworzył ją energicznie, aż piana spłynęła mu do łokcia. Wytarł ją, mamrocząc przekleństwa. Wciąż był do mnie odwrócony plecami.

– Aleks, co jest? – zapytałam wprost.

– Jestem, kurwa, bezużyteczny – warknął. – Wciąż myślę o tym, co planujesz zrobić, i wkurwiam się, że nie mogę być tam z tobą. A potem przychodzi do mnie szczeniak od sąsiadów i pyta, czy wiem, że chodziłaś po ulicy zalana krwią. Dwa dni z rzędu.

Westchnęłam. No tak – najpierw po powrocie z Sawy, a dziś po strzelaninie pod Zakonem.

– Jestem cała i zdrowa.

– Raczej nie na umyśle, młoda.

– Nie wymagaj zbyt wiele.

Prychnął i upił łyk coli. Ominęłam go i sięgnęłam po coś bez kofeiny. Usiadłam na niskiej ławce, spychając na podłogę klucze francuskie. Kolana podjechały mi niemal pod brodę, choć nie jestem wysoka. Musiało go bawić, kiedy przychodził tu jeden z klientów, a wielu z nich było jego dawnymi kumplami z klubów motocyklowych. Wielkie miśki w skórach musiały wyglądać komicznie na takiej niziutkiej grzędzie. Ja niewiele lepiej.

– Nigdy nie myślałam, że jesteś bezużyteczny, i wolałabym, żebyś sam o sobie też w ten sposób nie myślał – powiedziałam. – Pomagasz mi z czymś, z czym nie poradziłabym sobie sama. Z bieganiem i spuszczaniem łomotu sobie radzę, jestem w tym dobra. Ale maszyny mnie nie słuchają,

nawet Ślicznotka zaczyna bzikować, jeśli za długo jej nie głaszczesz. Możemy załamywać ręce nad tym, że ty nie chodzisz, a ja nie umiem nawet wymienić świec, choć dziesiątki razy pokazywałeś mi, jak to zrobić. Możemy też robić to, w czym jesteśmy dobrzy, i ignorować to, z czym sobie nie radzimy.

– Taka bystra, a jednak uparła się, by nadepnąć na ogon wszystkim świętym – powiedział z przekąsem.

– Którym świętym? Nic o tym nie wiem. – Uniosłam ręce w geście niewinności.

– I jeszcze myślisz, że jesteś zabawna?

– Mam swoje momenty. Ale widać niedomagam, bo ani ty, ani Zelda, ani moja matka nie uważacie, bym miała jakieś zdolności na tym polu. Tylko Robin zdaje się myśleć inaczej.

– Pewnie dlatego jeszcze żyje.

– Chyba go zatrzymam na dłużej, przy nim czuję się mniejszą ofiarą losu. Kto wie, gdy dokopiemy się do jego przeszłości, może się okazać, że miał bardziej pojebanych rodziców i dzieciństwo niż ja, a wtedy już nigdy się nie rozstaniemy, bo będzie mi przypominał, że mogło być gorzej. Optymizm na miarę naszych możliwości.

Pokręcił głową, ale w kąciku ust pełgał mu cień uśmiechu.

– Nie biegaj już zalana krwią po ulicach, dobrze?

– Okłamali cię. Przedwczoraj kuśtykałam, z całą pewnością nie miałam siły na bieganie. I to w większości nie była moja krew. Gdyby się przyjrzeli, zobaczyliby, że jest bardziej brązowawo-zielona niż czerwona.

– Wciąż mogli myśleć, że to twoja, kto cię tam wie, czym właściwie jesteś. – Uśmiechnął się wreszcie.

– Nie japońskim demonem, to raczej pewne, a tylko on wyszedł z tego starcia w kawałkach. Radzę sobie, naprawdę. A Robin trzyma gardę i chroni plecy. Nie martw się, staruszku.

– Jesteś cholernym wrzodem na dupie – powiedział, już bez śladu gniewu. – Zawołaj tego swojego kumpla, niech już nie wydeptuje ścieżki pod oknami. Powiecie mi, jaki właściwie macie plan, a potem obejrzymy wasze maszyny.

*

– Jesteś pewna, że nie lepiej wsiąść w samolot i w trzy godziny być w Oslo? – zapytał Aleks.

– Za łatwo byłoby mnie namierzyć. A na miejscu musiałabym wynająć samochód. Nawet pożyczając jakiś od Larsa, byłabym na widoku. I mrozi mnie myśl o pościgu samochodowym na norweskich drogach, które są jak pijane serpentyny z wysepkami do mijania. Na Ślicznotce łatwiej mi będzie zwiać, gdyby kogoś za nami przywiało.

– A jeśli znów będą do ciebie strzelać? – zapytał, wystukując rytm na podłokietniku wózka.

– W wypożyczalniach nie mają czołgów, więc w samochodzie też mam niewielkie szanse. Brzydala nie chcę brać, bo możemy się z Robinem rozdzielać i lepiej, by każde z nas miało własny środek transportu. Poza tym jazda dwoma samochodami od razu wzbudzi czujność. Jeśli zaczną strzelać, zrobię to, co zawsze: dodam gazu.

Pomruczał coś pod nosem, ale nie drążył tematu. Zajął się pokazywaniem Robinowi wszystkiego, co musiał wiedzieć o motocyklu, który dla niego podszykował. Sprawdziliśmy wcześniej – Robin potrafił jeździć na jednośladach i nie dotyczyło to wyłącznie rowerów. Prawdę mówiąc, na motocyklu radził sobie lepiej niż za kółkiem. Sądząc po jego wieku, może najlepiej czułby się w siodle, ale wyprawa do Norwegii na końskim grzbiecie przerastała moje wyobrażenie o dobrej zabawie.

Jego mózg działał całkiem zabawnie. Otóż Robin bez wysiłku odpalał motocykl, ale nie potrafił otworzyć puszki z napojem, idea zawleczki go przerosła. Potrafił strzelać z kuszy i łuku, ale nie tykał się broni palnej, bo eksplodowałaby mu w dłoniach. W Sawie w niespełna minutę oprawił królika, a do podgrzania gotowego dania w mikrofali potrzebował instrukcji. Może ostatnie dekady spędził w lodzie. Albo kosmosie. Gdzieś, gdzie nie pisano esemesów, nie było odtwarzaczy mp3, butów na rzepy, a kobiety nie pokazywały kolan. W Pozytywce dorobił się już ksywki Cnotka, prześmiewczej, ale podszytej sympatią. Dziewczyny uwielbiały to, że każdą z nich traktował jak damę i skromnie odwracał wzrok, by nie naruszyć ich godności, kiedy, tańcząc kankana, fikały nóżkami. Ale skąd by się nie urwał, był dobrym facetem i cieszyłam się, że nie jestem w tym bagnie sama. Gdyby dziś nie czekał na mnie pod Zakonem, możliwe, że już siedziałabym w klatce, o której wspominał Jurij.

Deszcz uderzył o szyby gwałtownym staccato. Wyjrzałam za okno i poczułam, że włoski na karku stają mi dęba.

– Staruszku, wrócimy jutro. Robin, zbieramy się!

Przerwali rozmowę w pół słowa.

– Aleks, jak twoje osłony? – zapytałam jeszcze, naciągając kurtkę na grzbiet.

– Równie dobre jak twoje, dziękuję, że pytasz. Aż tak źle?

Przytaknęłam. Niebo było czarne, burzowe chmury wisiały tak nisko, jakby brakowało im tylko centymetrów, by opaść na dachy niczym kurtyna. Deszcz wściekle zacinał, a magii pełzającej płytko pod ziemią zebrało się już wystarczająco dużo, by krople, odbijając się od zaklęć ochronnych, wprawiały w drżenie rozjarzone osłony.

Uliczne latarnie zamigotały, a potem po prostu zgasły. Elektrownia odłączyła prąd, by minimalizować straty i uszkodzenia linii. Czkawka była naprawdę blisko.

Nie mieliśmy daleko do domu, ale przeprawa nie należała do najprzyjemniejszych. Ziemia mruczała nam pod stopami, jakby szykowało się trzęsienie ziemi, a płyty tektoniczne robiły sobie właśnie małą rozgrzewkę przed większym wysiłkiem. Zasłona deszczu ograniczała pole widzenia, do tego nie świeciła żadna latarnia. Ulice stały się całkiem wymarłe. Wszyscy rozsądni ludzie siedzieli już w domach. A nierozsądni nie żyli zbyt długo.

Dom mojej sąsiadki wyglądał tak, jakby się spodziewała ostrego tsunami. Była wiedźmą powietrza i nie zdarzyło się, by się pomyliła. Jeśli opuściła we wszystkich oknach stalowe rolety, uznając, że drewniane okiennice nie wystarczą… bogowie, miejcie nas w opiece.

Minęłam pierwszy krąg, kamienny, posyłając w jego stronę impuls energii. Zabrzęczał uspokajająco. Drugi krąg odświeżyłam przed wyprawą do Sawy. Był zbudowany z żelaza, zdolny wytrzymać naprawdę wiele. Trzeci tworzyły wypełnione wodą miedziane rury. Właśnie dlatego wybrałam ten dom – miał dość dużą działkę, by móc zamontować najlepsze kręgi ochronne, jakie opisano w literaturze fachowej. Jeśli gdziekolwiek w Warsie miałam być bezpieczna, to właśnie tu.

Przemoczeni krążyliśmy po domu, upewniając się, że wszystkie okna i drzwi są zamknięte, a nałożone na nie zaklęcia ochronne – aktywne.

I choć moje kręgi szumiały stabilną mocą, nie czułam się spokojna. Coś wisiało w powietrzu. Ręce mnie świerzbiły, złapałam się na tym, że odruchowo sprawdzam, czy Inkwizycja gładko opuszcza kaburę. Włożyłam ją z powrotem, ale nie zapięłam paska blokady. Nie istniało nic, co

mogłabym jeszcze zrobić, by dom był bezpieczniejszy. Sprawdziłam alarm. I jeszcze raz sprawdziłam klamki okien. Cholera, coś się szykowało. Nie wiem, czy Robin też to wyczuwał, czy tylko udzielała mu się moja nerwowość.

Rozeszliśmy się do sypialni, by się przebrać. I choć założyłam domowe dresy, pod rozsuwaną bluzą wciąż miałam uprząż z kaburą. Intuicja to coś, czego nie należy ignorować. Nie w moim zawodzie. Nie, gdy mieszka się w Warsie. I nie, jeśli nad miasto nadciąga czkawka o sile sztormu.

Przez okratowane okno oglądałam naszą małą apokalipsę, zastanawiając się, ilu tym razem nie przetrwa i jak źle będzie na ulicach rano. Ile kręgów nie wytrzyma? Ile osób pochwyci magia, zmieni się w potwory? Ile straci życie, gdy w potwory zmienią się ich bliscy? Spodziewałam się telefonów od świtu. Dzięki nocom takim jak ta od dawna nie groziło mi ubóstwo. W Warsie nawet najmilsi ludzie, o ile tacy tu mieszkali, całkiem regularnie potrzebowali zabójcy. Znali mnie i uderzali bezpośrednio, nie marnując pieniędzy na pośrednictwo Zakonu.

Grzmoty i błyskawice przeplatały się w widowisku „światło i dźwięk”. Nagle przez kakofonię przebił się huk głośniejszy od pozostałych, a moją uwagę przyciągnął intensywny rozbłysk. Kilka domów na lewo piorun uderzył w drzewo stojące na podwórzu. Płomienie szybko zgasły, zalane deszczem, ale osłabiony, rozszczepiony pień zachwiał się i runął na ziemię. Kolejny błysk światła i już po ochronnym kręgu, zakorzenionym w drzewie. Żywe kręgi były zwykle silniejsze i mocniejsze – o ile to, co pełniło funkcję cumy, nie padało martwe. Ucisnęłam palcami nasadę nosa, czując nadchodzący ból głowy. Trzyosobowa rodzina właśnie straciła dziewięćdziesiąt procent szans na przeżycie, wystawiona na działanie żywiołów i czkawki.

Wiedziałam, że nie zasnę, więc zeszłam do piwnicy, przyświecając sobie lampkami kempingowymi, które na taką okoliczność miałam porozstawiane w całym domu. Przynajmniej zdążyłam już odbudować część mięśni spalonych podczas przemiany w Pana B. Położyłam Inkwizycję w zasięgu ręki, na ławeczce, razem z bluzą.

Wyciskając z siebie siódme poty podczas wymachów kettlem, próbowałam raz jeszcze rozgryźć, co właściwie się dzieje wokół mnie i dlaczego znów jestem na celowniku. Co takiego się wydarzyło, co zmieniło układ na szachownicy? I kto za tym stał? Matka? Ktoś inny? Czemu teraz? I skąd takie zainteresowanie moim DNA, by ktoś postanowił

się szarpnąć na drogiego robala szpiegowskiego? Zamarłam na chwilę, w pół powtórzenia. Czy ktoś w Zakonie wpadł na trop mojego pokrewieństwa z Matką Przełożoną? Czy to by wystarczyło? Może wcale nie chodziło o mnie, ale o nią? Wróciłam do ćwiczeń. Nie mając nowych danych, mogę tylko gdybać, a i bez tego problemu miałam sporo na głowie. Zwiększyłam obciążenie, skoro mój mózg zaczynał odpływać w rejony Ture i Ernsta.

Prawie godzinę później dołączył do mnie Robin. Po gorącym prysznicu buchał ciepłem. Włosy i brodę miał rozczochrane i nie zawracał sobie głowy szukaniem grzebienia. Boso, w koszulce bez rękawów i wiszących nisko na biodrach dresach aż się prosił o łomot.

I go dostał, ale nie bez wysiłku z mojej strony. Jego pamięć mogła szwankować, lecz ciało pamiętało wszystko, czego się nauczyło – z całą pewnością nie pracował jako archiwista. Był silny, szybki, perfidny w zwodach i podstępny w chwytach. Mieszał sztuki walki i techniki, jak sama miałam w zwyczaju. Znak, że przeszedł kiedyś wszechstronne i różnorodne szkolenie, podczas którego chodziło o to, jak komuś zrobić krzywdę, nie o filozofię. Nie spędzał wiele czasu na siłowni, a jednak jego ciało miało sprężystość i siłę atlety. Byłam niemal pewna, że jego budowa w jakiś sposób łączy się z magią, którą włada. Kształtowanie ciała, tak by było kompatybilne z rodzajem magii, stanowi jej najbardziej oczywistą manifestację. Stąd powabne kształty u sukubów, szerokie biodra stworzone do rodzenia dzieci u wiedźm ziemi, a także łatwość przybierania masy mięśniowej u takich jak ja. Zdecydowanie nie jest sypialnianą zabawką – pomyślałam, kiedy jego kopniak trafił mnie w biodro i posłał z impetem na matę.

Po trzeciej nad ranem uścisnęliśmy sobie dłonie i rozeszliśmy się do swoich sypialni, spoceni jak prosięta w sierpniowy wieczór, uczciwie poobijani i zmęczeni wystarczająco, by zasnąć, choć za oknami wciąż szalała czkawka. Ta zresztą powoli puszczała. Drżenia pod stopami były rzadsze, a szyby przestały wibrować przy każdym wstrząsie. Ulewa przeszła w deszcz, a grzmoty i pioruny przeskoczyły na drugą stronę rzeki. W Sawie czkawka właśnie się zaczynała.

Wzięłam szybki prysznic i wpakowałam się do łóżka. Odruchowo położyłam Inkwizycję pod poduszką – niezgodne z zasadami BHP, ale bardzo rozsądne, uwzględniając moje doświadczenia.

*

Szarpnięcie wyrwało mnie z twardego snu. Zupełnie jakby ktoś chwycił mnie za włosy i wyrwał ze świata. Ból rozlał się po całym moim ciele, a potem przyszło drugie szarpnięcie i tąpnięcie, jak stłumiony wystrzał.

W ułamku sekundy byłam poza łóżkiem, z bronią w dłoni, bo dotarło do mnie, co się dzieje. Pierwsze szarpnięcie mogłam zignorować – coś naruszyło zewnętrzny krąg. Mogło to być cokolwiek – pies czy inny zwierzak, który ucieknie, gdy poczuje impuls magii, pijak zataczający się na mój trawnik, który zetknięcie z kręgiem będzie wspominał jak randkę z paralizatorem. Ale ani człowiek, ani zwierzę nie powinni przekroczyć drugiego kręgu – a to właśnie się stało. Moja magia wylewała się i wsiąkała w trawnik przed domem, wraz z wodą chlustającą z miedzianych rur. Odcięłam się od nich, by nie wydrenowały moich zapasów magii. Magiczne linie Warsu bywały łapczywe.

Nie zapalając świateł, podeszłam do panelu systemu alarmowego przy drzwiach – żadnych światełek, żadnego alarmu. Jasna cholera! System alarmowy miał osobne zasilanie, nie był zależny od miejskiej sieci elektrycznej, więc powinien działać. Pacnęłam się w czoło. Włamanie na komputer. Karma skupiła się na tym, czego szukali na moim komputerze, a może ważniejsze było, co zostawili. Mój kosztowny system alarmowy był zjarany jak szesnastoletni miłośnik reggae.

A mój dom stracił status twierdzy. Ściany zewnętrzne budynku tworzyły co prawda formę wystarczająco zamkniętą, by pełnić funkcję okręgu, do tego zostały wzmocnione stalową opaską obejmującą fundamenty domu. Miały jednak bardzo konkretny słaby punkt – drzwi i, w mniejszym stopniu, okna. Było kwestią chwili, nim ktoś zacznie je forsować. A ja będę na niego czekać.

Skradając się po schodach na parter, usłyszałam szelest, przystanęłam i nasłuchiwałam, gotowa przestrzelić dupę każdego, kto wtargnął na mój teren. Dobiegł mnie cichy odgłos, który słyszałam często, odkąd w moim życiu pojawił się Robin – dźwięk naciąganej cięciwy i cichutkie kliknięcie, gdy bełt znalazł się na swoim miejscu.

Skuliłam się i w takiej pozycji pokonałam resztę schodów. Wyłapałam ruch po lewej stronie. Nagle poczułam gwałtowną potrzebę, by kupić sobie noktowizor. Zwykle wystarczało, że na akcje brałam coś ze zbrojowni Zakonu, ale skoro akcje przeniosły się na moje włości…

– Robin – szepnęłam.

– Jestem – odpowiedział, skradając się w moim kierunku.

Skoncentrowałam się na osłonach. Pierwsza została mocno naruszona, wciąż wibrowała obcą, agresywną energią. Druga była w kawałkach, magia przelewała się przez nią strumieniem. Po trzeciej nie został ślad – zaklęta woda zmieniła się w błoto i nie miałam z niej żadnego pożytku.

– Zaraz będą w domu – szepnęłam. – Widziałeś cokolwiek? – zapytałam, bo okno gościnnej sypialni wychodziło na podjazd, podczas gdy moje na tyły.

– Trupy na trawniku, mocno zniekształcone. Dużą furgonetkę po drugiej stronie ulicy. Kilka osób w czarnych mundurach, z bronią automatyczną.

Łomot wyważonych drzwi i wrzuconego do środka granatu hukowego zatrząsł szybami i pewnie rozsadziłby mi bębenki, ale Pan B. uznał, że dość już całego tego cackania.

W ułamku sekundy wszedł w tryb bojowy, kojarząc atak i huk z polem bitwy. Wszystko przebiegło dziwnie – bez bólu, bez przemiany rozrywającej bebechy, bez krzyku. Nie czułam, że gaśnie mi światło. Przeciwnie, widziałam wszystko jaśniej, jakby aktywował mi się tryb nocnego widzenia. Nie rozróżniałam kolorów, ale do zabijania nie potrzeba kolorów. Wciąż trzymałam Inkwizycję i myślałam jak człowiek. Ale to było jak największy odlot życia, a nie roztrzaskująca świadomość, agonia. Jakby Pan B. dał mi całą swoją siłę, nie wyrzucając mnie z własnego ciała.

Nie wiem, czego się spodziewali napastnicy po przekroczeniu progu, ale raczej nie wkurwionej laski, która nie zamierza się kłaniać kulom.

W moim słowniku nie istniało słowo „strach”. „Wściekłość” owszem. Wtargnęli do mojego domu, naruszyli prywatność. W żyłach krążyła mi lawa, podgrzewając ciało do temperatury znacznie przekraczającej czterdzieści stopni.

Robin posłał strzałę w krtań pierwszego, który przekroczył próg. Zastrzeliłam kolejnego, a nim trzeci się zorientował, co się dzieje, wciągnęłam go do środka i uderzyłam jego głową o ścianę z taką siłą, że równie mocno uszkodziłam czaszkę, co tynk.

Czwarty napastnik chyba oszalał, bo sięgał do kabury przy pasie po broń krótką, choć w dłoni trzymał długolufową. Nie rozumiałam tego, ale strzeliłam mu w czoło, nim zdołałby mi to wyjaśnić.

– W samochodzie jest jeszcze jeden – zawołał Robin, klęcząc na kuchennym blacie. – Nie wychodź w tym stanie, zdejmę go stąd.

Bezszelestnie otworzył okno, wymierzył i posłał gruby bełt w ciemną noc. Zeskoczył z szafki; jego bose stopy niemal nie wydawały dźwięków, gdy szedł po kafelkach.

– Sprawdzę tyły – powiedział i wyminął mnie, nawet na mnie nie spoglądając.

Dotknęłam wielką dłonią zniekształconej twarzy. Kurwa. Opadłam na kolana, oddychając szybko jak w ataku paniki. Nie zmieniłam się całkiem, wciąż byłam bardziej Nikitą niż berserkiem, ale nikt by się nie nabrał. Oddychaj powoli, nakazałam sobie. Płuca paliły mnie, jakbym się nałykała dymu.

– Już lepiej? – zapytał Robin, po minucie… a może po godzinie?

Wszystko zastygło. Oddychałam wolniej. Żar ustąpił.

Byłam przytomna i byłam sobą. Głównie.

Nagle uświadomiłam sobie dziwny fakt. Przez wszystkie lata, które minęły od uaktywnienia się mojej drugiej natury, berserk tylko dwa razy ustąpił pokojowo, wycofując się, zanim wyczerpał mnie do cna: w Sawie, kiedy porwali nas ludzie Ture, i teraz. Wczoraj w komorze potrzebowałam run Odyna i jesionowych paneli, by oprzeć się jego woli. A dziś po prostu się cofnął. Do tego ograniczył przemianę do minimum, przez cały czas byłam sobą.

Obie sytuacje miały dwa wspólne elementy. Pierwszy to zagrożenie życia. Drugi – Robin.

Nie wiedziałam, co o tym myśleć, ale naprawdę musiałam porozmawiać o swoich podejrzeniach z Kosmą.

– Lepiej – powiedziałam ochrypłym głosem. Przyjęłam dłoń, którą mi podał, i wstałam z podłogi. – Dzięki.

– Nie ma o czym mówić. Ale uważaj z tym przy obcych.

Przytaknęłam. Matka, przy całej swojej sztywnej perfekcji, posikałaby się ze szczęścia.

– Weź latarki z szuflady, trzeba posprzątać i sprawdzić, co właściwie zrobili z osłonami, bo nie słyszałam o niczym, co działałoby w ten sposób – powiedziałam spokojnie, ciesząc się, że zęby mieszczą mi się już w ustach.

*

Rzut oka na broń napastników wyjaśnił mi idiotyczne zachowanie faceta, który, ściskając w dłoniach karabin, sięgał po broń krótką. W beretcie przy

pasku miał ostrą amunicję, w karabinie – strzałki usypiające. Jurij się nie mylił, chcieli mnie żywą.

Wyciągnęliśmy wszystkich niedoszłych porywaczy przed dom i po kolei zawlekliśmy bezwładne ciała na tył furgonetki, do – poczekajcie, udam zdziwienie – klatki wzmocnionej zaklęciami. Zatrzasnęłam jej stalowe drzwiczki. Kosztowała równowartość miesięcznej pensji najemnika. Ile spodziewali się za mnie dostać, skoro zainwestowali w sprzęt? Nie należała do Zakonu, przy zamku nie było sygnatury magazynowej zbrojowni. Za to dwóch z kolesi, obecnie leżących w kałuży krwi na jej dnie, znałam z Zakonu. Świeży nabór, może sprzed roku czy dwóch? Wyjęłam komórkę i sfotografowałam twarze napastników. Nie mieli przy sobie żadnych dokumentów, a ja byłam ciekawa, kto ich na mnie napuścił. Wysłałam zdjęcia do Karmy, choć sieć po czkawce była kapryśna i dopiero w ciągu kilku godzin ustabilizowałaby się na tyle, by dostarczyć wiadomość.

Sprzątanie bynajmniej nie miało się ku końcowi. Podeszłam ostrożnie do stosu ciał leżących na granicy zewnętrznego, kamiennego kręgu ochrony. Wilkołaki, co do sztuki. Najpewniej z ostatniej nocy. Nie przeżyły żadnej pełni, wciąż były niekształtne, jakby zdeformowane i spotwornione przez magię, która jeszcze nie uformowała ich w skutecznych zabójców. Na razie zrobiła z nich przerośniętą krzyżówkę ludzi i wilkołaków, z plackami gładkiej skóry na pokrytych sierścią ciałach. To właśnie wypełniona buzującą ciemną magią Warsu krew wilkołaków przełamała mój kamienny okrąg. Nigdy nie słyszałam o kimś, kto sięgnąłby po taką metodę, ale musiałam przyznać, że była całkiem logiczna. Moje zaklęcia, nawet najsilniejsze, nie były tak potężne jak magia miasta, która w czkawkowej zwyżce potrafiła w ułamku chwili zmutować człowieka w coś, co akurat sobie wymyśliła. Owszem, kręgi chroniły mnie przed czkawką, po to istniały. Ale czkawka była jak powódź, jak wezbrana rzeka. Krew pięciu wilkołaków spływająca z poderżniętych gardeł bezpośrednio na krąg miała siłę armatki wodnej. Nie wiedziałam, czy to któryś z zabitych najemników okazał się takim cwaniaczkiem, czy mieli wspólnika, ale to było niezłe. Postanowiłam zapamiętać tę metodę na przyszłość.

Rozumiałam już, jak poradzili sobie z zewnętrznym kręgiem, ale to, co zrobili z wewnętrznym, zaskoczyło mnie nawet bardziej. Żelazny krąg został wysadzony. Pośrodku trawnika ział lej jak po bombie. Jeśli rzeczywiście była to bomba, poza materiałami wybuchowymi sprawcy

musieli użyć magii. Wszystkie przeszkody pokonali z brutalną skutecznością w zaledwie kilka minut. Bardzo precyzyjna robota i solidne rozeznanie.

Po pierwsze, musieli dokładnie określić, w którym miejscu przebiega żelazny krąg, a w którym miedziana rura z wodą. Nawet jeśli czytali te same księgi co ja, rytuał ochronny nie był precyzyjny co do milimetra, nie mogli więc wyliczyć odległości „na logikę". Żelazo zakopano na głębokości dwóch metrów, akurat poniżej zasięgu większości wykrywaczy metalu. Z myślą o nich na trawniku miałam pozakopywane różne kawałki żelastwa: puszki, kapsle, odłamki, by nikt nie zdołał precyzyjnie wskazać kręgu. Mimo to zdołali tego dokonać. A potem rozwalili go czymś, co wbiło się w ziemię na głębokość dwóch metrów, pozostawiając ziejący krater.

Miedziane rury biegły płycej – metr pod powierzchnią, ale krater był głębszy. Podchodził wodą z przerwanej instalacji. Nie miałam pojęcia, co to spowodowało, z pewnością jednak było piekielnie szybkie – między obydwoma szarpnięciami minęły dwie, może trzy minuty. Jeśli matka miała nową zabawkę, zdecydowanie zapomniała się nią pochwalić.

Przy żadnym z najemników nie znalazłam nic, co wyglądało jak narzędzie do zrobienia „bum". Ich zachowanie, gdy przypuścili atak na dom, było niezborne i mało efektywne. Raczej nie byli wystarczająco bystrzy, by rozgryźć to wszystko. Stawiałam na to, że od myślenia mieli kogoś innego, kto odjechał z zabawkami, kiedy przyszła kolej na wyniesienie mnie z domu. Miałam być uśpiona i skuta, co mogło pójść nie tak?

Kiedy patrzyłam na mój rozorany trawnik, na bezużyteczną kupę kamieni, na odłamki żelaza w leju po bombie i na wszechobecne błocko, coś we mnie pękło. Wszystko to kosztowało mnie tyle pracy. I co ważniejsze – dawało mi poczucie bezpieczeństwa.

A wewnątrz domu była co najmniej jedna rzecz, której istnienie musiałam utrzymać w tajemnicy. Komora.

Wiedziałam, że naprawienie osłon zajmie mi wiele godzin. Naprawdę wiele – przy założeniu, że pojawią się skoki magii. Nie miałam tyle czasu.

Miałam za to natrętne przeczucie, że ktoś mnie obserwuje. Czyjeś spojrzenie kłuło mnie w kark. Zerkałam dyskretnie w stronę sąsiednich budynków, lecz większość okien zabezpieczono okiennicami i roletami, do tego było za wcześnie, by ktoś się kręcił na zewnątrz. Po czkawce

pojawiały się wtórne wstrząsy, czasem cofka, więc bezpieczniej poczekać w domu.

A jednak coś nie dawało mi spokoju.

Robin dołączył do mnie na trawniku, z kuszą w dłoni. Też musiał coś wyłapać. W przeciwieństwie do mnie nie przyglądał się oknom sąsiadów, lecz od razu przeszukiwał niebo. I były tam: dwa nienaturalnie wielkie kruki jak sępy unosiły się wysoko nad naszymi głowami.

– Mam je zestrzelić? – zapytał.

– Lepiej nie. Cholera wie, czym są, czyje są i czym by się to skończyło. Bóstwa lubią kruki, trafi nam się wrażliwiec i będą kłopoty.

Przyniosłam z garażu wiadro wody i spłukałam z kamieni krew wilkołaków. Odbudowanie tego kręgu było najprostsze. Mogłam zakotwiczyć w nim klątwę dla każdego, kto spróbowałby się dostać do domu. Musiałam ostrzec sąsiadów, bo takie zabezpieczenia uderzą równie mocno włamywacza, co dzieciaka, który zgodnie ze swoją kocią naturą przyjdzie powęszyć. Poprawne relacje z wiedźmą z posesji obok skończyłyby się jak uciął nożem, gdybym uwędziła klątwą jej czterolatka.

W pół godziny wyczyściłam kamienny krąg z wilkołaczej magii i założyłam swoje zaklęcia. Klątwę zakotwiczyłam własną krwią – nacięłam palec i upuściłam po kropli na kamienie wyznaczające strony świata. Prymitywne, ale nie miałam czasu ani siły na finezję.

Robin w tym czasie naprawiał drzwi, które wykopali najemnicy. Musiał przybić dechę, by zawiasy trzymały się stabilnie na miejscu. Był pomysłowy, a drzwi nawet dało się zamknąć. Bystrzak.

Popatrzyłam na swój dom. Lubiłam go. Przywiązałam się do niego. Po wszystkich tych latach, kiedy nie czułam więzi z żadnym miejscem, dawał mi poczucie bezpieczeństwa. Albo pozwalał żyć złudzeniami. Matka powiedziałaby, że płacę za własną głupotę i powinnam teraz spalić go do fundamentów – choćby dlatego, że stał się moją słabością. Nie miałam czasu przenieść komory, a nie było mowy, bym spaliła jesionowe panele z runami zaklęcia. Były jedyne w swoim rodzaju i zajęło mi wiele lat znalezienie rzemieślnika, który władał dłutem równie dobrze jak magią i który potrafił je wykonać wedle wskazówek zapisanych na pradawnym zwoju, wedle legendy – przez samego Odyna.

Mogłam odżałować ściany, obrazki czy meble, ale nie komorę, która jako jedyna pozwalała mi kontrolować Pana B.

– Dasz radę spakować się w godzinę? – zapytałam Robina.

– Jestem spakowany. A ty?

Uśmiechnęłam się pod nosem. Tak, byłam, od dwóch dni. A nawet gdybym nie zdążyła, po drodze miałam kilka skrytek z ciuchami i bronią.

Z sakwami pełnymi podstawowych drobiazgów zajrzeliśmy do Karmy, by odebrać dokumenty Robina. Ilia zniósł je na dół, nie wpuszczając nas za próg.

– Karma śpi, pierwszy raz od tygodnia. Obudź ją, a zabiję cię bez mrugnięcia okiem – oświadczył z przekonaniem.

Mogłabym się z nim kłócić, ale śpieszyło nam się dość, by zignorować ten brak gościnności.

Aleks dopieszczał w garażu jakieś drobiazgi przy Ślicznotce. Obok stał ciężki, smukły motocykl przypominający bękarta ze związku harleya z junakiem. Miał charakter i widać było, że włożono w niego sporo uczucia. Nic dziwnego – ponad dekadę temu jeździł nim Aleks, kiedy jeszcze nie miał uszkodzonego kręgosłupa.

Podeszłam i uściskałam starego zrzędę.

– Nie podoba mi się to – mruknął. – Nie wiem czemu, ale to wszystko nie pachnie dobrze. Mam sny, w których spadasz w przepaść.

– To pewnie tylko metafora mojego nieistniejącego obecnie życia seksualnego. Skoro latanie jest jak orgazm…

– Żartuj sobie, ale jeśli po powrocie będziesz potrzebowała czegoś takiego – poklepał podłokietnik wózka – osobiście wsadzę ci sztachetę w szprychy.

– No coś ty. Zabierz takim jak ja możliwość ucieczki przed ostrzałem, a szybko nie będzie czego zbierać.

– Znów myślisz, że jesteś zabawna.

Robin nie zabrał głosu, gdy został wezwany na arbitra reputacji mojego dowcipu. Może zamiast partnera powinnam mieć psa – one zawsze kochają swoich właścicieli, a każdy dzień traktują jak cudowną przygodę. Z drugiej strony ich miłość to mnóstwo śliny i pożartych skarpet, więc Robin może jednak stanowił lepszy wybór. Zwłaszcza że też był ze schroniska.

Przed samym odjazdem zadzwoniłam do matki. Odebrała po pierwszym sygnale.

– Co się dzieje? – zapytała, wyraźnie zdenerwowana.

– Czemu pytasz?

– To szarpnięcie…

– Drobiazg, nic, z czym sobie nie poradziłam – ucięłam, choć zaniepokoiło mnie, że po tym wszystkim, co się stało, wciąż jesteśmy wystarczająco związane na poziomie magicznym, by coś poczuła, gdy runęły moje kręgi. – Jeśli to ty wysłałaś za mną zabójców, są upakowani w furgonetce przed moim domem. Zabierz ich, zanim okoliczne dzieciaki nabawią się traumy. Jeśli nie ty im to zleciłaś, tym bardziej wpadnij na Kasztanową i zobacz, jak twoi ludzie kombinują na boku. Coś się kroi i jeśli nie siedzisz w tym po uszy i nie kierujesz całą, kiepsko, jak dotąd, prowadzoną akcją, może powinnaś się zainteresować tematem. Zastanowić się, kto i dlaczego chce mnie żywą. I przeciw komu mógłby użyć zdobytej w ten sposób wiedzy.

– Gdybym kogoś za tobą wysłała, byłyby to automaty. Są bardziej wiarygodne. Ale nie wiem, o czym mówisz, Erynio, naprawdę nie wiem.

Pierwszy raz od dwudziestu kilku lat wypowiedziała moje prawdziwe imię. To, którego pierwsza sylaba wiązała mnie na zawsze z moim ojcem, Ernstem. I moim bratem, Erwinem. Nie wiem, czemu była taką idiotką, by właśnie w tej chwili mi o tym przypominać.

– Nadrabiaj. Pamiętaj, co mi mówiłaś o tych, którzy są drudzy na mecie.

Rozłączyłam się, nim zdążyła odpowiedzieć. Tak, nieco szczeniackie, ale po tym poranku nie miałam siły na kolejną dramę.

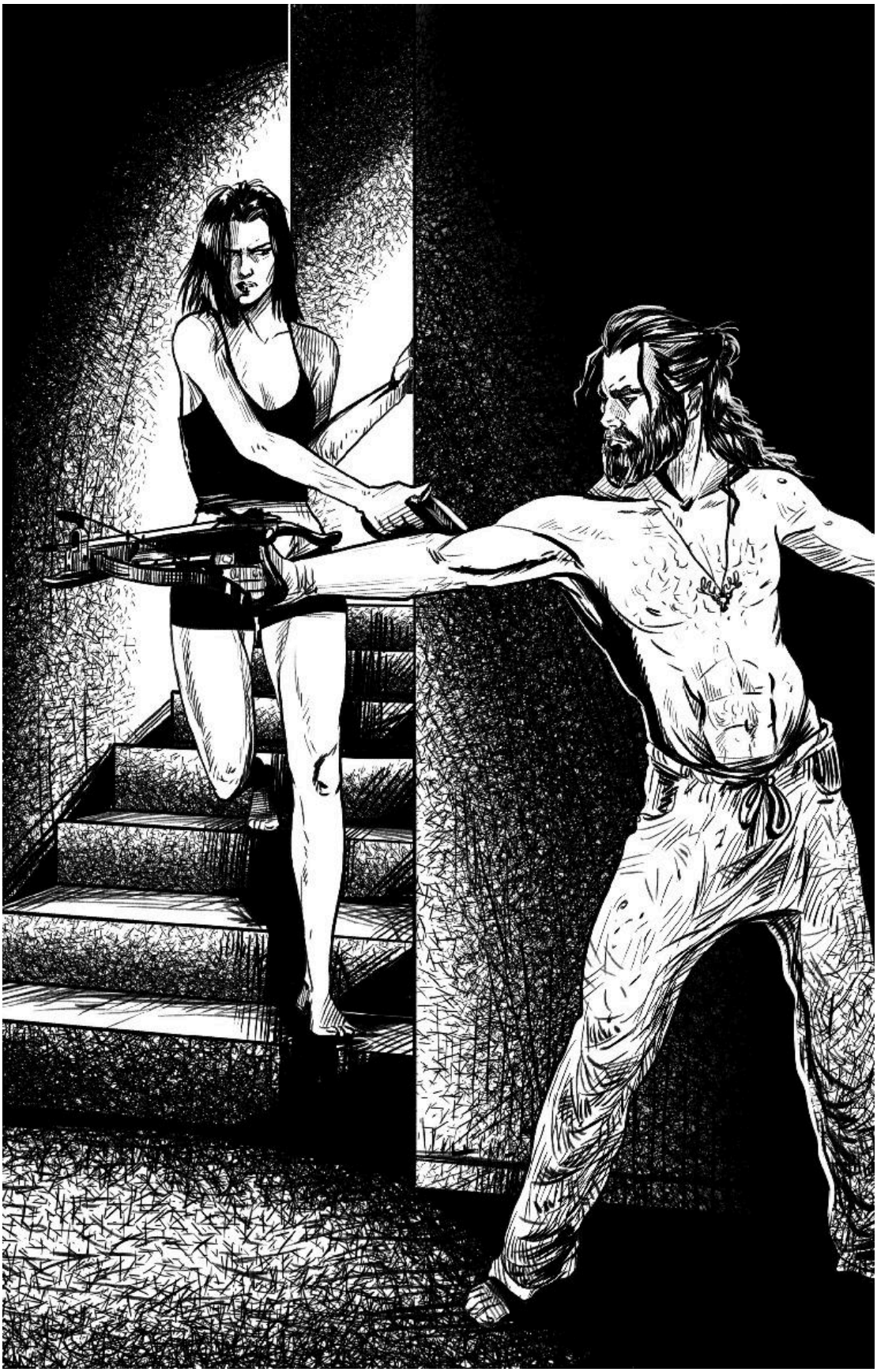

Rozdział 5

To było cholernie odświeżające, pomyślałam, stojąc dwie godziny później na stacji benzynowej i napełniając bak Ślicznotki. Zsunęłam kask i przeczesałam dłonią włosy. Miałam wrażenie, że przez ostatnie niespełna dwieście kilometrów wywiało mi z głowy połowę trosk. Ostatnio za rzadko to robiłam. Świat mógł się walić i palić, ale motocykl dawał mi wolność, której nie oddałabym za nic.

Byliśmy blisko połowy trasy między Warszawą a Gdańskiem. Jechaliśmy oczywiście po realnej stronie, bo na alternatywną wyprawę rozdrożami zdecydowaliby się tylko nieliczni desperaci albo tacy, których magia nie potrzebowała zagęszczenia linii i którzy byli odporni na to, jak dezorientująca jest alternatywna strona, gdy kończą się światła miast i znajome ciepło linii.

Nie wiem jak Robin, z jego dziwną magią, ale ja bym się zgubiła jak Andzia w grochu. Raz, niedługo po pierwszej przemianie, porwałam się na włóczęgostwo alternatywnymi bezdrożami. Byłam w złej formie, nie mogłam spać, wciąż mi się wydawało, że Ernst wróci lada chwila. Uspokajałam się tylko w ruchu. I nagle zorientowałam się, że nie wiem, gdzie jestem. Kompas nie działał, mapa zmieniła się w białe plamy. A ja nie potrafiłam wrócić.

Gdyby nie pomoc faceta, którego magia kochała bezdroża, pewnie nigdy nie zdołałabym się wydostać, zapętlona na ścieżkach żywego lasu czy w labiryntach dróg, z których tylko nieliczne prowadzą tam, gdzie chcesz trafić. W porównaniu z tym jazda autostradami między Warszawą a Gdańskiem to bułka z masłem, w dodatku całkiem przyjemna. Wciąż było dość ciepło, by śmiganie motocyklem nie kojarzyło się z torturą, ale dość chłodno, by nie odparzać tyłka w kombinezonie.

Na stanowisku obok, przy dystrybutorze z najdroższą benzyną, zatrzymał się rodzinny samochód. Jeden z tych, które kupują ludzie podchodzący do prokreacji ultrapoważnie i dopóki nie mają małej drużyny siatkarskiej, czują się niespełnieni życiowo. Kobieta wysiad-

ła pierwsza. Kiedy otworzyła drzwi od strony pasażera, ze środka dobiegły krzyki i szum, jaki potrafi zrobić tylko spora grupka maluchów. Przez przyssane do szyby przysłony z disnejowskimi księżniczkami nie wiedziałam, ile ich tam jest, ale uszy podpowiadały mi, że rodzice wykorzystali pojemność samochodu do oporu. Kobieta potarła twarz i odsunęła drzwi w tylnej części samochodu. Sprawnie poodpinała pasy w fotelikach trójki dzieci, z których najstarsze pewnie jeszcze chodziło do przedszkola. Wysypywały się z samochodu, nieustannie trajkocząc, a matka starała się je poskromić, chwytając za kaptury bluz, gdy któreś wyrywało się poza zasięg jej rąk.

– Tylko siku, żadnego picia! – zakomenderowała, prowadząc szarańczę w stronę budynku niczym władca marionetek.

Kierowca wysiadł z samochodu, gdy tylko oddalił się hałas. Trzymając węża z paliwem w otworze baku, zdawał się czerpać otuchę z monotonnego i stosunkowo cichego szumu dystrybutora.

Robin wrócił od kasy, gdzie zapłacił legalną i zapewne śledzoną w Zakonie kartą kredytową. Podał mi butelkę z napojem izotonicznym i przez chwilę po prostu piliśmy, wygrzewając twarze w zaskakująco ostrym słońcu. Nagle rozsunęły się automatyczne drzwi i przed stację wysypała się grupa przedszkolaków. Pierwsza wybiegła dziewczynka z długim, jasnym warkoczykiem powiewającym jej za plecami. Upajała się tym, że jej matka miała tylko dwie ręce, obecnie zajęte przytrzymywaniem reszty potomstwa i wielkiej reklamówki z chrupkami i soczkami.

Gdzieś w połowie dystansu między budynkiem stacji a samochodem mała zmieniła zdanie i puściła się pędem w naszą stronę, wpatrując się w Robina jak zaczarowana. Kiedy przed nami stanęła, bez cienia skrępowania, z uniesioną głową i ustami rozciągniętymi w szczerbatym uśmiechu, zapytała:

– Czy jesteś seryjnym zabójcą?

Robin pochylił się ku niej i powiedział:

– Ja nie, ale ona – tu kiwnął głową na mnie – to już całkiem inna sprawa.

Nagle zyskałam w oczach dziewczynki nieco atrakcyjności. Zwróciła ku mnie wielkie, prawie granatowe oczyska i powiedziała:

– Zjadasz ich, jak już są martwi?

Robin parsknął śmiechem. Zdołałam utrzymać powagę całe trzydzieści sekund. Dodatkowy hałas w kakofonii wytwarzanej przez dzieciaki, które

wcale nie chciały wsiadać do samochodu, zaniepokoił ich matkę. Odwróciła się gwałtownie, zorientowawszy się, że nie ma w pobliżu jednej z córek.

– Amelia! – zawołała głośno.

Dopiero teraz nas zobaczyła, wyraźnie zaskoczona tym, że nie jest na parkingu sama. Niczym nastawiona bojowo kwoka ruszyła na ratunek dziecku, którego mina mówiła, że owszem, będą kłopoty, ale i tak było warto. Kobieta zagarnęła córkę ramieniem i spojrzała na nas gniewnie.

Wzruszyłam ramionami, bo w jej oczach i tak byliśmy parą dewiantów, pedofilii i gwałcicieli czyhających na jej niewinną pociechę. Mogłabym jej ze szczegółami opowiedzieć o wszystkich pedofilach i gwałcicielach, których zabiłam na zlecenie, często ze sporą zniżką, ale mam wrażenie, że to by jej nie przekonało. Zresztą już się oddalała, mocno trzymając rączkę Amelii. Tuż przy samochodzie dziewczynka obróciła się i zawołała:

– Zjadasz?

– Ona zjada wszystko – zawołał Robin.

Jeśli spodziewał się przerażenia na twarzy małej, musiał się zadowolić jej bezbrzeżnym zachwytem.

– Czy wszystkie małe dziewczynki w tych czasach są takie uro-
cze? – zapytał.

– Nie mam pojęcia. Jedyne dziecko, z jakim mam regularny kontakt, rozmawia z aniołami w nieistniejącym języku – odparłam.

Staliśmy jeszcze przez chwilę, patrząc za odjeżdżającym samochodem. Nagle Robin spojrzał na mnie uważnie i zapytał z powagą:

– Myślisz, że jeśli miałbym dzieci, mógłbym o tym zapomnieć?

– Nie wiem – odparłam. – Myślę, że czegoś takiego się nie zapomina. Irenie się nie udało, a wierz mi, próbowała.

Odwrócił się, tak bym nie widziała jego twarzy. Nie musiałam. Całe jego ciało się napięło. Znałam już te objawy, wiedziałam, o czym myśli. Gdybym mogła, rozgniotłabym czaszki wszystkim odpowiadającym za jego amnezję, za poczucie straty, które ujawniało się bez zapowiedzi w najzwyklejszych momentach. I zapewne przyjdzie czas, gdy to zrobię. Chciałam znaleźć w sobie dość powściągliwości, by zdać się na broń palną… choć przesadnie na to nie liczyłam.

*

Zameldowaliśmy się w Gdyni, w hotelu nieopodal portu. Cztery gwiazdki gwarantowały komfort, dyskrecję i ciszę, z których raczej nie zamierzaliśmy korzystać, ale to właśnie tu ślad miał doprowadzić tych, którzy mieliby ochotę sprawdzać nasze poczynania, śledząc transakcje na karcie Robina. Motocykle zostawiliśmy na strzeżonym parkingu hotelowym, a sami wybraliśmy się na przechadzkę. Gdy kluczyliśmy ulicami, wielokrotnie sprawdzałam, czy nikt się za nami nie pałęta – bo o ile nie miałam nic przeciwko temu, by znaleźli hotel, o tyle to, co zaplanowałam na resztę dnia, stanowczo miało zostać tajemnicą moją i Robina.

Spoglądałam w górę, niemal spodziewając się czarnych sylwetek kruków, ale niebo pozostawało czyste, ponad naszymi głowami unosiły się tylko mewy i puchate obłoczki. Jednak jeśli naprawdę tamte ptaszyska, które widziałam w Warsie, były tymi krukami, o których myślałam, że nimi były, odnajdą mnie, jeśli taka będzie wola ich pana, i niewiele mogłam na to poradzić. Większe miałam szanse na zmylenie Zakonu.

Trasa, którą mogliśmy pokonać w ciągu trzydziestu minut szybkiego marszu, zajęła nam prawie dwie godziny. Wybrałam bramę, którą dało się przekroczyć tylko pieszo. Była bardziej ustronna, rzadziej używana w czasach, gdy większość mieszkańców Trójprzymierza przemieszczała się samochodami, a co ważniejsze – po drugiej stronie miałam naprawdę blisko do alternatywnego Sopotu, a tym samym do biblioteki i Kosmy. Oprócz tego unikałam szwendania się po alternatywnej Gdyni, która od jakiegoś czasu stanowiła terytorium mojej byłej i jej stukniętego stada wilków. Nie do końca wiedziałam, jakie zostawiłam po sobie wrażenie po ostatnim spotkaniu, ale nie byłam gotowa na powtórkę. Nie miałam też ochoty walczyć z jej watahą, jeśli w międzyczasie ogłosiła sezon polowań na moją dupę. Możliwe, że tego nie zrobiła, ale jako alfa miała taką możliwość.

Kiedy przekraczaliśmy bramę, ściemniało się. Robinowi, z jego dziwną i wciąż nieodkrytą magią, o wiele łatwiej wchodziło się do alternatywnych miast, niż je opuszczało. Nie przyginało go do ziemi, jakby dostał kopniaka w jądra, nie trzęsły mu się ręce, a wzrok nie mglił się od nagłej utraty dostępu do magii, która wypełniała jego ciało.

Znaleźliśmy się w wąskiej uliczce nadmorskiego uzdrowiska, Robin rozglądał się z zainteresowaniem. Powietrze pachniało solą i morzem, domy były ekstrawaganckie, kolorowe, a niezwykle tu popularne wieżyczki i okna w wykuszach jak nic bardziej pasowałyby do domu na kurzej łapce.

– Kurde – Robin zatrzymał się w pół kroku – to jest niesamowite!

Skinęłam głową. Magiczne linie w tym kawałku alternatywnego świata były szczególnie gęste i wypełnione magią do granic. To dlatego stulecia temu, kiedy ustalano szczegóły porozumienia kończącego większość sporów terytorialnych wilków, wampirów i magicznych, ten kawałek, odpowiadający w realnym świecie Sopotowi, przypadł właśnie tym ostatnim. Było się o co bić – nawet przeciętna wiedźma miała tu do dyspozycji więcej możliwości niż gdziekolwiek indziej, a wiatr od morza tylko wzmacniał wrażenie buzowania potężnej energii pod stopami. Na moje szczęście sopockie linie nie przypominały tych z Sawy, więc wysokie stężenie magii nie działało na Pana B.

Przypomniały mi się namowy Kosmy, przekonanego, że w takim miłym i spokojnym miejscu nawet ja mogłabym żyć miło i spokojnie. Jasne – a potem przyszedłby po mnie Ernst i rozpierdolił miasto z typowym dla siebie rozmachem. Pod pewnymi względami mieszkanie w Warsie było uczciwsze wobec sąsiadów. Tam każdy się spodziewał, że pewnego dnia wszystko pierdolnie.

Robin szedł energicznie, rozglądając się dookoła jak turysta, którego nie dopadło jeszcze zblazowanie. Ludzie mijali nas, nie zwracając na nas uwagi. Nie całkiem tu pasowaliśmy, ale przynajmniej po tej stronie bramy nikt nie podchodził do ludzi z pytaniem, czy zjadają tych, których zabili. Zapewne dlatego, że czasami odpowiedź była twierdząca.

Cieszyłam się, że go tu zabrałam. Im więcej zobaczy, tym większa szansa, że coś znów pobudzi jego pamięć – jak zapach leczniczej kąpieli czy ognisko pod rozgwieżdżonym niebem. Poza tym Kosma chciał mu spojrzeć w oczy, co, tym swoim suchym tonem paranoicznego zrzędy, zapowiedział mi podczas rozmowy telefonicznej.

Wiedząc, jak wygląda Kosma, łatwo dało się zignorować dyskretną groźbę, pozornie bez pokrycia. Mój przyrodni brat był chudy, lekko przygarbiony, nieco myszowaty, ale diabelnie inteligentny. Takie, a nie inne życie prowadził wyłącznie z wyboru. Ja miałam swoją komorę, która odcinała mnie od nadmiaru bodźców, natomiast on – bibliotekę. Żył w labiryncie, pośród ciągnących się kilometrami podziemnych korytarzy.

U męskich potomków berserków magia i krew są silniejsze niż u żeńskich. Ryzyko było duże. Kosma wyliczył je z dokładnością do trzeciego miejsca po przecinku i miał większe szanse wygrać w totka, niż dożyć starości bez przełomu. Strach przed tym, kim mógłby się stać, gdyby

do tego doszło, sprawił, że trzymał się tego monotonnego i nieobfitującego w emocje życia jak tratwy ratunkowej. Dawno już rozłożyłam ów strach na czynniki pierwsze, korzystając z całej wiedzy, jaka została mi w głowie po miesiącach terapii (być może nieskutecznej, skoro ostatecznie zabiłam terapeutę, uznając, że wie za dużo, choć mówiłam mu tak niewiele, że sfrustrowany zaczął mi liczyć podwójną stawkę za godzinę).

Dla matki Kosmy kontakt z Ernstem Szalonym skończył się traumą. Jakiś jej kawałek umarł, kiedy Ernst wpadł na pomysł, by posiąść ją w formie berserka. Projekt „progenitura berserka” w jego oczach był tego wart. Wcześniej miał kilkoro dzieci – same dziewczynki, żadnych berserków. Uznał, że trauma przyszłej matki jest niewielką ceną, jeśli szanse na dziedzica wzrosną. Podarował jej względną nieśmiertelność, by wzmocnić jej połowę genów. Dlatego nie zdołała popełnić samobójstwa. Nigdy nie doszła do siebie. Kosma myślał, że winiła się za to, co zaszło. Zgodziła się na seks z Ernstem, więc to nie był gwałt, prawda? Miałam inne zdanie, skoro na schadzkę umawiał się Ernst, a zamiast niego pojawił się berserk.

Kosma bardzo kochał swoją matkę. Nie rozumiał, jak zdołała nie przenieść nienawiści do Ernsta na niego. Uznał, że przed odrzuceniem uchroniło go to, że urodził się drobniutki, słaby i nic nie zapowiadało, by plan Ernsta miał się spełnić. Zabawne – nasze matki nie mogły mieć bardziej odmiennego podejścia do tej kwestii.

Równocześnie strach Kosmy przed przełomem był zakamuflowanym strachem przed odrzuceniem przez matkę, która, choć wiele stuleci temu wycofała się z życia i zamieszkała w świątyni, wciąż stanowiła dla niego oś świata.

Rozgryzałam to długo, próbując zrozumieć, jakim sposobem, choć tak bardzo obrzydza go przełom, akceptuje mnie w stopniu dla mnie szokującym. Moja rodzina najlepszych terapeutów przyprawiłaby o siwiznę i alkoholizm.

Rozumiałam jego motywy, chociaż nie mogłabym się zdecydować na podobne poświęcenie – nawet gdyby nagrodą miałoby być nieujawnienie się Pana B. Zresztą moje szanse na zachowanie niewinności wydawały się równie nikłe jak na to, że zasiądę na brytyjskim tronie. Byłam w końcu córką Ernsta i Ireny, prawda?

*

– Spóźniłaś się – powiedział sucho, kiedy stanęłam w progu biblioteki.

– Wcale nie – odparłam i podeszłam do zrzędy, by przywitać się z nim szybkim uściskiem i bardzo oszczędnym pocałunkiem w policzek. Kosma nie lubił kontaktu fizycznego, bo łączył się z emocjami.

Skinął swojemu zastępcy i bez zbędnych słów poprowadził nas w stronę korytarza dostępnego tylko dla pracowników. Tam wsiedliśmy do windy i zjechaliśmy piętro niżej.

Nazwanie jego lokum mieszkaniem byłoby nadużyciem. Ot, dwa pokoje z wnęką kuchenną, bez okien, urządzone z polotem typowym dla klasztornych cel. Żadnych dywanów, kolorów, ekstrawagancji. Minimalistyczne szarości, beże i biel w każdym możliwym odcieniu. Jedynymi plamami koloru, jakie wyłapywało oko, były regał z podręcznym księgozbiorem i stół do pracy z piętrzącymi się na nim stosami woluminów z wyblakłymi grzbietami. W szafie Kosma trzymał tylko pięć zestawów ubrań, w skład których wchodziły identyczne pary wełnianych spodni, dwa blezery na guziki – szary i brązowy, dwa swetry pod szyję – w takiej samej tonacji, oraz pięć bawełnianych koszul w kolorze białym. To, jak twierdził, ułatwiało wybór. Jak dla mnie w ogóle go nie miał.

Jedynym ekstrawaganckim elementem jego garderoby był wypasiony sportowy zegarek – jeden z tych, które prawie na pewno miały wbudowany panel do obsługi głowic nuklearnych. To ja mu go kupiłam, kiedy się dowiedziałam, że od stuleci prowadził dokładne badania dotyczące korelacji bliskości przełomu z parametrami tętna. Używał zegarka kieszonkowego i ciśnieniomierza. Chciałam mu ułatwić życie, a przy okazji odwdzięczyć się za to, że był dla mnie dobry, więc podarowałam mu zegarek, który miał wbudowane czujniki i mierzył tętno, ciśnienie, temperaturę, fazy snu i milion innych rzeczy, a potem przesyłał dane do aplikacji, gdzie wszystkie lądowały w schludnych tabelkach i na wykresach. Protestował, dopóki nie zobaczył tych wykresów.

Dzięki tej obsesji, kiedy przeszłam przełom, wiedział, czego się spodziewać. Miał przygotowane parę modeli teoretycznych, których nie mógł przetestować, skoro sam był berserkiem teoretykiem. W kilka tygodni zdołaliśmy odrzucić większość hipotez i wyprowadzić formułę z alfa-blokerami. To doprowadziło do powstania wszczepu, dzięki któremu przez większość czasu żyłam całkiem normalnie.

Usiadłam z Robinem na kanapie, a Kosma zajął się przygotowaniem posiłku i herbaty. Nie próbowałam mu pomagać – zbyt bliska obecność

kogokolwiek wyprowadzała go z równowagi, a we wnęce kuchennej szerokiej może na metr i długiej na półtora trudno było zachować dystans. Spodziewałam się zupy pomidorowej z puszki z makaronem w kształcie literek alfabetu, a potem fasolki po bretoński ze słoika. Każdy element życia Kosmy podlegał określonej rutynie. Szafka z zapasami spożywczymi wypełniona była trzema rodzajami puszek – z zupą jarzynową, bulionem z makaronem i pomidorową z alfabetem. Były też trzy rodzaje słoików – z gołąbkami w sosie pomidorowym, pulpetami w sosie pieczeniowym i fasolką. Każdy zestaw trafiał na stół Kosmy dwa razy w tygodniu. Niedziela była dniem, kiedy mój brat ograniczał się do śniadania, identycznego jak w każdy inny dzień tygodnia – owsianki na wodzie. Nie sądzę, by utrzymywał post z powodów religijnych – raczej trenował się w sztuce umartwiania lub nie chciał wprowadzać chaosu w swoje morderczo uporządkowane życie. Proponowałam mu, by sprawił sobie czwarty zestaw, świąteczny, specjalnie na niedzielę, ale tylko pokręcił głową.

Obserwowałam jego zgarbione plecy, kiedy mieszał zupę w emaliowanym garnku. Wyglądał na zmęczonego i chyba schudł, odkąd widziałam go po raz ostatni – przy stu osiemdziesięciu centymetrach wzrostu ważył mniej niż sześćdziesiąt kilogramów. Kropla zupy prysnęła na blat. Starł ją z pedantyczną dokładnością.

Na niskim stoliczku przed nami postawił kubki z białego szkła z naparem z rumianku (nie sięgał nawet po tak niewinne używki jak herbata czy kawa, bo działały pobudzająco), a po chwili miski z zupą. Ze względu na Robina musiał kupić trzecią, jak lata wcześniej ze względu na mnie nabył drugą. Jedliśmy zgarbieni, w całkowitej ciszy, przerywanej tylko odgłosem stukania łyżek o dno.

Nie wiedziałam, co było pierwsze w moim bracie – rutyna czy OCD. Ale czerpał z nich tyle spokoju i otuchy, że nigdy nie zająknęłam się słowem na ten temat. Zwłaszcza że naprawdę się starał zachować dość elastyczności, by utrzymywać ze mną sporadyczny kontakt. Lubił mnie i choć przerażały go wszelkie emocje, wpuścił mnie i mój emocjonalny bagaż do swojego życia.

Przez kilka minut po prostu jedliśmy. Kosma nie rozmawiał przy posiłku, to byłoby rozpraszające. Gdy skończyliśmy, zabrał miseczki, umył je i nałożył do nich porcje fasolki. Kiedy i tę skończyliśmy, raz jeszcze umył miseczki i odstawił je na suszarkę. Wytarł blat i zlew do sucha i dopiero

wówczas usiadł na stołku. Na stole przed nami położył zgiętą na trzy kartkę papieru. Rozpoznałam ją od razu.

Był to liścik, który wsunął pod moje drzwi Ture – jego polisa zabezpieczająca. Musiał zakładać, że może nie dożyć rozmowy ze mną. Nie wiem, czy przewidział, że to ja go zabiję. Napisał, że nigdy nie chciał mojej krzywdy. Zostawił mi adres i kilka run, zbyt złożonych, bym zdołała je odczytać – z adnotacją, że dzięki nim poznam prawdę. Poprosiłam Kosmę o pomoc.

– Opowiedz mi – powiedziałam.

Przytaknął i zaczął opowiadać.

– Iben i Huldra… Zakładam, że Iben to mężczyzna, choć to imię uniwersalne i nadawane dzieciom obojga płci, ale Hulder czy Huldra nie jest imieniem ludzkim. To stworzenie magiczne, które schodzi z gór i mieszka z ludzkimi mężczyznami. Nigdy nie słyszałem, by zdarzały się przypadki lesbijskich Huldr, ale kto wie, może to przemilczano. Znalazłem w spisach ludności z lat pięćdziesiątych Ibena Huldermanna i Torgny Hulder, wtedy już starszych ludzi, rodziców dorosłych synów. Mieszkali w Molnes, pod adresem, który zostawił ci Ture. Gdyby to była prawda, leżeliby już na cmentarzu. Ale to oczywiście kłamstwo. Są bez porównania starsi.

– Skąd wiesz?

Wskazał palcem na runy.

– Ta oznacza Kolebkę Bogów, a ta Akuszera Bogów.

– Akuszera?

– Tak, wiem, rzadkość. Na północy, jak prawie wszędzie, rodzącym przeważnie towarzyszyły kobiety. Natknąłem się jednak na legendę o pasterzu, który znalazł się w złym miejscu w złym czasie, ale zdołał pomóc rodzącej. Poród był ciężki, bez pomocy kobieta i dziecko by zmarli. Ona była kapłanką ze świątyni Frigg. A w żyłach dziecka płynęła krew samego Odyna. Za dobre serce Frigg nagrodziła pasterza tytułem Akuszera Bogów, a jego ziemię nazwała kolebką. Jest kilka wersji tej legendy – w części ciężarną kapłanką była Saga, również córka Odyna, co stawia naszą rodzinną historię w niezłym świetle.

– Kiedy to było?

– Edda ma dwieście lat, opowieść może być starsza.

– Jeśli to ten sam Iben, dostał coś więcej niż tytuł – zauważyłam.

– W tamtym czasie jabłka nieśmiertelności musiały obrodzić.

Przez chwilę milczałam. Jak legenda o Akuszerze Bogów łączy się z parą bliźniąt zrodzonych z Ireny i Ernsta?

– Czy wiedziałeś o Ture? O jego istnieniu? – zapytałam.

Stanowczo pokręcił głową.

– Nie wiedziałem nawet o twoim istnieniu, dopóki nie pojawiłaś się na szkoleniu i nie zobaczyłem twojego skanu. Mama wiedziała, że Ernst ma jakąś kobietę, ale wieści o dzieciach do nas nie dotarły. Teraz już go nie poznam, nie dowiem się, jak to było wychować się w domu Ernsta.

– Pewnie nie mamy czego żałować.

– Ciekawe, czy choć on nie był dla naszego ojca rozczarowaniem.

– Myślę, że był.

– Ale go nie zabił.

– Nie, ja to zrobiłam. Czy to czyni mnie prawicą naszego ojca? – Ledwie słyszałam swoje słowa, głos grzązł mi w gardle.

– Gdyby chciał go zabić, zrobiłby to, sama wiesz.

Przytaknęłam. Rozumiałam z tego równie niewiele.

– A teraz sprawdzimy twój wszczep – powiedział kategorycznie i wyciągnął spod stołu skrzynkę z elektroniką.

Kosma potrafił robić mniej więcej to co Karma: splatał technikę i magię, tworząc coś wyjątkowego. Dzięki nauce dysponował alfa-blokerami oraz pochodnymi odkrycia, że berserka uaktywniają wyrzuty adrenaliny. Magia zapewniała mu całą resztę. Mój wszczep nie tylko uwalniał dawki adrenaliny adekwatne do sytuacji i mojego stanu, ale również gromadził dane i niczym magiczna wersja Blue-tooth przesyłał je do urządzenia, które przerabiało je na wykresy, kolorowe smugi skanów i tabelki.

W ciągu ostatnich trzech tygodni zużyłam półroczny zapas preparatu. Wszczep był niemal suchy, a wykresy jasno pokazywały, jak szybko moje ciało uwalnia bestię.

Kosma wpatrywał się w nie bez słowa. Drżącymi palcami przesuwał długie paski skanu, przypominające wstęgi papieru wypluwane podczas EKG.

– Jak się czujesz? – spytał w końcu.

– Balansuję, nie zawsze skutecznie. Za dużo stresu, kilka wizyt w Sawie w krótkim czasie, testowanie kontroli w komorze, pełna przemiana i dwie połowiczne przemiany w ciągu dwóch tygodni. Myślę, że to kwalifikuje się jako etap niestabilny.

Zawsze byłam z nim szczera w kwestii poczynań Pana B. Tylko wiedząc wszystko, mógł mi pomóc utrzymać się u sterów. A także dostosować dawkowanie leków. Tak jak teraz, kiedy za pomocą strzykawki pompował je do wszczepu pod moją skórą.

– Jest jeszcze coś – powiedziałam, kiedy skończył.

Wyciągnęłam skan, który sporządził Ilia. Nawet po ustawieniu ograniczonego czasu i zakresu obejmował nie tylko to, czym mnie otruto, czy ślad po tym, co znajdowało się w kuli, ale też echo magii – mojej i tej, z jaką miałam kontakt w ciągu godziny poprzedzającej skan. Teraz pewnie nie było już po nich śladu, a chciałam, by Kosma miał wszystkie dane. I by sprawdził moją nieśmiałą hipotezę.

Postukałam paznokciem w zieloną smugę.

– Myślę, że to Robina. I uważam, że on i jego magia jakoś wpływają na Pana B.

Robin siedział na kanapie. Dzielnie zniósł gniewne spojrzenie Kosmy.

– To dlatego nie możesz utrzymać kontroli? – zapytał już spokojniej, ale widziałam trybiki obracające się w jego głowie.

Gdybym przyznała, że to wina Robina, pewnie wkrótce byłby martwy. I nie, mój brat nie zabiłby go własnoręcznie – zadawanie śmierci to czynność zbyt emocjonująca – po prostu znalazłby kogoś, kto by go wyręczył.

– Przeciwnie. Dwa razy wróciłam do ludzkiej postaci, zanim doszło do wydrenowania. W obu przypadkach Robin znajdował się w pobliżu. Myślę, że jego magia może w jakiś sposób powściągać berserka albo na jakimś poziomie do niego przemawiać.

– Nigdy o czymś takim nie słyszałem. Jedynym bóstwem, o którym wiem, że ma wpływ na bestie, jest Odyn, bo to on je stworzył i to jemu służą…

– Myślę, że magia Robina nie pochodzi z naszego panteonu. Nie wiem, kim jest, on też nie wie. Ale to coś zielonego. Widziałam go w lesie. Widziałam zdjęcie, jakie zrobił mu Fotograf. To jest coś leśnego, Kosma. I wiesz, co to może oznaczać?

Skinął głową i przez usta przemknął mu cień uśmiechu.

– Potrzebuję więcej próbek – oświadczył i wyciągnął zestaw do pobierania krwi. – Myślę, że czas zrobić komplet badań kontrolnych, ze skanem włącznie.

Kosma nie potrzebował nic więcej, by poznać wszystkie tajemnice – te kilka mililitrów krwi wystarczało, by otrzymał najdoskonalszy wykres mojej magii. A mając wcześniejsze wyniki, będzie w stanie stwierdzić, czy coś się zmieniło i czy moje przeczucia są słuszne.

Zaciągnęłam gumowy pasek na swoim ramieniu. Kosma sprawnie znalazł żyłę i napełnił fiolki. Gdy skończył, przycisnęłam wacik do skóry. Ślad po wkłuciu zasklepił się błyskawicznie – szybciej niż u zwykłego człowieka.

Kosma zerwał się gwałtownie i stołek z głośnym stukiem upadł na podłogę. Drżąc, odwrócił się do nas plecami i jęknął.

– Idźcie już – powiedział. – Za dużo naraz.

Podwinął rękaw swetra i zobaczyłam migającą kontrolkę alarmu na jego zegarku.

Posłuchałam natychmiast. Nie pożegnałam się, nie objęłam go, by nie pogarszać napięcia, z którym walczył.

– Zaczekajcie! – powiedział, gdy już naciskałam klamkę. Wciąż pozostając do nas tyłem, zapytał cicho: – Robinie, czy ty też możesz mi dać próbkę krwi?

Widziałam, że ta prośba wiele go kosztowała. Zerknęłam na Robina. Nie musiał się zgadzać – nie zgodziłaby się większość magicznych. Przecież ledwie się znali. Kosma zasygnalizował więcej niż raz, że mu nie ufa. Mając próbkę jego krwi, mógłby mu zrobić naprawdę dużą krzywdę przy użyciu magii sympatycznej, która była taka tylko z nazwy. Ja wiedziałam, do czego Kosma potrzebuje tej krwi, ale Robin nie znał go tak dobrze.

Mój partner podszedł do Kosmy, podwijając rękaw.

– Nic o nas bez nas – powiedział twardo. – Cokolwiek odkryjesz, o wszystkim mi powiesz. Rozumiemy się?

Kosma skinął głową, po czym wyciągnął ze skrzynki czystą strzykawkę i nowy zestaw fiolek. Sprawnie zawiązał pasek nad zgięciem łokcia Robina. W mniej niż minutę miał próbkę bardzo ciemnej krwi. Wiedziałam, że w tym momencie skoncentrowany był tylko na tym, by poszukać w niej tego czynnika, który być może pomagał mi powściągać berserka, ale dzięki swej wrodzonej dociekliwości mógł odkryć znacznie więcej tajemnic.

Wyszliśmy po cichu, zostawiając mojego przyrodniego brata pogrążonego w myślach. Chyba całkiem zapomniał o naszej obecności.

Wracając do hotelu, odpuściliśmy sobie kluczenie i mylenie tropów. Prawie nie rozmawialiśmy. Robin nawet nie dopytywał o moją teorię

dotyczącą tego, że w jakiś sposób wpływa na Pana B. Ja nie podziękowałam mu za to, że zaufał Kosmie i dał mu próbkę krwi.

Po dotarciu na miejsce zjedliśmy kolację w hotelowej restauracji i przed północą rozeszliśmy się do łóżek. Gdybym nie przekonała się do Robina do tej pory, polubiłabym go właśnie dziś. Nie zagadywał ciszy.

Rozdział 6

Celnik z psem przeszedł koło naszych motocykli po raz trzeci, wciąż zaskoczony, że pies sapnął przyjaźnie zamiast wystawić nas jako przemytników. Za kilka minut mieliśmy wjechać na prom, gdzie zapewne ponownie skłoni psa do obwąchania pojazdów – tym razem dokładniej, bo bez towarzystwa ludzi, którzy z niewyjaśnionych powodów rozpraszali zwierzę.

Podejrzewałam, że Robin mógłby spokojnie przewozić paczkę narkotyków, a pies i tak zamerdałby ogonem – taki właśnie wpływ na zwierzęta miał mój partner. W Sawie myślałam, że dotyczy to tylko lasu, ale najwyraźniej owczarek niemiecki też się łapał na jego urok. A może to wcale nie magia, tylko ta przyjazna buźka i szczere oczęta, które zdawały się trafiać na skróty w czułe miejsca. Byłam tego żywym dowodem, skoro oddychał, cieszył się statusem partnera, a na dodatek wtajemniczyłam go w moje problemy rodzinne. Im dłużej nad tym myślę, tym bardziej przychylam się do teorii, że to jednak magia. Potężna, a w dodatku taka, na którą nie sposób się uodpornić. Nie mogło być inaczej.

Nie przewoziliśmy narkotyków. Mieliśmy za to całkiem sporo broni i magicznych utensyliów, o które nie chciałabym być pytana, więc zabezpieczyłam bagaż zaklęciem chroniącym przed niepożądaną uwagą ludzi. Teoretycznie ci z domieszką magicznej krwi mogli nie reagować na nie właściwie, a ich intuicja popychałaby ich dokładnie w tym kierunku, od którego chciałam ich trzymać z daleka, ale nie sądziłam, by nasz celnik się do nich zaliczał.

Większość narkotyków, która trafia na szwedzkie ulice, wypływa z portu w Gdyni. Mieliśmy złą reputację, a ja i Robin wystarczająco różniliśmy się od reszty pasażerów, by przykuwać uwagę służb celnych: motocykle, skóry Robina, mój sportowy kombinezon, solidnie wypchane sakwy z bagażem… Cóż, dość naiwna linia myślenia. Gdybym chciała coś przemycać, ubrałabym się w gustowną garsonkę za trzy tysie, wjechała na prom luksusowym samochodem i nawet na chwilę nie przestawała prowadzić

biznesowych rozmów przez komórkę. Albo byłabym jedną z tych mam z przedmieść, w dresie z weluru, mocno zaangażowanych w utrzymanie pociech w ryzach i dopytywanie obsługi promu, kiedy można wejść na pokład, bo dzieci muszą do toalety.

Zerknęłam na zegarek. Było już wpół do dziewiątej, za pół godziny mieliśmy rozpocząć naszą jedenastogodzinną przeprawę. Z Karlskrony ruszymy do Oslo, do Amundsenów. Znów kilka godzin jazdy. I pierwszy etap podróży będziemy mieć za sobą.

Na razie nie mieliśmy ogona. Może gdy opuściłam Wars, przestałam być problemem? Albo po tym, jak wybiliśmy pierwszą ekipę, zleceniodawca potrzebował chwili na zorganizowanie następnej? O tym, dokąd jedziemy, wiedzieli Karma, Aleks, Kosma i matka. Trojgu z nich ufałam.

Obsługa promu dała sygnał i zaczęliśmy wjeżdżać na pokład. Najpierw wpuszczono troje rowerzystów, potem nas na motorach, a dalej już samochody i przyczepy kempingowe. Prom był zapchany niemal po brzegi. Zabrałam sakwy z bagażem i czule pogłaskałam Ślicznotkę po baku.

– Nie martw się, maleńka, zobaczymy się za jedenaście godzin – powiedziałam.

Na czas przeprawy pokład samochodowy miał być zamknięty. Pasażerowie z walizkami i plecakami tłoczyli się przy windach. Ja i Robin, wyposażeni jedynie w lekkie sakwy, przedostaliśmy się piętro wyżej po schodach, niezatrzymywani przez nikogo.

Wybrałam kabinę „de Lux”. Jej luksusowość polegała na tym, że miała malutki bulaj, przez który będzie się wdzierać świetlisty błękit morza i porannego nieba. To dobrze wydane pieniądze, bo bez okienka maciupeńka kajuta z dwiema pryczami, opuszczanym blatem przykręconym do ściany, siedziskami jako żywo przypominającymi te z korytarzy w starych pociągach i łazienką wielkości szafy byłaby dość klaustrofobiczna. Wciąż więcej miejsca niż w samolocie, ale niewiele.

Rzuciłam swoje sakwy na górną pryczę. Byłam mniejsza i lżejsza, więc siadanie bez rozbijania sobie głowy wydawało się do zrobienia. Długie ciało Robina byłoby tam upakowane jak makrela w puszce na sardynki.

Robin wydawał się tym wszystkim podekscytowany. Zaglądał w każdy kąt, szurał stopami, zostawiając na wiśniowej wykładzinie ślady „pod włos”, sprawdzał sprężystość materaca, rozmiar prysznica (zdecydowanie jednoosobowy, jeśli nie dziecięcy).

Wszystko było dobrze, dopóki nie zdjęto cum i prom z cichym szumem nie zaczął wychodzić w morze. Nawet nie kołysało, morze było spokojne, dzień słoneczny i niemal bezwietrzny. Ledwie czułam wibracje podłogi pod stopami. Mimo to po piętnastu minutach mój towarzysz zrobił się zielony na twarzy i ciężko oddychał, powstrzymując torsje.

Tak oto dowiedziałam się, że to będzie bardzo długie jedenaście godzin.

– Nie mówiłeś, że masz chorobę morską – powiedziałam.

– Nawet nie wiedziałem, że coś takiego istnieje – jęknął, przecierając spoconą twarz dłonią. – Przez ostatnie trzy miesiące nie byłem na morzu, a jeśli wcześniej miałem takie objawy, przepadły z całą resztą wspomnień. I pierwszy raz się cieszę, że o czymś zapomniałem. O cholera – zaskomlał, chwytając się za brzuch.

Kajuta była niewielka, ale nawet gdyby była pięć razy taka, wciąż z drugiego końca usłyszałabym niespokojne bulgotanie jego trzewi.

– Przepraszam, ale… – zaczął.

– Rzygaj, jakoś to zniosę. Przynajmniej nie będziesz taki cholernie radosny. – Widząc, jak bardzo przeżywał tę zdradę ze strony ciała, postanowiłam dorzucić krępującą historię z mojej przeszłości: – Kiedy po raz pierwszy leciałam samolotem, dostałam rozstroju żołądka. To było znacznie bardziej kłopotliwe, bo nie miałam toalety na wyłączność i prywatności, jaką zapewnia prywatna kabina. Przetrwasz to. I to na pewno nie jest pierwszy raz, skoro tak reagujesz, więc możesz tego nie pamiętać, ale masz praktykę.

– To miłe, że mi to mówisz – powiedział z niedowierzaniem.

A potem zerwał się z pryczy i dopadł toalety. Nawet nie zatrzasnął za sobą drzwi, więc usłyszałam, jak w muszli ląduje jego śniadanie. Po chwili doszłam do wniosku, że kolacja chyba też. Siedziałam przy stoliku, rozważając, czy potrzebuje pomocy. Wolałabym, żeby nie potrzebował – nie byłam jedną z tych przyjaciółek, które trzymają kumpelom włosy, gdy te wymiotują.

Jakiś czas później usłyszałam dźwięk wody lejącej się z kranu i po chwili Robin stanął w progu. Miał mokrą twarz i był przeraźliwie blady. Zaczęłam się zastanawiać, ile razy w czasie tej przeprawy zaliczymy powtórkę z rozrywki.

– Ja chyba umieram – wyszeptał z dramatyzmem typowym dla mężczyzny z lekkim nieżytem żołądka.

– Dysponujesz taką magią, że trzeba czegoś więcej niż torsje, żebyś się przekręcił. Odpocznij, a ja przyniosę coś do picia, dobrze? – odparłam, gnana bardziej ochotą, by wyjść na taras widokowy i przywitać się z morzem, co było moją małą tradycją, niż potrzebą opieki nad chorym.

Pokiwał głową, robiąc minę bardzo nieszczęśliwego chłopca, i z głuchym jęknięciem położył się na pryczy. Możliwe, że jego magia nie tolerowała odłączenia od lądu. Jeśli to był jakiś rodzaj magii ziemi, co podejrzewałam na podstawie zielonej sygnatury, przebywanie na morzu czy w powietrzu rzeczywiście mogło dawać mu w kość, jednak nie stanowiło zagrożenia dla jego życia. Może gdy będziemy wracać, wybierzemy nocny rejs, by wszystko spokojnie przespał, naszprycowany imbirowymi ciasteczkami i słonymi orzeszkami, które zwykle pomagają na magiczny dyskomfort żołądka.

Na korytarzu mijałam dzieciaki, które kręciły się bez celu, zaliczywszy pierwszy napad nudy ledwie pół godziny od opuszczenia portu, młodą parę pertraktującą z pociechą, która zamknęła się w toalecie, zrezygnowanego stewarda, który, nie śpiesząc się specjalnie, zmierzał w ich kierunku z kluczem uniwersalnym. Miałam wrażenie, że wszyscy emanują po równo znużeniem i ekscytacją – uczuciami typowymi dla ludzi na wakacjach.

Czasami się zastanawiałam, jak by to było, gdybym zrobiła coś takiego z Ireną – wybrałybyśmy się na wycieczkę, zabukowały bilety w celach rozrywkowych, a nie dlatego, że w miejscu docelowym przebywa ktoś, kto ma wyrysowany na czole snajperski krzyżyk. Niestety, nie starczało mi wyobraźni na długo. Myśl, że Irena prowadziłaby ze mną jakieś pertraktacje czy potrzebowała pomocy stewarda z wyważeniem drzwi… albo że miałaby cierpliwość do zwiedzania Koloseum, jedzenia szybko topiących się w słońcu lodów czy trzymania mnie za lepką rękę, bym nie zginęła w tłumie turystów… Nie, to było zbyt nieprawdopodobne. Więc to nie tak, że nie lubię hałaśliwych dzieciaków, rodzin czy turystów jako dziwnej mutacji wyrosłej na drzewie genetycznym ludzkiej rasy. Po prostu są dla mnie obcy. I zazdroszczę im czegoś, co było dla mnie zupełnie nieosiągalne.

Zawsze obserwuję takich jak oni. Uczę się ich jak obcego języka. Zapamiętuję gesty i ton, jakim wypowiadają banalne kwestie, na tej samej zasadzie, na jakiej uczę się poruszania i tonu prostytutek czy tancerek – nigdy nie wiadomo, kiedy przykrywka przyda się w pracy. Ale jeśli mam

być szczera, o wiele szybciej podłapałam słownictwo i ruchy dziewczynek niż normalnych ludzi na wakacjach. Cokolwiek to o mnie mówi.

Na tarasie widokowym nie zauważyłam nikogo. Nikt jeszcze nie czuł się na tyle znużony, by tu przyjść – co innego za cztery czy pięć godzin. Zresztą teraz było chłodno.

Ludzie są zabawnymi stworzeniami. Pod koniec października zwykle czuć w powietrzu, że zima już niedaleko. W tym roku mieliśmy pogodową anomalię. Lato przeszło w niepoczytalną jesień – z burzami, nagłymi atakami upałów, ciepłym wiatrem i deszczem, ale temperatury wciąż utrzymywały się powyżej piętnastu stopni. I ludzie uznali to za normę. Dziś wiatr był chłodniejszy, temperatura oscylowała w okolicy dziesięciu stopni, a niebo zasnuły chmury, tak więc w tłumku zebranym na przystani słyszałam biadolenie, że trafiła się nam potworna pogoda na przeprawę i taki ziąb, że oby jak najszybciej wpuszczali na pokład.

Według Aleksa, który wyczuwał pogodę w swoich pozrastanych kościach, w tym roku zima mogła się w ogóle nie pokazać.

Ogłupiałe ptaki nie wiedziały, czy szykować się do odlotu, czy nie. Na kilku drzewach przy Kasztanowej liście już dawno opadły, ale nieoczekiwanie pojawiły się pączki, jak w kwietniu. Takie anomalie nigdy nie wróżyły nic dobrego. Aleks łączył to z niezwykle ciężkim sezonem burz i czkawek. Magia namieszała i najpewniej czekał nas wyjątkowo popieprzony rok.

Tymczasem w realnym mieście ludzie w środku grudnia będą narzekać, że ledwie dziesięć na plusie. Dopiero dzień przed Bożym Narodzeniem zaczną pytać, gdzie ich śnieg i co z białymi świętami.

Opierając się o reling, wystawiałam twarz na wiatr. Fale rozbijały się o burtę i kropelki morskiej wody rozpylone jak aerozol osiadały na mojej skórze, zostawiając zapach soli i alg. Nie mogłam zapomnieć reakcji Kosmy. Martwiłam się o niego. I trochę o siebie. Potrzebowałam go, ale zdawałam sobie sprawę, że jeśli moja obecność wprowadza w jego życie zbyt dużo chaosu, powinnam się wycofać. Nie zniosłabym świadomości, że przeze mnie stulecia jego wyrzeczeń i dążenia do zen poszły w diabły. Brakowałoby mi go, bardzo, ale to niewielka cena w porównaniu z tym, jaką on by zapłacił, jeśli nie ustąpię.

Podwinęłam rękaw kurtki, odsłaniając przedramię, gdzie znajdował się świeżo doładowany wszczep. Miałam wrażenie, że nie działa już, jak powinien. Wedle danych Kosmy zużywałam znacznie więcej preparatu niż

wcześniej. Sęk w tym, że nie bardzo odczuwałam jego działanie. Nawet skutki uboczne – kłopoty ze snem, bóle głowy – zupełnie odpuściły. Niewykluczone, że mój organizm się uodpornił, a jeśli tak – badania Kosmy to wykażą. Skórę nad wszczepem miałam gorącą i zaczerwienioną. Berserk był silniejszy niż kiedykolwiek i zastanawiałam się, czy to przyczyna, czy skutek problemów z wszczepem.

Kosma już od jakiegoś czasu sugerował, że być może powinniśmy wprowadzić do ekipy badawczej kogoś jeszcze, bo jego zasób wiedzy może nie być wystarczający, a ja wnoszę jedynie swoje DNA i aktywnego berserka. Może miał rację. Tylko czy zdołałabym zaufać komuś, kogo motywuje nie lęk i potrzeba kontroli, ale naukowa ciekawość i chęć odkrycia możliwości, jakie daje przemiana? I czy nie będzie szkodą dla ludzkości, jeżeli zabiję tego geniusza, gdy zada niewłaściwe pytanie albo jeśli przyłapię go na pobieraniu fiolek z krwią? Może kiedyś się na to zdecyduję. Ale jeszcze nie dziś.

Podskoczyłam, gdy rozbrzmiały dzwony z Imienia róży. Na wyświetlaczu telefonu widniał numer Kosmy. Od czasu, kiedy kupiłam mu aparat, który działał nawet w bliskości linii magicznych, przemógł się do korzystania z tej formy komunikacji. Chwilę trwało, nim przyjął argument, że choć pisanie listów jest naprawdę fajne i sprawdzało się przez stulecia, to szybszy obieg informacji może nam tylko pomóc. Z magicznych zwierciadeł nie korzystałam z zasady – ten typ magii przyciągał uwagę wścibskich bóstw, a te wolałam trzymać z daleka.

– Jestem cały, nie musisz wstrzymywać oddechu – powiedział na powitanie.

– Przepraszam.

– Przestań. I nie myśl o tym, o czym myślałaś.

– A dokładniej?

– Wiesz, o całym tym usuwaniu się z mojego życia, by mnie chronić.

– Niedoceniany dar prekognicji?

– Nie trzeba być jasnowidzem, wystarczy cię trochę poznać. Zapamiętaj jedno: możemy kontrolować wiele, może nawet swoje życie. Ale są rzeczy, których kontrolować się nie da, i zwykle to one są dla nas najcenniejsze. – Westchnął głęboko. – Przez ostatnie trzysta lat byłem bliski przełomu dwa razy: gdy wpadłaś w łapy Ernsta i wróciłaś w tak strasznym stanie oraz gdy nastąpił twój przełom. To wczoraj to były tylko nerwy, trochę gorączki.

– Nie chcę ci zrobić krzywdy.

– Więc nie odchodź.

– Ture nie zgodziłby się, że lepiej mieć mnie blisko niż daleko.

– Może nie wiedział, jak dobrym jesteś snajperem.

Zaśmiałam się. Niemal zobaczyłam, jak Kosma uśmiecha się triumfalnie.

– Gdy życzyłem ci spokojnego życia, życzyłem tego nam obojgu. Twoja zguba pewnie pociągnęłaby i mnie – powiedział już poważniej. – Ale, mając tego świadomość, wciąż nie godzę się na twoje znikanie z mojego życia. Mam tylko jedną siostrę i podręcznik nekromancji. Uważaj na siebie.

Zapewniłam go, że będę. Nie wspomniałam o czarnych cieniach wiszących mi nad głową.

I nie była to metafora. Wyłoniły się nagle, rozcinając ostrą czernią grube kłęby chmur, i teraz kołowały, przeganiając mewy. Były dużo większe od normalnych kruków – rozpiętość ich skrzydeł, blisko dwumetrowa, stawiała je w jednym rzędzie raczej z orłami. Pikowały nisko i niemal nie poruszając się, unosiły się kilka metrów nad pokładem, niczym glify wyrysowane czarnym tuszem na błękitnym niebie. Możliwe, że to nie te kruki. Ten gatunek ptaków był naprawdę popularny w większości mitologii i nie tylko Odyn upodobał sobie ich towarzystwo.

Tyle że nie do końca wierzyłam w zbiegi okoliczności. Dwa ogromne ptaszyska plątają mi się nad głową akurat wtedy, gdy drążę tajemnice rodzinne w oczywisty sposób powiązane z Odynem? Zaraz po tym, jak Ture pojawił się w Warsie? Nie podobało mi się to ani odrobinę.

Gdzieś z tyłu głowy słyszałam szept, który kazał mi uciekać, zawrócić, nie zbliżać się do miejsca najpewniej stanowiącego kolebkę wszystkich problemów. Ale musiałam wiedzieć. Musiałam zrozumieć, ile z tego, co przez lata było fundamentem mojej tożsamości, to bzdura. Co jeszcze, poza istnieniem Ture, ukrywała przede mną Irena? I czemu nic nie pamiętałam, a on mnie tak?

Krucze skrzydła przysłoniły słońce. Ptaszyska unosiły się tak nisko, że widziałam ze szczegółami fioletowoczarne lotki ich skrzydeł, potężne dzioby i paciorkowate oczka. Szacowałam, czy zdołałyby mnie porwać z pokładu i unieść w przestworza. Jeśli to były Hugin i Munin, mogły niemal wszystko. Stworzone z myśli i wspomnień Odyna, były przesycone jego magią i nie miały wielu ograniczeń. Obserwowały czy próbowały zastraszyć? Intuicja podpowiadała mi, by trzymać się od nich z daleka. Zeszłam z tarasu, zagłębiłam się w trzewiach promu, zła, że odebrały mi przyjemność z przebywania na otwartym morzu.

W kantynie kupiłam dwie butelki wody i wróciłam do kabiny. Robin wyglądał lepiej.

– Jesteś głodna? – zapytał i zaraz sam sobie odpowiedział: – Głupie pytanie, oczywiście, że jesteś. Drugie śniadanie?

– Nie protestuję – odparłam, bo choć niepokój ściskał mi żołądek, posiłek zawsze był dobrym pomysłem. Może poza sytuacjami, kiedy spodziewam się postrzału w brzuch, ale na głodnego ryzyko postrzelenia stawało się większe, głód rozpraszał mnie bardziej niż pełen żołądek.

*

Pomieszczenie było wystarczająco duże, by mimo ponad setki pasażerów nie sprawiało wrażenia, że wszyscy siedzimy sobie na głowach, jak w ładowni statku niewolniczego. Większość stołów, okrytych białymi, plamoodpornymi obrusami, była zajęta, ale wciąż dało się znaleźć miejsce. Stewardzi sprawnie donosili tace z jedzeniem, więc wciąż mieliśmy w czym wybierać. Ustawiłam na wózku dwie tace i nabierałam na talerze wszystko, co wyglądało apetycznie, bo ścisk żołądka minął i byłam w nastroju na „małe co nieco”. Stałam już w kolejce do kasy, wyznaczonej czerwonymi sznurami rozciągniętymi na stojakach, a Robin wciąż spacerował wzdłuż szwedzkiego stołu z prawie pustym talerzem. Jeśli spodziewasz się wymiotów, ostrożniej wybierasz to, co zamierzasz zjeść.

Zapłaciłam gotówką i usiadłam przy ośmioosobowym stole w pobliżu bufetu, bym nie miała daleko po dokładkę. Podróże dobrze robiły mi na apetyt. Robin dosiadł się po dłuższej chwili. Jego śniadanie było uroczo zdrowe i lekkostrawne: twarożek, konfitury, delikatnie przypieczone tosty i mleko. Przypominało raczej przystawkę do śniadania, ale powstrzymałam komentarz, zwłaszcza że przy naszym stoliku zatrzymała się pięcioosobowa rodzina: babcia, rodzice i dwójka nastolatków. Starsza pani wyglądała jak rumiana aktorka z reklamy wczasów pod gruszą i to ona wyraźnie nadawała ton wycieczce. Mężczyzna był niemal przezroczysty, młoda kobieta wycofana, a dzieciaki zdawały się przebywać we własnym świecie.

– Czy te miejsca są wolne? – zapytała starsza kobieta.

Robin potwierdził, ja wzruszyłam ramionami. Już po chwili sadowili się przy stole. Rzuciłam okiem na ich tace, bo ocena cudzych wyborów kulinarnych to najprostszy sposób, by się przekonać, z kim mamy do czynienia. Dostrzegłam całe mnóstwo ciastek, rogalików, opakowań nutelli

i konfitur, miseczki z sałatką owocową i czekoladą z bitą śmietaną. Z boku leżało pieczywo dietetyczne. Klasyka.

– To państwa pierwszy rejs promem? – dociekała seniorka, smarując croissanta masłem.

Robin spojrzał na mnie niepewnie, najwyraźniej rozważając, czy bratać się z normalsami. Przez ostatnie trzy miesiące nie miał zbyt wiele kontaktów z ludźmi poza magicznymi miastami. Normalsów znał głównie z telewizji, o ile można tam zobaczyć kogoś normalnego. Mrugnęłam do niego i spojrzałam na starszą panią.

– Tak! Czyż nie jest cudownie? To jest po prostu spełnienie marzeń! – szczebiotałam. – Mój brat wie, jak sprawić najfajniejszy prezent urodzinowy!

Starym nawykiem w myślach pospiesznie układałam spójną wersję tożsamości, którą mogłaby poznać ta grupka. Byłam więc młoda, entuzjastycznie nastawiona do wszystkiego, troszkę naiwna, ale niedobory intelektu nadrabiałam wdziękiem i sympatycznym uśmiechem. Robin spoglądał na mnie z półotwartymi ustami.

– Och, państwo są rodzeństwem? – wyłapała starsza pani.

– Oczywiście on jest dużo starszy – powiedziałam z uśmiechem.

Mogliśmy wyglądać na rodzeństwo, oceniłam. Ciemne włosy, ciemna karnacja, ciemne oczy.

– To bardzo ładny prezent – przyznała staruszka. – Ja zabrałam dzieci na wycieczkę do Karlskrony, bo stamtąd pochodził Ludwik, mój świętej pamięci mąż. Poznaliśmy się na promie…

I popłynęła opowieść o szczęśliwej miłości, pięćdziesięciu latach małżeństwa i nieoczekiwanej śmierci.

– To cały on – westchnęła – nigdy nie chciał nikomu sprawiać kłopotu…

Podróż, wyjaśniła, miała pomóc rodzinie przyswoić tę smutną sytuację. Przeżyć żałobę. Ale nie na smutno, bo Ludwiczek by tego nie chciał. Lubił się bawić, był takim pogodnym człowiekiem, prawda? Córka zapewniła, że najpogodniejszym na świecie, zięć przytaknął z nieobecną miną, dzieciaki były zbyt cool, by rozmawiać z lamusami. Być może to babcia potrzebowała rejsu dla przetrawienia żałoby, a cała reszta nie miała tu nic do gadania.

– A pan coś nie w sosie? – zagadnęła Robina.

– Mały atak choroby morskiej chwilę temu, kiepski początek wyprawy – przyznał.

– Och, współczuję! Czy ja nie mam tabletek z imbirem? – Nagle na blacie pojawiła się torba z lakierowanej wiśniowej skórki. Na bieli obrusa rosła kolekcja przedmiotów wyciąganych z torby, od tych przewidywalnych, jak portfel czy etui na okulary, po bardziej zaskakujące, jak zwijana smycz dla psa, zakrętki do butelek w foliowym woreczku, sitko do herbaty czy kuchenny minutnik.
– O! Mam! – Wyciągnęła triumfalnie blister tabletek. Nim Robin cokolwiek powiedział, wycisnęła dwie.

– Dziękuję – rzekł niepewnie, biorąc je z jej ręki.

Niewytrenowane oko dałoby się zwieść, że wrzuca je sobie do ust i popija sporą ilością mleka. Ja zauważyłam, że tabletki nie opuściły jego dłoni, ukryte między palcami, a potem dyskretnie wsunięte do kieszeni. Poczułam się troszeczkę dumna. Nigdy nie bierz tabletek i jabłek od obcych osób, choćby wydawały się najmilszymi wiedźmami na świecie.

Przez kilkanaście minut prowadziliśmy uprzejmą i nic nieznaczącą konwersację, a z luźno rzucanych uwag wyłaniały się nasze alternatywne życiorysy. Tak, to zaskakujące, że oboje w rejonach trzydziestki wciąż nie mamy małżonków ani dzieci. Siostra jest dość wybredna, a ja nie bardzo mam szczęście w miłości, wyznał Robin. Seniorka była gotowa zaangażować się w poszukiwanie nam par, została jednak powściągnięta przez córkę. Być może miała przygotowany na taką okoliczność katalog kawalerów i panien z rodziny i spośród znajomych. Portret, zdjęcie w kostiumie kąpielowym, ćwierć strony podstawowych faktów, plusy i minusy ułożone w tabelce poniżej. Na szczęście zmieniliśmy temat, więc nie dowiedziałam się, czy podobają się nam z Robinem te same kobiety i czy potrzebujemy kumpelskiego paktu, by zaklepać sobie tę, którą chcemy dla siebie.

Po piętnastu minutach absurdalność tej sytuacji zaczęła mnie przerastać, tłumienie chichotu sprawiało mi coraz większą trudność. Zmiotłam więc wszystko, co zostało na moich talerzach, i dałam Robinowi znak do odwrotu. Pożegnawszy się ze starszą panią i zdominowaną przez nią rodziną, wróciliśmy do swojej kabiny.

– Czuję na barkach cały ciężar tego rodzicielstwa, które jest moim obowiązkiem – powiedział Robin, moszcząc się na pryczy. Ja wdrapałam się na swoją. Nie należy ignorować możliwości wyspania się na zapas.

– Tobie i tak dała fory, bo przecież mężczyźni później się starzeją, ale ja nie robię się coraz młodsza – odparłam.

– Może wystarczy, jeśli adoptujemy psa?

– Pies by przy nas zwariował. – Wzruszyłam ramionami. – Ja się już pogodziłam z tym, że zejdę z tego łez padołu, nie rozumiejąc, co to znaczy być kobietą spełnioną. Ale dla ciebie wciąż jest nadzieja. Niejedna dziewczyna chętnie pobawiłaby się z tobą w dom i powiła ci małych dziedziców.

– Zostawię to sobie na następne dwieście lat.

– Oto dowód niesprawiedliwości: faceci mają więcej czasu na takie decyzje. Żadnego tykania, żadnego odliczania komórek…

– Nie przeraża cię sama myśl o tym, że miałabyś być za kogoś odpowiedzialna? – zapytał.

– Wystarczy mi gapowaty partner z lukami w pamięci.

Owinęłam się kocem i zamknęłam oczy. Były dni, kiedy wierzyłam, że gdzieś tam w przyszłości czeka na mnie miła dziewczyna, biały płotek i dzieciaki, ale to nie był jeden z nich. Dziś zastanawiałam się, jakie jest prawdopodobieństwo, że dożyję następnych urodzin.

*

Irena i Ernst siedzieli u szczytów stołu oddzieleni dwumetrowym blatem z surowego drewna. Na jego środku stał biały półmisek, a na nim, między dekoracjami z miniaturowych marchewek i różyczek wyciętych z rzodkiewek, leżało serce. Ludzkie i wciąż bijące. Z każdym skurczem komór wypływało z niego więcej krwi, która przelewała się przez porcelanową krawędź i płynęła po szorstkim blacie równiutką strugą, dzieląc stół na pół. Szkarłatna granica między Ireną a Ernstem. Lekceważąc prawa fizyki, sunęła po szorstkim drewnie do krawędzi stołu, by skapywać na moje kolana. Bo siedziałam przy tym samym stole, z Ireną po prawej stronie i Ernstem po lewej. Przywiązana do krzesła i całkowicie bezradna.

Krew wsiąkała w moją białą sukienkę, przylepiając ją do ud. Przez rozcięcie na piersi wyzierała pusta jama w miejscu, w którym powinnam mieć mostek. I nagle zrozumiałam, czyje serce leży na półmisku.

Moi rodzice wymieniali nienawistne spojrzenia, zupełnie mnie nie zauważając, co akurat było jedyną zaletą tej sytuacji. Za to przesadnie interesowali się moim sercem, coraz słabiej bijącym na półmisku. W dłoniach dzierżyli sztućce. Mówili coś do siebie, chyba się kłócili, ale nie słyszałam słów. Co mogło oznaczać, że oni nie słyszą mnie.

Próbowałam wyplątać się z więzów. To nie był sznur, chyba szarpie z prześcieradeł. Trzeszczały, gdy napinałam mięśnie, ale nie puszczały. Spróbowałam wstać – bezskutecznie. Przeklinałam, świadoma tego, że to tylko sen, a mimo to irracjonalny strach był obezwładniający. Jeśli zjedzą moje serce, nic mi już nie zostanie. Pusta dziura w klatce piersiowej i poplamiona krwią biała sukienka…

– To jest naprawdę popieprzone – usłyszałam głos i naprzeciwko, po drugiej stronie stołu, zobaczyłam Ture.

Miał na sobie idiotyczną białą szatę, a jego długie, jasnorude włosy były związane w kucyk. Serce miał na swoim miejscu i żadnych ran na piersi.

– Tym razem przegiąłeś – warknęłam. – Już tylko za to zasłużyłeś na kulkę.

Uniósł dłonie w geście niewinności.

– Mnie w to nie mieszaj, nie ja stworzyłem to gówno! Nie chciałem marnować energii na wciąganie cię do mojej kreacji, więc wdarłem się do twojej. Popieprzenie tego obrazu zawdzięczasz sobie. I być może Irenie.

Westchnęłam. Normalna osoba pomyślałaby, że przedawkowałam przed snem Tytusa Andronikusa albo Hannibala.

– A ty? Zwalasz swoje popieprzenie na Ernsta? – zapytałam i wbrew sobie spojrzałam na naszego ojca, który na szczęście wydawał się całkiem nieświadomy naszej obecności.

– Nie było go w pobliżu zbyt często. Świrów wokół mnie nie brakowało, ale on nie był jednym z nich.

– Myślałam, że matka zostawiła cię Ernstowi…

– Tak zrobiła. Ale wyobrażasz go sobie z dzieckiem?

– Nie.

– No właśnie.

– Będziemy teraz snuć smutne opowieści o dzieciństwie czy mnie odwiążesz?

– A zamierzasz mnie bić?

– Nie mogę niczego obiecać.

Wstał i obszedł stół od strony Ernsta. Ciekawe, ja wybrałabym przeciwny kraniec.

Rozsupłał więzy na moich nadgarstkach i pomógł wstać.

– Dzięki. Po co tu jesteś?

– Nie potrafię się trzymać z daleka. – Wyglądał na przybitego i nieszczęśliwego. – Chciałbym ci jakoś pomóc.

Klasnęłam w dłonie, zamrażając w czasie Ernsta i Irenę. Zatrzymali się w pół ruchu niczym na stop-klatce, z półotwartymi ustami i uniesionymi pięściami. Ich kłótnia najwyraźniej weszła na nowy poziom, a ja wciąż nie słyszałam ani słowa.

– Poradzę sobie. Zawsze sobie radzę – powiedziałam i sięgnęłam po serce. Podniosłam je z półmiska, ociekające gęstą jak syrop malinowy krwią, a potem wsadziłam je w dziurę w klatce piersiowej. Wzięłam głęboki oddech, czując, jak żyły i tętnice się zrastają, a serce zaczyna bić mocno i równomiernie. Przytrzymałam brzegi rany, by się zrosły. Po kilku sekundach moją skórę przecinała gruba tkanka blizny, która wyglądała jak suwak.

– Dobre! Skąd wiedziałaś, że się uda? – zapytał.

Przez chwilę patrzyłam w jego oczy o kształcie tak podobnym do moich, ale jaśniejsze. Był martwy. Nie mógł mi już zaszkodzić. Może wyłącznie martwemu mogłam zaufać na tyle, by zbudować z nim jakąś relację. Był tylko snem, wytworem mojej podświadomości, która wciąż zmagała się z tym, co mu zrobiłam.

– Świadome śnienie. Po porwaniu miałam koszmary. Nauczyłam się, że nie mogę im zapobiec, ale jeśli nie stracę głowy, mogę nimi w jakimś stopniu manipulować.

– Szkoda, że tego nie wiedziałem za życia.

– Może miałeś mniejszą praktykę w śnieniu koszmarów.

Skinął głową zamyślony.

– Jest coś, co powinnaś wiedzieć, a ja chciałbym ci powiedzieć, ale związali mnie przysięgą…

– Czy to ma coś wspólnego z Odynem?

– Skąd wiesz? – Wydawał się naprawdę wstrząśnięty.

– Kruki. Czy mi zagrażają?

– One tylko śledzą. On…

Zwinął się nagle, przytrzymując brzuch, jakby się bał, że wyleją mu się wszystkie bebechy. Jęczał z bólu przez minutę, aż nagle zamilkł i się wyprostował. Wciąż był blady, na skroni połyskiwały mu kropelki potu.

– Co to było? – zapytałam.

– Boskie przypomnienie, że mam siedzieć cicho.

– Krótką masz smycz.

– Bywa, gdy nie żyjesz i przestajesz o sobie decydować. Unikaj kruków.

– Znajdą wszystko, co chcą, nie zdołam ich unikać.

– Niestety. Mamy mniej czasu, niż myślałem. Nie odkładaj Norwegii na później. Chcę, byś poznała prawdę, zanim po ciebie przyjdzie.

– Jestem w drodze. Kto mnie szuka? Ernst? – zapytałam, spoglądając na zastygłego faceta u szczytu stołu.

– Nie.

– Odyn? – Rzuciłam drugie imię, jakie przyszło mi do głowy. Ture nie potwierdził głośno, ale minę miał wymowną. – Po co?

– Chciałbym… – umilkł, masując splot słoneczny.

– To jemu obiecałeś?

Pokręcił głową.

– Wkrótce się wszystkiego dowiesz. I może nawet się spotkamy.

– Mówisz mi, że wkrótce będę trupem?

– Z takimi jak my nie wszystko jest takie proste, prawda?

– Mówiłam już, że nienawidzę półsłówek i tajemnic?

– I co mi zrobisz? Zastrzelisz?

Przez niebo przetoczył się odgłos grzmotu. Jak to? Czkawka? Przecież jesteśmy na morzu, tu nie ma czkawki… Ale nie, to nie grzmot. Dźwięk narastał, wzmagał się z każdą chwilą, aż rozpoznałam wreszcie wygrywaną na trąbce melodię, a potem głos i słowa: „I see skies of blue, and clouds of white. The bright blessed day, the dark sacred night. And I think to myself, what a wonderful world!”. No dobrze, pomyślałam, to jest dziwne.

Podniosłam się gwałtownie i wyrżnęłam głową o sufit. Z głośnika wciąż dobiegały dźwięki piosenki Armstronga. Robin siadł na swojej pryczy.

– Dzień dobry państwu, mówi wasz kapitan. Jest osiemnasta trzydzieści i wkrótce wpłyniemy do portu w Karlskronie, gdzie zakończymy nasz rejs. Proszę pamiętać o zabraniu swoich bagaży. Serdecznie zapraszamy ponownie!

Potarłam twarz dłońmi, próbując zetrzeć wspomnienie dziwacznego snu. Odruchowo przejechałam palcami po mostku. Skóra pod opuszkami była gładka, ani śladu z blizn. Niby oczywiste, ale nic nie jest takie oczywiste, gdy w sny ingeruje magia, a tobą interesują się bogowie.

*

Zjechaliśmy z trapu jako ostatni, zmuszeni czekać przez prawie godzinę, aż stoczą się na ląd wszystkie samochody ciężarowe i osobowe. Nie

wiedziałam, czy to z powodu snu, czy intuicji, ale nerwy zaciskały mi żołądek w supeł.

Spodziewałam się kłopotów.

Nie wiedziałam tylko, że będzie je oznaczać grupa odzianych w skóry motocyklistów.

Komitet powitalny czekał na przystani. Potrzeba dyskrecji naszych nowych znajomych ograniczała się do zatrzymania się kilka metrów od końca trapu i nietrzymania broni na wierzchu. Naliczyłam ośmiu. Nie wyglądali na profesjonalnych najemników, ale może szukając porywaczy w Karlskronie, nie możesz wybrzydzać.

Jeden z nich odłączył się od grupy i ruszył w naszym kierunku. Szacując nasze możliwości, sięgnęłam pod kurtkę i odpięłam pasek przy kaburze Inkwizycji. Byliśmy w realnym mieście, wokół kręciło się mnóstwo cywili i wolałabym nie robić więcej zamieszania, niż to konieczne, ale to nie ja rozpisałam tę scenę.

– Nikita – oświadczył raczej, niż zapytał. – Pozdrowienia od Aleksa.

Nie tego się spodziewałam.

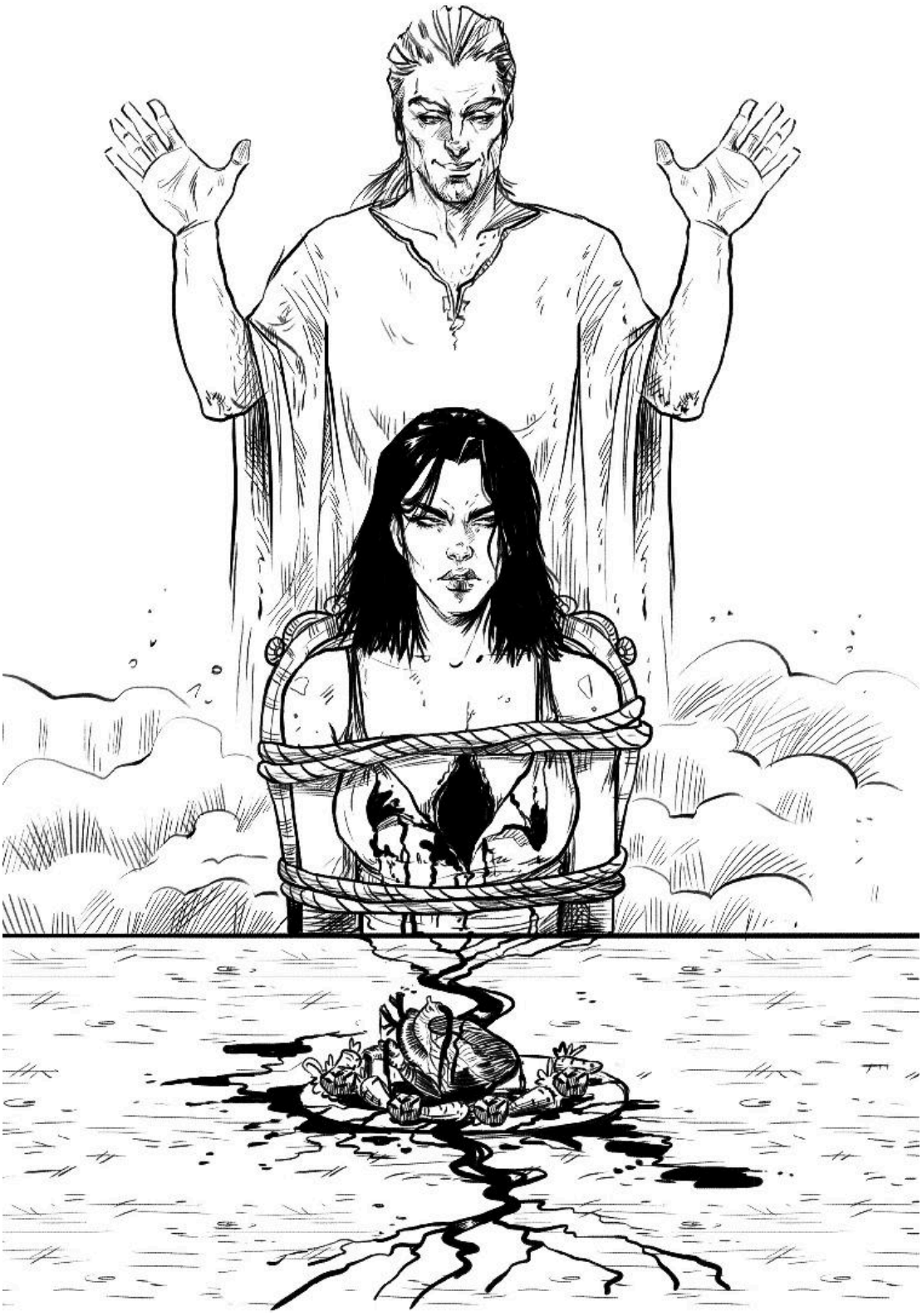

Rozdział 7

Zareagowałam impulsywnie. W ułamku sekundy wyciągnęłam broń i rzuciłam zaklęcie, które odwracało ode mnie uwagę przypadkowych przechodniów. Jest całkiem przydatne, jeśli zamierzasz rozwalić kolesiowi głowę w środku realnego miasta, na przystani, po której kręciły się tłumy, a kamery obracały swoje cyklopie oczy, omiatając każdy kąt.

Facet nie miał na tyle rozsądku, by unieść dłonie czy wyciągnąć broń. Wydawał się zaskoczony.

– Nikito, możesz powstrzymać wolę mordu na kilka sekund? Mam wrażenie, że doszło tu do nieporozumienia – powiedział Robin spokojnym tonem przedszkolanki negocjującej rozejm między uzbrojonymi w łopatki czterolatkami.

Nie odpowiedziałam, ale skoro nie nacisnęłam spustu, zrozumiał przekaz. Zwrócił się do motocyklisty i powoli, jakby nie mając pewności, czy zostanie zrozumiany, powiedział:

– Jeśli nie próbujesz jej powiedzieć, że wziąłeś jej przyjaciela jako zakładnika, i jeśli jej nie grozisz, że go zabijesz, być może zbyt lekkomyślnie dobrałeś słowa.

– Co? Nie ma, kurwa, opcji! – warknął facet, wyraźnie wstrząśnięty. Nie mieściło mu się w głowie, że mogłam pomyśleć coś takiego. Ale Robin miał rację. Tak pomyślałam. – Jesteśmy chapterem Aleksa, wciąż jest naszym bratem. Poprosił o ochronę dla ciebie!

– Co zrobił? – Zdjęłam palec ze spustu, ale wciąż nie chowałam spluwy. – Wiedziałeś o tym? – zapytałam Robina.

– Nie wiedziałem. Ale spodziewałem się czegoś w tym stylu. Aleks był trochę spanikowany, a nie należy do tych, którzy siedzą na dupie i czekają na rozwój wypadków.

Brzmiał tak spokojnie i rozsądnie, że miałam ochotę strzelić mu w głowę – dla zasady. Owszem, też widziałam, że Aleks był wytrącony z równowagi, ale nie wpadłam na to, że wybierze numer do starych kumpli i ustawi ich w roli nianiek. Jakbym potrzebowała niańki.

– Mogłeś powiedzieć, zanim narysowałam mu cel na czole.

– Nie przewidziałem, że będzie tak lekkomyślny i wyskoczy z pozdrowieniami. – Wzruszył ramionami.

Odetchnęłam głęboko. Cóż, zabicie członków chapteru Aleksa nie byłoby mile widziane. Zwłaszcza że miałam na sumieniu sporo ich braci. Składali się na ekipę, którą moja eks zwerbowała, by odbić mnie z rąk Ernsta. Nigdy więcej nie wsiedli na motocykle. Z niektórych nie zostało dość, by można ich było godnie pochować. Żaden nie załapał się na otwartą trumnę.

Facet wciąż czekał, z rękoma w kieszeni, aż schowam broń i zareaguję, jak należy, na jego hojną ofertę.

– Nie potrzebuję ochrony – powiedziałam już spokojniej, chowając Inkwizycję do kabury. – Dzięki. Zadzwonię do Aleksa w wolnej chwili i wyjaśnię z nim to nieporozumienie.

Facet przede mną tylko pokręcił głową. Jego ciało dosłownie emanowało uporem i zdecydowaniem. Splótłszy ramiona na piersi, zdawał się pozować do awangardowej rzeźby zatytułowanej Po moim, kurwa, trupie.

– Mam ci przekazać, że decyzja nie należy do ciebie. I że będziemy cię chronić tak, jakbyś była Aleksem. Poza tym mamy u ciebie dług, który chcielibyśmy mieć wreszcie z głowy.

– Nie macie u mnie długu – warknęłam. – Już zbyt wielu zginęło.

– Nie bądź idiotką. Nasi bracia zginęli w robocie. Zdarza się. Nie ponosisz winy. Odnieśli sukces, skoro przeżyłaś. A ponieważ wróciłaś po Aleksa i postawiłaś go na nogi, mamy u ciebie dług. Jest, i zawsze będzie, jednym z nas.

– Nienawidzę takiego pieprzenia.

– Takich usług raczej nie oferujemy, ale z niektórymi z nas łatwo się dogadać. – Wyszczerzył się, cholernie z siebie zadowolony. – A teraz zamiast ciągnąć tę czczą dyskusję, na odsłoniętej pozycji i przy licznych świadkach, może pojedziemy do naszej kwatery i ustalimy szczegóły?

– Jadę do Oslo jeszcze dziś w nocy.

– Nie jedziesz.

– Nie będziesz mi, kurwa, mówił, co będę robić! Właśnie dlatego to się ni chuja nie może udać! – krzyknęłam i dosiadłam Ślicznotki.

Byłam gotowa odjechać w ciągu sekundy, tak by mieć z głowy cały ten gówniany pomysł z ochroną. To ja byłam ochroną. To mnie płacono gruby hajs za pilnowanie słabych czy niezdolnych do samoobrony celów.

– Źle na to patrzysz – powiedział, znów z tym pieprzonym spokojem, który tak pasował mi do herszta klubu motocyklowego jak do mnie koronkowa bielizna i pierścień czystości.

Robin wciąż stał przy swojej maszynie, jakby dając mi do zrozumienia, że nie ruszy się z miejsca, dopóki ich nie wysłucham. Natychmiast przypomniałam sobie, dlaczego przez lata pracowałam sama.

– Musimy mieć pewność, że nikt cię nie śledzi. Pan Amundsen jest dość przywiązany do swoich dzieci i pewnie nie byłby zadowolony, gdyby zaraz za tobą wpadli mu do domu zamachowcy. Poza tym, jeśli wyruszysz z Karlskrony teraz, dotrzesz do Oslo w środku nocy.

– I co z tego?

– I nie będą to komfortowe warunki tak dla ciebie, która chcesz sprawdzić zabezpieczenia domu, jak i dla rodziny, którą wyrwiesz ze snu. Daliśmy znać panu Amundsenowi, że przyjedziemy jutro o cywilizowanej porze, czyli w okolicach późnego obiadu.

– Bogowie północy, jesteś motocyklistą czy terapeutą rodzinnym?

Wyszczerzył zęby, uśmiechając się krzywo.

– Jestem tylko prostym motocyklistą, ale mam cholernie bystrą żonkę.

Bąknęłam pod nosem coś o mądrych kobietach i głupich decyzjach.

– Poza tym chyba lepiej, żebyś poznała plan, zanim rzucisz się na główkę w toń przygody, no nie? – dodał.

Robin parsknął śmiechem i włożył sporo wysiłku, by zamaskować go kaszlem. Być może powiedziałam mu coś podobnego, kiedy byliśmy w Sawie, a jemu zbyt się śpieszyło do działania. Ech, ten moment, kiedy twoje słowa mogą być użyte przeciwko tobie.

*

Nie wiem, czego się spodziewałam, słysząc, że jedziemy do kwatery klubu. Raczej nie domu na przedmieściach Karlskrony, która w całości wyglądała trochę jak przedmieścia. Schludne ulice, zieleń, parki i niewysokie budynki. Jeśli było tu jakieś blokowisko czy biedna dzielnica, nie zauważyłam. Albo dostałam pocztówkową wersję Karlskrony, albo to miasto po prostu takie było.

Zaparkowaliśmy na podjeździe z kostki brukowej, przed białym piętrowym domem. Czerwona dachówka i okiennice upodobniały go do

siedziby czarownicy, ale skoro to Karlskrona, pewnie czarownica nad dziecięce mięso preferowała żelki z lukrecją.

– To jest wasza siedziba? – zapytałam, widząc huśtawkę na przydomowym trawniku.

– Nie bądź głupia. To dom Baloo. Jesteśmy tu gośćmi, więc zachowuj się grzecznie, bo choć jego żona zabrała dzieciaki do dziadków, to kocha to miejsce i lepiej, by zastała je w takim stanie, w jakim je zostawiła – pouczył mnie przywódca grupy.

– Spodziewasz się, że zacznę mu demolować salon? – zapytałam nieco urażona.

– Spodziewam się tylko tego, o czym uprzedził mnie Aleks. Mam pilnować, żebyś się nie wściekła, bo drzazgi będą fruwać. Jak dla mnie to problemy z panowaniem nad sobą i być może niekontrolowana agresja, ale znów, jestem tu tylko po to, by zapewnić ci bezpieczeństwo i kupić trochę czasu, gdy będziesz go potrzebować, a nie jako terapeuta. Jeśli potrzebujesz terapii, mogę ci dać namiary na moją żonę.

– Nie mówiłbyś tak, gdybyś wiedział, co zrobiłam poprzedniemu terapeucie – powiedziałam cicho. Mimo to usłyszał.

– Cofam to. Nie mam żony. Aleks by mi nie wybaczył, gdybym musiał cię zabić.

– Bardzo zabawne – powiedziałam.

Nie przyznałabym tego głośno, ale czułam się w ich towarzystwie całkiem komfortowo. Spodziewałam się, być może kierując się uprzedzeniami, czegoś innego. Aleks opowiadał mi o swoim życiu sprzed spotkania z Ernstem. Mnóstwo picia, awantur, ryzykowne decyzje i trwałe uszkodzenia ciała. Jego kartoteka wymagała równie intensywnej rehabilitacji jak jego ciało, a Karma policzyła mu za nadgodziny. W tamtym czasie był jednym z nich, Niedźwiedziem, więc zakładałam, że są tacy jak on wówczas. Wyglądało jednak na to, że nie wszyscy potrzebują połamanego kręgosłupa, by stanąć na nogi. Patrzyłam na tych gości i próbowałam dopasować moje założenia do tego, co widziałam. To nie byli chłopcy ze szkółki niedzielnej, ich twarze i ciała poznaczone były bliznami, ale etap jazdy po bandzie mieli za sobą. Do jasnej cholery, przynajmniej jeden z nich miał dom na przedmieściach Karlskrony, huśtawkę w ogrodzie i pewnie rodzinnego SUV-a w garażu.

Wchodząc po schodach z jasnego piaskowca, poczułam potrzebę wytarcia butów na wycieraczce – nie dlatego, że deprymowały mnie jasne

podłogi, ale ponieważ przekraczając próg, wyczułam magię rodzinnego domu, jedną z najsilniejszych, jakie istnieją. To nie był ładny budynek, to był Dom, bardzo dużą literą. Żadne miejsce, w którym kiedykolwiek mieszkałam, nie nosiło takiej sygnatury. Mój dom w Warsie nawet nie zaczął obrastać taką aurą. Lokum Ireny tym bardziej. Nic złego nie miało tu dostępu. Przez chwilę nie byłam pewna, czy próg mnie przepuści. Przepuścił. Może dlatego, że w środku nie było dzieci.

Dopiero teraz, siedząc przy długim stole, w kuchni, która wyglądała jak spełnienie mokrych snów Julii Child, miałam sposobność przyjrzeć się całej załodze Klubu Niedźwiedzi, jak głosiły naszywki na skórzanych kamizelkach. Mogłam się założyć, że nie byli jednoprocentowcami. Nie wyglądali na kolesi, którzy w tygodniu mają normalną robotę, jako księgowi czy prawnicy, a w weekendy bawią się w klub motocyklowy. Równocześnie nie otaczała ich typowa dla gangów nuta agresji i oznaczania moczem terytorium.

W pomieszczeniu dało się wyczuć napięcie, ale co było jego źródłem? Ja, robota czy coś innego? Robin albo tego nie czuł, albo nie zawracał sobie tym głowy. Kręcił się po kuchni, deklarował chęć pomocy i bez pozwolenia zaglądał do garów.

Baribal, jak kazał się nazywać przywódca, zauważył, że lustruję jego ludzi, więc przysiadł się do mnie. Siedzący obok wysoki, chudy facet natychmiast się przesunął, robiąc mu więcej miejsca. Baribal miał jakieś metr dziewięćdziesiąt i ważył dobre sto kilogramów, z czego większość stanowiły mięśnie. Długie, ciemne włosy podgolone po bokach i na karku zawiązał w kucyk, jak gitarzysta kapeli metalowej. Nosił proste, czarne ciuchy: gładki T-shirt i dżinsy wytarte na kolanach, do tego dobrej jakości motocyklowe buty. Niby nic, ale wyglądał na porządnego kolesia. Podparł się łokciami o krawędź stołu i spróbował spojrzeć na pomieszczenie moimi oczami.

– Ten wielki facet, który właśnie niesie nam jedzenie – powiedział cicho Baribal – to Baloo. Genialny kucharz, nawet z puszkowej mielonki potrafi zrobić coś dobrego. Nie denerwuj go, bo lubi rzucać nożami i jest w tym nawet lepszy niż w gotowaniu. Nie jest rozmowny, ale nie myśl, że to z twojego powodu. – Umilkł i przez chwilę ważył słowa, jakby się zastanawiał, ile mi powiedzieć, po czym dodał: – Miał być w tej ekipie, która poszła na Ernsta.

Spojrzałam na dużego mężczyznę, który przemierzał kuchnię z dwoma talerzami w dłoniach. Miał dobrze ponad metr osiemdziesiąt i ważył co najmniej sto pięćdziesiąt kilo. Jego łysa głowa lśniła od potu, a wielkie kapitańskie wąsy wyglądały jak coś, co wpełzło mu na twarz i zasnęło, a on postanowił to tam zostawić. Na zdjęciach rodzinnych wiszących na korytarzu zauważyłam dzieci: ośmio- i może pięcioletnie. Widać pewne decyzje człowiek podejmuje dopiero wtedy, gdy wyślizgnie się śmierci z pazurów.

Postawił przed nami talerze ze stekami i warzywami i oddalił się bez słowa. Nie uszło mojej uwadze, że zerka na mnie przez ramię.

Powąchałam potrawę i ślina napłynęła mi do ust. Ukroiłam kawałek mięsa, różowiutkiego w środku, soczystego, w glazurowanej miodowej skorupce, i pomyślałam, że warto było odłożyć wyjazd do Oslo.

– Po co trwonić słowa, gdy się tak gotuje? – wymamrotałam z pełnymi ustami.

Baribal parsknął śmiechem i poklepał się po udzie.

– Zrobi sobie z tym koszulkę – skomentował i sam zaczął jeść.

Między kęsami dyskretnie przedstawiał mi resztę ekipy.

– Ten tam to Kolargol, spokojny typ, ale nigdy nie wdawaj się z nim w bójkę, jeśli jest po alkoholu. Walczy jak berserk.

Zakrztusiłam się. Dopiero po dłuższej chwili i połowie szklanki wody oddychałam normalnie. Zmierzyłam spojrzeniem faceta, który mógł być tuż po sześćdziesiątce. Miał nie więcej niż metr siedemdziesiąt i niewielki brzuszek rysujący się pod koszulką Iron Maiden, tak że kościotrup Eddie wydawał się bardziej zaokrąglony niż zwykle. Nosił długą brodę splecioną w dwa warkoczyki ozdobione koralikami z mosiądzu i srebra, a włosy ścinał prawie przy skórze, pewnie po to, by zamaskować pogłębiające się zakola. Gdy się poruszył, zabrzęczał łańcuch z metalowymi kulkami, który miał przypięty przy pasku. Myślałam, że to ozdoba, ale jeśli Baribal mnie nie wkręcał, miał charakter zdecydowanie bardziej użytkowy.

– Berserk, powiadasz – wycedziłam tylko.

– Na szczęście jedynie w przenośni. I nie jest takim skurwielem jak Ernst Szalony.

Miał mnie. Nie miałam pojęcia, ile wie. Co powiedziała im Dora, werbując na robotę? Czym po wszystkim podzielił się Aleks? Czy wiedzieli, że jestem córką skurwiela, który zabił kilkunastu ich braci?

– Nikt nie jest takim skurwielem jak Ernst Szalony – szepnęłam.

I zaczęłam, jak dziecko, przesuwać po talerzu duszone marchewki i fasolkę.

– Nie myśl o nim, to już przeszłość – powiedział nieoczekiwanie Baribal. – Kiedyś go dopadniemy i pomścimy naszych braci.

– Nie dopadniecie. Nawet nie próbujcie. Dla niego żadne z nas nie jest równym przeciwnikiem – odparłam stanowczo.

Wzruszył ramionami i widelcem wskazał na kobietę pod pięćdziesiątkę. Jej włosy były niemal całkiem białe, splecione w dwa cienkie, oplecione rzemykami warkocze. Była szczupła, żylasta i miała nieco chłopięcą sylwetkę – szerokie ramiona, wąskie biodra, długie, smukłe nogi. Opalenizna podkreślała zmarszczki wokół głęboko osadzonych oczu i wąskich ust.

– To jest Ursa – powiedział Baribal. – Tamtej nocy jej mąż poszedł na Ernsta. Kiedy wychodził z domu, wyglądała na trzydziestolatkę. Gdy okazało się, że nie wróci, posiwiała w ciągu nocy. Mówi, że odwiedził ją we śnie i ze szczegółami opowiedział, co się stało w tamtej opuszczonej fabryce. Może cię o to pytać, może też nie chcieć o tym rozmawiać.

Kobieta przeszyła mnie spojrzeniem, a ja uwierzyłam, że nocą przyszedł do niej jej zamordowany mąż. Miała aurę typową dla wiedźm.

– Tamten chłopak, który spogląda na ciebie co jakiś czas, jakby chciał cię zamordować, to Remi, jej syn.

– O, nie ma misiowej ksywy? – zapytałam z przekąsem, bo spojrzenie chłopaka zauważyłam już jakiś czas temu.

– Jeszcze na nią nie zapracował, jest świeżakiem. Nie rób mu za dużej krzywdy, jeśli przegnie. Za wcześnie stracił ojca. Czcił go wtedy i czci go dziś.

– I nie rozumie, jak ojciec mógł stracić życie dla kogoś takiego jak ja?

– Dokładnie. Młody i głupi. Nie rozumie, że poszli tam nie dla ciebie, ale dla kasy, rozróby. I z głupoty, bo kasa nie była nawet taka wielka.

– Nigdy się nie dowiedziałam, ile Dora wam zapłaciła.

– Niewiele. Ale po wszystkim wróciła do nas i zaprowadziła nas do fabryki, byśmy mogli zabrać i pochować naszych braci. To też ma dla nas wartość.

Zrobiło mi się wstyd. To musiało mieć miejsce już po tym, jak tam wróciłam i znalazłam Aleksa. Zabrałam go, ale nawet nie pomyślałam o tych wszystkich leżących dookoła zwłokach.

– Ty zajęłaś się żywymi. Tego też nie zapominamy. Aleks nam o wszystkim opowiedział. – Wydawał się czytać mi w myślach.

– O wszystkim?

– O tym, w jakim byłaś stanie. I w jakim on był stanie. Wyciągnęłaś go stamtąd, uratowałaś mu życie i taksówką przewiozłaś do Sanktuarium, gdzie nie przyjęto by go bez twojego wstawiennictwa.

– Tylko dlatego, że się upiera, że jest w pełni człowiekiem – mruknęłam.

– Taaa. Kto przejechał kilometr na jednym z jego motocykli, nigdy w to nie uwierzy. – Uśmiechnął się szeroko.

Ursa wstała od stołu i podeszła do zlewu. Wysoki, chudy facet, który siedział obok Baribala, ruszył za nią. Zdjął słoik z wysokiej półki, do której nie mogła sięgnąć, i podał z miną rycerza, który właśnie rozprawił się ze smokiem. Nie słyszałam, o czym rozmawiali, ale mowa ciała dość jednoznacznie określała sytuację. On był zainteresowany, ona stawiała twardą granicę, której on nie przekraczał. I nawet nie wyglądał jak skarcony szczeniak. W jego sylwetce było coś, co sprawiało, że kojarzył się z kowbojem: wąskie biodra w dopasowanych dżinsach, długie nogi prostowane na beczce i sięgające za kostki skórzane buty, które prosiły się o ostrogi. Wyciągnął papierosa zza ucha, zapalił i zostawił w kąciku ust niczym Lucky Luke. Ursa zabrała go i wrzuciła do zlewu. Nie wyglądał na zdenerwowanego. Odpalił kolejnego i zdążył wziąć dwa buchy, nim ten również wylądował w zlewie.

– Mało ekonomiczna metoda palenia – powiedziałam do Baribala.

– A tak. Ursa i Wargacz. Nasze nieustanne źródło radości.

– Nie wszystkich – mruknęłam.

Baribal spojrzał w kierunku, w którym patrzyłam, i skrzywił się, widząc zaciśnięte do białości pięści świeżaka.

– Zapomina, że to ona podejmuje decyzję, nie my, nie on. Nawet nie Wargacz. Jeśli któregoś dnia dojdzie do wniosku, że on jednak nie jest dla niej za młody i dziesięć lat to nic w obliczu wieczności, mają moje błogosławieństwo, a szczeniak albo się zachowa jak trzeba, albo będzie musiał szukać innego klubu.

Baribale w naturze wyglądają jak słodkie misie, ale kontakt z ich pazurami i zębami nie należy do przyjemnych. W oczach przywódcy Klubu Niedźwiedzi zobaczyłam błysk, który wyjaśnił mi, skąd taka ksywa, a nie Koala czy inny Paddington.

– Są jeszcze Panda i Yogi, ale pojawią się za jakąś godzinę. – Płynnie zmienił temat. – Więc może powiedz mi, co wiesz o ludziach, którzy próbowali cię porwać. Czego się spodziewać?

Wzruszyłam ramionami.

– Jak dotąd nie byli szczególnie finezyjni. Broń palna, zaklęte kule, zniszczenie potrójnego kręgu ochrony. Chcą mnie dopaść żywą, co w sumie jest miłe, bo ogranicza akcje typu podłożenie bomby w domu Amundsena.

– Wiesz już, kto za tym stoi?

– Jeszcze nie. Wiem tyle, że sięgają po zasoby Zakonu, ale się do nich nie ograniczają.

– Yogi sprawdzał oddział Zakonu w Oslo. Wygląda na to, że jest tam spokojnie i nie szykuje się nic specjalnego.

– Dobre i to. Może problemy się skończyły, gdy wyjechałam z kraju.

Nie wierzyłam w to. Wciąż miałam w pamięci kruki krążące mi nad głową. Ale jeśli zleceniodawca wykorzystywał zasoby Zakonu, matka, o ile to nie ona za tym stała, mogła mu pokrzyżować plany.

– Mówiłeś, że macie jakiś plan – zagadnęłam.

– Poczekaj, aż zobaczysz Pandę! – Wyszczerzył się, bardzo z siebie zadowolony. – Przygotowuje się właśnie do roli. Aleksowi chwilę zajęło podesłanie nam twojego zdjęcia.

*

Yogi wyglądał jak chłopak z boysbandu: blondynek z niebieskimi oczami, którego gołą klatę będą eksponować w materiałach promocyjnych. Od Baribala wiedziałam jednak, że jest cennym nabytkiem Klubu Niedźwiedzi, bystrzakiem komputerowym i specem od programowania. Znów, nie takiej kariery zawodowej spodziewałam się po członku klubu motocyklowego, w którym Aleks zaliczył większość wykroczeń opisanych w kodeksie karnym. Wiele się zmieniło, pomyślałam, patrząc na szczupłego mężczyznę w modnych dżinsach i dopasowanej koszuli. Wkroczył do pokoju niczym mistrz ceremonii, odchrząknął dwa razy, po czym stwierdził:

– Panie i panowie, sami musicie to zobaczyć!

Odsunął się w głąb pokoju, a próg przekroczyła… o najjaśniejsza z choler, matko syfilityczna! Powiedzieć, że laska wyglądała jak ja, to nie oddać jej sprawiedliwości. Wyglądała jak lepsza wersja mnie, osiągnęła niedostępny dla mnie poziom zajebistości. Czarne włosy obcięte na boba

u fryzjera lepszego niż wszyscy, którzy kiedykolwiek mnie strzygli (zwykle robiłam to zresztą sama, nie miałam czasu na pierdoły), makijaż podkreślający duże, migdałowe oczy i rzęsy dłuższe od moich o centymetr. W czarnym kombinezonie, który leżał o niebo lepiej od mojego, wyglądała jak ktoś, kto stanowiłby zagrożenie dla innych użytkowników autostrady. Moje spodnie stanowczo nie były tak ładnie wypełnione, suwak kurtki nie opinał się na zderzakach tak prowokacyjnie. Mogłabym tak wyglądać, wyłącznie sięgając po zmiennokształtne sztuczki. Ona nie pachniała magią.

– Aż tak dobrze? – zapytała z uśmiechem.

Miała przydymiony i lekko zachrypnięty głos gwiazdy starego kina. A mnie zaschło w gardle. Jak popieprzone jest napalanie się na lepszą wersję siebie?

– Zapomniała języka w gębie, co się nie zdarzyło, odkąd się znamy – powiedział Robin z drugiego końca pokoju. – Ale jeśli miałbym się nabrać, musisz być mniej olśniewająca, bardziej „nie miałam czasu na nic więcej niż umycie zębów i przeczesanie włosów palcami” – dodał.

– Skocz mi, partnerze – warknęłam, choć miał rację. – Dobra, teraz naprawdę jestem ciekawa, jaki macie plan.

– Kupimy ci tyle czasu, ile tylko potrzebujesz – powiedziała Panda. – Nim się zorientują, że ja to nie ty, będziesz wracała do domu.

– To może być niebezpieczne, wiesz? Powiedzieli ci, że jeśli uwierzą, że ty to ja, będą do ciebie strzelać albo spróbują cię porwać?

– Dlatego Klub nie spuści mnie z oka. Ty musisz sobie radzić sama, skoro to ja przyciągam całą uwagę. – Mrugnęła szelmowsko.

Wciąż zamierzałam opieprzyć Aleksa za snucie intryg za moimi plecami. Ale jestem elastyczna, potrafię wycisnąć z sytuacji, ile się da. Ekipa była zgrana i zdeterminowana, a jej członkowie nie byli już mięsem armatnim sprzed dziesięciu lat. Mogłam skorzystać na ich obecności. I istniała spora szansa, że nie będę ich miała na sumieniu.

Jeśli natomiast będę – cóż, nie jako pierwszych i zapewne nie ostatnich. Sami podjęli decyzję, by usiąść do rozdania przy karcianym stoliku. Czasami zapominam, że dom zawsze wygrywa.

Rozdział 8

Skandynawia jest niezwykłym miejscem dla noszących magię. Linie magiczne kipią energią i przy pierwszym kontakcie wywołują lekką euforię. Gdy użyjesz znaku widzenia, ujawniają się gęsto tkane sieci, rozjarzone jak strugi lawy rozlewającej się po szerokich płaszczyznach aż do nierównej linii brzegowej. Szarawobłękitne niebo, z wiszącymi nisko chmurami wygląda melancholijnie, a powietrze trzeszczy od skumulowanych impulsów magicznych.

Dla takich jak ja – powiązanych z magią Północy i tutejszym panteonem – to szczególnie upajające. Czułam się jak olbrzymka, potężna i naładowana mocą po cebulki włosów. Nie da się tego pomylić z niczym innym. Norwegia to kraj prastarej magii na wyciąg-
nięcie ręki. Tu starzy bogowie wciąż są czczeni, głodni uwielbienia i potężni.

W innych krajach, w których bywałam, miasta osiadały na grubych węzłach, w miejscach, gdzie krzyżowało się szczególnie wiele linii. Nie tu. W Norwegii nie było alternatywnych miast. Światy ludzi i magicznych przenikały się, zazębiały, funkcjonowały na tej samej płaszczyźnie, w tym samym wymiarze, a przy tak niewielkim zaludnieniu właściwie nie musiały sobie wchodzić w paradę.

Magiczni najchętniej osiadali na przedmieściach i dalej, na oddalonych od miast farmach, w lasach, na wsiach i w małych miasteczkach. Mieszkali po sąsiedzku z ludźmi, którzy często nie wiedzieli o ich dziedzictwie, a nawet gdyby wiedzieli, przeważnie nie robiłoby im to różnicy. Chrześcijaństwo przyjęło się tu umiarkowanie, a wraz z nim nie przyszła nienawiść do magii czy starych bogów. Wikingowie nie napadali już na porty we Francji czy Anglii, ale nie zniknęli. Szacunek dla przeszłości miał się nieźle, a nowej wiary nie traktowano z neofickim radykalizmem. Owszem, reputacja bóstw czy niektórych magicznych nieco ucierpiała, jak w przypadku berserka, który z szanowanego świętego wojownika w boskim

szale wyewoluował w narkotycznie napędzanego potwora, ale to nic, z czym byśmy sobie nie radzili.

Wprawdzie w siedemnastym wieku zapłonęły stosy i polowanie na czarownice rozgorzało i tutaj (a wraz z nim pojawili się w Szwecji i Norwegii bracia z Zakonu Cieni, po cichu rozprawiający się z tym, o czym nie mówiło się głośno), a w twierdzy Vardřhus, nieopodal kościoła, gawiedź oglądała procesy i egzekucje kilkuset czarownic, zwykle niemających wiele wspólnego z magią, ale to nie była gorączkowa epidemia – raczej sporadyczne zrywy. Nie zgłębiałam tego tematu – Kosma pewnie zrelacjonowałby mi wszystko ze szczegółami – dość powiedzieć, że skutki odmiennego podejścia do tematu były w tym zakątku świata wyraźnie wyczuwalne.

Magia istniała, nikt tego nie negował. Ba, kilka lat temu upamiętniono ofiary polowań pomnikiem. Trolle cieszyły się statusem maskotki Norwegii i nikt nie koncentrował się na ich skłonnościach ludożerczych – ot, o gustach żywieniowych się nie dyskutuje. W niektórych miejscach o wytyczeniu dróg decydowały elfy i wróżki, które wywalczyły ochronę swoich siedzib przed nieznośnym rozwojem infrastruktury drogowej. Wielkie połacie Północy były wciąż dzikie i słabo zaludnione i znajdowały się we władaniu istot i bytów żyjących tam niezmiennie od tysiącleci, a mieszkańcom cywilizowanych miast to zupełnie nie przeszkadzało.

Jak kiedyś tłumaczył mi Johann – to, że Skandynawowie nie mówią o magii, nie oznacza, że się jej wypierają. Przeciwnie – uznają jej istnienie i nie traktują w kategoriach zagrożenia. Po prostu jeśli nie są magiczni lub nie wchodzą z magicznymi w związki, traktują ją jako coś, co ich nie dotyczy – a złotą zasadą w skandynawskich relacjach międzyludzkich jest niewtrącanie się w cudze sprawy. Utrzymywanie dystansu to, można powiedzieć, cecha narodowa i coś, co sprawdza się lepiej niż porozumienia międzyrasowe czy zwielokrotnienie wymiarów i budowanie bram. Magii jest tu tak wiele, że zwyczajnie nie da się jej ignorować, ale to wciąż nie oznacza, że należy robić z tego dramat.

Słuchałam tego wtedy z otwartymi ustami. Mieszkałam w wielu miejscach, ale nie spotkałam się z niczym podobnym.

– To może być zasługa sauny – twierdził Johann – i pewnie kiszonych śledzi… Sauna – wyłuszczał – uczy nas akceptować twarde kontrasty, żar i lód, dzięki czemu na co dzień jesteśmy raczej letni. Z letnimi łatwiej się dogadać.

– A śledzie? – dopytywałam, bo miałam już za sobą obowiązkową degustację surströmming, najbardziej obrzydliwej rzeczy, jakiej zdarzyło mi się próbować. Wciąż czułam lekkie mdłości na wspomnienie smrodu i smaku sfermentowanych i musujących na języku ryb.

– Pomagają nam zaakceptować różne specyficzne, może nawet okropne rzeczy, jeśli są częścią naszej tradycji.

– Jesteście cholernie dziwni – podsumowałam.

– Na to zwykle pomaga zmrożona wódka. I lampy solarne, gdy zaczynają się dni bez słońca, oraz rolety, gdy przychodzą białe noce. Widzisz, nawet światło nie jest u nas takie jak gdzie indziej: albo mamy go za mało, albo za dużo. Ale znajdujemy w tym jakąś równowagę. Ludzie i magiczni podobnie. Gdy dochodziło do wojen, chroniliśmy się nawzajem i walczyliśmy ramię w ramię, pomagaliśmy sobie przetrwać. Starzy bogowie opiekują się nami po równo. Cywilizacja trochę to przygładziła, ale to kwestia czasu. Gorąco sauny nie znika tylko dlatego, że taplasz się w śniegu.

Śmiał się, gdy wzdrygałam się na samą myśl. Groził, że jeśli nie zaliczę prawdziwej sauny w norweskim stylu, będzie mnie nazywał mięczakiem. Cóż, wolałam to od szoku termicznego czy powtórki z kiszonych śledzi.

Bogowie, tęskniłam za Johannem. Byliśmy blisko, nawet jeśli trzymałam kilka kart przy piersi. Rozumiałam go. On całkiem nieźle rozumiał mnie. I miał rację w ocenie swoich pobratymców.

Od jakiegoś czasu powstawały nowe świątynie starych bogów, a przedstawiciele Kościoła chyba oficjalnie przyznali się do pewnej porażki. Jeśli odliczyć neopogan, starych pogan, magicznych i racjonalnych ateistów, monoteiści należeli do mniejszości. Nikomu jednak nie wadzili, oczywiście pod warunkiem, że nie próbowali negować tego, w co wierzyli inni.

Byłam urzeczona północną magią. Rzadko zdarzało mi się obcować z nią w takich okolicznościach jak dziś: z dala od miasta, bez osłony samochodu, na rozpędzonym motocyklu. Wnikała w moje żyły, docierała do każdej komórki. Pan B. był zachwycony, w nowy, przyjemnie nieagresywny sposób. Nie wyrywał się, nie drapał od środka, choć tkwił tuż pod skórą, bliżej niż kiedykolwiek. Gdybym miała zgadywać, niewykluczone, że jego twarz rozciągała się w uśmiechu nie mniejszym niż mój własny.

Z każdą chwilą ta wyprawa podobała mi się coraz bardziej. Pod względem logistycznym była idiotyczna, wszystko dałoby się załatwić

prościej – odpuścić sobie alibi, Oslo, Amundsena i iść na całość. Wsiąść w Gdańsku w samolot do Haugesund, następnie w półtorej godziny dotrzeć autem do Skåneviku i odszukać maleńkie Molnes, wioskę na fiordach. Przesłuchać Akuszera. Wsiąść do samolotu powrotnego, zanim matka zacznie pytać, gdzie właściwie się podziewam. Tyle że jeśli miałabym być ze sobą szczera, to intryga, którą uknułam ze względu na chęć zmylenia Ireny, przerodziła się dla mnie w coś znacznie bardziej piętrowego i znaczącego.

Z jednej strony chciałam poznać prawdę o sobie, o mojej przeszłości, o ojcu i matce. Z drugiej się jej bałam. Moja tożsamość nigdy nie była prosta. Przez lata budowała mi ją matka – główny cel stanowiła nieunikniona konfrontacja z ojcem. Zatem to wściekłość i strach popychały mnie do zdobywania umiejętności, dzięki którym zwiększałam swoje szanse na przeżycie. Tylko że niezauważenie zaczęłam przyjmować system wartości wyznawany przez moich rodziców: liczyła się siła, przemoc, umiejętności walki, żądza krwi. Gdy się okazało, że jestem berserkiem, jak Ernst, bunt stał się jeszcze trudniejszy. Bo co właściwie nas różniło? OK, on był szalony, ale czy i ja nie oszaleję pod wpływem bestii, której nienawistne ziarno we mnie kiełkowało? Uświadomiłam sobie, że tego nie chcę – nie chcę trwać w tym oczekiwaniu na apokaliptyczną konfrontację, jedyny cel mojego życia. Nie chciałam być zimną zabójczynią, która żyje dla Zakonu, nie chciałam być szaleńcem, który nie ma nikogo i niczego. Szukałam dla siebie innej ścieżki, ostrożnie, po omacku, bez wzorców. Budowałam się na ruinie zaufania bliskiej osoby. I dzisiejszą siebie lubiłam bardziej niż tę sprzed lat. Owszem, byłam pojebana, ale to było moje szaleństwo, nie folie à deux, za które odpowiadaliby Irena czy Ernst.

A teraz miałam dołożyć do tej misternej konstrukcji jeszcze jeden kamyczek i bałam się, że wszystko trafi szlag i już się nie pozbieram. Ten strach mnie paraliżował. Nie dość, by odwołać całą wyprawę, ale wystarczająco, by najkrótsza droga nie była tą najbardziej kuszącą. Potrzebowałam czasu, by stawić czoła prawdzie i zdecydować, co dalej.

Wybrałam więc jedenastogodzinną przeprawę promem. A potem jazdę motocyklem przez calutką Szwecję, by dostać się do Svinesund, gdzie planowałam przekroczyć granicę z Norwegią. Ponad sześćset kilometrów, pewnie z siedem godzin jazdy. Potem kolejne dwie godziny do Oslo, gdzie prawdopodobnie spędzę chwilę, ponieważ Lars Amundsen brzmiał tak, jakby naprawdę mnie potrzebował. Jako bratu Johanna byłam mu winna

wiele. Nie chciał mówić o szczegółach przez telefon, ale wspomniał, że to Jove prosi, bym przyjechała. Jego syn, którego ostatnio widziałam, kiedy był szkrabem. Dzieciak całkowicie zlekceważył to, że jestem pozbawioną serca maszyną do zabijania, i postanowił się zaprzyjaźnić. Disney zrobiłby z tego wspaniałą kreskówkę. Zależało mi na tym gnojku. I wisiałam mu nawet więcej niż Larsowi. Johann był jego ojcem chrzestnym. Miał go wprowadzać w kolejne etapy dorosłości podczas wilczych rytów przejścia. Cóż, nie udało się, więc dzieciak dostał w przydziale nie całkiem zrównoważoną ciotkę chrzestną. Uznałam, że jeśli chciał się ze mną widzieć, znajdę czas i odłożę na chwilę swój kryzys egzystencjalny. On mógł poczekać, ale nastoletni chłopcy nie słyną z cierpliwości.

Gdyby ktoś przycisnął mnie jeszcze odrobinę mocniej, przyznałabym, że się cieszę, że nie jestem sama. Robin, odkąd ruszyliśmy, mówił niewiele, ale był. Nawet Klub Niedźwiedzi przesadnie mi nie przeszkadzał, poza tym Aleks był spokojniejszy. Gdy ciemność i demony czają się za rogiem, samotność nie jest pierwszą potrzebą.

Nie zmieniłam zdania względem pracy w zespole. Ale oni nie byli z Zakonu. Ich życie, kiedyś popieprzone jak, nie przymierzając, moje, wyprostowało się. Wszyscy mieli coraz więcej na liczniku, ale nie był to przebieg jałowy. Kilku pozakładało rodziny. Nie przyjęli
swoich wyborów sprzed lat jako ostatecznych i determinujących. Zmienili się, zachowując to, co uznali za ważne – jak choćby łączącą ich więź.

Zrozumiałam, że tamta noc zredefiniowała nas wszystkich. Oni wyszli na prostą. Aleks ułożył sobie życie tak, że nie musiał już przed niczym uciekać w alkohol, narkotyki czy głupie decyzje. Gdybym go zapytała, wzruszyłby ramionami i powiedział, że wszystkie klocki są wreszcie na swoim miejscu, a on jest u sterów.

Ja po spotkaniu z ojcem wybrałam ucieczkę pod skrzydła Zakonu, największej i najgroźniejszej gildii zabójców. Uwierzyłam, że to Irena miała rację. Była moją mamą, której potrzebowałam wtedy bardziej niż kiedykolwiek wcześniej. A istniał tylko jeden sposób, by zyskać jej uwagę – musiałam stać się jej godna. Musiałam być taką kobietą, jaką chciała we mnie widzieć: twardą, wściekłą, zabójczą. Musiałam być jej kopią, by stała się ze mnie dumna. I wtedy – być może – gdyby Ernst wrócił, ochroniłaby mnie. Albo przynajmniej poświęciła choć kwadrans na zastanowienie się, czy nie warto czasem zareagować.

Za to złudzenie opieki zapłaciłam wysoką cenę. Odkąd wstąpiłam do Zakonu, zsuwałam się na dno. Nie potrafiłam utrzymać granic, które zbudowałam w czasie pobytu w Trójprzymierzu. Surrealistycznie doskonałe trzy lata, między siedemnastym a dwudziestym rokiem mojego życia. Bez matki, bez brudnej roboty, bez strachu.

Podczas szkolenia, otoczona ludźmi, których ceniłam i których nie chciałam zawieść, uwierzyłam, że mogę podążać swoją drogą, mieć swoje zdanie i swoje życie. To był dla mnie przełom. Wyłoniłam się ja, którą potrafiłam lubić. Na mojej wykutej przez Irenę tożsamości zbudowałam coś nowego, coś, co zaspokajało moją potrzebę bliskości, intymności, bezpieczeństwa.

Ale potem przyszedł Ernst i mnie złamał. A ta nowa, wciąż delikatna tożsamość tego nie wytrzymała. Zwracając się w stronę Ireny i Zakonu, szukałam pancerza, pod którym zdołam się posklejać. A gdy pancerz z czasem przyrósł, nawet tego nie zauważyłam.

I nagle trafiłam do Zacisza. Zwykła robota, myślałam. Lecz pojawił się duch z przeszłości, który zaserwował mi terapię wstrząsową. Nie znalazła we mnie nic, co mogłaby kochać czy szanować.

Dora Wilk zdruzgotała mnie bardziej niż Irena porzucająca mnie w Trójprzymierzu jak worek kartofli. Bardziej niż Ernst, który wykrzyczał mi w twarz, że nie czuje do mnie nic poza pogardą. Potwierdzili tylko to, co wiedziałam. Ale Dora mnie kochała, ona jedna na świecie znalazła we mnie coś do kochania. Zaakceptowała mnie bez zastrzeżeń. Pozwoliła mi uwierzyć, że jestem kimś, kto zasługuje na więcej, niż kiedykolwiek wcześniej dostał. A potem to straciłam.

W Cieniu, którym się stałam, wciąż tliła się nadzieja, że stać mnie na lepsze życie niż bieganie po dachach wieżowców ze snajperką, że biorąc kolejne zlecenia, nie zabijam po kawałeczku własnej duszy. I że kiedy odejdę z Zakonu, będę miała jej jeszcze dość, by znów być dla kogoś prawie wszystkim.

Ale jeśli nawet Dora – najbardziej wyrozumiała idiotka o sercu największym na świecie – nie zobaczyła we mnie niczego wartego ratowania, może tam już niczego nie było?

Po tygodniach użalania się, picia, zimnego seksu i szukania awantur z głupcami równie pijanymi jak ja, obudziłam się z myślą, że przecież nie jest papieżem, a jej nieomylności nie przyklepał żaden sobór watykański. Wciąż mogę jej udowodnić, że przegapiła coś cholernie istotnego.

Weszłam na tę drogę przemiany z głupich powodów ambicjonalnych, ale w trakcie załapałam, że naprawdę jej potrzebuję, a Ernst i żyjący we mnie berserk nie mogą na resztę moich dni pogrążyć mnie w tym bezdusznym piekle. Bo to oznaczałoby, że pozwoliłam im wygrać. Im i Irenie, bo właśnie z takiej mnie była prawie dumna.

Jestem człowiekiem w budowie. Jestem na odwyku od nieczucia, które było moim bezpiecznym kocykiem i używką. Odważyłam się wpuścić do swojego życia ludzi. Aleksa. Karmę. Zeldę. Robina, który wrastał we mnie każdego dnia. Nawiązałam kilka całkiem przyzwoitych relacji. Coś, czego zazdrościłaby mi siedemnastolatka stojąca na progu szkoły w Trójprzymierzu. I coś, czego panicznie się bała dwudziestolatka z wciąż świeżymi bliznami. Czego unikałam przez kolejne osiem lat pracy w Zakonie Cieni. Irena widziała w tym moją słabość. Dora powiedziałaby, że wreszcie mam dla czego żyć. Ja tkwiłam gdzieś pomiędzy. Nie otwierałam się na ludzi tak radykalnie jak ona, ale potrafiłam się przyznać, że ich potrzebuję. Byłam na dobrej drodze, prawda?

A teraz, czułam to w kościach, mój świat znów miał zadrżeć w posadach. I nie wiedziałam, jak odnajdę się na zgliszczach. Ture powiedział wprost – moje życie, nasze życie, zostało zbudowane na kłamstwie. Prawda nie zawsze wyzwala. Czasami przeraża tak, że gasi iskrę nadziei.

Nie mogłam odrzucić okazji, by ją poznać. Ale i nie byłam gotowa, by sięgnąć po nią bez złapania dystansu.

Jechaliśmy autostradą od kilku godzin. Motocykle pożerały kolejne kilometry, magia wnikała w moje kości, a wiatr wywiewał z głowy posępne myśli. Pogoda dziś postanowiła udawać, że mamy początek września, i słońce grzało przyjemnie. Opłacało się nadłożyć drogi.

Zaskrzeczał komunikator w moim kasku. Drgnęłam zaskoczona.

– Chyba mamy towarzystwo – usłyszałam głos Robina.

Zerknęłam w lusterko. Biała furgonetka Volvo jechała za nami w bezpiecznej odległości, choć miała dość miejsca, by nas wyminąć, a także dobre piętnaście kilometrów zapasu do ograniczenia prędkości. Pogrążona w rozmyślaniach, nie zauważyłam jej wcześniej.

– Od jak dawna mamy ich na ogonie?

– Od dwóch zjazdów. Chwilę temu przepuścili kilka samochodów, jakby bardzo im zależało, by nas nie wyprzedzić.

– Ciekawe. Baribal, słyszysz? – upewniłam się.

– Słyszę – odpowiedział. – Zaraz ich sprawdzimy. Dociśnijmy nieco, nie wierzę, że dziecinki Aleksa nie mają więcej w garach niż to, co widać na liczniku.

Przyspieszyliśmy, szybko przekraczając ograniczenia prędkości o trzydzieści kilometrów. Kolumna motocykli pruła przez asfalt z wściekłym warkotem. Furgonetka konsekwentnie trzymała się naszego ogona.

– Za osiem kilometrów robimy sobie postój. Zaraz przed następnym zjazdem – zakomenderował Baribal – przyjrzymy im się bliżej.

*

Rozstawiliśmy się szeroko, blokując większość parkingu, tak że kierowca furgonetki musiał zaparkować tuż przy małym budynku z sanitariatami.

Było odludnie. Na tym odcinku autostrada biegła przez słabo zaludniony, lesisty krajobraz. Niewiele dało się tu zauważyć śladów człowieka, poza właśnie tym małym parkingiem z drewnianymi stołami i ławkami, zadaszonymi altanami krytymi szarym łupkiem, toaletami i automatami z przekąskami i kawą.

Faceci w furgonetce nie bardzo wiedzieli, jak się zachować. Nie było tłumów, w które mogliby się wtopić. Wyprzedzając nas przed rozjazdem dróg, ryzykowali, że nas zgubią. Wybrali najmniej korzystną dla siebie opcję. Zatrzymali się w rogu parkingu, który bezczelnie obserwowaliśmy, siedząc na drewnianych stołach i popijając energetyki z puszek. Nasze spojrzenia musiały im ciążyć, bo nagle drzwi furgonetki rozsunęły się i jeden z nich (a przez szybę widziałam co najmniej trzech) wyskoczył energicznie, podszedł do maszyny vendingowej, po czym wrócił z dwoma kubkami kawy. Ktoś z trzaskiem zasunął za nim drzwi. I dalej siedzieli. Ze zgaszonym silnikiem, popijając kawę z papierowych kubków z grafiką łosia, czekając na nasz ruch niczym prywatni detektywi z bardzo słabego filmu.

Nie zauważyli, że motocykli jest o jedną sztukę więcej niż kierowców siedzących na stołach, albo założyli, że brakujące ogniwo okupuje kibelek. Wargacz tymczasem obszedł budynek i myśliwskim nożem przebił im opony. Tył wozu szybko się obniżył, a drzwi rozsunęły się z hukiem. Facet dostał w skroń i zsunął się na ziemię po karoserii. Wargacz wyglądał niepozornie, z całą tą żylastą chudością podstarzałego kowboja, ale gdy

znokautował jednego z typów i natychmiast wywlókł z wnętrza furgonetki drugiego, przypominały mi się filmy o wojnie w Wietnamie. Miał w sobie coś z gościa, który przetrwał w dżungli i napędził stracha Wietkongowi.

Ja i Robin nie ruszyliśmy się ze stołu, tymczasem Niedźwiedzie rozprawiały się z siedmioma, jak się okazało, facetami z furgonetki. A w zasadzie pięcioma, jeśli nie liczyć tych zdmuchniętych przez Wargacza. Baribal nie życzył sobie naszego udziału, bo kto to słyszał, by chroniony obiekt angażował się w burdy. Przystałam na to, bo wyraźnie zależało im, by się pokazać. Poradzą sobie. Wzięli ich z zaskoczenia – pierwsza trójka nawet nie zdążyła wyciągnąć broni. Niedźwiedzie preferowały pięści nad spluwy. Wszyscy mieli coś w kaburach, ale rozprawili się z facetami z furgonetki gołymi rękami, łańcuchami i nożami.

– Czy będziemy im przyznawać punkty, jak w Tańcu z gwiazdami? – zapytał Robin, rozbawiony sytuacją.

– Tylko jeśli zatańczą fokstrota – odpowiedziałam, chichocząc. To było surrealistyczne.

Po wszystkim na żwirowym parkingu siedem ciał ścieliło się bez jednej straty po stronie Niedźwiedzi. Zeskoczyłam ze stołu i wyciągnęłam komórkę. Sfotografowałam trupy, pobrałam odciski palców i wszystko wpakowałam w chmurę, dla Karmy. Nie mieli przy sobie dokumentów. Sprawdziłam tył furgonetki. Byli naprawdę dobrze uzbrojeni, mieli też dużą, magicznie wzmocnioną klatkę. Byli przygotowani do roboty, zaskoczyła ich tylko obecność Niedźwiedzi. Spodziewali się, że będzie nas dwójka. I odnaleźli nas cholernie szybko. Nie podobało mi się to ani trochę.

– Zbierasz pamiątki? – zapytał Wargacz, odpalając papierosa jak po dobrym seksie. Ursa już nadciągała, by zrobić z tym porządek.

– Mam taką tablicę z pamiątkami z podróży. Wiesz – zdjęcia, pocztówki, bilety, ozdóbki. Potem sobie leżę, patrzę i wspominam…

Skrzywił się, jakby usłyszał coś obrzydliwego. Właśnie zabił gołymi rękoma dwóch facetów, ale to, co mówiłam, było chore!

– Wkręca cię – powiedziała Ursa, wyjmując mu z ust ledwie zapalonego papierosa i wdeptując go w żwir. – Nikotyna uszkadza mózg, bez niej może byś załapał.

– Powiedz, że nie chcesz, żebym palił, a dla ciebie rzucę – powiedział, opierając się swobodnie o furgonetkę.

– Dlaczego miałbyś rzucać dla mnie? Baloo też nie lubi papierosów. Rzuć dla niego – odcięła się. Mimo to się nie odsunęła, choć prawie obejmował ją ramieniem.

– Z nim nie będę się całował, moja piękna.

– Jakby groziło ci całowanie mnie – prychnęła.

Gdy odchodziła, klepnął ją w tyłek, a ona tylko parsknęła śmiechem i rzuciła, oglądając się przez ramię:

– Bezczelny mizogin.

Wargacz ukłonił się jej nisko, dziękując za komplement. Niedźwiedzie przyjmowały te szorstkie zaloty z wesołością, a jedynym zachowującym powagę był Remi, który nie bardzo udzielał się w czasie walki, a teraz, nadąsany, wodził spojrzeniem za matką.

Ruch powietrza i szelest piór ostrzegły mnie w ostatniej chwili. Potężny kruk zanurkował prosto na mnie, z szeroko otwartym dziobem i wystawionymi szponami. Strzeliłam dwa razy, ale kule przeszły na wylot, jak przez dym, a szpony były już o cale od mojej twarzy. Skuliłam się w przysiadzie, chroniąc ramionami głowę i twarz. Szarpnięcie za włosy przekonało mnie, że choć kule przeszły na wylot bez szkody, to ptaszysko jest dość materialne, by zrobić mi krzywdę. Kruk poderwał się do lotu z kosmykiem moich włosów w dziobie, więc strzeliłam do niego jeszcze trzy razy, dla samego rozładowania wściekłości. Nagle zabrzęczała cięciwa kuszy, a bełt śmignął przy skrzydle, ocierając lotki. Odporne na kule ptaszysko teraz zaskrzeczało z urazą. Kosmyk włosów uleciał z wiatrem, gdy kruk skapitulował i wzbił się wysoko, poza zasięg bełtów.

– Dzięki – powiedziałam, masując potylicę, skąd kruk wyrwał mi włosy. – Z czego był ten bełt? – zapytałam.

– Jesion.

– O kurwa – powiedziałam, bo zabrakło mi argumentów, by wypierać oczywiste. Hugin i Munin. Miały mnie na oku. I były zdeterminowane na tyle, by zaatakować i próbować dorwać kawałeczek mnie.

– Odyn próbuje cię zabić? – burknął Baribal.

Reszta Niedźwiedzi wciąż wgapiała się w niebo, choć kruki po prostu zniknęły.

– Gdyby Odyn chciał mnie zabić, byłabym martwa – powiedziałam wymijająco.

– Co robimy z ciałami? – Ursa była praktyczną wiedźmą.

Uśmiechnęłam się złośliwie. Miałam doskonałe rozwiązanie problemu piętrzących się trupów.

– Zapakujmy je na wynos – oświadczyłam, a gdy wszystkie znalazły się w furgonetce, na masce wydrapałam kluczykami sekwencję run. Rodzinne zaklęcie Amundsenów, za pomocą którego Johann i Lars, tak jak kilka wcześniejszych pokoleń podłych wikińskich wilków, rozwiązywali podobne problemy.

Robin zaglądał mi przez ramię, próbując odczytać zapis. Marszczył czoło, kombinując, a wreszcie zapytał:

– Nie znam tego. – Pokazał dwa znaki. – Co napisałaś?

– Coś w stylu: „Kochane trolle, bon appetit”. Tak wyjaśnił mi to Johann. Działa tylko w Skandynawii, za to bez zarzutu.

– Zmywajmy się stąd – rzucił Baribal. – Jeśli są głodne, nie będą czekać do wieczora.

Po chwili zostawiliśmy za sobą parking i furgonetkę. Mieliśmy do połknięcia jeszcze kilkadziesiąt kilometrów.

Rozdział 9

Dom Larsa Amundsena, duża posiadłość z typowymi dla skandynawskiej architektury panoramicznymi oknami, tarasem oplatającym budynek niczym pierścienie Saturna, niewiele się zmienił przez ostatnie osiem… nie, dziewięć lat. Elewacja wciąż miała ten elegancki odcień ciemnej szarości, z którą ładnie kontrastowała biel framug okiennych, drzwi i tralek tarasu. Łupkowy dach zielenił się od mchu i porostów. Lars nie obnosił się z pieniędzmi, ale było oczywiste, że je ma. Spory kawałek ziemi należący do Amundsenów ogrodzono, a prywatność dodatkowo zapewniały iglaki posadzone wzdłuż płotu. Wiedziałam, że za domem ciągnie się kilka arów lasu, również będących własnością gospodarzy.

Kiedy byłam tu pierwszy raz, nie sprawdzał nas żaden strażnik. Wówczas Lars uważał, że nie potrzebuje ochrony. Ja i Johann musieliśmy mu dopiero wbić do głowy, że jeśli nie będzie wybierał swoich walk, nie ma szans ocalić rodziny. Bo po nią przyjdą. Zbyt wielu, by zdołał zabić ich sam.

Na początku lekceważył ostrzeżenia młodszego brata i smarkatej panny, która z nim przyjechała. Owszem, wiedział, że pracujemy w Zakonie Cieni, ale może myślał, że jesteśmy praktykantami i przeprowadzamy staruszki przez ulicę? Cóż, Cienie czasem przeprowadzały staruszki na drugą stronę, ale dotyczyło to kwestii bardziej ostatecznych.

Lars był uparty, nieco arogancki i zagrożenia, o którym mu mówiliśmy, nie traktował poważnie. W końcu przyszli po niego nocą. Całe stado. Zobaczył z bliska, dlaczego warto wydać forsę na najemników z Zakonu Cieni. Żaden z napastników nie zdołał podejść na tyle blisko, by choćby rzucić okiem na jego żonę i syna.

Gdy stałam, skąpana we krwi zmiennokształtnych, których ciała ułożyliśmy za domem w zgrabny stosik, by trolle nie kręciły się po posiadłości, spojrzał mi prosto w oczy i powiedział tonem pasującym do biznesowej pogawędki:

– Rzeczywiście. System ochrony posiadłości wymaga kilku poprawek. Zajmiecie się tym?

– Za to nam płacisz – odpowiedziałam.

– Najwyraźniej – przyznał.

Lars miał osobowość alfy, nawet jeśli nie sprawował tej funkcji i odszedł ze stada z powodów osobistych. Co było początkiem jego problemów. Johann usłyszał, na co się zanosi, i uznał, że czas na interwencję. Nie powiedział tego bratu wprost – alfy nie znoszą za dobrze, gdy pojawia się słabszy w hierarchii wilk i mówi, że zamierza mu chronić tyłek.

– To podważa jego pozycję, jest jak rzucenie mu wyzwania – tłumaczył mi Johann, gdy zapytałam, po co nam przykrywka i czemu nie powiemy Larsowi wprost, co wiemy. – A wierz mi, nie chcę wyzywać mojego brata.

– Ale przecież potrzebuje pomocy.

– Zapomnij o logice. Jesteśmy wilkami. Nawet jeśli jej potrzebuje, to o nią nie poprosi. Poza tym pojawiają się problemy z definicją. Widzisz, ja uznaję, że skoro wyjechałem, jestem samotnikiem, niezwiązanym ze stadem. Ale formalnie to alfa musi przyklepać moje odejście, a ojciec nigdy tego nie zrobił. Owszem, nowy alfa mnie wywalił, ale Lars o tym nie wie. Gdybym mu powiedział, musiałbym mu podać powód, a w ten sposób zdradziłbym tajemnice stada.

– Nadal nie rozumiem.

Westchnął i tłumaczył dalej:

– Wywalili mnie, bo nie chciałem głosować za zabiciem mojego brata dla dobra stada. W głosowaniu musi być jednomyślność, więc mogli albo odstąpić od planu, albo mnie wywalić. Tyle że głosowanie jest tajne. Lars wystąpił ze stada oficjalnie. Mówiąc mu o głosowaniu, stałbym się zdrajcą, a on byłby jeszcze bardziej zagrożony.

– I dlatego sprzedajemy Larsowi historyjkę o tym, że potrzebujemy zlecenia, by mieć referencje? Myślisz, że to kupi? Przecież od lat pracujemy w branży, w której przeżycie stanowi wystarczający list referencyjny.

– On tego nie wie. To nie tak, że wpadam do brata i opowiadam mu o naszej robocie. Miałby koszmary. I uznałby, że potrzebuję ratunku. Zaufaj mi: dla niego jestem szczeniakiem, który się włóczy po knajpach i zalicza panienki.

– Z knajpami to przesada – przyznałam. – Ale czy to twoja wina, że kobiety cię kochają?

– Łajza – skwitował, szczerząc się.

– Czyli co? Wpadamy pod pretekstem i liczymy, że nie wywali nas, zanim zaczną się kłopoty, sprzątamy i wracamy do domu?

– Brzmi jak plan – powiedział, unosząc oba kciuki w geście, który już zawsze miał mi się z nim kojarzyć. – Będzie myślał, że pomaga swojemu braciszkowi, więc będzie miły. Dorzucimy opowiastkę o tym, że się ukrywasz przed niechcianym zleceniem, i uzna, że ratuje damę w opresji.

– Damę w opresji? – Uniosłam brwi z powątpiewaniem.

– Zawsze musi być ten pierwszy raz, Nikito. Spróbuj wyglądać bezradnie. No wiesz, słaba, mała kobietka.

– Dawno nikt nie spuścił ci łomotu, nie?

– Musisz to poćwiczyć. Więcej uśmiechów, mniej marszczenia brwi. Na Odyna, wyglądasz jak wilk z wściekliznę.

Był młotkiem i idiotą. Ale był moim partnerem, który potrzebował wsparcia, więc oczywiście pojechałam z nim do Oslo. Pojawiliśmy się na progu Larsa z bzdurną historyjką i Lars ją kupił. Ściskał Johanna, mierzwiąc mu jasne włosy, jak dziecku, a ten nie odgryzł mu za to ręki.

Tak oto wkroczyłam w popieprzony świat wikińskich zmiennych. Zwykli zmienni są niezbyt stabilni emocjonalnie, bo duże dawki testosteronu mogą być bardziej szkodliwe, niż się zakłada, a skrajnie patriarchalna struktura społeczna uderza do głowy. Ale zmienni wywodzący się z tradycji wikingów, kultywujący stare tradycje i więzi z nordyckimi bóstwami, to cięższy przypadek. Zresztą historia Amundsenów była tego najlepszym dowodem. Skandynawska wersja brazylijskiej telenoweli, choć zamiast załamywania rąk praktykowało się wyrywanie kończyn, a zamiast kłótni i policzkowania – wyrywanie twarzy w pojedynkach, bójkach i wojnach terytorialnych.

Lars był nie tylko starszym bratem Johanna. Był oficjalnym następcą alfy, ich ojca, który kilka miesięcy wcześniej powędrował do Valhalli, by wyć na kształtne tyłki walkirii. Problem polegał na tym, że Lars wcale nie miał ochoty alfować. Ożenił się z ludzką kobietą, a ich trzyletni synek przejął znacznie więcej od matki niż od ojca.

Chłopiec był mieszańcem. Mógł odziedziczyć po ojcu zmiennokształtną mutację. Niektóre wilki zaliczają pierwszą przemianę tuż po urodzeniu, z innymi sprawa rozstrzyga się dopiero w okresie pokwitania. Im silniejszy wilk, tym bardziej prawdopodobne, że zmianę zaliczy na etapie pieluch. Jove, syn Larsa, nie okazał się jednym z nich. W normalnych stadach nie stanowiłoby to problemu – w końcu nie wszyscy rodzą się alfami – ale dla

wilków wikińskich stanowiło to oznakę słabości. W ich oczach Jove stał się słabym szczeniakiem, wartym pogardy dowodem na słabość jego ojca. Bo kto to słyszał, by geny alfy nie zdominowały genów ludzkiej kobiety? Może powinien wziąć do łóżka inną? Może ranga stada wymaga, by Anna Amundsen zniknęła bez śladu? Konserwatyzm, bigoteria i za dużo napojów fermentowanych – bardzo złe połączenie.

Lars szybko się połapał, że jeśli zostanie alfą, jego żona i syn nie pożyją długo. A on przez lata będzie musiał się gryźć z kolesiami, którzy nie mieli dość jaj, by wyzwać jego ojca, ale nagle obrośli w piórka. Lars był w ich oczach słaby – był wykształcony, mieszkał poza terenem stada, w mieście, pieprzył się z ludzką kobietą i płodził bezbronne niemowlęta. Każdy jeden nasiąknięty testosteronem samiec czuł pokusę, by załatwić następcę i zająć należne mu, w jego oczach, miejsce. Więc Lars ustąpił. Rodzinę i życie uznał za ważniejszych od władzy.

Tyle że to nie usatysfakcjonowało opozycji. Dla jej przedstawicieli jedyną formą abdykacji była śmierć. Dopóki Lars żył, mógł wrócić i zakwestionować nowe porządki. Nie mogli go, wedle prawa, wyzwać na pojedynek, skoro oficjalnie już nie podlegał wewnętrznej hierarchii, ale mogli go zdjąć w zamachu, jeśli wszyscy jednomyślnie zgodziliby się co do tego, że stanowi zagrożenie dla równowagi i bezpieczeństwa stada. Każdy członek stada musiał się zgodzić na to rozwiązanie – nawet ten, który przed laty poszedł własną drogą.

Tym oto sposobem Johann się dowiedział, że stado planuje zabić jego brata. Zagłosował przeciw i został wykluczony z głosowania na mocy jakiegoś zamierzchłego przepisu. Wobec tego namówił mnie na wyprawę do Oslo, wspominając mimochodem o perspektywie solidnej rozpierduchy. Nie musiał długo prosić.

Było mi wszystko jedno. Nie rozumiałam nic z tego, co mówił mi o braterstwie i rodzinnych obowiązkach, ale byliśmy partnerami z wyboru. Chroniliśmy swoje plecy. Gdybym z nim nie pojechała, złamałabym przysięgę.

Pierwszego dnia zabiliśmy ośmiu. Potem jeszcze jedenastu. Sami do nas przyszli i dostali dokładnie to, na co zasłużyli. Lars siedział w domu z ciężarną żoną i synkiem. Wściekał się, ale dla nas sprawa była prosta – jeśli oberwie, nasza robota pójdzie na marne, więc ma siedzieć na dupie. Poza tym ktoś musiał się zająć kobietą szlochającą z powodu morderczej mieszanki strachu i hormonów.

Był jeszcze Jove, trzyletni, pulchny i kochany przez rodziców tak bardzo, że ssały mnie w środku wszystkie nigdy niewyleczone żale i tęsknoty. Ten mały też miał zginąć, tylko dlatego, że nie zmieniał się w wilka, a ktoś uważał, że musi, by zasłużyć na uznanie. Mnóstwo wyzwalaczy moich własnych traum.

Mogłabym odejść i odpuścić sobie Larsa, Annę, nawet Johanna, ale nie Jove, dziecko wystarczająco głupiutkie, by wdrapać mi się na kolana i pocałować w posiniaczony policzek, by już nie bolało. No kurwa, nikt nie miał prawa skrzywdzić tego dziecka, kiedy ja byłam na straży. Zabiłam każdego, kto próbował. I sprawiło mi to przyjemność. Czułam się jak pieprzona bohaterka, kiedy patrzył na mnie tymi wielkimi oczyskami w kolorze niezapominajek i uśmiechał się, tak że setki piegów pokrywających jego buźkę tańczyły jak rzucane lusterkiem zajączki na ścianie.

Teraz już nie był dzieckiem, choć nastolatkiem – też jeszcze nie całkiem. Trzynastoletni, szczupły, z lśniącymi kędziorami zwijającymi się w pierścionki, stał na tarasie i machał, kiedy podjechaliśmy. Twarz zabolała mnie od uśmiechu. Chyba robię to za rzadko.

Zaparkowałam na podjeździe i rozprostowałam zdrętwiałe nogi. To była długa jazda, ale wciąż wygrywała z lotem pod każdym względem. Robin ustawił swoją maszynę tuż obok. Niedźwiedzie miały objechać teren i się upewnić, że skończył się nam kontyngent zamachowców do zabicia, tak więc mogliśmy spokojnie przywitać się z gospodarzami. A także wyjaśnić, jak z naszej dwójki zrobiło się ośmioro luda.

Lars i Anna stali przed domem. Niewiele się zmienili. Anna wyglądała jak Dzwoneczek, która kilka miesięcy temu solidnie się zabawiła, więc jej drobne, szczupłe ciało dorobiło się solidnego brzucha. Miałam déjà vu – nawet fryzura pixie była taka sama jak dziewięć lat temu. Nie wiedziałam, że jest w ciąży. Cholera jasna, nie pakowałabym ich w cały ten bajzel, który może w każdej chwili skończyć się strzelaniną. Oczywiście wciąż spełniłabym prośbę Larsa, ale nie z zamachowcami na ogonie. Spojrzałam na niego z pretensją. Podczas rozmowy telefonicznej nie raczył wspomnieć o tym szczególiku. On jednak zignorował tę niemą przyganę – z dumą gładził brzuch żony, której do rozwiązania zostało pewnie mniej niż sześć tygodni.

Brat Johanna wciąż był wysoki i umięśniony, ale wizerunek twardziela burzyły detale: króciutko przycięte afro w kolorze rudoblond, piegi

pokrywające praktycznie całą twarz i ten pełen zadowolenia uśmieszek.

Ośmioletnia dziewczynka wtulona w sukienkę matki wyglądała jak mała kopia Larsa, tyle że jej włosy były długie, a ciasne sprężynki otaczały jej drobną buźkę jak aureola na prawosławnych ikonach.

– Nikito, chyba nie znasz Tuve – powiedziała Anna, obejmując córkę ramieniem.

– Cześć, Tuve. – Wyciągnęłam rękę na powitanie.

Uważnie zmierzyła mnie spojrzeniem, z tym chłodnym osądem typowym dla dzieci i zabójców. W przypadku zmiennokształtnych szczeniąt granica była płynna. Musiałam zaliczyć test, bo wyłoniła się zza matki i uścisnęła czubki moich palców.

– Czy to prawda, że dałaś Jove nóż, jak był mały? – zapytała.

– Prawda.

– Masz nóż dla mnie? Też chcę mieć nóż. Jestem już duża.

Wyciągnęłam z torby zapasowy karambit z rączką oplecioną cienkim, białym rzemykiem i podałam go dziewczynce. Nie miał pokrowca, ale byłam spokojna – wikińskie dzieci są oswojone z ostrzami. Dziś częściej rozsmarowują nimi masło na chlebie czy wycinają łódki z kory, niż okaleczają wrogów, ale szacunek do ostrza mają wpajany od małego. Dlatego wiele lat temu podarowałam Jove właśnie nóż. On ofiarował mi dziecięcą miłość, a ja nie miałam w zamian nic innego.

– Nóż dla ciebie, panienko – powiedziałam, wręczając jej karambit.

Obejrzała go dokładnie, szybko orientując się, gdzie wsunąć kciuk. Kilka sekund później ściskała nóż i szczerząc zęby, markowała ruch wilczej łapy.

– Podoba mi się – stwierdziła.

Odwróciła się na pięcie i krzyknęła tak głośno, że Hlökk, wrzeszcząca walkiria, poczułaby rozpierającą pierś dumę:

– Jove! Mój jest ładniejszy!

– Wcale nie jest – odkrzyknął z tarasu jej brat.

Dziewczynka uznała najwyraźniej, że jego reakcja wynikała wyłącznie tego, że z daleka nie mógł docenić prezentu, więc pobiegła do domu, by mógł się przekonać o jego cudowności.

– Chyba nie masz nic przeciwko? – zapytałam Annę, uświadamiając sobie, że za to, co właśnie zrobiłam, większość matek urwałaby mi głowę.

– Byłaby zawiedziona, gdyby nie wydębiła od ciebie czegoś, co choćby w połowie równałoby się z nożem, który Jove przechowuje jak skarb. Ale

gdyby zaczęli cię molestować o broń palną, kategorycznie odmawiaj – powiedziała i otwarła ramiona na powitanie.

To właśnie była Anna. Dziewięć lat temu jej szwagier, którego ledwie znała, pojawił się w progu jej domu z obcą panną obwieszoną bronią, a jej reakcja sprowadzała się do rozczarowania, że nie sypiamy ze sobą i nie zatańczy na naszym weselu. Kilka dni później prała z krwi i reperowała nasze ciuchy. Dziś ta sama laska znów wpada w odwiedziny, a ona wciąż wita ją szeroko otwartymi ramionami, choć po drodze nie upilnowała jej szwagra i jego zwłoki zostały oddane wilkom na pożarcie.

– Żadnej broni palnej dla dzieci, zapamiętane – powiedziałam, obejmując ją.

Dyskretnie zaciągnęłam się jej zapachem. Jeśli kiedykolwiek spotkałaby mnie w życiu normalność, rozpoznałabym ją po tym, że pachnie tak jak Anna.

– Możesz już puścić moją żonę – burknął Lars z udawaną groźbą.

– Widzę, że się zorientowałeś, że wtedy nie uciekła ze mną tylko dlatego, że była w ciąży, i na wszelki wypadek postarałeś się, by i teraz utrudnić mi zadanie? – odpowiedziałam i uścisnęłam go mocno.

– A że nigdy nie wiadomo, kiedy wpadniesz, muszę ją namówić na kolejne.

– Zapomnij, to ostatnie, fabryka zamknięta – szturchnęła go łokciem.

Patrzyła nad moim ramieniem, nie kryjąc ciekawości. Robin stał z rękami splecionymi za plecami i przyglądał nam się z uwagą. Widziałam, jak przeskakują mu w głowie trybiki, gdy próbował przyswoić całą tę przyjacielskość i ciepło, których nie uświadczyłby przez kolejne sto lat w Zakonie Cieni. Wyglądał jak antropolog, który ku swemu zaskoczeniu trafił na nieznaną światu wyspę pełną niezepsutych cywilizacją tubylców, którzy mieli w zwyczaju nosić na głowach koźlęta z wiankami na różkach.

– Wybaczcie, maniery mnie opuściły! To Robin, mój partner z Zakonu, ale dobry człowiek. Robinie, to Lars, najbardziej nieznośny odprysk norweskich wilków, i Anna, bogini wcielona w ludzką kobietę, ale nie zdoła tym zmylić nikogo.

– Z taką gadką i wciąż jest sama. – Lars pokręcił głową. – Miło cię poznać – powiedział, wyciągając prawicę do Robina.

Kolejne sekundy poświęcili temu pradawnemu rytuałowi męskiego mierzenia się spojrzeniem, zaglądania sobie w dusze i w gacie, czyli ocenie pozycji na drabinie hierarchii na podstawie uścisku dłoni.

– Wejdźmy do domu, pewnie jesteście głodni. Im to może chwilę zająć – powiedziała Anna.

Poprowadziła nas prosto do kuchni. To jeden z tych malutkich, pewnie podświadomych gestów, dzięki którym czujesz się mile widzianym gościem.

– Anno, przepraszam… – zaczęłam, nie bardzo wiedząc, jak się wytłumaczyć.

– Za co konkretnie? – zapytała lekko.

– Wiesz, za motocyklistów, którzy za chwilę zwalą się wam na głowę, za wszystkie potencjalne kłopoty, które, jak liczę, nie podążą za mną, ale mam dość złe przeczucia i w związku z tym cholerne wyrzuty sumienia – wyrzuciłam z siebie, wykręcając palce.

Anna przypominała mi trochę Jemiołę, znachorkę z Trójprzymierza. Łagodna, cudowna i miła, a wyciągała ze mnie całą tę niezdarną świadomość norm kulturowych, którymi zwykle nie zawracałam sobie głowy, bo w moim życiu z Ireną nigdy się nie przydawały.

– Zapomniałaś o czymś – powiedziała, zdejmując pokrywkę z żeliwnego gara.

Do duszącej się wołowiny wlała pół butelki czerwonego wina, wsypała na wierzch pokrojone marchewki, ziemniaki i buraczki i nałożyła pokrywkę. Otworzyła piekarnik, różowymi łapkami z silikonu uniosła ze stęknięciem rozgrzany garnek i natychmiast odstawiła go z powrotem. Stanowczo nie powinna dźwigać. Odruchowo podeszłam i wzięłam gar, jak nic ośmiokilowy. Wsunęłam go do piekarnika dość dużego, by pomieścić prosiaka. Na szczęście skórzane rękawiczki izolowały niemal tak dobrze jak silikonowe łapki.

– O czym zapomniałam?

– O tym, że przez dziewięć lat nie zajrzałaś do mnie nawet raz. Z Larsem przynajmniej rozmawiałaś telefonicznie, o mnie i Jove zwyczajnie zapomniałaś. Niełądnie.

Potarłam twarz.

– Nie miałam do zaoferowania nic, co wniosłoby w wasze życie cokolwiek dobrego. A wnoszenie w nie mojego bałaganu byłoby egoistyczne. Jak teraz. I do tego Johann…

Odwróciła się i pogroziła mi drewnianą łyżką.

– Nie bądź głupia, Nikito, nie pasuje ci to. To my decydujemy, nie ty. I tak się składa, że zaprosiliśmy cię do swojego życia już dawno, gdy

uratowałaś życie nam i naszym dzieciom. Tego się nie zapomina. Możesz mieć w życiu nie wiem jaki bałagan, ale dla nas jesteś ważna. Rozumiesz? Jeśli nie chcesz mieć z nami nic wspólnego, to jest twój wybór, uszanuję go, ale nigdy nie wmawiaj mi, że unikasz nas dla naszego dobra.

– Mam największy bałagan świata.

– I jesteś głupia, myśląc, że nasze życie to kwiatki, króliczki i pasące się za domem jelonki. Jestem żoną wilka. Mam nastoletniego syna, który pewnie też będzie wilkiem. I niespełna dziewięciolatkę, która jest nim od urodzenia. O reszcie rodziny nawet nie wspominam. Myślisz, że kiedy ty i Johann zajęliście się naszymi problemami, spoczęliśmy na różowych bibułkach?

– Czy stado wciąż sprawia kłopoty? – zapytałam, czując, że krew napływa mi do głowy.

– Nie robią nic, z czym sobie nie radzimy. Nie o tym mówię, więc możesz przestać planować wybicie ich do nogi. Mówię o czymś zupełnie innym! – Wymachiwała łyżką, akcentując każde słowo. – Nie chodzi o to, co ty możesz zrobić dla nas, ale też o to, co my możemy zrobić dla ciebie. Więc jeśli wreszcie się pojawiasz, po latach, z nowym partnerem, który swoją drogą jest niezłym ciasteczkiem, i motocyklistami, to racz nie przepraszać za to, że jesteś, tylko za to, że dopiero teraz. Wiem, że ty i Johann mieliście popieprzony grafik i nie zdołaliście przyjechać na chrzciny Tuve. Ale nie myśl, że dam ci luzy i przepustkę na resztę życia. Za trzy miesiące będzie uroczystość powitania na świecie Ulfa – pogłaskała się po brzuchu – lepiej sobie wpisz w kalendarz. I z pierwszym nożem dla chłopca wstrzymaj się do czasu, kiedy będzie samodzielnie chodził. A teraz uściśnij mnie, bo się popłaczę, a przez te cholerne hormony będę płakać godzinami i Lars będzie ci suszył głowę.

Wywołała wilka z lasu. Ledwie zamknęłam ją w uścisku, usłyszałam za plecami:

– Naprawdę nie możesz utrzymać rąk z dala od mojej żony? Nie dziwi mnie to zupełnie. A teraz puść ją i chodź ze mną. Musimy porozmawiać.

– Za czterdzieści minut podaję obiad, lepiej, żebyście byli wtedy przy stole, z czystymi rękami i bez siniaków – oświadczyła Anna. – Robinie, może napijesz się herbaty i opowiesz mi o sobie?

*

Wyłożona żwirkiem ścieżka otaczała dom i przecinała ogród, który płynnie przechodził w zagajnik. Ten po kilkudziesięciu metrach gęstniał, by zmienić się w las. Tu też nie było widać śladu nadchodzącej zimy. W letnim słońcu pyszniła się zieleń, na krzakach bieliły się małe kwiatuszki. Cokolwiek pieprzyło pogodę w Warsie, działało na znacznie większą skalę, niż myślałam. I coś mi mówiło, że to nie wyjdzie nam wszystkim na zdrowie.

Szliśmy bez słowa, dopóki nie znaleźliśmy się między wysokimi drzewami. Kilka minut później wyszliśmy na okrągłą polanę. Wyglądała jak wielka studnia otoczona gęstym kręgiem ciemnozielonych iglaków. Na samym jej środku stał kamienny słup totemiczny. W połowie wysokości, między dwoma rzędami run, umieszczono płaskorzeźbę przedstawiającą stylizowaną sylwetkę wilka.

– Johann byłby zawiedziony, że nie wyrzeźbiłeś mu ładnej dziewczyny – powiedziałam. Zadrapało mnie w gardle.

– W Valhalli nie zabraknie mu kobiet – odparł. Ukląkł przed słupem i z czułością oparł dłoń o jego jasną powierzchnię. – Mój braciszek bez wątpienia zawraca im głowę swoim nieodpartym urokiem. Dziękuję ci za to.

– Przestań – powiedziałam. – Gdyby nie ja, Johann flirtowałby na tym świecie. Byłam idiotką, biorąc tę robotę. Źle to zaplanowałam. To nie ja powinnam być na pozycji snajperskiej, ale on… Trzymałam się na dystans, by nie spotkać mojej byłej. I dlatego Johann zginął.

– Jo sam decydował o tym, na jakiej pozycji walczy, sam wybierał swoją ścieżkę. Tak mu było pisane. Cenił cię. Nie przywiązywał się łatwo i miał nosa do ludzi. To mi wystarcza. Nie podziękowałem ci za to, że zadzwoniłaś. I za przesłanie nam jego rzeczy. Niewiedza jest gorsza niż nawet najsmutniejsza prawda.

– Wciąż o nim myślę. O tym, co się stało z jego ciałem, i że nie ma grobu, na którym mogłabym mu ubliżyć, że dał się zabić i zostawił mnie samą.

Oplotłam się ramionami, bo nagle zrobiło mi się zimno.

– Grób stałby się jego więzieniem. Zginął w walce. Jeśli nie mógł mieć stosu, pożarcie jego ciała przez wilki było właściwą furtką do Valhalli. Wiem, że dla ciebie to barbarzyństwo, ale tak to u nas działało przez stulecia. Twoja znajoma, wzywając wilki, ocaliła jego życie wieczne.

Kiedy do niego zadzwoniłam, bałam się przekazać mu drastyczne szczegóły. Matce nie powiedziałam wiele, ale Lars powinien wiedzieć, jak wyglądały ostatnie chwile jego małego braciszka. Zanim jednak zrelacjonowałam mu wydarzenia tamtej nocy, zmusiłam go do przysięgi, że nie podejmie żadnych działań odwetowych wobec Dory Wilk. Gdy usłyszał wszystko, zapewnił mnie, że niepotrzebnie się martwiłam. Przystępując do walki, musisz się liczyć z przegraną. Wróg, który szanuje cię dość, by posłać twojego ducha do Valhalli, to błogosławieństwo.

– Ale lepiej pilnuj swojego znajomego – podjął. – Nie wiem, dokąd trafi po śmierci, ale na pewno nie do Valhalli. Wiesz, kim on jest?

– Nie mam pojęcia. On sam nie wie. Kolejna tajemnica.

– Jego magia jest dziwna, przenika mnie na wylot. Widziałem obrazy, które zawsze chciałbym mieć pod powiekami. To straszne i wspaniałe zarazem. Nigdy nie spotkałem nikogo takiego.

– Nie wiem, czy istnieje ktokolwiek taki jak on.

Pokiwał głową i znów pogłaskał słup.

– No dobrze. Zostawmy umarłych i zajmijmy się żywymi. Na czym stoimy?

Parsknęłam z frustracją.

– Kolejne pytanie bez odpowiedzi. Nie mam pojęcia, kto za tym stoi. Żałuję, że was w to wszystko wciągnęłam. Gdy zadzwoniłeś, pomyślałam: jaki doskonały zbieg okoliczności, mam idealne alibi dla matki. Załatwię swoje sprawy, spotkam się z wami… A potem ktoś zaczął na mnie polować. Myślałam, że ich zgubię, opuszczając kraj, ale się nie udało.

– Jeśli przyjdą za tobą tutaj, dostaną, na co zasłużyli.

Był oazą spokoju. Może to przez to rude afro.

Nie potrafiłam się przestać gryźć.

– Anna jest w ciąży, nie potrzebuje tego zamieszania. Dzieciaki…

– Czy ty próbujesz mnie obrazić?

– Może mi wyjść przypadkiem… Dlaczego?

– Jeśli sugerujesz, że nie zdołam obronić mojej rodziny…

– Daj spokój, Lars. To wszystko jest zbyt pojebane i bez tego wilczego powarkiwania.

– Oj, przejąłem się! – Wzruszył ramionami. – Więc może powiesz mi, co się właściwie dzieje?

Opowiedziałam o próbach porwania. O krukach.

– Myślisz, że stoi za tym Odyn?

– Pojęcia nie mam. Ernst nadal jest jego pierwszym berserkiem. Może poprosił go o interwencję?

– Odyn nie spełnia niczyich życzeń. Podpadłaś mu czymś? Wzbudziłaś zainteresowanie, którego wolałabyś uniknąć? Zrobiłaś coś, co uznałby za intrygujące?

– Zadajesz ciekawe pytania – powiedziałam, myśląc o mojej komorze deprywacyjnej.

I o tamtym dniu, gdy musiałam przepalić zaklęcie, uwalniając silniejszą magię. O berserku klękającym przed runami wyrytymi na jesionowych panelach, oddającym cześć Odynowi. Czy możliwe, że to zwróciło uwagę Odyna? Celowo unikałam kontaktów z bogami – przestrzegałam zasad, które miały mnie trzymać poniżej radaru. Ale berserk był jego poddanym, nosił w sobie jego magię. Ukryty w ciele kobiety mógł być dla niego niewidoczny, jednak w ostatnim czasie przeszłam pełną przemianę więcej niż raz. Przeklęłam cicho. Ostatnie, czego potrzebowałam, to oddech wścibskiego i potężnego boga na karku.

– To wciąż nie tłumaczy wszystkiego – powiedział Lars. – Odyn nie wysługiwałby się najemnikami. Nawet gdyby nie chciał pojawić się osobiście, wysłałby walkirie czy innego berserka. Widocznie w twoim przypadku nieszczęścia chodzą parami.

– Stadami! Nic, zajmę się tym później.

– Tato! Nikita! – usłyszeliśmy krzyk od strony domu. Po chwili zza drzew wybiegł Jove, a kilka kroków za nim Tuve.

– Mama was woła! Już obiad! I przyjechali panowie na taaaakich motocyklach – powiedział Jove, a Tuve zamachała ramionami, by pokazać, jak wielkie są te motocykle.

– Witaj, chaosie – mruknęłam.

– Nie wiesz nic o chaosie, jeśli nie robisz kinderbalu dla trzydzieściorga siedmiolatków, z których połowa zmienia się w wilki – zaoponował Lars.

Zaczynałam doceniać to, jak spokojne jest życie najemnika w porównaniu z życiem rodziców.

*

Ilekroć zapadałam w sen, czułam czyjąś obecność. W ciemności czekało coś obcego i nie był to Ture. Coś patrzyło. Słyszałam oddech i miękki

szelest, jaki wydaje ocierająca się o siebie wyprawiona skóra. Pachniało dymem i było ciemno, tak ciemno!

Obudziłam się wystraszona, choć sen nawet nie ocierał się o makabry, które zdarzało mi się śnić. Poprawiłam poduszki, jakby możliwe było strzepnięcie z nich okruchów tej niewiadomej, i spróbowałam znów zasnąć.

A to coś wciąż tam tkwiło. Czekało w napięciu, które wyczuwałam każdą komórką. Nie krzyknęłam, choć krzyk bulgotał mi już w piersi, zasłoniłam usta dłonią. Nie chciałam, by wiedziało, gdzie jestem. Wypłynęłam na jawę, choć coś próbowało mnie zatrzymać.

Odrzuciłam kołdrę i wstałam. W ciemności pokoju gościnnego słyszałam równy oddech Robina. Cicho, by go nie budzić, bo wiedziałam, że zwykle ma bardzo lekki sen, przesunęłam drzwi na taras i wyszłam w zdumiewająco ciepłą noc. Pod bosymi stopami czułam chropowate deski tarasu. Wiatr poruszał łagodnie wciąż zielonymi liśćmi – zupełnie jakby czas zatrzymał się pod koniec sierpnia. Choć gdyby to naprawdę był koniec sierpnia, Ture wciąż by żył, a ja nie miałabym na głowie zamachowców, Odyna i reszty.

Więcej gwiazd na niebie widziałam tylko w Sawie. Usiadłam na niskim leżaku z pasiastymi poduszkami i maksymalnie obniżyłam oparcie, tak że wszystkim, co widziałam, był bezkres nieba. Dokładnie tak je zapamiętałam z ostatniej wizyty. Gdyby nie istniały inne powody, by tu wrócić, już ten widok wart był tego, by wsiąść na prom. Owinęłam się polarowym kocem pod kolor poduszek i zastanawiałam się, jakie są szanse, że pogoda i temperatura utrzymają się takie do rana, i czy jeśli zasnę, nie obudzę się pokryta cieniutką warstwą szronu. Gdyby jutro spadł śnieg, nie dziwiłabym się zupełnie. Dla wielu ten ciepły październik stanowił dowód na efekt cieplarniany i topnienie lodowców. Nie zrozumcie mnie źle – lodowce topnieją, dziura ozonowa istnieje, a ocieplenie klimatu jest poważnym problemem, z którym trzeba coś zrobić. Ale jeśli pogoda wariuje aż tak, zwykle oznacza to przebudzenie starej magii, dopełnianie się jakiegoś cyklu ważniejszego niż cykl roczny albo zapowiada coś dużego, co odbije się na nas bardziej niż na zdezorientowanych ptakach, które nie odlecą na południe na czas. Cokolwiek nadchodziło, miałam nadzieję, że poczeka, aż znajdę swoje odpowiedzi.

Gwiazdy mrugały hipnotycznie, a leśna cisza koiła zmysły jak kubek ciepłego mleka. Z każdą chwilą czułam, że zbliżam się do tej oddychającej

niecierpliwie obecności ze snu. Czy byłam gotowa zadać pytania? Czy byłam gotowa przyjąć odpowiedzi?

Nie tak robimy takie rzeczy. My. Odkąd to jestem częścią jakiegoś my? Skąd to nieznośne my w mojej głowie? Może nie tylko w snach czekała na mnie obca obecność?

Pan B., odkąd moja stopa stanęła na nordyckiej ziemi, był wyluzowany jak miłośnik trawki i reggae. Żadnego drapania od środka, nacisku, podbijania tętna. Jakby dostał mnie wreszcie tam, gdzie chciał. A reszta miała przyjść sama.

Szelest z lewej strony. Uśmiechnęłam się, rozpoznając rytm kroków.

– Cześć – powiedział Jove, opadając na leżak obok mojego. – Też nie śpisz?

– Nie mam szkoły jutro, więc wiesz.

Skrzywił się, jak każdy nastolatek na wspomnienie szkoły. Ja spędziłam tam za mało czasu, by ją nienawidzić. Właściwie lubiłam te krótkie momenty, kiedy Irenie bardziej na rękę było posłanie mnie do szkoły, choćby na miesiąc czy dwa. Zwykle oznaczało to, że będę miała nieco mniej treningów fizycznych, by moje siniaki nie wzbudzały zainteresowania pedagogów szkolnych. Miałam też większy kontakt z innymi dziećmi. Co prawda łączyło mnie z nimi niewiele, ale mogłam się łudzić, że oto prowadzę prawie normalne życie. Dla nich nuda, dla mnie chwila wytchnienia. Klasówka z matmy wciąż była lepsza niż robienie za wabia dla kolesia ze skłonnościami pedofilskimi. Zwłaszcza kiedy sprawy wymknęły się spod kontroli i zanim Irena go dopadła, sama musiałam się z nim uporać. Tamtej nocy pierwszy raz kategorycznie zażądałam swojej działki za robotę, skoro to ja wzięłam na siebie większy ciężar. Matka uśmiechnęła się, niemal z satysfakcją, i wyłożyła na stół stosik banknotów. Byłam zbyt smarkata, by założyć sobie konto, więc nosiłam tę kasę całymi tygodniami w portfeliku z Kubusiem Puchatkiem na dnie plecaka, tak jak inne dzieciaki nosiły gumowe dinozaury i kolekcję kamieni.

Potarłam twarz. Przeszłość nigdy nie napierała na mnie aż tak bezczelnie, nigdy nie czaiła się za każdym, dosłownie każdym rogiem. Wzdrygnęłam się, gdy po kręgosłupie nagle przebiegł mi dreszcz. Ktoś przeszedł po twoim grobie, powiedziałaby Irena. Podobno tak mówiła moja babka.

– Wszystko w porządku? – zapytał Jove, spoglądając na mnie czujnie spod zbyt długiej grzywki opadającej mu nieznośnie na lewe oko. Byłam wystarczająco młoda, by wiedzieć, kto wylansował tę fryzurę,

i wystarczająco stara, by potrafiła mnie zirytować. Miałam ochotę sięgnąć i odgarnąć mu loki, tak by widzieć jego oczy. Staruszka jak nic.

– Czemu nie śpisz? – zagadnęłam.

– Chciałem z tobą pogadać. – Zaczerwienił się.

– O czymś szczególnym? – zapytałam, choć po telefonie Larsa domyślałam się, co go gryzie.

Skinął głową.

– Wiesz… ja pamiętam cię dobrze z wtedy, sprzed lat. Ale nie pamiętam wujka Jo. Pytałem o niego tatę, ale niewiele mógł mi powiedzieć. Mówi, że znał wujka Jo tylko jako dzieciaka i że to ty naprawdę go znałaś. Opowiesz mi?

Pamięć i ciągłość. Dla mnie to znaczyło ucieczkę i jednoczesne poszukiwania. Amundsenowie wciąż byli bardziej wikingami niż współczesnymi ludźmi, mimo tego nowoczesnego i uroczego domu. Poznałam tę stronę Johanna. Zresztą, przez te siedem lat spędziliśmy ze sobą więcej czasu niż małżeństwa z czterdziestoletnim stażem. Dla wikińskich wilków zapomnienie jest gorsze nawet niż śmierć, która nie zaprowadzi cię do Valhalli. Dlatego o zmarłym trzeba mówić, śpiewać pieśni, należy go wspominać, pozwalać, by obrastał rubaszną legendą. Ale by to zrobić, trzeba mieć bazę. I moją rolą było dostarczenie Jove wspomnień o wujku Jo.

– Był dobrym przyjacielem. I strasznym idiotą, upartym jak osioł. Nie przyjmował do wiadomości „nie”, jeśli wolał usłyszeć „tak” – zaczęłam.

Opowiedziałam mu o naszych wspólnych przygodach. Może nie wszystkie były właściwe dla nastolatka, ale składały się na obraz jego wuja. Poprosił o opowieść, więc był na nią gotowy. Nie upiększałam, nie budowałam legendy. Nie musiałam – życie Johanna warte było wikińskich pieśni. Starałam się opowiedzieć wszystko tak, jak on by to zrobił – po kilku piwach, w dobrym nastroju, nie stroniąc od przechwałek, nie zapominając, by do relacji z heroicznych potyczek dorzucić jakąś anegdotę. Jo kochał życie, traktował je z dziwną mieszaniną powagi i absolutnej niefrasobliwości. Miał serce po właściwej stronie i rozumiał, czym jest lojalność.

Opowiadałam właśnie o tym, jak przechytrzyliśmy z Johannem chińską mafię, kiedy usłyszałam, że mamy towarzystwo. Nie przerwałam. Mówiłam dalej, jak Tan, jeden z żołnierzy pana Ho, oszukiwał przy karcianym stoliku, a gdy Jo zwrócił mu na to uwagę, nie przebierając w słowach, nagle

na jego czole pojawiła się czerwona kropka snajperskiego celownika laserowego. Wszystko było zorganizowanym przekrętem i koleś był kryty. Szybko się domyśliliśmy, kto za tym stoi. Tan odszedł z wygraną, ale to nie o pieniądze chodziło Johannowi, gdy uznał, że czas wyrównać rachunki.

Gdy tydzień później, z bezpiecznego stanowiska, przez lunety snajperek obserwowaliśmy pobojowisko, które zostało po starciu żołnierzy pana Ho i jego największego oponenta, pana Hong, przybiliśmy sobie piąteczki. Pan Ho miał skopane dupsko, jego przeciwnicy byli przetrzebieni. Rodzinie Starevych, rosyjskiej grupie przestępczej, która od jakiegoś czasu rozglądała się za nowym terytorium, zaproponowaliśmy załatwienie sprawy w zamian za sowite wynagrodzenie. Część pieniędzy przekazaliśmy na Instytut Sztuki Orientu, bo z upadkiem dwóch chińskich rodzin mafijnych stracili głównych sponsorów, a przecież przez oszustwo karciane nie mogą cierpieć miłośnicy terakoty i jadeitowych figurek żółwi.

– Jove, czy ty aby jutro nie idziesz do szkoły? – Głos Anny rozbrzmiał dokładnie wtedy, gdy zakończyłam opowieść.

– Ale mamo, Nikita… – zaczął.

– O ile wiem, nie wyjeżdża o świcie, jeszcze zdążycie pogadać. A teraz do łóżka, jest środek nocy.

Niechętnie wstał z leżaka. Patrzyłam, jak odchodzi tym nieco nieharmonijnym krokiem dorastającego chłopaka.

– Ty też, do łóżka – powiedziała żartobliwie. – Ja mam usprawiedliwienie dla nocnych wypraw do łazienki i lodówki – pogładziła się po brzuchu – ty się o swoje musisz postarać.

– Miałam koszmary, mamusiu – powiedziałam cicho.

– Ciepłe mleko i pistolet pod poduszką zwykle pomagają – uśmiechnęła się ciepło – a czasami trzeba przestać uciekać na jawie przed tym, co może nas dopaść we śnie – dodała enigmatycznie i zniknęła za drzwiami sypialni.

Rozdział 10

W domu roiło się od ludzi. Z trudem mieściliśmy się w wielkiej kuchni: przy długim rodzinnym stole zasiedli Amundsenowie, ja i Robin oraz większość Niedźwiedzi, które wprawdzie nocowały w osobnym budynku, postawionym tuż przy bramie, na końcu podjazdu, specjalnie z myślą o ochronie, ale Anna ściągnęła je tu na śniadanie. Stawiły się wszystkie poza Pandą, która ostentacyjnie rozbijała się po okolicy, robiąc rekonesans. Irena znała adres Amundsena i jeśli to od niej czerpali informacje porywacze – mogli mnie szukać w tej właśnie okolicy. Jeśli podjęliby trop Pandy, ona i Niedźwiedzie mieli się zwinąć i ruszyć w drogę powrotną, odciągając pościg ode mnie i Robina.

W kuchni było zbyt głośno i zbyt tłoczno. Nie wiedziałam, kogo słuchać ani na kogo patrzeć, gdy wszyscy przekrzykiwali się nawzajem. Drżały mi ręce i zupełnie nie czułam smaku jajecznicy z wędzonym łososiem. Wybrałam miejsce na długiej ławie, w rogu, nawykowo starając się mieć pod kontrolą jak największą powierzchnię, a teraz się wściekałam, że nie zajęłam miejsca pod ścianą, bo naprawdę potrzebowałam oparcia.

Byłam niewyspana, ale to nie to wytrącało mnie z równowagi. Nie mogłam nawet zwalić winy na Pana B., bo siedział cichutko. Odłożyłam sztućce, gdy do reszty przytłoczyło mnie ich pobrzękiwanie o talerz. Nad górną wargą zbierały mi się kropelki potu.

Wszyscy zgromadzeni wydawali się czuć świetnie. Rozmawiali, żartowali, chichot dzieci mieszał się ze śmiechem dorosłych. Ktoś siorbał kawę, ktoś inny mlaskał. Strzępy opowieści docierały do mnie jak zza ściany, oddychałam płytko i szybko. Siedzący naprzeciw Robin mówił coś do mnie, ale jego słowa ginęły w ogólnym rozgardiaszu. Rozbijały się na sylaby i nim do mnie docierały, traciły sens.

Poczułam ciężar dłoni na ramieniu i zareagowałam szybciej, niż pomyślałam. Patrząc z góry, Baribal musiał widzieć Inkwizycję, którą płynnym ruchem wyciągnęłam z kabury pod pachą i wycelowałam pod osłoną kurtki w jego brzuch. Cofnął rękę i uśmiech spłynął z jego twarzy

jak kawałek masła po rozgrzanej patelni. Uniósł dłonie, pokazując mi ich wewnętrzną stronę. Wielkie ręce Niedźwiedzia.

Wstałam z ławy, odpychając się lewą ręką od stołu. Prawą dopięłam kaburę Inkwizycji.

– Przepraszam – szepnęłam.

Wzruszył ramionami i patrzył na mnie w sposób, którego nie potrafiłam odczytać: jego wzrok był chłodny, ale nie oceniający. Usłyszałam śmiech Tuve i wyszłam stamtąd najszybciej, jak mogłam, zostawiając cały ten dziwnie rodzinny bałagan za sobą. Zaszyłam się na piętrze w mojej sypialni i zastanawiałam się, czy zauważyli. Co pomyśleli? Nie martwiłam się o Robina – znaliśmy swoje dziwactwa – ale co, jeśli Anna zobaczyła mój manewr z Inkwizycją? Co ja sobie myślałam? Z bronią, śmierdząca smarem i prochem, weszłam między te czyste ściany nasycone obcą mi magią.

Zrobiło mi się gorąco, więc ściągnęłam kurtkę i buty. Po sekundzie szarpałam się z suwakiem spodni z kevlarowymi panelami na kolanach i wzdłuż bioder. Nie mogłam oddychać. Jakbym połowę niezbędnego mi do życia tlenu pobierała przez skórę, a ta była spętana folią spożywczą w ramach jakiejś kosmetycznej tortury. W samych majtkach i koszulce funkcyjnej łapczywie wciągałam powietrze. Gołym okiem widziałam drżenie mięśni. Nogi miałam jak z gumy. Opadłam na podłogę przy łóżku, bojąc się, że za chwilę zemdleję. Kurwa z Odynem tańcząca.

Nie wiem, ile zajęło mi wyrównanie oddechu. Pan B. był zdezorientowany i wycofał się, nie rozumiejąc, czemu potraktowałam jako zagrożenie coś, czego nawet on tak nie odebrał.

Odetchnęłam ciężko, czując, jak pot stygnie mi na ciele. Jeśli nie wejdę zaraz pod prysznic, wszystko będzie mnie swędziało. A jednak nie miałam dość zaufania do mięśni nóg, by wstać i iść do łazienki na końcu korytarza.

Sięgnęłam po torbę z bronią i amunicją, przeszmuglowaną przez odprawę celną za pomocą kosztownego i wypasionego zaklęcia. Rozebrałam snajperkę na części, a następnie skrupulatnie wyczyściłam każdą z nich miękką szmatką. Nasmarowałam mechanizm, sprawdziłam, czy działa. Ze mną było różnie, więc może chociaż snajperka będzie niezawodna. Przeliczyłam amunicję, układając nabój przy naboju, ciasno jak paciorki różańca. Osobno do broni krótkiej, osobno do snajperki, jak tajemnice bolesne i radosne. Z każdym mechanicznym gestem, z każdym znajomym chrzęstem zamka i brzęknięciem ołowiu i stali czułam się lepiej, spokojniej, bezpieczniej. Przymocowałam do snajperki lunetę i wciąż

w samej bieliźnie podeszłam do okna, by sprawdzić, czy soczewki są ustawione prawidłowo.

Kryjąc się za koronkową firanką, przyglądałam się przez oko lunety dzieciakom, gdy przez bramę na końcu podjazdu przejechało szare rodzinne volvo. Strażnik przystanął w bramie i czekał, aż goście wyjadą. Zanotowałam to w pamięci jako lukę w systemie, którą Lars powinien się zająć. Byłam pewna, że strażnik znał kobietę za kierownicą, stąd opuszczenie gardy. Nakierowałam na nią lunetę. Blondynka pod czterdziestkę, sympatyczna szeroka twarz, wyraziste rysy, falujące jasne włosy. Czerwona sukienka z wydatnym, lecz nie przesadnie, dekoltem. Na siedzeniu za nią wiercił się chłopiec w wieku Tuve, a w zamontowanym obok foteliku spał jeszcze jeden dzieciak, może roczny.

Jove i Tuve podbiegli do samochodu, żegnani przez Annę, która upewniała się, że spakowali do szkoły wszystko, łącznie z drugim śniadaniem. Jove pomachał dwoma pudełkami śniadaniowymi – swoim z Wolverine’em i małej z Elsą, Królową Śniegu.

Znów poczułam rosnącą w gardle gulę. Pudełko śniadaniowe, do jasnej cholery, rozbroiło mnie pudełko śniadaniowe. Byłam dorosłą kobietą, która, zabijając, zarobiła dość, by powoli myśleć o emeryturze. Mogłam sobie kupić dowolną liczbę pudełek śniadaniowych. Czemu nagle chce mi się płakać na myśl, że nigdy takiego nie miałam? Bo nikt nie robił mi drugiego śniadania, nie całował w czoło, gdy biegłam do szkoły, nie sprawdzał, czy mam deszczówkę, na wypadek gdyby padało? Przecież to jest całkiem bez sensu, warczałam na siebie w duchu, sama robisz sobie drugie śniadanie! I trzecie, i czwarte, by przetrwać do lunchu. Nie potrzebujesz nikogo, by ci je robił.

Przesunęłam się, tak by widzieć stojącą na podjeździe Annę, która odprowadzała wzrokiem przejeżdżające przez bramę volvo. Po chwili strażnik zamknął ją i zniknął w dyżurce. Okna niskiej przybudówki zajmowanej przez Niedźwiedzie zasłaniały rolety. W domu było cicho, więc po śniadaniu widocznie udali się do siebie na drzemkę. Miło być Niedźwiedziem. Jedni mają ataki paniki, inni pośniadaniową sjestę.

Cisza panująca w domu działała kojąco. A jednak, byłam tego pewna, Anna już tęskniła za hałasem, jaki robi dwójka łobuziaków. Bogowie, miejcie w opiece mnie, idiotkę, bo zaraz zacznę płakać i rozpaczać, że nie miałam starszego brata, który ciągnąłby mnie za warkocze i topił w sedesie moje lalki Barbie. Jakbym kiedykolwiek miała Barbie. Odwróciłam się od

okna. Piekły mnie oczy, pewnie od ostrego światła. W pochmurny norweski dzień. Cholera jasna. Czy Ture miał lepiej niż ja? Jakkolwiek by nie miał, teraz nic już po tym nie zostało, a ja wciąż oddychałam. Pieprzyć to, moje na wierzchu… Tyle że to nie było takie proste.

Wyciągnęłam z torby karambity i noże, sprawdziłam, dokładnie, powoli, rzemienie oplątujące ich uchwyty. Kolejne tajemnice różańca. Zabójcza mandala, po której błądził mój duch, aż znalazł ukojenie. Odetchnęłam, ciesząc się, że zniknął już ucisk w piersi, który podejrzanie przypominał szloch. To nie było normalne. Czułam się, jakby wszystkie moje nerwy były na wierzchu, jak kable odarte z izolacji. Jeden ruch, kropla i zwarcie gotowe. Nie tak mnie wyszkolono, do diaska. Trzymałam nerwy na wodzy, w małym, zalakowanym czarnym pudełeczku. Czekałam całymi dniami na idealny kąt do strzału, a potem pociągałam za spust i nic nie czułam. Nic we mnie nie drgało, gdy już było po robocie – poza milutkim ciepełkiem w okolicy żołądka, gdy sprawdzałam stan konta. Nic mi nie pulsowało w bebechach jak świeży postrzał posypany wiadrem soli. Nic nie zakłócało snu. Nie wpadałam w ramiona Paniki. Ja i ta suka nie bywałyśmy na tych samych przyjęciach. A teraz miała swoje pazury zanurzone w moim sercu. Tym, którego, wedle matki, nie powinnam mieć.

Co się, u diabła, ze mną działo? Zaczynałam się zastanawiać, czy ktoś nie rzucił na mnie uroku. Ture? Nie wiem czemu, moje myśli znów uciekły do niego. Pieprz się, braciszku, za to całe popierdolenie, z jakim mnie zostawiłeś. Jakbyś nie mógł wpaść do mnie wcześniej, zanim poszedłeś za Ireną i zanim uprowadziłeś Zeldę. Może nigdy nie znalazłbyś się na moim celowniku. Pieprz się i znikaj! Zabierz cały ten pieprzony weltszmerc, to dławiące uczucie braku i niepełności, jakbym cię miała przez trzydzieści lat i nagle cię zabrakło. I jeszcze to nieznośne szczypanie oczu. Może coś pyli, alergii można dostać w każdym wieku. Mam alergię na emocje, czy są na to tabletki? Mogą być nawet zastrzyki.

Hałas za oknem znów przyciągnął moją uwagę. Odwróciłam się i przez lunetę spojrzałam w stronę otwierającej się ponownie bramy. Na podjazd wjechało to samo szare volvo, ale coś było nie tak, bardzo nie tak. Ktoś otwarł bramę, lecz strażnik się nie pojawił, a okna stróżówki wciąż przysłaniały rolety. Cholernie dalekie od obowiązującego protokołu.

Wreszcie mój niepokój stał się uzasadniony. Wyłapałam jakiś ruch i jeszcze błysk czerni znikającej między drzewami oddzielającymi posesję

Larsa od krętej ulicy. Strażnicy nosili zielone uniformy firmy ochroniarskiej. Żadnych naszywek na plecach.

Przesunęłam lunetę na kobietę za kierownicą volvo. Struga krwi znacząca skroń, jasne loki przylepione do policzka. Odnalazłam twarze dzieci. Przestraszone. Berbeć w foteliku robił się aż fioletowy od płaczu, a jego matka siedziała sztywno, nie próbując go uspokoić czy pocieszyć. Zaciskała palce na kierownicy tak mocno, że zrobiły się całkiem białe. Widziałam wyraźnie zaciętą minę Jove i oplatające mu szyję męskie przedramię. Twarz Tuve była za wysoko, jakby dziewczynka siedziała nie na fotelu, ale na czyichś kolanach. Zza jasnych sprężynek jej włosów wyłaniała się czerń lufy i duża, męska dłoń w rękawiczce.

Odruchowo opadłam na kolana, ostrożnie uchyliłam drzwi na taras, podpełzłam do balustrady i położyłam się na chłodnych deskach na brzuchu. Moje ciało weszło w tryb łowcy i nie czułam już zimna, nie reagowałam na drzazgi drapiące skórę czy swędzenie schnącego na niej potu. Rozłożyłam nóżki snajperki i przyjęłam pozycję do strzału, obserwując przez lunetę zbliżający się do domu samochód. Miałam nadzieję, że nie podjadą zbyt blisko, bo niewielki daszek nad gankiem ograniczyłby mi widoczność.

Drzwi domu otworzyły się. Rozpoznałam ciężkie kroki Larsa, a po chwili za krawędzią tarasu zamajaczyła mi jego kędzierzawa głowa. Zrobił jeszcze krok i zobaczyłam całą jego sylwetkę: ramiona splecione na piersi, mięśnie jak postronki. Powstrzymywał przemianę. Przeczuwał, że coś jest nie tak, choć jeszcze nie dowiedział się najgorszego. Był wilkiem, jego córka, trzymana przez kogoś na muszce, była wilkiem. Od Johanna wiedziałam, że rodzinne więzi w stadzie są niemal telepatyczne.

Odszedł od domu i stanął przy najszerszym miejscu podjazdu. Był do mnie odwrócony bokiem, jakby wiedział, gdzie dokładnie jestem, i nie chciał się znaleźć na linii strzału. Może wiedział – wilcze zmysły w sytuacji zagrożenia działały imponująco.

Volvo zatrzymało się dobre dziesięć metrów przed nim. Mężczyzna, który trzymał Tuve, wysiadł pierwszy, ściskając ją jedną ręką pod pachami. W drugiej wciąż trzymał broń, ale nie dotykał już skroni dziewczynki. Drzwi samochodu przysłaniały mi sylwetkę drugiego napastnika, ale wyraźnie widziałam Jove, którego skurwiel trzymał przed sobą jak tarczę. Chłopak był wystarczająco wysoki, by zasłonić większość ciała porywacza,

i nie miałam czystego strzału. W tym wypadku ryzyko nie zostało wliczone w cenę.

Trzeci napastnik siedział za kierowcą, wciśnięty między dziecięcy fotelik i kilkuletniego chłopca. Byłam w stanie go trafić, widziałam część twarzy wyłaniającą się zza fotela. Jeśli żadne z dzieci się nie ruszy, zdejmę go. Skierowałam lunetę w stronę faceta trzymającego Jove. Wciąż nie miałam czystego strzału, choć gdy Lars zbliżył się do nich jeszcze bardziej, ten się przesunął, by zasłaniać się nastolatkiem i nie stracić kontaktu wzrokowego z wściekłym ojcem.

– Stój! – krzyknął do Larsa drugi z napastników.

Stopy małej, w czerwonych lakierowanych bucikach, podrygiwały w powietrzu, ale nie widziałam, by płakała. Miała ten zacięty, zdeterminowany wyraz twarzy, który kojarzyłam z Jo, kiedy był naprawdę wkurzony i za chwilę miał rozpętać piekło. Przenios-
łam spojrzenie na skurwiela, który ją trzymał. Miałam szansę go zdjąć. Ale jego broń mogła być odbezpieczona i jeśli po oddaniu przeze mnie strzału zadziałałby cyngiel nieboszczyka, małej mogła stać się krzywda. Cholera.

– Nie podchodź! – powtórzył porywacz i dotknął lufą skroni małej.

Lars uniósł nieuzbrojone dłonie.

– Nie rób nic głupiego – powiedział cicho. – Czego chcesz?

– Chcę tej suki z Polski, natychmiast! – wrzasnął, a mnie krew napłynęła do twarzy. Odbezpieczyłam broń.

– Mój jest ładniejszy! – krzyknęła nagle Tuve.

Nie załapałam. Wydało mi się absurdalne, że licytuje się z Jove na urodę ich napastników. Lars się wyprostował. Znał swoje dziecko i szybciej pojął sens wypowiedzi. Ja dopiero po chwili zauważyłam, że dziewczynka trzyma dłoń w kangurzej kieszeni bluzy.

– Jest, króliczku! – zawołał Lars.

– Mogę? – upewniła się mała.

– Cicho bądź – warknął facet. Wciąż trzymał ją na wysokości swojej piersi.

Lars skinął głową i, ku mojemu zaskoczeniu, uśmiechnął się szeroko.

Wszystko rozegrało się w ułamku sekundy. Tuve wyciągnęła z kieszeni karambit i płynnym ruchem wbiła go napastnikowi w brzuch. Puścił ją i złapał się za tryskającą krwią ranę, a mała odbiła się od żwirowego podjazdu i skoczyła do przodu, prosto w objęcia Larsa, z tą zdumiewającą zwinnością zmiennokształtnego.

Pociągnęłam za spust. Jeden czysty strzał w głowę, która wybuchła mgławicą krwi i nieużywanego zbyt intensywnie mózgu.

Przeniosłam cel na faceta, który zasłaniał się Jove. Chłopiec wyrwał się, ale nie uciekał. Zwinął się nisko przy ziemi, wiedząc, że gdyby zaczął biec, wszedłby w strefę ognia. Facet był widoczny wystarczająco. Wystrzeliłam dwa razy. Głowa, pierś. Skrzywiłam się, widząc, że na skulonego chłopca bryzga krew.

Został trzeci, który teraz wyskoczył z samochodu, celując w Larsa i Tuve. Widziałam jego opartą o dach rękę, ale całą resztę przysłaniały mi otwarte drzwi do samochodu. Kula miała spore szanse przejść przez metal, ale jeśli drzwi miały wzmocnione panele i zrykoszetowałaby, mogłam trafić Jove. Nagle rozległ się głuchy strzał, a mózg faceta rozlał się po dachu samochodu. W polu widzenia pojawiła się Anna. Anna w długiej, białej sukience, opinającej się lekko na jej wielkim brzuchu. Anna z shotgunem w dłoni.

– Ingrid, jak się czujesz? – zapytała spokojnie. Zaraz, to ona chwilę temu zastrzeliła faceta, który porwał jej dzieci?

Kobieta za kierownicą płakała, ale wystawiła przez okno dłoń z uniesionym kciukiem.

– Wejdźmy do domu. Wszyscy potrzebujemy gorącej czekolady – oświadczyła.

Tak po prostu. Porywają cię, trzymają na muszce, ktoś rozbryzguje cudze mózgi na twoim ciele… Nic, z czym nie poradziłoby sobie mydło o zapachu gumy balonowej i gorąca czekolada.

Anna podeszła do samochodu i przytrzymała drzwi, by Ingrid mogła swobodnie wyjść. Kobieta nie była ciężko ranna, ale wciąż pozostawała pod wpływem szoku. Ręce drżały jej tak, że nie mogła sobie poradzić z pasami bezpieczeństwa przy foteliku. Anna odsunęła ją i szybko odpięła klamrę. Jove z drugiej strony pomagał wysiąść wystraszonemu chłopcu. Wyglądał poważniej i doroślej niż jeszcze dziś rano. Tuve wtulona w ramiona ojca szeptała mu coś do ucha. On głaskał ją po plecach i odpowiadał równie konspiracyjnym szeptem.

Anna sprawnie pokierowała dzieci i Ingrid do domu, podeszła do Larsa i oddała mu shotguna, po czym przejęła przytuloną jak koala Tuve. Uniosła głowę, nasze spojrzenia się spotkały.

– Dzięki – powiedziała bezgłośnie.

Skinęłam, wyraźnie zmieszana. Gdybym nie przyjechała, ich dzieciom nie groziłoby niebezpieczeństwo.

– Pomożesz mi z tym bałaganem? – zawołał Lars. Kiwnął głową na nieruchome ciała wykrwawiające się na jego podjazd. – Chyba że wolisz się jeszcze poopalać.

Wstałam, ściskając w dłoniach snajperkę.

– Daj mi chwilę, założę coś, co mogę zakrwawić – powiedziałam.

Moje gołe nogi zsiniały z zimna, co dotarło do mnie dopiero teraz, gdy opadały emocje.

– Zawsze przed jatką rozbierasz się jak do rosołu? – Wyszczerzył się.

– Zwykle zostawiałam to Johannowi. Nie porastam sierścią, więc cenię ubrania bardziej niż wy.

Wróciłam do pokoju, odłożyłam broń i włożyłam spodnie i grubą czarną bluzę. Ręce mi drżały. Musiałam spojrzeć w oczy facetowi, którego dzieci właśnie naraziłam na niebezpieczeństwo.

Gdzie się, kurwa, podziały Niedźwiedzie? Może i miały kilka zalet, jeden z nich nieźle gotował, ale ochronę obiektu spierdoliły po całości. Znałam system ochrony Larsa. Sama pomagałam mu ustalać procedury. Strażnik nie wpuściłby samochodu z uzbrojonymi napastnikami. Ze względu na dzieci i obawę, że stanie im się krzywda, mógłby to zrobić, ale włączyłby alarm, który słyszelibyśmy w domu. Nie włączył. Nie wyszedł też ze stróżówki, nie zamknął bramy po tym, jak wjechał samochód. Nic nie zgadzało się z protokołem, który tu obowiązywał. To byli dobrze opłacani i oddani ochroniarze. Przychodził mi do głowy tylko jeden powód, dla którego żaden z nich nie pojawił się na podjeździe. I wciąż pamiętałam odzianego na czarno uciekiniera znikającego mi między drzewami. Miałam swoje podejrzenia. I wolałam się z nimi skonfrontować, zanim zacznę z Larsem poważnie rozmawiać.

Gdy wróciłam na taras, z domu wyłonił się Robin z kuszą w dłoni. Czułam już kiedyś tę gromadzącą się wokół niego zimną ciemność. Był wkurwiony i chciał kogoś zastrzelić. Lubił te dzieciaki i widział, w jakim były stanie. Chciał coś zabić, by odzyskać kontrolę. Ja przynajmniej dostałam swoją szansę na zastrzelenie sukinsynów, on nie. Ale jeśli moje przeczucia były słuszne, wszystko miał jeszcze przed sobą.

– Jesteś cała? – zapytał, choć poruszałam się zbyt cicho, by mógł mnie usłyszeć.

– Cała. Sprawdź, co z Niedźwiedziami.

Spojrzał w kierunku zaciemnionych okien przybudówki i bez słowa ruszył w tamtą stronę.

– Przenieś zwłoki strażników do lasu za domem – zawołałam. Nie zapytał, skąd wiem, że będą zwłoki. – I policz Niedźwiedzie…

Skinął głową. Nie wiem, czy doszedł do podobnych wniosków co ja, ale mogłam być pewna, że wszystko dokładnie sprawdzi i nie okaże wspaniałomyślności, jeśli nie będzie na nią miejsca. Robin był miłym kolesiem, ale gdy ktoś zagrażał dzieciom, wysuwał pazury zawstydzające tygrysy.

Miałam nadzieję, że nie będę musiała zastrzelić wszystkich Niedźwiedzi. Aleks byłby niepocieszony i wypominałby mi to przy każdej okazji. Ale jeśli zdradzili, nie pożałuję kul.

Lars wyłonił się zza domu, pchając ogrodową taczkę. Uczył się – ostatnim razem, kiedy pozbywaliśmy się ciał, musieliśmy je nosić po jednym do zagajnika. Teraz mogliśmy sprawnie załadować dwa na taczkę, po trzecie zamierzałam wrócić. Zanim trolle dobiorą się do żarcia, chciałam je przeszukać i zrobić fotki. Folder zdjęć w chmurze robił się coraz bardziej opasły. Najważniejsze, by domownicy nie widzieli przez kuchenne okna trupów na podjeździe.

Kiedy wróciłam po trzecie ciało, Anna zapukała w szybę. Podeszłam z ociąganiem. Czułam się winna i skrępowana jej przenikliwym spojrzeniem.

– Ingrid powiedziała mi, co się stało. Czekali na nich przy przewężeniu drogi jakieś półtora kilometra stąd, zablokowali ulicę samochodem. Sterroryzowali Ingrid bronią. Brama się otworzyła, zanim dojechali w zasięg kamery strażników. Pytali o ciebie.

– Przepraszam za to – powiedziałam zawstydzona.

– Nie przepraszaj. Ktoś wszedł na nasz teren, by skrzywdzić naszego gościa. Ktoś przyłożył broń do skroni mojego dziecka. Zasłużyli na śmierć. Zadałaś im ją. A moja córka dzięki tobie nie była bezbronna. Nasze rachunki są czyste – oświadczyła.

Dziewięć lat temu była ludzką kobietą, która próbowała się odnaleźć w pełnym przemocy wilczym świecie. Trzymała się tego człowieczeństwa jak koła ratunkowego, myśląc, że może wrogowie jej rodziny będą się czuli zobligowani, by przestrzegać zasad wyznaczonych przez kulturę. Dziś nie miała złudzeń. Dziś była twardsza niż wilki, a dom traktowała jak

terytorium, którego musi bronić za wszelką cenę. Mnie włączyła do swojego inwentarza.

Skinęłam głową bez słowa i popchnęłam taczkę na żwirowej drodze. Z Larsem nie pójdzie mi tak lekko. Byłam gotowa spakować się w trzy minuty.

Nie zaczął rozmowy. Ja też się do tego nie spieszyłam. Ułożyliśmy ciała na krawędzi mniejszej polany, położonej dalej od domu niż ta, na której stała stela nagrobna Johanna. Wiedziałam, że trolle zajmą się nimi w ciągu kilku godzin.

Przeszukałam kieszenie zabitych. Mieli niewiele. Tylko jeden z nich miał portfel i dokumenty. Obywatel Polski. Zabrałam telefony – Karma wyciągnie z nich, co się da. I dowie się, jeśli kontaktowali się z pracodawcą.

Ich broń nie zrobiła na mnie dobrego wrażenia. Zaniedbana, dawno nieczyszczona i niesmarowana. Lufa jednej z berett wyglądała, tak jakby ktoś wykorzystywał ją do kopania dołków pod sadzonki. Nie znalazłam zapasu amunicji, więc albo mieli bazę, albo gdzieś niedaleko zostawili samochód. Optymistycznie założyli, że pójdzie im łatwo. Pokręciłam głową. Poziom najemników pikował na mordę – od sprawnego oddziału wyposażonego w zaawansowaną i eksperymentalną broń, przez nieogary na autostradzie, po mięśniaków z pomysłami wartymi kulki w głowę. Albo zleceniodawcy kończyła się kasa, albo rozeszło się, jakie jest ryzyko, i brakowało chętnych. Może źródełko już wkrótce wyschnie.

Wyjęłam komórkę, odpaliłam odpowiednią aplikację i pobrałam odciski palców zabitych, po czym wysłałam je Karmie. Każdemu z nich strzeliłam też pośmiertną fotkę. Miałam więcej niż jeden pomysł, co zrobię, jeśli dopadnę tego, kto ich za mną posłał. Źle – nie „jeśli”, a „kiedy”. Zamierzałam przeżyć, dobrać mu się do dupy i wykorzystać jako materiał poglądowy dla każdego, kto chciałby ze mną zadzierać. Mogłam mieć swoje lepsze i gorsze momenty. Ale byłam pamiętliwa, mściwa i zawzięta. Miałam to po mamusi i tatusiu.

Byłam też sfrustrowana. Wciąż nie miałam pojęcia, o co w tym wszystkim chodzi.

Już zamierzałam wracać, kiedy zauważyłam tatuaż wystający spod ściągacza bluzy jednego z trupów. Wyciągnęłam nóż, rozcięłam grubą bawełnę i odsłoniłam szeroką klatkę piersiową.

Na piersi zabitego widniały dwa czarne kruki stykające się dziobami. Ich skrzydła wypełniały nordyckie plecionki, a ostra krawędź piór odcinała się od skóry czernią tak gęstą, że wydawało mi się, że spoglądam w ciemność.

Zaczęłam rozbierać pozostałych. Lars nie komentował. Wciąż wpatrywał się w odsłonięty tatuaż typka, który godzinę temu trzymał na celowniku jego córkę. Drugi nie nosił śladu tatuażu. Trzeci miał na żebrach plecionkę, ale bez wyraźnego wskazania któregokolwiek z bóstw. Tatuaże, także te nordyckie, zrobiły się w ostatnich latach naprawdę popularne. To może nic nie znaczyć, myślałam, robiąc zdjęcia. Tylko czy wierzyłam w zbiegi okoliczności? Od dwudziestu czterech godzin nie widziałam kruków na niebie, ale miały reputację upartych.

Przeklęłam.

– Czemu Odyn na ciebie dybie? – zapytał Lars cicho.

– Nie wiem. Nie wiem nawet, czy to on. Nie przysłał mi poselstwa, wojny też nie wypowiedział.

Popatrzył na mnie z miną, jaką pewnie zwykł rezerwować dla swoich dzieci.

– Bogowie nie żywią urazy bez powodu – powiedział.

– Co ci mogę powiedzieć, Lars? Przysięgam, że nie zrobiłam nic, by pojawić się na radarze Odyna.

Przytaknął i to był koniec tematu. Można pokochać tę norweską powściągliwość.

– Szkoliłeś ją – powiedziałam wreszcie, pękając pod naporem jego spojrzenia. Patrzył, tak jak mogą patrzeć tylko zatroskani ojcowie.

– Bezradność jest luksusem, na który nie mogę jej pozwolić, choćbym bardzo chciał.

– Poradziła sobie.

– Ostrze od ciebie napiło się krwi.

– Nie pierwszy raz. To wierne ostrze.

Parsknął śmiechem. Wziął mnie z zaskoczenia i dopiero po chwili dotarło do mnie, jak zabrzmiała nasza wymiana zdań.

– Jeśli za chwilę pojawią się elfy i czarodzieje, wskakuj w futro, rozprawimy się z nimi z rozpędu.

– A ty? Nie jestem pewien, czy powinnaś ściągnąć portki, by ich rozpraszać, czy w nich zostać i odciążyć mnie w robocie.

Westchnęłam. Tak rodzą się legendy.

– Nie rozbieram się do roboty. Akurat się przebierałam, gdy zauważyłam, że coś się dzieje.

– Nic nie poradzę, to już we mnie wsiąknęło. – Wyszczerzył się.

Nagle uderzyło mnie podobieństwo między nim i Johannem, który tak właśnie by wyglądał, gdyby dożył czterdziestki. Nie było mu dane. Mnie pewnie też się nie uda.

– Pieprz się. Następnym razem, zanim zacznę ratować twoje dzieci, zestawię swoją garderobę i dodatki – mruknęłam.

Położył mi rękę na ramieniu. Bez słowa.

– W ogóle, zaraz znikam, skoro już z tym skończyliśmy. Posprzątam jeszcze po Niedźwiedziach i mnie tu nie ma. Przepraszam, że tak wyszło. Ktoś ma, widać, więcej kasy niż rozumu i na każdego z jego ludzi, którego zabijam, zatrudnia dwóch kolejnych. – Skrzywiłam się.

– Strzelanie lepiej ci idzie niż myślenie. Na szczęście dla nas wszystkich – powiedział.

Wzruszyłam ramionami. Miał prawo do złośliwości.

– Wiesz, czego oni właściwie od ciebie chcą? – zapytał.

– Pojęcia nie mam. Biegają za mną z klatką. Nie wiem, kto ich wynajął ani czego chce, poza tym, by mnie dostać żywą. Męczą mnie już. Mam wrażenie, że nie chcą, żebym doprowadziła do końca to, co zaczęłam, przyjeżdżając tu.

– Frustrujące w cholerę.

Przytaknęłam.

– Tym bardziej musisz dopiąć swego. Potrzebujesz ludzi?

– Nie ma mowy. Wzięłam ich zbyt wielu i patrz, co z tego wyniknęło.

– Myślisz, że zdradzili?

– Jeden na pewno. Nie wiem, ilu jeszcze. To ludzie przyjaciela. Inaczej wszyscy już leżeliby na dnie płytkiego dołu.

Lars zaśmiał się cicho.

– Dogadywałaś się z Jo. Robin chyba tego nie ma…

– Czego?

– Tej bezkompromisowej zdolności rozwiązywania problemów najprostszą metodą. Wydaje się inny. Warstwowy. Pachnie lasem i starą magią, ale patrzy na ludzi jak na jednostki, a nie pionki czy przeszkody.

– Jest dziwadłem, które nie pożyje długo – odparłam. Lars miał rację.

– Nie lubię go – powiedział. I zaraz się poprawił: – Nie, właściwie nie chcę go lubić. Ma w sobie coś, co drażni mojego wilka. Nie do tego

stopnia, by chciał atakować, po prostu woli nie spuszczać go z oka. Ja – człowiek – jestem nim zachwycony jak wszyscy pozostali. I to mnie straszliwie wkurza. Rozumiesz?

Skinęłam głową, bo rozumiałam doskonale. Kiedy Robin pojawił się w moim życiu, jak cholera nie zamierzałam się z nim zaprzyjaźniać. Postawiłabym cały swój majątek na to, że zabiję go w ciągu tygodnia. Dobrze, że stronię od hazardu, bo byłabym dziś biedna jak mysz kościelna. W mojej sytuacji – niedopuszczalne.

– Wszyscy zdają się od razu w nim zakochiwać, wpędza mnie to w kompleksy – prychnęłam. – Widziałeś, jak Anna się do niego uśmiecha? Słowo daję, gdyby miał gagu, pocałowałaby go w kolanko. Może dlatego tak go nie lubisz? – dolałam oliwy do ognia.

Zawarczał w odpowiedzi i brzmiał tak wilczo, jak to tylko możliwe, biorąc pod uwagę, że wciąż miał ludzkie struny głosowe. I choć żartowałam z nim teraz, czułam, że coś we mnie zastyga, zamarza; piersi wypełniła mi bryła lodu. Sprzątaliśmy ciała, wynosząc je na żer trollom, a ja nie czułam nic poza chłodem. Żadnej paniki. Byłam sobą bardziej niż przez ostatnie dwadzieścia cztery godziny. Może mniej. Chuj z tym, jak długo byłam skupiona i nie szlochałam w środku.

Czas przestać się bawić w partnerstwo i duety. Cokolwiek czekało mnie w najbliższej przyszłości, musiałam temu stawić czoło sama.

– Nie pójdzie ci z nim tak łatwo – oświadczył Lars. – Robin wydaje się wiedzieć, czego chce.

– Jakbym się przejmowała tym, czego chcą inni.

Poklepał mnie po plecach. Kilkanaście kolejnych kroków pokonaliśmy w milczeniu.

– Jak myślisz, jak bardzo ich to uszkodzi? – zapytałam.

– Dzieciaki? Nie doceniasz ich. Dzieci się regenerują. Nie zapominają, ale przyjmują inną perspektywę. Nie rozdmuchują, a umniejszają. I to nie był ich pierwszy raz. Co jakiś czas dopada nas czkawka mojego pochodzenia i pojawia się tu jakiś chojrak z wyzwaniem. Jove jest już dużym chłopakiem, za rok, może dwa pewnie przejdzie pierwszą przemianę. Tuve zmienia się od urodzenia i jest twardszym szczeniakiem, niż się wydaje.

Przerwał na chwilę i po prostu szczerzył się na samą myśl o swoich dzieciach. Dałabym sobie uciąć małe palce u obu dłoni, że mój ojciec nigdy

nie uśmiechnął się z takim rozrzewnieniem na myśl o mnie. No, może poza wspomnieniem chwili, w której pozbawiał mnie obu małych palców.

– Staram się powiedzieć ci na tyle jasno, byś zrozumiała, że nie wniosłaś przemocy w nasze życie. Ono jest nią naznaczone od zawsze, bo jestem wilkiem. One są wilkami. Tuve upolowała pierwszego królika, kiedy miała dwa lata. Przyniosła go matce w prezencie i ułożyła na jej stopach skrwawione truchełko, którym się bawiła nieco za długo, tak że ledwie dawało się rozpoznać, co to za zwierzę. Nie uszkodzi jej to, że ktoś mierzył do niej z broni, bo zapamięta uczucie, kiedy zatopiła w jego brzuchu karambit. Jove na razie ma tyle sił, ile normalny nastolatek, więc póki co nie może walczyć. Ale i to się zmieni. On wie, że jest częścią czegoś dużo bardziej pierwotnego niż jego szkolna drużyna piłki nożnej.

– Czasami o tym zapominam. Jesteście tacy słodcy, kochający, normalni…

– Jesteśmy i tacy. Nie musimy wybierać. Ty też nie musisz. Możesz być zabójczynią i ciotką dla naszych dzieci. Możesz wpadać i opowiadać Jove o Jo, nie pomijając tego, na czym właściwie polegała wasza praca. Możesz trenować z naszą córką walkę karambitem i powiedzieć jej, gdzie uderzać, by zadać większe obrażenia. Ma inne ciotki, które opowiedzą jej o pieczeniu ciasteczek i doradzą, jaki kolor kokardek dobrać do sukienki. Możesz flirtować z Anną, gdy tego nie widzę. Byle niezbyt skutecznie.

Patrzyłam na niego, nie rozumiejąc, co próbuje mi powiedzieć.

– Wkręciłaś sobie, że nie pasujesz do układanki, ale przecież nie doceniasz jej wielowymiarowości. Ciągle myślisz, że jesteś człowiekiem, że podlegasz jakiemuś albo-albo. Ale nie jesteś człowiekiem. Żadne z nas nie jest. Nie piszą o nas scenariuszy do reklam, a pewnie stąd masz swój płaski obraz normalności, której nie zna żadne z nas.

Popatrzyłam na niego bykiem. Nigdy mu nie powiedziałam, że nie jestem człowiekiem. Johannowi też nie, choć wspomniałam mu o pokrewieństwie z Ireną. Stopniowanie tajemnic.

– To miała być tajemnica? Z twoim zapachem? Chyba sobie żartujesz! – Parsknął śmiechem. – Nawet Tove cię wyczuła i przed zaśnięciem pytała Anny, czy jesteś selkie, bo pachniesz słoną wodą.

– Nie pachnę słoną wodą – oburzyłam się i odruchowo powąchałam swoją bluzę.

– Oczywiście, że nie. Tove dopiero się uczy rozkładać zapachy na części składowe. Pachniesz magią Odyna. To bardziej złożony zapach, słona woda

jest tylko jego częścią.

Zaklęłam.

– Chyba nie ma tam u was, w Warsie, zbyt wielu zmiennokształtnych? – zapytał ze złośliwym uśmieszkiem.

– Czkawka może ich zmienić w coś naprawdę paskudnego, więc większość dawno się zwinęła – przyznałam.

To był jeden z powodów, dla których od razu spodobało mi się w Warsie. A potem poznałam Johanna, który jednak nigdy nic nie wspominał…

– Cóż, pogódź się z tym, że wszystkich nas nie wybijesz. Ale może nie każdy zna zapach magii Północy i sygnaturę Odyna.

– Mam uważać na wikingów, jednym słowem?

– Francuzi kiedyś uważali i też niewiele im z tego przyszło. Ale źle na to patrzysz. Dla nas to jest zaleta. Johann wiedział od początku. Dlatego chciał z tobą pracować. W Zakonie nie ufał nikomu, ty przynajmniej w jakiejś mierze byłaś swoja.

Niewiarygodne po prostu! Pieprzone sierściuchy i ich superwęch. Od czasu przełomu i z berserkiem pod skórą miałam dobrze wykształcone zmysły, ale wciąż nie tak dobrze jak oni.

Zbliżaliśmy się do domu. Przyspieszyliśmy, słysząc odgłosy kłótni.

Rozdział 11

Drgnij, a wszystkie twoje problemy skończą się na zawsze.

Robin był facetem, który groził ci takim tonem, że brzmiało to jak obietnica wiecznej szczęśliwości – w rodzaju tych, jakie składają ci psychiatrzy, przesuwając w twoim kierunku recepty na prochy, po których będziesz wgryzać się w tęczę i klepać za uchem jednorożce.

Na Niedźwiedzie nie zdawało się to działać uspokajająco. Baribal szarpał się i napinał mięśnie, by zerwać trytytkę, którą miał związane nadgarstki, pozostali również. Nie wiem, jak Robin w pojedynkę związał wszystkich, ale doceniłam skuteczność. Policzyłam ich szybko. Jednego brakowało. I nie była to Panda, która musiała wrócić gdzieś między śniadaniem, moim atakiem paniki i strzelaniną.

– Co tu się, kurwa, dzieje?! – Wargacz wrzeszczał, a jednocześnie ustawiał ciało, tak by się znaleźć między bełtem Robina a ciałem Ursy. Miał oczy grzechotnika. Jeśli dotąd balansował na granicy szaleństwa, teraz wybrał się na przechadzkę przez jego terytorium.

– Zaraz sobie wszystko wyjaśnimy – rzuciłam głośno, przykuwając uwagę Baribala.

Mierzył mnie zimnym spojrzeniem. Jestem pewna, że w tym momencie w duchu wyrażał się nieprzychylnie o kobietach z mojej rodziny do trzeciego pokolenia wstecz. Cała kultura, dobre wychowanie i świadomość psychologiczna, które nabył, obcując ze swoją żoną, nagle tak się skurczyły, że mogły hasać po łebku od szpilki. Patrzył na mnie jak na coś, co zamierza roznieść na strzępy. Ciekawe, bo ja właściwie mogłabym tak samo postąpić z nim, ale byłam prawie spokojna. Czułam ten zimny spokój, który nigdy nie wróżył dobrze temu, kto doprowadził mnie do tego stanu. I jeśli Baribal zaraz oberwie, trudno. Poślę jego żonie koszyk z ciasteczkami i herbatami smakowymi. Dorzucę miód jako złośliwe przypomnienie, że misie to mogą sobie igrać z pszczołami.

Po kilkunastu sekundach uspokoił się na tyle, by zapytać:

– Ty nas uśpiłaś? – Był zachrypnięty, jakby zdarł gardło, wrzeszcząc.

– Nawet nie wiedziałam, że spaliście. Zastanawiałam się tylko, czemu nie zareagowaliście, kiedy napastnicy wzięli za zakładników dzieci.

Krew odpłynęła mu z twarzy. Przestał się wyrywać. Pozostali już nie przeklinali. Posępnie zaciskali wargi i miałam pewność, że szykowali się do zemsty, nawet jeśli nie wiedzieli jeszcze na kim. Byłam ciekawa, jak zareagują, gdy się dowiedzą, że zdrajca jest jednym z nich.

Podeszłam bliżej do Robina, ale z dala od trajektorii jego kuszy.

– Jaki status? – zapytałam cicho, choć zmiennokształtni słyszeli mnie doskonale.

– Strażnik nie żyje. A ci tu byli spętani zaklęciem.

Pogrzebał w kieszeni kamizelki i podał mi zwinięty pasek papieru. Na szorstkiej powierzchni wykaligrafowane były dwa rzędy znaków, przypominających nieco skandynawskie runy, ale bardziej smukłych i wykończonych zawijasami. Autor mógł po prostu lubować się w ozdobnym charakterze pisma, jednak bardziej prawdopodobne wydało mi się coś innego: należał do szkoły wiedźm trudniących się magią kaligrafowaną. To stara szkoła, droga i skuteczna.

Znałam jedną wiedźmę tej specjalizacji, mieszkała tuż na granicy Straconych Dzielnic. Była cokolwiek szalona, ale czego się spodziewać po kobiecie, która pokrywa swoje ciało ochronną kaligrafią i nago idzie tańczyć w deszczu, ledwie wybucha czkawka. Była też cholernie niebezpieczna. Nie potrafiłam rozpoznać, czy to ona wykaligrafowała to zaklęcie, ale miała dość mocy, by za pomocą dwóch wersów uśpić kilka osób na dziesięć lat. Zaklęcie nie miało znaku końcowego.

– Kto je złamał? – zapytałam, spoglądając odruchowo na Ursę, bo to jej energia emanowała wiedźmowymi fluidami.

Robin uniósł rękę jak mały prymus.

– Jak? – dociekałam, bo musiałam przyznać, że nie byłam pewna, czy zdołałabym to zrobić, choćby od tego zależało moje życie. Potrafiłam odczytać zaklęcie, czy raczej pojedyncze jego znaki, i domyśliłam się, co oznaczają w takim układzie, ale nie umiałabym wyrysować kontrglifu. Potrafiłam w tym języku czytać, nie mówić. Może gdybym została dłużej w szkole, może gdyby Irena wcześniej mnie tam posłała… Nie wiedziałam, ile czasu Robin spędził w szkole. On też nie wiedział. Ale był prymusem.

– Och, wiesz, ten detal, o którym nigdy nie rozmawiamy z Ireną. – Mrugnął do mnie, a ja parsknęłam.

Jeśli potrzebowałam powodu, by go trzymać w pobliżu, jego amulet wystarczał. Choć niepozorny – mały, rogaty wisiorek – kolejny raz okazał się jednym z najpotężniejszych artefaktów magicznych, z jakim się zetknęłam. Nie tylko chronił go od złego, z kulami włącznie, ale również potrafił wchłonąć zaskakująco wiele magii. Poradził sobie z magią mojego kręgu ochronnego, a teraz – ze starą magią silnego zaklęcia. Chętnie zamówiłabym taki gadżet dla siebie, zapłaciła w złocie i klejnotach, gdyby było trzeba, ale nie mieliśmy pojęcia, skąd się takie cuda bierze. Robin miał go na szyi, kiedy podrzucono go na próg Zakonu. Został z nim powiązany i nie mógł z niego korzystać nikt poza nim.

– Pozwólcie, drogie miśki, że was wprowadzę – powiedziałam. – Jeden z was zdradził i wprowadził na ten teren wrogów. To on was uśpił. I pozwolił, by ktoś przyłożył dzieciakom spluwy do skroni. Nie zamierzam oszczędzić mu ani chwili z tego, co go czeka z rąk ich ojca.

Spoglądali po sobie z niedowierzaniem. Rozumiałam ich – też chciałam wierzyć, że to żaden z nich, a przecież ledwie ich znałam.

– Gdzie jest Remi? – Ursa zadała pytanie za sto punktów i pocałunek prezesa.

– I tu przechodzimy do ciekawszej części. Wy leżycie nieprzytomni jak spite świnie. Strażnicy nie żyją. A ktoś otwiera bramę napastnikom i spokojnie umyka pod osłoną drzew. I wyobraźcie sobie moje zdziwienie, gdy zobaczyłam, że miał kamizelkę taką jak wasze. Widzicie mój dylemat? – Wzruszyłam ramionami.

– Myślisz, że zdradził? – zapytał Baribal, ale nie musiałam odpowiadać.

Przepełniony bólem i wściekłością krzyk Ursy powiedział mi dość.

– Znajdę go – powiedział Robin. – Przynieść ci go oddychającego czy wystarczy, że będzie w jednym kawałku?

Spojrzałam w jasnoniebieskie oczy Ursy. Ich wyraz sprawił, że w ostatniej chwili zmieniłam zdanie.

– Żywy i cały. Później zdecydujemy.

Robin odszedł bez zbędnych przygotowań, z kuszą znów wiszącą u paska. Był myśliwym, tropicielem, i był wściekły, choć wydawał się trzymać całkiem dobrze. Ale on też polubił te dzieciaki. I nie było go na miejscu, by im pomóc. Chciał coś zrobić, a ja zamierzałam mu pozwolić wykorzystać wszystkie talenty, jakie dostał w jajku niespodziance swojego DNA.

Ursa wyglądała, jakby jej ulżyło, że to nie ja poszłam za Remim. Naiwna.

Pod bramę podjechał solidny terenowy wóz z logo firmy ochroniarskiej, którą zatrudniał Lars. Nowa zmiana. Krótko po tym, jak poprzednia wgryzła się w ziemię. Lars przeszedł przez podjazd i wpuścił ich, szybko wprowadzając w sytuację.

– Nikito, wypuść nas – poprosił Baribal. – Chyba nie myślisz, że stanowimy jakiekolwiek zagrożenie albo że mieliśmy z tym coś wspólnego?

– Nie przeciągaj, Baribal. Gdyby nie Aleks, nie byłoby żadnego budzenia. Ululani trafilibyście do odpowiednio głębokiego grobu, byście stamtąd nie wypełzli, kiedy za kilka lat zaklęcie by się wyczerpało. Jeden z was zdradził. Wiesz, jak to jest z odpowiedzialnością zbiorową. Pomyśl, co zrobiłbyś na moim miejscu, i pomnóż przez dwa. Właśnie to mam ochotę wam zrobić.

Odwróciłam się i odeszłam, widząc, że Lars i ochroniarze mają wszystko pod kontrolą. Potrzebowałam skontaktować się z Karmą. I zaszyć się w bezpiecznym miejscu, bo nagle poczułam się gorzej. Potrząsnęłam głową raz i drugi, by odpędzić mgłę, która zawężała mi pole widzenia. Idąc do siebie, złapałam butelkę z wodą. W ustach czułam smak piasku. Opóźniona reakcja na stres? W żadnym razie. Coś się działo.

Powietrze w pokoju wydawało się za gęste. Ściany napierały na mnie z każdej strony. Brakowało mi tchu. Rozdarłam koszulkę pod szyją, bo nagle zdawała się podduszać niczym garota. Próbowałam oddychać jak ryba wyciągnięta z wody, czując, że narasta we mnie panika, a zawroty głowy stają się coraz wyraźniejsze. Mroczki tańczyły mi pod powiekami. Przeklinając w duchu, bo gardło miałam zbyt mocno ściśnięte, by wyrzucić z siebie wiązankę, wytoczyłam się na taras. Przez chwilę było lepiej, chłodniej i wydawało mi się, że znów oddycham, a potem wszystko wróciło, oplatając mi klatkę piersiową ciasną obręczą. Wciąż myślałam na tyle jasno, by rozumieć, że to się nie dzieje naprawdę. Nie stało się nic, co mogłoby wywołać u mnie tak silną reakcję. Coś pogrywało z moimi zmysłami. I nie postawiłabym stówy na to, że nie może mnie zabić, nawet jeśli działało tylko na umysł. Widziałam kiedyś faceta, któremu wmówiono, że jest pod wodą. Utopił się. Miał nawet typową dla topielców pianę wokół ust. W płucach nie miał kropli wody, ale wystarczająco mocno wierzył, że tam jest. Zmysły słuchają głowy bardziej, niż się nam wydaje.

Nie tylko ja się denerwowałam. Pan B. był pobudzony w ten zupełnie zły sposób. Tam na dole myślałam, że to sytuacja z Niedźwiedziami i poczucie zagrożenia, ale nie – to narastało nawet teraz, gdy byliśmy z dala od tamtego zamieszania. Mięśnie zaczęły mi drżeć, kolory przesrebrzyła optyka Pana B., wszczep w ramieniu palił wściekłym ogniem. Byłam na granicy paniki. Nie zdążę stąd uciec, nie w tym stanie. A zmiana w berserka z dziećmi i cywilami w domu… na bogów w gaciach pstrokatych!

I nagle przyszła chwila jasności.

Nie był to bezpośredni przekaz, bo Pan B. się nie komunikował – on wyrywał kręgosłupy gołymi rękami i nie znał zbyt wielu czasowników, które przydawałyby się w sytuacjach innych niż zabijanie – a jednak zrozumiałam, że on nie chce przemiany w tym momencie. I poczułam, że wie, co zrobić. Jak niezbyt rozgarnięty, ale miły dzieciak skrobał mi od środka czaszkę, dopraszając się uwagi. Zabolało tak, że prawie się porzygałam. Co miałam do stracenia? Cóż, wszystko. Był zdenerwowany i pobudzony. Wokół przebywało mnóstwo żywych ludzi, których chciałam w tym stanie utrzymać. Ale jakie miałam wyjście? Opuściłam więc gardę i pozwoliłam mu robić, co chciał, jak długo był na tyle powściągliwy, by się nie rwać do kierownicy.

To było dziwne. Jakbym była marionetką, która ma pełną świadomość tego, że nią jest. Wciąż tu byłam, nie zepchnął mnie w niebyt, nie przeobraził ciała, które dzieliliśmy. Byłam tu. Ale on też tu był. I popychał, ciągnął za sznurki, by ciało robiło to, czego od niego oczekiwał. Sposób, w jaki go odczuwałam, zaskoczył mnie. Ogarnęło mnie coś znajomego i gorącego, ale bez tej całej wściek-
łości, która zwykle wiązała się z przemianą. Zazwyczaj mijaliśmy się w progu, brutalnie się potrącając, lecz tym razem w tym samym czasie znaleźliśmy się w jednym pokoju. Pierwszy raz, odkąd pamiętam, chcieliśmy tego samego. I dotarło do mnie w dziwnym błysku jasności, że on ma świadomość i osobowość, tylko przeważnie, gdy dochodzi do głosu, jest zbyt wściekły, by zawracać sobie tym głowę. A mnie, cóż, nie dane było czegokolwiek obserwować. Gdy wracałam na fotel pilota, byłam zdezorientowana, zakrwawiona i przerażona tym, co przeczuwałam, że się działo.

Wstrząsające. Nagle pomyślałam, że gdyby chciał przejąć kontrolę na stałe, rozwinąć nie tylko fazę bojową, ale bardziej codzienną… to co go powstrzymuje przed stłamszeniem mnie? Kosma uważał, że Ernst jest już

tylko berserkiem, że nie ma w nim człowieka. Był już taki, kiedy związał się z matką Kosmy. Ja jeszcze tu byłam. Jak długo?

Ale Pan B. nie rwał się do przejęcia władzy nad naszym światem. Był zbyt zajęty ratowaniem nas i wszystkich dookoła. Robiłam, co chciał.

Wyjęłam nóż z pochwy przy pasku i opadłam na klęczki, na rowkowane deski tarasu. Czubek ostrza zanurzył się w srebrzonym drewnie, wycinając skomplikowaną runę. Patrzyłam, jak linie nakładają się na siebie, a runa przechodzi w drugą, gdy doszły kolejne żłobienia. Nie znałam tego języka. Pan B. znał. Nosiłam go w swoim ciele nieco ponad trzydzieści lat, ale on był starszy niż wszystko, co nas otaczało. Berserki, co do jednego, mają stare dusze, które wędrują w kole stworzenia. Czasami trafiają do Valhalli, jeśli same tego chcą, ale co to za życie bez walki? Wracają więc w jakimś kolejnym dziecku, czekając na zadymę, która kiedyś musi nastąpić. I zwykle następuje.

Runa rozjarzyła się całkiem jak te na ścianach mojej komory. Pomacałam drewno tarasu. A niech mnie, jeśli to nie jesion. Roześmiałam się, czując, że napięcie spada i znów mogę oddychać. Pan B. spokojnie wycofał się na tylne siedzenie, a moje palce błądziły po runie, próbując ją zapamiętać. Wymacałam w kieszeni komórkę i zrobiłam jej zdjęcie, ale na ekranie widziałam tylko srebrny rozbłysk. Wróciłam do pokoju po notes i przeniosłam osobno każdy element runy, oznaczając dokładnie kolejność i położenie każdej linii. Przypominała runy na ścianie komory, ale tam potrzebowałam ich całego mnóstwa, by Pan B. odpuścił. Gdybym mogła zastąpić komorę deprywacyjną i kilometrowe inskrypcje jedną runą, dzięki której byłabym w stanie kontrolować kaprysy Pana B., moje życie przeszłoby rewolucję. O ile oczywiście ten symbol nie jest jakimś koniem trojańskim i pisząc go, nie ściągam sobie na głowę Hel czy innego bóstwa, które będzie dysponować moim tyłkiem.

Uspokojona, wybrałam numer Karmy. Czas na małą wymianę informacji.

*

Przez dłuższą chwilę zastanawiałam się, co zrobić z właśnie otrzymaną informacją. Karma, po tym, jak przesłałam jej wszystkie zdjęcia i dane na temat napastników i nowych tropów, zaszczebiotała:

– Irenie pali się dupa.

Zwięzły przekaz. Gdy zapytałam, co dokładnie ma na myśli, opowiedziała mi o bałaganie w Zakonie. Sporo trupów, zmian właścicieli poszczególnych kont, bardziej i mniej udanych pułapek. Zakon przeszedł w stan podwyższonej gotowości i właściwie odciął się od ulicy. Cokolwiek Cienie miały do załatwienia, robiły to we własnym gnieździe. Według Karmy mówiliśmy o przewrocie, puczu czy innym gównie mającym na celu przejęcie władzy. A że u władzy była akurat Irena, istniały spore szanse, że to jej głowa ma być na tej imprezie daniem głównym.

Wpatrywałam się w wyświetlacz komórki, na którym widniał wybrany właśnie prywatny numer telefonu mojej matki. Wystarczyło nacisnąć zielony klawisz, by się połączyć. Albo wcisnąć ten z przekreśloną słuchawką i mieć to w dupie. Poczekać, co zostanie, gdy opadnie kurz. Wciąż nie skreśliłam jej z listy podejrzanych, choć obecność kruków przesunęła ją na nieco niższą pozycję. Wątpiłam, by Irena kiedykolwiek współpracowała z najważniejszym ziomem byłego męża, a już na pewno nie nasłałaby na mnie jego ludzi, skoro przez większą część życia starała się nie dopuścić do tego, by mój ojciec złożył mnie w ofierze Odynowi.

Przynajmniej to powtarzała mi przy każdej okazji, kiedy ośmieliłam się zapytać, czyli jakieś dwa razy w życiu. Miałam mniej niż osiem lat i nie całkiem rozumiałam związek przyczynowo-skutkowy między moimi pytaniami a jej wściekłością i intensywnością moich treningów. Wkrótce potem załapałam i nie drążyłam tematu. Gdyby nagle nie pojawił się Ture i nie namieszał mi we wszystkim, co uznawałam za pewnik, wciąż bym o nic nie pytała, podświadomie obawiając się, że jeśli to zrobię, Irena wgniecie mnie w matę albo kopniakiem pośle na ścianę, wyrzucając mi, że to moja wina, bo nie jestem wystarczająco dobra, by powstrzymać ją przed robieniem mi krzywdy.

Może jednak nie powinnam była zabijać tego terapeuty. Jeszcze kilka sesji i sam odebrałby sobie życie.

Czy naprawdę mogłam nie zadzwonić? Nie upewnić się, że żyje, ma się dobrze i panuje nad sytuacją, lub przeciwnie – potrzebuje odsieczy? I racjonalnie chciałam twardo odpowiedzieć, że mam w dupie, co się z nią stanie. Ale byłam sobą, córką, którą wychowywała na mur między nią a resztą świata. Jej cynglem, jej duchem, jej tresowanym zwierzaczkiem. Przeklinałam samą siebie, ją i całą resztę. Odłożyłam telefon na minutę i przespacerowałam się od ściany do ściany jakieś piętnaście razy.

A potem zadzwoniłam.

Odebrała po trzecim dzwonku.

– Nikito. – Postawiła intonacyjną kropkę, nie pytajnik. Klasyczna Irena.

– Matko. Doszły mnie słuchy, że masz tam jakieś zamieszanie.

Nie, nie zapytałam, czy chce, bym przyjechała, nie zapytałam, czy dobrze się czuje, czy nie jest ranna, czy jest bezpieczna albo czy myślała nad ostatnimi słowami, jakie chciałaby mi przekazać, jeśli jest naprawdę kiepsko. Nasza relacja opierała się raczej na kropkach i konkretach. Mniej więcej.

– I dlatego zawracasz mi głowę? – warknęła.

– Nie. Po prostu się zastanawiam, czy wracać do Warsu, czy szukać sobie nowego miejsca do życia – odparowałam. – Wiesz, może czas już wyrosnąć z tych rodzinnych obiadów i trzymania się spódnicy matki.

Cisza w słuchawce trwała tak długo, że myślałam, że się rozłączyła.

– Posłuchaj mnie, Nikito. Trzymaj się od tego gówna z daleka. Radzę sobie i kosztuje mnie to wystarczająco wiele energii i wysiłku, by jeszcze zawracać sobie głowę twoim pierdolonym załamaniem nerwowym. Zajmij się czymś pożytecznym. Poukładaj sobie w głowie ten burdel. Idź na ryby. Mam to gdzieś. Ale nie zwalaj mi się tu w tym momencie. – Znów zamilkła; usłyszałam westchnienie. – Zapomnieli, kim jestem i jak się tu dostałam. Muszę im przypomnieć. Sama, bo i tak już słyszałam zdumiony komentarz jednego ze zdrajców, że spodziewał się, że przyślę po jego dupę swoją sukę. Ciebie. Wyrobili sobie bardzo głupie przekonanie, że gdy wyjechałaś z miasta, jestem słabsza i mniej odporna. Rozumiesz?

– Rozumiem. Czy wiedzą?

– Nie. Przesłuchałam dwóch, zanim ich zabiłam. Nie wiedzą.

– To wcześniej czy później wypłynie, Ireno.

– Moja w tym głowa, by każdy, kto się dowiedział, skończył pod ziemią szybciej, niż zdoła tę wiedzę wykorzystać. Po prostu trzymaj się od tego z daleka. Nie wracaj do Warsu. Nie teraz. Dam ci zielone światło, gdy to się skończy.

Znów przemknęło mi przez myśl, że widziała we mnie swoją słabość, może największą. I całkiem logiczne byłoby zdjęcie mnie, by zabezpieczyć tę opcję ataku. Tylko ona nie brałaby mnie żywcem, to nie miałoby sensu. Żywa byłam zagrożeniem. Jeśli ktoś dowiedziałby się, że jestem jej córką i dzielimy krew… Nie. Więcej sensu miałoby, gdyby chcieli mnie zabić.

– Pamiętasz tych kolesi, których zostawiłam dla ciebie przed moim domem? – zapytałam, ufając swoim instynktom.

– Co z nimi? Zajęłam się tym.

– Przyszło ich więcej. Dużo więcej. Eliminuję ich po kolei. Ale zaczynam się zastanawiać, komu nie szkoda takiej kasy na złapanie mnie. Nie nadepnęłaś czasem na odcisk komuś, kto ma konszachty z Odynem?

– Unikam gnoja całe życie. Nie sądzę. Jesteś pewna, że to nie ty? Twoja urocza osobowość raczej nie zjednuje ci przyjaciół.

– Mam to po rodzicach.

– Głupotę stanowczo masz po ojcu – odpowiedziała i się rozłączyła.

Tyle, jeśli chodzi o czułe pożegnania. Rzuciłam telefon na łóżko, jakby parzył. Byłam zła, że zadzwoniłam.

Usłyszałam hałas dobiegający gdzieś z zewnątrz i zrobiłam dwa kroki w stronę okna, ale nagle wszystko się urwało. Resztką świadomości zarejestrowałam uderzenie policzkiem o chłodne deski podłogi i ból, który rozszedł się falą po czaszce.

Zrobiłam się wiotka i sztywna jednocześnie, jakby ktoś przeciął sznurki marionetki i ta opadła na podłogę. Nie mogłam krzyknąć, ruszyć się, nawet mrugnąć. Byłam uwięziona we własnym ciele i nagle oderwałam się od niego w zimną mgłę.

*

Uderzyłam go pięścią, rozkwaszając nos. Powinna chlusnąć krew, lecz jego twarz po prostu wróciła do stanu sprzed uderzenia. Byłam gotowa bić do skutku, ale cofnął się o krok, a moje stopy dosłownie wrosły w ziemię.

– Puść mnie, gadzie! – wrzasnęłam.

– Obiecaj, że nie będziesz próbowała znów mnie tłuc – powiedział.

– I tak nic ci nie zrobiłam!

– Zabolało. – Wzruszył ramionami. – Obiecaj. Bo cię tu zostawię i sobie pójdę.

Opuściłam ręce wzdłuż ciała i wzięłam kilka oczyszczających oddechów. Rozejrzałam się, oceniając sytuację.

To z całą pewnością nie była ziemia. Magia unosiła się w powietrzu jak cząsteczki tlenu, wszystko się od niej iskrzyło. Poza tym staliśmy na skale zanurzonej w lodowatej mgle i jak okiem sięgnąć nie było niczego poza błękitnoszarą przestrzenią, która mogła, ale nie musiała być niebem.

– Ture… nie wiem, czemu to robisz i czego ode mnie chcesz. Dlaczego po prostu nie zapomnisz o moim istnieniu, tak jak ja chciałabym zapomnieć

o twoim?

– Nie możemy tego zrobić, siostro. Musisz wiedzieć, jeśli masz przeżyć.

– Więc mi powiedz! Możesz też napisać, nie mam problemów z czytaniem listów. Nie możesz wydzierać mnie z ciała i zabierać w astralne podróże! – wrzeszczałam. – Tak się po prostu nie robi!

– Chciałbym. Nawet nie wiesz, jak bym chciał. – Nie podnosił głosu. I brzmiał, jakby naprawdę było mu przykro. – Nie mogę ci powiedzieć. Ale może zdołamy obejść zaklęcie niepamięci, jakie na ciebie rzuciła. Może sama zobaczysz. Pomogę ci.

– Nie rozumiem tego, co do mnie mówisz.

– Wiem. Ale to chyba normalne, skoro jesteśmy rodzeństwem. Zrozum, masz mało czasu. Musisz pamiętać, ile się da. Tylko wtedy rozpoznasz prawdę i zrozumiesz. A gdy po ciebie przyjdzie, będziesz wiedziała dlaczego.

Skrzywił się w grymasie bólu i potarł mostek, jakby coś, co powiedział, odbiło mu się zgagą zaklęcia. Miał tyle determinacji na twarzy. Bogowie, wydawał się gotów zginąć za to, co próbował zrobić. Oczywiście gdybym go wcześniej nie zabiła. I zdałam sobie sprawę, że nie robi tego dla siebie, a dla mnie. Nie rozpoznałam tego na początku, bo nie miałam wprawy w takich doświadczeniach, ale tak… Ture roztaczał wokół siebie tę otoczkę szlachetnego głupca. Spotkałam już kiedyś taką osobę. I zakochałam się w niej na śmierć i życie. Nazwijcie to skazą.

– Moje ciało, tam na dole, poradzi sobie, kiedy tu jestem?

– Oddycha i wszystko z nim w porządku – zapewnił. – To nie śmierć kliniczna, a podróż astralna.

– Gdzie jesteśmy? – zapytałam spokojniej.

– Na granicy między światem twoim i moim. Między dziś a wczoraj. Tak będzie łatwiej. Nie mogę ci powiedzieć, ale sama możesz zobaczyć, bo to nasze wspólne wczoraj, masz tu wstęp tak samo jak ja. Nawet jeśli jej zaklęcie blokuje ci dostęp do tych wspomnień, one tam są. Na tym poziomie możesz w nie wejść.

– Kim jest „ona”? To Irena?

Przytaknął.

– Nie możesz po prostu rozbroić zaklęcia i sobie przypomnieć, beze mnie śliniącej się na dywan?

– Nie wiem jak. – Znowu wzruszył ramionami. – Ale Frigg mówi, że w ten sposób zdołamy to obejść.

– Frigg? Jak żona Odyna?

– To trudna relacja, ale tak. Jednak w naszym przypadku nie grają do jednej bramki. Ona nas kocha.

Parsknęłam śmiechem. Jasne.

– Naprawdę. Sama możesz poszukać. Taka jest esencja Frigg – powiedział i wyciągnął przed siebie dłoń.

Zamknął oczy i twarz zastygła mu w wyrazie skupienia. Patrzyłam na niego, wciąż nie wierząc, że jest moim bratem, z całą tą jasną cerą, złotymi włosami i nordycką szczęką. I nagle na jego dłoni zamigotało światło, wirujące iskierki złota i czerwieni. Sięgnęłam ku nim, czując dziwne przyciąganie, jakby było w nich coś znajomego, coś, bez czego moja dusza każdego dnia po trochu umierała. Otuliło mnie ciepło i zapach domowego ciasta, nagle stałam się lekka i przejrzysta. Mgła zniknęła, a my staliśmy w dużej, bielonej kuchni.

Na prostym drewnianym stole o blacie wyżłobionym łokciami biesiadników leżały zielone jabłka, podobne do papierówek. Po chwili spod stołu wynurzyła się mała dłoń i macała tak długo, aż jej paluszki zacisnęły się na owocu i umknęły z nim pod blat.

Przykucnęłam. Dwójka dzieciaków, trzy-, może czteroletnich, siedziała na podłodze i na zmianę wgryzała się w jabłko, dzieląc się łupem. Dziewczynka miała prawie czarne włosy i ciemne, lekko skośne oczy. Wyglądała na silne i energiczne dziecko. On był drobniejszy, jego jasną skórę pokrywały piegi, a na czoło opadały mu rude kędziory. Wydawał się kruchy w porównaniu z nią. Relacja między nimi, ogromna bliskość, rzucała się w oczy. Byli drużyną i porozumiewali się bez słów.

Szczegóły obrazu wypełniały się powoli. Za plecami dzieci dostrzegłam fałdy jasnoszarej lnianej spódnicy i bose stopy. Wyprostowałam się szybko. Przy stole siedziała postawna kobieta. Jej barki były szerokie, pierś pełna. Musiała mieć dobrze powyżej metra osiemdziesięciu wzrostu, ale jej proporcje były harmonijne i nie wyglądała na olbrzymkę. Obierała jabłka małym kozikiem, a serpentyny zielonej skórki wiły się po stole. Udało jej się obrać całe bez przerwania serpentyny. Uśmiechnęła się z taką satysfakcją, jakby chodziło o coś znacznie ważniejszego niż tylko obranie jabłek na szarlotkę.

Było w niej coś bardzo znajomego, ale wciąż nie mogłam złapać tego skojarzenia. Gapiłam się na nią, czekając, aż wspomnienie wypłynie na wierzch, jak wieloryb, który wcześniej czy później musi złapać powietrza.

Czułam jej magię, silną i burzliwą, ale nie bałam się. Po kilku sekundach rozpoznałam ciepło rozpływające mi się w brzuchu. Rzadko zdarzało mi się je czuć, więc nie od razu załapałam. Poczucie bezpieczeństwa.

Miała nieregularne rysy, trochę za duży nos, zbyt szeroko rozstawione oczy z lekko opadającymi powiekami. Delikatne zmarszczki wokół wąskich ust przydawały jej twarzy pewnej surowości. Wyglądała na czterdzieści kilka, może pięćdziesiąt lat, ale to musiało być tylko złudzenie. Ta kobieta, jeśli faktycznie patrzyłam na Frigg, była wiecznością.

Miała włosy tak jasne, że niemal białe, jak lniana przędza wypalona słońcem. Ułożone w misterną fryzurę z dobieranych warkoczy przeplatanych kolorowymi wstążkami tworzyły lśniącą koronę.

Królewski majestat jej sylwetki i fryzury kontrastował z prostą lnianą sukienką, a spinające fartuch srebrne brosze połączone trzema sznureczkami kościanych i bursztynowych koralików z bosymi stopami.

Uśmiechnęła się i upuściła na kolana jabłko, wciąż nieobrane, by po spódnicy stoczyło się pod stół i wpadło w ręce żarłoków. Byli bardzo zadowoleni z tego „złodziejstwa” i chichotali pod blatem.

Kręciło mi się w głowie, w skroń wbijała mi się szpilka. Jakiś głos w środku krzyczał, że mam stąd iść, pozwolić, by ściana wciąż stała na swoim miejscu, ale nie chciałam. Nie chciałam rezygnować z tego rozlewającego się w brzuchu ciepła. Ture przysunął się bliżej, jakby wyczuwając, że moja równowaga zawodzi i mogę upaść. Objął mnie ramieniem w talii i podparł o swoją pierś. Nikt nigdy tego nie robił. Nie powinno być dla mnie w tym geście nic znajomego, a jednak się odprężyłam. Na miłość bogów, rozluźniłam się w obcym świecie, z obcym przecież facetem, wyskakującym z całą tą troską i opieką. Co się ze mną działo i czy w mące nie było czasem sporyszu?

Nagle coś się zmieniło. Ciepło stwardniało, przyparte do ściany przez zbliżający się chłód. Wszyscy to wyczuli. Frigg wyprostowała się dumnie, jej rysy się wyostrzyły. Mogła siedzieć na drewnianej ławie przy wyżłobionym starością i łokciami stole, ale wyglądała jak ktoś zasiadający na tronie z czaszek swych wrogów. Patrzyła przez nas w stronę drzwi. Na ułamek chwili jej palce zacisnęły się na trzonku kozika.

Dzieci pod stołem też reagowały na to, co się zbliżało. Doskonale skoordynowanym ruchem skuliły się i ukryły pod szerokimi fałdami spódnicy Frigg. Ciche i nieruchome ukrywały się przed tym, co nadchodziło.

Zimno stawało się coraz dotkliwsze. Słyszałam też kroki, głośniejsze z każdą sekundą. Już wiedziałam, kto nadchodzi. Odskoczyłam pod ścianę, choć pewnie, tak jak Frigg i dzieci, nie był w stanie mnie dostrzec. Byłam tylko duchem z przyszłości.

Drzwi z głuchym stukiem odbiły się od ściany, gdy pchnął je zbyt mocno. Ledwie mieścił się we framudze. Był ogromną skałą mięśni, powiększoną jeszcze zarzuconym na plecy niedźwiedzim futrem. Wyglądał na dzikusa. Zarośnięty, brodaty i brudny, z toporem zwisającym mu u pasa. I wyraźnie wściekły.

Przywarłam do ściany. Drżałam na całym ciele. Ture przytulił mnie mocniej, a ciepło jego ciała odrobinę przytłumiło ogarniający mnie chłód. Ten, który na zawsze zrósł mi się z moim ojcem.

Wtedy, po porwaniu, bez przerwy było mi zimno. Nawet latem potrzebowałam ciepłej bluzy, spałam pod puchową kołdrą i kocem, jakby mogły stworzyć granicę między mną a tym chłodem, który wniknął we mnie, coś zabijając i budząc coś znacznie gorszego.

– Gdzie one są?! – ryknął na Frigg, która niewiele sobie z tego robiła. Nawet nie przerwała obierania jabłek.

– Nie wiem, o co pytasz – powiedziała spokojnie.

– O moje dzieciaki, doskonale wiesz! Mają trenować! A ty odciągasz je od tego, co powinny robić!

– Czy widzisz gdzieś tutaj swoje dzieci?

– Nie, ale…

– Więc o co ci właściwie chodzi? Myślisz, że trzymam je pod spódnicą? Chciałbyś tam zajrzeć? Bądź pewien, że nie omieszkam o tym wspomnieć Odynowi. Wydaje się mieć dziwnie wiele przeciwko mężczyznom, którzy dobierają mi się do spódnicy. Jak myślisz, dlaczego?

Uśmiechnęła się i nie był to miły uśmiech. Wiedziała, że wygrała to starcie. On też wiedział. Oczy pociemniały mu wściekłością, ale zacisnął usta i wyszedł, nie zawracając sobie głowy zamykaniem drzwi. Frigg machnęła dłonią w ich stronę i same się zamknęły. Odczekała jeszcze chwilę, nasłuchując oddalających się, energicznych kroków, a potem wsunęła dłoń z jabłkiem pod blat i powiedziała:

– Droga wolna, hałastro!

Odetchnęli tak głośno, jakby przez ostatnie minuty całkiem wstrzymywali oddech. Wysunęli się spod fałd spódnicy i wyszli spod stołu.

– Było blisko – powiedziała dziewczynka.

– Prawie nas dopadł – dodał chłopczyk.

– Prawie mu żyłka ze złości pękła – podsumowała Frigg.

– Znajdzie nas, wcześniej czy później – powiedziała mała – i znów każe nam walczyć. Nie chcę bić Erwina…

– A ty, Erwinie, chcesz bić Erynię?

Chłopiec zaczerwienił się po cebulki rudych włosów.

– Nawet jakbym chciał, to ona jest za szybka. I mocno oddaje.

Frigg zaśmiała się i potargała mu grzywkę.

– Gdybyś mógł wybierać, co chcesz robić, co by to było? – zapytała.

Mały wzruszył ramionami.

– Nigdy nie będę mógł robić tego, co chcę, bo tata się denerwuje. Mówi, że to zajęcia dla bab.

– Nie pozwól mu namieszać ci w głowie, chłopcze. Sztuka nie ma płci. Nie trzeba zabijać, by być mężczyzną.

Mały pokiwał głową, a kobieta zwróciła się do dziewczynki.

– A ty, Erynio? Kim chcesz być?

– Wojownikiem, który pokona tatę, żeby tata już na nas nie krzyczał i nas nie bił.

Frigg roześmiała się głośno.

– Kto wie, czy tego nie doczekamy – powiedziała i pogłaskała dziewczynkę po policzku. – Jesteś taka jak twoja babcia, a ona wciąż może skopać tyłek swojemu synowi.

Scena rozpłynęła się tak nagle, że upadłam, gdy pod stopami zabrakło wsparcia drewnianej podłogi. Podniosłam się na klęczki, patrząc z tęsknotą w mgłę, w której gdzieś wciąż istniała ta kuchnia, ta kobieta i te dzieci, które miały nie tylko siebie, ale i ją, by chroniła je przed gniewem Ernsta.

– Nie wiedziałam – szepnęłam.

– Odcięła cię od tego. Norny powiedziały, że to nie jest proste zaklęcie, ale coś, co wplątała w osnowy twojego życia. Nie mogą tego ruszyć bez ryzyka, że zerwą nić – wyjaśnił.

Byłam oszołomiona. Wiedziałam, że Irena mnie okłamała, Ture mnie na to przygotował, ale nie miałam pojęcia o skali tego kłamstwa. Czy cokolwiek z tego, co od niej usłyszałam, to prawda?

– Powiedziała mi, że gdy ze mną uciekła, byłam niemowlęciem. To nieprawda?

Pokręcił głową.

– Tu mieliśmy ile? Trzy lata?

Kiwnął.

– Wtedy mnie zabrała? – Pokręcił głową. – Ile miałam lat? Pięć? – Skinął na potwierdzenie. – Nic z tego nie pamiętam. Zabrała mi pięć lat życia, a ja nic nie pamiętam… To wszystko było kłamstwem? – Znów przytaknął. – Zabiję ją za to. – Pokręcił głową z jakimś smutkiem. Może nie powinnam przy nim szarżować z takimi groźbami.

– Chcę, żebyś poznała kogoś jeszcze… Nie udało nam się ciebie odnaleźć, kiedy żyła, ale skoro dziś i ja nie żyję, wykorzystam przewagę, jaką daje mi to w tym świecie.

Nagle poczułam szarpnięcie i ucisk na ramionach, jakby ktoś mną potrząsał. Ture zaklął i z każdą chwilą tracił namacalność. Mgła się rozproszyła, a ja znów znalazłam się w pokoju, w domu Larsa Amundsena. Robin potrząsał mną tak mocno, że tyłem głowy obijałam podłogę.

Jęknęłam z bólu i pomacałam czaszkę, dziwiąc się, że nie mam włosów pozlepianych krwią i mózgiem.

Puścił mnie i z ciężkim westchnieniem oparł się o ścianę, siadając po turecku.

– Osiwieję przez ciebie – powiedział, pocierając palcami nasadę nosa.

– Co się stało? – zapytałam. Przez chwilę niczego nie pamiętałam.

– Szukałem cię, ale ciebie nie było. Rozumiesz? Na podłodze leżała pusta skorupa. Nie było cię tutaj.

– Faktycznie, nie było. Dziwne trochę, nie?

Zaklął, a potem zaczął się śmiać. A nie wiedzieć czemu, to mnie zarzucano, że balansuję na cienkiej granicy poczytalności. Choć może dlatego się dogadywaliśmy. On też wpadał na podwieczorki do Kapelusznika. I potrafił przywlec moją duszę z podróży astralnej. Chwalmy małe cuda. I duże guzy. Usiadłam, wciąż pocierając obitą czaszkę.

– Znalazłeś go? – Przypomniałam sobie, co planował zrobić, zanim wybrałam się na astralną wycieczkę.

– Oczywiście.

– Więc czas na kolejny akt.

– Czekają na nas.

Rozdział 12

Lars, z lekko znudzoną miną, siedział na stole i kołysał stopami nad podłogą.

– Jesteś wreszcie – mruknął. – Skończmy to już, nie chcę ich na swoim terenie.

Przytaknęłam, bo na jego miejscu zależałoby mi na tym równie mocno.

Remi był przywiązany do krzesła. Niedźwiedzie ze skrępowanymi na plecach rękami siedziały na podłodze i kanapie. Spodziewałam się, że będą dyskutować i protestować, ale z posępnym milczeniem wpatrywały się w Remiego, czekając na wyjaśnienia.

– Ja chcę tylko odpowiedzi, ale jeśli wolicie, mogę się zająć waszym problemem z nielojalnym gówniarzem – stwierdziłam.

Ursa pokręciła głową.

– Sama się zajmę moim synem – oświadczyła.

I zimny błysk w jej oczach upewnił mnie, że nie myślała o posłaniu go do łóżka bez kolacji czy szlabanie na telewizję.

Usiadłam na krześle, podpierając łokcie na oparciu, i zapytałam gnojka, który właśnie trafił do pierwszej piątki najbardziej nielubianych przeze mnie osób na świecie:

– Kto ci zapłacił?

– Nikt mi nie zapłacił – wycedził z nienawiścią tak oczywistą, że tylko westchnęłam.

– Zdradzasz swoich za darmo? To już wyższy poziom świństwa.

– Nie zdradzam swoich – wybuchnął. – Wystawiam sukę, przez którą wychowałem się bez ojca! Sukę, przez którą straciliśmy ludzi! Sukę, która powinna zdechnąć lata temu. Ktoś obiecał mi, że zrobi to dla mnie, bez wciągania w to Niedźwiedzi!

– Nazwisko.

– Nic ci nie powiem, suko! Powinnaś gnić teraz w klatce! Ale on cię dopadnie, naprawdę mu na tym zależy, a ja będę się śmiał ostatni! – wykrzyczał mi w twarz.

– Wiedziałeś, że zaklęcie snu, które rzuciłeś na swoją matkę i przyjaciół, nie miało wyłącznika? I że nigdy by się nie obudzili, gdyby nie mój przyjaciel? Wiedziałeś, że skazujesz ich na śpiączkę tak długą, że ciało samo zaczyna się trawić? Fajna perspektywa, nie?

O, nie wiedział. Wyglądał, jakby dostał drzwiami w twarz.

– Zapomniał ci o tym powiedzieć? Co sobie myślałeś? Że wrócisz po kilku godzinach, gdy tu już będzie posprzątane, i włączysz budzik dla mamusi?

– Powiedział… – zająknął się i szukał wzrokiem matki, jakby miał nadzieję, że zaprzeczy.

– Skłamał. Ale to już wyjaśnisz sobie z mamusią. Mnie interesuje, kto i w jaki sposób się z tobą skontaktował. I dlaczego akurat z tobą. Mogę dla zachęty zacząć strzelać w kolana i łokcie. Twojej matki, bo to chyba szybciej cię zmotywuje, ale znów, nie jej wina, że ma syna idiotę. Więc?

– Powiedz jej wszystko, co chce wiedzieć – oświadczyła Ursa tym żelaznym tonem, który wyrabiają sobie z czasem matki, nauczyciele i policjanci.

Więc opuścił głowę i opowiedział. Dwóch kolesi skontaktowało się z nim na długo przed przybyciem do domu Larsa. Na stacji benzynowej wkrótce po awanturze na szwedzkiej autostradzie. Wiedzieli o jego ojcu. Wiedzieli, że chce zemsty. Zagrali tą kartą na pewniaka i się nie pomylili. Dał im cynk telefonicznie. Nie, nie zastanawiał się, czy dzieciom nie stanie się krzywda. Tak, spotkał się z nimi przy ogrodzeniu, dostał zaklęcie i jakieś kadzidło do aktywacji. Powiedzieli mu, że zdoła je zdjąć za pomocą czystej wody (tu nie wytrzymałam i zaczęłam się śmiać), i dlatego nie uśpił się z pozostałymi – planował wrócić i obudzić ekipę. Nie wiedział, na czyje zlecenie pracowali, nie znał nazwiska. Miał numer telefonu do faceta, który kierował operacją, ale podejrzewałam, że to numer jednego z truposzy zostawionych trollom.

– Ja po prostu chciałem, żebyś zapłaciła… – wydyszał.

– Zapłaciłam dość – powiedziałam spokojnie, bo potrafiłam zrozumieć jego motywacje. Pod pewnymi względami lepiej dla niego, że nie wziął za mnie kasy. Motywowała go nienawiść i potrzeba zemsty. To w jakiś sposób czystsze. Wciąż miałam ochotę rozwalić mu głowę, ale jego ojciec już mi głową zapłacił.

– To nigdy nie była jej wina – powiedziała Ursa głosem tak przesyconym bólem, że aż ścisnęło mnie w piersi. – Zawinił twój ojciec, który nie był

w połowie tak idealny, jak lubisz myśleć. Pił i był łasy na łatwą kasę. Szarżował przez całe życie i szukał zwady tak długo, dopóki jej nie znalazł. Gdyby nie poszedł na tę robotę, wziąłby inną, ale wtedy zginąłby na darmo, bo podczas jakiegoś napadu, pijackiej burdy, przyłapany w łóżku cudzej żony… Twój ojciec nie był bohaterem, Remi, był łachudrą, którego kochaliśmy mimo tego. Nie powinnam pozwolić, byś wyniósł go na ołtarze. Ale tak było łatwiej: udawać, że nie widzę, że go beatyfikujesz, że dorobiłeś sobie do zdarzeń tło, jakiego nigdy nie miały. Pomoc w uratowaniu tej dziewczyny to jedna z niewielu dobrych rzeczy, jakie zrobił twój ojciec. Miałeś dwanaście lat. Powinieneś wszystko pamiętać, ale nie chcesz. A ja ci na to pozwoliłam. Dość tego.

Westchnęła, zbierając siły na to, co zamierzała. Kiwnęłam Robinowi, by ją rozwiązał. To, co planowała, było dla niej wystarczająco trudne. Robin przeciął trytytkę za jej plecami. Wstała bez słowa i podeszła do swojego wciąż związanego syna.

– Zdradziłeś mnie i naszą rodzinę. Zbrukałeś nasz honor i złamałeś obietnicę, którą złożyliśmy Aleksowi i Nikicie. Naraziłeś nas wszystkich na śmierć. Nigdy nie będziesz Niedźwiedziem, bo nie wiesz, co to honor, lojalność, słowo. To moja wina. Źle cię wychowałam. Tylko dlatego cię nie zabiję.

Słuchałam jej słów, ciekawa, jaką ścieżkę obierze. Była wściekła, a jednak opanowana. Jej energia wiedźmy pulsowała wokół niej, a ona wiedziała, jak jej używać, mimo to nie sięgnęła po zaklęcie, które zakończyłoby to wszystko. Zamiast tego owijała się każdą jej wiązką niczym zbroją, chroniąc się przed tym, co chciała zrobić. Odgarnęła z czoła potargane białe włosy. Wyprostowała się, usztywniła ramiona i uniosła obie dłonie wnętrzem do góry. Przymknęła oczy i powiedziała:

– Od tej chwili przestajesz dla mnie istnieć. Nie mam już syna. Możesz iść do piekła, do swojego ojca, może on poklepie cię po plecach, bo na mnie nie możesz już liczyć. Masz dwadzieścia cztery godziny, by zniknąć z mojego życia, mojego domu, mojego klubu. Potem odbiorę ci życie.

Powietrze drgało magią, kiedy słowa stawały się przysięgą. Remi wyglądał na całkiem pokonanego i zaszokowanego. Łzy ciekły mu po policzkach.

– Mamo, przepraszam – szeptał. – Mamo, wybacz mi…

Pokręciła głową, wciąż trzymając zamknięte oczy, jakby się bała, że gdy spojrzy na zapłakaną twarz swojego dziecka, nie będzie miała siły, by

dotrzymać tego, co postanowiła.

– Baribalu, proszę cię o wykluczenie go z naszego stada – powiedziała ciszej.

– Nie jest już jednym z nas – oświadczył Baribal i znów poczułam magię tego zdania.

Robin systematycznie rozcinał więzy pozostałych Niedźwiedzi, poza Remim. Gdy skrępowany został już tylko on, podał nóż Ursie, by sama zrobiła, co uważa za właściwe. Mój żołądek zwinął się w ciasny węzeł, gdy w pełni odczułam grozę tego, co się właśnie stało. Myślę, że wolałabym, aby Ursa go zabiła.

Czy to nie absurdalne, że czasami wolimy stracić życie niż wszystko to, co w nim cenimy najbardziej? I że możemy być całkiem dorośli, ale akceptacja matki jest nam potrzebna bardziej niż tlen? Idiotyczne, a jednak nie potrafiłam się z tego wyzwolić. On też nie.

Odnajdywałam między sobą a Remim więcej paralel, niżbym chciała. Wiedziałam, jak to jest, gdy obraz, w który wierzysz, roztrzaskuje się na milion kawałków. Zaczyna się od małej rysy i nagle nie ma co zbierać. Ursa obwiniała się za to, że pozwoliła mu posklejać sobie rzeczywistość w fałszywe zwierciadło. Irena sama ułożyła kłamliwy obraz i kazała mi w niego wierzyć. Czy byłam równie głupia i naiwna jak ten dzieciak? Czy wcześniej naprawdę nic nie zauważyłam? Czy tak bardzo się bałam jej odrzucenia, wyparcia się mnie i naszego pokrewieństwa, by nie podważać dogmatu o jej ucieczce z niemowlęciem w tłumoczku? W historii brakowało tylko osiołka. I pięciu lat mojego życia. A także najpewniej prawdziwych motywów mojej matki, bo kwestionując podstawy, zaczynałam kwestionować też wszystko inne. I nie bardzo mi się to wszystko składało w jakikolwiek obraz. Czułam się jak jeden z tych biedaków, którzy budzą się z amnezją i nie wiedzą, kim są i co im się przytrafiło.

I nawet teraz musiałam przyznać, że choć najprościej byłoby zapytać Irenę o to, jak było naprawdę, zmusić ją do mówienia, wycis-
nąć z niej tyle prawdy, ile zdołam… cóż, wybierałam ścieżkę autostopem przez galaktykę, bo wydawała się spokojniejsza i mniej ryzykowna niż otwarta konfrontacja.

Odepchnęłam się od krzesła i wyszłam ze stróżówki. Pieprzyć to, niech to załatwią we własnym gronie. To już nie moja sprawa. Przystanęłam

dopiero w połowie ścieżki między bramą a domem, słysząc za sobą chrzęst żwiru pod czyimiś krokami. Zakładałam, że to Robin, ale za mną stał Lars.

– Mam nadzieję, że nie jesteś zawiedziony tym, że zdrajca nie dostał kulki? – spytałam. To on powinien wydać wyrok i wymierzyć sprawiedliwość: to jego dzieci stały się zakładnikami i to jego kilkuletnia córeczka wbiła napastnikowi karambit w bebechy.

– Śmierć byłaby mu lżejszą – odparł. Jako wilk rozumiał stado i jego nagłą utratę lepiej niż ludzie. – Nie pożyje zresztą długo, a każdy dzień do tego czasu będzie dla niego torturą. To Ursa będzie niosła ten ciężar dalej.

– Nie będzie z nim sama.

– Pociecha, której gówniarz już nigdy nie otrzyma.

Przytaknęłam i w milczeniu poszliśmy dalej, do domu, w którym czekali Anna i dzieci. Na podjeździe stał samochód Ingrid. Ktoś zdążył już wytrzeć krew z dachu i karoserii.

Jeden z ochroniarzy pomagał Ingrid przypiąć jej dzieci do fotelików samochodowych, po czym usadził ją na fotelu pasażera i zapiął jej pas. Usiadł na miejscu dla kierowcy i odjechał.

Anna machała im, stojąc w drzwiach. Tuve przytulała się do jej boku, ale widząc ojca, ruszyła w podskokach w jego stronę. Odbiła się mocno i skoczyła, pewna, że ją złapie. Zazdrościłam jej tej pewności, tego uścisku, tego bezwarunkowego uczucia.

– Jeśli nie masz nic przeciwko, zostanę jeszcze tę noc. Rano wyjadę i jeśli wrócę, to dopiero wtedy, gdy wszystko będzie już posprzątane – powiedziałam.

– Niedźwiedzie mają czas do osiemnastej, by opuścić moją ziemię. Ty i Robin możecie zostać, jak długo chcecie. Możemy nawet negocjować postawienie wam domku gościnnego. Wiesz, takiego z białym płotkiem i werandą. – Mrugnął do mnie i przyspieszył, z Tuve siedzącą mu na biodrze i trzymającą go za szyję pulchnymi łapkami. Pochylił się ku Annie i czule ją pocałował.

Niechciane uczucia zaczęły drapać mnie od środka. Obeszłam dom. Potrzebowałam przestrzeni i oddechu. Poszłam do pomnika Johanna. Zmarłym zazdrościłam dużo mniej.

*

Kilka godzin później, kiedy zasypiałam, miałam nadzieję, że Ture się pojawi, i jednocześnie bałam się tego. Wyruszając w tę podróż, wiedziałam, że wiele się zmieni. Nie myślałam, że wszystko. Że zacznę kwestionować to, kim jestem, i co właściwie wiem o swojej przeszłości. Matka zbudowała całe nasze życie na fundamencie opowieści, która najwyraźniej była tylko bajeczką dla dzieci. Sęk w tym, że na tej bajeczce stworzyłam swoją tożsamość. Przez lata zmieniałyśmy nazwiska, miasta, kraje, wygląd, zawody. Nie zmieniło się jedno. To, że zawdzięczam Irenie życie, bo uciekła ze mną przed oszalałym berserkiem, który chciał mnie złożyć w ofierze i który, tak przy okazji, był moim ojcem. Znaczna część naszych relacji opierała się na poczuciu winy, które Irena we mnie zaszczepiła. („Byłabym bezpieczna i miałabym wszystko, gdybym nie musiała szwendać się po całym świecie, ukrywając cię przed twoim ojcem. Oddałam ci moje najlepsze lata i nie myśl, że nie kosztowało mnie to wielu wyrzeczeń. Jesteś mi to winna, Erynio"). I choć jakaś dorosła i rozsądna część mnie podpowiadała mi, że nie do końca ma rację, bo to nie ja wybrałam jej męża i ojca jej dzieci, przecież odeszłaby od niego wcześniej, gdyby nie wpadła. Tak, to też mi powiedziała. Miałam jakieś siedem lat i zapytałam ówczesnej opiekunki, co to znaczy „wpaść". Do dziś pamiętam tyradę o tym, co mnie czeka, jeśli będę rozkładać nogi przed byle łachudrą. Była to jedna z tych opiekunek, za którymi nie tęskniłam, kiedy Irena je zwalniała.

Byłam zbyt zdenerwowana, by zasnąć. Przeszłam się po korytarzu i wsłuchiwałam się w spokojne oddechy domowników. Wszyscy już spali. Jove w swojej piżamie ze Spidermanem, Tuve ściskająca pluszowego wilka. Tacy spokojni. Może dzisiejsze przygody nie nawiedzają ich w koszmarach. Przez drzwi sypialni dorosłych słyszałam spokojny oddech Anny i pochrapywanie Larsa. Nawet Robin już zasnął, choć zwykle potrzebował niewiele snu i całe noce potrafił oglądać filmy i seriale na Netflixie. Upewniłam się, że alarm w domu jest uzbrojony, a ochrona pilnuje protokołów i obchodów. Dopiero wtedy położyłam się do łóżka i otuliłam kołdrą – jeśli Ture znów się pojawi, przynajmniej zostawię ciało w komfortowych warunkach, a nie skręcone na podłodze.

Zasypiałam powoli, jeszcze kilka minut na wpół świadoma każdego odgłosu wokół i mojego ciała zwiniętego w kłębek. To nie działa, pomyślałam, nic się nie stanie, nie dziś… Ale wtedy znów znalazłam się tam, na skale wynurzającej się z mgły. Sama.

– Ture! – krzyknęłam. To miejsce było przerażające. Bez Ture nie miałam pojęcia, jak się tu przemieszczać, nie widziałam nic poza mgłą i kawałkiem skały pod moimi stopami. – Ture!

– Nie będziesz mnie bić? – usłyszałam.

– Masz trzy lata? – zawołałam.

– Trzydzieści, ale wciąż nie lubię, jak mnie tłuczesz – odpowiedział.

– Obiecuję! Chciałeś, bym kogoś jeszcze poznała, więc zamiast się chować po kątach chodź tu i rób, co trzeba! Jutro jadę do Akuszera, mówiłeś, że to ważne, bym zanim go poznam, wiedziała cokolwiek!

Wyłonił się z mgły jak zza kotary. W dżinsach i koszulce wyglądał młodziej niż w garniturach i pod krawatem.

– Gotowa na wizytę u babci? – zapytał.

– Jeśli jest z nami spokrewniona, to czy nie potrzebujemy broni palnej?

– Raczej wina i ciasteczek, o co już zadbałem. Ale ona pokocha twoje poczucie humoru. Bardzo żałowała, że cię nie odnalazłem, zanim było dla niej za późno.

– Co jej się stało? Chorowała?

Cóż, było to dość bezpieczne założenie – Ernst płodził dzieci pięćset lat temu, musiała być naprawdę wiekowa.

Ture tylko parsknął.

– Nigdy nawet jej nie sugeruj, że mogłaby zejść z tego świata inaczej niż w walce. Była walkirią i uwielbiała każdą minutę walki.

– Mam nadzieję, że to nie Ernst ją wykończył?

– Nie zdołałby. Walkirie są właściwie nieśmiertelne, przynajmniej te z jej pokolenia. Istniała dokładnie jedna osoba, poza Odynem i Freyą, która mogłaby ją zabić. Jottmund urodził się tego samego dnia co ona. W tamtych czasach rodzili się parami, walkirie i berserki – czy to jako niemowlęta, jak Ernst, czy odradzający się na polu bitwy wojownicy. Aby było sprawiedliwie, ona mogła zabić jego. Żeby dodać pieprzyku tej sprawie – mieli w zwyczaju regularnie staczać pojedynki, testując swoje możliwości. Byli też przyjaciółmi i, jak podejrzewam, kochankami, choć o to nigdy nie chciałem pytać. Na pewno nie był ojcem Ernsta. Piętnaście lat temu w czasie pojedynku coś poszło nie tak i zranił ją, jak się okazało śmiertelnie. Sam zmarł miesiąc później. Gdybyś mnie pytała – z tęsknoty. Po prostu zabrakło mu woli życia.

– Czasami dobra motywacja potrafi utrzymać przy życiu.

Wiedziałam coś o tym, to pewne. Po pierwszej przemianie tylko myśl o tym, by dopaść Ernsta, powstrzymała mnie przed samobójstwem. Dopiero potem Kosma ujawnił się jako mój brat i pomógł mi poukładać sobie całe to bycie berserkiem.

– Gotowa? – zapytał Ture.

Kiwnęłam głową, a on wziął mnie za rękę. Mgła wokół nas zaczęła wirować. Najpierw usłyszałam chrzęst oręża. Potem triumfalny kobiecy śmiech i gniewne parsknięcie. Opary się rozproszyły i zobaczyłam dziedziniec przed dużym drewnianym domem, a na nim wysoką kobietę walczącą na miecze z kimś, kto ciężko zapracował na miano olbrzyma. Ona przewyższała mnie o głowę, musiała mieć blisko metr dziewięćdziesiąt, ale przy nim była nieduża; czubkiem głowy pewnie nie sięgała mu powyżej nosa. Mimo to spuszczała mu srogi łomot i kilkadziesiąt sekund po tym, jak się pojawiliśmy, przyłożyła mu sztych miecza do błękitnej skóry na gardle.

– Poddaję się, złośliwa żmijo! – powiedział i parsknął śmiechem.

Nie było w nich śladu gniewu, kiedy objęli się po zakończonym pojedynku.

– Jottmund, jak ty się wyrażasz przy moich wnukach! – powiedziała, udając oburzenie. – Pilnuj języka przy dzieciach!

Zaczęłam się rozglądać, przekonana, że gdzieś tu znów zobaczę małą dziewczynkę i jej brata, ale ich nie było. A kobieta spojrzała wprost na mnie i uśmiechnęła się szeroko.

– Erynia, cudownie cię widzieć! Ture, kochany! – zawołała i kiwnęła ręką, zachęcając nas do podejścia.

– Ona nas widzi? – zapytałam zaskoczona, bo przygotowałam się na to, że będziemy duchami we wspomnieniu.

– Hilde nie żyje, tak jak ja. Jottmund zresztą też. To nie przeszłość, to Valhalla – powiedział Ture i ruszył w stronę babki.

Choć miałam kłopot, by myśleć tak o kobiecie, która wyglądała na góra czterdzieści lat. Była postawna, umięśniona jak atletka i tak bardzo podobna to Ture, że wyglądali jak rodzeństwo. Mieli te same ostre kości policzkowe i proste norweskie nosy. Włosy Hilde, splecione w gruby warkocz, miały ten sam jasnorudy odcień. Podobne mieli też oczy, szarozielone i wydające się zmieniać kolor w zależności od światła, choć jego miały nieco inny kształt – lekko migdałowaty, odziedziczony po matce. Taki jak moje.

Patrzyłam, jak witają się czułym uściskiem, niezdolna, by się ruszyć. Zaschło mi w ustach, a dłonie nagle zrobiły mi się lepkie od potu. Kto by pomyślał, że można się spocić we śnie?

– Będziesz tam sterczała czy przywitasz się z babcią? – zawołała.

– Właśnie się zastanawiam – odkrzyknęłam.

– Dobre! – Klepnęła się po udzie.

Jej ubiór – skórzane spodnie i pancerz nałożony na płócienną koszulę – nie pozostawiał wątpliwości, że była walkirią. Wyglądała wspaniale. I była kolejną osobą z mojej przeszłości, której nie pamiętałam.

– Mam iść? – zapytał Jottmund, chowając miecz do pochwy. Wydawał się spięty.

– To nie ty onieśmielasz tę dziewczynę, prawda? – zapytała z uśmiechem. – Zakład, że ciebie nie bała się nawet przez chwilę.

Spojrzałam na mężczyznę. Błękitna skóra i wzrost jasno mówiły, z kim mam do czynienia. Złotoruda broda i długie włosy sprawiały, że wyglądał na wikinga, nie przerośniętego smerfa. Jego zamszowe spodnie były wyświecone na kolanach, a lekki pancerz z plecionych rzemieni wzmocnionych metalowymi kółeczkami rozwiązany po bokach, tak że widziałam spory kawałek imponującej muskulatury. Hilde miała rację – nie bałam się go. Miał dobre oczy bez śladu szaleństwa i teraz, kiedy zaprzestali walki, zdawał się skrępowany swoją posturą. Nie wiem czemu, ale pomyślałam o Kosmie.

– Nie boję się ciebie – przyznałam.

– Boi się tego, co ma w głowie, nie nas. – Hilde poklepała Jottmunda po ramieniu, odwróciła się i spokojnym krokiem ruszyła w stronę domu. Ture poszedł za nią bez słowa. Jottmund chwilę się wahał.

– Jeśli to jest spotkanie rodzinne, jestem pewna, że pasujesz tam lepiej niż ja – powiedziałam wreszcie. – Nie pamiętam jej. Nic nie pamiętam z tego życia, którego stanowiła część.

Jottmund pokiwał głową i rzekł:

– Dobrze, że masz szansę sobie przypomnieć. To nie było złe życie.

Skoro był przyjacielem Hilde, pewnie pamiętał mnie jako dziecko. I nagle ogarnęła mnie pewność, że był jednym z tych facetów, których małe dzieci po prostu uwielbiają, a on nosi je na barana, nigdy się nie męcząc, bo ledwie zauważa ich znikomy ciężar. Poczułam złość, że tego nie pamiętam, że Irena zabrała mi tak wiele. Zacisnęłam pięści, a oczy zaczęły mnie szczypać.

Lodowy olbrzym podszedł do mnie powoli, ostrożny w gestach, jak naprawdę duzi ludzie, którzy nie chcą uchodzić za zagrożenie i postrach. Stanął przede mną, chowając ręce za plecami, i powiedział:

– Ona cię szukała przez te wszystkie lata, zanim umarła. Potem nie mogła już nic zrobić. Twoja matka nie tylko zabrała ci wspomnienia, ale i ukryła cię przed magią Hilde. Gdy umierała… nie złościła się na mnie, że ją zabiłem, ale była wściekła na Irenę i rozgoryczona, że nie zdołała cię odnaleźć. Ture obiecał jej na łożu śmierci, że cię znajdzie.

– I srogo za to zapłacił.

– On o tym wiedział – rzekł olbrzym, a widząc moje zaskoczenie, wyjaśnił: – Byliście połączeni, tak samo jak ja i Hilde. On mógł zabić ciebie, ty jego. Wiedział o tym, Norny mu to przepowiedziały wiele lat wcześniej.

– Gdyby mnie nie szukał, byłby nieśmiertelny? – zapytałam, przygnieciona nową wiedzą.

– Nieśmiertelność nie jest tym, co jest najcenniejsze – powiedział mężczyzna, który zmarł z tęsknoty za jedyną kobietą, która mogła go zabić.

A ja poczułam, że za chwilę się rozryczę. Skrzywił się lekko, jakby to zauważył.

– Ja nie jestem w tym zbyt dobry, w tych uczuciach i pocieszeniach. Ludzie są zbyt krusi, by ich przytulać bez ryzyka, że, no wiesz… że się ich zgniecie.

– Jestem berserkiem – powiedziałam głośno, ku mojemu własnemu zaskoczeniu. Jottmund był martwy, ale czy mogłam mu zaufać?

– Wiedzieliśmy o tym, kiedy jeszcze byłaś malutka. Tylko nie mówiliśmy Ernstowi i Lilianie, bo mieli te swoje poplątane sprawy do rozwiązania. – Skrzywił się na wspomnienie mojej matki, którą znał pod jej dawnym imieniem.

Napomknęła, że zmieniła Lilianę na Irenę, gdy odeszła od Ernsta. Autorzy większości słowników etymologię tego imienia wywodzą od słowa „eirene” – pokój, Irena stanowczo wolała skojarzenia ze słowem „ira” – gniew.

Jottmund wyciągnął do mnie rękę, a ja tak po prostu ją ujęłam i poszłam z nim do domu mojej babki, czując, że wszystko, co do tej pory brałam za pewnik, właśnie drży w posadach.

Hilde i Ture siedzieli za kuchennym stołem. Kiedy stanęłam w progu, na twarzy mojej babki, co mnie zdumiało, dostrzegłam ulgę i radość. Czy

naprawdę myślała, że się zmyję?

Jottmund usiadł na krześle masywniejszym od pozostałych i przysunął sobie półmisek z pieczonym kurczakiem. W skupieniu oderwał udko i zaczął je skrupulatnie obgryzać.

Usiadłam naprzeciwko Hilde i nie wiedziałam, co zrobić z rękoma, wciąż lekko drżącymi i spoconymi. Ukryłam je pod blatem.

– Może ciasteczko? Ture podkradł całą blachę Frigg – powiedziała Hilde i z dumą poklepała wnuka po ramieniu.

Pokręciłam głową, bo choć byłam głodna, nie chciałam, by zauważyła, jak bardzo jestem zdenerwowana.

– Dobrze więc. Nie mamy wiele czasu, bo takie podróże wyczerpują twoją energię, a nie chcemy, byś się tam zmieniła – oświadczyła spokojnie, udowadniając mi, że doskonale zna moją tajemnicę. – Musisz wiedzieć o kilku sprawach, nie tylko o swojej przeszłości, ale o tym, co cię czeka już wkrótce.

– Czy to ma coś wspólnego z Odynem? – zapytałam.

– Ten stary dureń ma cię na oku.

– Widziałam kruki – przyznałam.

– Kruki jeszcze nie wróciły z ostatniego oblotu ziemi, nie wszystko wie. Może zdążymy. Ale gdy twój berserk oddał hołd Odynowi, wszyscy to poczuliśmy. Zaświeciłaś się na mentalnej mapie każdego berserka i walkirii jak żarówka. A teraz, gdy użyłaś runy, Odyn będzie mógł cię znaleźć, kiedy zechce.

Przeklęłam. Była tylko jedna runa, którą mogła mieć na myśli.

– Pan B. mnie sprzedał? – zapytałam posępnie.

– Chciał dobrze. Coś testowało twoją moc, musiał sięgnąć po runę, by złamać wrogą wam magię. Odyn nie jest jedynym, który szuka takich jak ty.

– Macie tu jakiś konkurs na to, kto nazbiera więcej przetrąconych berserków?

– Lub walkirii. I w pewnym sensie, owszem. Kto cię odnajdzie pierwszy, może się domagać służby.

– Ale to nie mój ojciec? – zapytałam, czując pot spływający mi po karku.

– Nie wiem. – Hilde sposępniała. – Mój syn jest pomylonym durniem. Ja… – zawahała się, ale ciągnęła dalej: – Ture mi powiedział, co Ernst ci zrobił. Wierz mi, nie wiedzieliśmy. Gdyby nie Irena, wyczułabym, że potrzebujesz ratunku, niech przeklęta będzie suka i jej zimne moce. Kiedy

się dowiedziałam, odnalazłam mojego syna, nie usiadł na tym swoim durnym tyłku przez tydzień. Za dużo czasu spędzał z Odynem i swoim ojcem, by nabrać rozsądku. Męskie sprawy, tak mi mówili, ale doszczętnie pomieszali temu chłopcu w głowie.

Westchnęła ciężko i zaczęła rozkruszać nad talerzykiem jedno z ciastek, unikając mojego spojrzenia. Poczucie winy i smutek odbijały się w jej rysach. Nie wiedziałam, co jej powiedzieć. Byłam przekonana, że mój ojciec był po prostu stuknięty, a więcej przytulania i bajek na dobranoc w dzieciństwie nie zmieniłoby wiele.

– Widzisz – podjęła po chwili – jest taki stary zwyczaj wśród naszych ludzi. Młodzi odbywają służbę u jednego z bóstw, by pokazać, że panują nad swoimi mocami. To dotyczy walkirii i berserków. Tych drugich nawet bardziej, bo mają reputację niezrównoważonych. I jeśli nie przejdą testu, bóstwo ich kończy.

– Jakim cudem Ernst przetrwał? – zapytałam z powątpiewaniem.

– Testował go Odyn. Sam nie słynie ze zrównoważenia. Nie możemy ci powiedzieć zbyt wiele, reguły obowiązują nawet martwych, ale wkrótce będziesz musiała stawić temu czoła. Wcześniej jednak powinnaś odzyskać pamięć, bo wraz z nią odzyskasz wiedzę i magię, której cię uczyliśmy, kiedy byłaś mała. Jest też sprawa z twoim ojcem…

– Wciąż nie jestem przekonana, że to nie on mnie szuka. Może chce dokończyć, co zaczął? – zapytałam, bo jeśli Ture wierzył, że to nie Odyn mnie śledzi i nasyła najemników, i jeśli to nie Irena, o czym byłam niemal przekonana, to musiało chodzić właśnie o Ernsta.

– A czy ty go szukasz? Czy ty chcesz dokończyć? – zapytała i poczułam, że to jest test.

– Był czas, gdy żyłam dla tej zemsty – przyznałam.

– A dziś?

– Nie wiem. Zabiłam już swojego brata. Nie wiem, czy chcę zabijać więcej członków rodziny. Może wystarczyłoby mi, gdyby po kres wieków trzymał się ode mnie z daleka. A może on też ma tę jedną osobę, która może go zabić i przyjmuje łapówki? – dociekałam.

– Zabił ją już dawno. Ale jeśli chcesz… mogę ci pomóc.

– Zabiłabyś swojego syna?

– Po tym, co zrobił? Jasne. On już jest stracony. Z ciebie może jeszcze coś wyrośnie.

– Powiesz mi, jak go zabić?

– Pewnie tak. Nie dziś, nie teraz, ale owszem, mogę ci w tym pomóc, jeśli będziesz pewna, że to właśnie chcesz zrobić.

Spojrzałam na Ture i powiedziałam szczerze to, co od dawna kołatało mi się po głowie:

– Chciałabym cofnąć czas. Nie strzelić. Chciałabym, byś miał dość rozumu i przyszedł do mnie, zanim poszedłeś po nią.

– W tamtym momencie… ja po prostu chciałem się zemścić. To mnie napędzało. Ale śmierć otrzeźwia. Zanim wsadziłaś mi kulkę w głowę, nie byłem ani taki spokojny, ani rozsądny.

– Co daje nadzieję na nawrócenie Ernsta na rozsądek.

Jottmund wyprostował się nagle i nadstawiał ucha. Cokolwiek słyszał, zaniepokoiło go to i chrząknął ostrzegawczo. Ja nie słyszałam nic, ale ona wydawała się ufać jego zmysłom.

– Mamy mniej czasu, niż myślałam – powiedziała. – Pamiętaj, masz wybór, a przyjmując się na służbę, możesz się domagać zapłaty, możesz zażądać właściwie wszystkiego: życia, śmierci, siły czy bogactwa. To nie jest niewolnictwo, wbrew temu, co on lubi myśleć. I nie musisz się zgadzać natychmiast, możesz potrzebować czasu i nauki, zanim wejdziesz na pole. Dla niego czas płynie inaczej, więc spokojnie uda ci się wytargować rok, dwa czy nawet trzy. Przeszłaś przełom ledwie dekadę temu, w naszych oczach jesteś jak dziecko. Co ważne, możesz się domagać naszego udziału w próbach. Cała nasza trójka nie żyje, więc nie będziemy traktowani jako pomoc, lecz duchy przodków, więc to dopuszczalne.

Przytaknęłam, nie rozumiejąc, o czym mówi. Ale teraz ja także słyszałam kroki i poczułam bliskość wibrującej lodem i pachnącej sztormem magii.

– Zmykaj, moja mała, nie czas jeszcze, najpierw musisz się spotkać z Akuszerem Bogów. – Hilde uśmiechnęła się, wyciągnęła dłonie i uścisnęła moje, wciąż zwinięte w pięści, by zamaskować drżenie. – Do zobaczenia, maleńka. Jottmund, pomóż jej.

Wrzask lodowego olbrzyma niemal rozsadził mi bębenki. Fala dźwięków wprawiła powietrze w drżenie, a stół, kuchnia, twarze Hilde i Ture zaczęły się zamazywać. Obudziłam się gwałtownie, siadając na łóżku. Wciąż zasłaniałam uszy rękoma.

Pokręciłam z niedowierzaniem głową i odrzuciłam kołdrę. Szeroko się uśmiechałam. Bogowie! Czułam się dziwnie, jakby bardziej kompletna. Jakbym odzyskała kawałek siebie.

To, że się wyspałam, też nie zaszkodziło. Ze zdziwieniem zauważyłam, że minęła już siódma rano. O tej godzinie planowałam być w drodze. Szybko pozbierałam swoje rzeczy.

Nie chciałam pożegnań, poważnych rozmów, obietnic.

I nie mogłam przestać myśleć o jednym: jeśli na końcu tej drogi może czekać na mnie Odyn, to czy powinnam w to plątać Robina? Wciąż nie wiedzieliśmy, kim jest, ale intuicja mi mówiła, że bóstwa mogą być nim zainteresowane bardziej niż berserkiem w kobiecym ciele. Taka magia nie przychodzi bez ceny.

Skradałam się właśnie po schodach, kiedy Anna wyjrzała z kuchni i powiedziała, nie kryjąc rozbawienia:

– Wybierasz się gdzieś bez śniadania? Nie wiesz, że to najważniejszy posiłek dnia i że pech lubi się trzymać tych z pustymi żołądkami?

Nikita, mistrzyni szpiegostwa i Cień, przyłapana przez kobietę w zaawansowanej ciąży. Może wyrzucałabym sobie to dłużej, ale poczułam zapach naleśników i bekonu.

Robin i Lars kręcili się wokół kuchenki, przygotowując małą ucztę.

– Dzieciaki pewnie też zaraz wstaną. Chyba nie chciałaś odejść bez pożegnania się z nimi? – kontynuowała biczowanie mnie Anna.

– Nie, oczywiście, że nie – skłamałam. – Zaraz wrócę, tylko przypnę sakwy do motocykla – dodałam i się ulotniłam, zanim wskazałaby na mnie palcem i nazwała kłamczuchą. Zaczerwieniłabym się jak nic, a ten bydlak Lars śmiałby się ze mnie do jutra.

Rozdział 13

Skręciłam na rozległy parking stacji benzynowej, spokojna, że Robin podąży za mną. Sporą część trasy omówiliśmy wcześniej – stacja była zaraz przy węźle, gdzie zjeżdżaliśmy z dwupasmowej E18 na jednopasmową E134, która przecinała całą Norwegię w poprzek i miała nas zaprowadzić prawie na miejsce. Ostatnie trzydzieści kilometrów musieliśmy pokonać szaloną Fv34, trasą wijącą się między urwiskami a litą skałą fiordu i mającą szerokość drogi jednokierunkowej. By wyminęły się tam dwa samochody, jeden musi się cofnąć na wysepkę. Cieszyłam się, że jedziemy motocyklami, a nie czymś większym, bo podróżowałam już takimi drogami i przyprawiały mnie o dreszcze.

Podjechałam do dystrybutora, by zatankować. Niecałą godzinę temu opuściliśmy terytorium Larsa. Wciąż szczypały mnie oczy na wspomnienie dzieciaków, które dzień po traumatycznych doświadczeniach wydawały się całkiem pogodzone z tym, co się stało. Tuve opowiadała mi przebieg porwania tym samym tonem, jakim wcześniej relacjonowała urodziny kolegi z przedszkola, na których pojawił się klaun i teatrzyk kukiełkowy. Cóż, albo była przerażona w obu przypadkach, albo w żadnym – jedno z dwojga.

Robin wykręcił miękkim łukiem na rozległym, pustym parkingu, by zaparkować przy dystrybutorze po drugiej stronie.

Weszłam na stację, żeby zapłacić podrobioną kartą za oba baki. Dwie puszki coli kosztowały niewiele mniej. W Norwegii paliwo jest chyba jedyną relatywnie tanią rzeczą. Z rozbawieniem pomyślałam, że oszczędności, które od lat gromadzę na różnych kontach, pozwoliłyby mi żyć jak królewnie w wielu miejscach na świecie, ale w Norwegii po dwóch latach szukałabym pracy na pół etatu.

Robin stał przy swojej maszynie i już z daleka zorientowałam się, że coś jest nie tak. Była w nim dziwna sztywność, w dłoni trzymał telefon i wpatrywał się w ekran z zaciętym wyrazem twarzy. Przyspieszyłam.

– Coś się stało? – zapytałam. Pierwszym, co przyszło mi na myśl, byli Amundsenowie, z którymi pożegnaliśmy się ledwie godzinę wcześniej.

– Najwyraźniej – powiedział lakonicznie i podał mi komórkę, bym sama przeczytała wiadomość.

„Zasadzka. Wszyscy poza mną pojmani. Myślą, że Panda to ty. Mają wiedźmę. Nie dam rady sama. Proszę – Ursa”.

Oddałam Robinowi telefon i przez chwilę nie wiedziałam, co powiedzieć. Przed nami było pięć godzin prostą trasą do Molnes – miejsca, w którym miałam otrzymać odpowiedzi. Może nie wszystkie, ale wystarczająco wiele, by warto się tam tłuc.

Niedźwiedziom nie byłam nic winna – nie po tym, jak zawiedli moje zaufanie. Tak to działa: zdradza jeden, reszta bierze to na klatę. W teorii ich plan – odciągnięcie zainteresowania napastników za sprawą Pandy – sprawdzał się doskonale. Skoro myślą, że mnie mają, czy będą mnie dalej szukać? Nie sądzę. Wszystko było na swoim miejscu. Powinnam wzruszyć ramionami, wsiąść na motocykl i pojechać na zachód. To nie moja sprawa, prawda?

Popatrzyłam na Robina, jakby nosił w sobie odpowiedzi. Wystarczyłoby mi choćby wyjaśnienie, czemu mnie skręca z nerwów na myśl, że miałabym ich tam zostawić. Nie byłam im nic winna… Poza tym, że powinnam już wtedy, w Karlskronie, spuścić ich po brzytwie i zmusić, by zniknęli z mojego życia. Ostrzegałam ich. Wiedzieli, jakie jest zagrożenie. Upierali się, więc sami są sobie winni.

A jednak coś ściskało mnie w środku, czekając, jaką podejmę decyzję. Stanowczo nie Pan B., który teraz akurat postanowił być niczym Szwajcaria. Miałam niejasne przeczucie, że mogło to być sumienie. Irena przez wszystkie lata próbowała je ze mnie wykorzenić, ale najwyraźniej musiało odrosnąć. Kto wie, czy nie przetrwało dzięki wyrzutom, które we mnie podsycała, ilekroć było jej to na rękę. Ale jest jak karaluchy w Czarnobylu.

– Jeśli wolisz jechać, rozumiem. Zajmę się tym, a potem cię dogonię – powiedział Robin. A ja zazgrzytałam zębami z frustracji, bo jego decyzja była moją.

– Zadzwoń do niej, dowiedz się, gdzie jest. Odbijemy ich, a potem bez dalszej zwłoki pojedziemy do Molnes – odparłam i zaczęłam poprawiać popręgi przy sakwach, choć stanowczo tego nie wymagały.

*

Åsgårdstrand było niewielkim miasteczkiem portowym położonym jakieś półtorej godziny na południe od Oslo i czterdzieści siedem minut, wedle GPS, od Drammen, gdzie się zatrzymaliśmy przed zmianą E18 na E134. Chwalmy Norwegię za to, że w gruncie rzeczy nie jest dużym krajem, przynajmniej nie w poprzek, i odległości, jakie mieliśmy do pokonania, przywodziły na myśl bardziej wypad do sąsiedniego województwa niż do sąsiedniego stanu.

Robin wyciągnął przewodnik – nawet nie wiedziałam, że takowy ma – by sprawdzić, dokąd właściwie się wybieramy. Wątpiłam, byśmy zdążyli odwiedzić dom Muncha czy sprawdzić, czy to unikalne dla malarzy światło, które przyciąga ich od ponad stu lat do Åsgårdstrandu, naprawdę pobudza tęsknotę za malowaniem, ale Robin i tak przeczytał mi opis z przewodnika. Oprócz tego wymienił galerie sztuki, które koniecznie trzeba odwiedzić, i wspomniał o piekarni, gdzie musowo należy kupić słynne bułeczki cynamonowe, a także o kawiarni, oferującej ponoć niezrównaną kawę z orientalnymi przyprawami. Notował sobie adresy w kajeciku, który, owinięty gumką, zwykł nosić w torbie. Co tam porwanie, uzbrojeni napastnicy, wiedźma i ofiary. Mój kumpel miał poważne plany wobec pumpkin chai latte i drożdżowych ślimaków z rodzynkami.

Kiedyś naprawdę musimy się gdzieś wybrać jako turyści, bo jego spojrzenie na świat było odświeżające. Ja koncentrowałam się na tym, że choć było już po sezonie, wciąż roiło się od turystów, a w co najmniej dwóch lokalizacjach – przy rynku i przy porcie – tkwiły web-camy, które wpuszczały obraz w sieć dwadzieścia cztery godziny na dobę, więc byłoby dobrze, gdyby nie złapały nic, czego nie powinny widzieć.

Znalezienie miejsca wskazanego przez Ursę okazało się proste. Gdy minęliśmy część miasteczka pełną atrakcji dla bogatych turystów, zdolnych zapłacić pięć tysięcy koron za noc w przyjemnym hotelu w stylu skandynawskim, trafiliśmy do dzielnic bardziej odpowiednich dla tych, którzy pięciu tysięcy koron nie mieli.

Ośrodek był jednak całkiem przyjemny. Zwracały uwagę rozłożyste drewniane domki w kolorze szwedzkiej czerwieni, z czarnymi łupkowymi dachami, białymi okiennicami i tarasami wychodzącymi na Oslofjord. Nie było też ciasno, jak często bywa na tanich letniskach, gdzie domek wchodzi na domek i o możliwość zaparkowania między nimi walczy się, rzucając

monetą. Tu szeroki, wysypany żwirem podjazd przecinał gładkie kobierce trawników, a ozdobne krzewy przysłaniały ogrodzenie, by coś tak trywialnego jak metalowa siatka nie zaburzało poczucia estetyki turystów.

Szczerze mówiąc, cholernie mnie to irytowało. Czy w tej Norwegii wszystko musiało stać na głowie? Czy nie słyszeli, że październik to nie czas na urlopy? Chciałabym winić za to szaloną pogodę, ale przebywałam tu w całkiem przeciętnym roku i oni tak po prostu mają – celebrują na świeżym powietrzu każdą wolną chwilę, ciepło czy zimno, sucho czy mokro, śnieg czy zaskakująco ciepły październik.

Gdzie w takim razie opuszczone magazyny, szare zaułki, zgnilizna lokalowa odpowiadająca zgniliźnie moralnej? A przede wszystkim – gdzie potrzeba prywatności? Na jednym z tarasów, przy piknikowych stołach, widziałam rodzinę z dwójką dzieciaków i wyjątkowo wścibskim terierem. Przy drugim domku właśnie zaparkowało beżowe volvo starsze ode mnie, ale wciąż na chodzie, a z jego wnętrza wysypała się czwórka studenciaków w designerskich dżinsach i w bluzach żeglarskich. Nawet studentów Norwegia nie potrafi mieć jak trzeba. Byłam pewna, że w tych eleganckich markowych walizeczkach nie mają nawet jednej chińskiej zupki. Istniała nadzieja, że dźwigali mnóstwo piwa. Tyle że zamiast schować się w domku i pić je w spokoju kręcili się między domkiem a samochodem, wyciągając z bagażnika coraz to nowe bagaże.

Opuszczone magazyny są dużo bardziej odizolowane i ryzyko przypadkowych ofiar jest mniejsze. Trzeba będzie to jakoś rozwiązać, zanotowałam w myślach. Domek, który wedle Ursy zajmowali porywacze, był najbardziej oddalony od bramy wjazdowej. Drzwiami wejściowymi skierowany ku fiordowi, tylnymi, wychodzącymi na taras obiegający trzy z czterech ścian, zwrócony w stronę młodego sosnowego lasu. Zbyt rzadkiego, by poważnie traktować go jak osłonę. Było lepiej, niż gdyby zajęli lokum bardziej w środku, między tymi wszystkimi rodzinami, ale i tak miejsce do ataku nie należało do komfortowych. Wiedziałam, że będzie mnie to kosztowało. Nie założę ochronnego kręgu zapewniającego mi dyskrecję, jeśli w środku jest wiedźma – po pierwsze bym ją ostrzegła, po drugie, manifestując taką ilość mocy, mogłabym za bardzo się odsłonić. Prawdopodobnie to ona testowała mnie całkiem niedawno. Wciąż niewiele wiedziała i nie zamierzałam jej podać swojej sygnatury na srebrnej tacy.

Wynajęłam z Robinem domek oddzielony od tamtego jednym niezamieszkanym przez nikogo. Zmieniłam wygląd, tak że jedyną małą

„prawie Azjatką” w okolicy była Panda. Bo przecież nie ja – wysoka i chorobliwie szczupła Norweżka o jasnorudych włosach i rysach swojego brata i babki. Robin nie musiał wiele zmieniać – po prostu rozpuścił włosy i je rozczochrał. Wyglądał jak archetypiczny wiking. Mimo wszystko woleliśmy nie rzucać się porywaczom w oczy. Motocykle zaparkowaliśmy pod przedłużonym zadaszeniem tarasu, po tej stronie domku, która była dla nich najmniej widoczna.

Sakwy wrzuciliśmy do środka, a sami, trzymając się za ręce jak para szczeniaków, udaliśmy się w kierunku bramy wjazdowej ośrodka, by następnie, pod osłoną żywopłotu, przejść wzdłuż ogrodzenia, niemal na tyły domku porywaczy. Na werandzie siedział facet spowity papierosowym dymem, z kaburą wypychającą mu kurtkę pod pachą i długą lufą opierającą się niedbale o balustradę. Nie wydawał się spięty czy czujny. Spoglądając przez lunetę odkręconą od snajperki, dokładnie zlustrowałam cały domek. Na werandzie przy drzwiach wejściowych widziałam dwóch facetów. Jeden również palił, drugi grał w coś na swoim smartfonie. W oknach od czasu do czasu migały sylwetki w ciuchach z demobilu. Nie zauważyłam nic, z czym byśmy sobie nie poradzili, ale wciąż nie widziałam wiedźmy, o której mówiła Ursa.

– Czujesz jakąś magię? – zapytałam Robina, bo on i jego amulet wydawali się czulszym instrumentem niż moje zmysły.

– Tak, kilka nawarstwiających się. Nie są agresywne, raczej defensywne, ale jest w nich coś pokręconego. – Zmarszczył się, przymykając oczy. – Wiem, że coś mi powinny przypominać, ale macam w głowie zamkniętą szufladkę. Są stare, tyle wiem na pewno.

Stare. Oby więc siedziała cicho, jak długo zdoła, a nie angażowała się w walkę, bo też miałam w sobie cholernie starą magię i jeśli byłoby trzeba, nie wahałabym się wypuścić jej na wolność. Pan B. ochoczo zasygnalizował skrobaniem w moją czaszkę, że jakby co, jest gotów, wystarczy słowo. Kolejny raz zdałam sobie sprawę, jakie to dziwne doświadczenie: być berserkiem w Skandynawii. Tutaj to on przebywał na swoim terytorium, pewny siebie i spokojny. Jakby wiedział, że gdyby tylko chciał…

Przecięliśmy rzadki lasek za ośrodkiem i wyszliśmy na wąską ulicę z szerokim żwirowym poboczem. Ursa czekała na nas na parkingu, w niedużej, wysypanej jasnym żwirkiem zatoczce. Widziałam takie na całej trasie – drewniany stół i ława piknikowa nad samą krawędzią urwiska,

gdybyś w czasie podróży zdecydował, że drugie śniadanie wymaga odpowiedniej oprawy krajobrazowej. Oslofjord rozciągał się poszarpanym błękitem jak okiem sięgnąć. Morska woda energicznie rozbijała się o szare skały. Krajobraz drapieżny i idylliczny jednocześnie.

Ursa stała na krawędzi fiordu. Wyraźnie jej ulżyło, gdy nas zobaczyła. Może nie całkiem wierzyła, że faktycznie się pojawimy. Wyglądała na starszą i bardziej zmęczoną.

– Przepraszam, nie miałam do kogo zadzwonić – powiedziała. – Za trzy godziny spodziewają się przypłynięcia jachtu, który ma ich stąd wywieźć, nie wiem gdzie… Ja… Dziękuję.

– Skąd wiesz o jachcie? – zapytałam.

– Mogę ich podsłuchać na odległość, przez moich, z którymi jesteśmy powiązani krwią.

– Ilu?

– Co najmniej dziesiątka, tylu naliczyłam. Nie wiem, ilu teraz jest w domu, bo się kręcili, wychodzili do sklepiku po fajki i żarcie.

Zauważyłam, że się czymś gryzie, i domyślałam się, co nie daje jej spokoju.

– Nie było mnie z resztą, gdy ich napadli – zawahała się – przeprowadzałam rytuał w lesie… ochronny, dla Remiego – dodała ciszej. – To wciąż mój syn. – Pociągnęła nosem, ale oczy miała całkiem suche. – Zgarnęli ich w nocy. Większość pewnie spała. Zatrzymaliśmy się w motelu zaraz za Oslo. Potrzebowaliśmy czasu na przegrupowanie, ustalenie szczegółów w kwestii Remiego. – Nie wiem, czy zdawała sobie sprawę, że za każdym razem, kiedy wymawia imię syna, zaciska pięści. – Nasza wina, myśleliśmy, że to koniec, a przecież zrobiliśmy sporo, by Panda była dobrym wabiem. Wyluzowaliśmy się jak banda emerytów, którymi pewnie powinniśmy już być. Lecz za wiele mamy do stracenia.

Znów zacisnęła pięści, więc domyśliłam się, że właśnie pomyślała, że ona ma już do stracenia mniej, niż miała. I nie założyłabym się, kto tak naprawdę został ukarany po wykluczeniu Remiego ze stada. Może zresztą zrobiła to specjalnie – obwiniała się o to, że źle go wychowała, więc skopała się emocjonalnie, wykluczając tego, dla którego żyła przez ostatnie lata.

– Gdy wróciłam z lasu, zastałam rozgardiasz, mnóstwo krwi na podłodze. Co najmniej trzech naszych krwawiło. Wytropiłam ich tutaj. Gdyby to byli tylko ludzie, spróbowałabym… ale nie dam sobie z nią rady.

– Co wiesz o wiedźmie? – spytałam.

– Widziałam ją tylko przez chwilę, gdy wysiadała z samochodu. Weszła do domku i siedzi tam do tej pory. Dziwna sygnatura, jakby szeleszcząca, pachnąca atramentem. Dotąd się z taką nie spotkałam, ale nawet tu czuję jej moc, jej macki zwiadowcze. Rozpuściła je zaraz po tym, jak się pojawiła. Większość wchłonęła z powrotem, ale nie wszystko.

Ciekawe. To zużywało mnóstwo magii, odsłaniało jej sygnaturę, ale też ostrzegało ją przed potencjalnym zagrożeniem. Nie znałam drapieżników, które marnowałyby moc w ten sposób. Przywodziła mi na myśl antylopę przy wodopoju, która nieustannie strzyże uszami i unosi głowę, by się upewnić, że nikt się do niej nie zakrada. To było cenną wskazówką.

– Kaligrafomacja, rzadkie i potężne gówno – przytaknęłam. – To ona musiała przygotować zaklęcie snu.

I zapewne próbowała testować moją magię, niemal wymuszając przełom, gdy przebywałam pod jednym dachem z dziećmi i przyjaciółmi. Zakładałam, że to Odyn, ale jeśli Hilde miała rację, a kruki jeszcze nie wróciły z oblotu – wiedźma współpracująca z ludźmi, którzy chcieli mnie porwać i w klatce zawieźć bogowie wiedzą gdzie, była całkiem dobrym kandydatem. Kolejna wskazówka – wszystkie zaklęcia, które wyprodukowała, działały na dużą odległość, nie wymagały od niej bezpośredniej konfrontacji, co pasowało do tego, co czytałam o wiedźmach parających się kaligrafomancją.

– Wiem, że cię zawiedliśmy, ciebie i Aleksa, ale jeśli pomożesz mi ich uwolnić, będę twoją dłużniczką do końca życia. Ja nie mam już nikogo poza nimi. Proszę. Naprawdę nie miałam po kogo zadzwonić, wszyscy, z którymi bym się skontaktowała, są tam. Wciąż nieprzytomni, jeśli nie gorzej – powiedziała nagle, źle interpretując moje milczenie i zadumę.

– Nie myśl o tym teraz. Zróbmy, co trzeba, by ich z tego wyciągnąć – ucięłam.

I naprawdę rozumiałam, jak to jest, kiedy zwyczajnie nie masz do kogo zadzwonić i nikt nie może chronić twoich pleców, kiedy idziesz do piekła.

*

Zaczepiłam pierwszą dziewczynę z domku studenckiego, która mi się nawinęła. Wysoka, jasnowłosa i ładniutka, jak szwedzka au pair z amerykańskich filmów. Obiecałam jej pięć tysięcy koron, jeśli namówi

swoich przyjaciół na dyniową orientalną latte i cynamonowe bułeczki w lokalu, który polecił mi Robin – przy rynku, dość daleko od ośrodka – i zostanie tam do zmroku. Potem wysłałam Robina do domku, w którym zatrzymała się rodzina. Dzięki swoim łagodnym oczętom budził większe zaufanie niż ja, więc liczyłam, że kiedy wręczy im bilety do kina na dwa kolejne seanse, które rzekomo on i jego dziewczyna wygrali na loterii, ale nie mogą skorzystać, kupią to i zabiorą dzieciaki w bezpieczne miejsce. Wolałam, by oglądały kreskówki i film familijny o pingwinach, kiedy w okolicy zrobi się nieco zbyt gorąco. Mogłam pilnować własnych kul, ale nie wiedziałam, czy porywacze będą równie odpowiedzialni. Poza tym lepiej zminimalizować liczbę potencjalnych świadków.

*

Nie czekaliśmy zmierzchu. Za dużo czasu, a w każdej chwili mogła się podwoić liczba celów, jeśli jacht przypłynąłby wcześniej. Przykręciłam tłumik do Inkwizycji. Zębuszka nie miała gwintowanej lufy, więc zostawiłam ją jako wsparcie. Przyda się, jeśli hałas będzie ostatnim, czym będę się już martwić.

Nie martwiłam się już o wizerunek – świadków nie było, a ktokolwiek zobaczyłby mnie w domku, nie zdołałby zapamiętać. Wepchnęłam do ust garść galaretek wysokoenergetycznych, bo paradując w mojej superskandynawskiej wersji, zużyłam sporo kalorii.

Robin w tym czasie założył kamizelkę kuloodporną i przypiął do paska kołczan z grubymi czarnymi bełtami z włókna węglowego oraz kuszę. Nie mówił wiele. Ustaliliśmy już, co było do ustalenia. Wchodzimy. Zdejmujemy każdego, kto nie jest Niedźwiedziem. Nie zostawiamy świadków i nie bierzemy jeńców. Nie teraz. Jeśli będę chciała kogoś przesłuchać, zdejmiemy ekipę z jachtu, ale teraz najważniejsze jest uwolnienie porwanych i obezwładnienie wiedźmy. Ja wchodziłam przodem, on tyłem. Założyliśmy się nawet, czy więcej będzie tych z kulką, czy bełtem sterczącym z piersi. Niewinny hazard, by utrzymać motywację.

Ursy nie uwzględnialiśmy w naszej jednostce uderzeniowej. Rwała się do pomocy, ale pojęcia nie miałam, co potrafi, a jej uzbrojenie ograniczało się do noża i magii. Poza tym była w takim stanie emocjonalnym, że nie zawierzyłabym jej czarom życia mojego i reszty i naprawdę nie chciałam

jej mieć za plecami. Wyznaczyłam jej miejsce przy bramie wjazdowej, by odciągała uwagę każdego, kto w ciągu godziny kręciłby się po okolicy.

Pierwszego strażnika zdjęłam, podrzynając mu gardło. Przytrzymałam jedną ręką jego ciało, by osunęło się bezszelestnie na deski tarasu, i strzeliłam do jego kompana z cichym cmoknięciem tłumika. W tym samym czasie Robin odcinał dostęp do samochodów zaparkowanych za domem i zdejmował pierwszego porywacza.

Drugi ze strażników narobił trochę hałasu, upadając, ale nie dobiegła mnie żadna reakcja z wnętrza domu. Może nie słyszeli, bo z głośników radia płynęła dziwna norweska ballada o szklanych ścianach strzaskanych jak zakochane serca. Przekradłam się, skulona poniżej linii okien, do drzwi wejściowych, przestępując nad wojskowymi buciorami. Przez chwilę nasłuchiwałam pod drzwiami, próbując się zorientować, co zastanę po drugiej stronie. Rozmowy i śmiech były stłumione i dość odległe. Ostrożnie nacisnęłam klamkę i dokładnie w tym samym czasie rozległ się metaliczny chrzęst zamka. Nie zwlekając, pchnęłam drzwi energicznie, jednocześnie opadając nisko na kolana, by mojej głowy nie było tam, gdzie każdy zakłada, że będzie. Tłumik cicho wypluł dwie kule, zanim szeroki w barach facet, siedzący w fotelu na wprost drzwi wejściowych, uniósł shotguna, którego trzymał na kolanach. Nie zdążył krzyknąć ani pociągnąć za spust, nim spory fragment jego mózgu rozbryzgał się na obłożonej białą boazerią ścianie za jego plecami. Siła impetu okazała się głośniejsza niż stłumiony mechanicznie strzał i w tym dziwnie cichym momencie zabrzmiała alarmująco. Radio w pomieszczeniu obok ucichło i nagle wyskoczyło stamtąd dwóch facetów.

Wymierzyłam w jednego i pociągnęłam za spust, ale nim zdjęłam drugiego, ten zdążył strzelić. Poczułam gorące pieczenie rozlewające mi się po lewym ramieniu i nie bez satysfakcji posłałam mu kulkę między oczy. Moje strzały były ciche, ale jego rozległ się grzmotem, alarmując wszystkich. Robin musiał to usłyszeć, bo nagle przestał zachowywać się dyskretnie i z tyłu domu rozległ się krzyk jednego ze zdjętych przez niego kolesi. Kusza śpiewała cicho, ale rozpoznałam jej głos. Porywacz u moich stóp poruszył się i drżącą dłonią unosił małego glocka w moją stronę. Dokończyłam, bez skrupułów.

To nie był dzień na wysublimowane strategie, ale na prostą robotę. Czułam się jak bohater gry komputerowej, który strzela do wszystkiego, co się rusza. Każdy, kto pojawiał się przede mną, a kto nie był Robinem,

dostawał kulkę. Wkrótce spotkaliśmy się w korytarzu i mój partner pokazał mi na palcach, że zdjął czterech. Ja pięciu. Jeśli Ursa dobrze liczyła, niewielu nam zostało. Poszło gładko, pomyślałam, próbując zignorować fakt, że rękaw nasiąka mi krwią, a palce ślizgają się na uchwycie Zębuszki. Nie spodziewali się problemów. Owszem, byli uzbrojeni – jak na najemników przystało – ale cały dom pachniał sosem pomidorowym i pieczoną papryką, nikt nie bierze się do gotowania, jeśli spodziewa się kłopotów. Ursa najpewniej miała rację – naprawdę myśleli, że Panda to ja i robota jest skończona. Sądząc po butelkach w reklamówkach z logo wolnocłówki, szykowali się już do świętowania sukcesu.

Na zewnątrz domek wydawał się nieduży, ale był tak zaprojektowany, by pomieścić kilkuosobową rodzinę. Między innymi dlatego wynajęliśmy taki sam – chcieliśmy zobaczyć, jaki jest układ pokoi. Z przodu mieścił się salon z wysokim sufitem i widoczną więźbą dachową, a stamtąd wąski korytarz prowadził do kuchni, łazienki, toalety i trzech niewielkich sypialni. Ta część nie była wysoka, ponieważ powyżej znajdował się jeszcze jeden poziom – zabudowana antresola, na którą dało się wejść albo od strony salonu – po stromej stalowej drabinie, albo od tyłu, wąskimi schodami w pudełkowej klatce schodowej. Sprawdziliśmy wszystkie pomieszczenia na parterze, ale wciąż nie widzieliśmy nigdzie Niedźwiedzi ani wiedźmy. A to oznaczało, że nie obejdzie się bez wchodzenia na antresolę. Niedobrze – pod względem strategicznym była jak wieża w zamku: cholernie trudna do szturmowania, bo wchodzący po drabinie czy wąskich schodach stanowili łatwy cel dla każdego, kto stał na górze.

Martwiło mnie to, że nie słyszałam ani szelestu. Rozumiałam, że potencjalni porywacze siedzą cicho, ale Niedźwiedzie? Musieli słyszeć zamieszanie na dole, mogli dać znać o swoim położeniu. O ile byli przytomni. Lub o ile żyli.

Zanim zabraliśmy się do forsowania twierdzy, przeszłam jeszcze raz po pomieszczeniach na dole i policzyłam posłania: kanapy, łóżka piętrowe w sypialniach oraz rulony karimat i śpiwory pod ścianą w salonie. Dwanaście. Za dużo.

Zerknęłam na drabinę. Postrzał najpewniej strzaskał mi obojczyk, a kula była miedziana, bo moja magia nie zareagowała w żaden sposób. Zębuszkę musiałam włożyć z powrotem do kabury, bo zaczynała mi ciążyć. Próbowałam ją unieść i spociłam się z bólu. Nie byłam też w stanie

przytrzymać się lewą ręką drabinki, a to znaczyło, że w prawej nie będę mogła trzymać Inkwizycji.

– Schody – powiedziałam cicho.

Robin skinął głową i przeszliśmy na tyły domu. Drewno skrzypiało pod stopami, choć starałam się iść jak najostrożniej. Ściskałam Inkwizycję w pozycji gotowej do strzału. Cisza była absolutnie nienaturalna. Słyszałam każdy najmniejszy szelest naszych ciał, a nawet mlaskające odgłosy, jakie wydawał mój strzaskany obojczyk, ale wciąż nie dobiegł mnie żaden dźwięk z góry. To nie było naturalne. Ludzie nie mogą przestać oddychać ani tak długo tkwić w bezruchu. O ile żyją.

– Ja wejdę pierwszy – szepnął Robin. – Jeśli tam jest wiedźma, mam większe szanse. – Wyciągnął spod bluzy rogaty amulet. Westchnęłam, bo wcale mi się to nie podobało. Wciąż nie dowierzałam tej rzeczy na tyle, by jej zaufać. – Nie kłóć się. To nie ja się dałem postrzelić i nie ja krwawię jak zarzynane prosię.

– Czy ja się kłócę? – zapytałam retorycznie. – Będę zaraz za tobą, osłaniam cię.

Szedł więc przede mną, ale to ja strzeliłam zza jego pleców, gdy tylko zauważyłam czubek kudłatej głowy wychylający się zza węgła na szczycie schodów.

– Możesz mieć więcej celów na koncie, ale i tak odejmę ci punkty za postrzał – szepnął i wyszczerzył się w uśmiechu. Nie, nie widziałam go, wciąż mając przed sobą jego plecy, ale nauczyłam się już rozpoznawać jego „uśmiechnięty” głos.

Lekko zakręciło mi się w głowie. Potrząsnęłam nią, odpędzając mgłę. Miałam nadzieję, że wszystkie niepokojące objawy, w tym gorąco rozlewające się pod skórą, były wynikiem miedzi w kuli, metalu niezbyt przyjaznego magicznym, a nie zaklęcia, jakim obłożono pocisk. Możliwe zresztą, że to tylko upływ krwi, bo rękaw kurtki zrobił się już ciężki od wilgoci. Kończmy to, zanim będzie gorzej, pomyślałam. W samą porę, bo schody się skończyły, a Robin stał, zasłaniając mi pokój i mierząc z kuszy w coś, co znajdowało się przed nim. Nie miałam pojęcia, co to było, bo kiedy go wyminęłam, nie zauważyłam nic, do czego dałoby się strzelić. Bardzo rozczarowujące.

Światło wpadające przez cztery okna połaciowe odbijało się w pomalowanej białym lakierem podłodze. W żadnym kącie nie kryła się szalona wiedźma. W ogóle nic się nie kryło. Nie było nawet mebli.

A jednak Robin nie odwracał się ani nie odzywał, trzymał kuszę gotową do spuszczenia bełtu. Pociągnęłam nosem. Atrament i kurz. Użyłam znaku widzenia. Powietrze zafalowało, kiedy moje zaklęcie wskazało inne, dużo potężniejsze i kompleksowe. A potem zobaczyłam wszystko, co zostało ukryte przed naszym wzrokiem.

Niedźwiedzie leżały na gołej podłodze. Nie wiedziałam, czy są martwe, czy tylko nieprzytomne. Powiązano je paracordem, jak przypadkowe ofiary fanatyka shibari. W rogu stała spora klatka, sześcian o półtorametrowych ściankach, za niska, by w niej stanąć. Na jej dnie leżała skulona Panda, wciąż w piżamie z wzorem zebry. Nie wiem, jak mogli myśleć, że to ja. Miała zakrwawioną twarz i nienaturalnie wykręcone ręce, związane za plecami. Otarcia na nadgarstkach wskazywały, że próbowała się uwolnić.

Zaklęcie iluzji najdłużej trzymało się przeciwległego kąta antresoli, w pobliżu drabinki. To miejsce było dziwnie zamglone i wyprane z kolorów, nawet teraz, kiedy reszta pomieszczenia pokazała nam prawdę. Strzeliłam tam raz i drugi, ale kule odbijały się o coś w połowie drogi i spadały, spłaszczone i grzybkowane, na lśniącą podłogę.

Warknęłam, czując nagłe uderzenie magii. Już raz z nią walczyłam – wtedy, w swoim pokoju u Larsa, teraz miałam pewność. Ale nie było czasu na rysowanie run. Nagle pomieszczenie zaczęło się zapadać i zmniejszać, ściany napierały na nas, a powietrze gęstniało do konsystencji budyniu. Zawołałam do Robina:

– Szukaj granicy kręgu!

Sama zaczęłam strzelać. Wyciągnęłam z kabury przy pasku Zębuszkę, bo nie miałam pojęcia, ile kul jeszcze zostało mi w magazynku Inkwizycji. Moja lewa dłoń, ściskająca śliską kolbę, drżała jak u starej kobiety. Nie było mowy, bym wycelowała czy uniosła rękę do pozycji, ale mogłam pociągnąć za spust i obserwować, jak układa się niewidzialna ściana, o którą rozbryzguje się ołów. Robin klęknął i położył dłoń płasko na drewnianej podłodze. Z wciąż uruchomionym znakiem widzenia zobaczyłam jego magię, jak zielonymi pędami rozwija się w coś wielokrotnie większego od niego. Pędy pełzły po podłodze i w powietrzu, wiły się, aż dotarły do kręgu. Zaczęły się wspinać po przejrzystej barierze, napierając na to, co stawiało im opór. A potem po prostu szarpnęły barierę i rozbiły jej ciągłość. Energia zafalowała i wraz z pędami i mackami wróciła do Robina, który zaciskał dłoń na amulecie. Słyszałam, że oddycha

szybciej, ale nie mogłam na niego spojrzeć, by się upewnić, czy wszystko z nim w porządku, bo nagle wyczułam ruch w ciemnym kącie.

Gdy mgła i ciemność się rozproszyły, zobaczyłam wiedźmę. A widząc, że ściska kurczowo pióro i na czystej kartce wypisuje klątwę, bez wątpienia zabójczą, strzeliłam znów, tym razem wiedząc dokładnie w co. Gdy kula przeszyła jej bok, szarpnęła się zaskoczona i krzyknęła wściekle, jakby nie wierzyła, że ochrona zniknęła. Wciąż pisała, a jej krew wsiąkała w kartkę, wielokrotnie wzmacniając siłę znaków.

Wymierzyłam dokładniej, posyłając ołowiany prezent w prawe oko wiedźmy. Upadła na podłogę, a jej mózg rozbryzgał się na ścianie. Podeszłam ostrożnie i zdecydowanym ruchem wyszarpnęłam pióro z jej martwych palców. Zabezpieczyłam stalówkę, która wciąż mogła być naładowana magią, i odsunęłam notatnik. Zakrwawiona kartka, jeśli dobrze odczytywałam sporą część symboli, mogła zabić nas w ułamku sekundy, gdyby wiedźma zdążyła dokończyć sekwencję. Na szczęście dla nas nie pisała dość szybko. Wyciągnęłam z saszetki przy pasku zapalniczkę i spaliłam kartkę, przytrzymując w palcach aż do chwili, kiedy ogień polizał je, dając znak, że robota skończona.

Popatrzyłam na kobietę – wiedźmę, której usługi musiały kosztować majątek. Trudno było ocenić, w jakim jest wieku. Miała ten typ urody, który sprawia, że mając dwadzieścia lat, wyglądasz staro, a gdy dobijasz czterdziestki, wciąż wyglądasz tak samo, ale tym razem zupełnie nie na swoje lata. Krótkie blond włosy, mocne rysy twarzy, nieduże, krągłe ciało ukryte sukienką ze sklepu indyjskiego, ze słoniami wyhaftowanymi na żółto-zielonkawej, obszytej cekinami batikowej tkaninie.

Nie sądzę, bym kiedykolwiek się z nią zetknęła czy słyszała o kimś takim jak ona w Warsie albo innych miastach magicznych w Polsce. Skąd ją wytrzasnęli? Kaligrafomancja była rzadka, droga oraz skuteczna – choć czasochłonna. Takie jak ona nie nadają się do pracy w terenie. Powinna przygotować zaklęcie w domu, a potem zostać w swojej bibliotece i mieć wyjebane na to, czy porywacze sobie ze mną poradzą. Chyba że to ona ich zatrudniła. Czy to miało sens? Ciekawe, czy kaligrafomantka potrafiłaby zakląć kule. A co ważniejsze, czy potrafiłaby skonstruować zaklęcie szpiegowskie umieszczone w miodzie. Nie byłam specjalistką, ale nie widziałam przeciwwskazań. I chyba wolałam myśleć, że mam przeciwko sobie jedną niebezpiecznie utalentowaną magicznie osobę, nie kilka.

Mruczałam pod nosem sfrustrowana, bo wciąż niewiele wiedziałam.

– Potrzebujemy informacji – stwierdziłam.

– Może Niedźwiedzie coś wiedzą? Jeśli nie, poczekamy na drugą zmianę porywaczy. Trzeba ci opatrzyć rękę. Czy ona już nie żyje? –zapytał nieufnie Robin, wciąż trzymając się na dystans od ciała na podłodze.

Przytaknęłam.

– Nie jest z tych, które wstają i idą z dziurą przeświturającą jej na czole? – upewnił się, wciąż mierząc do niej z kuszy.

– Nie sądzę. Spotkałeś takie?

– Raz czy dwa – przyznał.

Niedźwiedzie były zbyt cicho, zbyt nieruchomo. Na ścianie nad nimi dwoma nożami przybito kartkę z ciągiem znaków. Tym razem z wyłącznikiem, ale wciąż zbyt odległym, by nas to urządzało.

– Możesz to z nich zdjąć? – zapytałam Robina.

Amulet raz jeszcze poradził sobie z urokiem.

– Kurwa mać, ja pierdolę! – wykrzyknął Baribal po odzyskaniu przytomności.

I właśnie dlatego ludzie rodzą się jako nieumiejące mówić niemowlęta. Matki miałyby kłopot, by myśleć o swoich pociechach z czułością, gdyby te witały świat wiązanką przekleństw. A jestem pewna, że po całej tej szarpaninie i przeciskaniu się przez kanał rodny, nie miałyby do powiedzenia nic miłego.

Rozdział 14

Zostawiłam Niedźwiedzie na piętrze. Wybudzały się z równie entuzjastycznym podejściem do zaistniałej sytuacji co Baribal. Zamknęłam się w łazience na parterze i puściłam wodę z kranu, by obijała się z głośnym szumem o żeliwny zlew. Sycząc z bólu, ściągnęłam kurtkę. Nasiąknięta krwią skóra opadła na ziemię z miękkim plaśnięciem. Aleks po samym tym dźwięku rozpoznałby, ile krwi straciłam. Ja nie miałam takiego ucha, ale nie ulegało wątpliwości, że sporo. Cholernie bolało. Nie sposób było znosić tego z pełnym godności milczeniem, więc mamrotałam obraźliwe epitety pod adresem najemnika, który mnie postrzelił. Krople potu spływały mi po karku, gdy ostry ból wgryzł się we mnie kolejnym fantomowym postrzałem. Kiedy poruszałam barkiem czy unosiłam rękę, było dramatycznie gorzej. A musiałam to robić, by zdjąć kurtkę i ocenić stan obojczyka.

Nie miałam ze sobą ciuchów na zmianę – bagaże zostały w wynajętym domku. Nie chciałam paradować półnago przed Niedźwiedziami, więc rozcięcie koszulki nie wchodziło w grę, a zdejmowanie jej zapowiadało się jako piekło na sterydach. Gdyby chodziło tylko o nagość, zwisałoby mi, kto i ile zobaczy. Ale nie ufałam im na tyle, by jawnie okazać słabość.

Może i zebrali za mnie cięgi, ale musieli się już zorientować, jaka jest stawka za moją głowę. A zakładałam, że ta rosła z każdym zabitym najemnikiem, skoro zwiększał się profil ryzyka. W tym biznesie za ryzyko trzeba zapłacić.

Zagryzając zęby, prawą ręką złapałam elastyczny materiał na karku, naciągnęłam na głowę i dalej, aż udało mi się rozebrać prawie bez poruszania lewą ręką. Nie miałam pojęcia, jak z powrotem założę to cholerstwo. Czarny sportowy stanik utrzymał się na biuście nawet po tym, jak przecięłam lewe ramiączko, by odsłonić obrażenia.

Lewe ramię, ręka aż do dłoni i spory kawałek klatki piersiowej były lepkie od krwi. Zmoczyłam ręcznik i zaczęłam wycierać, by ocenić, jak jest źle. A było źle. Z całą pewnością miałam strzaskany obojczyk. Gdy

poruszałam ramieniem, czułam, że kawałki kości ocierają się o siebie z bolesną regularnością. Kula utkwiła w środku. Skóra na obojczyku była pociemniała i tkliwa, co oznaczało, że mam do czynienia nie tylko z raną postrzałową, ale i z jakąś formą czarnej magii. Im szybciej wyciągnę to cholerstwo, tym mniej szkód wyrządzi.

Tym bardziej, że odkąd akcja się skończyła i opadł poziom adrenaliny, czułam nie tylko narastający ból. Ważniejsze było to, czego nie czułam – mojej własnej magii, która próbowałaby się zająć tym gównem, łatać tkanki i kości. Gdybym oberwała w Warsie, byłabym solidnie zaniepokojona i sięgałabym po zdecydowane środki zaradcze, ale czułabym, że panuję nad sytuacją, bo jestem na swoim terenie. W najgorszym wypadku miałabym pod nosem uzdrowiciela i sporo magicznych specyfików, zajmujących dużą szafko-apteczkę w łazience. Tu dysponowałam podstawowym zestawem narzędzi i podróżną kosmetyczką. A najbliższy uzdrowiciel, któremu ufałam, mieszkał w Polsce, w Trójprzymierzu. Byłam zdana na siebie.

Leczyłam się szybciej niż normalni ludzie. Nie byłam supermanem odpornym na kule, ale zwykle dwa dni po postrzale mogłam się normalnie poruszać, a po tygodniu zostawała tylko różowa blizna, która miesiąc później zlewała się kolorem z pozostałymi. Kąpiel w leczniczym błocku rzecz jasna niesamowicie przyspieszała ten proces, ale nie zabrałam ze sobą nawet odrobiny. Na odprawie wiele rzeczy dawało się ukryć przed ludźmi i psami, nawet broń. Jednak błocko było naprawdę potężnym eliksirem i działało na psy jak kocimiętka na koty. Kiedyś spędziłam przez to dwadzieścia godzin na lotnisku w Paryżu, gdy celnicy przetrząsali moje bagaże, nie zapominając nawet o rozcięciu mojego jedynego push-upa. Nie wiem, co spodziewali się znaleźć w wypchanym staniku, ale szukali nad wyraz cierpliwie, po tym, jak ich psy zaliczyły trip stulecia. Nie znaleźli nic i w końcu mnie wypuścili, ale odtąd wolę nie ryzykować. Nigdy nie wiadomo, czy nie trafi się na kogoś magicznego czy pociotka o podwyższonej wrażliwości.

Zmywszy krew, obejrzałam w lusterku obrażenia. Musiałam wyciągnąć kulę, to był priorytet. Na pokrywie deski sedesowej rozłożyłam kosmetyczkę z najważniejszymi rzeczami. Zamiast maskary czy pudru trzymałam tam środek dezynfekujący – mój ulubiony, nie szczypał prawie wcale – zestaw szczypców, zakrzywioną igłę do szycia ciała, rozpuszczalne nici, stapler, który pozwalał szybciej załatać dłuższe rozcięcia, gazę, a także wodoodporne i samowulkanizujące się plastry, które nie zdzierały skóry

przy odrywaniu. Cierpię, kiedy muszę. Nie widzę powodów, by nie oszczędzać sobie niepotrzebnych nieprzyjemności.

Pukanie do drzwi było dyskretne, ale nieustępliwe.

– Zajęte – powiedziałam z irytacją.

– Wpuść mnie – usłyszałam.

– Robin, idź do łazienki na górze albo do naszego domku – warknęłam. Akurat próbowałam znaleźć kulę, a tylko trąciłam złamaną kość i spód moich powiek rozświetliła się ostra błyskawica bólu.

– Potrzebujesz mnie – upierał się.

A już zaczynałam go lubić!

– Nie robię tu nic, czego nie robiłabym w życiu setki razy, więc zaufaj mi, że sobie poradzę.

Każdy normalny typ doszedłby do wniosku, że dwójka wezwała mnie na tron, ale nie Robin.

– Czuję twoją krew.

– Czuję, że nie pożyjesz długo – mruknęłam.

– Załatajmy to, nim wszyscy będą dość przytomni, by to wyczuć.

Sapnęłam, bo kolejny raz zamiast na kulę trafiłam na jakieś wyjątkowo unerwione miejsce. Jeszcze chwila i dwójka z bólu nie byłaby taka nieprawdopodobna. Wszystko trwało już dłużej, niż powinno. Spojrzałam na siebie w lustrze. Blada, spocona, z rozwaloną ręką… Chciałabym wpełznąć do ciemnej nory i lizać ranę, dopóki nie będę w stanie sobie przypomnieć, który obojczyk był złamany. Przeklęłam, raz i drugi, szacując ryzyko.

A potem sięgnęłam do klamki.

– A więc nie dostałaś po głowie, co za ulga – powiedział, zamykając za sobą drzwi na zasuwę. – Jak źle jest?

Wzruszyłam ramionami i znów zobaczyłam gwiazdy. Idiotka.

– Siadaj – zakomenderował, przysuwając mi plastikowy stołeczek spod prysznica.

Zawahałam się, ale usiadłam i pozwoliłam mu działać. Bolało tak cholernie, że jeśli jeszcze raz po omacku wsadziłabym sobie szczypce w nerwy, mogłabym zemdleć. Zdarzyło mi się to nie raz, ale wtedy byłam w swojej kryjówce, pewna, że nikt się o mnie nie potknie. Tu nie miałam tej pewności.

Robin nie pytał już o nic. Mało delikatnie ugniatał mi bark z obu stron, a potem zanurkował szczypcami w ranie i zaczął nimi manewrować.

Wreszcie, zaciskając zęby, powoli wyciągnął kulę. Zbyt powoli.

– To jest zaklęte – powiedział cicho.

Zatkałam korkiem odpływ i woda napełniła zlew. Z kosmetyczki wyjęłam solniczkę; zamknięcie dało się podważyć kciukiem. Spora łyżka soli powinna wystarczyć. Robin wrzucił nabój do roztworu. Między ostrymi kawałkami metalu, rozłożonymi jak ramiona ośmiornicy, widniał trzon, czarny jak okruch ciemności.

– Widziałaś kiedyś coś takiego? – zapytał Robin, przyglądając się pociskowi jak obcej formie życia.

– Nie i zaczyna mnie zastanawiać, skąd oni mają te wszystkie nowe zabawki. Jeśli robiła je wiedźma, którą zabiłam, cholernie szkoda talentu.

– To coś dosłownie wysysa magię. Czuję, jak szarpie moją aurą, a amulet nagrzewa się, gdy trzymam to w ręce, czyli próbuje mnie chronić.

I to były naprawdę złe wieści. Przymknęłam oczy, skupiając się na przepływie magii w moim ciele. Czułam Pana B., ale wydawał się być dalej niż zwykle. Żadnego skrobania. Ostatnio czułam się tak prawie dekadę temu, przed przełomem. Przez większość życia byłam prawie normalnym człowiekiem. Mój poziom magii pozostawał na niezbyt wysokim poziomie, więc nie nauczyłam się na nim polegać. Jako dzieciak potrzebowałam pomocy w leczeniu. Irena, która dzięki swojej matce, szeptunce, poznała wiele leczniczych technik i sztuczek, z największą niechęcią łatała mnie po akcjach. „Ból jest twoim nauczycielem, naucz się go słuchać, byś nie musiała spotkać się z nim raz jeszcze”, mówiła i nic nie mogło zmienić jej zdania. Z czasem faktycznie leczyłam się szybciej, ale dopiero po przełomie, gdy przyspieszył mi metabolizm i organizm zmienił się pod wpływem magii, obrażenia przestały być większym problemem. Przydatna rzecz w mojej pracy. I w moim mieście.

Teraz czułam się jak wtedy, kiedy jako jedenastolatka spadłam ze skałki i złamałam z przemieszczeniem kość piszczelową. Zrastała się prawie miesiąc. Irena zabrała mnie do szpitala, tam założyli mi śruby. Mam je do dziś i zawsze pikam na bramkach lotniskowych.

Przywołałam znak widzenia i wzięłam kulę w szczypce, które odebrałam Robinowi. Nie gromadziła energii, jak bateria, ale wydawała się ją konsumować jak pasożyt.

– Weź fiolkę, tę mniejszą – poprosiłam – i nalej słonej wody. – Gdy to zrobił, wrzuciłam do niej pocisk, a Robin nałożył gumowe wieczko. – Sprawdzimy, co to jest i kto to robi. Chcę tego więcej, może się przydać.

– Rozsądnie. Ale teraz mam złą wiadomość – powiedział Robin.

Spojrzałam tam, gdzie on – na mój obojczyk. Świeża krew spływała po piersi i barku. No pięknie, nie miałam dość magii, by choćby uszczelnić krwawienie! Co za szaleństwo! Wygrzebałam z kosmetyczki spray z mikrogąbeczkami, które uszczelniały rany i powstrzymywały krwawienie. Kupiłam tego trochę jakiś czas temu od kolesia, który handlował na czarnym rynku amerykańskim sprzętem wojskowym, w tym zasobami medycznymi niedostępnymi jeszcze w oficjalnym obiegu. Nie używałam tego często i zwykle nie na sobie, ale musiał przyjść ten dzień. Wystarczyło kilkanaście sekund, by cząsteczki spuchły i uszczelniły naczynia krwionośne. Strumyczek stracił zasilanie. Znów wytarłam się mokrym ręcznikiem, który był już zdecydowanie bardziej czerwony niż biały. Akcent patriotyczny.

– Umiesz szyć? – zapytałam spokojnie.

Przytaknął. Zdezynfekował igłę, przetarł gazikiem skórę i zaczął zakładać szwy. Nie powiem, że bezboleśnie, ale przynajmniej szybko. Zakleiłam ranę plastrem.

Teraz tylko założyć koszulkę i po kłopocie, pomyślałam.

– Wiesz, że będziesz potrzebowała temblaka?

– Zapomnij.

Wzruszył ramionami i w milczeniu pozbierał wszystkie instrumenty, po czym wrzucił je do kosmetyczki. No proszę, potrafi odpuścić, kiedy jestem wystarczająco stanowcza. Spróbowałam unieść rękę, by wsunąć ją w rękaw koszulki. Przeklęty sukinsyn celowo mi nie pomógł, by rzeczywistość uderzyła we mnie z siłą młota. Gwiazdy zamigotały mi pod powiekami i gdybym nie siedziała na stołku, pewnie zemdlałabym z bólu. Robin podniósł kurtkę z podłogi i przepłukał pod bieżącą wodą. Krew nie przesiąkła na zewnątrz, ale lepiej, bym nie rozsiewała zapachu juchy. Przytrzymał kurtkę, by ułatwić mi jej założenie. Schowałam lewą dłoń do kieszeni. Bliżej temblaka nie podejdę.

– Ujdzie – zawyrokowałam.

– Jednoręki bandyta – mruknął.

– Jedna ręka i dwie nogi wystarczą mi w zupełności, by ci wkopać. Nie prowokuj mnie.

– Mówił ci ktoś, że gdy jesteś ranna, bywasz bardzo zrzędliwa?

– Mówił ci ktoś, że obrażenia czaszki mogą prowadzić do śmierci?

Nic nie powiedział, ale wskazał na mnie palcem i uniósł brwi, jakbym właśnie dowiodła, że miał rację. Arogancki dupek.

*

Wszystkie Niedźwiedzie były już na nogach. Ursa właśnie uzdrawiała Pandę, która zebrała solidne manto. Ursa miała sporo magii, nie tyle, by być uzdrowicielem wielkiego formatu, jak Darń czy Jemioła, ale dość, by Panda bardziej przypominała człowieka niż ubity kotlet. Znajomość z wiedźmami ma swoje zalety.

– Przesłuchiwali cię? – zapytałam Pandę, widząc liczne siniaki i kilkadziesiąt płytkich nacięć na jej skórze ramion i ud. Oprócz tego miała spuchnięty i najpewniej złamany nos, powykręcane palce prawej dłoni… Sporo obrażeń w krótkim czasie, ewidentnie obliczonych na to, by zadać mnóstwo bólu.

– Nie… To ona, wiedźma – odparła. – Czegoś chciała, ale pojęcia nie mam, co to było. Sfrustrowała się, że nie działa. W kółko powtarzała, że ból powinien wystarczyć…

– Do czego?

– By się uwolnił. Nie wspomniała kto. Pojebana suka, bez dwóch zdań.

Panda splunęła w kierunku leżącego na podłodze ciała – które nagle stało się dla mnie dużo bardziej interesujące. Wyciągnęłam telefon i zrobiłam zdjęcie kaligrafomantce, a następnie pozostałym trupom. Fotki tradycyjnie przesłałam do chmury. Niepokoiłam się. Zaklęte kule drenujące z magii i torturowanie Pandy, by obudzić w niej… Nie, to niemożliwe. Jakim cudem ktokolwiek znał moją tajemnicę? Odkryła ją podczas mentalnego ataku w domu Amundsenów, kiedy Pan B. zdołał przełamać jej wpływ, czy wiedziała coś już wcześniej? I komu zdążyła o tym powiedzieć?

Nagle dużo bardziej zaczęło mi zależeć na odkryciu, kto wysłał za mną tych ludzi z klatkami, kim był i co wiedział. A także na dopilnowaniu, by nikomu nie zdołał powtórzyć tego, co wygrzebał. Stwierdziłam, że z radością sprawdzę, co w nim obudzi ból.

– Robin, pozbieraj ich komórki, wszystkie. I broń, zwłaszcza tę z zaklętymi kulami. Cała elektronika, jaką znajdziesz – do wora.

Z taką ilością sprzętów algorytm Karmy nie tylko znajdzie połączenia, ale i drzewko hierarchii. A kulom naprawdę musiałam się przyjrzeć. Jeśli coś było moim słabym punktem, musiałam o tym wiedzieć i znaleźć sposób

na ominięcie tego w przyszłości. Ból w obojczyku nie ustępował. Zrośnie się, tyle że wolniej i bez znieczulenia. Gdybym była w pełni człowiekiem, pewnie potrzebowałabym operacji i tytanowych śrub. Na szczęście dla mnie – nie byłam. I nawet jeśli nie mogłam tu i teraz przywołać Pana B., co pewnie przyspieszyłoby proces leczenia, miałam w zanadrzu kilka innych sztuczek.

Przeszłam do kuchni i zajrzałam pod pokrywki. Na małym ogniu wciąż bulgotało coś w rodzaju chili con carne. Powąchałam, pachniało nieźle. Spróbowałam łyżeczką. Ujdzie. Nałożyłam sobie do miski dużą porcję, usiadłam przy przymocowanym do ściany składanym stoliku i zaczęłam jeść. Ostatnio miałam zbyt wiele na głowie, więc jadłam za mało i nie dość regularnie. Mogłam wygrzebać z sakwy saszetki z koktajlem proteinowym, ale po co miało się marnować dobre chili? Za dużo pomidorów, za mało papryki, ale zjadliwe.

Pochłaniałam właśnie trzecią porcję, kiedy pojawił się Robin z wypchaną torbą podróżną przewieszoną przez ramię. Przez chwilę przyglądał mi się zaskoczony, jak jem.

– Mógłbyś już przywyknąć – mruknęłam z pełnymi ustami.

– Ktoś jadł z ich miseczki, ktoś zabrał ich zabaweczki, a wokół same Niedźwiedzie – powiedział i zaczął się zaśmiewać ze swojego żartu.

Chyba powinnam uważniej sprawdzać, co on ogląda w te bezsenne noce. Położył torbę na podłodze, nałożył sobie porcję z prawie pustego już gara i usiadł przy stoliku.

– Słuchaj, mamy problem.

Nie przerywając jedzenia, czekałam, co powie.

– Nie możemy jechać motocyklami – wyjaśnił.

– Czemu?

– Bo masz strzaskany obojczyk.

– To nie jest przeszkoda – warknęłam, bo na myśl o kolejnym odroczeniu dostawałam gorączki.

– Nie? A to spoko. Zanieśmy bety do naszego domku. – Dźwignął torbę z podłogi i ruszył przodem.

Wzdychając, poszłam za nim, pełna złych przeczuć.

Przeszedł kawałek dalej, gdzie pod zacienioną werandą naszego domku stały Ślicznotka i jego maszyna. (Wciąż testował nowe imiona, ale żadne nie przysychało na tyle, by się przyjąć).

– Proszę cię bardzo, usiądź, złap kierownicę, jakbyś już czuła wiatr we włosach.

Udało mi się połowicznie. Usiadłam i położyłam prawą dłoń na uchwycie kierownicy.

– Nie możesz prowadzić jedną ręką.

Spróbowałam unieść i wyprostować lewą, ale oczy zaszkliły mi się z bólu.

Przeklęłam.

– Znajdę rozwiązanie. Może samolot? Nie ma opcji, żebym się teraz wycofała – zapewniłam twardo.

– Nie mówię, że masz się wycofać, tylko że trzeba zweryfikować plany, a przynajmniej ich techniczny aspekt. Poza tym może już czas, byś przestała szukać okazji, by mnie spławić? Potrzebujesz mnie. A ja jestem tu dla ciebie. Rozumiem, dlaczego nie chcesz okazywać słabości przed Niedźwiedziami. Ale przede mną nie musisz udawać, że nic cię nie rusza. Przecież wiemy, jak jest.

– Powinnam cię zabić, kiedy postawiłeś stopę po mojej stronie progu.

– I co? I nie miałabyś kierowcy na trasę. Czasami trzeba policzyć do dziesięciu tysięcy, zanim się pociągnie za spust. Zwłaszcza że strzelanie do mnie naprawdę nie ma sensu.

– Mądrala.

– A właśnie, gdyby Baribal pytał, co robiliśmy w łazience tak długo, pamiętaj, że zabijanie cię podnieca i musiałem zaspokoić twoje żądze.

– Nie powiedziałeś im tego…

– Wolałem tę wersję niż to, że jesteś poważnie ranna i osłabiona. Czułem, że będziesz wolała wyjść na zboczoną niż na słabą.

– Nienawidzę cię czasami.

– Całe szczęście, że tylko czasami.

*

Zostało niewiele czasu. Wedle planu najemników, których wcześniej podsłuchała Ursa, za mniej niż godzinę miały się pojawić posiłki z jachtem. Tym razem nie zamierzałam sprzątać – niech się sami martwią, co zrobić z ciałami.

Ursa zaproponowała mi, że spróbuje uzdrowić moje rany, jeśli jakieś posiadam. Uprzejmie odmówiłam. Nie ufałam jej na tyle, by otworzyć się

na ingerencję jej magii. Zbyt blisko znalazłaby się mojej sygnatury i zbyt wiele by się o mnie dowiedziała.

Niedźwiedzie, uzbrojone po uszy i całkiem przytomne, zamierzały poczekać na ekipę z jachtu i spuścić im manto. Poza Pandą, która po powierzchownym leczeniu potrzebowała snu i położyła się na piętrze w naszym domku. Podejrzewałam, że po prostu muszą kogoś skrzywdzić za to, jak ucierpiała ich duma. Nie miałam z tym problemów.

Tymczasem Baribal obdzwaniał znajomych, szukając kogoś, kto dysponował tirem czy czymś równie pojemnym, by spakować całą ekipę wraz z maszynami i zawieźć do portu. Połowa grupy była solidnie poobijana i nie nadawała się do jazdy motocyklem. Panda nawet po uzdrowieniu ledwo trzymała się na nogach, Wargacz miał uszkodzoną rzepkę i nie mógł zgiąć nogi w kolanie, a Kolargol tak spuchł po ciosie kolbą w twarz, że nie był w stanie otworzyć oka. Zastanawiali się nad przejęciem jachtu dość dużego, by pomieścić ich, porywaczy i załogę, ale kłopotem okazały się motocykle, na które zabrakłoby miejsca.

Puszczałam te rozważania mimo uszu, nie angażując się w szukanie rozwiązania. To, jak zamierzali wrócić do domu, to nie mój problem. Poza jednym detalem, który w obecnej sytuacji był cholernie kłopotliwy: naszymi maszynami. Zostawianie ich tutaj, gdy nie wiedziałam, jak się ułoży dalsza podróż, było ryzykowne, a do Ślicznotki czułam coś więcej niż przywiązanie. Mogłam oba motocykle wpakować do kontenera i nadać przesyłką morską, ale nie miałam pojęcia, ile potrwałoby ich dostarczenie ani skąd musiałabym je potem odebrać.

Słysząc, że Baribal znalazł transport, zwietrzyłam okazję i zagaiłam:

– Byłoby miejsce jeszcze na dwa?

– Wracasz z nami?

– Przesiadam się na samolot, będzie szybciej – zablefowałam. – Dałbyś radę odstawić je do Aleksa? Razem z przesyłką?

Baribal popatrzył na mnie bez wyrazu.

– Po tym, jak uratowałaś nam dupy, choć to my mieliśmy być twoją obstawą? Po tym, jak pożegnaliśmy się w niezbyt dobrej atmosferze, a jednak przyjechałaś, gdy zadzwoniła Ursa? Po tym wszystkim pytasz, czy zajmiemy się twoimi motocyklami i odstawimy je do Aleksa?

Poza motocyklami chciałam posłać Aleksowi torbę z komórkami i sprzętem. On, Karma i może Jurij rozgryźliby, co było do rozgryzienia,

nie ruszając się z domu. A ja po powrocie do Warsu miałabym swoje odpowiedzi. Których potrzebowałam coraz więcej.

– Będziemy kwita – zaproponowałam.

Nie zamierzałam kolekcjonować długów, a tym bardziej zaciągać ich u Niedźwiedzi. Kiedyś znów znalazłabym się przez nie w niezręcznym położeniu, zmuszona do naginania moich zasad, byle nie zranić czyichś uczuć. Pieprzyć to.

Zdarzały się sytuacje, kiedy byłam więcej niż chętna na barter przysług, ale nie dotyczyło to Niedźwiedzi. Teraz miałam już pewność, że powinni odejść na emeryturę. Nie dlatego, że byli starzy czy niedołężni, ale ponieważ dalej podążając tą ścieżką, nie dożyją starości. Powinni zbudować sobie nowe, przyjemne życie, jak Baloo, który, owszem, udostępnił nam swój dom i nas ugościł, ale nie chciał ruszać z nami na potencjalne mordobicie, bo miał dzieci i żonę. Yogi o tym wiedział – był młody i nie idealizował sobie czasów awantur i burd. Nie byli już barowymi opryszkami. Mieli więcej do stracenia. I nie zamierzałam przykładać ręki do ich konfrontacji z rzeczywistością.

Baribal pokręcił głową.

– Mówił, że bywasz szalona. Nie mówił, jak bardzo.

– To trzeba poczuć na własnej skórze – powiedział Robin pod nosem i zarobiłby sójkę w bok, ale usiadł po mojej lewej stronie, wiedząc, że bez grymasu nie podniosę lewego łokcia. Szuja.

– Więc mamy to dogadane. Przepakuję rzeczy z sakw i spadam. Dacie sobie radę sami?

– Taaaa, myślę, że damy.

Zgrzytnął zębami i wiedziałam, że tym pytaniem znów wbiłam mu szpilę. Wyszłam, nim wyzwał mnie na pojedynek na sikanie.

*

Zwinęliśmy swoje rzeczy i zostawiliśmy Niedźwiedzie u progu ich małej zemsty. Zamiast wyjechać od razu odwiedziliśmy jedno z miejsc, które przewodnik Robina zachwalał za świetną kuchnię. Oficjalnie – wciąż byłam głodna. Po cichu – wolałam być blisko, gdyby sprawy na linii Niedźwiedzie – ekipa z jachtu spierdoliły się na tyle, by znów musiała wkroczyć brygada RR.

Czekając na jedzenie, wyciągnęłam komórkę i zalogowałam się do sieci. Ikonka poczty służbowej migała natrętnie. Szesnaście nieodczytanych wiadomości. Nowe zlecenia. Przescrollowałam listę adresatów, upewniając się, że nie ma tam nic od Karmy, Jurija czy nawet matki, pozostałe zignorowałam i uruchomiłam wyszukiwarkę.

Szukałam połączenia lotniczego. Łatwo powiedzieć. Może i mieliśmy dwudziesty pierwszy wiek, ale nie oznaczało to, że mogę tak po prostu wsiąść w samolot. Z najbliższego lotniska, w Sandefjord, nie leciało nic bezpośrednio do Haugesund. Mogłabym lecieć z przesiadką w Kopenhadze, ale przerwy między połączeniami wynosiły dwadzieścia dwie godziny. Z kolei lot do Bergen oznaczał, że kolejne cztery i pół godziny spędziłabym w samochodzie i na promach, których rozkład wymuszał postoje i oczekiwanie, przez co cała podróż trwałaby dziesięć godzin. Pociągi w okolice Molnes nie kursowały wcale.

Dostanie się do niektórych miejsc w Norwegii graniczyło z cudem. Wioska, do której zmierzałam, leżała trochę na końcu niczego – była dziurą przy Skånevikfjorden, wąskim języku Morza Północnego wgryzającego się w litą skałę. Na stromiznach i małych wysepkach nie było ani jednego lotniska, choćby małego i prywatnego, a wąskie lokalne drogi urywały się, gdy napotykały morze i dalej trzeba było śmigać promem albo łódką. Rogaland to kraina idealna dla turystów, o ile zdołają tam dotrzeć.

– Nie ma wyjścia, musimy wynająć samochód – stwierdziłam zrezygnowana. – Szybciej przetniemy nim cały kraj w poprzek, niż łącząc samolot i samochód, od lotniska do celu.

– Dzięki bogom za łaski i małe dary – jęknął Robin i oparł czoło o blat.

– Co to ma znaczyć? – zapytałam.

– To znaczy, że po doświadczeniach na promie na samą myśl o tym, by wsiąść w samolot, mam mdłości i narastający atak paniki. – Westchnął ciężko. – Wiesz, ja chyba lubię mieć ziemię pod nogami.

– Ale zdajesz sobie sprawę, że będziemy musieli jakoś wrócić do domu?

– Możemy też zamieszkać tu na stałe. Hodować kozy i owce, łowić ryby i odnaleźć w sobie dziedzictwo wikingów. Tobie by się pewnie udało. Do twarzy byłoby ci w miejscowych strojach ludowych, widziałem je w przewodniku.

– Czy ja chcę wiedzieć, co byś robił z tymi kozami?

– Jedną z nich na pewno nazwałbym Nikita.

– Może cię tu zostawię.

– I uschniesz z tęsknoty? Dlaczego to sobie robisz? – spytał z troską, głaszcząc mnie po dłoni.

Bogowie.

*

Znaleźliśmy taksówkę, która zawiozła nas do najbliższej wypożyczalni samochodów. Obowiązywała tu lojalność wobec skandynawskich marek – na szyldzie, pod skromnymi granatowymi logo Volvo i Saaba na białym tle, widniał jasny przekaz: „Tylko najlepsze i solidne samochody”.

Gdy wypełniałam formularze, wpisując dane z lewego paszportu, Robin przechadzał się po parkingu, wybierając model. Byłam dość spokojna – nie groziło nam, że wybierze któreś z frykaśnych aut japońskich, francuskich czy włoskich. Wolałam coś solidnego – germańska myśl techniczna była w sam raz.

– Mowy nie ma! – powiedziałam, widząc, że przymierza się do kierownicy ciemnozielonego volviaka 262, obszernej landary w duchu amerykańskiego krążownika szos, który był starszy ode mnie, a niewiele młodszy od niego. – Jeśli postanowi zejść na zawał gaźnika na górskiej serpentynie, będziemy mieli przesrane. Gdybyśmy planowali wycieczkę Route 66, może nawet bym się zgodziła, ale widziałam drogi, które są przed nami.

– Ten i tak nie jest do wypożyczenia. Okaz kolekcjonerski – powiedział z żalem.

– Spróbujemy znaleźć coś, co ma OC, AC i długie lata przed sobą? – zaproponowałam rozsądnie.

Wysiadł zawiedziony. Kwadrans później mieliśmy pod opieką XC60. Jeśli spadniemy z urwiska na jednej z pokręconych dróg Rogalandu, przynajmniej umrzemy, ciesząc się klimatyzacją i skórzanymi siedzeniami. Chwalmy małe szczęścia.

Rozdział 15

Miałam chyba trzynaście lat, kiedy na krótki czas wylądowałam w szkole z internatem, bo Irena miała jakąś dużą robotę. Prawie udało mi się zaliczyć semestr podstawówki.

Na jednej z lekcji nauczycielka zapytała nas, kim chcemy być, gdy dorośniemy. Siedziałam cicho, w ostatniej ławce, słuchając odpowiedzi.

Usiłowałam w duchu odpowiedzieć na poszerzoną wersję tego pytania: „Kim chciałabyś być, jak dorośniesz, gdybyś nie była tym, kim jesteś?”. Od kilku już lat robiłam za przynętę i wsparcie dla Ireny podczas akcji. Gdybym nie była trenowana na morderczynię, kim chciałabym być? Nie wiedziałam. Nie zostałam przez nauczycielkę wezwana do odpowiedzi, umiałam nieźle schodzić z oczu. Nie musiałam dzielić upokarzającego milczenia z klasą, która i bez tego widziała we mnie dziwadło.

Przez kilka kolejnych dni wracałam myślami do tego pytania. Moje życie było bardzo ograniczone. Miałam skromne doświadczenie i wiedziałam o tym. Kiedy moi rówieśnicy opowiadali o rodzinnych wakacjach, imprezach, zwierzakach, rowerach, Atari, ciuchach, kosmetykach, odkładaniu kieszonkowego na bilety na koncert, randkach w kinie i szkolnych dyskotekach, patrzyłam na nich, jakby mówili o podboju kosmosu i pierwszych krokach na Księżycu. Choć nawet nie – o lądowaniu na Księżycu wiedziałam sporo, bo widziałam poświęcony mu program popularnonaukowy. Nie było programów popularnonaukowych o życiu nastolatków. A ja o relacjach międzyludzkich dowiadywałam się wyłącznie z telewizji, którą oglądałam w wynajętych norach i pokojach hotelowych.

I w końcu wymyśliłam. Gdybym, kiedy dorosnę, mogła być kimkolwiek, chciałabym być jedną z tych osób, które mają swój program na kanale Travel & Living, jeżdżą po świecie, testują luksusowe hotele (w których gwiazdki to coś więcej niż oznaczenie przy dodatkowo płatnych kanałach erotycznych na kablówce), zwiedzają atrakcje turystyczne, jedzą potrawy, które wyglądają jak małe dzieła sztuki, i przez większość roku chodzą w japonkach po złotych plażach. Nie miałam pojęcia, jak się zostaje kimś

takim. Czy ci ludzie mają swojego pośrednika, jak mordercy na zlecenie? Mogłabym zabić dla takiej roboty, co właściwie dowodziło, w czym leży mój problem – naprawdę mogłabym to zrobić, choć nie miałam nawet piętnastu lat.

Te programy mnie fascynowały, uwodziły, przykuwały do ekranu. Całonocne powtórki były jak uczta z niedostępnego mi świata. Pokazywały drugie, magiczne oblicze rzeczywistości. Znałam wiele z tych miast, które pojawiały się w programach. Paryż, Berlin, Londyn, Moskwa, Madryt, Sztokholm… Mieszkałam w wielu z nich. A jednak nie widziałam tych ślicznych widoczków, muzeów, restauracji, parków, przyzamkowych ogrodów czy oświetlonych reflektorkami mostów i fontann.

Irena miała prawdziwy talent do wynajdywania nor. Nawet w Wersalu wylądowałyśmy w schowku na miotły ze szczurami wciągającymi trutkę jak kokę. To na swój sposób gwarantowało mi jakąś ciągłość. Mogłam zapomnieć o tym, że znów się przeprowadziłyśmy, bo przecież w poprzednim mieszkaniu też była spuchnięta grzybem tapeta w sypialni, a w łazience kafelki także obrastała czarna pleśń. Podłe dzielnice i ich mieszkańcy nie różnią się szczególnie, niezależnie, czy chodzi o Londyn, czy Monachium. Bieda, wysoka przestępczość i brzydota są uniwersalne. I nikt nie zadaje pytań, jeśli umiesz się wtopić. A Irena umiała.

Dopiero od niedawna wiem, że choć też to potrafię, nie zawsze chcę. Mój dom nie jest kolejną śmierdzącą desperacją norą. Owszem, mam norowate kryjówki, ale mam też coś podejrzanie zbliżonego do własnej przestrzeni do życia. Mam nawet narzutę na łóżku i kolorowe poduszki na kanapie. Ładne rzeczy. Mój świat też jest ładniejszy, niż kiedy miałam piętnaście lat. Pewnie, pracuję dla Zakonu, zabijam i pacyfikuję, ale mam też Dzielnicę Cudów.

A teraz byłam w olśniewająco pięknej Norwegii. Nie przelotem, na kilka godzin, by kogoś zabić, czy na kilka dni, by kogoś chronić. Byłam tu chyba po raz piąty, ale wcześniej nie widziałam właściwie nic poza bezpiecznym domem, siedzibą Zakonu w Oslo i posiadłością Larsa Amundsena.

O tym właśnie myślałam przez pierwszą godzinę jazdy drogą E134. Robin prowadził, więc mogłam wygodnie się rozłożyć, zdjąć buty, a bose stopy oprzeć na desce rozdzielczej. Pozwalałam się uwodzić norweskiemu krajobrazowi, pierwotnym kontrastom błękitu, zieleni i skał. Dzień zrobił się krótszy, ale wciąż daleko było do tego momentu w roku, kiedy słońce jest rzadkim i wyczekiwanym gościem. Temperatura dobijała osiemnastu

stopni. Podobałoby mi się tu pewnie i zimą, ze śniegiem i ciemnością, ale potrafiłam docenić przewrotność pogodowych znaków – może i niepokoiły, jako ostrzeżenie, ale czyniły tę podróż dużo przyjemniejszą.

Robin pomógł mi się przebrać w czystą koszulkę jeszcze w łazience przy wypożyczalni samochodów. Postawił warunek: pomoże mi, jeśli na czas podróży założę temblak i pozwolę kościom goić się w komfortowych warunkach. Wykłócałam się dla zasady, a potem pozwoliłam mu na chwilę triumfu. Zastrzegłam jednak, że gdyby pojawiły się kłopoty, temblak znika.

Zatrzymaliśmy się przy aptece, gdzie uzupełniłam zapas opatrunków i zapytałam o chustę trójkątną na temblak. Nic z tego – byliśmy przecież w Norwegii, gdzie taki gadżet nawet w prowincjonalnej aptece uchodził za prymitywny. Zamiast takich przestarzałych rozwiązań mieli tam specjalistyczne, wyprofilowane, nowoczesne cuda rehabilitacji. Aptekarka wyciągnęła centymetr i dobrała odpowiedni rozmiar. W ten oto sposób stałam się dumną posiadaczką intensywnie różowej ortezy obojczyka i barku. Ramię, zgięte w łokciu, nie tylko uwieszone było na szyi, ale i dodatkowym pasem przypięte do tułowia. Jeszcze inny pas usztywniał bark i wspierał obojczyk. Całe to ustrojstwo podejrzanie przypominało kaftan bezpieczeństwa i wiedziałam, że w razie ataku nie mam szans szybko się uwolnić. Czy w ogóle dałabym radę to zrobić w pojedynkę, bez użycia noża – śmiałam wątpić.

A jednak w chwili, kiedy uprzejma aptekarka i uparty Robin założyli mi tę wściekle różową ortezę, poczułam ogromną ulgę. Oczywiście trochę marudziłam, by mój partner nie myślał, że zamierzam się godzić na każdy jego pomysł. Wciąż się docieraliśmy i to byłby bardzo niewychowawczy przekaz.

Robin lepiej sobie radził z nowym volvo niż z moim poobijanym i przyciężkim dżipem. Prowadził gładko, bez szarpania, przyspieszania i zwalniania, czego nie lubiłam. I bez tego mój żołądek nie był w stanie pojąć, dlaczego właściwie nie siedzę za kierownicą, a perspektywa jest jakaś taka dziwna. Robin przypomniał mi rzekomo przestrzeganą przeze mnie zasadę, że to kierowca wybiera muzykę. Jak na faceta z dziurawą pamięcią potrafi być w cholerę pamiętliwy, pomyślałam, kiedy z głośników popłynęły dźwięki Bacha. Nie wybrałabym takiej ścieżki dźwiękowej, ale nawet ona okazała się jedną z rzeczy składających się na zaskakująco udany dzień.

Zresztą zrobiło się jeszcze dziwniej, gdy mój partner włączył audiobooka Jo Nesbø w języku norweskim. Zapytałam, czy zna go wystarczająco biegle, by zrozumieć niuanse. Zdziwił się, że to po norwesku. Najwyraźniej palec mu się omsknął, gdy kupował online. Ale rozumiał bez problemu, więc nie zauważył. Dziwak, który nawet nie wiedział, jak bardzo jest dziwny. Wśród magicznych łatwość przyswajania nowych języków stanowiła częsty dar, jednak większość z nas zdawała sobie sprawę, że sięga po inny język. Co kazało mi się zastanowić, jaki właściwie był jego język ojczysty. Po polsku mówił doskonale, bez cienia akcentu. Wyglądało na to, że po norwesku również. Czy rozpoznałby swój język ojczysty, gdyby go usłyszał? To byłoby niezłą wskazówką. Zanotowałam sobie w pamięci, że trzeba by to sprawdzić, gdy wrócimy do domu.

Choć samochód miał perfekcyjnie sprawną klimatyzację, uchyliłam okno, by poczuć na twarzy ruch powietrza, zapach, energię miejsc, przez które przepływaliśmy bez pośpiechu, by nie przyciągać uwagi lokalnych stróżów prawa drogowego. Gdy jedziesz naprawdę szybko, wszystko, co mijasz za oknem, zlewa się w szum, a ja chciałam doświadczać i chłonąć.

Zajęło mi kilkanaście minut zrozumienie, że to coś, co we mnie narasta i drży, to nie przeczucie nadchodzącej katastrofy, ale swego rodzaju ekscytacja i chyba nawet odprężenie. Może dzięki ortezie, która zminimalizowała ból, ale też obejmowała mnie ciasno jak czyjeś ramiona, rozluźniłam wiecznie napięte mięśnie między łopatkami.

Jadąc przez malutkie miasteczko, śliczne jak z programu podróżniczego, po obejrzeniu którego natychmiast sprawdzasz ceny połączeń lotniczych, czułam się trochę tak, jakbym spełniała marzenie małej dziewczynki. Drżenie w środku narastało z każdą minutą i zasłoniłam usta ręką, gdy zdałam sobie sprawę, że rozciągają się w uśmiechu. Wygląda na to, że byłam… szczęśliwa? A niech mnie, jeśli to nie było warte tych wszystkich perturbacji!

Kusiło mnie, by wyjąć puszkę dezodorantu, która udawałaby mikrofon, opowiadać przed wyimaginowaną kamerą o miejscach godnych zobaczenia, o glonach zabarwiających wodę w fiordach na surrealistycznie turkusowy odcień, o skrzynkach pocztowych powieszonych na pomalowanym na biało rowerze pełniącym funkcję dekoracyjnego stojaka, o kaskadach fioletowych dzwoneczków wylewających się z donic na tarasach i o błękitnych kiściach hortensji okalających furtki do domków jak z obrazka.

Zamiast popędzać Robina zaproponowałam postój przy małej piekarni, gdzie kupiłam po dwie z każdego rodzaju bułeczek. A Skandynawowie naprawdę mają fioła na punkcie bułeczek. Słodkie, słone, z rodzynkami, z cynamonem, z solą morską, z kawałkami czekolady, puchate kule i splecione ślimaki, z lukrowanym wierzchem i z cukrem pudrem, z orzechami pekan i tęczową posypką. Wiem, bo zjadłam wszystkie i siedziałam w fotelu samochodowym jak pękaty Budda na cukrowym haju.

Robin przezornie schował swoje bułeczki w kieszeni drzwi po jego stronie, poza zasięgiem mojej ręki, ale co chwilę zerkał na mnie i się uśmiechał, zapewne myśląc, że robi to bardzo dyskretnie. Nawet nie chciało mi się pacnąć go w głowę. Byłam tak spokojna, że zaczęłam się zastanawiać, czy nie dodał mi czegoś do kawy. Ale tym też nie potrafiłam się specjalnie przejąć.

Chłonęłam tę całą normalność i małomiasteczkową urodę, która za sprawą seriali kojarzyła mi się z bezpieczeństwem. To było surrealistyczne doświadczenie. Być może dla zrównoważenia bólu i adrenaliny mój organizm ruszył z serotoniną na całego, bo czułam się lekka jak piórko i niewiele brakowało, a zaczęłabym chichotać i machać do koźlątek podskubujących siatkę oddzielającą pastwiska od jezdni.

Zatrzymaliśmy się jeszcze raz czy dwa, by zjeść, napić się gorącej kawy i zatankować – przestrzegałam zasady, że pół baku zawsze musi być pełne, bo gdybyśmy musieli uciekać, bandziory raczej nie będą czekać, aż uzupełnimy zapasy paliwa.

Przysnęłam, ale Ture się nie pojawił. Nagle uznał, że musi się trzymać na dystans, by uszanować moją przestrzeń osobistą. Dureń. Po ojcu. Wiele dało się powiedzieć o Irenie, ale nie to, że była głupia. Chyba że za ostateczny przejaw jej niepełnosprawności intelektualnej uznamy, że okłamywała mnie przez całe moje życie. Choć czas pokaże – z jej perspektywy to byłaby głupota tylko wówczas, gdyby zdołało ją to ugryźć w dupę, a nie wiedziałam, czy mam dość siły, by faktycznie zamierzyć się na nią z uzębieniem.

Kilometry zbyt szybko uciekały spod kół. Norwegia to kraj za duży i za mały jednocześnie. Za duży, bo mogłabym już wiedzieć. Za mały, bo bałam się jak cholera tego, czego się dowiem. Być może nie byłam aż tak zrelaksowana, jak mi się wydawało.

Gdy minęliśmy Etne, a droga przeszła w wąziutką serpentynę szerokości jednopasmówki, ze ścianą fiordu po prawej i urwiskiem zbiegającym do

zatoki po lewej, wiedziałam, że jesteśmy już naprawdę blisko. Podniosłam oparcie fotela i zaczęłam się wyplątywać z ortezy. Spędziłam w niej ponad cztery godziny, wciąż za mało, by kość się zrosła, ale bolało mniej, o ile trzymałam rękę blisko ciała. Poza tym czasami warunkiem przetrwania jest odpowiednia reputacja, a różowiutka orteza nie wpływała najlepiej na moją.

Gdyby przyszło mi tu zginąć, trudno o piękniejszą scenerię. Zdarzało mi się dostać kosę pod żebra w brudnych i śmierdzących zaułkach, krwawić na obskurne podłogi starych fabryk, z trudem łapać powietrze obitymi płucami w zarośniętych dziką magią ostępach. Za każdym razem powtarzałam sobie: no chyba, kurwa, żartujecie, że mam wyzionąć ducha w tym gównie! Norwegia mogła być moim słabym punktem. Gdybym leżała na poboczu, z widokiem na zielonkawe, meandryczne fiordy, bogowie mi świadkami, że mogłabym się pogodzić z tym, że mój czas nadszedł, a stało się to, ponieważ całe to piękno ogłupiło mi duszę wychowaną na brzydocie i brudzie. Mogłabym uznać, że właściwie nie ma sensu walczyć, skoro już trafiłam do Valhalli. Pan B. wydawał się o tym przekonany, bo zachowywał się, tak jakby dostał solidną dawkę valium. Może dlatego i ja mogłam być przez dłuższą chwilę spokojna jak buddyjski mnich. Zapewne powinnam sobie sprawić płytę z relaksacyjnym szumem Morza Północnego, wrzaskiem mew i wiatrem świszczącym między skałami i sosnami. Dla Pana B. to mogły być dźwięki, które znał od kołyski. Właściwie czyż oboje nie słyszeliśmy ich w kołysce? O ile Irena nie kłamała, mówiąc, że urodziłam się właśnie w tych okolicach.

Robiło się bardziej sielsko. Więcej niebieskiego i zielonego, więcej owiec i kóz, więcej domków jak z bajki, z oknami na całą ścianę frontową, tak by fiord zaglądał do środka.

Robin szybko załapał specyfikę jazdy po wąziutkiej E29. Co jakiś czas przystawaliśmy w rozmieszczonych co kilkadziesiąt metrów zatoczkach, by przepuścić kierowcę jadącego z naprzeciwka, czasami to dla nas ktoś cofał do zatoczki. Była w tym jakaś rytmiczność i niepisana zgoda, a ja z każdą zatoczką czułam, że mój żołądek robi się coraz cięższy. I nie mogłam tego zwalić na hot doga i lody na ostatniej stacji benzynowej.

– Nie obgryzaj paznokci – powiedział Robin i pacnął mnie po ręce, bo faktycznie obgryzałam.

Dziwne, nigdy tego nie robiłam. Potrafiłam dwa dni przeleżeć na dachu, czekając na idealny moment do strzału, i nawet nie pomyślałam, by rozładować napięcie w ten sposób. Ale może nigdy dotąd nie bałam się aż

tak? Do dziś każde zagrożenie było fizyczne, a ja dawałam sobie radę z fizycznym zagrożeniem. Kilka kulek czy dobre pchnięcie karambitem załatwiało sprawę. Lecz tym razem to nie moje ciało było zagrożone, a cała reszta.

– Cokolwiek się zdarzy, lepiej wiedzieć – powiedział Robin, nie odrywając oczu od drogi. – Zaufaj mi, lepiej wiedzieć.

Przytaknęłam, choć nie byłam tego taka pewna. Jakiś cichy głosik we mnie, brzmiący zupełnie jak kilkuletnia ja, mówił mi, że w szafie kryją się potwory i mamusia będzie się gniewać. Starsza ja odpowiadała, że może dojrzałam do tego, by gniew matki nie był najgorszym, co może mnie spotkać.

*

Nie wiem, czego się spodziewałam, ale gdy GPS oświadczył, że jesteśmy na miejscu, byłam zaskoczona. Staliśmy przed zwyczajną metalową bramą, zza której wychylały się zielone kępy drzewek. Podwórze leżało na zboczu pagórka, na którego szczycie stał niewielki domek. Miał szary dach z łupków ułożonych we wzór rybiej łuski, bladożółte ściany i okiennice w tym charakterystycznym odcieniu szwedzkiej czerwieni. Powinno się to ze sobą gryźć, a jednak wyglądało dobrze.

Nawet z odległości kilkunastu metrów czułam moc tego domostwa. To nie był zwyczajny budynek – przejście przez próg bez zaproszenia zabolałoby i utrudniło korzystanie z magii.

Robin zaparkował na podjeździe, jednym kołem niebezpiecznie blisko rowu melioracyjnego, wyskoczył na zewnątrz i zaczął się energicznie przeciągać, zupełnie jakby spędził ostatnie godziny w trumnie, a nie w komfortowym samochodzie.

– Wchodzimy? – zapytał, nie kryjąc ekscytacji.

Z trudem powstrzymywałam panikę.

– Czekamy. Osłony są dość mocne, by nam skopać tyłki – powiedziałam cicho.

Na bogów kosmatych, ucisk w piersi i gardle utrudniał oddychanie i był bardziej uciążliwy od pulsowania w połamanym obojczyku.

Gospodarz odczekał prawie pół godziny, nim wreszcie zrozumiał, że nie odjedziemy. Czułam na sobie jego spojrzenie, jego obecność była równie przytłaczająca jak wypiętrzenie skał i las za domem. Nie wiedziałam, kim –

lub czym – był, ale nie miałam wątpliwości, że stał tam, za firanką, w oknie małego domku, i wystawiał naszą cierp-
liwość na próbę. Wreszcie wyszedł na ganek i powolutku zaczął schodzić do nas żwirową ścieżką, zbyt stromą, by dał sobie z nią radę samochód bez napędu na cztery koła.

Był postawny i sędziwy, choć lata jeszcze nie przygięły go do ziemi i nie pozbawiły krzepy, którą emanował. Spod jego grubej kurtki wystawały liczne warstwy bawełny, flaneli i wełny. Przydługie, rozczochrane włosy i płożąca się na szerokiej piersi, gęsto przetykana siwizną broda nadawały mu nieco niechlujny wygląd. We współczesnym świecie pierwszym skojarzeniem nie był już kloszard, a hipster czy model prezentujący kolekcję inspirowaną ubiorem starych rybaków. Takie czasy.

Szedł niespieszne, sadząc wielkie kroki, a podeszwy jego gumiaków chrzęściły o żwir. Był już zaledwie kilka metrów od bramy, a ja wciąż nie wiedziałam, czym jest, czułam tylko napierającą na mnie obecność pradawnej magii. Nie agresywnej, a jednak takiej, z którą trzeba się liczyć.

– Czego chcecie? – zapytał niezbyt przyjaźnie, pozostając po swojej stronie ogrodzenia.

– Nazywam się Nikita, to jest Robin – przedstawiłam się grzecznie, by nie zaczynać od złego wrażenia. – Szukamy kogoś. Iben Huldermann, Akuszer Bogów, brzmi znajomo? – zapytałam, nie zsuwając tyłka z maski samochodu. Mieliśmy oczy na podobnej wysokości i nie musiałam zadzierać głowy. Mierzył dobrze ponad metr dziewięćdziesiąt.

– Poplątałaś wszystko, panienko. Kto to słyszał, by akuszerką był facet? – Zaśmiał się niezbyt przekonująco. – Iben to imię uniwersalne, dla kobiet i mężczyzn brzmi jednako. Szukasz pewnie mojej żony, choć nie wiem po co, bo nie wyglądasz, jakbyś była przy nadziei – dodał, obrzucając wymownym spojrzeniem mój zbyt płaski na taką wymówkę brzuch.

Owszem, wiedziałam, że miał rację. Oba imiona, Iben i Torgny, nie zdradzały płci i nadawano je zarówno chłopcom, jak i dziewczynkom. Ale to, że nie kłamał, nie znaczyło, że mówił prawdę. Ufałam danym Kosmy bardziej niż jemu.

– Nie jestem w ciąży. Ale kiedyś byłam noworodkiem i podobno wtedy spotkałam się z Akuszerem – powiedziałam, konsekwentnie używając męskiej formy.

Kosma był przekonany, że chodziło o Akuszera Bogów, nie Akuszerkę. Owszem, w starych tekstach nordyckich nie ma deklinacji i końcówek

fleksyjnych, ale kontekst opowieści był dość oczywisty, a płeć Akuszera podkreślona właśnie ze względu na tę niezwykłość, że to mężczyzna odbierał poród.

Nasz gospodarz kłamał, ale miał do tego prawo. Nie wiedział, kim jesteśmy ani czego chcemy. Dwoje na jednego, jego ostrożność była uzasadniona. Przez chwilę patrzył na mnie bez wyrazu.

– Była nas dwójka. Erynia i Erwin, dzieci Ernsta i Ireny. Moją matkę mogłeś znać jako Lilianę. Może to odświeży ci pamięć?

– Może i odświeża. Będziesz musiała na nią poczekać, a sama ci o wszystkim opowie.

– Nie ma jej w domu?

– Nie ma. Jest huldrą.

Tym razem to słowo brzmiało inaczej, nie jak nazwisko, ale jak określenie gatunku. Kosma mi o tym wspominał, ale nie przywiązywałam do tego wagi, bo założyłam, że wystarczy, jeśli odnajdę Ibena. On tymczasem zapewnił sobie odroczenie rozmowy, dopóki nie zjawi się jego żona. Sęk w tym, że pewnie więcej czasu spędzała w górach niż w domu.

Huldry wiązały się z mężczyznami, zakładały rodziny, ale rzadko potrafiły wytrwać w tej relacji. Pod pewnymi względami przypominały celtyckie selkie, lecz tęsknota do gór i lasów wyciągała je z domowych pieleszy.

– Czy wiesz, kiedy wróci? – zapytałam.

– Dzień, dwa? Poszła z chłopcami na dalsze pastwiska spędzić owce przed zimą.

Przygnębiona kiwnęłam głową. Wiedziałam, że to nie jej potrzebuję i nie ona ma odpowiedzi, ale intuicja podpowiadała mi, by nie naciskać, bo z tym mężczyzną siłą czy agresją nic nie wskóram.

– Możesz zostać i poczekać – dodał nieoczekiwanie. – On nie – skinął na Robina – ma obcą magię, nie znam jej i nie rozumiem, nie chcę jej w moim domu. Ale ty pachniesz znajomo. On może się zatrzymać w domu zgromadzeń, mijaliście go, jest tuż przed ostatnim zakrętem. Duży, czarny z czerwonymi okiennicami. To miejsce spotkań gminy, są tam też dwa pokoje gościnne. Albo może jechać dalej, do Skåneviku jest tylko kilka kilometrów. Tam na pewno znajdzie wygodny pokój.

– Zostanę w domu zgromadzeń, bliżej – powiedział Robin. Niczego takiego nie uzgadnialiśmy, ale musiał wyczuć, co się dzieje.

– Zatrzymamy się tam razem. Przyjdę, gdy będzie już huldra.

Nie czułabym się komfortowo, gdybym wciąż ranna i z niesprawną ręką została sam na sam z magicznym na jego terytorium. To było jak przepis na katastrofę i ciężkie obrażenia ciała.

– Szukasz prawdy, panienko? Naprawdę myślisz, że znajdziesz ją z daleka? Poliżesz przez szybkę jak ciastka w cukierni? – drwił.

Skrzywiłam się. Wiedział więcej, niż myślałam. I właśnie ustalał warunki. Zdawałam sobie sprawę, że jeśli im się nie podporządkuję, mogę wsiąść w samochód i wracać do domu.

– Będziesz moim gościem – dodał. To zmieniało wiele.

– Dobrze. Zostanę.

– Pewnie, że zostaniesz – burknął.

Odwrócił się bez zbędnych słów i zaczął wspinać do domu.

– Jesteś tego pewna? – zapytał Robin cicho. – On jest przerażający. I stanowczo jest czymś rogatym.

Tego nie wiedziałam. Poszukałam w pamięci rogatego stworzenia wśród nordyckiej magicznej fauny, ale nic nie przychodziło mi na myśl.

– Muszę wiedzieć, Robinie. Jeśli chce się najpierw pobawić w ciuciubabkę, trudno, będę klaskać i biegać, jak długo będzie trzeba. Zaprosił mnie do domu, nie zrobi mi krzywdy. Wiesz, jak działa prawo gościny.

Robin przytaknął, ale wciąż nie wyglądał na zachwyconego.

– Będę w odwodzie. Pod telefonem. I będę miał na was oko. Nie podoba mi się to wszystko.

Mnie też się nie podobało. Ale jeszcze mniej mi się podobała perspektywa dalszego tkwienia w pajęczynie usnutej przez Irenę. Z sakwami w prawej dłoni, wciąż oszczędzając lewą rękę, wkroczyłam na teren tego, który znał odpowiedzi. Jego magia przepuściła mnie przez furtkę, przyduszając moją aurę i niemal fizycznie nacis-
kając na moje poobijane ciało.

Pan B. warknął i na chwilę zalały mnie niechciane wrażenia: wściekłość, gorąco, pulsowanie krwi w skroniach. Ktoś tu kogoś szarpie za ogon, pomyślałam. Nie zamierzałam reagować. Wciągnęłam powietrze przez nos i wypuściłam ustami, przywołując w myślach moje spokojne miejsce – komorę wyłożoną jesionowymi panelami. Przywołałam miękką ciszę, którą czułam, kiedy Robin w jakiś sposób cofał zmiany. Pomyślałam o Kosmie. O Zeldzie. O Alicji, jej nie całkiem normalnej córeczce. O Aleksie. O wielkiej porcji spaghetti z podwójnymi klopsikami i gęstym sosem

pomidorowym, pachnącym czosnkiem i bazylią. Pomyślałam o tym, co sprawia, że się uśmiecham. I Pan B. wycofał się bez walki. Nacisk, gorąco i pulsowanie w skroniach ustąpiły. Mogłam zrobić krok do przodu, bez wrażenia, że coś obdziera mi kości z mięsa.

Magia tego domostwa była silna, budowana przez stulecia. I intuicyjnie czułam, że gospodarz albo spodziewał się konkretnie mnie, albo takich jak ja, bo w zaklęciu przy bramie było coś wymierzonego w mój typ magii.

– Pośpiesz się, dziewczyno, nie mamy całego dnia – krzyknął na mnie, stojąc na ganku.

Rozdział 16

Odkąd weszliśmy, nie zwracał na mnie szczególnej uwagi. Zawiesił kurtkę na kołku w sieni, ale nie zdjął kaloszy. Nie odezwał się słowem. Przez chwilę stałam z sakwami w garści, zastanawiając się, co mam robić, skoro on rozsiadł się na fotelu na wprost panoramicznego okna z widokiem na ciemny fiord i zamglony horyzont i wrócił do lektury książki, którą najpewniej przerwał mu nasz przyjazd. Saga o ludziach lodu. Litości, moje życie sięgnęło po stare klisze i bawiło się w popkulturowe nawiązania.

Zapadał już zmrok. Albo zbierało się na burzę. To wciąż nie był ten czas w roku, kiedy słońce w tej części Norwegii jest przelotnym luksusem. Usiadłam na rozłożystej kanapie przykrytej wełnianym kocem. Twarda poduszka uwierała mnie w plecy. Gdybym kiedykolwiek trafiła do cioci na imieniny, czułabym się właśnie tak. Choć na imprezie imieninowej zapewne doszłoby do jakiejś konfrontacji, tymczasem Iben mnie po prostu ignorował. Bez odrywania wzroku od liter, co jakiś czas macał blat stojącego po jego lewej stolika, aż palce natrafiały na metalowy kubek pachnący kawą, unosiły go do ukrytych za książką ust, a potem odstawiały z powrotem. Na kubku widniała złota myśl: „Trolle są beznadziejne w karaoke”.

Po półgodzinie ściągnęłam kurtkę, prawie nie krzywiąc się z bólu. Nie wiem, jak on wytrzymywał w siedmiu koszulach, swetrze i kamizelce – tak, policzyłam wystające warstwy odzieży. Sprawdziłam komórkę tylko po to, by się przekonać, że nie ma zasięgu. Ułożyłam ramię na żebrach, w pozycji zbliżonej do tej, jaką wymuszała orteza. I nudziłam się cholernie. Potrafiłam czaić się w ciemności całymi dniami, ale wtedy miałam jakiś cel, wektor miał swoją strzałkę. Teraz nie miałam żadnych wskazówek. Byłam drżącą z niecierpliwości kropką lasera i nawet emeryckie bingo zaczęło mi się jawić jako diabelski młyn emocji i przygód.

Pokój, w którym siedzieliśmy, był przestronny i urządzony dość skromnie, więc nawet masywne meble, dopasowane do rozmiarów gospodarza, nie wydawały się przytłaczające. Były solidne, wykonane

z litego drewna, pokryte jasnym lakierem. Olejowana podłoga lśniła czystością. Tkaniny – zasłony, narzuta, poduszki czy obrus – tworzyły barwne plamy. Dominowały kolory oliwkowozielony, szarawy błękit i czerwień w odcieniu młodej jarzębiny. Było w tym wystroju coś organicznego, niedbałego, ale miłego dla oka. Nie szłam w interpretacji dość daleko, by nazywać to kobiecą ręką, bo przecież to Iben mógł tak urządzić swój dom.

W przedwieczornym zmierzchu ledwie widziałam wskazówki na tarczy zegara po drugiej stronie pomieszczenia, ale musiało być już dość późno, bo zaczęło mi burczeć w brzuchu. Pochłonięte po drodze bułeczki, hot dogi i kawa stały się już tylko wspomnieniem. Uświadomiłam sobie, że większość zapasów spożywczych, także suchy prowiant, zostawiłam w samochodzie. Jeśli Iben miał tak niestandardowe podejście do gościnności, jak właśnie okazywał, miałam mały problem. W Molnes, gdzie się znajdowaliśmy, nie było restauracji, barów szybkiej obsługi czy sklepu spożywczego. Najbliższe cywilizowane miejsce, Skånevik, znajdowało się godzinę drogi stąd. Wymacałam w torbie zapomniany i nieco zgnieciony batonik proteinowy i małą paczuszkę suszonej wołowiny. Nie miałam pewności, czy Iben się nie obrazi, kiedy je wyciągnę i zacznę jeść. Z drugiej strony jeśli nie przeszkadzało mu, że moje kiszki zaczynają odgrywać wakacyjne szlagiery ostatniego dwudziestolecia, to czy mógł mieć do mnie pretensje, gdy próbowałam zaspokoić głód?

Nagle odłożył książkę, którą najwyraźniej właśnie skończył, bo nie zaznaczył strony zakładką.

– Co to za dźwięki, panienko? – zapytał gburowato.

Przycisnęłam dłoń do brzucha, który postanowił mnie zawstydzić naśladowaniem wygłodniałego niedźwiadka nawołującego matkę.

– Tak jakby moje kiszki – powiedziałam, a policzki rozgrzały mi się nieoczekiwaną falą ciepła.

– Coś tam siedzi? – spytał całkiem poważnie.

– To chyba to, co ludzie nazywają głodem.

– Czyli to brak jedzenia, nic innego? – upewnił się.

– Nic się tam nie wykluwa, jeśli o to pytasz.

– Zawsze lepiej wiedzieć – mruknął i wstał z ociąganiem.

O bogowie, może nawet zamierzał mnie czymś poczęstować!

Niestety, skierował się na taras. Chyba nie miałam na co liczyć.

Zarzucił na plecy kurtkę i cofnął się do pokoju tylko po to, by powiedzieć:

– Na co czekasz, panienko? Kolacja się sama nie złowi!

O tym, co mnie czeka, zorientowałam się, spostrzegłszy, że ze skrzyni na tarasie Iben zabiera wędki i plastikowe wiaderko z przynętą. Nie oglądał się, nie sprawdzał, czy za nim idę.

Szliśmy kawałek ulicą, po czym skręciliśmy w żwirową ścieżkę, stromo biegnącą między domkami letniskowymi do przystani. Reda w kształcie litery U była zbudowana z betonowych płyt, zakotwiczonych na słupach wmurowanych w dno, amortyzowanych grubymi sznurami i zużytymi oponami samochodowymi. W zacisznej zatoczce kołysały się zacumowane małe łodzie motorowe. Na szczęście Iben nie przejawiał zainteresowania nimi i nie planował wypływać w morze.

Szedł ku na najdalej wysuniętemu krańcowi przystani. Jego kroki odbijały się głuchym echem, a stalowa kratownica spajająca dwie płyty skrzypiała pod jego ciężkimi stopami. Cała konstrukcja pomostu unosiła się i opadała, kołysana uderzającymi o skaliste urwisko falami. Musiało tu być znacznie głębiej, niż bym chciała, jeśli Iben postanowiłby zrzucić mnie z pomostu. Opuściliśmy dom, więc prawo ochrony na podstawie gościny przestało obowiązywać.

Na szczęście dla mnie nie przejmował się mną specjalnie. Zamiast mnie topić postawił wiadro na betonowym pomoście i zaczął rozplątywać żyłki wędek. Morze było niespokojne, zacumowane łodzie podskakiwały jak spławiki. Wiatr śpiewał w zwojach lin i łańcuchów. Zapięłam kurtkę po szyję, bo zimne i wilgotne powietrze zabierało każdą uncję ciepła z mojego ciała. W ostatnich godzinach temperatura musiała spaść o co najmniej dziesięć stopni.

– Jesz, co złowisz – powiedział sucho i podał mi jedną z wędek. – Przynęta czy błystek, jak wolisz.

Zamrugałam, ale odruchowo przejęłam wędkę. Nigdy nie łowiłam ryb. Owszem, przeszłam szkołę przetrwania, gdy matka sprawdzała, czy sobie poradzę bez pieniędzy i pomocy, ale to była miejska szkoła przetrwania. Mogłam kogoś okraść, przekonać, by mnie nakarmił, zarobić i legalnie kupić sobie kolację albo odnaleźć jeden ze schowków, w których miałyśmy poukrywaną kasę i dokumenty – cokolwiek. Wszystkie chwyty dozwolone, bylebym przeżyła. Ale nigdy nie zapuszczałyśmy się w dzicz. Irena nie znosiła prowincji. Miasta dawały jej posmak władzy i pieniędzy.

Zacisnęłam palce na wędce i przez chwilę po prostu obserwowałam Akuszera, próbując podpatrzeć, jak się to robi. Mogłam nie przełączać programu na Discovery o facetach łowiących łososie. Wtedy spinning przegrał z programem kulinarnym – łowienie ryb było dla mnie mniej atrakcyjne od pieczenia ciast. Teraz więc, choć pamiętałam, jak się nadziewa eklerki kremem budyniowym, nie miałam pojęcia o łowieniu.

Czy tu w ogóle były jakieś ryby? Może Iben mnie wkręcał? Przechyliłam się ostrożnie nad krawędzią pomostu, nieograniczoną od strony morza żadną barierką. W pociemniałej wodzie mignął mi spory srebrno-czarny kształt, a po chwili zamajaczyła przejrzysta sylwetka meduzy o długich, wijących się jak koronkowe wstążki parzydełkach.

Akuszer zarzucił wędkę i żyłka poszybowała z głośnym świstem, jakby miała własny napęd, po czym chlupnęła w jakiejś obłędnej odległości od pomostu. Stał bez ruchu, wreszcie zaczął zwijać żyłkę kołowrotkiem, rytmicznie i gładko. Doprowadzenie błystki w okolice pomostu i wyciągnięcie pustego haczyka zajęło mu kilka minut. Znów zarzucił i cały rytuał zaczął się od nowa. Na bóstwa kosmate, to nie wygląda na coś bardzo trudnego, pomyślałam i ustawiłam się z wędką w lekkim rozkroku. Przekręciłam nią, tak by haczyk i błystka swobodnie zwisały, i rzuciłam. Zrobiły płaski łuk i zanurzyły się haniebnie blisko pomostu. Być może Akuszer rzucił urok na swój haczyk, bo ten mały diabeł szybował w powietrzu jak rakieta. Wzdychając ciężko, kręciłam kołowrotkiem, czując, że moje szanse na złowienie czegokolwiek są bliskie zeru.

Kiszki skręcały mi się z głodu. Gdyby nie latarnie na pomoście, nie widziałabym już Akuszera stojącego kilka metrów dalej, na samym końcu pomostu. Opanowałam już nawet zarzucanie, gdy podpatrzyłam ruch nadgarstkiem, który wykonywał Iben, ale wciąż nie miałam szczęścia i raz za razem wyciągałam pusty haczyk. On złowił dwa pstrągi i byłam pewna, że się nie podzieli.

– Ciszej tam, ryby płoszysz – warknął, gdy znów zaburczało mi w brzuchu.

Odburknęłam mu coś mało uprzejmie, a on syknął na mnie jak dewotka w kościele na rozchichotaną pannę. Jedynym znanym mi sposobem na uciszenie głodnego brzucha jest napełnienie go. Rozważałam zadzwonienie do Robina. Coś mi mówiło, że poradziłby sobie z łowieniem ryb, albo poszedłby w las i wrócił z łosiem na plecach. Wiedziałam jednak, że to

jakiś test. I że im szybciej go przejdę, tym szybciej poznam prawdę, po którą przyjechałam.

Bez entuzjazmu zarzucałam wędkę raz za razem. Rybie rodziny pewnie traktowały to jak mecz tenisa. Słyszałam w głowie rybiego komentatora: „Pojawia się haczyk, błystka połyskuje tęczowo! Znika… A nie, już jest z powrotem. Proszę ryb, jakie emocje!”.

Może żadna nie była głodna, a może wszystkie były zbyt zdrowe psychicznie, by próbować samobójstwa, i zbyt bystre, by się nabrać na metaliczną przynętę.

– Taś, taś, cip, cip, chodź tu, pstrągu pyszniutki, mamusia da ci panierkę – mruczałam z desperacji i narastającego szaleństwa indukowanego głodem.

Ten sukinsyn wyciągnął właśnie makrelę dłuższą niż moje przedramię. Zaciskając zęby na krwistym przekleństwie, zarzuciłam raz jeszcze. Błystek bardzo profesjonalnie poszybował w ciemne niebo i plusnął w wodę. Po setnym powtórzeniu wychodziło mi to coraz lepiej. Gdyby jeszcze coś brało, byłaby euforia i szaleństwo stadionów.

Frustracja burczała w piersi do wtóru grających marsza głodowego kiszek. Nie tak to miało wyglądać. Nie wiem właściwie, jak miało, ale liczyłam raczej na scenkę w duchu Karate Kid, ze starym mistrzem objawiającym mi tajemnice mojego wszechświata. Do głowy by mi nie przyszło, że będę próbowała obudzić w sobie magię zaklinaczki ryb. Szturchałam mentalnie Pana B. – nawet jeśli nie miał pojęcia, jak złowić coś na kolację, to może powierciłby się troszkę i oddalił ryzyko, że zasnę oparta o wędzisko. Pewnie nawet przez sen nawijałabym żyłkę na kołowrotek.

Czułam się marudnie. Bolały mnie nogi, obojczyk też, bo przytrzymywał wędkę. Byłam głodna i senna. Jeszcze kilka minut i ciepnę tego badyla, pójdę do kwatery Robina i zjemy razem cały prowiant. O ile sam już go nie zjadł. Lepiej, by trzymał się z daleka od mojego zapasu czekolady z karmelem i solą morską…

– Masz branie – powiedział nagle Iben.

– Co mam?

Skinął głową na morze. Gdzieś tam, pośród fal, mój spławik energicznie podrygiwał. O bogowie rogaci i lepkie rozgwiazdy! Zaczęłam nawijać żyłkę, z każdym obrotem zbliżając się do triumfu. Już prawie czułam smak soczystego mięsa i zapach chrupiącej skórki pstrąga czy makreli!

Cokolwiek znajdowało się na końcu żyłki, walczyło, szarpało się, bawiło się ze mną w przeciąganie liny. Szanowałam wolę życia, ale byłam wygłodniała. W tym stanie napotkane na drodze dziecko nie byłoby ze mną całkiem bezpieczne.

Wyszarpnęłam rybę z wody i przez chwilę patrzyłam na to, co kołysało mi się na haczyku.

– Hm, co to jest właściwie? – zapytałam, bo ryba nie wyglądała jak cokolwiek, co kupiłam w przeszłości w sklepie rybnym.

– Zębacz pasiasty – odparł Iben, spoglądając na mnie spod zmrużonych powiek.

Wyglądał na podejrzliwego i zaskoczonego. Gdybym miała zgadywać, nie powinnam była jej złowić. Nie wiedziałam dlaczego. Tak to jest, gdy przystępujesz do mistycznego testu, ale nie masz pojęcia, co właściwie jest testowane i nie rozumiesz nic z klucza rozwiązań.

– Jest jadalna? – upewniłam się.

– Smaczna – przyznał, wciąż się we mnie wpatrując, jakby czekał, co będzie dalej.

Może zębacze miały w zwyczaju rzucać się na rybaków i stąd ta nazwa? Chwyciłam śliskie i kręcące się energicznie ciało. Cóż, moja ryba nie wygrałaby w konkursie piękności – przypominała skrzyżowanie węża morskiego i papugi, tyle że z zębami, które domagały się ortodonty i rosły w dziwnych miejscach. Górna płetwa niczym grzebień rozciągała się przez całą długość grzbietu, aż do niewielkiej płetwy ogonowej. Szaro-rdzawo-brązowe łuski połyskiwały szkliście, a czarne oczy znajdowały się dziwnie wysoko, więc choć z profilu wyglądała jeszcze w miarę normalnie, to widok pyska z przodu sprawił, że parsknęłam – blisko osadzone, tępawe oczy przywodziły na myśl lenonki leżące na kościanym nosie. To było dziwadło, ale w tym momencie nawet żabnica wyglądałaby atrakcyjnie. Moja zdobycz ważyła więcej niż dwa kilogramy i nadawała się do jedzenia – o ile oczywiście Iben mnie nie okłamał. Wyciągnęłam nóż i szybko wbiłam go stworowi w podstawę czaszki. Odkroiłam łeb i wrzuciłam go do wody, po czym rozcięłam brzuch i wyciągnęłam wnętrzności. Następnie pozbyłam się ostrych i twardych płetw. Z grzbietową, brzuszną i ogonową poszło łatwo, większego nacisku wymagały mocne płetwy boczne, ale nie było to nic, z czym nie poradziłby sobie karambit. Zapach krwi i wnętrzności kręcił mnie w nosie i choć wstyd

się przyznać, ślinka napłynęła mi do ust… Pan B. też chyba odczuwał lekką ekscytację, bo napierał mi na żebra, zwabiony świeżą posoką.

Klęcząc, pochyliłam się i sięgnęłam do wody, by wypłukać z krwi rękę i rybę. Trzymałam ją kurczowo – nie było mowy, bym pozwoliła posiłkowi się teraz wymknąć.

Akuszer wyciągnął z kieszeni i podał mi zmiętą reklamówkę. Włożyłam do niej zębacza i raz jeszcze się pochyliłam, by umyć ręce.

– Często to robisz? – zapytał, nagle rozmowny.

– Myję ręce? Staram się, zawsze po sikaniu, a poza tym różnie.

– Nie. Często zabijasz? – doprecyzował, wbijając we mnie spojrzenie równie mocno, jak w gardziel mojego zębacza wbił się haczyk.

– Dość regularnie. Taka praca – odparłam, bo jeśli miał tak potężną magię, jak sądziłam, przejrzenie mojej aury i śladów tego, co robię, nie pozostawało dla niego wyzwaniem.

– Przyjemność też?

– Raczej nie. Radość, gdy przelew wpływa bez przeszkód albo jest co zjeść na kolację. – Uniosłam siatkę.

Mruknął coś, czego nie dosłyszałam. Dźwignął wiadro ze swoimi wciąż nieoprawionymi rybami, zebrał wędki, także moją, po czym ruszył do brzegu. Poszłam za nim, ściskając reklamówkę z moim zębaczem.

Jeśli to był test, a raczej był, wciąż nie miałam pojęcia, czego dotyczył ani czy udało mi się go zdać.

*

Wracaliśmy inną drogą. Gdy znaleźliśmy się na ulicy, zamiast skręcić w prawo i pokonać jedynie siedemdziesiąt metrów dzielące nas od domu Akuszer przeciął jezdnię i zaczął się wspinać kolejną ścieżką. Taki urok wsi położonej na skalistym fiordzie – wszędzie było pod górkę albo z górki, nawet ulica, pozornie płaska, wybrzuszała się na skalnym podłożu.

Zawahałam się. Czy powinnam iść za nim, nie wiadomo gdzie? Czy też lepiej wrócić do jego domu i tam poczekać, o ile przepuści mnie magia furtki? Mogłabym znaleźć jakąś patelnię i dobrać się do ryby… Znów niemal poczułam zapach przygotowanego już posiłku. Mimo to ruszyłam śladem Ibena.

Nie oglądał się. Najwidoczniej założył, że tak właśnie zrobię. Albo miał na to wylane.

Szliśmy pięć, może siedem minut, aż do rozwidlenia ścieżki. Jedna nitka skręcała do rozłożystego białego domu z wielkim tarasem, położonego mniej więcej na podobnej wysokości co dom Akuszera. Stare szkło osadzone w oknach ze szprosami odbijało światło ogrodowych lamp w dziwny sposób, jakby zjadało po drodze część jasności.

Ktokolwiek tu mieszkał, władał magią równie starą jak fiordy. Włoski stanęły mi dęba na karku, gdy poczułam, że ktoś nas obserwuje zza tych dziwnych szybek z uwięzionymi w szkle pęcherzykami powietrza. Nagle zza uchylonych drzwi tarasowych wyskoczył, głośno ujadając, pies – wielki, ciemny, kudłaty. Przypadł do furtki i oszczekiwał nas z agresją wykidajły w podrzędnym klubie, gdy odmawiasz odpalenia pięćdziesiątki za samo wpuszczenie cię do knajpy, choć po prawdzie to on powinien odpalić ci pięćdziesiątkę za niepołamanie mu nóg. Pies skakał wysoko, aż jego łeb migał nad ogrodzeniem. Odruchowo położyłam dłoń na kolbie Inkwizycji, gdyby znalazł się nagle po drugiej stronie. Nie byłam za strzelaniem do zwierząt, ale gdyby chciał wziąć sobie na pamiątkę kawałek mojej nogi albo moją rybę, byłabym zmuszona się bronić.

– Cicho, Borgen – rzucił twardo Iben, a pies momentalnie ucichł. Ciekawe, kto i dlaczego nazwał swojego psa „zamek”.

Iben poszedł drugą odnogą ścieżki, biegnącą wzdłuż ogrodzenia posiadłości, tak że wielki biały dom mieliśmy teraz po lewej. Tuż za nim wznosił się masyw skalny i gęsta ściana lasu. Zrobiło się nieco klaustrofobicznie, bo z obu stron napierała na mnie nieznana mi magia, nie licząc nawet magii Akuszera, która po zmierzchu wydawała się lepiej wyczuwalna. Nerwowo głaskałam kaburę, która była dla mnie jak kocyk bezpieczeństwa.

Późny wieczór był zaskakująco cichy. Innych psów albo nie było w tej okolicy, albo nie zawracały sobie nami głowy, skoro szliśmy po odpowiedniej stronie płotu.

I nagle usłyszałam coś, czego nie powinnam słyszeć tak późno… Poza tym była jesień, nawet jeśli dziwaczna i nieprawdopodobna. Czy one nie powinny już spać? Jeszcze dziwniejsze było to, że właśnie w kierunku tego dźwięku zmierzał Akuszer. Inkwizycja nie przed wszystkim zdoła mnie obronić, pomyślałam, zaciskając zęby.

Rozdział 17

Iben uniósł furtkę z siatki na kurczaki, rozciągniętej na byle jak zbitej drewnianej ramie, i wpuścił mnie przodem. Gdy weszłam, zamknął ją i zabezpieczył obręczą z wygiętego drutu. Kilka metrów dalej była kolejna siatka, zza której wyglądały ciekawskie owce i czarny koziołek z zakręconymi rogami. A między jedną siatką a drugą stały trzy ule w różnych odcieniach czerwieni.

Buczenie się nasilało. Poczułam, że napinają mi się mięśnie karku. Są rzeczy, na które nie przyda się broń palna, noże czy nawet berserk pod skórą.

– To normalne pszczoły? – zapytałam, wyczuwając coś dziwnego w aurze tego miejsca. Pachniało jak dym palącego się drewna palo santo albo kadzidło. Może to wosk i dym?

– A jakie mają być? – zapytał mrukliwie. – Nie podchodź z przodu ula, denerwują się.

Nie musiał mi dwa razy powtarzać. Jeśli o mnie szło, trzymanie się na dystans od pszczół było spoko.

Schylił się, wyciągnął spod ula metalowy podkurzacz, otworzył klapkę i wetknął do środka wyciągnięty z kieszeni kawałek próchna. Potrzebował pięciu zapałek, nim w końcu zaczęło się dymić. Przymknął klapkę i przez kilka sekund pracował miechem, aż był zadowolony z gęstego, białego dymu, który pachniał starymi obrzędami i świątynią. Niepokój we mnie narastał.

– Co robisz? – zapytałam niespokojnie. – One nie powinny już spać? No wiesz, czy nie jest już dla nich po sezonie? – dodałam, choć po prawdzie nie wiedziałam wiele o pszczołach. Raz tylko, podczas szkolenia w Trójprzymierzu, Darń zabrała nas na podbieranie miodu do swojej pasieki pod miastem, ale akurat byłam z Dorą w fazie zalotów i nie zapamiętałam zbyt wiele. Może poza tym, że świeży miód można twórczo wykorzystać w sypialni i że potem trudno doprać pościel.

– Widać nie są takie całkiem zwyczajne – stwierdził, unosząc drewniany daszek podbity styropianem. Odłożył go na bok i dmuchnął lekko dymem na obłok pszczół, które próbowały dobrać mu się do twarzy.

– Słyszałam, że nie lubią bród, bo kojarzą im się z niedźwiedziami – powiedziałam.

– Więc z nas dwojga ty powinnaś być bezpieczna, prawda? – sarknął, podważając wyjętym z przepastnej kieszeni dłutkiem listewkę dystansującą ramki.

Wyciągnął ramkę z ula, otrzepał ją ostrożnie z pszczół i przyjrzał się uważnie wypełnieniu komórek.

– Ta będzie dobra – mruknął bardziej do siebie niż do mnie. – Potrzebujemy miodu, musicie mi wybaczyć – zwrócił się do ula.

Pszczoły chyba przyjęły przeprosiny, bo wściekłe buczenie osłabło, a kiedy oparł ramkę o ściankę ula i z powrotem przykrył go daszkiem, wydawały się już całkiem ułagodzone.

Może za wcześnie odtrąbiłam sukces, pomyślałam, czując nagłe ukłucie w kark. Przeklęłam cicho, bo użądlenie było w takim miejscu, że nie widziałam go wystarczająco, by wyciągnąć żądło, a jakaś mała kamikadze na pewno zostawiła mi je na pamiątkę. Pod tym względem pszczoły są uczciwsze od os – walczą w obronie ula i są gotowe poświęcić życie i żądło. Osy mają osobowość seryjnego psychopaty – żądlą po prostu dlatego, że mogą.

– Użądliła cię? – zapytał Iben, trzymając w jednej dłoni ramkę z miodem, a w drugiej wiadro z rybami i wędkę. Archetyp łowcy-zbieracza.

Przytaknęłam, krzywiąc się z bólu. To nie było moje pierwsze użądlenie, ale pewnie przez to, że trafiło w kark, tuż pod linią włosów, bolało bardziej. Gorące pulsowanie przeszło szybko w „o boże, kto mnie polał wrzątkiem?”. Potrząsnęłam głową, bo nagle wydało mi się, że mój wzrok traci nieco ostrości. Pan B. warknął i podrapał pazurami o wnętrze czaszki, tuż za oczodołami. Zachwiałam się i odruchowo chwyciłam za siatkę, by utrzymać równowagę.

– W domu usuniemy żądło i będzie lepiej. To prastary gatunek, ich jad ma niezłego kopa – powiedział spokojnie i poszedł do następnej furtki.

– To dlatego przychodzisz tu bez kapelusza i siatki? – sarknęłam.

– Mnie nie ugryzły, prawda? Więc kto tu nie był rozsądny?

Wymruczałam pod nosem kilka obelg. Odwrócił się i zapytał:

– Mówiłaś coś, panienko, która wprosiła się do mojego domu?

– Nic, zupełnie nic – burknęłam, wciskając ręce do kieszeni.

Reklamówka obijała mi się o udo i dżinsy przechodziły zapachem ryby, ale było mi wszystko jedno.

Szłam za Akuszerem, czując się tak, jakbym odrobinę przeholowała z piwem. Nie byłam pijana, ale dziwnie lekka w stopach i ciężka w żołądku. Owce i koza dotrzymywały nam towarzystwa przez całą długość pastwiska. Czarny kozioł próbował skubać moje spodnie w poszukiwaniu smakołyków. I całą moją reputację szlag trafił, pomyślałam, opędzając się od niego.

Byłam zmęczona, lekko kręciło mi się w głowie, kiszki grały marsza, a pęcherz błagał o dobicie. I nawet nie wspomniam o żądle, które wciąż pompowało we mnie jad.

– Siadaj na stołku – zarządził Iben, wkładając ryby do stalowego zlewu o dziwnym, pękatym kształcie. Jedna z komór była wycięta, jakby miała pomieścić brzuch świętego Mikołaja.

Nie kłóciłam się. Siły mnie opuszczały. Coś mnie niepokoiło, ale nie potrafiłam schwycić tej myśli. Iben umył ręce pachnącym cytryną mydłem i wytarł lnianą, sfatygowaną szmatą. Położył dłoń na tyle mojej głowy i przygiął ją nieco do piersi, tak by odsłonić kark. Zdumiewająco delikatnie odsunął mi włosy i ostrożnie usunął żądło. Oparłam się łokciami o kolana. Dlaczego miałam mdłości? Z głodu?

– Już po wszystkim – mruknął. – Do wesela się zagoi, zwłaszcza twojego. Przygotuję ryby, możesz się odświeżyć.

Poszłam do łazienki. Wysikałam się, umyłam ręce i twarz. Przez dłuższą chwilę patrzyłam na siebie w lustrze, trochę bledszą niż zwykle, z kropelkami potu lśniącymi na skroniach i nad górną wargą. Chyba miałam gorączkę. Z torby wygrzebałam dwie aspiryny i popiłam je kranówką.

Intuicja nie krzyczała, ale dzwoniła monotonnym dzwoneczkiem. Łapałam powietrze troszkę szybciej, a ręce mi drżały. Wyciąg-
nęłam telefon, ale nie miał ani pół kreseczki zasięgu. Wciąż byłam daleka od panikowania, ale irytowało mnie, że nie mogę dać znać Robinowi, że coś się dzieje. Po chwili zastanowienia napisałam mu esemesa – w tym momencie sieć nie mogła go dostarczyć, ale kiedy telefon znajdzie się w zasięgu, powinno się udać.

– Długo tam będziesz siedziała? Kolacja wystygnie! – usłyszałam gderliwy głos zza drzwi.

Zakręciłam kurki i wytarłam twarz w ręcznik. Do odważnych świat należy.

*

Wyglądało na to, że naprawdę się postarał, a ja spędziłam w łazience więcej czasu, niż myślałam. Stół był odsunięty od ściany i przykryty świeżą serwetą. Ułożone na półmisku ryby pachniały obłędnie. W koszyku piętrzyły się grube pajdy ciemnego chleba, obok, na talerzu leżały okrągłe owcze czy kozie serki. Przybyło mi energii a żołądek burczał niecierpliwie.

Iben spoglądał na mnie znad swojego talerza, kiedy pakowałam sobie do ust chleb i ser.

– Nie boisz się, że cię otrułem? – zapytał.

Pokręciłam głową. Wybrał potrawy trudne do podtruwania z powodu litej konsystencji, no i jadł je razem ze mną. Poza tym nie sądziłam, by to było w jego stylu. Jeszcze niedawno uważałam, że matka próbowała mnie otruć. Ten sposób pozbycia się mnie pasował do jej przewrotnego umysłu, efektywności działania i czegoś, co sama najpewniej określiłaby mianem „stylu”. Iben wyglądał mi na faceta, który przefasonuje ci twarz, a jeśli dojdzie do walki, pozwoli sięgnąć po nóż, zanim wbije ci swój pod żebro. Nie byłam naiwna – gdyby chciał mnie zabić, zrobiłby to. Władał prastarą magią, był ode mnie silniejszy – fizycznie i magicznie. Ale nie wierzyłam, że wybrałby truciznę.

– Nie byłby to pierwszy raz, gdy ktoś próbuje mnie otruć – powiedziałam spokojnie. – Jak widać nie całkiem się tym przejęłam. Matka tyle razy mi wypominała, że macierzyństwo ją ogranicza, że nie zdziwiłabym się, gdybym, jeszcze mając mleczaki, uodporniła się na te najczęściej stosowane i najłatwiej dostępne trucizny: arszenik, cyjanek, te sprawy. O ile nie masz pod zlewem kobry królewskiej, powinnam przeżyć.

Sięgnęłam po kolejną kromkę razowego chleba na zakwasie. Byłam tak głodna, że smakował jak ambrozja polana miodem.

Nie wspomniałam Ibenowi, że prawda była bardziej skomplikowana. Wedle Kosmy dużą odporność zawdzięczam Panu B. albo genom odziedziczonym po Ernście. Oboje jesteśmy za to wrażliwi na magiczne trucizny, takie jak ta, którą wypiłam w gabinecie Ireny. Magiczną trucizną nie była konkretna substancja, lecz klątwa, którą ktoś obłożył cukier, susz herbaciany, miód lub wodę.

– Nie miałaś sielskiego dzieciństwa? – zapytał, wbijając we mnie lodowate spojrzenie.

– Nie znam nikogo, kto by miał, więc albo tacy ludzie nie istnieją, albo nie zadają się z takimi jak ja.

Nie kontynuował. W skupieniu zabrał się do wyciągania ości. Spokojnie oczyścił z nich cały kawałek, układając je w schludną kupkę na drugim talerzyku, i z zapałem wrzucał palcami kawałki ryby do ust. Tłuszcz z mącznej panierki nabłyszczał mu wargi i spływał na brodę.

Wyglądał na sześćdziesiąt lat. Zapewne miał dużo więcej. Zauważyłam, że kiedy je, wygląda na młodszego – jakby zapomniał udawać starca. Miał wielkie dłonie, szerokie, z masywnymi, długimi palcami. Wyraźnie spracowane, pokryte odciskami jak od sznura. Paznokieć na lewym kciuku był fioletowy, co znaczyło, że wciąż jest bardziej człowiekiem niż bogiem. Twarz miał ogorzałą i choć okolice oczu i czoło pokrywały głębokie zmarszczki, skóra wciąż wydawała się jędrna – inaczej niż w przypadku Darni czy Jemioły. Mimo to szłam o zakład, że był od nich starszy. Dysponował potężną magią, a ta narasta z czasem – przeważnie. Znałam historię o obdarowanych taką mocą oraz takich, którzy ukradli ją innym.

– Powiedz mi, panienko, po co tak naprawdę tu przyszłaś? – zapytał między kęsami.

Westchnęłam.

– Powiedziałam ci. Szukam prawdy. Męczy mnie, że ją przede mną ukryła.

– Czym jest dla ciebie ta prawda? – dociekał.

– Wolnością – odpowiedziałam bez zastanowienia.

– Jesteśmy igraszką bogów, panienko. Wydaje nam się, że wiemy, czego chcemy i co dostaniemy w pakiecie… Ale to nigdy nie jest takie proste – oświadczył i pociągnął łyk z metalowego kubka. Zawartość lekko musowała, więc najpewniej było to piwo domowej roboty, choć pachniała miodem.

– Co może być prostszego niż prawda? Jest tylko jedna.

Zaśmiał się smutno i zaczął mówić cichym, poważnym tonem.

– Chcesz, to opowiem ci o tym, jak prawda jednego człowieka nie jest prawdą dla innego. O bogach nie wspominając. I o tym, by uważać, czego sobie życzysz.

Pokiwałam głową, bo jeśli nagle stał się rozmowny, wzrosły szanse, że odpowie na moje pytania.

– Był sobie raz ludzki mężczyzna, szczęśliwszy niż wszyscy ludzie na ziemi – zaczął. Nie tego się spodziewałam. Takie historie zawsze zaczynają się wzmianką o poszukiwaniu szczęścia. – Mężczyzna miał kobietę, żyli razem wiele lat. Urodziła mu syna, a potem następnego. Lecz czas mijał, on się starzał, a ona nie. I któregoś dnia wyznała mu coś, co od dawna podejrzewał. Tylko jedno z nich było człowiekiem.

Spojrzał na mnie z takim bólem, że się wzdrygnęłam. Wciąż płakał za swoim człowieczeństwem. I naprawdę potrafiłam go zrozumieć. Gdy się okazało, że sama nie jestem człowiekiem, użalałam się nad sobą długo i łzawo. Niczym najbardziej żałosny wampir kinematografii łkałam nad tym utraconym człowieczeństwem, jakby było czymś więcej niż słabością i podatnością na krzywdę, o czym przecież przekonałam się chwilę wcześniej, w niewoli u Ernsta. Gdybym już wtedy była przebudzonym berserkiem, mogłabym się bronić. Ale wtedy o tym tak nie myślałam. Jadłam litry lodów, słuchałam audycji radiowej dedykowanej osobom świeżo po rozstaniu i smarkami wydmuchiwanymi w chusteczki pisałam epitafia dla dawnego życia. Nie dopuszczałam do siebie tych, których jeszcze kilka dni temu nazywałam przyjaciółmi, by oszczędzić im kontaktu z potworem. Tak, tym samym, który łkał i smarkał. Nie twierdzę, że to logiczne. Ale coś mi mówiło, że w przypadku Ibena utrata człowieczeństwa miała ważniejsze konsekwencje niż rozbuchany metabolizm, który mnie pozwolił nie przytyć trzydzieści kilogramów od tych wszystkich lodów.

– Ona była huldrą, stworzeniem lasu i starej magii. Nie zmieniła się nawet po urodzeniu dwóch synów. Nie okłamała go, po prostu nie mogła powiedzieć prawdy, dopóki nie zapytał wprost, a mężczyźni rzadko pytają swoje oblubienice, czy są w pełni ludźmi. – Wyraźnie jej bronił, jakby zależało mu, bym nie pomyślała o niej źle. – „Czy wciąż mnie kochasz?” To wszystko, co chciała wiedzieć, a on wyśmiał jej obawy. Bo jakże mógłby przestać? Była jego słońcem i księżycem, matką jego dzieci. Nie wyobrażał sobie bez niej życia.

Daj mi, bogini, spotkać na swej drodze kogoś, kto sprawi, że uśmiechnę się z takim rozmarzeniem na samo jego wspomnienie. Nie teraz – ale za jakiś czas…

Akuszer kontynuował swoją opowieść, a w jego głosie wybrzmiewał coraz bardziej dojmujący smutek.

– Mimo to co jakiś czas nachodziła go myśl, że przyjdzie moment, kiedy to ona będzie musiała żyć bez niego. Czas był nieubłagany. W swojej

brodzie mężczyzna znajdywał coraz więcej siwych włosów, a ciało, choć wciąż silne i potężne, garbiło się nieco, kolana bolały po całym dniu pracy. Widzisz, martwił się. Jak ona sobie poradzi sama? Kto jej pomoże z chłopcami? Kto oporządzi owce i łąki? Kto przypilnuje uli i nałowi jej ryb? Chłopcy wciąż byli młodzi, a potem się ożenią i będą mieli swoje sprawy.

Przerwał na chwilę i pociągnął duży łyk piwa.

– Co zrobił, by jej nie opuszczać? – zapytałam, bo czułam, że to ważna historia i ciekawa byłam, jak się skończy.

– Niewiele mógł, prawda? Ale los okazał się łaskawy. Albo przewrotny, zależy, jak na to patrzeć. Którejś wiosny obchodził okoliczny las, szukając zagubionej owcy. Zamiast niej znalazł młodą kobietę, prawie nieprzytomną z bólu. Brzuch falował jej pod sukienką w skurczach porodowych. Mężczyzna miał żonę, dwóch synów i mnóstwo owiec. Wiedział, co robić. Pomyślał: „Odebrałem tyle porodów jagniąt, bez kopyt powinno być tylko łatwiej”. Wiedział też, że nie ma wiele czasu. Kobieta była bardzo słaba, a jej suknia lepka od krwi. Odebrał poród, podwiązał pępowinę. Owinął niemowlę w swoją koszulę, a kobietę okrył swoim swetrem. A potem zniósł oboje z góry, do domu. Na szczęście nie był jeszcze tak zgrzybiałym starcem, jak czasami o sobie myślał.

– Dziecko było tylko jedno? – zapytałam.

– Zdrowy i energiczny chłopak. Matka była nieprzytomna kilka godzin. Żona mężczyzny opiekowała się nią, nie tracąc nadziei, choć przy kolacji rozmawiali o tym, że jeśli biedactwo nie przeżyje, mogą wziąć chłopca pod dach i wychować jak swojego – przecież ziemi mają dość, by wykarmić jeszcze jedną gębę. Na szczęście kobieta przestała gorączkować. Dwa dni później, w środku nocy, wyszła z domu, nie żegnając się z nikim. Nawet nie powiedziała, jak się nazywa. Mężczyzna i jego żona martwili się, ale nie winili jej nawet za to, że zabrała jego porządny, zimowy płaszcz i jej najlepsze trzewiki. W lekkiej sukience i boso daleko by nie zawędrowała. Przy śniadaniu uznali, że pewnie przed kimś uciekała, może przed ojcem dziecka. Bo co ciężarna robiła sama w lesie tak blisko rozwiązania?

Historia wciągnęła mnie tak, że przerwałam jedzenie. Znałam ogólny zarys dzięki Kosmie, ale tu nie szło o suche fakty, a o emocje i czyjeś życie. Czułam, że nadciąga katastrofa. Żadne dobro nie zostanie bezkarne, jak mawiała Irena.

– Wrócili wiosną. Chłopiec był już na tyle duży, że siedział matce na biodrze, kiedy stanęli w progu. Nie byli sami. Za nimi weszła do izby wysoka kobieta z białym warkoczem oplecionym wokół głowy i udekorowanym kolorowymi wstążkami. Żona mężczyzny natychmiast padła na kolana i opuściła czoło w pokorze. Ona wiedziała. Mężczyzna czekał, aż goście się przedstawią.

Opis kobiety z warkoczem i wstążkami wydał mi się dziwnie znajomy. Nie spotkałam jej, a jednak znałam…

– Frigg? – zapytałam cicho.

– Nie inaczej. Bogini zawitała w skromne progi. I zaczęła dziękować mężczyźnie, bo uratował jej służkę, a także przyjął na świat małego Asbjorna, niedźwiadka, syna samego Odyna.

Zawiesił głos, pozwalając, by ten element historii we mnie wsiąkł. No tak, młoda służka Frigg i nieślubne dziecko Odyna… Nic dziwnego, że dziewczyna uciekła z Asgardu, gdy ciąża stała się widoczna. Odyn słynął z tego, że rozsiewał nasienie dość chętnie i swobodnie, a Frigg nie przyjmowała jego zdrad lekko. Młoda matka nie miała szans w starciu bóstw.

– Frigg jej wybaczyła? – zapytałam.

– Saga sama była niewiele więcej niż dzieckiem, zeszłej wiosny skończyła ledwie piętnaście lat. Frigg jest mądrą kobietą i wiedziała, co się stało. Znała Sagę, znała też swojego małżonka. I gdy odnalazła dziewczynę i jej synka, zapewniła im ochronę. A dziewczyna opowiedziała jej całą przygodę. Frigg wiedziała, że Saga mogła umrzeć w połogu. Mało która kobieta, nawet władająca magią, przeżywała powicie dziecka Odyna. Za wiele magii, za duża różnica między krwią dziecka i matki. I Frigg rozumiała, że mają dług wdzięczności.

– „Tobie zawdzięczają to, że przeżyli – powiedziała Frigg. – Kto może o sobie powiedzieć, że jest Akuszerem Bogów? – dodała, a mężczyzna poczuł, że użyła magii, by nadać mu nowe imię. – Powiedz mi, czego pragniesz, a dam ci to. W nagrodę za tę dziewczynę i tego chłopca, których bym nie miała, gdybyś im nie pomógł”.

Iben zaśmiał się gorzko i przez chwilę milczał, wpatrując się w ciemne okno.

– Żona mężczyzny była mądrzejsza niż on. Powiedziała, że niczego nie potrzebują i życzą dziecku, by rosło zdrowo. Mężczyzna… cóż, nie okazał się taki mądry. Dogonił Frigg, Sagę i Asbjorna przy furtce i poprosił o to,

czego naprawdę chciał. „Ona jest huldrą. Jesteś pewien? – zapytała Frigg, a on przytaknął, wciąż nie rozumiejąc, o co prosi. – Dobrze więc, Akuszerze Bogów, niech się stanie, jak sobie życzysz”. I Frigg dała mężczyźnie to, czego pożądał.

Domyślałam się, co nastąpi, a jednocześnie wstrzymywałam oddech, gdy zmierzał do finału historii.

– Widzisz, mężczyzna dostał swoją magię, dzięki której będzie żył tak długo jak jego żona. Ale wiesz, czego nie przewidział? – zapytał i to znów był test.

Przytaknęłam.

– Huldry są jak selkie, mogą się wiązać tylko z ludzkimi mężczyznami – powiedziałam cicho.

– Widzisz, panienko, jesteś mądrzejsza od starca, który zamienił szczęście rodzinne na magię. Jego żona wciąż go odwiedza, ale nie może zostać dłużej niż dwa lub trzy dni, nim odezwie się w niej zew lasu i gór. Ich synowie odchodzą wraz z nią, bo też są bardziej huldrami niż ludźmi, a na pewno są bardziej huldrami niż tym, czym stał się ich ojciec. A on ma przed sobą całą wieczność, by czekać na te wizyty i żyć od jednej do drugiej.

Zaśmiał się gorzko i otarł wilgotne oczy.

– Czasami to, czego chcemy najbardziej na świecie, odbiera nam to, czego najbardziej na świecie potrzebujemy. Chcesz prawdy i wolności. A co, jeśli nie da się ich pogodzić? – zapytał. Nie znałam odpowiedzi.

Wstał od stołu i zaczął zbierać puste naczynia. Gdzieś w trakcie opowieści zjedliśmy wszystko, co do okruszka. Wstałam, by mu pomóc, i musiałam natychmiast usiąść, gdy podłoga zakołysała mi się pod stopami, a głowa wydała się cięższa niż reszta ciała.

– Połóż się, jesteś zmęczona – powiedział Iben i poprowadził mnie w stronę kanapy.

Coś było bardzo nie w porządku. Odszukałam w kieszeni telefon, ale Iben wyłuskał mi go z dłoni i odłożył na komodę. Spróbowałam wstać, ale moje ciało nie chciało mnie słuchać. Oblał mnie zimny pot, zaczęłam się trząść jak w febrze. Akuszer Bogów okrył mnie grubym kocem, a kiedy pochylał się nade mną, nagle go zobaczyłam, takim, jakim był – jego włosy i broda były znacznie dłuższe i bardziej zmierzwione, z boków głowy wyrastały mu baranie rogi, długie i zakręcone, a zamiast nieskończonych warstw flaneli miał na sobie futro przetykane złotymi i brązowymi liśćmi,

kawałkami kory i gałązek. Futrzany płaszcz wieńczył kołnierz z mchu i porostów. Wyciągnęłam rękę, chcąc sprawdzić, czy jest prawdziwy, ale wziął moją dłoń w swoją i ułożył mi ją na piersi, ostrożnie, jakby doskonale wiedział, że nie powinnam jej nadwerężać. Okrył mnie kocem, jak dziecko, po samą brodę, i nagle cały niepokój odpłynął, gdy zaczął mruczeć jakąś starą kołysankę.

Już ją kiedyś słyszałam, ale nie potrafiłam sobie przypomnieć kiedy…

Rozdział 18

Obudź się! – usłyszałam krzyk przez mgłę, która wciąż spowijała mój umysł. – Musisz to wypić – dodał głos i poczułam, że czyjaś ręka unosi moją głowę nad poduszkę.

Już za trzecią próbą udało mi się unieść powieki.

Akuszer pochylał się nade mną, wciąż cały rogaty, futrzasto-
-liściasty. W dłoni ściskał kubek i przytykał mi jego krawędź do ust.

– Co to jest? – zapytałam.

Język w moich ustach nie współpracował. Brzmiałam jak ofiara udaru mózgu.

– Miód, imbir, cytryna, ciepła woda. Musisz wypić wszystko – oznajmił stanowczo.

Usta i gardło miałam tak wysuszone, że wypiłabym, nawet gdybym wiedziała, że to trucizna.

– Jednak mnie otrułeś? – wymamrotałam.

Co dziwne, nie byłam specjalnie zaskoczona. Nawet uwzględniając to, że grałam na jego zasadach, bo miał coś, czego chciałam, zaufałam mu za bardzo. I dostałam po dupie.

– Nie kuś. Dziwnie reagujesz na jad pszczeli – wyjaśnił.

Posmakowałam jego słowa na czubku języka, próbując sobie przypomnieć, co się działo w czasie kolacji i wcześniej. Dotknęłam karku, okolic miejsca, gdzie mnie użądliła pszczoła. Było spuchnięte i wściekle gorące, pod naciskiem palców pulsujący ucisk objął mi tył czaszki ciasną obręczą.

– To ma sens – mruknęłam i spróbowałam usiąść.

Poszło lepiej, niż się spodziewałam. Wyjęłam kubek z dłoni Ibena i powąchałam zawartość. Pachniała przyjemnie. Spróbowałam. Troszkę ciepłe, ale nie gorące. Dobre. Po dwóch łykach czułam się zdecydowanie lepiej.

– Robin… – powiedziałam, uświadamiając sobie, że za oknem świta, a ja nie dałam mu znać, że sytuacja jest opanowana.

– Był przy furtce. Powiedziałem mu, że śpisz. Nie zmieniłem zdania. Nie chcę go tutaj. Jest rogaty.

– Tak jak ty?

Burknął pod nosem coś bardzo obraźliwego dla linii genetycznej, z której wywodził się Robin. Może to jakieś sprawki terytorialne? Jedna para rogów na metr kwadratowy, nie licząc owiec i kóz?

– Musimy iść. Przed nami kawałek drogi, nawet skrótem…

– Gdzie idziemy? – Byleby nie powiedział, że znów na ryby, błagałam w myślach.

– Po twoją prawdę, jeśli wciąż jej chcesz. Powiedzieli mi, bym cię przyprowadził.

– Gdzie konkretnie? – dopytywałam, bo chciałam wysłać Robinowi esemesa. Na wszelki wypadek. Co mi po odwodzie, skoro nie wiedziałby, gdzie jestem?

– Na Hyvlatonnå. Dziś to nazywają Preikestolen.

Zmarszczyłam czoło, bo nazwa faktycznie coś mi mówiła. Przypomniały mi się przewodniki Robina i miliony faktów o Norwegii, jakimi zasypywał mnie po drodze.

– Mówisz o tym tarasie widokowym? Nad Lysefjordem? – upewniłam się.

– A znasz jakąś inną ambonę?

– To jest kilka godzin jazdy samochodem stąd i pewnie kolejne kilka włażenia w górę…

– Masz coś innego do roboty? Poza tym mówiłem ci, znam skrót.

Próbowałam sobie przypomnieć mapę Norwegii i umiejscowić na niej nazwę. Byłam pewna, że to gdzieś w okolicy Stavanger, jakieś cztery godziny stąd, w tym oczywiście wycieczka promem. Nie miałam pojęcia, o jakim skrócie mówił, ale lepiej, by nie przywoływał wielkich orłów, by zabrały nas na miejsce. Samochód nie rozpraszał się na widok królika w dole.

– No wstawaj, wstawaj, nie mamy całego dnia. Magia idzie w górę jeszcze godzinę, potem będziemy skazani na samochód, a jedyny, jakim mogę jeździć, ma osiemdziesiąt lat – burknął.

Wyprostowałam się i niemal zerwałam na równe nogi. To zmieniało postać rzeczy. Jeśli jego machina musiała być aż tak retro, jechalibyśmy samochodem pół dnia. Pewnie konno poszłoby szybciej. Pomysł, by skorzystać ze skrótu, brzmiał nieźle.

Telefon był bezużyteczny. Najwyraźniej telefonie komórkowe uznawały ten rewir za krainę zapomnianą przez bogów komunikacji. Esemes do Robina wisiał niedoręczony. Zmarszczyłam brwi. Komórki czasami psuły się w alternatywnych miastach, zwłaszcza tych naprawdę starych, ale czy było to problemem w całej Norwegii, gdzie tkanki realnego i alternatywnego świata były ciasno splecione i nasycone magią? W Oslo działała bez zarzutu, po drodze chyba też. Dopiero tu, w Molnes, zaczęła szaleć. Zerknęłam podejrzliwie na Ibena. Skoro musiał jeździć wehikułami retro, jak wpływał na komórki?

– Nie grzeb się. Masz kwadrans na siku i ząbki, potem idę i będę czekał na parkingu Norweskiego Towarzystwa Turystyki Górskiej u podnóży Hyvlatonnå, aż dojedziesz do mnie samochodem. Dają tam do picia świetną czekoladę z lukrecją, więc oczekiwanie nie będzie mi się nużyło.

Odwrócił się i wyszedł, dając mi odrobinę prywatności. Zajrzałam pod koc. Iben nie nadużył praw gospodarza – wciąż miałam na sobie portki. Zdjął mi tylko buty – i dobrze, bo zawsze, gdy w nich spałam, krążenie w palcach wracało godzinami.

*

Coś się zmieniło, pomyślałam, wychodząc przed dom. Powietrze miało dziwną konsystencję, nagle czułam je na skórze prawie jak wodę. Kolory były dziwne, jakby wszystko podbiegło błękitem. I wtedy zauważyłam osłony i zaklęcia Ibena. Dom i podwórze opływały smugi złota i czerwieni – barw zarezerwowanych dla boskiej magii. Jeśli Akuszer mówił prawdę, jego magia pochodzi bezpośrednio od Frigg, więc ma prawo nosić jej kolor.

Krzew hortensji w rogu podwórza świecił magią jak stuwatowa żarówka. Podobnie jak dwie figurki ogrodowych trolli ustawione po obu stronach ścieżki. Nie wiedziałam, w co się zamieniają, ale byłam pewna, że mają jakąś tajemnicę.

Zeszłam z tarasu na ścieżkę i obeszłam dom w poszukiwaniu Ibena. Krzątał się na pastwisku, dolewał właśnie wody do poideł zrobionych z plastikowych baniaków. Na szczęście owce wyglądały całkiem normalnie. Koza to zupełnie inna sprawa – ale kozy z zasady są nieco dziwne. To przez te oczy, dziwne źrenice, jakby patrzyły na ciebie i widziały, w którym kręgu piekła masz przydział, i już rozmawiały z szefem o twoim dossier.

– Nie patrz na las – mruknął Iben.

Oczywiście spojrzałam natychmiast. I uderzyło mnie jak młotem, ledwie utrzymałam się na nogach.

Ja pierdolę!

Las kipiał magią! To było wszechpotężne, chmura magii wisiała tak nisko, że zahaczała o czubki drzew. A las był żywy. Setki oczu spozierały na mnie z ciemności otaczającej pnie. Obmyły mnie surowe emocje. Ciekawość, głód, oczekiwanie. Cofnęłam się odruchowo, czując, że im dłużej trwa kontakt wzrokowy, tym dalej sięgają macki leśnej magii. Ustąpiły, gdy dotarły do uli, które świeciły jak latarnie morskie najczystszym i wibrującym złotem i wydawały dźwięk niczym muzyka sfer.

Albo miałam halucynacje i najdziwniejszy odlot świata, albo byłam w pieprzonej kolebce magii tak potężnej, że takiego żuczka jak ja mogłaby przemielić w sekundę i nawet nie zauważyć, że jest odrobinkę mniej głodna.

Magia jest czymś żywym. W każdym alternatywnym mieście, w jakim bywałam czy mieszkałam, potrafiłam wyczuć jej charakter. Teoretycznie wszystkie magiczne linie, poza tymi odciętymi w Warsie i Sawie, łączyły się niczym odnogi rzek i stanowiły jednolitą formę energii, różniły się tylko stopniem nasilenia. Ale to gówno prawda. Bo w teorii we wszystkich rzekach płynie taka sama woda – i owszem, na poziomie chemii to zawsze tlenek wodoru, czasami jest słodka, czasami słona. A jednak rzeki mają swoje charaktery. Dunaj, Wisła, Brda, Odra, Sekwana czy Loara różnią się od siebie. Podobnie jest z magicznymi liniami – niby we wszystkich jest po prostu skondensowana energia, ale wiele zależy od tego, co je zasila, czyli od istot magicznych, które zamieszkują okolicę. Nauczyłam się to rozpoznawać jeszcze jako dziecko, jak każdy łobuz z kiepskiej dzielnicy uczy się odróżniać te ciemne zaułki, gdzie cię tylko skroją, od tych, gdzie oprócz tego zgwałcą cię i uduszą.

Cokolwiek zasilało tutejsze linie, było potężne, stare i krwiożercze. Ale magiczna strona mnie podziwiała tę moc. Posiąść coś takiego, nie mieć ograniczeń, sięgnąć po wszystko, co dla człowieka nieosiągalne… Pan B. był głodny i radosny. Myślę, że wyczuwał coś, w czym chętnie zanurzyłby zęby.

– Czy to są trolle? – zapytałam Ibena, doganiając go przed domem.

– Musiałaś spojrzeć, prawda? Nie, nie tylko. Trolle w tamtej ekipie są jak zwierzątka domowe. Nie wchodź do lasu po zmierzchu, jeśli nie chcesz

poznać prawdziwych potworów.

– Co mi dałeś? Dlaczego to widzę? Przechodziłam już tamtędy i nic nie czułam.

– To pszczoły. I miód. Są czystą magią. Opiekuję się nimi dla Frigg. Przy odrobinie szczęścia nie wyrosną ci rogi. Mnie wyrosły.

– Pierdol się – powiedziałam uprzejmie, ale odruchowo pomacałam się po głowie, szukając zalążków rogów. Jedyny rogacz w okolicy śmiał się, bardzo z siebie zadowolony.

Podszedł do wielkiej szopy z drzwiami garażowymi i szarpnął za uchwyt. Ruszyły ze zgrzytem. Nie żartował, mówiąc o samochodzie – to cudo stanowczo pamiętało drugą wojnę światową i w jakiejś zamierzchłej epoce musiało być prekursorem aut sportowych. Czarno-złote, z wielkimi kołami z wąską gumą i długimi szprychami, miało z przodu maski miejsce na korbkę.

– Nie jedziemy chyba tym? – zapytałam.

– Brigid zostaje w domu, jest zbyt delikatna. Pójdziemy pieszo. To nie jest daleko.

Właśnie zarobił u mnie punkcik, a nawet dwa – jego samochód miał imię, w dodatku żeńskie. Zerknęłam przez szybę. Drewno i skóra. Kierownica pokryta czerwoną, szytą grubym ściegiem jak stare piłki bejsbolowe. Aleks umarłby ze szczęścia, gdyby mógł zajrzeć pod maskę tego dziwadełka. Do lusterka wstecznego przymocowano, najpewniej jako talizman, dwa sznury jasnych koralików o nieregularnych kształtach, przetykanych wełnianymi frędzelkami i supełkami. Dopiero po kilku sekundach zrozumiałam, że to kości, głównie paliczki. Odruchowo schowałam ręce do kieszeni. Jeśli Iben był kolekcjonerem, będzie musiał obejść się smakiem. Już dwa moje palce zmieniły właściciela i nie zamierzałam się rozstawać z kolejnymi.

Przy tym gwałtownym ruchu nie bez zaskoczenia zauważyłam, że prawie nie boli mnie obojczyk. Czułam pewną sztywność stawu barkowego, ale po pulsującym bólu nie było śladu. Po przebudzeniu miałam sporo wrażeń, ale żeby przegapić coś takiego? Potarłam czoło z frustracją, czując, że coś jest nie tak, że coś powinno mnie niepokoić. Próbowałam uchwycić myśl, która drapała mi spód czaszki, ale wciąż wyścielały ją resztki mgły.

Czym właściwie była ta mgła? Zanim jednak udało mi się znaleźć odpowiedź, niepokój odpłynął. Odetchnęłam z ulgą. Przecież wszystko miałam pod kontrolą.

Tymczasem Iben zdjął z haka płócienny plecak i zaczął pakować do niego mnóstwo dziwnych rzeczy (grzechoczące sakiewki, sznury koralików przeplatanych supełkami jak różańce, świeczki i krzesiwo, pięć malutkich kłębuszków sznurka w różnych kolorach, metalowe pudełeczka po miętówkach, które zabezpieczone recepturkami owinął w ręcznik, jakby zawierały coś kruchego i bardzo cennego, fletnię Pana, którą, czego byłam niemal pewna, zrobiono z kości, dwa inne instrumenty fujarkopodobne, kredę i kawałki węgla drzewnego) i kilka zupełnie zwyczajnych – jak butelki z wodą czy paczkowane suszone mięso i owoce. Wyglądało na to, że jest przygotowany na wyprawę w plener.

– Gdy dojdziemy do skrótu, bądź miła. Mawia, że jego trolle kochają idiotów, bo głupota osładza mięso – powiedział.

Całkiem skuteczna motywacja.

– Kto właściwie mawia? – spytałam.

– Jottung – odparł lekko, jakby informował, że idziemy do wiedźmy ziemi na herbatkę z prądem, a nie do jednego z najbardziej przerażających stworzeń na ziemi.

Jottungowie byli olbrzymami. W Skandynawii żyje ich sporo. Najbardziej znane są lodowe olbrzymy, starsze i potężniejsze od Asgardczyków, władające pradawną magią, same z magii zrodzone. Jednym z nich był Loki, choć w kronikach czytałam, że jego pobratymcy uważali go za zbyt łagodnego i delikatnego, co zwalali na wychowanie wśród Asgardczyków. Mnie krwiożerczy kłamca bynajmniej nie kojarzył się z łagodnością czy delikatnością, ale to kwestia poprzeczki ustawionej przez lodowe olbrzymy. Jottungowie byli ich kuzynami, mądrzejszymi i nieco mniej agresywnymi. Ale to raczej kwestia różnicy tego kalibru co między pitbullami a dobermanami.

– Z którego konkretnie rodu? – zapytałam. Wolałam wiedzieć, co mnie czeka.

– Bergis. – Gdy to mówił, zadrgał mu kącik ust.

Bergisowie byli górskimi olbrzymami o kamiennych głowach i sercach, właściwie niezniszczalnymi. Czytałam wiele traktatów wojennych dotyczących walki z najróżniejszymi stworzeniami magicznymi. W jednym z nich, spisanym w siódmym wieku przez Gota, księcia i wojownika szczycącego się swoimi osiągnięciami na polach bitew i w pojedynkach, bergisowie zostali wspomniani raz. Ermenerik przyznaje, że są nieposkromieni i całkowicie odporni na wszelką broń z metalu czy magii,

zaś najprostszą metodą przetrwania starcia z bergisem jest wzięcie nóg za pas. Mieli taką reputację, że nikt nie śmiałby Ermenerikowi zarzucać tchórzostwa, bo jego rada była więcej niż rozsądna.

– Czytałam kiedyś książkę o dobrym wychowaniu. Przypomnę sobie jeden czy dwa rozdziały – powiedziałam.

Nagle cztery godziny w samochodzie, czy nawet pół dnia w wehikule Ibena, nie wydawały się przesadnie wielką ceną za uniknięcie spotkania z olbrzymem.

Gdy mijaliśmy furtkę, szarpnęło. Strzępki magii Ibena przyklejały się do mojej aury, a gdy zrobiłam krok, odrywały się z cichym cmoknięciem.

Szliśmy może dziesięć minut wzdłuż jezdni, w odwrotnym kierunku niż wczoraj. Zabudowania szybko się skończyły, a po lewej stronie drogi wyrastała chropowata i stroma ściana urwiska, chwilami idealnie pionowa i gładka, jak wycięta z lodu. Tu i ówdzie kamienie porastał mech. Po drugiej stronie rozciągały się skoszone i zbrązowiałe łąki, wciąż soczyście zielone zagajniki, a gdzieniegdzie przezierał błękit fiordu. Trzy zakręty później droga zrobiła się szeroka, a między skałą a jezdnią pojawiły się drzewa.

Iben szedł dwa kroki przede mną i teraz skręcił między pnie. Jak kozica przeskakiwał po kamieniach i głazach, śliskich od mchu i rosy. I nagle po prostu zniknął. W jednej sekundzie stał na głazie o prawie idealnie sześciennym kształcie, a w następnej nie było po nim śladu.

Ruszyłam za nim. Dopiero kiedy stanęłam w tym samym miejscu, w którym widziałam go po raz ostatni, dostrzegłam, że to, co brałam za cień między pniami drzew i skałą, jest zamaskowanym wejściem do jaskini. Wysokim na dwa metry, wąskim na mniej niż pół, częściowo osłoniętym przez osunięty blok skalny. Weszłam ostrożnie, ignorując krzyki intuicji.

Magia tego miejsca, wilgotna i chłodna, wywoływała ciarki, ale nie wydawała się stanowić bezpośredniego zagrożenia. Wyciągnęłam z torby latarkę, ale ciemność pożerała snop światła jak przekąskę. Świecąc pod nogi, nie widziałam nic poniżej kolan, jakbym brodziła w czarnej wodzie. Poruszałam się powoli, obmacując stopą podłoże, zanim postawiłam kolejny krok.

– Pośpiesz się, dziewczyno! – usłyszałam Ibena.

Albo zaszedł już bardzo daleko, albo echo zabawiało się moimi zmysłami.

Jaskinia była głęboka. Dwadzieścia kroków później wciąż nie dotarłam do końca i nie znalazłam Ibena. Po czterdziestu ciemność nagle ustąpiła, a ja znalazłam się w sporej komnacie. Było jaśniej. Nie było tu żadnego naturalnego źródła światła, ale ściany pokrywała gruba warstwa lodu i szronu, a od szklistej powierzchni odbijało się światło mojej latarki, a także świecy palącej się w głębi komnaty.

Chwilę zajęło mi oswojenie się z wyglądem gospodarza. Mierzył grubo powyżej trzech metrów i nawet teraz, kiedy siedział na ziemi po turecku, garbiąc się i opierając łokcie na kolanach, górował nade mną. Jego skóra, jednolicie biała, połyskiwała tak samo jak lodowa ściana za jego plecami. Włosy i brodę też miał białe. Był niemal nagi, jakby nie odczuwał zimna. Może rzeczywiście nie odczuwał – w końcu był spokrewniony z lodowymi olbrzymami. Plecy, niczym gruba peleryna, okrywało mu niedźwiedzie futro, zaś na biodrach miał coś w rodzaju futrzanego kiltu, spiętego skórzanym pasem z klamrą wielkości mojej głowy. W jego twarzy, jakby niedbale wyciosanej z bryły lodu, przykuwały uwagę wysokie czoło, głęboko osadzone oczy i kulfoniasty nos. Gdy na mnie popatrzył, odniosłam wrażenie, że oto spogląda na mnie szklista, lodowa pustka, i wystraszyłam się, że mnie pochłonie i nigdy już nie poczuję ciepła. Przygryzłam sobie język i zabolało na tyle, by przerwać tę wymianę spojrzeń, na którą nie byłam gotowa. Może nigdy nie będę. To stare stworzenie.

Iben siedział na głazie wielkim jak stół i częstował gospodarza suszoną wołowiną.

– Pachniesz jak on – powitał mnie jottung.

– Jak twój ojciec – wyjaśnił mi Iben, a ja wzdrygnęłam się z obrzydzenia.

– Jeśli twierdzisz, że pachnę starą krwią, potem i zwierzętami, to muszę ci wyznać, że twój węch jest mocno przereklamowa-
ny – odparowałam.

Jottung wyszczerzył zęby i nie byłam pewna, czy to uśmiech.

– Aisberg i Ernst Szalony nie przepadają za sobą. Twój ojciec wmieszał się w pojedynek Aisberga i Odyna, przechylił szalę zwycięstwa na stronę swojego pana. – Wnioskując po tym, jak wściekły i dyszący żądzą mordu stał się nasz gospodarz, gdy tylko padło imię mojego ojca, Iben balansował na krawędzi największego niedopowiedzenia świata.

– Gdy pojawi się raz jeszcze, zgaszę mu światło na wieki – zagroził olbrzym. Kibicowałam mu z całych sił.

– Jeśli właśnie grozisz mojemu ojcu, to znaczy, że sporo nas łączy – oświadczyłam i podeszłam bliżej, wyciągając rękę na powitanie.

– Obu – mruknął. – Półślepy bóg i jego sługus dostaną, na co zasłużyli. – Znów się wyszczerzył, a ja i tym razem nie wiedziałam, czy to uśmiech.

– Koniecznie przyślij mi zdjęcia tego, co z nich zostało. Powieszę sobie w salonie i będę się napawać.

Olbrzym stanowczo wyciągał ze mnie coś pierwotnego. Pan B. był cichutki jak rzadko, jakby skrył się pod stołem. Miałam nadzieję, że Aisberg nie zauważy stóp wystających spod serwety. Na szczęście dla mnie albo rzeczywiście nie zauważył mojego pasażera, albo go zignorował. Wielką kamienną dłonią gładził się po brodzie, która przywodziła na myśl oszronione kwiaty wrzosu. Sucho trzeszczała pod palcami.

– Chcecie przejść – powiedział chłodno.

– Wezwali nas. – Iben tylko wzruszył ramionami, jakby to wszystko tłumaczyło. Może tłumaczyło, bo Aisberg pokiwał głową i ułożył palce w zaklęcie odwracające kamuflaż.

– Możesz przekazać Odynowi, że wciąż na niego czekam i wcześniej czy później będzie musiał wyjść. A ja tu będę – oświadczył.

Przytaknęłam, choć miałam nadzieję, że Odyna nie spotkam. Nie wiedziałam czemu, może przez te cholerne kruki latające mi nad głową, ale nie byłam przyjaźnie nastawiona do króla Asów. Poza tym był szefem mojego ojca i trzymali sztamę. Już to wystarczyło, bym fantazjowała, że którejś nocy będzie lunatykował i trafi akurat na Aisberga, który zaserwuje mu pobudkę i ostatnie namaszczenie w jednym.

Między nim a Ibenem, na szklistej od lodu ścianie, znajdowały się małe drzwi. Sięgały może metr nad podłoże i miały jakieś siedemdziesiąt pięć centymetrów szerokości.

– Wejdźcie na własne ryzyko. Magia rozpozna swoich.

Drzwi prowadziły do wąskiego tunelu. Jak niby zmieści się tam Akuszer?

– Idź pierwsza – mruknął.

Zawahałam się. Tunel nie zachęcał, nie wzbudzał we mnie radosnej ekscytacji, a to z „magią rozpoznającą swoich” za bardzo kojarzyło się z mottem Inkwizycji.

Jottung pochylił się, zbliżając swoją twarz do mojej.

– Nie ma odwrotu, koło zdarzeń ruszyło – powiedział. – Lepiej niż teraz już nie będzie.

– Jestem optymistką – stwierdziłam, choć zwykle identyfikowałam się raczej jako paranoiczna katastrofistka.

– Ci zawsze są zaskoczeni, umierając.

Opadłam na kolana i z lekkim ociąganiem zaczęłam się przeciskać przez drzwi. Jestem pewna, że kiedy ostatni raz pokonywałam coś tak ciasnego, zaraz za mną podążał Ture, a moja matka miała najgorszy dzień w życiu. Czołgałam się, opierając na łokciach i odpychając noskami butów. Było za ciasno i zbyt klaustrofobicznie, by rozsunąć ramiona i bardziej ekonomicznie pracować mięśniami. Z trudem łapałam oddech, pot spływał mi po plecach, kolana piekły. Nagle wszystko zadrżało. Znajdowałam się gdzieś w połowie tunelu, ze stopami już spory kawałek od drzwi, więc nie zdołałabym się cofnąć, a do wyjścia wciąż jeszcze miałam zbyt daleko, bym mogła dostrzec, co jest pod drugiej stronie. Ściany wokół mnie zaczęły się przemieszczać, rytmiczne, przypominające skurcze drżenie przepływało przez skałę, która napierała na mnie coraz bardziej. Krzyknęłam, czując, że nie mogę się poruszyć. Dusiłam się, żebra miałam ściśnięte jak w najciaśniejszym gorsecie, w usta i nos wlewała mi się lita ciemność. Walczyłam, choć po kilku sekundach nawet ruch palcem stał się niemożliwy. Serce galopowało mi w piersi, gwiazdy rozbłyskiwały pod powiekami. Płakałam z bólu i bezradności.

I wtedy Pan B. uznał, że jego czas nadszedł. Pole widzenia przesłoniła mi fala czerwieni. Nie mogłam się zmienić, nie było miejsca, ale magia berserka wylewała się ze mnie wszystkimi porami, potężna, stara i wściekła. Z każdą sekundą robiło się goręcej, ciśnienie mi podskoczyło, z nosa buchnęła krew. Z chwilą, gdy jej krople spłynęły na podłoże, całe szaleństwo ustąpiło. Tunel się nie poszerzył, ale znów mogłam pełznąć. Zrobiłam to, najszybciej, jak byłam w stanie, na wypadek gdyby Pan B. znów postanowił dać o sobie znać.

To musiało trwać ledwie kilka minut, mimo to czułam się wyczerpana. Światło gdzieś na końcu tunelu wabiło, wkrótce poczułam świeże powietrze. Pełzłam szybciej, nie troszcząc się już o kolana. Tunel skończył się nagle i niemal wypluł mnie na żwir i ściółkę. Klęczałam, podpierając się dłońmi i próbując złapać głębszy oddech. Bark znów bolał bardziej niż rano, łokcie i kolana miałam zdarte do mięsa, ale to było nieważne. Oddychałam. Wytarłam chusteczką twarz mokrą od krwi. Siedziałam, czując, że wracają mi siły, i czekałam na Akuszera. Może to taki żart. Zaserwował mi powtórkę z rozrywki i znów musiałam się narodzić.

Minęło kilka minut, a jego wciąż nie było. Zaczęłam się niepokoić. Nie wiedziałam, dokąd miałam iść, znajdowałam się najprawdopodobniej kilka godzin jazdy od Robina i naszego samochodu. Sprawdziłam komórkę. Wciąż nie dawała znaku życia. Rozejrzałam się ostrożnie. Wyjście tunelu mieściło się w osuwisku wielkich skał, chyba bazaltowych, wokół gęsto rosły drzewa iglaste. Powietrze pachniało mchem i wilgocią. Było zimniej niż po drugiej stronie jaskini i bardziej mokro.

Siedząc przy wyjściu z tunelu, zastanawiałam się, co zrobię, gdy Iben się nie pojawi. Bo na przykład tunel go zmiażdży. Albo dlatego, że wcale nie zamierzał do niego wejść, pozbył się mnie i miał z głowy. Może wcale nie byłam tam, gdzie się spodziewałam trafić. Wytarłam chusteczką brudne kolana; na prawym w dżinsach zrobiła się dziura. Kurtka motocyklowa była cała, choć czułam, że łokcie są poocierane. Miałam ze sobą wodę, broń, komórkę, która mogła działać po wyjściu z lasu, jakieś podstawowe zapasy jedzenia, bo nauczona wczorajszym doświadczeniem zwinęłam Ibenowi to i owo. Przeżyję i wrócę, gdzie chcę wrócić. Ale trochę się martwiłam o Akuszera.

Wpatrywałam się w szczelinę, z której wypełzłam kilka już minut temu, zaklinając, by się w niej pojawił. Nie spodziewałam się, że usłyszę jego głos z góry. Stał na szczycie osuwiska, świeżutki i czysty.

– Rusz tyłek, panienko, nie mamy całego dnia! – zawołał.

Wspięłam się do niego. Gdybym wiedziała, że będę się gdziekolwiek wspinać, wzięłabym lepsze buty. Motocyklowe sprawdzały się na motocyklu i gdy należało skopać komuś tyłek, ale nie miały odpowiedniej elastyczności podeszwy czy bieżnika, by nadawały się do wspinaczki. Kamienie były śliskie i gładkie, trudno było znaleźć uchwyt dla dłoni. Mimo to, posapując, wdrapałam się na szczyt i stanęłam przy Ibenie.

– To nie było jedyne przejście, prawda? – zapytałam.

– No pewnie, że nie. Chyba nie myślisz, że zmieściłbym się w tej króliczej norze – odparł i uśmiechnął się złośliwie.

Miałam ochotę zepchnąć go w przepaść. Nie zginąłby, nie z jego boską magią, ale złamany nos mógłby mi w tym momencie dostarczyć sporo satysfakcji.

– Nie morduj mnie w myślach, panienko. Tylko ja wiem, gdzie leżą wszystkie twoje odpowiedzi.

Zacisnęłam zęby.

*

Wedle tablicy informacyjnej, którą minęliśmy jakąś godzinę temu, kiedy wyszliśmy z lasu na szlak turystyczny, Preikestolen to taras widokowy o wysokości sześciuset czterech metrów nad poziomem morza. Mieliśmy przed sobą niecałe cztery kilometry wędrówki – ot, spacerek. Niestety w rzeczywistości nie wyglądało to tak różowo.

Żwirowy szlak już po kilkunastu metrach zaczął się zmieniać w coś, co wyglądało jak plac zabaw dla olbrzymów. Wyobraziłam sobie stado gigantycznych przedszkolaków rozrzucających tysiące bazaltowych klocków i układających z nich schodki, murki i kaniony. A potem najwyraźniej stracili zainteresowanie zabawą. Część konstrukcji się zawaliła, reszta została.

Szlak wiódł przez wypiętrzenia skał, przywodzących na myśl monstrualne schody. Niektóre stopnie były niemal naturalnych rozmiarów, kompatybilnych do ludzkiego wzrostu, inne sięgały mi powyżej pasa i musiałam się podciągać albo obchodzić je łukiem, gdzie z mniejszych kamieni ułożone były dodatkowe stopnie.

To mogła być wspaniała przygoda, naprawdę. Potrafiłam docenić rześkie powietrze pachnące lasem iglastym, zieleń świeżą i wilgotną, strumyki tak czyste, że można było z nich pić, co zresztą turyści robili. Doceniałam wypoczynek w plenerze, bo dawno już nie spędzałam czasu w ten sposób. Nie brakowało mi kondycji ani siły, a jednak wściekle się męczyłam. Gdybym wiedziała, co mnie czeka, ubrałabym się zupełnie inaczej. Buty ślizgały mi się po gładkich głazach, a twarda podeszwa utrudniała wspinaczkę, nie miałam kijków ani rękawiczek, torba przy każdym kroku obijała mi się o biodro. Po pół godzinie byłam spocona i zmęczona.

I wtedy zaczęło padać. Drobna mżawka przeszła w deszcz, a ten w ulewę. Włosy przyklejały mi się do twarzy i zasłaniały oczy. Kurtka stanowiłaby jakąś ochronę, ale nie mogłam jej zapiąć, bo wtedy za bardzo krępowałaby mi ruchy, więc przemokłam. Dżinsy lepiły mi się do nóg i usztywniały każdy krok z cichym cmokaniem. Temperatura szybko spadła o kilka stopni i czułam nadchodzące dreszcze. A buty stały się jeszcze większym przekleństwem niż do tej pory. Kilka razy wylądowałam na tyłku, raz uderzyłam ciałem o skałę, by uniknąć upadku w rozpadlinę. Łapałam się gałęzi i moje pokiereszowane w tunelu dłonie dostały jeszcze większy wycisk.

Mijali mnie turyści. I to było żenujące. Patrzyłam na tych cholernych norweskich emerytów w goreteksach, w butach trekkingowych, z kijkami i podgumowanymi rękawicami.

– Nie ma złej pogody, jest tylko złe ubranie! – zawołała do mnie starsza kobieta z dwoma psami na smyczy. Cholerne mopsy radziły sobie lepiej ode mnie. Bezmiar tego upokorzenia będzie mnie prześladował do końca życia.

Zagrzmiało. Huk przetaczał się nad naszymi głowami jak lawina głazów, niebo rozświetliła błyskawica. Wzdrygnęłam się. Burze nieodmiennie kojarzyły mi się z czkawką i przeraziłam się, że oto jestem na otwartym terenie, bez kręgu ochronnego i bezpiecznych ścian.

– Nie macie tu czkawki, prawda? – zapytałam Ibena. – Wiesz, przesilenia magicznego? Nagłych skoków napięcia, które zmienią nas w potwory? – dodałam, bo nie zrozumiał.

– Nigdy o czymś takim nie słyszałem. To tylko burza, Thor się wygłupia ze swoimi wilkami. Ale musisz mi więcej opowiedzieć o miejscu, w którym żyjesz, panienko.

Nie byłam w nastroju do rozmowy. Poślizgnęłam się na stromym podejściu i jeszcze raz otarłam dłoń do krwi. Wzdrygnęłam się na myśl o drodze powrotnej, kiedy będziemy mieli przeciwko sobie grawitację.

Iben radził sobie więcej niż dobrze. Nie sapał, nie przewracał się, nie potykał i nie ślizgał. Stąpał ciężko, rytmicznie, jakby szedł po równej powierzchni. Jego futro nie wydawało się przemoknięte, a włosy i broda wciąż nie wisiały w strąkach, choć moje można byłoby już wyżymać.

– Używasz jakiegoś zaklęcia? – zapytałam obcesowo.

– Masz jakieś konkretne na myśli? – spytał z miną urażonej niewinności.

– Wiesz, coś, co czyni dla mnie to wszystko trudniejszym. Albo dla ciebie podejrzanie łatwym – wyjaśniłam, bo nawet nieodpowiednie buty czy deszcz nie stanowiły usprawiedliwienia dla mojego fatalnego samopoczucia. Byłam odporna, byłam, do jasnej cholery, wytrenowana, by radzić sobie w trudnych warunkach, byłam silna jak muł i zdrowa jak koń, a teraz, przysięgam, drżałam z zimna, zaczęło mi siąpić z nosa i nie potrafiłam nie myśleć o tym, jak bardzo bolą mnie pokaleczone dłonie i kolana.

Wzruszył ramionami, ale gdy popatrzyłam mu w oczy, uciekł spojrzeniem.

Przez kilka minut szlak układał się łagodniej. Szliśmy szeroką na dobre półtora metra ścieżką między dwoma osuwiskami, a potem nagle znaleźliśmy się na otwartej przestrzeni, gdzie drzewa rosły w nieregularnych kępach.

– Nie schodź ze ścieżki – powiedział Akuszer. – Są tu grzęzawiska, zwłaszcza gdy pada.

Ścieżka, wyłożona szerokimi na stopę i długimi na metr deskami, biegła miękkim łukiem, z lekkim tylko nachyleniem w górę. Łatwizna. A jednak mięśnie paliły mnie z każdym krokiem. Coś było nie tak. Czułam się jak wtedy, kiedy przez dwa dni nic nie jadłam i metabolizm zaczynał zużywać mięśnie. Ale przecież jadłam nie tak dawno… Może coś zabierało znacznie więcej energii, niż podejrzewałam? Może to tunel? Wyciągnęłam z torby zwinięte z kuchni Akuszera ciasteczka śniadaniowe. Przeżuwałam, nie przerywając marszu, ale nie poczułam się lepiej. Deski się skończyły i znów szliśmy niezbyt stromą ścieżką, między dwiema skalnymi ścianami. W pewnej chwili musiałam się zatrzymać, bo poczułam, że jeśli tego nie zrobię, zwymiotuję. Skuliłam się, obejmując brzuch dłońmi. Oczy zaczęły mnie szczypać. Czułam się bezradna, chora i słaba. I nie podobało mi się to ani odrobinkę.

I znów się odezwał. Pan B., taki cichutki i grzeczny, odkąd przepłynęliśmy Bałtyk, teraz wyrywał się na zewnątrz. I zrozumiałam, że chce pomóc, tylko zupełnie nie wie jak. Nigdy się nie pojawiał, jeśli moje życie nie było zagrożone albo w żyłach nie kipiała mi adrenalina. Dlaczego reagował na coś, co z jego perspektywy było górską przechadzką?

Spojrzałam na swoje dłonie. Skóra na ich wnętrzu zrobiła się sinofioletowa, paznokcie również. Nauczyłam się to kojarzyć ze skrajnie niskim poziomem cukru, kiedy moje ciało ciągnęło na oparach. Na bogów, ale przecież chwilę temu zjadłam paczkę ciastek, dobre czterysta sześćdziesiąt kalorii…

Pan B. się niecierpliwił. Ręce drżały mi już nie tylko z zimna i osłabienia. Krew szumiała mi w uszach, pot spływał wzdłuż kręgosłupa. Rozejrzałam się w panice. Turyści, tyle przypadkowych osób! Rodziny, dzieci, pieprzone mopsy! Nagle przypomniałam sobie, co Pan B. zrobił u Larsa w podobnej sytuacji. Wyciągnęłam notes i odnalazłam kartkę ze skopiowaną runą. Ale nie byłam w stanie jej skopiować! Linie tańczyły mi przed oczami, nie łączyły się w żaden wzór, mieszały się jak szkiełka w kalejdoskopie. Uderzyłam plecami o skałę, i jeszcze raz, i znów,

w nadziei, że ból pomoże mi odzyskać kontrolę. Nie miałam komory. Nie miałam runy. Wszczep przestał działać. Byłam w dupie, czarnej dupie, pod norweskim niebem.

Chciałam wpełznąć w najciemniejszą jamę i tam przeczekać to, co nadchodziło, a czego nie potrafiłam powstrzymać. Pan B. ryknął mi w głowie. To był dziwny dźwięk. Nie słyszałam w nim agresji, raczej strach, złość, frustrację. Może był tak samo sfrustrowany mną, jak ja czasami bywałam sfrustrowana nim.

– Iben! – zawołałam, bo nieznacznie mnie wyprzedził. – Cokolwiek robisz, przestań!

– Pośpiesz się, mniej niż godzina i będziemy na górze! – zawołał.

Opadłam na kolana. Nie miałam godziny. Zawładnęły mną dreszcze, trzęsłam się jak w delirce. To nie Pan B. dorwał się do kierownicy. Cokolwiek się działo, był wobec tego równie bezradny jak ja. Oczy uciekły mi w głąb czaszki, straciłam równowagę i uderzyłam potylicą o skały. Jakby mnie ktoś potraktował paralizatorem. Nagle prąd usztywnił mi mięśnie, przykurczył ramiona, nie mogłam kontrolować swojego ciała.

Gdy otworzyłam oczy, Iben wisiał nade mną cały rogaty i futrzano-
-liściasty, z głębokim marsem na czole. Przytrzymywał mi głowę i podtykał manierkę do moich ust.

– Pij to, do cholery, dziewczyno! – powtarzał.

Zrobiłam łyk, nie mając pojęcia, co to jest ani co się dzieje.

– Pij do dna! I nie waż mi się tu zasypiać! – wrzasnął, gdy przymknęłam oczy.

Napój był słodki i gęsty. Miód. Znowu miód, znowu pszczoły. Zmarszczyłam czoło. Przecież zauważyłabym, gdyby coś mnie ugryzło.

– Co się dzieje? – szepnęłam między łykami. – Czemu mi to robisz? Musisz przestać!

– Co?

– To mnie osłabia. Nie zdołam powstrzymać przemiany. Tylu ludzi… Kiedy on przejmie stery, nie powstrzymam go. On to wie, nie chce ich wszystkich zabić, rozumiesz? Rozumiesz? – powtórzyłam, widząc po jego twarzy, że nie, nie rozumiał.

– Czy ty mówisz o berserku? – zapytał w końcu.

Pokiwałam głową. Wiedział, kim jest mój ojciec, a w tej sytuacji nie miałam siły na tajemnice.

– I mówisz, że on nie chce ich wszystkich zabić?

Znów skinęłam i natychmiast pożałowałam, bo pod powiekami wybuchły mi fajerwerki.

Iben wstał i podniósł mnie na nogi, jakbym nic nie ważyła. Musiałam się na nim podeprzeć, by nie upaść.

– Spokojnie, przejdziemy tylko dwadzieścia metrów, tam się tobą zajmiemy – powiedział uspokajająco.

Zataczając się, stawiałam krok za krokiem. Nie byłam w stanie unieść głowy, włosy zasłaniały mi twarz. Wreszcie Akuszer posadził mnie na drewnianej ławce, przy niewielkim stole piknikowym, jakie na szlaku mijaliśmy co kilka minut.

– Pij do dna – zarządził, stawiając przede mną metalową manierkę. – A ja się dowiem, co się dzieje, dobrze?

Skinęłam głową i sięgnęłam po naczynie. Ulepek smakował okropnie, ale z jakiegoś powodu zaufałam Ibenowi, kiedy zapewnił mnie, że mi to pomoże. Myślałam, że żołądek mi się zbuntuje na taką ilość słodyczy, ale przyjął ją z zaskakującą wdzięcznością. Dłonie przestawały mi drżeć. Otworzyłam szerzej oczy.

Cokolwiek było w tym miodzie, zapragnęłam przepisu albo stałej dostawy do Warsu. Kiedy dochodziłam do względnej przytomności, Akuszer rozłożył na blacie stolika wyciągnięty z plecaka skórzany tobołek. Rozwinął go w okrągłą planszę z wypalonymi wzorami układającymi się w kształt labiryntu i z runami wyznaczającymi różne jego punkty. Na środku leżała kupka białych ludzkich kości, prawdopodobnie paliczków. W każdej widniała maleńka dziurka, przez którą pewnie dało się przewlec nić. Przypomniałam sobie o sznurze kostnych koralików w samochodzie i drugim, który Akuszer spakował do plecaka. Nie wiedziałam, jaką magią władał, ale potrzebował sporo ludzkich kości.

Akuszer zgarnął je w dłoń, pogrzechotał nimi chwilę, po czym rozsypał je po labiryncie. Wypalone linie rozjarzyły się, a kilka run zamigotało srebrem – kolorem, którego nie było na skórzanej planszy. Akuszer zaklął, pozbierał kości i rzucił nimi jeszcze raz. Ułożyły się inaczej, ale w labiryncie błysnęły te same linie i te same runy podbiegły tym razem czerwienią. Intuicyjnie wyczułam, że to nic dobrego. Mamrocząc coś pod nosem, rzucił kośćmi jeszcze raz, a gdy wynik znów go zirytował, uderzył pięścią o stół, aż kości podskoczyły, a ja się wzdrygnęłam.

– Nie będą mi patałachy wchodzić w drogę, skurwysyny zawszone! Jak on śmiał! Niegodna kanalia! I ten drugi! Z kamieniem się na głowy

zamienił, już ja mu kości policzę! – mamrotał do siebie, zwijając skórę w sakiewkę i okręcając ją rzemykiem, by kosteczki się nie pogubiły.

– Nie myślałam, że znasz takie słowa – powiedziałam cicho.

Skąd się we mnie brał ten spokój? Był, rozrastał się miękkością puchu i ciepłem kominka. Jego złość mnie ukoiła. Może niesłusznie, ale odnalazłam w niej otuchę.

– Oj, znam ich mnóstwo, panienko, a jeden z drugim usłyszą, co mam im do powiedzenia, możesz być pewna. Chodź, potrzebujemy płynącej wody, natychmiast.

Na szczęście płynącej wody było tu od groma. Iben wszedł między drzewa, ciągnąc mnie za sobą, i po kilkunastu krokach, kiedy staliśmy się niewidoczni dla turystów, zatrzymał się nad strumykiem. Wypływał spomiędzy głazów na rumowisku jakieś trzy metry nad moją głową i sunął między kolejnymi głazami, to pojawiając się, to znikając. W najszerszym miejscu osiągał szerokość pół metra.

– Stań w wodzie – zarządził Akuszer.

Stanęłam. Nie miałam złudzeń – jeśli przemoczę buty do cna, niewiele się zmieni, bo tak czy siak było do dupy.

Akuszer wyjął z kieszeni kurtki fajkę, uklepał w cybuchu prymkę tytoniu i zapalił za pomocą zapałki. Zaciągnął się raz i drugi, pykał, aż liście rozjarzyły się czerwienią. Nabrał dymu w usta i dmuchnął mi nim w twarz. Zakasłałam, bo był ostry jak kwas siarkowy.

– Palenie zabija, wiesz? – mruknęłam, ocierając łzawiące oczy.

Zignorował mnie. Patrzył nie na mnie, lecz przeze mnie. Okrążył mnie, przestępując nad płynącą wodą i robiąc kółeczko z dymu – zbyt ruchliwego, by kształt mógł się utrzymać, mimo to poczułam, że Iben zamyka krąg mocy wokół mnie. Szeroko rozłożył ramiona, odchylił głowę do tyłu i zaczął mruczeć. Gęste brązowe futro i rogi sprawiały, że wyglądał jak skrzyżowanie niedźwiedzia grizli z baranem górskim. Mruczana melodia gęstniała, a gdy dotarł to niezwykle wysokiego dźwięku, potrząsnął uniesionymi wnętrzem do góry dłońmi. Zamarł w bezruchu i zaintonował tę samą mruczankę od nowa, ale tym razem wspak, od najwyższego dźwięku do najniższego. Zaklaskał i strzepnął dłońmi, jakby były mokre. W gęstwinie brody zamigotał mu złośliwy uśmiech.

Zrobił krok w moją stronę i złapał mnie obiema dłońmi za głowę. Zabolało, poczułam ostre szarpnięcie, lecz gdy tylko zabrał ręce,

nieprzyjemne wrażenie ustąpiło. Wykonywał ruch, który kojarzył mi się z nawijaniem motka.

I nagle ją zobaczyłam – cieniuteńka srebrna nić okręcała się wokół jego palców tak długo, aż nawinął spory kłębuszek. Gdy pociągnął ją energicznie, znów mnie zabolało, ale sekundę później poczułam się dużo lepiej. Wyprostowałam się zaskoczona, zdając sobie sprawę, że ból mija, a moje ciało odzyskuje siły. Pan B. wiercił się niecierpliwie, najwyraźniej podekscytowany tym, co się działo.

Mimo to Akuszer nie kończył. Z innej przepastnej kieszeni wyciągnął drewnianą fujarkę i przez chwilę wyglądał jak faun. Ale gdy zagrał, nie popłynęła sielska melodyjka pod wino i bachanalia. Nie miałam pojęcia, że z tego instrumentu można wydobyć tak kategoryczne, niemal wojenne dźwięki. Odgłos był niski, wibrujący, ostro wznosił się i opadał, by nagle się urwać. Echo melodii wciąż wibrowało między drzewami, uderzając we mnie z natarczywością małych młoteczków stukających w szklaną ścianę, do skutku. I nagle usłyszałam dźwięk pękającego lodu. Odłamki, choć ich nie widziałam, spadały z pluskiem do strumienia, a woda nagle zabarwiła się na biało, jakbym wylała do niej mleko.

– To do niego wróci. No, mamy to za sobą. Jak się czujesz? – zapytał Iben.

– Naprawdę dobrze – odparłam po namyśle. – Jak ja. Nie jak wyprany w pralce kociak.

Uniosłam dłoń. Ani śladu drżenia. Mięśnie przestały piec, żołądek nie przewracał mi się w zapowiedzi torsji. Byłam przytomna i nie czułam słabości, która chwilę temu przetrąciła mi kolana.

– Co to było? – zapytałam. Jeśli coś mnie tak znokautowało, musiałam wiedzieć, czym było.

– Suma nieszczęść. Twój ojciec, kanalia i parszywy tchórz, przeklął cię. Wiedziałaś o tym?

– Nie dziwi mnie to. – Wzruszyłam ramionami. – A co dokładnie miał na myśli?

– Im bliżej się go znajdowałaś, tym byłaś słabsza. Bał się ciebie, panienko, co to tego nie mam wątpliwości. Wolał cię spętać, niż stawić ci czoła. Tchórz!

Splunął na kamienie u swych stóp. Cóż, wolałabym, by w tym miejscu leżał trup Ernsta, ale wszystko przed nami.

I nagle przypomniałam sobie chwile, które spędziłam u niego w niewoli. Bezradność i słabość. I Pana B., który siedział cicho, choć przecież już wtedy powinien nastąpić przełom. Stres, ból, adrenalina, wściekłość – spełnione były wszelkie warunki przebudzenia. Mimo to nastąpiło dopiero następnej nocy, gdy śniłam o Ernście. Pan B., spóźniony na imprezę. Czy to był przypadek? Czy może raczej efekt zapobiegliwości mojego ojca?

A to by znaczyło, że wiedział, kim jestem. Wiedział, że jestem taka jak on, i zupełnie nic to nie zmieniło. Skurwysyn, z całym szacunkiem dla mojej babki.

– Wedle naszego prawa to należy do ciebie i możesz tego użyć jak chcesz – powiedział Akuszer i wręczył mi srebrny kłębuszek pajęczej nici.

– Czy to jest wielorazowego użytku? – zapytałam mściwie.

– Nie inaczej.

Podobała mi się ta myśl.

– A kim był drugi głupiec? – zapytałam ciekawa, komu jeszcze podpadłam.

– Aisberg – znów splunął. – Musiał ci ukraść krew, skoro zdołał rzucić klątwę. Jest olbrzymem gór, z każdym krokiem odbierał ci siłę. Ale woda niszczy nawet najtwardszą skałę.

– Chcesz powiedzieć, że ten tunel skrótu nie powinien mnie miażdżyć i upuszczać krwi?

Uniósł brwi.

– Wracamy samochodem, zadzwonię po Robina albo zamówię taksówkę. Nie wejdę raz jeszcze do tunelu – stwierdziłam stanowczo.

– Tym się nie martw. Przysięgam, że nie wrócisz tunelem – za-
pewnił.

– Nic mu nie zrobiłam – powiedziałam po chwili, zaskoczona tym odkryciem.

Owszem, zdarzało się, że ludzie mnie nienawidzili i chcieli mnie zabić, ale zwykle mieli konkretny powód. Na przykład nie pasowała im moja osobowość, albo to, że mierzę im w skroń – klasyka.

– Ale nienawidzi twojego ojca jak zarazy.

– Nie ma to jak dostać się w krzyżowy ogień miłości, nie?

– Przeżyłaś. A Aisberg pożałuje, wierz mi. Wiedział, że jesteś pod moją opieką.

Uwierzyłam. Miałam być może dzień naiwniaka, ale uwierzyłam. Gdyby chciał mnie widzieć martwą, już dawno by do tego doprowadził.

– To co? Idziemy dalej czy już skończyłeś mnie testować i odpowiesz na moje pytania?

Pokręcił głową z uśmiechem.

– Panienko, choćbym chciał, to nie moje zadanie. Ale jesteśmy już niedaleko.

I byliśmy. Pół godziny później wdrapałam się na szczyt. Szeroki na dwadzieścia metrów taras górował nad przepaścią. Sześćset metrów niżej wody Lysefjordu połyskiwały turkusowo. Turyści podchodzili prawie do samej krawędzi i robili sobie zdjęcia bez strachu. Ja wolałam zachować ostrożność. Coś było w powietrzu. Iskrzenie jak przed letnią burzą.

Rozglądałam się po twarzach Norwegów w najróżniejszym wieku, podświadomie szukając kogoś, kto znałby odpowiedzi. Nikt nie rzucał się w oczy. Ot, zwyczajni emeryci, matki, dzieci, roześmiani młodzi mężczyźni, dumni z tego, czego dokonali – wspięli się na ambonę, mogą wracać. I wracali. Tymczasem Akuszer przysiadł na kamieniu z widokiem na przepaść, ale w bezpiecznej odległości od krawędzi. Wyciągnął prowiant, poklepał wolne miejsce koło siebie i poczekał, aż podejdę. Wyglądało na to, że mieliśmy mieć piknik na dachu świata.

– Czy to koniec testu? – zapytałam, biorąc od niego kanapkę.

– To dopiero początek. Ale świetnie sobie radzisz, panienko.

– Wiesz, że irytujesz mnie za każdym razem, kiedy się tak do mnie zwracasz?

– Oczywiście. Ale irytacja kruszy maskę, więc to było potrzebne, Nikito. To miejsce ma dziesięć tysięcy lat. Mówią, że to mróz sprawił, że skała pękła i zostawiła ambonę, lecz to nie do końca prawda. Jeden z olbrzymów stworzył to miejsce jako bramę, ziemską wersję mostu Bifrost.

– Czyli wiedzie do Asgardu? – zapytałam zaskoczona.

– Nie inaczej. A ty musisz przez nią przejść.

Wkroczyć w świat bogów, których nie wyznaję i wśród których nie mam ochrony. W ramiona mojego ojca, bo nagle zrozumiałam, że skoro zaklęcie się uaktywniło, zbliżałam się do niego z każdym krokiem.

– Pójdziesz za mną? – zapytałam odruchowo.

– Spotkamy się na miejscu, ale przez most musisz przejść sama.

Kiwnęłam głową, domyślając się, co to znaczy.

– Możesz też zawrócić. Na dole wynajmiemy samochód, pojedziemy do domu, skoczymy na ryby. A potem wrócisz do swojego życia i swoich spraw.

– Bez odpowiedzi.

– Mówiłem już – to nie ja ci ich udzielę. Przykro mi. Nawet gdybym chciał.

– Przebyłam długą drogę, by je zdobyć.

– Tak. Ale nie mogę ci zagwarantować, że się nie rozczarujesz i zamiast wolności znajdziesz niewolę. Rozumiesz? Prawda nie zawsze wyzwala.

– Ale niewiedza nigdy nie jest wolnością, prawda?

– To za trudne na moją starą głowę. Ja ledwie czytam. – Uśmiechnął się ciepło i poklepał mnie po ręce. – Ty zdecydujesz, panienko. Tu nie ma złych decyzji, są tylko te lepsze i bezpieczniejsze. Rób to, co uważasz za najlepsze dla siebie.

– Czy na moim miejscu potrafiłbyś odejść? – zapytałam, wpatrując się w bezkres nieba.

– Nie wiem. Chciałbym. Raz już dostałem po nosie, życząc sobie czegoś, czego nie powinienem chcieć.

– Huldra nie przestała cię kochać przez to, kim się stałeś. To, że nie jesteś człowiekiem, stanowi pewną przeszkodę, ale może nie poprosiłeś o wszystko, co mógłbyś dostać – powiedziałam zamyślona.

Pocierał nos, zastanawiając się nad tym, co usłyszał.

– Ciekawe. Pomyślę o tym. Więc jaka jest twoja decyzja, panienko?

– Oferta wycofania się byłaby może bardziej kusząca, gdybyś znów nie planował wypadu na ryby. Wszystko jest lepsze niż powtórka tej nudy. I nie ma mowy, bym wracała na dół w tych butach. – Uśmiechnęłam się do niego i wstałam.

A potem pobiegłam w stronę urwiska. Wybiłam się stopami z krawędzi ambony i skoczyłam. Wiatr spowolnił upadek, jakbym była za lekka, by przeciwstawić wagę oporowi powietrza. Szybowałam z rozrzuconymi ramionami. Przez ułamek chwili czułam się absolutnie wolna.

Wtedy zaczęłam spadać jak kamień.

Rozdział 19

Zaatakowałam jeszcze na granicy świadomości. Okręciłam ramię wokół szyi napastnika, którego oddech poczułam na twarzy, przerzuciłam go na plecy i przygniotłam własnym ciałem.

Hmmm, coś za lekko mi poszło. Uniosłam powieki i zamrugałam. Wielkie jak spodki oczyska otoczone sztywnymi rzęsami podejrzanie lśniły wilgocią. Dolna warga drżała niebezpiecznie i wiedziałam, że za chwilę uderzą we mnie decybele zdolne przebić błonę bębenkową. Raz, dwa… nawet nie doliczyłam do trzech, kiedy stworzenie zalało się łzami i zaniosło przeciągłym: „Maaaaa-
maaaaa!”. Odskoczyłam jak opatrzona. Tym bardziej że mój półprzytomny mózg ogarniał sytuację na tyle, by zrozumieć, kto przybędzie na wezwanie. Dwa rzędy ostrych zębów i rząd kostnych wypustek na podniebieniu, które zobaczyłam, gdy bachor zaczął się drzeć, odrzucając głowę, stanowiły niezłą wskazówkę.

Stworzonko mogło mieć dwa lub trzy lata i wciąż było na etapie pulchnych rączek i nóżek, pucułowatych policzków i dołeczków, ale było trollem. Zutylizowałam z ich pomocą wystarczającą liczbę zwłok, by doskonale zdawać sobie sprawę, że są ludożercami z powołania i wyboru. Zostaw im ciało, wróć za dwie godziny i nie znajdziesz nic poza rachunkiem do zapłacenia. W przeciwieństwie do ghuli miały dość dobrze rozpracowaną biznesową stronę przedsięwzięcia i nie przejmowały inicjatywy, gdy zaczynał im doskwierać głód. Mogły żywić się czymkolwiek, byle mięsnym, potrafiły polować, ale nade wszystko uwielbiały smak ludziny. Raczej nie mordowały, albo nie łapano ich na tym wystarczająco często, by wyrobiły sobie odpowiednią reputację, ale padlina to inna sprawa.

A ja musiałam dla tego trollątka wyglądać jak padlina. Rozejrzałam się dookoła, próbując się zorientować, gdzie właściwie jestem i co się dzieje. I czemu jeszcze nie rozszarpuje mnie wściekła trollica, przekonana, że skrzywdziłam jej młode.

Pamiętałam skok, lot i brutalne zderzenie z warstwą lodowatych chmur, które zamroziły mi powietrze w płucach. A potem upadłam. Mocno. Szłam o zakład, że ten most nie był specjalnie popularną drogą do Asgardu. Może i nie spotkałam strażnika Hajmdala, ale nawet walka z nim byłaby chyba mniejszą traumą niż ekstremalnie twarde lądowanie.

Z całą pewnością nie była to równina Idawall, na którą schodzi się z Bifrostu. Tam nie ma owocowych drzew, więc ten „most” musiał wieść do innej części krainy. I być może został stworzony dla tych, którzy potrafili latać albo mieli na podorędziu powozy, bo nie chciało mi się wierzyć, że chcieliby lądować na tyłku po każdych odwiedzinach. I cholera wie, jak wracaliby na ziemię – czy do Midgardu, jak nazywali ją miejscowi.

Tak, dopiero teraz przyszło mi to do głowy.

– Czemu właściwie dręczysz trolla? – usłyszałam za swoimi plecami.

Obróciłam się tak szybko, że zabolały mięśnie karku.

– Jedyna udręka, jaka go spotkała z mojej strony, polega na tym, że nie dałam się zjeść – wyjaśniłam.

Kobieta uśmiechnęła się szeroko.

– Okrutna – powiedziała, a potem pochyliła się nad dzieckiem i rzekła: – Valde jeździ na dziku!

Trollątko przestało się drzeć, patrzyło tymi wielkimi czarnymi oczyskami na kobietę, jakby miała klucze do Disneylandu, i powiedziało ze stanowczością typowego przedszkolaka:

– Isma chce na Hildisvini!

– To lepiej biegnij, póki Hildisvini się nie znudzi wożeniem was na plecach!

Straciła całe zainteresowanie mną, czy w zasadzie moją polędwicą. Pobiegła, tupiąc jak słoniątko, i już w drodze zaczęła się wykłócać, że teraz jej kolej, choć żadnego chłopca i dzika nie było w zasięgu wzroku.

Zdołałam wstać. Chyba sobie nic nie złamałam. Nawet ramię i obojczyk nie bolały bardziej niż reszta ciała. Postęp.

Kobieta uśmiechała się do mnie w taki sposób, że wyobraźnia podsuwała mi fantazje o kwitnących wiśniowych drzewach, zapachu zielonych jabłek i słodyczy pierwszych pocałunków. Rozpoznałam magię i przypisałam ją do bóstwa.

Była trochę wyższa ode mnie, ale niewysoka jak na boginię. Lekko kręcone czarne włosy sięgały do linii ramion, nad czołem przytrzymywała je złota opaska z listków i połyskujących klejnocików ułożonych w rozetki.

Powiedzieć o tej kobiecie, że była piękna, to nie oddać jej sprawiedliwości. Piękno zawsze ma w sobie ten jeden okruch lodu i uniwersalność, które odbierają mu indywidualizm. Ona nie była piękna – była śliczna, pachniała miłością i upajała ciepłem. Jej wielkie niebieskie oczy były pełne uśmiechu i życzliwości, nieznośnie uwodzicielskiej mieszanki. Miała zadarty nosek i górną wargę nieco pełniejszą od dolnej – cholernie seksowne. Jak nadąsana Francuzeczka, z włosami prosto z łóżka, bez makijażu, patrzyła na mnie zza ciemnej firanki rzęs, a mnie zasychało w ustach.

Splotła ramiona na piersi i wysunęła nogę, tak że między fałdami przepasanej złotym pasem fioletowej sukienki błysnęło kolano. Miała figurę Marlin Monroe, która dała sobie spokój z wieczną dietą i lewatywami. Wyraźnie krągła, z pełną piersią, biodrami i tyłkiem odznaczającym się wyraźnie pod lejącą się tkaniną sukni. Była boso. Na bogów, mogłabym skończyć jako jej seksualna niewolnica, jeśli nie robiło jej różnicy, czy czczą ją chłopcy, czy dziewczynki.

– I jakie wnioski? – zapytała.

– Nieźle. Wysoko ustawiasz poprzeczkę innym boginiom płodności – powiedziałam z całą powściągliwością, na jaką było mnie stać.

Uśmiechnęła się, wyraźnie zadowolona z odpowiedzi.

– Mogłabym jeszcze posłuchać, co masz mi do powiedzenia, bo podoba mi się, co sądzisz o moim doskonałym tyłku, ale czekają na ciebie. Trochę cię zniosło, widać albo jesteś lżejsza niż większość z nas, albo szybowałaś. Pomyślałam, że cię poszukam, zanim dasz się zjeść dziecku i zmarnujesz plany, jakie poczyniłyśmy na popołudnie.

Policzki zapiekły mnie żywym ogniem. Czemu nigdzie nie napisano, że Freya czyta w myślach?

– Przecież gdybyś widząc mnie, śpiewała w myślach Marsyliankę, nie byłoby zabawy. Nie martw się, Ture wypadł znacznie gorzej. Ciebie zdradziła tylko myśl, jego również fizjologia. – Zaśmiała się, a ja się rozluźniłam.

Potrzebowałam dłuższej chwili, by oderwać od niej wzrok i rozejrzeć się po okolicy. Szanse, że zdołam się dostać na Preikestolen bez pomocy bóstw, były nikłe, więc nie liczyłam na powrót tą samą drogą, ale to mój nawyk: oszacować zagrożenie, zapamiętać szczegóły.

Wylądowałam pośrodku sadu. Stare jabłonie uginały się pod ciężarem owoców – jedne malutkich i zielonkawych jak papierówki, inne większych niż moje złączone pięści, nabrzmiałych sokiem i czerwienią. Było dużo

cieplej niż na ambonie. Nie padało, a słońce świeciło z intensywnością typową dla późnego lata czy bardzo wczesnej jesieni. Gdyby nie zależało mi na tym, by mieć wolne ręce, zdjęłabym kurtkę.

Freya szła, gibka i bosa, wymijając wiszące nisko gałęzie, a te zdawały się błagać, by je zerwała. Nie przesadzam – była życiem, wiedziały o tym nawet drzewa. Potrząsnęłam głową, próbując oczyścić umysł. Do mózgu docierało mi stanowczo mniej krwi niż zazwyczaj.

Sad płynnie przeszedł w przydomowy ogród. Po ścianie typowego skandynawskiego parterowego domu pięły się różowawe malwy i czerwone dzikie róże. Myślałam, że wejdziemy do środka, ale Freya skręciła na ścieżkę, która obiegała domostwo łukiem. Prawie czarne łupki, którymi była wyłożona, kontrastowały z soczystą zielenią zadbanych trawników.

Mgła pojawiła się nagle, jak cieniutkie pasemka waty cukrowej pełzające blisko ziemi, i z każdym krokiem było jej więcej. Plątała się między źdźbłami trawy, kłębiła nad ścieżką w puchatych formacjach, w różnych odcieniach bieli i szarości. Nie poczułam zimna nawet wtedy, kiedy przeszłam przez skondensowaną chmurę rozmiarów owcy. Wyczułam za to jej strukturę – niejednorodną, przywodzącą na myśl robótkę ręczną: jedną z tych z grubej jak palec włóczki, robionej na drewnianych drutach grubszych od kciuków. Kupiłam sobie kiedyś koc z takiej miękkiej wełny. Lubiłam sobie wyobrażać, że w zimowe wieczory zwijam się pod nim z książką i popijam czekoladę z piankami. Nie dotrwał do zimy – wróciłam z jakiejś roboty zakrwawiona i zmęczona i bezmyślnie usiadłam na kanapie. Krwi z jasnej wełny nigdy się nie dało sprać. Teraz niespodziewanie uderzyło mnie to wspomnienie fantazji, która się nie ziściła. Poczułam spokój i aromat świeżo pieczonego ciasta – rzeczy mi nieznane, a jednocześnie w jakimś stopniu upragnione. Już tu kiedyś byłam, choć nie pamiętałam szczegółów, ale dzięki Ture to wszystko nie wydawało się zupełnie obce. Uśmiechnęłam się. Już się domyśliłam, gdzie jestem.

Freya mnie powitała, ale to nie ona była tu gospodynią, choć prowadziła mnie pewnym krokiem, ze swobodą stałego bywalca. Nie znalazłam w Eddach ani kronikach wzmianki o tym, że czyta w myślach, ale sporo wiedziałam o jej pałacu. Ten skromny dom jednorodzinny z pewnością nie był Folkwangiem. Nie było miejsca na zastępy wojowników, których Freya gromadziła na polach bitwy i którzy mieszkali na jej dworze. Poza tym tylko jedna bogini potrafiła tkać chmury.

– No widzisz, kiedy się nie rozpraszasz, myślisz całkiem sprawnie – powiedziała Freya. – Owszem, moi wojownicy stanowczo by się tu nie zmieścili. Siedzieliby ściśnięci jak sardynki, a ja lubię, gdy mogą pokładać się w malowniczych grupkach.

Zaśmiała się z własnego żartu. Mogła pozować na śliczną zabaweczkę, która gromadzi wojowników w celach estetycznych i lubieżnych, ale wiedziałam, że to tylko pozory. Jeśli był w Asgardzie ktoś, kto mógł się równać potęgą wojskową z Odynem, to właśnie ona.

Na przydomowym tarasie zauważyłam ławy, wielki stół mogący pomieścić trzypokoleniową rodzinę, huśtawkę kołyszącą się na łańcuchach, kamienne palenisko i wielkie donice kipiące kwiatami.

Jedynym, co nie pasowało do otoczenia tego na pozór typowego skandynawskiego domu, były wielkie krosna zajmujące spory kawałek tarasu, zarzucone zwojami puchatej, biało-szarej tkaniny chmur.

– No jesteście wreszcie – powiedziała Frigg, wyłaniając się zza tarasowych drzwi z dzbankiem soku i szklankami w dłoniach. – Już są! – zawołała, odwracając się do wnętrza domu.

Wyglądała jak w mojej sennej wizji. Nawet korona z białych warkoczy zdobiona wstążeczkami szeleszczącymi przy każdym kroku, haftowana bluzka i spódnica były takie same.

– Erynia! – usłyszałam wrzask, a po chwili ledwie oddychałam w ciasnym uścisku.

– Ture – warknęłam ostrzegawczo – pamiętasz, jak ci strzeliłam w głowę? Nazywaj mnie tak dalej, a powtórzę zabawę.

– Przepraszam, Nikito! Lepiej? – zapytał, lekko tylko luzując uścisk.

– I pół kroku do tyłu. Odbiło ci z tymi czułościami? Zabiłam cię, pamiętasz? Nie znamy się właściwie! Tylko najbliższym pozwalam na takie czułości.

– Czyli komu?

– Nikomu.

Wyszczerzył się w nieznośnie głupawym uśmiechu, jakby chciał mi zaserwować przyspieszony kurs o nazwie „Jak to jest mieć brata i dlaczego to nie jest takie przyjemne, jak myślisz”.

Dźgnęłam go łokciem raz i drugi, aż oddał mi trochę przestrzeni życiowej.

A towarzystwo nieoczekiwanie bardzo się powiększyło. Rozglądałam się, próbując przyporządkować twarze do imion. Spędziłam wiele tygodni

w bibliotece, czytając wszystko, co Kosma mi podtykał o Asach i reszcie germańskich bóstw. Nie pojmowałam, dlaczego tak mu na tym zależy, ale się upierał, że muszę wiedzieć jak najwięcej. Wzruszałam ramionami, bo choć byli to „nasi ludzie”, jak ich nazywał, to przecież nie wiedzieli o moim istnieniu i miałam pewność, że nigdy ich nie spotkam. A jednak dzięki jego uporowi i powtarzanemu aż do uprzykrzenia mottu: „Wiedza to klucz, a nie ciężar”, teraz zdawałam sobie sprawę, w jak doniosłej chwili uczestniczę.

Gardło zacisnęło mi się w jakimś nerwowym spazmie.

Oto patrzyłam na najważniejsze kobiety tego świata. W kwestiach religijnych mogłam być anarchistką, ale w żadnym razie ateistką – trudno bowiem udawać, że bogowie nie istnieją, skoro ma się pewność, że są jak najbardziej realnymi bytami. Mimo to żadnemu niczego nie przysięgałam ani nie składałam ofiar, żadne bóstwo nie miało w moim domu ołtarzyka, na którym paliłabym świeczki, nie modliłam się też do żadnego w chwilach słabości. Już nie. Zdarzył mi się w przeszłości jeden epizod, kiedy złamałam tę zasadę i prosiłam o pomoc każdego boga, który mi przyszedł na myśl, ale nie doczekałam się reakcji. Wtedy zaczęłam budować podwaliny mojej religijnej anarchii. Nie byłam bogom nic dłużna, skoro nie mogłam liczyć na to, że choć w najmniejszym stopniu poczują się wobec mnie zobowiązani.

Ale poza Freyą i Frigg miałam przed sobą trzy kobiety, które szybko powitałam pełnym szacunku ukłonem, rozpoznając w nich Norny. Możesz wyjść cało z konfrontacji z wieloma bóstwami, ale nie z nimi.

Była więc Urd, z twarzą naznaczoną czasem i charakterem, z ciemną, opaloną skórą, niemal białymi włosami spływającymi na ramiona w cienkich falach, przypominających chmury utkane przez Frigg. Była drobna, ale ciemne, prawie czarne oczy zdradzały żelazny charakter. Dzierżyła w dłoniach przeszłość – moją i każdego z nas.

Verdandi wyglądała na czterdziestkę, choć musiała mieć tysiące lat. Z mocną budową ciała i jasnoblond włosami związanymi w kucyk przypominała starszą siostrę, ale jej rysy były pełniejsze, skóra gładsza, oczy jaśniejsze i otoczone jedynie delikatnymi zmarszczkami mimicznymi. Podobnie jak Urd ubrana była w ciemnoszarą lnianą sukienkę sięgającą do ziemi, ale podczas gdy kreacja starszej z sióstr była bardzo prosta, wręcz ascetyczna, Verdandi obszyła swoją tkanymi krajkami i haftami, tak że prezentowała się wręcz odświętnie.

Skuld, najmłodsza z sióstr, mogłaby być moją rówieśnicą – strzelista, umięśniona, z ciemnymi włosami splecionymi w ciasny warkocz, pełnymi ustami wykrzywionymi w ironicznym uśmiechu i piwnymi oczami wyglądała jak uosobienie energii i temperamentu. Miała na sobie krótką, funkcjonalną sukienkę, dostosowaną do tego, by nosić na niej kolczugę czy pancerz. Oprócz tego, że władała przyszłością, była walkirią i ta niespokojna część jej charakteru uwidoczniała się w jej postawie i wyraźnym napięciu mięśni.

Ukłoniłam się, na co Urd skinęła głową, Verdandi uśmiechnęła się zachęcająco, a Skuld machnęła ręką, jakbym niepotrzebnie zawracała jej głowę protokołem.

– No siadajcie wreszcie – popędziła Frigg. – Czy choć raz możemy zachowywać się jak cywilizowana rodzina, a nie koczownicze plemię? Jak potem mam przekonać dzieci, by nabrały ogłady, skoro wszystkie dajecie im zły przykład? – marudziła, popychając nas w stronę ławek i stołu.

Dopiero teraz zauważyłam jeszcze jedną kobietę. Zerkała zza drzwi, jakby się wahała, czy wyjść z ukrycia.

– Nikito, to Saga – powiedział Ture. Objął mnie ramieniem i wyprowadził na taras.

Miałam wrażenie, że ten gest nie był przeznaczony dla mnie, ale dla kobiety, która wydawała się… nie, nie onieśmielona, raczej wystraszona.

– Sago, to jest moja siostra, która, jak ja, nie ma nic wspólnego z naszym ojcem. Saga ma z nim złe doświadczenia – dodał, zwracając się do mnie.

Bez zastanowienia zrobiłam krok w jej stronę i wyciągnęłam dłonie, obracając je, tak by zobaczyła, jak są okaleczone. Zwykle tego nie robiłam – do perfekcji opanowałam układanie rąk w taki sposób, by obrażenia nie rzucały się w oczy. W Zakonie zwykle chodziłam w rękawiczkach z ukrytymi pod skórką protezami małych palców. Ale w tym momencie poczułam, że zasłona nie jest już ochroną, a ścianą między mną a Sagą. A coś w postawie Ture podpowiedziało mi, że nie potrzebuję tej ściany.

Zawahała się, lecz podała mi dłoń. Okaleczoną w ten sam sposób. Skinęła, jakby usłyszała w głowie moje niewypowiedziane pytanie. Tak, mój ojczulek miał swój „podpis”, co doskonale pasowało do jego psychopatycznej osobowości.

– Przyjdzie dzień, gdy wszystko do niego wróci – powiedziałam tylko.

– Skuld mi to obiecała – odparła.

Miała delikatny, niemal dziecięcy głos. Kiedy zeszła z progu na trawę, uświadomiłam sobie, jak jest niewielka – mierzyła może sto pięćdziesiąt pięć centymetrów, jeśli nie mniej. Była delikatna i drobnokoścista i nie wyglądała jak kobieta, która ma za sobą ciążę i poród, ale cóż, nie wszystkie kobiety po urodzeniu dziecka stają się nagle kapłankami Bogini Matki.

– Kto chce herbaty, kto soku? – zapytała Frigg, przerywając nasze milczenie i rozpraszając ciemność, która zagościła w naszych oczach, kiedy zaczęłyśmy myśleć o Ernście Szalonym. Mogłam się domyślić, czego od niej chciał ogar Odyna.

– Czy twój syn ma się dobrze? – zapytałam cicho, tak by tylko Saga mnie usłyszała.

Uśmiechnęła się z czułością.

– Szuka gdzieś guza, jak to chłopcy, ale nie, ani Odyn, ani Ernst nigdy nie zdołali go dopaść. Jest bezpieczny. Dzięki Frigg.

Mój brat przesunął się dyskretnie i szybko dodałam dwa do dwóch. Nie wiedziałam, czy było coś między nimi, ale z pewnością się nią interesował. Nie miałam pojęcia, jak teraz wygląda jego status ontologiczny. Na ziemi był trupem, to pewne, ale tu? Zastanawiające, że mógł się swobodnie poruszać i po Valhalli, którą odwiedzaliśmy w snach, i tu, po Asgardzie. Przychodził mi do głowy jeden sposób, by było to możliwe. Tyle że wtedy Ture przebywałby nie w domu Frigg, a u Odyna.

– Akuszer mówił, że masz wiele pytań i że nie odejdziesz bez prawdy – zagaiła Verdandi.

– Zmęczyło mnie to, że właścicielami mojej prawdy są wszyscy poza mną – przyznałam. – Zbyt długo karmiono mnie kłamstwami… Możecie mi zwrócić moją? – zapytałam, ignorując węzeł nerwów zaciskający mi się w żołądku.

– Nikt nie może ci oddać prawdy, sama musisz ją odzyskać – odparła Verdandi.

– Twoja matka namieszała – zaskrzeczała Urd. – Nie tylko poplątała wasze nici życia – skinęła na Ture – ale również w twoje nici wplotła zaklęcia, których nie powinno tam być. To jest mocna magia, nie nasza, myślę, że Sudliczki albo Dekli. – Cmoknęła, jakby między nią a jej słowiańską i łotewską odpowiedniczką były jakieś zaszłości. – Tych nici nie powinno się plątać, to złe dla duszy, tylko się szarpiesz jak mucha w pajęczynie.

– Co masz na myśli, mówiąc, że poplątała nasze nici? – zapytałam.

– Nie powiedział ci. – Pokazała kościstym palcem na Ture. – Patrzcie go, jaki dyskretny. Jakbym nie wiedziała, że Verdandi mu pozwoliła wchodzić w twoje sny i że powiedział ci więcej, niż powinien.

– Nie chciałem, by się czuła winna – wyjaśnił.

– A jaka w tym jej wina? – zapytała zdziwiona Urd. – To wasza matka zmieniła wyroki, nie wy. To ty miałaś zostać tutaj, ciebie poświęcili Odynowi, bo wyrocznia wiedziała, kim jesteś. Wiedzieliśmy, że Liliana odejdzie. Nici się rozdzielały. Ale miała odejść z chłopcem. Tyle że zachorował, a ty byłaś takim żywotnym i silnym dzieckiem, więc uznała, że z tobą ma większe szanse. Ale to już sama sobie przypomnisz, jeśli zdołasz zdjąć jej zaklęcie…

– Czy wiedziałaś, że jedno z nas zabije drugie? – zapytałam.

– Jak miałam nie wiedzieć? Toć nić się kończyła, Skuld miała u siebie ledwie skrawek dla niego. Tak było pisane i nie ma w tym twojej winy.

– Ale to moja nić miała być tą krótką.

– I niewiele by to zmieniło. Macie, co macie. Nie marnuj nici na gorzkie żale. Wcale nie masz jej nieskończenie wiele. Może nawet mniej, niż myślimy – dodała tajemniczo.

– Jesteś pewna, że musisz poznać prawdę? – zapytała Skuld. – Że nie będziesz sobą, nie wiedząc, co Urd ma w twoim motku? Czy warto ryzykować to, co ja mam dla ciebie, by odzyskać tamto?

– Mieszacie dziewczynie, przecież ona nie rozumie, o czym mówicie – przerwała im Frigg. – Czujecie od niej naszą magię? – zapytała.

Przez chwilę patrzyły na mnie, jakby miały przenośne skanery magiczne w oczach.

– Zablokowane, wszystko – powiedziała zdumiona Verdandi.

– Wszystko na pewno nie – odparłam, myśląc o Panu B., który odkąd się tu znalazłam, w ogóle nie dawał o sobie znać, jakby zapadł w śpiączkę. Nawet mi go brakowało. Zdałam sobie sprawę, że przywykłam do jego obecności, a odkąd widzę z jego strony wolę współpracy, układa nam się nawet lepiej.

– Nie mówię o berserku, kochanie, ale o magii. Jaką władasz?

Zmarszczyłam brwi. Mój potencjał magiczny był dość słaby. Wedle skanera poza Panem B. miałam niewielkie pokłady magii po babci od strony matki, poza tym jakieś okruchy – nic, co wyróżniałoby się na skanie. Czasami potrafiłam dostrzec aurę, zdarzały mi się też sny, które od biedy

można było uznać za prorocze. Oprócz tego miewałam przebłyski intuicji. Po przełomie nawet częstsze i ostrzejsze, więc przypisałam je Panu B.

– Moja matka liczyła na to, że jestem magiczna, ale się przeliczyła – przyznałam.

– Głupia dziewucha. – Urd splunęła w rabatkę z kwiatami. – Splątała ci magię, by trzymać przeszłość na wodzy.

– A to tylko komplikuje sprawę – zmarszczyła się Verdandi.

– Czy ktoś może mi wyjaśnić, o czym mówicie? Bo dawno się zgubiłam, a to wszystko wciąż wydaje się mnie dotyczyć.

Kiwały głowami i miałam wrażenie, że się między sobą komunikują pozawerbalnie. Może Norny też czytały w myślach.

– Tylko sobie nawzajem – powiedziała Freya, wkładając do ust ciasteczko. Szelma.

– A ty czytasz im? – zapytałam, przysuwając się bliżej na ławce, tak że mogłyśmy rozmawiać półgłosem, nie alarmując wzburzonych uczestników spotkania.

– Kiedy są tak poruszone? Jasne, zapominają śpiewać Marsyliankę. – Uśmiechnęła się szeroko. – Teraz się zastanawiają, czy powinnaś ryzykować i czy w ogóle powinny ci mówić, jak usunąć zaklęcie twojej matki, bo jest bardzo prawdopodobne, że siłując się z nim, przerwiesz swoją nić. Poza tym jest jeszcze nić twojego brata. Splątana z twoją. To zresztą bardzo pomogło przywrócić go do życia tutaj, Frigg mogła zasilić zaklęcie twoją mocą życiową. Więc jeśli przerwiesz swoją nić…

– Zabiję go ostatecznie?

Przytaknęła. To wyjaśniało, czemu on i Saga podeszli do całego planu dość powściągliwie.

– Jak duże jest ryzyko?

– Na tyle duże, że się kłócą. Skuld nie rozumie, dlaczego aż tak ci zależy, ale ona żyje przyszłością, jest energią, strzałą wystrzeloną w jutro. Verdandi powtarza, że to twój wybór i nie zaznasz spokoju. Urd uważa, że brak przeszłości jest śmiercią, bo pozbawia cię korzeni. Urd, jak się domyślasz, jest kotwicą. Pytanie, kim ty jesteś.

– Nie wiem – przyznałam.

– Nie wiesz, kim byłaś. Ale wiesz, kim jesteś. Wiesz, kim chcesz być. Mówiąc dosadnie: do ciebie należy ten kawałek nici, który dzierżą Verdandi i Skuld. Czy czujesz się aż tak związana z Urd, by wszystko odrzucić, jeśli taka będzie cena?

Nie miałam pojęcia. Przeszłość jako taka była czymś, co minęło, to prawda. Jednak myśl, że budowałam swoje życie na fałszywych fundamentach, nie dawała mi spokoju. A jeszcze bardziej burzyło mi krew to, że przeszłość dawała władzę nade mną Irenie, która manipulowała mną, kłamała, kształtowała wedle własnej woli. Jakaś część mnie, może właśnie echo tej, która dogadałaby się z Urd, myślała, że jeśli nie poznam przeszłości, nigdy w pełni nie zrozumiem tego, co jest dziś, a w przyszłości nie zdołam się uwolnić spod wpływu matki. A na tym mi zależało. Nie na tej splątanej magii, którą być może mogłabym przy okazji odzyskać. Żyłam bez niej trzydzieści dwa lata, przeżyję kolejne.

Magiczni, którzy utracili możliwość sięgania do własnej magii, mówili o tym jak o najgorszym kalectwie. Porównywali z bólem fantomowym, określali jako palącą pustkę w duszy, jakby wyrwano im z piersi silnik, który napędzał ich wolę życia. Dla mnie nie było to nic tak traumatycznego. Może byłam za mała, by zrozumieć, że coś się zmieniło? A może zaklęcie odbierające mi pamięć ograniczyło też wspomnienie magii? Teraz snułam domysły, ale zwykle nie zawracałam sobie tym głowy.

Byłam, jaka byłam. Wybrakowana. Od zawsze. Jeśli ceną za odzyskanie przeszłości okazałaby się utrata magii, nie wahałabym się. Ale nie byłam pewna, czy chcę położyć na szali całe moje życie, a także resztę życia, jakie pozostało Ture.

A potem pomyślałam o snach, które przyniósł mi mój brat; teraz wiedziałam, że zrobił to z pomocą Verdandi. Przypomniałam sobie te wszystkie uczucia, tak obce i znajome jednocześnie. I to było warte ryzyka. Czy jestem gotowa zaryzykować utratę wszystkiego w imię przeszłości?

Nie, źle postawione pytanie.

Czy jestem gotowa odejść stąd teraz i wrócić do życia, jakie miałam? Niewiele różnić się od automatów, drugich w kolejce pupilków mojej matki? Czy jestem gotowa oddać jej na wieki władzę nade mną? Bo wiedziałam, że nie zdołam przerwać tej chorej więzi. Długo o tym myślałam. To jedna z tych rzeczy, którymi się torturuję, odkąd zabiłam Ture.

Czy jestem gotowa na zawsze zrezygnować z trzech wymiarów czasowych swojego ja? Nie sięgać dalej poza mnie i matkę, z widmem ojca czającym się w kątach?

Pomyślałam o babci. Co powiedziałaby Hilde? Uśmiechnęłam się.

– Dobrze, zamiast się kłócić o decyzję, która i tak należy do mnie, może powiecie mi, jak odplątać zaklęcie Ireny z mojej nici, tak byśmy to z Ture przetrwali?

*

Sprowadziły mnie z tarasu i powiodły przez trawnik. Czułabym się nieco bezpieczniej, gdyby wszystkie nie miały tych zmartwionych min i nie patrzyły na mnie, jakby się żegnały. Frigg wprowadziła mnie do kręgu wyznaczonego przez okrągłe białe kamienie, które wyglądały jak perły wielkości niemowlęcej głowy. Kiedy zapaliła pięć świec rozmieszczonych na okręgu, powierzchnia kamieni rozbłysła mlecznoróżową jutrzenką. Więc może to naprawdę były perły? Boginie stanęły po drugiej stronie kręgu. Frigg przede mną, Freya po jej prawej stronie, Saga po lewej. Za mną zajęły miejsce Urd, Verdandi i Skuld. Gdy wszystkie wzięły się za ręce, poczułam przepływ mocy tak silny, że włoski na całym ciele stanęły mi dęba. Widziałam już krąg tworzony przez łańcuch wiedźm. Ale to były boginie. Nawet Saga była bardziej boginią niż człowiekiem.

I nagle zrozumiałam, że perłowy krąg miał mnie chronić przed ich mocą, pilnować, by mnie niechcący nie upiekły, a intensywność magii, którą odbierałam, została już przez niego przefiltrowana. W takich chwilach można poczuć bojaźń bożą. Sześć naprawdę wkurzonych bogiń wzięło się za ręce – tak mogłaby się zaczynać historia o końcu świata.

Ja byłam szczęśliwą siódemką. Szczęśliwą, bo wciąż żywą w oku cyklonu. Ich magia wznosiła się nad nami jak kopuła, pilnująca, by wszystko, co się wydarzy w kręgu, pozostało naszą tajemnicą.

– Wypij eliksir – poleciła Frigg.

Popatrzyłam na butelkę wypełnioną brunatnym płynem. Wypij mnie, pomyślałam, zobacz, co jest na dnie króliczej nory. Czy nie nauczyłam się niczego z bajek? Nigdy nie pić płynów, nie jeść ciasteczek, nie podgryzać owoców dostarczanych przez starsze kobiety… Odkręciłam zakrętkę i wypiłam zawartość duszkiem. Smakowała jak lukrecja z prądem. Ciepło rozlało mi się w gardle i żołądku, a po chwili czułam, że krąży mi w żyłach.

– Gdy będziesz gotowa, wypatrz i znajdź. A potem wiesz, co masz robić! – Frigg brzmiała jak przejęta matka na treningu małej ligi.

Skąd miałam wiedzieć, że jestem gotowa? Czy do magicznych eliksirów nie powinno się dodawać instrukcji obsługi?

Kiedy eliksir zaczął działać, poczułam się jak kot, który zżarł sznurek, po czym wsiadł na karuzelę. W głowie musowała mi jakaś dziwna energia, świat zaczął wirować. Opadłam na kolana i zacisnęłam palce na drobnym pyle, ostrym jak zmielone muszle. Powietrze było elektrycznością. Wszystko, co czułam i widziałam w Molnes, nafaszerowana magią boskich pszczół, nawet nie umywało się do tego stanu.

Złoty blask bijący od kobiet wypalał mi oczy, więc przymknęłam powieki i oddychałam głęboko, czekając, aż wszystko nieco zwolni.

– Nie daj się temu przytłoczyć, skarbie – usłyszałam łagodny głos Frigg. – Jesteśmy tu dla ciebie, dlatego że chciałaś odkryć prawdę, znaleźć wyzwolenie. Tylko ty możesz to zrobić, więc otwórz oczy i wypowiedz zaklęcie Norn.

Mogę to zrobić. Jako siedemnastolatka zabiłam w pojedynku na gołe pięści górskiego trolla, więc dam radę otworzyć oczy. Jeśli mi je wypali, będę jak Daredevil, tylko wciąż po tej ciemniejszej stronie mocy. Dałabym radę zabijać z zamkniętymi oczami. Kiedyś musiałam znaleźć cel w absolutnej ciemności w podziemiach rzymskiej katedry. Poradziłam sobie. Zatem ze wszystkim sobie poradzę. Nawet z tym.

Wymówiłam zaklęcie Norn i spojrzałam.

Tego było za wiele. Nie mogłam ogarnąć umysłem tej plątaniny światła i kolorów, misternej pajęczyny utkanej z milionów cieniutkich nici.

– Szukaj znaku! – Dobiegł mnie skrzekliwy głos Urd. – Zaklęcie działa, rozpoznasz siebie.

Byłam jedną z tych pajęczynek. Ulotną, lecz silną. Spiderman nie byłby superbohaterem, gdyby pajęcza sieć nie była taka wypasiona. Szukałam znaku. Byłoby łatwiej, gdybym wiedziała, co dokładnie mam odnaleźć, ale zaklęcie nie określiło tego precyzyjnie i Norny nie wiedziały, co mi się pokaże. Prawie wybuchnęłam śmiechem, dostrzegając nagle dużą strzałkę mrugającą na zmianę błękitem i wściekłym różem, jak reklama moteliku na godziny na trasie do Las Vegas. Tak, to mógł być mój znak. Zdałam sobie sprawę, że mam przed sobą nie tyle plątaninę nici, co mistyczną koronkę splecioną z miliona dusz. Podeszłam do migoczącej strzałki.

Więc oto ja. Kilka karmazynowych nici, krzyżujących się i splatających z drugą pajęczynką, prawie białą, ledwie różowiejącą się, głównie dzięki łączącej je wspólnej nici. Ja i Ture. Uważnie prześledziłam naszą wspólną nić. Choćby nie wiem co, tej nie mogę przeciąć. Nie strzelę mu w skroń jeszcze raz. Dotknęłam jej delikatnie, by się upewnić, że jest wystarczająco

elastyczna. Zawibrowała mi pod palcem jak struna, cichutką i czystą nutą. Oczy zapiekły mnie na myśl, że mogło jej już nie być. I że ta pajęczynka jest tak blisko, a ja do niedawna nie wiedziałam o jej istnieniu.

– Skup się – nakazała Verdandi. – Wiem, że tam jest mnóstwo nici, ale musisz znaleźć tę, która nie pasuje. Może mieć inną fakturę, kolor, może pachnieć niewłaściwie… Nie widzę tego co ty, nie wiem, jak działają twoje zmysły, ale postaraj się, dziewczyno, nie mamy dużo czasu, eliksir nie będzie działał wiecznie.

Tak, któraś nie pasuje. Zostawiła ją w mojej pajęczynie zła pajęczyca. Szukałam na chybił trafił. Miałam wrażenie, że moja magia, jak moja aura, jest głównie karmazynowo-srebrna. Jaki kolor ma magia Ireny? Nie, chwila – moja matka właściwie nie miała magii. W tym cały sęk. Dlatego była zła na babcię, dlatego szukała dla siebie pozycji w Zakonie… To nie będzie kolor jej magii. Irena używała zaklęć, ale ich nie tworzyła, miała od tego ludzi. Płaciła tym, którzy potrafili je stworzyć, a potem używała jak ściągi na maturze. To nie będzie pachniało Ireną, nie będzie nosiło jej sygnatury. Źle się do tego zabrałam.

Potarłam skronie, w które walił dzięcioł na sterydach. Dobrze, jeszcze raz. Zaklęcie – obce, niepasujące, inne niż moja magia, ale może bardziej podobne, niż mi się wydaje. Jeśli stworzyła je inna prządka, taka jak Norny, nici mogą być nie do odróżnienia. Lecz nawet jeśli ich struktura będzie podobna, ta dodana nie będzie pasować do idealnie symetrycznego wzoru. Będzie ją widać właśnie dlatego, że wzór w tym miejscu traci doskonałość.

I nagle ją zobaczyłam, tak po prostu. Jakbym rozwiązała internetową zagadkę w stylu: na białym kwadracie wypełnionym setką czarnych liter O znajdź jedyne czarne C. I właśnie znalazłam moje C. Nić, ciemniejsza o ton od innych, równie cienka i jedwabista w dotyku, okręcała się wokół kilku oryginalnych, które biegły do serca wzoru. W tamtych nie widziałam początku ani końca, stanowiły część jedynego fraktala, jakim byłam, ale też każdego kolejnego utkanego przez Norny. Tu widziałam nie tylko supełki, które miały przytrzymać nić na miejscu, ale również jej koniec i początek, ukryte, wplecione we wzór.

A więc do dzieła. Wyciągnęłam z kieszeni dwa idealnie proste i gładkie patyczki, przytrzymałam, czekając, aż przestaną mi drżeć ręce. Byłam snajperem, potrafiłam zastygnąć w bezruchu. Wprawdzie na robotę nie szłam naszprycowana magią i nieznanym mi eliksirem, ale to tylko detale. Sięgnęłam po ćwiczenia oddechowe dla nurków, którzy schodzili pod wodę

bez akwalungu. Spowolnić pracę serca. Odnaleźć całkowity spokój. Wstrzymać oddech na kilka minut. W pełni kontrolować mikroekspresję. Wciągnęłam tyle powietrza, ile zdołały pomieścić moje płuca, i zaczęłam.

Kiedy Urd zapytała mnie, czy umiem szydełkować albo robić na drutach, wiedziałam, że mam problem. Oczywiście, że nie umiałam. Kiedy właściwie człowiek uczy się robótek ręcznych? Między nauką walki na noże a robieniem garoty z przypadkowych przedmiotów? Urd spojrzała na mnie z naganą, jakbym powiedziała, że morduję ludzi dla pieniędzy. A do tego nawet nie doszłam. Kiedy jednak wyjaśniły mi, co dokładnie powinnam zrobić, odetchnęłam. Bo ruch, który im kojarzył się z robieniem na szydełku, ja miałam rozpracowany dzięki częstym wizytom w knajpach azjatyckich. Wiedziałam, że miłość do jedzenia kiedyś uratuje mi życie.

Chwyciłam drewniane patyczki jak pałeczki. Przytrzymałam nimi obcą nić i najdelikatniej, jak potrafiłam, drugą ręką nacinałam węzełki. Skuld, wręczając mi nożyce, napomniała:

– Ostrożnie, nie wszystko da się związać, gdy raz przecięte.

Żadnych gwałtownych ruchów, bo, jak wyjaśniły mi Norny, takie zaklęcia często miały zapalniki wstrząsowe, jeśli więc zaklęcie wyłapałoby, że je szarpię, nastąpiłoby spięcie, które odczułabym jako elektrowstrząsy. Nożyce były okruchem magii potężniejszej i starszej niż świat i skoro potrafiły przeciąć nić życia, dawały sobie też radę z nicią zaklęcia. Nie wszystko da się rozplątać. Czasami trzeba sięgnąć po miecz Damoklesa. Albo nożyce Skuld.

Udało się. Częściowo. Teraz musiałam usunąć nić z mojej pajęczynki – ostrożnie, bo wciąż owijała się jak wąż wokół kilku nici, jak się domyślałam, tych, do których wedle Ireny nie powinnam mieć dostępu.

– Pamiętaj o nadgarstku. To ma być płynny ruch, nić musi go rozpoznać, więc powinien przypominać ten będący częścią jej magii. – Verdandi mówiła spokojnie, jak policyjny negocjator. Magia tkaczek, magia kołowrotków, magia szydełek i drutów, magia krosien, przeplatających się osnów, supełków układających się w równe rządki i tworzących tkaninę rzeczywistości. Nie potrafiłabym zrobić szalika, choćby od tego zależało moje życie. Kubański krawat – bez problemu. Ale teraz nic mi po tym. Gdzieś tam we mnie musi być okruch tej kobiecej magii, która wedle Frigg była moim dziedzictwem.

– Twoja babka potrafiła robić najpiękniejsze gobeliny, jakie widziałam. Nie mów mi, że jesteś tylko córką swojego brutalnego ojca i zawziętej

matki. Sięgnij po to, co dostałaś od Hilde – zaklinała mnie Frigg.

Gdyby nie Ture, nawet nie wiedziałabym, że mam babcię. Walkirię, ale i tkaczkę gobelinów. Więc to się nie wyklucza. Może w wolnych chwilach powinnam się nauczyć jakiegoś rękodzieła… Ale teraz było na to za późno. Sięgnęłam więc po moje doświadczenia.

Wykonałam miękki ruch nadgarstkiem, wciąż przytrzymując improwizowanymi pałeczkami koniuszek nici. Dobry smażony makaron ryżowy jest jak medytacja. Jeśli nawinę całe włókno, po włożeniu do ust wybuchnie mi na języku wszystkimi smakami: słonawym sosem sojowym, słodkawą papryką, ostrym imbirem, kwaśnym octem ryżowym, lekką goryczką grzybków mung. Dobry makaron jest jak religia, wymaga oddania i rytuałów. Ruch nadgarstkiem i stabilny uchwyt na pałeczkach; jeśli poluzuję ich położenie, wszystko się wyślizgnie i już po idealnym kęsie. Mam cię.

Uśmiechnęłam się triumfalnie, ściskając pałeczki z nawiniętą na nie nicią zaklęcia.

– Nawet nie waż się wkładać tego do ust! – krzyknęła Freya.

No tak. Obejdę się smakiem, ale rany, smażony makaron! Gdzie jest moja lampa z kulinarnym dżinem, gdy jej potrzebuję?

Odsunęłam się ostrożnie, wyplątując się z fraktali koronek, i znów widziałam krąg z pereł i sześć kobiet, które wyglądały na zaskoczone.

– Włóż to do pudełka, które ci dałyśmy – powiedziała Frigg, nie odrywając wzroku od kłębuszka nici na końcu moich pałeczek.

Wyjęłam z kieszeni płaskie ołowiane pudełko. Miało jakieś dwadzieścia centymetrów długości i osiem szerokości. Wyglądało jak brzydka wersja pudełeczka na biżuterię, zmieściłaby się tam bransoletka czy mały naszyjnik, ale matowe ołowiane ścianki nie wyglądały estetycznie, a w środku nie zauważyłam wyściółki z aksamitu. Najważniejsze, że potrafiło utrzymać w sobie zaklęcie i stłumić magię, tak że przestałaby na mnie wpływać. Uniosłam wieczko i delikatnie ułożyłam w nim pałeczki z ciasno zwiniętym kłębuszkiem magicznej nici. Zamknęłam z trzaskiem.

I natychmiast upadłam. Przez sekundę słyszałam krzyk Frigg, a potem po prostu mnie tam nie było.

Nie zobaczyłam wszystkiego, moja przeszłość nie przewinęła mi się przed oczami jak kolorowy film. Ale ujrzałam dość. I już wiedziałam, co dokładnie wydarzyło się tej nocy, kiedy Irena zabrała mnie z domu mojego ojca. Co gorsza, wiedziałam dokładnie, co zrobiła czy co próbowała zrobić

następnej nocy. I nie była to pierwsza ani ostatnia próba. Jak mogłam zapomnieć? Jak wiele magii było potrzeba, bym zapomniała?

Moja przeszłość nie stała przede mną otworem. Jeszcze nie. Ale nagle poczułam się wolna od wszelkich zobowiązań. Wściekła i zmotywowana, by przejąć kontrolę nad tą grą.

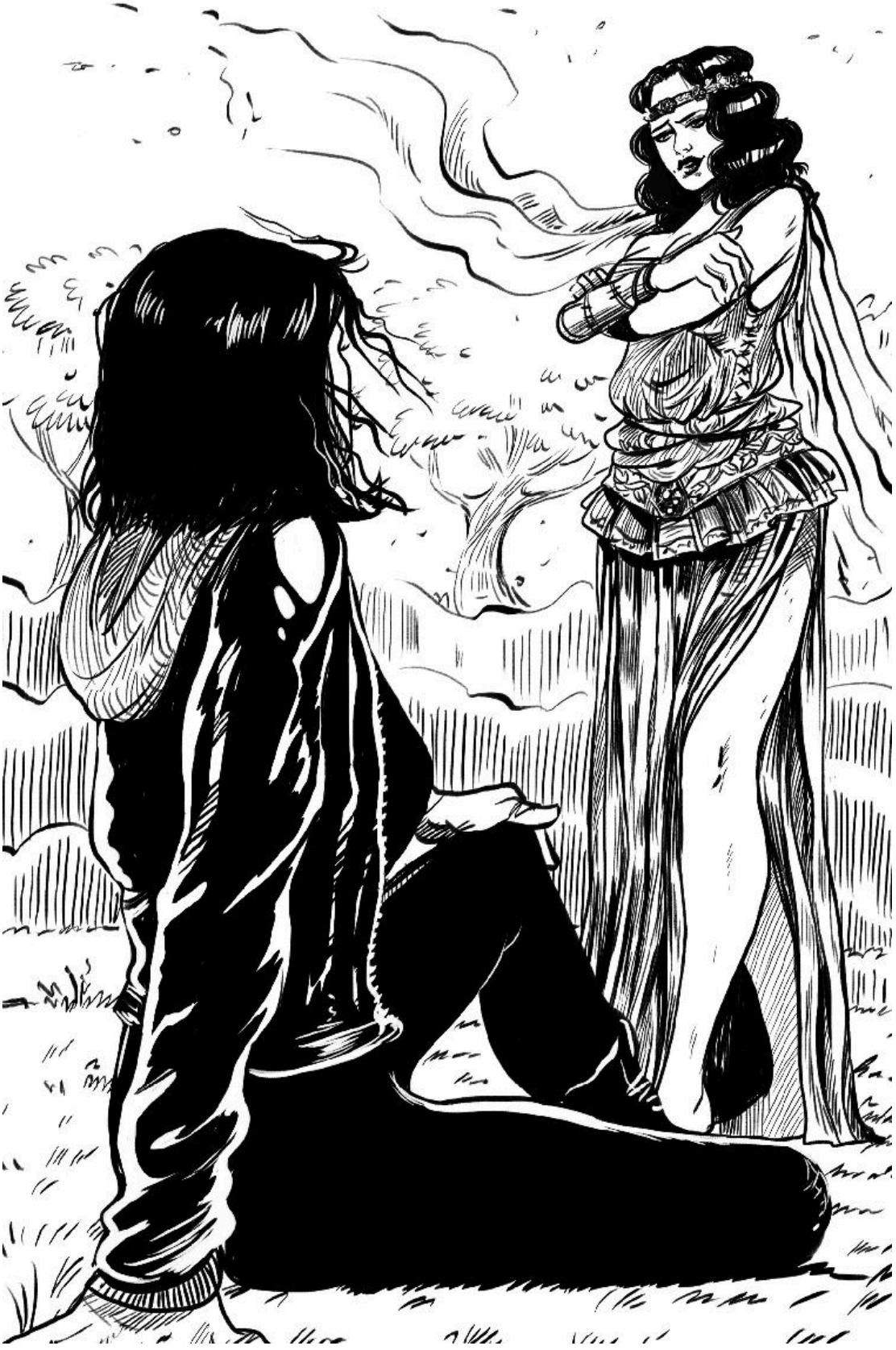

Rozdział 20

Pojawił się w najgorszym dla siebie momencie. Byłam wkurwiona i pewna, że prędzej zawlokę swoją dupę do piekła, nim pozwolę komuś sobą rządzić, a właśnie tego ode mnie oczekiwał. Gdyby nie był bóstwem potężniejszym od supernowej, pewnie po prostu rzuciłabym się na niego z nożyczkami. Choć kto wie, jak potoczy się dzień, skoro się zaczął od tego, że stanął w pozie pana i władcy i oświadczył:

– Będziesz mi służyć.

Odpowiedziałam z całą elokwencją, jaką nasiąkłam na ulicach Warsu:

– Pierdol się.

Przyznaję, że widok jego miny i chichot Freyi za moimi plecami były tego warte.

– Twój ojciec i twoja matka złożyli mi cię w ofierze – powiedział, jakby to kończyło dyskusję.

– Nie odpowiadam za głupie decyzje moich rodziców. Gdyby dzień później mnie ochrzcili, wciąż nie byłabym katoliczką.

– Nie możesz się sprzeciwić stuleciom prawa i porządku.

– Właśnie to zrobiłam i niebo nie zagrzmiało z oburzenia. Mamy dwudziesty pierwszy wiek, pogódź się z tym. Mam po swojej stronie cywilizację. Czasy niewolnictwa dawno minęły, choć paru z was wciąż wydaje się tego nie rozumieć. Pomyśl o tym, może przy okazji załapiesz, czemu twoja świątynia dziś świeci pustką.

Splotłam ręce na piersi i byłam gotowa mierzyć się z nim spojrzeniem do końca świata. Miałam zresztą przewagę jednego oka.

– Twój ojciec mi służy!

I pomyśleć, że ten facet był kiedyś symbolem mądrości i oświecenia. Dziś pozostał starcem, który być może nadal potrafi za pomocą wierszy nakłaniać kobiety, by z własnej woli wyskakiwały z bielizny, ale nie rozumie świata, który zmieniał się przez ostatnie stulecia, gdy on był zbyt zajęty dopieszczaniem swojego ego, by to zauważyć.

Rozmawiałam o tym kiedyś z Jemiołą, starszą niż pleśń, a jednak bez zgrzytów funkcjonującą w realnej współczesności. Zapytałam, jak zdołała zmieniać się razem ze światem. Odpowiedziała, że ludzie nieustannie ją interesują, że wciąż jest ich ciekawa i śledzi ewolucję, dzięki czemu rozumie, co z czego wynika. „Poza tym jestem kobietą – podsumowała – ego nie przysłania mi całej reszty".

Może istnieli bogowie, którzy nie zgubili się w mroku dziejów i potrafili dogonić współczesny świat. Jeśli tak – ich zainteresowania musiały wykraczać poza to, by mieć kobietę w łóżku i wódkę na stole. Długowieczność potrafi być suką. Oddalasz się od świata, bo stoisz w miejscu, a świat w tym czasie biegnie do przodu. Mijają stulecia, a ty jesteś zbyt zmęczony, by biec razem z nim. Rozumiem to i mogę nawet odnaleźć w sobie cień współczucia. Ale coś mi mówiło, że to nie przypadek Odyna – zbyt mocno skupionego na sobie i przekonanego o własnej nieomylności, by zawracać sobie głowę niuansami.

– Mój ojciec jest idiotą z poważnymi problemami emocjonalnymi i psychicznymi. Za to też nie odpowiadam, po prostu nie zamierzam iść w jego ślady. Lecz ty, z tego, co pamiętam, odpowiadasz za działania swoich sług. Powiedział ci, co mi zrobił? Powiedział ci, że mnie torturował, okaleczył, prawie zabił? Powiedział ci, jak obiecał swoim ludziom, że jak tylko skończy zabawę, będą mogli mnie zgwałcić? Powiedział ci o tym?

– Wiem, co się stało. – Nie drążył tematu, ale coś w jego mimice powiedziało mi, że czuje się niekomfortowo, mówiąc o tym. Może nie wszystko stracone, może był w stanie przyjąć coś do wiadomości, nawet jeśli nie było mu z tym wygodnie.

– I naprawdę myślisz, że wciąż jestem ci cokolwiek winna?

Przytaknął.

Na miłość żywiołów. Czułam się, jakbym negocjowała z przedszkolakiem. Albo gorzej – nastolatkiem, który uważa, że skoro postawił mi colę, jestem mu winna seks.

– Zapomnij i pogódź się z tym – powiedziałam dosadnie. – Nie jestem wyznawcą żadnego bóstwa, nikomu nie służę, przed nikim nie klękam.

Nic nie mogło mnie skłonić do stawiania się w pozycji wyznawcy. Moje życie należało do mnie, być może pierwszy raz od początku. I byłam pewna, że jeśli będę musiała okaleczyć boga, by dowieść swoich racji, to właśnie zrobię.

Odyn splótł ramiona na piersi, przybierając tę groźną ojcowską pozę, którą lubił przybierać wtedy, kiedy mu to było na rękę. Nie słyszałam, by ojcowskimi obowiązkami przejmował się w bardziej życiowych, mniej dialektycznych sytuacjach.

– Jesteś berserkiem, musisz mi służyć – ryknął, ale to wciąż nie robiło na mnie wrażenia.

Stałam naprzeciwko niego, kopiując jego postawę.

– Jestem berserkiem. Jak zamierzasz mnie do czegokolwiek zmusić? – Pozwoliłam, by pytanie zawisło w powietrzu i wybrzmiało ukrytą groźbą. – A nawet gdyby ci się udało… jak długo dasz radę nie spać? Nie pomyślałeś, czy drugie oczko też nie odrośnie, jeśli ktoś ci je wyłupi? – Dla większego efektu uniosłam nożyce i obróciłam je w powietrzu, tak jak obróciłabym nimi, bez cienia wyrzutów sumienia, w jego oczodole. – Może przeszedłbyś na boską emeryturę i chodził po wsiach jako niewidomy bard? Jak ci się podoba taka wizja? Bo wiesz, że ślepy nie utrzymałbyś się dnia na tronie. Nie z twoimi synami. – Uśmiechnęłam się z satysfakcją, widząc, że markotnieje.

– Wciąż mam prawo sprawdzić, czy jesteś stabilna w swojej magii berserka, więc idziesz ze mną – oświadczył z dużą dozą pewności i samozadowolenia.

– Nigdzie nie idzie – wtrąciła się Frigg.

– Nie mieszaj się w to – uciął.

Zignorowała ostrzeżenie.

– Prawo mówi, że berserk musi przejść testy i próbę. Nie interesowałeś się dziewczyną, więc sama się postarałam o kontrolę jej berserka. Byłoby bardzo źle widziane, gdyby oszalały biegał między ludźmi, prawda? A ja byłam do niej bardzo przywiązana, więc zadbałam o to, co zaniedbałeś. – Jej słowa brzmiały szczerze, aż lekko go zamurowało.

– Nie opuszczałaś Asgardu – rzekł stanowczo.

– Śledzisz mnie, Odynie? – Splotła ramiona na piersi i popatrzyła na niego wyzywająco.

– Jesteś moją żoną.

– Nie przypominaj mi. – Wzdrygnęła się teatralnie. – Prawo nie określa, że testy muszą się odbyć w Asgardzie. To oczywiście dogodna forma, ale nie jedyna dopuszczalna. Są ważne, jeśli obserwatorem jest bóstwo.

– I kto nim był, skoro nie ty? – prychnął z lekceważeniem.

– Ja – oświadczył Akuszer Bogów, wstając ze schodka, na którym przysiadł. – Tak jak wcześniej sprawdzałem twojego syna, Asbjorna.

Twarz Odyna nagle przestała cokolwiek wyrażać.

– Przeszła testy śpiewająco. Jej ojciec nie osiągnąłby takich wyników, choćby od tego zależało jego życie – wytknęła Frigg. – Wiesz, co to oznacza?

Odyn wzruszył ramionami.

– Nawet o tym nie myśl! – Podniosła głos. – Za każdym razem, kiedy łamiesz prawo, ja muszę sprzątać bałagan. Dość tego! Jest dorosłym i zatwierdzonym berserkiem! Ma prawo wyboru i wolność! Jeśli zależy ci na tym, aby ci służyła, musisz ją przekonać. A jeśli czegoś od niej chcesz, przyjmij do wiadomości, że może ci odmówić i posłać do Hel na herbatkę.

Była wściekła i buzowała burzową magią. Niebo zasnuły ciemne chmury, a na trawniku przybyło mgły. Jeśli to złość na Odyna napędzała jej produkcję, nad Norwegią nieprędko zaświeci słońce.

A ja się wzruszyłam. Bo walczyła jak lwica. O mnie. O moją wolność. Jeśli miałoby padać codziennie, godziłam się na to bez wahania.

Odyn przeskakiwał spojrzeniem między nami, a potem, nie kryjąc niesmaku, powiedział:

– Nie rozumiem cię, kobieto. Przywilejem każdego berserka jest mi służyć. Nikt nigdy się nie skarżył. Przecież nie przyszedłem tu, by wszczynać z tobą kłótnie, ale by przyjąć cię na służbę. To zaszczyt.

Oszczędziłam mu wyjaśnienia, że o tym, czy coś jest dla mnie zaszczytem, czy przeciwnie, decyduję ja sama. Bardzo prawdopodobne, że dwa wieki temu berserk dostrzegał w niewolniczej służbie i fusze psa łańcuchowego przywileje tylko dlatego, że jego panem było bóstwo. Ale czasy się zmieniły. Gdy ktoś mi proponuje pracę, pytam o uposażenie, ubezpieczenie i premię za efektywność. I sama wybieram swoje zajęcia. Nawet w Zakonie wywalczyłam sobie minimum autonomii.

– Nigdy, przenigdy mi nie gróź – powiedziałam zamiast tego. – Bo, owszem, możesz mnie zabić, ale odchodząc, narobię dość zniszczeń, byś mnie popamiętał. Widzisz, ja nigdy się specjalnie nie przywiązałam do idei nieśmiertelności. Możesz o sobie powiedzieć to samo? Jesteś gotów zaryzykować życie dla tego kaprysu?

Wyglądał na wkurzonego i zdezorientowanego. Może naprawdę nikt mu się nie stawiał? Może każdy spełniał jego fantazje i zgadywał jego

życzenia? Ja nie zamierzałam tego robić. Grałam już wyłącznie do swojej bramki. Dość służenia. Dość bycia zmanipulowaną i okłamywaną.

– Nie rozumiesz – rzucił arogancko. – Nawet nie wiesz, ile możesz zyskać, będąc moim championem…

– Nie rozumiem, bo nigdy nawet nie pomyślałeś, by mi zaoferować cokolwiek poza groźbą. Jestem najemnikiem. Złóż swoją ofertę, a ja ją rozważę i jeśli będę miała kaprys, to ją przyjmę. Ale to będzie moja decyzja. – Mogłam na tym skończyć, ale odsłoniłam więcej, niż planowałam. Może zrozumiał. – Straciłeś szansę na moje posłuszeństwo dziesięć lat temu, w tamtej opuszczonej fabryce. Modliłam się wtedy do ciebie, przywoływałam, błagałam cię, byś go powstrzymał. Gdybyś wtedy przyszedł z odsieczą, mógłbyś dyktować warunki. Zrobiłabym dla ciebie wszystko, gdybyś mnie wtedy uratował. Ale miałeś to w dupie. Więc dziś ja mam w dupie twoje potrzeby i twoje bitwy.

– Erynio…

– I nie nazywaj mnie Erynią, mam na imię Nikita! – prawie wykrzyczałam mu w twarz. Byłam wściekła i cała ta przemowa kosztowała mnie mnóstwo emocji i energii.

– Nikita chyba jasno wyraziła swoją wolę? – Frigg wyszła zza moich pleców. – A ty pojawiłeś się tu bez zaproszenia. Wiesz, że nie lubię, kiedy zapominasz, że nie jesteś tutaj mile widziany.

Jeśli myślałam, że nic nie przebije Odyna, który nie wie, co powiedzieć, kiedy grożę mu wyłupieniem oka, pojawił się Odyn skruszony. I nagle miałam pewność, że plotki o ich kryzysie małżeńskim nie są przesadzone. Komuś tu wystawiono walizki za próg.

– Kotku, nie sądzisz, że już czas o tym zapomnieć? – powiedział, rozkładając ramiona w nadziei na uścisk.

Frigg zrobiła krok w jego stronę i też rozłożyła ramiona, a kiedy Odyn się uśmiechnął, bardzo z siebie zadowolony, jej dłonie rozjarzyły się magią.

– Nie możesz tego zrobić – zaprotestował Odyn. – Ślubowałaś…

– Ty też mi ślubowałeś, łajdaku. Tymczasem dowód twojej zdrady miał urodziny tydzień temu, a moja kapłanka prawie straciła życie. Możesz sobie mówić, że to dwieście lat, ale dla mnie to było jak wczoraj…

Nie podnosiła głosu, mówiła spokojnie, powoli, a potem bez ostrzeżenia wysłała w niego wiązkę energii. Na jego policzku pojawiły się czerwone pręgi, jak ślad od paznokci. Nawet nie drgnął, ale linię żuchwy miał tak ostrą, że mógłby dorabiać jako nóż do listów. Dłonie zacisnął w pięści.

Złapałam się na tym, że zaciskam palce na nożycach, gotowa rzucić się na niego, jeśli spróbuje skrzywdzić Frigg. Wciąż właściwie nic nie wiedziałam o naszej wspólnej przeszłości – nie licząc tego, co pokazał mi Ture – ale to, czego od niej doświadczyłam w ostatnim czasie, było więcej niż wystarczające, bym czuła się zobowiązana stanąć do walki w jej obronie.

Widzisz, Odynie, tak właśnie zyskuje się lojalność i oddanie. Nie groźbami, a miodem.

Odyn powiódł po nas spojrzeniem. Nie wiem, co przeskoczyło w jego głowie, kiedy patrzył na swoją wściekłą żonę, berserka z nożycami Norn w uniesionej dłoni, Freyę zajmującą pozycję z drugiej strony Frigg, Norny stojące na tarasie za naszymi plecami i zastraszoną Sagę, która choć drżała na całym ciele, wciąż nie uciekła. Stała tu, gotowa bronić Frigg, jeśliby zrobił coś głupiego.

Nigdy nie czułam takiej solidarności między kobietami jak w tamtym momencie. I choć każdą z nas z osobna Odyn mógł zmiażdżyć czy zignorować, nie zdołałby wystąpić przeciwko nam wszystkim. To coś, o czym czasami zapominamy – możliwe, że jesteśmy słabsze w pojedynkę, ale razem? Nie ma wojny, której byśmy nie wygrały.

– A w ogóle masz tu gdzieś Ernsta? – Moje pytanie zabrzmiało strasznie głośno w tej pełnej napięcia ciszy.

– Chcesz jego śmierci? To twoja cena? – zapytał.

Prychnęłam. Może bym na to przystała, gdyby zadał to pytanie kilka dni temu, zanim Akuszer Bogów zmusił mnie, bym się zastanowiła, jaką cenę jestem gotowa zapłacić za spełnienie marzeń i czego tak naprawdę chcę. I nie była tym czymś niewola u Odyna.

– Chcę mu coś powiedzieć. Wiesz: córka, ojciec, wielkie pojednanie – zablefowałam.

Odyn klasnął i Ernst po prostu pojawił się u jego boku. Proszę, kolejny powód, by nigdy nie godzić się na jego ofertę. Ile stuleci mój ojciec mu służył? A mimo to Odynowi wciąż nie przyszło do głowy, by obdarzyć go choćby podstawowym szacunkiem.

Nie zmienił się. Takim go zapamiętałam. Taki nawiedzał mnie w koszmarach. Takiego nasłał na mnie przeklęty most pokazujący każdemu to, co przeraża go najbardziej na świecie. Spięłam mięśnie, ledwie mogłam oddychać. A jednak nie cofnęłam się, nie zaczęłam płakać. Nie byłam już tą

małą, okaleczoną dziewczynką, nad którą się znęcał. Strach nie minął – nie mógł – ale nie mogłam pozwolić, by miał nade mną władzę. Już dość.

Ernst patrzył na mnie z wściekłością, jego przeciętą blizną twarz wykrzywił ohydny grymas. Mój ojciec wciąż robił wszystko, by zapracować na przydomek Szalonego za sprawą wizerunku, zupełnie jakby do zbudowania trwałej reputacji szaleńca nie wystarczyły jego czyny. Splątane włosy i rudawa broda, futrzane spodnie upodobniające go do fauna, goła klatka piersiowa z wymalowanymi na skórze wzorami, liczne sznury koralików z kości, zębów, srebrnych wisiorków, pobrzękujące, nawet kiedy oddychał. Do tego wielki topór w olstrze przy biodrze i wystający zza pleców wojenny bęben – płaski i okrągły, obciągnięty wytatuowaną skórą któregoś z wrogów. Wszystko to zobaczyłam w ułamku chwili, zanim umknęłam spojrzeniem. Patrzył na mnie lodowato, tak samo jak wtedy, kiedy opowiadał, co ze mną zrobi i jakie części mojego ciała będzie posyłał Irenie.

Musiał mieć kontakt telepatyczny z Odynem albo po prostu jego opinia o mnie się nie zmieniła i nie rozumiał, dlaczego jego bóg chce mnie na służbę, bo pierwsze słowa, jakimi się do mnie zwrócił, brzmiały:

– Jesteś hańbą dla naszego rodu, wstydzę się, że cię spłodziłem. Ciebie i twojego żałosnego brata.

– Babcia się z tobą zupełnie nie zgadza – odpyskowałam. Chcąc nie chcąc, przy rodzicach zawsze zachowujemy się trochę jak zranieni nastolatkowie. – Twój szef najwyraźniej też myśli inaczej. Ale to nieistotne, nie obchodzi mnie twoja opinia. Po prostu jest coś, o czym powinieneś wiedzieć…

Wyciągnęłam z kieszeni kłębuszek zaklęcia, które zdjął ze mnie Akuszer Bogów na Preikestolen.

– Wiesz, co to jest? – zapytałam.

A potem podeszłam do niego, pękając z dumy, że zdołałam to zrobić bez drżenia kolan.

– Powinieneś, bo sam to stworzyłeś. Pamiętasz? To musiało być zaraz po tym, jak mnie porwałeś. Czułeś się spokojniejszy, mając pewność, że nie zdołam się bronić? Że nie zdołam odpowiedzieć siłą i okrucieństwem na twoją siłę i okrucieństwo? Troszkę oszukujesz, prawda? Czy nie było ci głupio, że ty, wielki samiec, chowasz się za takim zaklęciem, by młoda kobieta nie zrobiła ci kuku?

Rozwijałam kłębuszek i cięłam jego zaklęcie kawałątek po kawałątku, wiedząc, że jego magia odbiera każde dotknięcie magii Norn. Małe przypomnienie o śmiertelności.

– Jesteś tylko kobietą – powiedział i splunął mi pod nogi.

– Może to będą twoje ostatnie słowa – odparłam.

I nagle się przemienił – po prostu wybuchł w splątanym kłębowisku mięśni i wrzasku. W ułamku sekundy Ernst Szalony zmienił się w większą, bardziej brutalną wersję siebie. Proporcje jego ciała stały się dziwaczne i nieharmonijne, wyglądał teraz bardziej na przerośniętego neandertalczyka niż homo sapiens. Miał szerokie bary, długie ręce, ogromne, dziwnie wystające stawy kolanowe. W jego twarzy nie było już właściwie nic ludzkiego, zdeformowana szczęka ledwie mieściła zęby.

Byłam na wpół sparaliżowana strachem, ale nagle poczułam w środku jakieś ciepło, które rozpuszczało ten gigantyczny okruch lodu ściskający mi serce. Nie byłam sama. Pan B. szturchał mnie, bym o nim nie zapomniała. Wtedy nie mógł mi pomóc, ale dziś już tak. Od jakiegoś czasu wydawał się spokojniejszy, mniej natrętny, jakby bardziej ułożony czy rozumny, ale teraz czułam jego surową wściekłość, jego siłę, która skumulowana we mnie jak w baterii mogła podpalić świat. Emocje, jakie mi podsyłał, próbując się komunikować, nie były ślepą furią. Miał pewność, że sobie poradzi. I nienawidził mojego ojca nie mniej niż ja. Stał w moim narożniku i jak na swoje możliwości bardzo grzecznie prosił o dopuszczenie do gry, gdy wyczuł, że tracę spokój i szanse na wygraną meczu maleją.

Więc dałam mu wolną rękę, świadomie się wycofując, ufając, że nie tylko wie, co robi, ale również że ja będę mogła żyć z tym, co zrobi. Spodziewałam się, że będzie jak wtedy, w magazynie, kiedy mnie i Robina porwano i mój partner się wykrwawiał, a ja wezwałam berserka, nie widząc innej możliwości ratunku. Przyszedł gwałtowny i wściekły, moje ciało przestało być moje w ułamku sekundy. A potem rozszarpał wszystkich napastników w gorącej furii, chłodzonej tylko ich stygnącą posoką.

Tym razem było inaczej. Inaczej też odczuwałam jego obecność. Nie zepchnął mnie w najciemniejszy kąt mojej jaźni – pozwolił mi obserwować, czuć, widzieć. Myślę, że to, co zamierzał zaprezentować, było pokazem nie tylko dla Ernsta i Odyna, ale również dla mnie. Chciał mi pokazać inną stronę siebie. Nawet nie wiedziałam, że taką ma. Może zresztą nie miał, ale nie był już ograniczany zaklęciem Ernsta. Poza tym dorósł w ostatnim czasie, skoro i ja przestałam go ograniczać, ujarzmiać na siłę za pomocą

magii, wszczepu, medycyny i kroplówek. Być może robiłam mu krzywdę, bojąc się, że inaczej on zrobi krzywdę mnie. Tymczasem teraz zamiast się na mnie zemścić uspokajał mnie. Gdybym akurat nie zmieniała się w śmiercionośną bestię, może nawet popłakałabym się ze wzruszenia.

Fizyczna zmiana nie przyszła od razu. Pan B. się rozrastał, jego uwolniona energia i aura wypływały ze mnie każdym porem, aż rozpostarły się wokół mnie łuną srebrnego światła. I dopiero wtedy, powolutku, zaczęło się zmieniać moje ciało. Nagle widziałam monochromatycznie. Kości twarzoczaszki jak w zwolnionym tempie rozrastały się, przesuwały, przybywało zębów, gdy szczęka zmieniła swój kształt. W uzbrojonej w pazury dłoni ściskałam resztki zaklęcia. I już nie zadzierałam głowy, by chojracko patrzeć Ernstowi w oczy. Na szczęście moje dżinsy z lycrą i funkcyjna koszulka to wytrzymały. Pan B. naprawdę się postarał, by pokaz jego możliwości zrobił wrażenie. Żadnej gwałtowności, czysta kontrola, siła i energia, skoncentrowana i spójna. Żadnego dyszenia, ślinienia się i drżenia.

– Zginiesz – powiedziałam niskim, gardłowym głosem.

Nie wiedziałam, że berserk potrafi mówić. Choć odzywał się do mnie w głowie, używał głównie czasowników dotyczących masakrowania i zabijania, co, jak widać, było dość konsekwentne, ale do tej pory, kiedy się zmieniałam, stawał się pobudzony, wściekły i żądny krwi. Teraz wściekłości towarzyszył chłód. Wśród zmiennokształtnych o potędze nie świadczy przemiana w bestię, ale kontrola i zdolność do utrzymania formy pośredniej. Wśród stworzeń napędzanych adrenaliną, takich jak berserki, zdolność powściągnięcia tego impulsu mówiła więcej niż tyrady i napinanie mięśni.

Ernst pochylił się lekko i ruszył do ataku, lecz Odyn w ułamku sekundy złapał go za kark jak niegrzecznego kundla. Ernst próbował się wyrwać, kłapiąc zębami, ale jego szef trzymał go mocno – niczym przedszkolaka, którego łapie się za kaptur, by nie wskoczył do wielkiej kałuży. Niewykluczone, że w wolnym czasie Odyn robił coś więcej niż tylko uwodzenie młodocianych kapłanek.

– Podaj mi swoją cenę – powiedział.

Pan B. zaczął się wycofywać. I znów doskonale odczytałam komunikat, który mi wysyłał – lepiej, bym to ja rozmawiała z Odynem, bo mam względem niego mniej skrupułów i wdrukowanego posłuszeństwa.

Moje ciało wracało do swoich rozmiarów. Zęby znów mieściły się w szczęce i musiałam zadrzeć głowę, by spojrzeć w lodowato niebieskie oczy Odyna.

– Właśnie zaczynam dłuższy urlop – powiedziałam już swoim głosem, choć wciąż nieco ochrypłym.

Odyn z irytacją usadził wciąż wyrywającego się Ernsta, a potem po prostu go zniknął. Pstryknął palcami i kundel wrócił do budy, gdziekolwiek się znajdowała. Starałam się nie myśleć, jak wyglądałaby moja sytuacja ponad dziesięć lat temu, gdyby przyszedł na moje wezwanie, odpowiedział na moje modlitwy. Przeszłości nie można zmienić, więc nie ma sensu pozwalać, by gorycz z jej powodu zatruwała teraźniejszość – wiedziałam o tym, mimo to jakaś część mnie znów była tą przerażoną, opuszczoną przez bogów dziewczyną, pewną, że jeśli nie wydarzy się cud, nie dożyje rana. I ten się zdarzył, ale na odsiecz nie przybył żaden z bogów, ale równie słaba dziewczyna w towarzystwie motocyklistów, zbyt głupich, by rozumieć, czym się to dla nich skończy.

Założyłam ręce na piersi, wciskając dłonie pod pachy, by nie widział, że drżą.

– Czas już na ciebie – oświadczyła Frigg tonem bezwzględnej gospodyni.

Odyn miał minę, jakby chciał dyskutować, ale Frigg znów uniosła dłonie, a iskry energii przeskakiwały jej między palcami. I zniknął. Po prostu.

Usiadłam, upuszczając nożyce na trawę. Skuld szybko podeszła, zabrała je i schowała do pochwy przy pasku.

– To było ładne, myślałam, że wbijesz mu je w oko – prychnęła.

– Kusiło mnie – przyznałam.

Zabrakło mi jednak odwagi. Albo wystarczyło rozsądku. Mogłam sobie gadać, ale starłby mnie na proch. Po swojej stronie miałam niewiele więcej niż element zaskoczenia tym, że nie padłam posłusznie na kolana, gdy zaklaskał.

Nagle zaczęłam się trząść. Nie, nie przez Odyna – przez Ernsta. Wcześniej nie miałam pojęcia, czy wiedział, że odziedziczyłam po nim trochę więcej, niż myślał. Może się z tym liczył, skoro rzucił na mnie urok, ale raczej tego nie zakładał. Ture okazał się dla niego bezgranicznym rozczarowaniem, kiedy wyszło na jaw, że nie dysponuje magią, która usatysfakcjonowałaby ojca. Dziś Ernst wiedział, że to ja jestem dziedzicem. Ale jako kobieta zasługiwałam w jego oczach wyłącznie na pogardę.

Zakryłam dłońmi twarz i się rozpłakałam – całe to napięcie i strach musiały znaleźć jakieś ujście.

Poczułam uścisk ramion – ktoś mocno mnie do siebie przyciskał. Rozpoznałam zapach Ture. Jak to? Przecież za życia nie poznałam go wystarczająco, by teraz kojarzyć jego zapach. Co dziwniejsze, nie odepchnęłam go, choć przecież nie lubiłam być przytulana.

– Nie jesteś taka jak on – szepnął mi do ucha i pogłaskał po głowie.

– Wiem. Już wiem – szepnęłam.

Pan B. poruszył się zadowolony, jakby bardzo mu zależało na tym, bym właśnie to sobie uświadomiła. Odsunęłam się delikatnie od Ture, nie chcąc urazić jego uczuć. Bo choć zanim wpakowałam mu kulkę w głowę, miałam z nim kontakt ledwie przez chwilę, to gdzieś po drodze, w tych snach, które nasyłał na mnie z takim uporem, zbudowaliśmy jakąś relację. Dziwna dziewczyna, jej potwór i jej martwy brat – już widzę, jak hollywoodzka ekranizacja tej historii podbija serca widzów. Burton mógłby wydobyć z nas sporo uroku.

– No już, dziewczynko, poradziłaś sobie, spojrzałaś w oczy złym wilkom i tupnęłaś. Jestem z ciebie dumna! – Frigg kucała przy mnie i gładziła mnie po plecach.

– Nie zabił mnie – powiedziałam zaskoczona. – Byłam pewna, że gdy znowu się spotkamy, zrobi to.

– Wszystko przed wami, ale skoro zniszczyłaś jego zaklęcia, szanse nie są już całkowicie po jego stronie – zauważyła Freya. – Za to twój berserk jest taki imponujący! – Zaklaskała w dłonie z uciechy. – Gdy już skończysz ten urlop, możesz przemyśleć ofertę pracy dla mnie.

– Dla ciebie? – Nie rozumiałam.

– A myślisz, że przeciw komu Odyn wystawia championa? – Uśmiechnęła się drapieżnie. – Co sto lat powtarzamy ten sam rytuał. Wybieramy wojowników, za każdym razem innych, którzy staczają pojedynek w naszym imieniu. Wygrana daje pierwszeństwo przy wyborze poległych.

I o to tyle szumu? Moje życie jako rzut kostką, zanim zaczną kolejną rozgrywkę? Bogowie naprawdę gubią proporcje. Albo, nieśmiertelni i pyszni, nigdy ich nie znali. Nawet ci sympatyczni są bezwzględni, gdy idzie o ich zachcianki.

– Dwie osoby biją się, by zdecydować, które z was pierwsze wybierze trupy?

Kucnęła przy mnie, śliczna, dziewczęca i urocza, i powiedziała:

– To turniej. Jest jeszcze Morrigan, ona też ma swojego championa. Czasami też inni, ale to mali gracze. Sprawa się rozgrywa między naszą trójką. I od wyników pojedynku, a potem wyborów, zależy, które z nas ma najsilniejszą armię. I to będę ja.

Pokiwałam głową, choć wciąż nie rozumiałam sensu całego tego przedsięwzięcia.

– I co? Toczycie potem jakąś bitwę tymi wojownikami? Jak ołowianymi żołnierzykami?

– Nie. Choć moglibyśmy. Ale czasami sama wiedza, że ktoś ma silniejszą armię niż twoja, wystarczy, byś respektował granice jego terytorium. A gdy przyjdzie ostatnia, wielka bitwa…

No tak, ostatnia wielka bitwa, koronacja tych małych bitew, wojen, pojedynków. Naprawdę potrzebowałam urlopu. Natychmiast pomyślałam o Robinie. I dziwne, ale nagle nie potrafiłam przestać o nim myśleć. Miałam wrażenie, że krzyczy mi w głowie. Może stąd ból w skroniach. Potarłam je raz i drugi.

– Co to jest? – zapytała Frigg, łapiąc mnie za rękę i przyciągając ją w swoją stronę.

Na mojej skórze pojawiały się ogniste linie, tworząc skomplikowany wzór run i symboli. Nie parzyły, nie bolały, a jednak czułam narastającą panikę. I wiedziałam, że chodzi o Robina.

– Iben! – zawołałam głośno.

– Musimy wracać, natychmiast! – powiedział, pokazując takie same symbole na swojej dłoni.

– Jak? – zapytałam, bo nie wyobrażałam sobie, że nagle podskoczę dość wysoko, by pojawić się na Preikestolen.

Usłyszałam krzyk.

– Słyszysz mnie? Jesteśmy atakowani! Chodź tu do mnie, słyszysz?

Znałam ten głos…

Rozdział 21

Wynurzyłam się, jak po długim nurkowaniu, na wydechu i z plamkami ciemności wciąż uczepionymi rzęs. Zgodnie z najnowszą tradycją ktoś się nade mną pochylał, a ja wymierzyłam cios, zanim oprzytomniałam na tyle, by rozpoznać sylwetkę stojącą na tle jasnego okna.

Znał mnie dość dobrze, by się uchylić i złapać mnie za nadgarstek.

– Robin – wydusiłam zaskoczona. Jakim cudem znalazł się w Asgardzie?

– Już dobrze, już dobrze, oddychaj! – Sam sapnął z ulgą, która rodziła więcej pytań bez odpowiedzi.

– Co się dzieje? Gdzie ja jestem? – zapytałam zdezorientowana.

– W domu Akuszera – odparł i pomógł mi usiąść.

Absurdalne, ale naprawdę potrzebowałam pomocy.

– Jak tu wróciliśmy?

– W ogóle stąd nie wychodziłaś – oświadczył.

– Ile czasu?

– Trzy dni.

Nagle uświadomiłam sobie, że skręca mnie z głodu.

Nie wiedziałam, w jaki sposób doświadczyłam tego wszystkiego, co jeszcze do niedawna było moim udziałem, ale planowałam zdobyć kilka odpowiedzi. Wciąż piekła mnie ręka, a na skórze, choć blaknące, widniały wzory – podobne do run, bardziej celtyckich niż nordyckich.

– Co to jest? – zapytałam, pocierając skórę.

– Zaklęcie przywołania. Przepraszam, wiem, że nie jest przyjemne, ale nie miałem już pomysłów. Na nic nie reagowałaś.

Pokręciłam głową. Byłam nie tyle zła, co zdezorientowana.

– Gdzie Akuszer?

– Obudził się przed chwilą, wybiegł, gdy usłyszał strzały… Jego żona i synowie bronią bramy. Znaleźli nas. Tym razem z małą armią, ponaddwudziestoosobową. Próbowałem cię obudzić, gdybyśmy jednak musieli zwiewać. Huldra powiedziała, że nie mogę cię zabrać, dopóki się nie obudzisz, bo dusza mogłaby nie trafić. Rozumiesz coś z tego?

Pokręciłam głową i wstałam. Szybko założyłam buty i kaburę. Na granicy świadomości zauważyłam, że z obojczykiem jest wszystko w porządku. Za to spodnie wisiały mi na biodrach, za luźne o kilka centymetrów. Strawiłam dobre cztery kilogramy. Nie musiałam patrzeć w lustro, by się przekonać, że to po mnie widać – wystarczyło pełne troski i niepokoju spojrzenie Robina.

– Nadrobię, wszystko dobrze – uspokoiłam go, sprawdzając magazynki w Inkwizycji i Zębuszce. – Załatwmy złych gości, a potem zajmiemy się całą resztą.

Przyszliśmy za późno. Przed domem walały się ciała w wojskowych ciuchach. Większość była w więcej niż jednym kawałku. Zdążyłam jeszcze zobaczyć Akuszera w wersji rogato-futrzanej, skręcającego kark facetowi, który wymachiwał bezużytecznym kałasznikowem – nie da się z niego strzelać, gdy ktoś zegnie lufę prawie pod kątem prostym. Huldra siedziała na ziemi, przyciskając obie dłonie do brzucha. Jasny wełniany sweter nasiąkał ciemnobordową krwią.

Zza domu wyłonili się dwaj olbrzymi mężczyźni. Podeszli do niej przejęci. Mieli dobrze powyżej dwóch metrów i bary szerokie jak u rugbistów; grube węzły mięśni przypominały niedźwiedzi garb. Jasnowłosi i jasnoocy, wyglądali tak skandynawsko, że mogliby robić za chłopców z plakatów reklamujących wakacje na fiordach. Wełniane swetry, zamszowe spodnie i czarne kalosze nie pozostawiały wątpliwości, że są synami Akuszera. W niektórych rodzinach miłość do kaloszy po prostu przechodzi z ojca na syna.

– Mamo, wszystko dobrze? – zapytał jeden, klękając przy kobiecie.

– Będzie dobrze. Wszyscy są martwi? – zapytała spokojnie.

– Co do jednego.

– Zawołałeś trolle?

– Już idą.

– Doskonale. Pomóżcie ojcu posprzątać ten bałagan. – Machnęła ręką na podjazd usłany trupami.

Z tych, którzy byli w jednym kawałku, sterczały bełty. Sądząc po stanie reszty, rodzina Huldermannów nie uznawała broni za niezbędną w walce, skoro sami byli bronią.

Synowie spełnili prośbę matki. Brali po dwa trupy pod pachy, jak worki kartofli, i nieśli za dom, jak się domyślałam, na pastwisko, blisko granicy z lasem, który łypał na mnie tysiącem głodnych oczu.

Przysiadłam na schodkach prowadzących na ganek, a Robin przycupnął przy mnie. Nie przywykłam aż tak się spóźniać na imprezę.

– Dobrze się czujesz? – zapytał.

– Umieram z głodu – przyznałam.

– To chyba dobrze.

– W jakimś okrutnym alternatywnym świecie, w którym jestem modelką, być może. W tym to piekło na ziemi – odparłam, a on się uśmiechnął, dziwnie rozczulony, i powiedział:

– Jak na człowieka, który przez dłuższy czas nawet nie oddychał, to chyba niezły wynik, nie uważasz?

Tak, to zmieniało postać rzeczy i wyjaśniało, dlaczego poklepuje mnie po kolanie, jakby się upewniał, że jestem prawdziwa. Pacnęłam go po ręce, a on wyszczerzył się w czystym zachwycie. Być może nasza relacja nie była dla niego dobra, skoro cieszyło go doświadczenie przemocy.

– Powiesz mi, co się stało? Gdzie byłaś? – zapytał.

Popatrzyłam mu w oczy. I ze zdumieniem zrozumiałam, że powiem.

– Gdy będziemy wracać, dobrze? Najpierw muszę sama uzyskać jeszcze kilka odpowiedzi.

Przytaknął, traktując moje słowa jako dobry omen. Pokręciłam głową. Jak to się stało? Pojęcia nie miałam. Ale znów miałam partnera. I powierzałam mu swoje życie i swoje tajemnice. Ścisnęłam jego przedramię w geście, który zrozumiał bez słowa. Znał mnie lepiej od Ture, więc nie próbował mnie przytulać. Po prostu ścisnął moje kolano, przekazując mi bez słów, że nie ma sprawy.

– W ogóle jakim cudem cię wpuścił? – spytałam. – Był przecież przeciwny rogaciźnie na jego terenie.

– Przyganiał kocioł garnkowi. – Robin kiwnął głową w stronę Akuszera, wciąż paradującego w swojej rogatej formie. – Otóż nie wpuścił. Sam przeszedłem, gdy nie odbierałaś telefonów. Musiałem sprawdzić, w co się wpakowałaś.

– Oczywiście założyłeś, że w coś się wpakowałam.

– I się nie pomyliłem. Znalazłem cię leżącą bez życia, a jednak wciąż ciepłą. On był w podobnym stanie, tylko siedział w tym wielkim fotelu bujanym. A potem przyszła ona i powiedziała, że będziemy mieć towarzystwo. I że mam was pilnować, bo ona i chłopcy się tym zajmą. I się zajęli. Ale przyszli kolejni. A dziś kolejni. Myślę, że ktokolwiek ich wysyła, może mieć jakiś magazyn ze sklonowanymi idiotami bez woli przetrwania.

– Zrobiłbyś zdjęcia tych z dzisiaj? Potrzebuję ich do małego projektu artystycznego.

– Tym z wczoraj i przedwczoraj już zrobiłem. Pomyślałem, że jeśli się obudzisz, mogą ci się spodobać. A tym dzisiejszym… jeśli trolle już ucztują, chyba poprzestanę na odległej panoramie z opcją zoom, nie pokuszę się o portrety.

Przytaknęłam, bo portretów miałam już więcej niż dość. Nawet nie liczyłam, ilu zabiłam – sama lub z pomocą tych, którzy mnie bronili. Takie marnotrawstwo. Nie byli najlepszymi najemnikami świata, ale wciąż szkoda. Mogli zginąć w wypadku, podpisawszy wcześniej kartę dawcy organów, i byłby z nich jakiś pożytek, a tak wpływają tylko na lepsze odżywienie miejscowej populacji trolli. Cóż, dobre i to. Nie umarli na darmo. I nie za darmo. Miałam nadzieję, że zleceniodawca, po utraceniu którejś ekipy z rzędu, nowym zaczął płacić z góry, a ich rodzinom zapewnił choć odprawę.

Wciąż nie miałam pojęcia, kto i dlaczego ich wysyła, ale nawet nie potrafiłam się tym denerwować. Emocjonalnie wciąż byłam zbyt zdruzgotana. Miałam odpowiedzi, po które tu przyszłam, i mnóstwo nowych pytań. Mimo wszystko czułam jakiś spokój. A może myliłam spokój ze zmęczeniem?

Huldra i Akuszer Bogów gruchali jak para gołąbków, po tym, jak opatrzył jej głęboką ranę z lewej strony brzucha – jak nic bezpośredni postrzał, może nawet z przyłożenia. Zmartwiłam się ogromem krwi i wielką dziurą w jej boku, ale sądząc po ich reakcji, dla pradawnej i magicznej Huldry to była bardziej niedogodność niż zagrożenie życia. Teraz siedzieli przy stole – Akuszer na szczycie, jego żona naprzeciwko, synowie po bokach – i pochłaniali posiłek złożony z sera, chleba i smażonej na żeliwnej patelni wieprzowiny z cebulą. Przynajmniej miałam nadzieję, że to, co starszy z synów, Anton, jak się przedstawił, wyjął z lodówki, było wieprzowiną. Nie zamierzałam pytać. I mimo dojmującego głodu zdecydowałam się na ser i chleb. W Dzielnicy Cudów wyrobiłam sobie zwyczaj unikania posiłków, jeśli mięso było niepewnego pochodzenia – wolałam się nie zastanawiać, czy to, co jem, nie miało do niedawna dowodu osobistego. Robin, nie pytając, podążył za mną ścieżką wegetarianizmu z rozsądku.

Nie siedliśmy też do stołu, a posadziliśmy tyłki na szerokim blacie roboczym przy zlewie. Miałam wrażenie, że siadając przy stole,

zakłóciłabym Huldermannom tę rzadką i cenną dla nich chwilę. Synowie mieli z matki wystarczająco wiele, by dzielić jej ograniczenia. Wiedziałam, że wkrótce – za szybko dla Akuszera – wszyscy troje będą musieli odejść w góry, a on będzie czekał na następne takie spotkanie. I nie pojawię się ja, z moimi kłopotami, dająca im pretekst do rodzinnego zjazdu i rozrywek grupowych.

– Powiesz mi, co właściwie się stało? – zapytałam lekko między kęsami.

Akuszer Bogów spojrzał na mnie niewinną minką, ale oczy połyskiwały mu ledwie skrywanym humorem.

– Naprawdę źle zniosłaś ugryzienie pszczoły – ni to zapytał, ni stwierdził.

– Po co to wszystko? Nie mogłeś mi powiedzieć, że wejdziemy w trans, by odwiedzić zaświaty?

Pokręcił głową.

– Musiałaś wierzyć, że to wszystko prawda – przejście skrótem, wędrówka na Preikestolen. Chciałem mieć pewność, że zdasz test, zanim dopuszczę cię przed oblicze Frigg.

– Ryby też?

– Nie, ryby to po prostu była kolacja. – Uśmiechnął się złośliwie.

– I co? Zdałam test? Co właściwie testowałeś? – Nie odpowiedział, więc dodałam: – Mam prawo wiedzieć, Akuszerze. Po wszystkim mam prawo wiedzieć.

– Musiałem się upewnić, że nie odziedziczyłaś po nim zbyt wiele. Że nie jesteś dzikim zwierzęciem, które rzuci się Frigg do gardła. Że jesteś stabilna i nie ulegniesz żądzy krwi. Poszło ci dobrze. Zaskakująco dobrze, biorąc pod uwagę twoje pochodzenie.

Nie potrafiłam się na niego za to gniewać. W końcu znał oboje moich rodziców.

– I co teraz? – zapytałam z nadzieją, że mi odpowie, bo sama nie wiedziałam, co dalej.

– Pewnie cię będą nagabywać. Spodobałaś się im i teraz to już kwestia ambicji między nimi.

– Odyn i Freya?

– Taaa, prowadzą te gierki od tysiącleci i wciąż nie wydają się znudzeni. – Skrzywił się. – Uważaj na nich i poważnie się zastanów, nim podpiszesz umowę z którymkolwiek z nich. I pamiętaj o tym, co ci mówiłem o rozliczeniach z bogami: czasami lepiej nic od nich nie dostać.

Przytaknęłam, bo teraz, widząc go z żoną i synami, rozumiałam lepiej niż wcześniej, jak dotkliwa okazała się kara, która miała być nagrodą.

– Dziękuję ci. Za wszystko. Może zwłaszcza za ten kłębuszek z zaklęciem Ernsta. To dla mnie dużo znaczy.

Przytaknął bez słów.

– Jedź bezpiecznie – powiedział po chwili. – I zjedz coś, źle wyglądasz. Chuchro takie.

Zaśmiałam się tylko, bo przy nim i jego synach, a nawet przy dużej, masywnej jak dąb Huldrze, faktycznie wyglądałam jak dziewczyneczka.

Gdy odprowadzali nas do bramy, Akuszer powiedział:

– Gdybyś chciała przywołać kogoś z tamtej strony, a nie miała akurat pod ręką magicznych pszczół, możesz użyć tego. – Podał mi woreczek z białego płótna, wypchany czymś, co pachniało zielenią i lasem. – Tylko nie przesadzaj. Weź nie więcej niż odrobinkę, bo znów prześpisz kilka dni, albo zmienisz się w ćpuna zaświatów. Ich magia na dłuższą metę uzależnia.

– Nie spieszy mi się. Mój ojciec wciąż oddycha tamtym powietrzem. – Skrzywiłam się.

– Dobrze zrobiłaś – powiedział i wiedziałam, że mówi o mojej odpowiedzi na pytanie Odyna, czy chcę jego śmierci.

Byłam pewna, że gdybym wtedy powiedziała, że owszem, skręciłby Ernstowi kark jak zapałkę. Miał poważne niedociągnięcia w kwestii relacji pracodawca – pracownik. A ja myślałam, że to Zakon, który odmawiał płatnych urlopów, był niehumanitarny.

– Być może przyjdzie mi tego pożałować.

– Któż wie, co nam zapisano. Nie bawmy się w bogów. Oni bawią się nami wystarczająco.

– Brzmi jak dobry tekst na nagrobek.

– Może wykorzystam za kilkaset lat.

Poklepał mnie po plecach i to było tyle. Koniec przygody. Do samochodu Robin i ja wracaliśmy w ciszy, nie wiedząc, czym ją wypełnić i od czego zacząć.

– Obstawiamy, ile zjesz hot dogów na najbliższej stacji? – zapytał mój partner, przerywając to nazbyt mistyczne milczenie.

– Pierwszy porządny posiłek od trzech dni? Jak cholera to nie będą hot dogi, koniec z wegetariańskim żarciem. – Uśmiechnęłam się szeroko, szczęśliwa, że nie dał się spławić po drodze i teraz był tu razem ze mną.

*

Zatrzymaliśmy się w Etne, w restauracji serwującej owoce morza, ryby i steki. Pochłaniając porcję wystarczającą do nakarmienia ośmioosobowej rodziny, opowiadałam Robinowi o tym, czego doświadczyłam w czasie dziwnej podróży z Akuszerem. Przytakiwał i pochrząkiwał we wszystkich odpowiednich momentach. Był naprawdę dobrym słuchaczem, a ja poczułam ulgę, że mogę podzielić się swoją opowieścią z kimś, kto nie powie, że oszalałam, ani nie będzie kwokować – jak Aleks, który zacząłby wygrażać wszystkim, od Jottunga, przez Odyna i Ernsta, po całą resztę, jeśli uznałby, że nie opiekowali się mną wystarczająco. Tak, to nie jest rozsądne, ale kiedy Aleks się martwił – a martwił się, ilekroć dowiadywał się za wiele o moich przygodach – zaczynał tyradę, sprowadzającą się do tego, że cały świat powinien się mną opiekować, bo jestem kruchą dziewczynką, bez której jego świat by się zawalił. Tak więc każdy, kto choćby nabił mi siniaka, stawał się jego osobistym wrogiem. Mogłam mu tłumaczyć, że zarabiam na życie mordowaniem ludzi, biciem ich albo stawaniem między moim klientem a ludźmi, którzy chcą go skrzywdzić… Ba, przez większość czasu sama aktywnie szukałam zaczepki. Ale w takich chwilach Aleks był argumentoodporny.

Nienawidził Ireny i Ernsta, ale i dzieciaka sąsiadów, który po pijaku obił swoją małą hondą zderzak Brzydala, bo „naraził mnie na niebezpieczeństwo”. Hondą. Bogowie.

Reagował tak zawsze, gdy opowiadałam mu o swojej pracy. A kiedy docierało do niego, że jestem cała i zdrowa, zaczynał kolejną tyradę – tym razem o moim ryzykanctwie i lekkomyślności. Potem wszystko mijało i znów był dobrym druhem.

– Wiesz, że nie dadzą ci spokoju? – zapytał Robin, gdy skończyłam opowiadać o konfrontacji z Odynem i Ernstem.

– Domyślam się, niestety.

– Poczekaj, aż Morrigan o tym usłyszy… Ona wszędzie ma swoich szpiegów.

– Hmm. To nie są czasem wrony? – zapytałam, patrząc na wielkie czarne ptaszyska, które obsiadły bezlistne drzewo po drugiej stronie ulicy. Wydawały się za małe na kruki.

Spojrzał za okno.

– Być może już wie. No cóż, nie ma co płakać nad nieuniknionym.

– Może to tylko przypadkowe wrony.

– Tak przypadkowe jak te kruki po drodze? Albo wysokość naszego rachunku?

Może faktycznie. Ale postanowiłam się tym przejmować. Zwłaszcza że zupełnie nie miałam pojęcia, jak spławić zainteresowanych mną bogów. Nie planowałam zostawać championem – nie w tym stuleciu.

*

Dotarliśmy do Haugesund prawie dwie godziny przed odlotem samolotu. Oddaliśmy samochód w filii wypożyczalni i objuczeni sakwami i plecakami poszliśmy na lotnisko – małe i podobne do absolutnie każdego lotniska w Norwegii. Możliwe, że wszystkie są budowane wedle tego samego projektu architektonicznego. Gdziekolwiek człowiek trafi, właściwie już tam był.

Na szczęście nie mieliśmy problemu z kupnem biletów do Gdańska, o ile nie przeszkadzały nam droższe miejsca z dopłatą za dodatkową przestrzeń na nogi i priorytetowe wkroczenie na pokład. Cóż, nie miałam nic przeciwko temu, by było nam choć odrobinę wygodniej. Podróż tanimi liniami nawet dla ludzi niewysokich, jak ja, stanowi spore wyzwanie.

W sklepie wolnocłowym wydaliśmy wszystkie pozostałe korony. A już na pokładzie samolotu odkryłam, z pewnym rozbawieniem, że Robin upija się dość łatwo i komicznie. Dostał czkawki, opowiadał dowcipy, które bawiły wyłącznie jego, i śpiewał pieśni po gaelicku – jeśli dobrze zrozumiałam, coś o owcach, Anglikach i straconej narzeczonej. Cóż, na jego usprawiedliwienie powiem, że widząc, jak panikuje, sama go namówiłam, by strzelił sobie coś mocniejszego. A gdy światełka nad naszymi głowami zaczęły migać na skutek przepięć, zrozumiałam, że samolot nie lubi Robina równie mocno, jak on nie lubi samolotu. Zaczęłam więc wlewać w niego alkohol, by się rozluźnił.

– To na mnie w ogóle nie działa – czknięcie – i wcale nie smakuje tak dobrze. – Czknięcie. – Dlaczego ludzie to właściwie piją? – Czknię-
cie. – Czy długo jeszcze będziemy w tej skrzydlatej trumnie? – Czknię-
cie. – Dlaczego nie możemy płynąć promem?

Tłumaczyłam mu, że szkoda czasu na ponowne przecinanie Norwegii i Szwecji, by dotrzeć do Karlskrony, ale nagle okazało się to zupełnie nieistotne.

Gdy podchodziliśmy do lądowania i poczuliśmy lekkie turbulencje, wbił mi paznokcie w rękę, jęcząc:

– Nienawidzę cię. – Czknięcie. – Nienawidzę cię, zapłacisz mi za to! – Czknięcie.

I nagle, kiedy samolotem wstrząsnęła druga fala turbulencji, czkawka mu przeszła – ze strachu. Gdy wylądowaliśmy na płycie w Gdańsku, odpiął pas, wstał i zaczął klaskać, wołając:

– Brawo pilot! Sto lat dla pilota!

Poczułam, że z powrotem jesteśmy w Polsce – w każdym tego słowa znaczeniu.

Mój najdroższy partner był zalany w pestkę także godzinę później, gdy taksówkarz zatrzymał się pod hotelem. Mogliśmy od razu wracać do Warsu, ale było późno, a ja chciałam jeszcze porozmawiać z Kosmą. Powinien wiedzieć o nowym etapie relacji z Panem B., choćby po to, by jego badania były kompletne. Jeśli kiedykolwiek, za sto albo dwieście lat, narodzi się kolejna kobieta berserk, będzie miała nieco mniej pod górkę właśnie dzięki pracy Kosmy, którą obiecał opublikować dopiero po mojej śmierci.

Boy hotelowy za solidny napiwek wniósł nasze rzeczy na pierwsze piętro i zostawił przy drzwiach apartamentu. Ja prowadziłam pijanego Robina, któremu włączył się wędrowniczek – wystarczyło spuścić go z oka na kilka sekund, by chwiejnie, ale zaskakująco szybko, oddalił się w bliżej nieokreślonym kierunku.

Apartament składał się z dwóch małych sypialni z podwójnymi łóżkami w każdej, nieco większego saloniku z kanapą, stolikiem kawowym i telewizorem na pół ściany oraz łazienki z dużą kabiną prysznicową. Żaden luksus, ale wygodnie. Poza tym nie musiałam spać w jednym pokoju z pijanym Robinem, który zwykle nie chrapał, za to teraz albo właśnie to robił, albo przywoływał demony – jedno z dwojga.

Pchnęłam go na łóżko, ściągnęłam mu ciężkie buty i zdjęłam kurtkę. Mamrotał coś i odpychał moją rękę, więc nie zamierzałam ściągać z niego nic więcej. Ktokolwiek zrobił mu kiedyś krzywdę – a miałam pewność, że do tego doszło – będzie się smażył w piekle. Przykryłam go lekką puchową kołdrą i udałam się do swojej sypialni.

Zadzwoniłam do Kosmy z pytaniem, czy możemy się spotkać rano. Nie chciałam wędrowniczka zostawiać samego – jeszcze by się obudził w środku nocy i zniknął bogowie wiedzą gdzie.

– Może wpadnę do ciebie, do hotelu? – zapytał Kosma, a jego głos pobrzmiewał napięciem, które zupełnie nie pasowało do mojego zawsze opanowanego brata. Nie pasowała też do niego propozycja, by się spotkać poza biblioteką, do tego w realnym mieście.

– Wszystko w porządku? – zapytałam, czując, że i mnie udziela się zdenerwowanie.

– Nie całkiem. Muszę z tobą porozmawiać. I tak nie zasnę, równie dobrze możemy zrobić to teraz.

– Może po ciebie wyjdę? – Kosma nie lubił realnego miasta, rzadko w nim bywał i nie potrafił się tam odnaleźć.

– Wezmę ze sobą ochroniarza. Nie martw się, przysługuje mi jako Archiwiście – zapewnił.

Są zdania, które usłyszysz tylko w miastach alternatywnych.

*

Czekając na przybycie Kosmy, wzięłam prysznic i przebrałam się w świeże ubrania. Zamówiłam też jedzenie do pokoju, dopłacając trzydzieści procent, ponieważ było już po dwudziestej drugiej. Jakby mój żołądek znał się na zegarku.

Przyszedł kwadrans przed dwudziestą trzecią. Chyba nigdy wcześniej nie widziałam go w płaszczu. Właściwie czy kiedykolwiek widziałam go poza biblioteką czy jego mieszkaniem? Raczej nie. A teraz stał w drzwiach pokoju hotelowego i zdecydowanym tonem informował ochroniarza, który wyglądał na czarownika ziemi lub ognia – duży, masywny, ale o dość łagodnych, wciąż nieco chłopięcych rysach, z tym zaskoczonym wyrazem twarzy, jakby sam nie mógł uwierzyć, że nagle urósł taki duży – że tak, jest absolutnie pewien, że chce być ze mną sam w pokoju, i tak, on ma pozostać na korytarzu.

Musiałam oddać sprawiedliwość ochroniarzowi. Nie miał pojęcia, że ja i Kosma jesteśmy spokrewnieni, skoro trzymaliśmy to w tajemnicy, a ja cieszyłam się taką, a nie inną reputacją.

– Spokojnie, wróci do ciebie w jednym kawałku – powiedziałam uspokajająco.

– I będzie nie tylko cały, ale również zdrowy i żywy? – doprecyzował pytanie.

– Tak. Masz moje słowo. – Uśmiechnęłam się, bo podobał mi się ten chłopak. Był bystrzejszy, niż się wydawał, i trochę mnie uspokoiło, że to z nim Kosma będzie wracał w nocy.

Mój brat rozejrzał się po pokoju, po czym usiadł na małej sofce pod oknem i skinął, bym zajęła miejsce obok niego. Było w nim coś dziwnego. Stał się jakby sztywniejszy, poważniejszy… sama nie wiem: zdeterminowany. Myślałam, że to może dlatego, że przecież po raz pierwszy od wieków wyszedł do realnego miasta, ba – z budynku biblioteki. Myliłam się.

Gdy przy nim usiadłam, poruszył się gwałtownie i zarzucił mi łańcuch na kark. Małe, grube ogniwa natychmiast przykleiły mi się do skóry. Srebro kumulowało magię wystarczająco potężną, by włoski stanęły mi dęba. Oddychałam powoli, powstrzymując narastający atak paniki. Próbowałam ściągnąć łańcuch, ale impulsy elektryczne poparzyły mi palce. Im bardziej się szarpałam, tym się wydawał gorętszy i tym głębiej wtapiał mi się w kark. Kurwa mać.

– Kosma, czy możesz mi to wyjaśnić? – zapytałam cicho, z całym spokojem, na jaki było mnie stać.

– To dla twojego dobra – powiedział.

Złość podgrzewała mi krew, a adrenalina pompowana w krwiobieg sprawiała, że aż szumiało mi w uszach.

– Co ty, kurwa, sobie wyobrażasz, że robisz? – warknęłam, znów łapiąc za łańcuch. Miałam w dupie skwierczenie skóry i pęcherze. – Nikt nie będzie mnie więził, nawet ty, bracie – dodałam i oderwałam łańcuch od karku z obrzydliwym mlaśnięciem, krew spływała z poparzonej szyi, dłonie piekły, jakbym wsadziła je do wrzątku.

Zerwałam się z sofy i przebiegłam te kilka kroków do łazienki. Puściłam wodę z kranu i zanurzyłam pod strumieniem łańcuch i obolałe dłonie. Lustro zaparowało, ale temperatura metalu spadała, gdy płynąca woda niwelowała część zaklęcia. Wreszcie udało mi się wypuścić łańcuch z dłoni. Był cały poczerniały, dłonie miałam w pęcherzach, z odbitymi śladami ogniw.

Z ociąganiem wróciłam do pokoju. Kosma siedział nieruchomo w tym samym miejscu. Zdrada zawsze smakuje gorzko, ale nigdy nie spodziewałam się jej po nim. Zabolało. Kolejny powód, by nie dopuszczać ludzi zbyt blisko. Znają cię za dobrze, by nie znać twoich słabych punktów.

– Nie zmieniłaś się – nie krył zaskoczenia.

– Lepiej się wytłumacz, Kosma. Jednego brata już zabiłam, nie każ mi robić z tego tradycji – powiedziałam cicho.

W tym momencie miałam tylko dwa poziomy głośności: złowrogi szept i wrzask. Robin spał za ścianą. Ochroniarz stał za drzwiami.

– Musiałem sprawdzić.

– Co, do kurwy nędzy?! – wrzasnęłam. – Czy cię zabiję? Do reszty cię pojebało? Przychodzisz do mnie i robisz coś takiego? Masz życzenie śmierci?

– Musiałem się upewnić, czy to wciąż ty – odparł ze spokojem, którego nie powinien czuć. Nie teraz, gdy stałam naprzeciwko niego czerwona na twarzy, z zaciśniętymi pięściami, poraniona, w koszulce nasiąkającej krwią.

– A kim twoim zdaniem miałabym być?

– Berserkiem.

Przygryzłam wargę. Musiałam się gdzieś uderzyć w głowę. Albo on. Może to szaleństwo długowieczności? Kosma miał ile – pięćset dwadzieścia lat? Sporo. Może już przepaliły mu się obwody. Komórki przestały się regenerować i oszalał. Może powinnam zawołać ochroniarza i kazać mu odprowadzić Kosmę do Trójprzymierza, prosto do skrzydła szpitalnego.

– Ja jestem berserkiem – powiedziałam powoli. – Od urodzenia, jak ty. Po przełomie. Coś ci się stało w głowę?

Zacisnął usta w uporze.

– Widziałem twoje wyniki, Nikito, to nie wygląda dobrze. On się rozwija, rośnie. Musiałem sprawdzić, czy jeszcze tam jesteś. Przepraszam, jeśli cię zabolało, ale musiałem wiedzieć.

– Chwileczkę: myślałeś, że zdziczałam? Że Pan B. przejął kontrolę i hasa beztrosko, żądny krwi?

Przytaknął.

– I przyszedłeś tu, uzbrojony w łańcuch i dzieciaka, który zgodził się zostać za drzwiami? Czy ciebie do reszty pojebało, Kosma?! – znów wrzeszczałam.

– Nie rozumiem, jak to się mogło stać – powiedział bardziej do siebie niż do mnie.

Wyciągnął z kieszeni płaszcza grubą kopertę. Już po chwili zaczął przede mną rozwijać długi pas papieru, przypominający te, jakie wyrzucają z siebie maszyny do EKG, tylko szerszy i grubszy – z kremowego papieru czerpanego – pokryty wielokolorowymi wykresami tworzącymi

skomplikowane wzory. W większości były dla mnie czarną magią, mimo to podeszłam, by się im przyjrzeć. Próbowałam zrozumieć, co w nich skłoniło Kosmę do skrępowania mnie. Jego mieszanka magii i technologii była unikalna, a wersje skanów, które wykonywał na podstawie kropli krwi – cholernie skomplikowane i bez objaśnienia niewiele z nich rozumiałam.

– Możesz mi to wyjaśnić? Już bez rzucania we mnie przeklętymi artefaktami?

Usiadłam z powrotem na sofie i rozciągnęłam papier na długość ramion.

– Te hieroglify są dla ciebie jak porcja szaleju, więc jesteś mi winien wyjaśnienia.

Wyciągnął z koperty drugi pakiecik papieru. Rozwinął go przede mną, bym mogła oba porównać. No dobra, nawet w moich oczach różnica była wyraźna.

– Jak stary jest ten pierwszy? – zapytałam.

– Sprzed roku.

– A ten – poruszyłam dłońmi – to wynik badania sprzed wyjazdu?

Pokiwał głową.

No tak. Teraz widziałam, co wpędziło go w szaleństwo. Na starym wydruku moja sygnatura była bardziej ludzka niż magiczna, pełna drobnych szarpnięć, które dało się wytłumaczyć moim pochodzeniem. Mogłam rozpoznać nieznaczne ślady magii, którą odziedziczyłam po babci szeptunce, jakieś srebrne kreski po Ernście i cienie pana B. – również srebrne, jak przystało na starożytne stworzenie napędzane magią pochodzącą bezpośrednio od bóstwa. Mimo to w przeważającej mierze pozostawałam człowiekiem. Kolory nie kłamały.

Nowy wykres był znacznie bardziej krzykliwy. Moje jasne ludzkie linie ginęły w plątaninie srebrnych zawijasów i nieoczekiwanie pojawiających się zielonych pasmach. Moja magia nie była zielona. To obcy element, wcześniej nieobecny. Dziwne. Gdy pierwszy raz spojrzałam na zielone pasma, wydały mi się obce i wrogie, ale im dłużej na nie patrzyłam, tym więcej z tego rozumiałam. Przenikały pasma srebrne i jasne niczym dodatkowe ogniwa, tak że zmieniały się ich kolory – ludzkie stawały się leciutko seledynowe, prawie świecące niewinnością, a srebrne mieniły się na oliwkowo. Zieleń była łącznikiem, tłumaczem, dzięki niej wzór nabierał jakiejś elegancji i harmonii. Wiedziałam, co to oznacza. Westchnęłam ciężko.

– Domyślasz się, skąd ta zieleń? – zapytałam.

Pokręcił głową.

– Porównałeś to z krwią Robina? – zapytałam.

– Nie zdążyłem. Kilka razy powtarzałem twoje, by mieć pewność, że nie wkradł się błąd.

– Gdy mnie postrzelono i podtruto, umierałam. Czułam, że Robin pompuje w moją aurę swoją magię, by mnie utrzymać przy życiu. Nie pierwszy raz. Wspominałam ci, że co najmniej kilka razy zdarzyło się, że Pan B. przejął kontrolę, gdy tego potrzebowałam, ale potem się wycofał zamiast, jak zawsze, ruszyć w krwawy rajd po trupach do skrajnego wyczerpania? Wtedy też Robin zawsze był przy mnie.

– Jego magia zmieniła twoją.

– Najwyraźniej.

– Wiesz, że powinnaś go zabić? Nie mam pojęcia, w jakim kierunku idą te zmiany, ale niepokoi mnie, że berserk stał się wyraźniejszy i silniejszy niż kiedykolwiek. Wygląda na to, że nie jest już tylko zalążkiem, który możesz spychać w podświadomość. To nie wszystko. W twojej krwi nie znalazłem nawet śladowej ilości leków. Wszczep nie tyle się przepalił – co po prostu leki nie są wchłaniane, nie mogą robić swojej roboty! Nie masz już spadochronu, rozumiesz? A ja nie wiem, jak ci pomóc! On wyżera sobie drogę na zewnątrz i Robin w jakiś sposób mu w tym pomaga. Musisz go zabić, nim będzie za późno.

– To ostatnie, co powinnam zrobić. Kosma, masz rację, on mnie zmienia, nas zmienia, ale… to nie są złe zmiany. Nie mam problemów z tym, by się kontrolować. Pan B. jest spokojniejszy niż kiedykolwiek. On… to prawda, rośnie, jest silniejszy, ale też dojrzalszy. Mogę się z nim w jakimś stopniu komunikować, nie jest już czystą agresją, nie posługuje się wyłącznie czasownikami dotyczącymi zabijania. Przynajmniej dwukrotnie sięgnął po magię, by powstrzymać przełom, bo zrozumiał, że wokół jest zbyt wiele osób i że mnie zależy, by nic im się nie stało. Rozumiesz? On się socjalizuje, uczy się mnie, a ja uczę się jego. Jakby nagle zaczął rozumieć mój język i słuchał, co do niego mówię. Kiedy byliśmy w Asgardzie – Kosma drgnął – pomógł mi, naprawdę chciał, byśmy zrobili dobre wrażenie na Odynie i namieszali Ernstowi w głowie. Pierwszy raz, odkąd wiem o jego istnieniu, nie boję się tego, kim i czym jest, nie fantazjuję, by go wyciąć z siebie tępym nożem i wypalić ślady ogniem. W jakiś przedziwny sposób… dogadujemy się. Pan B. jest niemal wyciszony, spokojny, łatwo

go przywołać pod powierzchnię, ale nie walczy, gdy chcę, by się ukrył. Jeśli to zasługa magii Robina, mogę sobie wyobrazić dużo gorsze rzeczy.

– Uzależniasz się od niego. A co, jeśli go zabraknie? – zapytał z troską.

No tak, to była w pełni uzasadniona obawa. Czy gdy zabraknie Robina, zieleń z wykresu zniknie razem z nim? I czy Pan B. wciąż będzie przyjaznym potworem? I czy dogadamy się bez tego łącznika? I czy bez niego leki znów zaczną działać, czy ta szalupa zatonęła bezpowrotnie?

– Przynajmniej mu o tym nie mów, słyszysz? Ta wiedza byłaby władzą, a on może być milutkim facetem, ale co ty właściwie o nim wiesz? Co wiesz o jego magii, która musi być co najmniej tak stara, jak twoja, by wpływać na nią w taki sposób? Obiecaj mi, że mu nie powiesz – zaklinał mnie Kosma.

– Obiecuję – powiedziałam niechętnie. Niestety miał rację. Wiedza to władza.

Przez dłuższą chwilę przyglądał mi się badawczo, jakby szukał śladów kłamstwa. Wreszcie poprosił:

– Opowiedz mi o wszystkim, co się działo od naszego ostatniego spotkania. Ze szczegółami, zwłaszcza gdy dojdziesz do Asgardu i Ernsta.

Więc opowiedziałam. O tropiących nas zamachowcach, krukach, Akuszerze Bogów, pszczołach, złośliwym olbrzymie, magii kipiącej w jego siedzibie, testach, jakie przeszłam, i spotkaniu z Frigg, Freyą, Sagą, Nornami, Odynem i Ernstem. Opowiedziałam o snach z Ture i jego próbach ostrzeżenia mnie przed udziałem w turnieju. A także o tym, że Akuszer zdjął ze mnie urok ojca, a potem sama zdołałam usunąć ze swojej magii to, co zostawiła w niej Irena. Trwało to naprawdę długo i kiedy mnie skończyły się historie, a jemu pytania – świtało. Kosma miał nad czym dumać i co przetrawiać.

– Wiedziałem, że twoja matka wygrywa rankingi na patologię roku, ale nie przypuszczałem, jak daleko wysunęła się na prowadzenie – podsumował.

– Wysoko ustawia poprzeczkę – przyznałam.

– Zamierzasz ją zabić? – zapytał nie bez podstaw.

– Nie wiem. Chciałabym uniknąć mordowania członków rodziny, nawet jeśli robią, co mogą, by zasłużyć na kulkę. Wciąż nie doszłam do siebie po zabiciu Ture. A co, jeśli każdy z was, dzielących ze mną krew, będzie mógł mi hasać po snach? Pierwszy raz od dawna śpię naprawdę dobrze, nie wiem, czy powinnam ryzykować.

Wykręcałam się od odpowiedzi, a on o tym wiedział. Ale powoli mi się krystalizowało, co powinnam zrobić z Ireną. Tylko jeszcze nie byłam gotowa o tym mówić.

– A Robin? Zatrzymujesz go? – zapytał jakby mój partner łamane przez prawie przyjaciel był niczym innym jak psem przybłędą.

– Myślę, że ma na mnie dobry wpływ. I nie wkurwia mnie tak jak większość ludzi. To znaczy wkurwia, ale nauczyłam się to tolerować lepiej niż w przypadku większości – przyznałam.

I to była prawda. Nie bardzo wyobrażałam sobie, że miałby teraz zniknąć z mojego życia.

– To wszystko jest takie poplątane, prawda? – powiedział Kosma. – Całe życie wyznaczasz ludziom granice. I niektórzy, jak ja, w naturalny sposób ich przestrzegają. Ale są też tacy jak Dora czy Robin, którzy je ignorują, podchodzą bliżej, dotykają mocniej, zostawiają swoje odciski palców w zakamarkach duszy. Być może myślą, że tego potrzebujesz, i być może mają rację.

– Mają rację, przekraczając moje granice? – Nie rozumiałam.

– Tak, bo ustawiasz je zbyt rygorystycznie. Trzymając ludzi na tak znaczny dystans, krzywdzisz samą siebie.

– Przyganiał kocioł garnkowi, a sam smoli, panie „nerwica społeczna nie pozwala mi być w jednym pokoju z tobą”.

– Ale ja jestem tchórzem, siostrzyczko. Ty jesteś ode mnie silniejsza i odważniejsza. Oswoiłaś bestię, którą w sobie nosisz. Ja zorganizowałem sobie życie tak, by nigdy jej nie spotkać.

– Są różne rodzaje odwagi, Kosma.

– Może. A moja jest z tych nienarzucających się. Jak uroda. Widzisz, jeśli ludzie przekraczają twoje granice, zmieniają coś, wywierają wpływ.

– Niszczą. Jak Ernst. Jak Irena.

– To też. Ale nie tylko. Rozwijają cię. Jak Dora, Aleks, Robin. Nawet Ture, choć jest już martwy, znalazł sposób, by cię troszeczkę zmienić. Myślę, że tylko miłość potrafi odcisnąć piętno wystarczające, by wytrącić z utartego szlaku. Dlatego tak się jej boję i unikam jak spotkania z żyjącą we mnie bestią.

Nie wiedziałam, co powiedzieć. Nigdy się nad tym nie zastanawiałam. Nie w ten sposób. Ale miał rację – jeśli miłość i zaufanie szły w parze, zmiany podążały za nimi jak dziewczynka do sypania kwiatów. Kosma miał w większości rację, ale zapomniał o jednej osobie.

– Był jeszcze taki ascetyczny chudzielec, który przynosił mi do biblioteki batoniki proteinowe i odpowiedzi na pytania, które zżerały mnie od środka. Pomógł mi uwierzyć, że nie muszę być potworem.

– Byłaś głodna.

– Zawsze jestem. Ale to prawda, Kosma. Zmieniłeś mnie i cieszę się, że jesteś moim bratem. Nawet jeśli to oznacza, że po ciężkim dniu kończę spętana zaklętymi łańcuchami. Ja cię, no wiesz…

– No wiem.

– Dora powiedziała kiedyś, że są słowa, których nie potrafię wypowiedzieć na głos.

– Co ona tam wie, widziałem jej oceny końcowe.

– Brakuje mi jej, wiesz? Potrafiła znaleźć we mnie te rzeczy, których nikt inny nawet nie szukał.

– Ona cały czas jest w tobie. To też konsekwencja tego, że poszła dalej, że przekroczyła postawione przez ciebie granice.

– Może kawałek mnie został w niej i to jest ten kawałek, którego mi brakuje?

– Gdy kochamy, nie ubywa, a mnoży się. Z tobą w moim życiu jest mnie więcej, siostrzyczko.

– Ryzyka też jest więcej.

– Ale to cena, którą warto zapłacić. Nie można żyć w bibułce. Wierz mi, próbowałem. Nic dobrego z tego nie wynika.

– Czy to znaczy, że będziesz częściej wychodził? Może odwiedzisz mnie w Warsie?

Skrzywił się. Zawsze, kiedy opowiadałam mu o moim mieście, krzywił się w ten sam sposób. Uważał, że niepotrzebnie ryzykuję. Że wybrałam to miejsce jak pokutę, jakbym podłożyła głowę pod miecz Damoklesa. Sądził, że ktoś taki jak ja powinien unikać miejsc do tego stopnia dzikich i nieprzewidywalnych. Może miał rację. Ale to znów kwestie granic i uczuć zbyt gorących, by dało się je ugasić rozsądkiem.

– Wolę metodę małych kroczków. Może czasami wyprowadzę ochroniarza na spacer.

– Może najpierw go przetestuję? – zaproponowałam.

– Nie dostanę przydziału na nowego, jeśli go uszkodzisz. I tak podbiją mi stawki za ubezpieczenie, skoro wyszedłem z biblioteki.

– Doliczą ci podatek za świeże powietrze?

Dźgnął mnie łokciem i pierwszy raz, odkąd go znam, zaśmiał się. Nie skrzywił w uśmiechu, ale wydał z siebie głośny, radosny dźwięk. Przyszło mi do głowy, że może większe ryzyko nie było jedynym, co wniosłam w życie mojego brata.

Rozdział 22

Ulga spłynęła na mnie jak miękki koc w zimną noc. Może był lekko poobijany, ale wciąż stał na swoim miejscu – mój dom. Po latach życia nomady przywiązałam się nie tylko do miasta – bo pierwsze kroki w Warsie, z jego szaloną, niejednoznaczną energią i zapachem kłopotów o poranku, powitałam odruchową euforią – ale również do domu: brzydkiego betonowego pudełka, które choć miało uszkodzone drzwi, przekopany trawnik, ślady ostrzelania, przepalone kręgi ochronne… wciąż stało na miejscu i nie doskwierało mu nic, czego nie zdołałabym naprawić. Uśmiechałam się do jego małych zakratowanych okienek i stalowych drzwi garażowych – tak paskudnych, że aż pięknych.

W drodze, gdy jechaliśmy wynajętym samochodem, powtarzałam sobie, że zacznę od priorytetów, czyli od wizyty u Karmy i u Ireny, a także ogarnięcia tego bałaganu, który po sobie zostawiłam. Ale ciągnęło mnie tu bardziej, niż chciałam się przyznać. Gdy więc zostawiliśmy samochód w wypożyczalni i pieszo przekroczyliśmy bramę Warsu, zaproponowałam Robinowi kilka godzin na przegrupowanie sił. Odstawiłam go do domu, a sama poszłam do siebie. Racjonalizowałam, że chodzi o to, że ten dom skrywa kilka moich tajemnic i muszę wiedzieć, czy nie zostały odkryte, ale teraz mogłam się po cichutku przyznać, że chodziło o coś więcej. O to, czy wciąż mam swoje miejsce na ziemi.

– Wróciłaś! – usłyszałam głosik za swoimi plecami.

Zerknęłam przez ramię i w pierwszej chwili nie zobaczyłam nikogo. Dopiero gdy spojrzałam uważniej, dostrzegłam trójkę dzieciaków sąsiadów – małe łobuzy, których wszędzie było pełno. Niejednokrotnie łapałam je na zakradaniu się na moją posesję, ale nigdy niczego nie ukradły ani nie próbowały się włamywać do domu, więc wciąż chodziły po tej ziemi. Robiły to zresztą z niefrasobliwym wdziękiem i ciekawością kotowatych. Nie pamiętałam ich imion, nigdy nie zawracałam sobie tym głowy. Za chwilę miała być ich czwórka, bo ich matka znów nosiła luźniejsze sukienki, maskujące rosnący brzuszek. Wiedźma powietrza

spełniała się jako matka i wychodziły jej te dzieciaki tak ładnie, że nie miałam nic przeciwko, by zrealizowała i mój przydział na potomstwo. Gdy dojdzie czwarte, może zapamiętam imiona, na razie wystarczało: najstarszy, średni i najmłodszy albo duży, mniejszy i najmniejszy.

– Pilnowaliśmy ci domu – powiedział najstarszy. Mógł mieć osiem lub dziewięć lat i patrzył poważnie spod rudej jak młode kasztany grzywki.

– Właśnie widzę, że wygląda na świetnie pilnowany. – Sięgnęłam do kieszeni po forsę.

Może to trochę jak płacenie ulicznym gangom za pilnowanie samochodu przed nimi samymi, ale te dzieciaki były lepsze niż monitoring. Wręczyłam najstarszemu trzy dwudziestki.

– Była tu kobieta, dziwnie pachniała. Trochę jak ty, smarem i bronią, ale też… rozgrzanym metalem? – Średni zmarszczył nos, jakby próbował sobie dokładnie przypomnieć zapach. – I ona próbowała wejść do twojego domu, ale krąg ochronny ją odrzucił tak daleko, że aż upadła tam – wskazał na trawnik – i mówiła te słowa, za które mama nam posypuje języki pieprzem.

– Miała włosy podobne do moich? – zapytałam, bo na pierwszy rzut oka tylko włosy odziedziczyłam po matce.

– Tak. Wyglądała troszkę jak twoja siostra – powiedział najstarszy.

Mówiłam, że Irena nieźle się trzyma.

– Nastrasyliśmy ją troskę – powiedział najmłodszy, może czteroletni, który, odkąd widziałam go ostatnio, zgubił dwie górne dwójki. Albo zmiennym mleczaki wypadały wcześniej, albo stracił je w jednej z rodzinnych bójek, które staczali regularnie na trawniku przed domem. Uświadomiłam sobie, że tego akurat znam całe jego życie, bo już tu mieszkałam, kiedy jego matka zaszła w ciążę.

– Och, nastraszyliście? Musicie mi o tym opowiedzieć. – Uśmiechnęłam się, a najstarszy cofnął się ostrożnie, zgarniając braci za swoje plecy. No tak, zapomniałam, że drapieżnikom nie należy pokazywać zębów. Rysie albo coś podobnego, jak nic. Wyciągnęłam jeszcze jedną dwudziestkę. – Przyda wam się na lody, za nastraszenie tamtej pani. Piszczała troszeczkę ze strachu? – zapytałam.

– Tylko tak cichutko, bardziej w sobie, ale troszkę pachniała strachem – odparł średni z dumą. – Ona chyba nie przepada za rysiami. – Wzruszył ramionami.

– Głupiutka! Jak można nie lubić rysiów? – westchnęłam.

Cała trójka pokręciła głowami, jednocząc się ze mną w tym niezrozumieniu.

– Udało jej się wejść do domu? – zapytałam.

– Nie. I jak odchodziła, zostawiła swoją magię – powiedział średni.

– I zabrała wszystkie trupy, które sobie uzbierałaś na później – dodał najstarszy ze współczuciem.

– No trudno, trzeba będzie zbierać je od nowa.

Pokiwali główkami ze współczuciem. Nie wiem, czy kotowate, jak psy, gromadzą smakołyki na później, ale wydawali się doskonale rozumieć smutek utraty zapasów. Życie ich matki musiało być beczką śmiechu. A jednak zdecydowała się na kolejne dziecko. Odwagę i szaleństwo nie tylko w Warsie dzieli cieniutka membrana.

– Mama mówiła, że powinnaś się zająć odbudową tych barier, bo idzie duża czkawka i dziś, najpóźniej jutro, spodziewa się takiej burzy na stalowe okiennice – powiedział najstarszy i schował osiem dwudziestek do kieszeni.

Najwyraźniej czas rozmowy już się skończył. I tak ostatnie dwie minuty z trudem stali w miejscu. Energia ich roznosiła i dotarli do granicy, po przekroczeniu której jedyne co, mogli zrobić, to puścić się pędem przed siebie. Najmłodszy ze wszystkich sił próbował dotrzymać braciom kroku.

Pomyślałam o Ture. Tacy byliśmy, gdy mieliśmy tyle lat co ten brzdąc – nierozłączni. Teraz już pamiętałam wszystko. I uświadomiłam sobie, że można strasznie tęsknić za czymś, o czym jeszcze kilka dni temu się nie pamiętało. Odzyskanie wspomnień ma swoją cenę.

Dzieciaki miały rację – Irena zostawiła na moim mało finezyjnym awaryjnym kręgu ślady własnej magii. Nierozsądnie. Nie widziałam powodu, by tak się afiszować ze znajomością. Każdy, kto przechodził koło mojego domu, mógł się zastanawiać, kim była i co nas łączyło. Niepotrzebnie przyciągała uwagę. Dzieciaki z sąsiedztwa jej nie rozpoznają, ale Cienie krążyły tu i tam, a kilka najprawdopodobniej wzięło zlecenie na moją głowę. Zirytowana przełamałam krąg, wchłaniając jego energię.

Drzwi ledwie się trzymały na wyłamanych zawiasach. Musiałam się tym zająć. Kręgami również, zwłaszcza że zbliżała się czkawka. Ale dzieciaki miały rację – nikt nie zdołał się dostać do środka. Zostawiłam toboły i sakwy na podłodze w sypialni i zajrzałam do szafy.

Komora wyglądała na nietkniętą. Wciąż panował tu lekki bałagan – fotel wymagał wymiany, a na podłodze widniała zaschnięta kałuża z leków

z kroplówki, ale nie było to nic, czego nie dało się ogarnąć.

Gdy weszłam do środka, runy pokrywające jesionowe panele rozjarzyły się, jakbym wypowiedziała zaklęcie aktywujące. Dreszcz niepokoju przebiegł mi po kręgosłupie. A wtedy wszystkie runy zgasły, poza jedną, oznaczającą bestię. Migała do mnie błękitem. Potem zaświeciła się druga runa – oznaczająca człowieka. Domyśliłam się, że chodzi o mnie. Komunikat kończyła trzecia, symbolizująca sojusz. Pan B. był silniejszy niż kiedykolwiek, ale serce nie podeszło mi do gardła ze zdenerwowania. Odszukałam w inskrypcjach runę, którą można było rozumieć jak partnerstwo, rodzinę czy stado. Naszą relację łatwiej było mi opisać za pomocą obrazków niż słów – są pojemniejsze znaczeniowo.

*

Kończyłam naprawiać krąg z rur, kiedy pojawił się Aleks. Byłam już prawie gotowa na czkawkę, musiałam być też gotowa na awanturę.

– Powinienem złoić ci tyłek za odesłanie Ślicznotki w takim stanie – powiedział mrukliwie.

– Ja też się cieszę, że jesteś cały i zdrowy – odparłam, przykręcając śrubę kluczem francuskim. – Możesz odkręcić zawór w garażu? Muszę się upewnić, że wymieniony fragment nie przecieka.

Pokonał szeroki podjazd i wjechał do garażu. Klęcząc na trawniku, z nosem przy wykopie i tyłkiem nieskromnie wypiętym w niebo, obserwowałam instalację, nie znajdując żadnej nieszczelności. Westchnęłam zadowolona. Jeszcze jeden krąg i mój dom znów będzie bezpieczny. Stalowa obejma fundamentów nie została uszkodzona, ale krąg był przerwany na progu – w miejscu, gdzie sforsowali drzwi.

Aleks tymczasem ściągał z zawiasów drzwi kuchenne. Dźwignął je, tak jakby ważyły niewiele, manewrując wózkiem, by nie przeszkadzał mu w robocie. Ustawił je pod kątem, opierając o parapet i zakratowane okienko, i zabrał się do odkręcania uszkodzonych zawiasów. Wyjmował kolejne narzędzia ze skrzynki, którą przymocował na stałe do swojego wózka. Były chwile, kiedy po prostu gapiłam się na niego, a wzruszenie ściskało mi gardło. Nie odzywałam się, bo tylko by mnie ofukał, że zajmuję się pierdołami, ale czasami po prostu uderzała we mnie świadomość tego, jakie mam szczęście, że pojawił się w moim życiu. Mógł twierdzić, że to ja

go uratowałam – wtedy w magazynie, w którym mój ojciec zostawił go półżywego – ale wiedziałam lepiej.

Wracając do Warsu, myślałam o tym, że zanim go poznałam, za nikim nie tęskniłam, a tym bardziej nikt nie tęsknił za mną. Relacje, które nawiązywałam, były powierzchowne, nawet te oparte na emocjach, bo między sobą a drugim człowiekiem nieodmiennie stawiałam mur. A Aleksowi zaufałam. Może na tym polegała ta relacja. Oboje się o siebie zamartwialiśmy, jednocześnie zaklinając rzeczywistość zapewnieniami, że jesteśmy twardsi od kamieni, które nosimy w piersi zamiast serca. Szanowałam go. Był dla mnie wzorem, dzięki niemu uczyłam się, jak radzić sobie z przeciwnościami – wziąć na klatę, przezwyciężyć i ignorować te, na które nie ma się wpływu. Robić swoje.

– Powinnaś je wymienić na coś trwalszego – marudził, stukając w grube drewno śrubokrętem.

– Między dwucentymetrowymi dębowymi deskami jest stalowa warstwa – odpowiedziałam.

– Partactwo nie na tę dzielnicę. Litej stali nie dałoby się wyważyć kopniakiem. A w ścianie powinny być bolce, a nie proste zawiasy. Co najmniej cztery poziomo i dwa w pionie.

– Aleks, to moje drzwi kuchenne, nie wrota do skarbca.

– Jeśli ty jesteś w środku, to żadna różnica.

– Jesteś zły.

– Jeszcze nie przerzuciłem cię przez kolano, więc jestem co najwyżej zirytowany. Niedźwiedzie mi wszystko powiedziały, kiedy odwiozły motocykle.

– Wszystkiego na pewno nie, bo połowy nie wiedziały.

Westchnął.

– Powiedz, że ta druga połowa jest lepsza.

Zastanowiłam się. Bogowie w Asgardzie. Olbrzym. Magiczne pszczoły. Akuszer i jego rodzinka rozrywająca napastników gołymi rękoma. No cóż.

– Jestem cała i w jednym kawałku.

– Chwalmy małe szczęścia i niskie oczekiwania od życia – warknął i zaczął przykręcać do futryny nowe zawiasy.

Zawahałam się, ale w końcu powiedziałam:

– Widziałam Ernsta.

Zamarł, a gdy opuścił ręce, zaciśnięte na śrubokręcie dłonie pobielały. Mimo to gdy się odezwał, brzmiał spokojnie.

– Zabiłaś go?

Pokręciłam głową, przepełniona wyrzutami sumienia. Obiecałam mu kiedyś, że jeśli spotkam mojego ojca, zabiję go i pomszczę to, co zrobił nam obojgu.

– To dobrze – powiedział nieoczekiwanie.

Czekałam, aż wyjaśni, lecz on jak gdyby nigdy nic zabrał się do wkręcania nowej śruby. Wyraźnie unikał mojego spojrzenia, a to znaczyło, że nie radzi sobie z emocjami… czy tam z aktywnością kamienia, który nosił pod mostkiem.

– Widziałem taki film dokumentalny – odezwał się w końcu – o eksperymencie na przedszkolakach. Naukowcy zostawili każdego w pokoju sam na sam z pianką marshmallow. Powiedzieli, że jeśli nie zjedzą jej w kwadrans, dostaną dwie. Nagrywali te zmagania i męki. Dzieciaki obgryzały po kawałeczku, zjadały na raz, lizały. Z każdą sekundą pożądały tej cholernej pianki coraz bardziej. Ale część wytrzymała. I zbadano je po latach jeszcze raz. Okazało się, że w dorosłym życiu odnosiły większe sukcesy. Bo potrafiły odwlec moment gratyfikacji. Tak więc to, że go nie zabiłaś, dobrze o tobie świadczy.

Przez chwilę patrzyłam na niebo. Wciąż było jasne, ale pojawiły się już na nim pierwsze ciemnoszare chmury. Rysie miały rację, nadciągała burza.

– Czy ty właśnie porównałeś mojego ojca, Ernsta Szalonego, pierwszego berserka Odyna, do pianki marshmallow? – zapytałam.

– Tak. Ale jest jedną z tych niebieskich kaczuszek, których nie lubimy.

Przyjęłam to do wiadomości bez dyskusji. Zjedliśmy w życiu dość pianek marshmallow, by pewne stwierdzenia nie wymagały komentarza.

*

Twierdza Karmy wciąż migała uszkodzonym neonem. Wszystko wyglądało dokładnie tak jak wtedy, kiedy byłam tu ostatnio, a jednak wyraźnie czułam, że coś się zmieniło. Jeszcze raz wdusiłam guzik domofonu, czekając na odzew. Cisza brzęczała mi w uszach, a w głowie śmigały miliony scenariuszy opisujących, co mogło pójść nie tak i z jakim zagrożeniem mamy do czynienia.

Lampka kamery przy wejściu mrugała na czerwono, ale może jednak ktoś spoglądał na monitory? Cholera jasna. Obeszłam budynek, szukając jakichkolwiek śladów – po kulach, podpaleniu lub walce. Tropów działania

magicznego, które zostawiłoby po sobie ten drażniący zapach spalonej magnezji i popiołu. Nie znalazłam nic, co uznałabym za wskazówkę. Ale to mnie nie uspokoiło. Przeciwnie. Nie wierzyłam, by Karma, a przede wszystkim Ilia, przyjęli zagrożenie z pokorą i ze spokojem pochylili karki.

Budynek kina miałam rozpracowany. Nasza znajomość rozpoczęła się od tego, że dostałam na Karmę zlecenie od Ireny. Zanim postanowiłam, że bardziej podoba mi się opcja zjednoczenia sił niż puszczenia jej kulki w potylicę, zrobiłam research. Mogłam wejść po rynnie do drugiego piętra, potem po gzymsie przedostać się do prawego rogu. Następnie czekało mnie trochę ekwilibrystyki na stelażu podtrzymującym neon i podciągnięcie się na dach. Tam miałam do wyboru klapę prowadzącą na strych albo świetlik nad klatką schodową. Mogłam też sprowadzić posiłki i trochę ciężkiego uzbrojenia, po czym wysadzić drzwi przy rampie, co do których miałam pewność, że nie są magicznie zaminowane. Byłam też niemal pewna, że dałoby się dostać do kina kanałami, choć akurat do kanałów w tym mieście schodzili tylko szaleńcy i mieszkające w nich potwory. Ostatecznie zdecydowałam się na wyjście bardziej rozsądne, czyli pogróżki. Raz jeszcze podeszłam do drzwi, wdusiłam guzik domofonu i patrząc prosto w oczko kamery, powiedziałam:

– Macie trzydzieści sekund, by mnie wpuścić. Potem uznaję, że wasze życie jest zagrożone i wracam z artylerią.

Lampka migała monotonną czerwienią. Ale coś się zmieniło. Czułam, że po drugiej stronie jest ktoś, kto mnie słucha. Więc mówiłam dalej:

– Południowo-wschodni narożnik nie ma żelbetonowego wzmocnienia, zdołam się wbić w niego nawet Brzydalem, a przecież mogę pożyczyć od Zakonu szturmowca. Albo wyrzutnię rakiet. Albo granatnik. Lubię granatniki, są takie bezpośrednie.

Zaczęłam głośno liczyć. Byłam przy „osiemnaście”, kiedy domofon zaskrzypiał i usłyszałam głos Ilii:

– Dlaczego właściwie nie miałbym cię potraktować serią z automatu?

– Bo wiesz, że to nie wystarczy, by mnie zabić. – Jedną z rzeczy, które trzymały mnie przy życiu, była reputacja, a Ilia nie słynął z przewidywalności. – Ilia, do kurwy nędzy, co się dzieje? Czemu nie otwierasz? – warknęłam.

– Dlaczego myślisz, że coś się dzieje? – Jego głos był płaski, jakby wyprany z emocji. Z pewnością i twarz nie wyraża wiele.

– No nie wiem – bo pachnie tu dziwną magią i nie reagujecie na domofon?

– Może nie chcieliśmy cię widzieć? Przyszło ci to do głowy?

– Pieprzenie. Nie wpadłam tu z towarzyską wizytą. Karma dostała zlecenie, a ja potrzebuję się dowiedzieć, czyich pomagierów zabijam od tygodni.

– Biznes to biznes – powiedział złośliwie.

– Ilia, czy ktoś ci przykłada lufę do skroni?

– Bo gdyby tak było, mógłbym powiedzieć, nie?

Niepokój stawał się namacalnym, kudłatym stworem hasającym mi po żołądku.

– Rzuciłbyś jakimś unikiem, spodziewając się, że wywalę ścianę, by wyciągnąć wasze dupy z kłopotów. Gdyby tu szło tylko o ciebie, pieprzę. Ale Karma jest mi potrzebna.

– Wpuść ją – usłyszałam cichy głos, który nie całkiem brzmiał jak głos Karmy. Chyba że miała nagły atak alergii albo wypłakiwała oczy przez ostatnie godziny.

Brzęczyk obwieścił mi zwolnienie zamków i weszłam do środka, z każdą sekundą bardziej wkurzona. Czy ktoś wykorzystał mój wyjazd, by się dobrać do Karmy? Zabiję sukinsyna i zbezczeszczę zwłoki. Każdy wiedział, że Karma jest pod moją ochroną. Jeśli ktoś postanowił ją skrzywdzić, musiałam reagować – tylko tak mogłam utrzymać reputację, od której zależało bezpieczeństwo tych, których miałam pod opieką. A utrzymanie reputacji gwarantowała tylko silna i zdecydowana akcja odwetowa. Coś, co planowałam względem człowieka, który w ciągu ostatnich tygodni ciskał we mnie mięsem armatnim.

Ilia nie wymagał skanowania w korytarzu. Lekceważenie procedur, których zwykle przestrzegał z irytującą skrupulatnością, też nie koiło moich nerwów. Przeszłam szybko poziom parterowy i wsiadłam do windy. Schody, choć szybsze, były mało stabilne.

Wszystkiego się spodziewałam, ale nie tego. Karma, twarda gotycka księżniczka, zniknęła. W jej miejsce pojawiła się rozczochrana dziewczynka w biało-czarnym kombinezonie z kudłatej mikrofibry. Kaptur ozdabiały uszka i wyhaftowane wielkie, czarne oczyska. Wyglądała na młodszą, ledwie pełnoletnią. Twarz miała bez śladu makijażu, za to spuchniętą od płaczu, oczy przekrwione, nos czerwony od wycierania.

– Jesteś chora? – zapytałam. – Kogo mam zabić? – dodałam w drugim odruchu i spojrzałam oskarżycielsko na Ilię. Czy to możliwe, że ich przepychanki przeszły na nowy poziom? Ze zdziwieniem odkryłam, że i on nie wygląda najlepiej. Nie tak źle jak Karma, ale po typowych dla niego bucie i arogancji nie było śladu.

Karma bez słowa pokręciła głową. Podała mi czerwoną teczkę wypchaną wydrukami i powiedziała:

– Nie jestem w nastroju na wizyty. Wpadnij za kilka dni.

Odwróciła się i odeszła. Jej drobne ciało ginęło w fałdach kombinezonu. Zakrywał jej stopy i tylko dlatego nimi nie szurała, odchodząc w stronę swoich prywatnych pokojów. Rozczochrane czarno-czerwone włosy unosiły się wokół jej głowy jak gotycka aureola.

Stałam jak ogłuszona. Uderzałam teczką o udo i zastanawiałam się, co się, u diabła, dzieje. Nigdy nie widziałam jej w takim stanie. Nigdy nie podejrzewałam, że w ogóle mogłaby się znaleźć w takim stanie! Co tu się, kurwa, wydarzyło?

– Ilia. Daj mi nazwiska, zajmę się tym – powiedziałam i naprawdę cieszyłam się na myśl o zabiciu każdego, kto wpędził ją w ten stan.

Uciekł spojrzeniem, ale niech mnie cholera, jeśli jego oczy nie lśniły podejrzaną wilgocią.

– Nie wszystko da się załatwić kulką. Niestety – odparł, a w jego głosie słyszałam mnóstwo emocji, o jakie nigdy go nie podejrzewałam. – Nic się nie stało, a raczej nic się nie stało w ostatnim czasie. Dziś jest rocznica. Ona zawsze bardzo to przeżywa.

Odkrył więcej, niż miał w zwyczaju. Wyglądało na to, że cokolwiek zachwiało Karmą, skopało też jego. Żadne z nich nie było w formie, a ja zupełnie nie wiedziałam, jak się zachować. Przecież go nie będę przytulać, do cholery. Co normalni ludzie robią w takich sytuacjach?

– Rocznica czego? – spytałam ostrożnie.

– Straciła… straciliśmy kogoś. Niedługo przed tym, jak się tu osiedliliśmy.

Coś w jego głosie, wahanie, kiedy mówił o stracie, utwierdziło mnie w przekonaniu, że cokolwiek się stało, nie dotyczyło tylko Karmy.

– To już ile? Sześć lat?

– Siedem. Czas nie ma znaczenia. Nie w jej przypadku.

Pomyślałam o dziwnym zapachu magii i o energii stawiającej mi włoski na karku. Miałam nadzieję, że Karma nie próbowała nekromancji – nigdy

nie wychodziło z tego nic dobrego. Czy mogła przez siedem lat trzymać tu zwłoki? Pewnie, że mogła. Bywałam w kinie regularnie, ale znałam jedynie niewielki procent znajdujących się tu pomieszczeń.

– Gdybyście potrzebowali pomocy…

– Wiem. I dziękuję – powiedział, ku mojemu zaskoczeniu. – Może dobrze, że ktoś poza mną wie, co się z nią dzieje.

– Gdyby cię załatwiła?

– Właśnie.

– Zawsze tak jest? Od siedmiu lat?

– Co roku jest gorzej, bo nadzieja w niej umiera po kawałeczku.

– Mam nadzieję, że nie zrobi nic głupiego. Wskrzeszenie po siedmiu latach byłoby brudne i niebezpieczne. Ale mogę znaleźć kogoś, kto jej to załatwi…

– To nie to, co myślisz. Nie wiem nawet, czy na pewno nie żyje. Nie mam pojęcia, czy zdoła kiedykolwiek wrócić. Ale to nie ja powinienem ci o tym opowiadać. Odprowadzę cię – dodał.

Czułam się dziwnie – jakby zmieniły się zasady gry. Irena poradziłaby mi, bym odkryła prawdę, bo prawda daje przewagę. Ja chciałam ją poznać, ale z zupełnie innych powodów. I to mnie niepokoiło. Bardzo. Kruszyły się mury. Potrząsnęłam głową, jakbym dzięki temu mogła się pozbyć niepokoju i współczucia.

Co, u diabła? Czyżbym, przecinając nici, oprócz pamięci odzyskała również emocje? Nie miałam wątpliwości, że na pewno nie ułatwi mi to życia.

W windzie zdałam sobie sprawę, że Ilia odsłonił się przede mną bardziej niż kiedykolwiek. Wciąż nie wiedziałam, jaką nosi magię, ale mignęło mi coś, co zwykle bardzo szczelnie ukrywał. Zauważyłam, że też o tym myśli i czuje się z tym bardzo niekomfortowo.

– Przykro mi. Gdybym wiedziała, poczekałabym do jutra – mruknęłam.

– Zwykle w rocznicę miałaś robotę za miastem. Karma się o to starała.

Przypomniałam sobie zlecenia sprzed roku, dwóch, trzech. Faktycznie, za każdym razem lądowałam kilkaset kilometrów od Warsu.

– Wróć za dwa dni. Zwykle tyle wystarcza. Będzie sobą, taka jak zwykle.

Przytaknęłam.

– I wpierdol temu debilowi, który spuścił na ciebie psy. W teczce masz dane. Karma już mu się dobrała do kont, odliczanie włączone. O północy

nie będzie miał na nich ani złotówki. To samo dotyczy wszystkich, którzy przyjęli na ciebie zlecenie.

– I tak nie zdołaliby ich wydać – zauważyłam.

Jako dowód miałam gruby plik fotografii.

– Po odciągnięciu procentu na wasz fundusz reszta dla tych samych fundacji co zwykle? – zapytał.

Znowu przytaknęłam. To była nasza mała tradycja. Za każdym razem, gdy Karma przejmowała czyjeś konto, a ja gasiłam życie doczesne właściciela, przelewałyśmy jego środki fundacjom, które robiły dobrą robotę w Dzielnicy Cudów i Warsie. Rozdysponowywałyśmy pieniądze między dwadzieścia organizacji, by uniknąć wpłacania zbyt dużych kwot na jedno konto.

– Próbowała się z tobą skontaktować – przypomniał sobie nagle. – Część z kont, które wyczyściła, należała do Zakonu Cieni. Wie, że po ustaleniach z Ireną miała się od nich trzymać z daleka, ale uznała, że facet zasłużył na pełen pakiet „Karma jest suką”.

– Konta Zakonu? Ten, kto wysłał za mną psy, pracuje dla Zakonu? – zapytałam z niedowierzaniem.

Owszem, zarabialiśmy nieźle, ale, do kurwy nędzy, wysłanie za mną szwadronu najemników było więcej niż kosztowne. Ktoś mógłby uznać, że warto zainwestować w pojmanie mnie taką kasę, jedynie jeśliby się spodziewał, że zwróci mu się z nawiązką. Ale nawet gdyby mnie sprzedał handlarzom organów, nie odzyskałby sumy, jaką musiał władować w honoraria dla kilkudziesięciu najemników, kaligrafomantkę, supernowoczesną magiczną broń i parę innych niespodzianek ostatnich dni. Chyba że ktoś się dowiedział o moim pokrewieństwie z Ireną i spodziewał się okupu. Jeśli tak – naiwny był z niego łoś. Nie sądziłam, by matka zdecydowała się odstąpić od utrwalonej tradycją zasady: „jeśli moja córka była dość beznadziejna, by się dać porwać, możecie ją zabić, pozdrawiam”.

– Cień? – zapytałam.

– Świecznik. Trzeci w hierarchii.

Przeklęłam cicho. Irena nie będzie zachwycona. Ale przecież nie ja odpowiadam za to, że nie potrafi utrzymać w ryzach swojego kurnika.

W samochodzie zajrzałam do teczki. O ladacznice niebieskie… Czekała mnie rozrywkowa noc. I, jakkolwiek źle to świadczy o moim charakterze, cieszyłam się na każdą minutę tej roboty.

*

Jurij dodzwonił się, gdy byłam w połowie drogi do domu, po wizycie u Karmy.

– Słyszałem plotki, że żyjesz, za to Zakon przyspiesza wiosenną rekrutację – powitał mnie wesoło.

– Niewiele stracili. Powinni mi zapłacić za eliminację słabych ogniw. Masz coś o naboju? – zapytałam.

– Ciekawa sprawa. Ciekawszy jest tylko ten nabój, który wysłałaś ostatnio. Wygląda na dzieło tej samej osoby, która przygotowała trujące zaklęcie.

– Wiedźma, kaligrafomantka?

– Czarownik tej specjalności.

To była rzadka forma magii, więc mogłam niemal założyć, że czarownik i wiedźma byli spokrewnieni lub połączeni relacją mistrz – uczeń.

– Chcesz go odwiedzić? – zarzucił przynętę. – Wygląda to ciekawie. Znalazłem na rynku kilka gadżetów jego produkcji, wszystkie niezwykłe. Warto byłoby mieć dostęp do tego gówna, choćby po to, by przygotować sobie antidotum, jeśli to nowa „wielka rzecz” w branży. Można by też poszerzyć ofertę usług.

Brzmiało rozsądnie, ale nie wiedział o jednym małym szczególe.

– Wstrzymałabym się z kontaktem jeszcze przez chwilę. Niech ochłonie po tym, jak zabiłam mu córkę, siostrę czy uczennicę. Może nie być stabilny.

– No tak. Dzięki za ostrzeżenie. A ta cała historia z polowaniem na ciebie? Zamknęłaś ten rozdział?

– Jestem na finiszu. Ostatnie sprzątanie.

– Bardzo dobrze – odparł i brzmiał na szczerze ucieszonego. Zrobił pauzę, po czym odezwał się niezobowiązującym tonem: – Gdybyś przemyślała sprawę emerytury, odezwij się. Moglibyśmy założyć emerycką spółkę. I nie żartowałem, mogę ci zamortyzować wypowiedzenie umowy.

– Dziękuję. Pomyślę nad tym, obiecuję. Może masz rację i już czas. Teraz planuję dłuższy urlop, wrócę i podejmę decyzję.

– To miłego wypoczynku. Baw się dobrze na robocie.

– Zamierzam – przyznałam. Moja zemsta musiała przejść do historii Zakonu, jeśli chciałam mieć spokój przez jakiś czas.

Rozdział 23

Turner, mój cel, musiał naprawdę lubić Zakon, ponieważ mieszkał w jednym ze służbowych apartamentów, w szklano-stalowym skrzydle dobudowanym w końcówce lat dziewięćdziesiątych, kiedy organizacja przeżywała nagły wzrost zasobów i zatrudnienia. Mieszkania były dość duże i wygodne – znacznie bardziej komfortowe od pojedynczych cel-kawalerek, które przysługiwały Cieniom niższego szczebla, jak ja czy Robin – a jednak nie były to luksusy, w jakich żyła chociażby Irena. Ale może Turner wyżej cenił bezpieczeństwo niż luksus. W rezultacie nie miał żadnej z tych rzeczy.

Owszem, siedziba Zakonu została napakowana zaklęciami ochronnymi, a kręgi otaczające cały teren skutecznie izolowały od czkawki, jednak nic nie zdołałoby ochronić Turnera przed kłębowiskiem węży, jakim był sam Zakon. Nawet gdyby chciał założyć bariery i osłony osobiste, w tych warunkach byłyby słabsze i łatwe do złamania, skoro dwadzieścia cztery godziny na dobę próbowałyby rezonować z o wiele potężniejszymi osłonami Zakonu.

Dlatego nigdy z własnej woli nie zostałam tu na noc i w przydzielonej mi sypialni trzymałam tylko trochę ciuchów na zmianę i broni. Z tego samego powodu odradzałam Robinowi przebywanie tu dłużej niż to konieczne. W większości moich nor miałam lepsze osłony niż te, które ustawił Turner. Dostałam się do jego mieszkania już po kwadransie, gdy rozbroiłam jego magiczne i technologiczne alarmy i zabezpieczenia.

Mieszkanie było ciche i ciemne. A jednak był tu, wyczuwałam zwierzynę każdą komórką mojego ciała. Adrenalina przyjemnie buczała mi w żyłach i czułam się żywsza niż kiedykolwiek. Zakradłam się do jego sypialni, skąd dobiegało ciche pochrapywanie i natrętne tykanie budzika w stylu retro. Zbliżyłam się do łóżka i w bladym świetle księżyca przyglądałam się twarzy człowieka, który wysłał za mną ogary. Faceta, który wedle dokumentacji wydał na to kilkaset tysięcy. Faceta, który najwyraźniej znudził się pozycją trzeciego w hierarchii Zakonu i postanowił przeskoczyć

nad Barnabą i Ireną. Nieźle maskował swoje ślady, ale nie był w stanie oszukać Karmy.

Nie sprawiał wrażenia groźnego. W jedwabnej, bordowej piżamie, z ciemnymi włosami rozrzuconymi na poduszce, z karnacją równie śniadą jak moja i regularnymi rysami twarzy przypominał podstarzałego aktora z wodewilu, nie spragnionego władzy mordercę. Wyglądał spokojnie. Zabawne, bo zamierzałam go porządnie nastraszyć, zanim go zabiję.

Nachyliłam się nad nim, podpierając się lewą ręką o wezgłowie łóżka, a prawą przykładając mu do piersi paralizator, i szepnęłam:

– Słoneczko! Prześpisz całą zabawę!

Poruszył się niespokojnie, a potem gwałtownie podniósł powieki. Uśmiechnęłam się tak, że rysie posikałyby się ze śmiechu. Widziałam, jak się budzi, najpierw opornie, nie rozumiejąc, co właściwie widzi, a potem nagle jego oczy otworzyły się szerzej, źrenice powiększyły się i przez twarz przemknął mu wyraz szczerej paniki. Już wiedział, że zginie i że nie będzie to lekka śmierć. Jego ciało zesztywniało. Gdyby był jaszczurką, pewnie próbowałby zgubić ogon. Gdybym była wnykami, właśnie zacząłby odgryzać sobie rękę.

– Czego chcesz? – wychrypiał.

– Przecież wiesz. Sam otworzyłeś nasz rachunek, króliczku.

Zapiszczał, a po pokoju rozszedł się zapach moczu. Poważnie? Jakim cudem dochrapał się stanowiska? Może był typem skoczka, który przeskakiwał na planszy więcej pól, niż powinien, znajdując słabe punkty innych pionków. Zaczął błagać.

Posłałam w jego ciało dość woltów, by skrócić litanię obietnic. Miałam zadanie do wykonania i niską odporność na pierdolenie.

*

Wisiał na ścianie w salonie, ukrzyżowany. Odłożyłam gwoździarkę, zadowolona z efektu. Najwięcej gwoździ zużyłam do przytwierdzenia rąk i nadgarstków, by utrzymały ciężar jego ciała. Wyjęłam plik zdjęć ludzi, których za mną posłał. Przybijałam je, wszystkie czterdzieści trzy, wokół niego, tworząc upiorną aureolę. Jego będzie czterdzieste czwarte. To właśnie liczba fotografii podsunęła mi pomysł na urządzenie odpowiednio upiornej inscenizacji. A musiała taka być, jeśli miała przejść do historii.

Turner wisiał więc między swoimi łotrami i powolutku odzyskiwał przytomność.

Miałam czas. Spokojnie przeszukiwałam mieszkanie, licząc, że odnajdę coś, co stanowiłoby jakąś wskazówkę lub wyjaśnienie, co – i skąd – wie. Coś musiał wiedzieć, skoro wymyślił cały ten durny plan.

Standardowa skrytka w podłodze była łatwa do znalezienia. Zaglądał do niej tak często, że dywan miał wyraźnie załamane włosie – powinien go odsuwać na bok, nie składać na pół. Niechlujne. Albo nie władał zbyt pokaźną magią, albo nie uważał za celowe zabezpieczanie skrytki czymś bardziej skomplikowanym niż prosta kłódka. Bardziej wypasioną miałam w mojej szafce na siłowni, o szafce w zakonnej szatni nie wspominając.

W środku znalazłam mnóstwo papierów, ale nic, co krzyczałoby mi w oczy: „Tajemnica, zjedz mnie”. Oprócz tego był tam pistolet Makarowa, z którego nie strzelano od miesięcy – nie pachniał nawet odrobiną smaru – i aksamitny woreczek wypełniony garścią diamentów – albo idealnych podróbek. Nagle zrozumiałam, dlaczego Turnera nie zabolało wydanie kasy na najemników. Wedle researchu Karmy jeszcze dwa lata temu siedział w Afryce. Oficjalnie Zakon nie miał tam macek, ale po cichu angażował się w wiele toczących się tam konfliktów. Opowiadał się po tej stronie, która potrafiła sprostać jego finansowym oczekiwaniom. Wyglądało na to, że Turner doliczał sobie coś poza oficjalną stawką. W aktach nie znalazłam zbyt wiele informacji o tym, czym się zajmował. Może był snajperem – raczej nie ochroniarzem czy szturmowcem, wykluczała to jego wątła postura. Nie sądziłam też, by facet doświadczony na polu bitwy posikał się ze strachu na sam widok napastnika. Mógł też być sprawnym politykiem lub biegłym księgowym. Dyktatury i takich ludzi potrzebowały.

Wygarniałam ze skrytki kolejne przedmioty, aż natknęłam się na znajome skoroszyty. Znałam te plastikowe czerwone okładki i pismo, którym czarnym markerem na wierzchu wypisano moje imię. Wyrwała mi się wiązanka bardzo niecenzuralnych słów. To zmieniało wszystko. Turnera czekało coś więcej niż ukrzyżowanie. A ja musiałam wiedzieć, czy podzielił się informacjami z kimkolwiek.

Usiadłam przy biurku, zapaliłam dodatkową lampę i zaczęłam przeglądać zapisane ręcznie kartki. Myślałam, że nic mnie już nie zaskoczy po tym, jak w Asgardzie przecięłam nić i odzyskałam wspomnienia. Jak mogłam aż tak nie docenić mojej matki?

Czytałam kolejne zapiski, podejrzanie przypominające dziennik obserwacji. Dotyczyły mojego rozwoju i prób, jakie podejmowała Irena, by obudzić we mnie magię… Nie pamiętałam wielu z tych sytuacji. Ale nie miałam powodów, by wątpić w jej szczerość, gdy notowała, że strach, szok termiczny – zamrażanie i oparzenia – głodzenie, topienie, pobicie i obrażenia zagrażające życiu nie zdołały mnie popchnąć za krawędź przełomu. Ciągle szukała odpowiedniego ekstremum, bo wedle jakiegoś traktatu o magii berserków tylko ekstremum mogło przebudzić we mnie potwora. Wiedziała, że mam w sobie potencjał, i była sfrustrowana, nie mogąc go wydobyć. Szukając rozwiązania, wykazywała się niebywałą kreatywnością.

Zamknęłam oczy, które zaczęły lekko szczypać. Widocznie w skrytce było mnóstwo kurzu. Ucisnęłam kąciki z kanalikami łzowymi i wzięłam kilka głębokich oddechów. Nagle uderzyła mnie myśl, że Ernst, choć nie był w stanie mnie odszukać przez czternaście lat – za sprawą zaklęcia Ireny – nagle, rok po moich osiemnastych urodzinach (czyli kolejnym przełomowym momencie, który nie przyniósł zmiany) odnalazł mnie, przyszedł jak po sznurku. Bez najmniejszych problemów zgarnął mnie z ulicy. Wszystko zaczęło mi się łączyć w całość.

W teczce znalazłam również kopię swojego oficjalnego skanu, który spoczywał w moich aktach w szkole – podróbkę sprokurowaną przez Kosmę. Irena musiała kogoś przekupić albo włamać się do Sanktuarium. Chciałam wierzyć w tę drugą opcję, by nie myśleć, że w tamtym miejscu, mocno przeze mnie idealizowanym, jest żmija.

Usłyszałam jęk Turnera i szybko otarłam twarz rękawem. Wepchnęłam notatki do teczki, a teczkę do plecaka. Przestudiuję materiały w domu. Tymczasem miałam coś do skończenia.

*

– Skąd miałeś te akta? – zapytałam raz jeszcze, ignorując paniczne wycie. Zaklęcie dźwiękoszczelne i tak trzymało te wrzaski z dala od uszu sąsiadów. – Skąd je, kurwa, miałeś?! – Przyłożyłam gwoździarkę do jego kolana i zwolniłam spust. Wrzasnął z bólu. Jedwabna piżama była już mokra od krwi i moczu.

Może przesadziłam. Może oceniłam go na wytrzymalszego, tymczasem wydawało się, że ze strachu i bólu już całkiem postradał rozum. Kurwa jego

mać. Przyłożyłam gwoździarkę do drugiego kolana.

– Mam ze sobą ponad dwieście gwoździ. To może potrwać. Wiem, które miejsca omijać, byś nie umarł za szybko. Mogę też następny gwóźdź wysłać w twoje serce albo skroń i umrzesz raz-dwa.

Docierało to do niego. Już nie jęczał. Wybałuszał na mnie oczy, jakby dopiero teraz zrozumiał, że nie ma szans, by wyjść z tego cało.

– Skąd masz papiery? Skąd o mnie wiedziałeś? Komu powiedziałeś? Czy Irena jest w to wmieszana? – Wyliczałam. – Serce czy skroń?

– Mateo! – wyrzucił z siebie imię, którego nie spodziewałam się usłyszeć. Były szef ochrony Ireny, jej zaufany człowiek.

Zwolniłam spust, gwóźdź wbijający się między rzepkę a łękotkę był odpowiednią zachętą do tego, by nie poprzestawał na imieniu i mówił dalej.

Słuchałam, jak urywanymi, przetykanymi szlochem i wyciem zdaniami opowiada o związku swoim i Mateo. Nie wiedziałam nawet, że szef ochrony mojej matki był gejem. Czy ona wiedziała? Ale zaplanowali to razem. Mateo wyniósł dokumenty. Nawet ich, kurwa, nie skopiował! Zabrał je tylko dlatego, że zostały oznaczone czerwienią – kodem poufnym wedle klucza Ireny. Projekt „Nikita”od jakiegoś czasu nie był aktualizowany i matka nie zaglądała do teczki. Mateo i Turner zamierzali ją szantażować, może mnie porwać, dopiero planowali, jak wykorzystać uzyskaną przewagę. Turner chciał awansować, Mateo chciał być chłopakiem Ojca Przełożonego. Nic konkretnego, ale lubili rozmawiać w łóżku o potędze i kasie na wyciągnięcie ręki. Może nawet nie porwaliby się na to przez lata.

Ale wtedy przyszedł Ture ze swoją zemstą. Zabił Meteo, by dostać się do naszej matki. Nie, Turner nie wiedział, że Ture był jej synem. Ba, nie do końca przyswoił to, że ja byłam jej córką. Myślał, że jestem jej cennym projektem. Może jedynym żeńskim automatem? Nie dumał nad tym zbyt wiele, wiedział tylko, że jestem dla Matki Przełożonej wartościowym obiektem, ponieważ oznaczyła mnie najwyższym kodem tajności. To wystarczyło.

Po śmierci Mateo Turner uznał, że może coś zyskać i zemścić się jednocześnie. A w tym celu potrzebował mnie w klatce.

– Komu powiedziałeś? – przypomniałam o kolejnym pytaniu, wbijając kolejny gwóźdź. Tym razem niżej, w goleń.

– Nikomu! Tylko ja i Mateo wiedzieliśmy – zapewniał.

– A Irena? – zapytałam, choć odkąd powiedział, że za sprawą stał Mateo, wątpiłam. Był za blisko. Coś jak ślepy punkt przy cofaniu samochodem.

Turner kręcił głową jak oszalały. Wierzyłam, że powiedział mi wszystko, co mógł. Gdybym teraz zagadnęła go o numery kont i PIN-y, wyśpiewałby wszystko i dorzucił w gratisie swoją babcię.

Uniosłam gwoździarkę, czekając na jego wybór.

– Serce – wychrypiał. Może słusznie, skoro ludzie przeżywali z prętami wbitymi w mózg, po prostu gubili gdzieś ogładę i dobre wychowanie.

Przyłożyłam gwoździarkę do jego mostka. Wzdrygnął się, kiedy zimny metal dotknął jego skóry. Zwolniłam spust, raz, drugi, trzeci. Światło w oczach Turnera zgasło niemal natychmiast.

I tylko przez chwilę czułam się z tym dobrze, usatysfakcjonowana słodkim smakiem zemsty. A potem pomyślałam, że to wcale nie była najtrudniejsza wizyta, jaką miałam do odbycia po powrocie z Norwegii.

Wyciągnęłam komórkę i zaczęłam robić zdjęcia. Powoli wchodziło mi to w krew. Może kiedyś założę sobie służbowy album scrap-
bookingowy. Wkleję zdjęcia swoich dzieł, ozdobię bibułkowymi glockami i brokatem, a potem kolorowymi flamastrami opiszę miejsce, czas i rodzaj broni.

Nic nie było tak dobrym wstępem do konwersacji jak zdjęcie trupa. Przynajmniej w przypadku matki.

Przed wyjściem rozejrzałam się po mieszkaniu, by się upewnić, czy nic nie zostawiłam. Po chwili namysłu schowałam do plecaka także diamenty. Gdyby przyszło mi szybko zmieniać branżę, przydadzą się na start.

Ponieważ Turner mieszkał na terenie Zakonu, wkrótce każdy Cień usłyszy o masakrze, którą za sobą zostawiłam. Nie podpisałam się, ale przecież wszyscy wiedzieli, kto kompletował na mnie ekipę. To wystarczy. Krwawe plotki obijają się po korytarzach Zakonu jak pijany piorun kulisty. I dobrze – jeśli to nie potwierdzi mojej reputacji szalonej suki, to co?

Rozdział 24

Matka jest zajęta – oświadczyła Marianna tonem, który każdej rozsądnej osobie kazałby się trzymać z daleka.

– Znajdzie czas – rzuciłam, kierując się wprost do gabinetu Matki Przełożonej.

Kiedy Marianna się zorientowała, że nie zamierzam jej słuchać, zerwała się z krzesła, jakby szykowała się do skoku. Byłam szybsza. Nacisnęłam klamkę i bez pukania wtargnęłam do gabinetu mojej matki.

– Nikito! – krzyknęła ze złością Irena, odkładając słuchawkę. – Co ty, u diabła, wyprawiasz?

– Coś jak niezapowiedziana narada rodzinna – odparłam, wiedząc, że tym nadepnę jej na ogon.

Wyskoczyła zza biurka i szybko zamknęła drzwi. Pstryknęła też włącznik, który zapalał czerwone światełko nad drzwiami.

– Oberwałaś w głowę? Do reszty oszalałaś? Brałaś coś? – pytała, stojąc przede mną z dłońmi opartymi na biodrach.

Czasami naprawdę zachowywała się jak matki w sitcomach. Zapewne przypadkowo, bo nie szanowała takich rozrywek jak telewizja – po co komu złodziej czasu, skoro można obmyślać plan podboju świata.

– Od czasu, kiedy wypiłam u ciebie zatrutą herbatę, nic. Choć w sumie należałoby chyba też uwzględnić pszczoły… Ale nie, nie jestem odurzona. Nigdy nie widziałam świata jaśniej niż teraz.

– Usiądź i mi się wytłumacz. – Wskazała krzesło gestem, który ma w swoim arsenale każdy szanujący się treser.

– Dziękuję, postoję. I to nie ja się będę tłumaczyć – powiedziałam z uśmiechem. Zareagowała na niego jak rysie: cofając się w pół kroku.

Postąpiłam krok do przodu i rzuciłam na blat wyciągnięte z kieszeni zdjęcia. Rozsypały się po lakierowanej powierzchni, przykuwając wzrok jaskrawą czerwienią. Milczałam. Pozwoliłam, by w Irenie zwyciężyła ciekawość. Podeszła do biurka, wzięła do ręki pierwszą z brzegu fotografię i chłodno spojrzała na zwłoki jednego z najemników.

– To ma zrobić na mnie wrażenie? – zapytała.

– Gdzieżbym śmiała podejrzewać, że ponad czterdzieści trupów wywrze na tobie jakiekolwiek wrażenie, mamo. To ledwie przystawka do dania głównego. Tych pewnie nie znałaś, ale być może znasz tego.

Z kieszeni kurtki wyciągnęłam drugą kopertę i wolno, niczym krupierka w dobrym kasynie, rozłożyłam zdjęcia Turnera z jego ostatnich chwil oraz pierwsze pośmiertne. Podniosła jedno prawie pod nos. Powinna zainwestować w okulary. Choć może po prostu lubiła widzieć szczegóły.

– Ty to zrobiłaś? – zapytała cicho.

– Ja. Znałaś go?

– Oczywiście. Był trzecim.

– Tyle to i ja wiem, mamo. Pytam bardziej w sensie biblijnym, bo się zastanawiam, jak mogłaś być tak ślepa. Mówią, że łóżko i miłość zaburzają osąd. O miłość cię nie podejrzewam.

Przyznaję, byłam złośliwa. Nie sądziłam, by faktycznie z nim spała, chyba że Turner grał w obu ligach. Tyle że nawet jeśli Irena była w jego guście, on nie bardzo był w jej. Może gdyby w hierarchii znajdował się nad nią, gdyby władał potężną magią albo miał dojścia do bogów… Jeśli któraś z tych rzeczy byłaby prawdą, wyszłoby to na jaw w trakcie przesłuchania. Więc nie, nie podejrzewałam, że był kochankiem matki. Po prostu chciałam ją wkurzyć i zniesmaczyć samym pomysłem. Płytkie, ale daje malutką satysfakcję.

– Co to w ogóle za pytanie? – wzdrygnęła się, ale nie spojrzała mi w oczy. No proszę, czyżbym trafnie strzeliła?

– Po prostu się zastanawiam, jakim cudem znalazł się na tyle blisko ciebie, by dostać się do twoich tajnych akt na mój temat, a ty nawet tego nie zauważyłaś! – prawie krzyczałam.

Przycisnęła dłoń do piersi, jakby zakłuło ją serce, o którego posiadanie jej nie podejrzewałam.

– Nie wiem, o czym mówisz – powiedziała zimno. Jej głos nawet nie zadrżał.

– Ireno, ja mam tę teczkę.

– To jakieś bzdury.

– Potrafię rozpoznać twój charakter pisma. Masz mój skan ze szkolenia, który zdobyłaś nielegalnie. I widzisz, to mi się składa w całość. A, i pozdrowienia od Frigg, Ture, Odyna i Ernsta. Wiem już wszystko.

Cofnęła się o krok.

– Nie wiem, czego nakładli ci do głowy, ale to jakieś bzdury – zaklinała się, nagle nienaturalnie blada.

– Oni mi nic nie powiedzieli, Ireno. Złamałam twoje zaklęcie. Ja wiem. Pamiętam. I wiesz, mogłabym nawet zapomnieć o tym, co mi zrobiłaś, kiedy byłam dzieckiem. Ale nie rozumiem, jak możesz być taką idiotką, by trzymać na papierze takie tajemnice i pozwalać pierwszemu lepszemu łachmycie dowiedzieć się, kim jestem. Kim jestem dla ciebie!

– Nie był pierwszym lepszym – warknęła, skupiając się na jedynej części mojej wypowiedzi, na którą miała odpowiedź. – Był trzecim w Zakonie!

– A chciał być pierwszym! To on stał za tym wszystkim, rozumiesz? To on wysłał za mną kilkudziesięciu najemników. To on chciał mnie żywcem. Jak myślisz, po co mu byłam żywa? Jak myślisz, komu chciał zrobić krzywdę? Mnie czy tobie? Więc lepiej powiedz, że z nim spałaś i ogłupiły cię hormony, niż że po prostu byłaś głupia!

– Niektóre z nas lubią zaznać faceta raz na jakiś czas – odgryzła się.

Przewróciłam oczami. Tak, to jest ten moment, kiedy wypada mi wypomnieć orientację seksualną.

– Matko, może powinnam ci wyjaśnić różnicę między facetem a chujem, tyle że znam swojego ojca i niewykluczone, że masz dewiację w kierunku chujów. Więc zamiast mi docinać, zastanów się, proszę, jak szeroko rozlewał się spisek i komu powiedział o tym, co wie. Bo nie mam ochoty na powtórkę, gdy kolejny dupek zacznie na mnie polować tylko po to, by usadzić dupę na twoim krześle.

Opadła na rzeczone, jakby się łudziła, że trudniej jej odebrać stołek, gdy na nim siedzi.

– Nie wiedziałam, że to Turner… – zaczęła. – W kółko powtarzał, że jesteś moim pitbullem. Gdy wyjechałaś z miasta, pytał, czy się nie obawiam, że nie ma cię w pobliżu. Nie miałam pojęcia, że wie, że jesteś, że jestem… – Potarła twarz z frustracją. Słowa: „matka” i „córka” nie chciały jej przejść przez gardło. – Chcę je z powrotem – powiedziała po chwili. – Akta – dodała, gdy nie zareagowałam.

– Należą teraz do mnie. Do ciebie należy wytropienie każdego, kto może wiedzieć, a następnie skrócenie go o głowę. Nie chcę, by nas łączono.

– Jakbym ja chciała! – prychnęła z niesmakiem.

– Ja nie prowadzę pamiętniczka, w którym zwierzałabym się z naszych relacji, więc nie ma ryzyka, że wpadnie w niepowołane ręce – ucięłam.

– Nie myśl, że pozwolę ci się zachowywać w ten sposób.

– Nie myśl, że się tym przejmę. Mam dość przejmowania się twoim zdaniem, mamo. Pamiętaj, miałam więcej magii jako czterolatka niż ty jako dorosła kobieta.

– Magia to nie wszystko.

– Ale wystarczy. I wiem, dokładnie wiem, jak bardzo chciałaś ją mieć. Pamiętasz tę noc, tydzień po tym, jak porwałaś mnie z Asgardu, rozłączyłaś z moim bratem, babcią i Frigg? Pamiętasz ten wielki krwawy księżyc i jego obietnice? Pamiętasz, jak rozebrałaś mnie do naga i przywiązałaś do ołtarza? Małą, wystraszoną dziewczynkę? Pamiętasz, jak próbowałaś mi odebrać magię rytuałem, o którym wiedziałaś, że jeśli się powiedzie, to mnie zabijesz? Pamiętasz? – prawie krzyczałam, nachylając się nad biurkiem.

– Nie wiem, po co do tego wracasz. Wychowałam cię! Chroniłam!

– Powiedzmy. Zrobiłaś ze mnie broń, na wypadek gdyby Ernst jednak cię odnalazł. I miałaś w tym więcej niż jeden cel, prawda? Posłuszny pitbull wciąż miał szansę odnaleźć w sobie sporą dawkę magii. Czekałaś, prawda? Na pokwitanie. Na dojrzałość. A potem znudziło ci się czekanie. Wystawiłaś mnie Ernstowi, licząc, że dopełni dzieła. I cała ta magia trafi do ciebie. Nie myśl, że się nie zorientowałam, jak pokręcone było zaklęcie, którym oplotłaś moją magię. Nie tylko odebrałaś mi pamięć, nie tylko okaleczyłaś mi magię i odcięłaś mnie od rodziny, która nie przestała mnie szukać. Wiem, co by się stało z całą moją magią, gdyby mnie wtedy zabił.

Milczała, patrząc na mnie z nienawiścią.

– Wciąż mogę cię zabić – powiedziała już spokojnie.

– Możesz próbować. A ja zostanę półsierotą. Wolałabym cię nie zabijać, bo to takie oklepane. Gdybym pozbawiła życia nie tylko brata, ale i matkę, stałabym się zbyt podobna do ciebie i Ernsta, a nie mam ochoty spełniać nadziei, jakie we mnie pokładacie. Dlatego teraz wyjadę na jakiś czas, a ty wszystko uporządkujesz. Gdy wrócę, ten koszmar będzie tylko wspomnieniem. Nie planuję wyprowadzki z Warsu, więc jeśli się okaże, że przez ciebie nie jest mi tu dobrze, będę musiała powziąć zdecydowane kroki. Po wszystkim jakoś przeżyję te kwiaty od Ernsta.

– Nie zrobiłabyś tego. Nie jesteś dość silna.

Nawet w tym momencie nie słyszałam strachu w jej głosie. Raczej pogardę i lekceważenie.

Pozwoliłam magii wezbrać wokół mnie buzującą aurą. Pan B. przeciągnął się lekko, ale to wystarczyło, by powietrze zaiskrzyło

przyczajonym zagrożeniem. Nie lubił Ireny i chciał poczuć smród jej strachu. Postanowiłam sięgnąć po moją nową umiejętność. Różnica była subtelna, ale nie do przegapienia. Gdy patrzyłam na matkę oczami mojego ojca, z tą samą lodowatą bezwzględnością, którą miał w sobie, ilekroć patrzył na mnie… O tak, widziałam, że ten wysiłek był tego wart. Nad jej górną wargą perliła się kropla potu, skóra zbladła. Jej zapach spełnił oczekiwania Pana B. Mogłam się założyć, że zrobiło jej się naprawdę zimno. Przecież była z Ernstem bardzo blisko. I nie, ja i Ture nie byliśmy wpadką. Zaplanowała nas, namówiła go, kusiła, sięgając po paskudne sztuczki, byle się udało. Wiele kobiet zyskiwało magię w ciąży z magicznym partnerem, nosząc magiczne dzieci. Na to liczyła i wściekła się, gdy magia Ernsta okazała się nie dość hojna. Ale nie poddawała się lekko. Nie po to całe życie szukała sposobów, by teraz zrezygnować. Zabrała mnie, dziecko złożone na ołtarzu Odynowi, bo wedle jej wyliczeń zwiększało to szanse zaplanowanego rytuału o dwadzieścia jeden procent. Miłość macierzyńska to cholernie zawiła rzecz – coś w rodzaju magii, a na magię Irena zawsze była odporna.

Wiedziałam, że rytuał nie doszedł do skutku, bo ona i wynajęta szeptunka spartoliły wiązanie nici. Chcąc mi ograniczyć dostęp do pamięci, odcięły mnie też od magii. Irena nie mogła jej ukraść. Pan B.
też miał pod górkę, przez zaklęcie Ernsta. Rodzice okaleczyli nas po równo.

Postanowiłam, że jej tego nie powiem – jeszcze uznałaby, że za drugim razem pójdzie jej lepiej, a ja musiałabym się oglądać za siebie jeszcze uważniej niż dotąd. Nawet jeśli sama przeszła już menopauzę, wciąż miała swoje automaty, które mogły być płodne. Znałam ją na tyle, by przewidzieć jej tok myślenia – czy moje dziecko nie będzie najprostszym sposobem na przejęcie magii? Ołtarz wciąż stał gdzieś tam w Białostockiem, we wsi, w której mieszkała babcia. Dobra kobieta, która straciła życie, próbując mnie uratować. Oddała mi skrawek swojej magii, starając się mnie ocalić przed własną córką. To był ten nieduży słupek na wykresie, który połyskiwał oliwkową zielenią – magia szeptunek, którą nigdy właściwie nie nauczyłam się władać. Do całej swojej magii wciąż nie miałam dostępu. Nici zniknęły, ale ja nie potrafiłam do niej sięgać. Ale to się zmieni. Znajdę sposób. O tym też nie powiem Irenie.

Spoglądając na nią oczami Ernsta, powiedziałam za to:

– Nie wiesz wszystkiego i lepiej dla ciebie, byś się nie dowiedziała, jakie są moje możliwości. Nie prowokuj mnie. Nie jestem najgorszym, co cię

może obudzić w środku nocy. Widziałam się z ojcem dwa dni temu. I żyję, nie mam nawet siniaka. Sama się zastanów, o czym to świadczy.

To zrobiło na niej wrażenie. Może myślała, że wciąż ma nade mną władzę, wciąż zna komendy, po których usłyszeniu macham ogonkiem wdzięczna za to, że mnie nie kopnęła. Ale bała się Ernsta.

– A teraz przejdźmy do rzeczy. Chcę odpowiedzi na dwa pytania.

– Jeśli ci na nie odpowiem, wyjedziesz?

– Nie na tak długo, jak byś chciała. Może pomyśl nad awansem w Zakonie, jeśli nie chcesz mieszkać w tym samym mieście co ja.

Skrzywiła się, ale nie rzuciła żadnej ze swoich aroganckich uwag.

– Po pierwsze, czy szeptunka, autorka zaklęcia, którego na mnie użyłaś, wciąż żyje?

Postukała palcami o blat, wzruszyła ramionami i odpowiedziała:

– Wykonała zaklęcie, wiedziała zbyt dużo, więc jak myślisz?

Skinęłam głową, czując smutek i ulgę. Gdyby żyła, musiałabym wcisnąć w swoje napięte plany jej zabicie. Nikt, kto w sposób tak podły poddaje działaniom magicznym dziecko, a jest gotowy iść znacznie dalej, nie powinien spać spokojnie.

– Po drugie, kim dokładnie jest Robin? – zapytałam.

Spojrzała na mnie zaskoczona. Nie wiem, czego się spodziewała, ale nie tego.

– Nie wiem. Naprawdę. Jego teczka była dziurawa jak sito i sprokurowana jeszcze gorzej niż materiały, które dostałaś ode mnie. Był jak kukułcze jajo, do tego uszkodzone. Jedyne, na co naciskała centrala, to bym go nie zabijała.

– Więc uznałaś, że będzie OK, jeśli ja to zrobię?

– Coś w tym rodzaju. – Skrzywiła się.

– Gdzieś muszą być jego prawdziwe akta.

– Nigdy ich nie dostaniesz.

– Nie doceniasz mnie.

– Nie rozumiesz. Są w Archiwum. Tym Archiwum. Musiałabyś się tam dostać przez bezdroża. Wiesz, że to niemożliwe.

– Czas pokaże.

– A więc jednak nie będę musiała się martwić twoim powrotem do miasta. – Uśmiechnęła się złośliwie.

– Na twoim miejscu nie robiłabym sobie nadziei.

Wychodziłam już, czując, że jeszcze chwila i zacznę się trząść z nerwów, gdy powiedziała za moimi plecami:

– Nie dałaś mi nic prócz zawodu. Powinnam cię zabić już wtedy, kiedy miałaś cztery lata.

– Może powinnaś. To był ostatni moment, kiedy poszłoby ci łatwo. To, że nie chcę cię zabić, nie znaczy, że tego nie zrobię. Albo że nie pozwolę zrobić tego ojcu.

Ostatnim dźwiękiem, jaki usłyszałam, był szelest zrzucanych na podłogę fotografii i trzask szklanego przycisku do papieru, rozbijającego się na ścianie ledwie dwadzieścia centymetrów od mojej głowy. Nie odwracając się, wyszłam.

Marianna siedziała za swoim biurkiem. Była chłodna i blada. Myślę, że usłyszała więcej, niż powinna, ale to już nie mój problem.

Dopiero w samochodzie pozwoliłam spłynąć łzom.

Epilog

Muzyka uwodziła. Słodkie dźwięki ballady osładzały mi goryczkę przełykanego ginu. Liczyłam, że solidne połączenie alkoholu i kawałków w wykonaniu syreny Dzielnicy Cudów, czyli Zeldy, znieczuli mnie odpowiednio po spotkaniu z Matką Przełożoną. Przestanę myśleć, rozgryzać, wspominać. Choć na chwilę.

Plan nie do końca wypalił. Zelda, widząc mnie przy stoliku, zmieniła repertuar (ku niemałemu zdziwieniu pianisty) i popłynęły ballady o złamanych sercach, nieodwzajemnionych uczuciach i tchórzliwych kochankach, którzy boją się prawdziwej miłości.

Byłam twarda. Wlewałam w siebie gin szklankami i śledziłam wzrokiem zawiłe wzory na jedwabnej tapecie, tłoczonej w pawie pióra i białe róże, byle nie widzieć łez lśniących w oczach Zeldy.

Robin akurat dziś nie chciał zostawić mojej przestrzeni osobistej w spokoju i gdy wyszłam ze spotkania z Ireną, czekał na mnie pod Zakonem. O nic nie pytając, zaciągnął mnie do Dzielnicy Cudów. Teraz podejrzewałam, że on i Zelda byli w zmowie. Jakbym jeszcze tego potrzebowała.

– Powiedz tylko: czy ona żyje? – zapytał w przerwie między utworami.

– Kto? – Nie załapałam.

– Matka Przełożona. Czy, jak Turner, właśnie przechodzi do legendy w Zakonie?

– Żyje. Cała, zdrowa, nawet nie krwawi. – Skrzywiłam się. Wciąż nie wiedziałam, czy zrobiłam dobrze. Z jednej strony próbowałam przełamać swoje wzorce, z drugiej podświadomość mnie biczowała, bo co jest złego we wzorcach, które działają? Przechyliłam szklankę i wlałam w siebie kolejną porcję ginu.

– Alkohol nie jest rozwiązaniem – powiedział Robin.

– Nie jest też problemem, więc daj spokój. – Westchnęłam. – Słuchaj, powinnam ci o czymś powiedzieć… Przycisnęłam ją w twojej sprawie.

Patrzył na mnie, podejrzliwie mrużąc oczy.

– Chcesz się mnie pozbyć? – zapytał.

– Nie, łośku. Nie o to chodzi. Dowiedziałam się, gdzie możemy znaleźć odpowiedzi na twoje pytania. Nie wiem, może potrzebujesz więcej czasu, może wcale nie chcesz wiedzieć, ale jeśli chcesz, jestem z tobą. Tylko to będzie cholernie trudne.

– Trudniejsze niż skok z Preikestolen do Asgardu? – zapytał.

– Szczerze? Tak. Powiedziałabym, że to prawie całkiem niemożliwe.

– Dla nas nie ma rzeczy niemożliwych.

– Zobaczymy. Według matki jedynym miejscem, w którym może być twoja niesprokurowana teczka, jest Archiwum Centralne Zakonu. Z tego, co zrozumiałam, to tam cię podrzucono.

– Gdzie jest Archiwum Centralne?

– I widzisz, tu właśnie jest problem. To alternatywne miasto miasta, które już nie istnieje. Bramy zostały zniszczone sto lat temu. Jedyna droga, która tam prowadzi…

– Jest po alternatywnej stronie.

– Tak. Wiedzie przez bezdroża i uroczyska.

– Więc nigdy tam nie dotrę – powiedział, nie bez racji. Przestrzeń między alternatywnymi miastami była wyzwaniem. Łatwo się dało zgubić, trudno odnaleźć. W jednej sekundzie wydaje ci się, że wiesz, gdzie idziesz, w kolejnej uświadamiasz sobie, że od miesiąca krążysz w kółko po lesie. Nawigowanie w tym miejscu wymaga magii, której większość ludzi nie ma. Większość.

– Znam człowieka…

– Ty zawsze znasz człowieka. – Uśmiechnął się ciepło.

– Na to wychodzi. Może nas poprowadzić. Tylko to wcale nie będzie spacerek w parku. I będzie nas kosztowało.

– Mam pieniądze – skrzywił się – przynajmniej trochę. Jeśli będzie trzeba więcej, zdobędę je.

Pokręciłam głową.

– Cygańskiemu Księciu nie wystarczą pieniądze. Będzie chciał czegoś więcej. Zawsze chce.

– Przeżyjemy to? I będziemy w stanie z tym żyć? – zapytał trafnie.

– Raczej tak. Nie jest dewiantem ani sadystą. Ale musimy być otwarci na to, czego potrzebuje.

– Pachnie przygodą. – Wyszczerzył się w uśmiechu.

– To mamy gwarantowane – przyznałam.

– Więc na co czekamy?

– Na pełnię, najwyraźniej. Wtedy go wezwiemy. A potem, cóż, niech boginie mają nas w opiece.

– Znasz samych ciekawych ludzi. Powinnaś kiedyś spisać pamiętniki.

– Jasne. Jutro kupię sobie różowy zeszyt na kłódeczkę.

Pełnia miała być pojutrze. Wyglądało na to, że nie zagrzeję miejsca w Dzielnicy Cudów. Zelda, jakby wyczuła moje myśli, rzuciła mi spojrzenie spod rzęs nad głowami zapatrzonych i zasłuchanych widzów.

Uniosłam szklaneczkę i stuknęłam nią w szkło Robina.

– Za przygodę i odwagę serca – wzniosłam toast.

– I szaleństwo, gdy braknie odwagi – dorzucił.

A niech mnie, za to mogłam wypić.

Akuszer Bogów

Copyright © Aneta Jadowska 2017
Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo SQN 2017

Redakcja – Joanna Mika
Korekta – Marta Pustuła
Projekt typograficzny i skład – Joanna Pelc
Okładka – Magdalena Babińska / Dedodesign.pl
Rysunki wewnątrz książki – Magdalena Babińska / Dedodesign.pl
Inicjały i numery stron – Marcin Karaś

All rights reserved. Wszelkie prawa zastrzeżone.
Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

Wydanie I, Kraków 2017
ISBN EPUB: 978-83-7924-756-1
ISBN MOBI: 978-83-7924-755-4

wsqn.pl
WydawnictwoSQN
wydawnictwosqn
SQNPublishing
wydawnictwosqn
WydawnictwoSQN
Sprzedaż internetowa labotiga.pl
E-booki
Zrównoważona gospodarka leśna
Panta rhei

Spis treści

Okładka
Strona tytułowa
Rozdział 1
Rozdział 2
Rozdział 3
Rozdział 4
Rozdział 5
Rozdział 6
Rozdział 7
Rozdział 8
Rozdział 9
Rozdział 10
Rozdział 11
Rozdział 12
Rozdział 13
Rozdział 14
Rozdział 15
Rozdział 16
Rozdział 17
Rozdział 18
Rozdział 19
Rozdział 20
Rozdział 21
Rozdział 22
Rozdział 23
Rozdział 24
Epilog
Strona redakcyjna

Poznaj wcześniejsze losy bohaterów

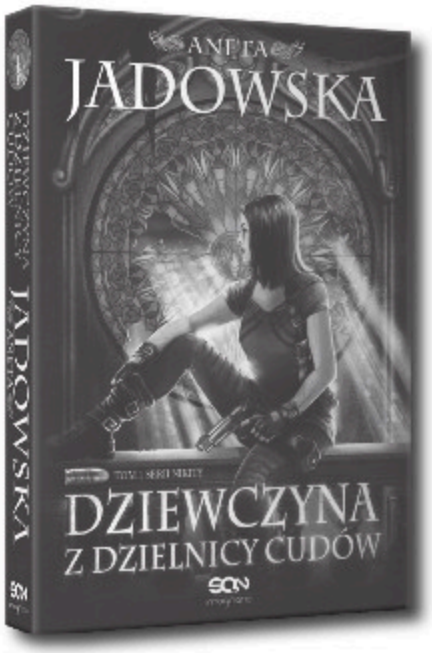

WYDAWNICTWO
SINE QUA NON

Bądź na bieżąco, śledź nas na:
/WydawnictwoSQN /SQNPublishing /wydawnictwosqn

www.wsqn.pl